

TOMASZ PACYŃSKI



MAKARATA

Pacyński Tomasz
Maskarada
Runa
Wydanie I
Warszawa 2003

Copyright © by Tomasz Pacyński, Warszawa 2003

Copyright © for the cover illustration by Stephanie Pui – Mun Law

Copyright © 2003 by Agencja Wydawnicza RUNA, Warszawa 2003

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Projekt okładki: Fabryka Wyobraźni

Opracowanie graficzne okładki: Tomek Laisar Fruń

Redakcja: Lucyna Łuczyńska

Korekta: Jadwiga Piller

Skład: Tomek Laisar Fruń

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

ul. Zabłocie 43, 30-701 Kraków

Wydanie I

Warszawa 2003

ISBN: 83-917904-7-9

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E. Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

ul. Grzybowska 77 lok. 434

00-844 Warszawa

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową: www.runa.pl

Konwersja: NetPress Digital sp. z o.o.

CZEŚĆ PIERWSZA KONSEKWENCJE

*And also dyd gode Scarlok,
And Much, the millers son:
There was none ynch of his bodi
But it was worth a grome.*

A Gest of Robyn Hode

Jak to czasem późną jesienią bywa, po zimnych, dymiących mgłami dniach wyrzało słońce. Skończyły się przymrozki, drzewa i wyschłe trawy nie kryły wyblakłych barw pod siwizną szronu. Las złocił się resztkami jeszcze nieopadłych liści, barwne kapelusze późnych grzybów znaczyły mchy.

Przemierzający puszcę zbrojni byli już przygotowani do zimy. Mruczając więc pod nosem przekleństwa, ścigali płaszcze i burki, podwijali płachty na pałkach wozów. Nie zdejmowali jednak kolczug i nabijanych metalowymi płytkami skórzanych kaftanów. Najwyżej odsuwali z czoła płaskie hełmy, by otrzeć pot wierzchem dłoni.

Las, tak piękny i spokojny w promieniach jesiennego słońca, pozostawał nadal puszcą Sherwood. Puszcą, co do której jedno było pewne – każdy mógł do niej wejść, natomiast czy z niej wyjdzie, nie wiedział nikt.

Ośłaniając oczy od blasku słońca, wiszącego nisko nad horyzontem, zbrojni nieufnie przepatrywali okolice. Ponoć ostatnio jest spokojniej, tak przynajmniej twierdzili ci, którzy ich wysłali do Sherwood, starsi cechów, chcący zapewnić bezpieczeństwo wozom z towarem. Droga przez las jest bowiem krótsza, a w kupieckich kalkulacjach pewność przegrywa zwykle ze spodziewanym zyskiem. Zwłaszcza że to nie oni ryzykowali.

Jednak w puszczy nawet w czasach uznawanych za spokojne ginęli ludzie. I będą ginąć, dopóki istnieje ten przeklęty las.

Owszem, banici poszli w rozsypkę. Kolejny już przywódca zginął, pozbawieni go banici stali się zaś tym, czym byli z początku – zgrają wyrzutek, okrutnych wprawdzie, lecz głupich i zdesperowanych. Część wygniotły podjazdy, które szeryf rozsyłał po puszczańskich traktach. Wielu wybito podczas ataków na wioski, siedliska bartników czy

smolarzy. Nie zdobyli pożywienia, o co głównie im chodziło. Puszczański osadnik, chłop czy smolarz potrafił bronić dobytku. Miał wiele czasu, by się tego nauczyć. Przeciwnie banici, a przynajmniej ostatnia generacja, niczego nie zdążyli nauczyć się na błędach. Jednostki sprytniejsze zapadły w lasach, ich problem zapewne zostanie rozwiązany siłami natury, nie przetrzymają mrozów i zimowego głodu. Mniej przebiegli spoczywają już po opłotkach, obok poborców podatków, borowych i innych niemile widzianych w leśnych osadach przybyszów, gnijąc zgodnie.

Ale puszcza Sherwood to nie tylko banici, napadający na kupieckie wozy i okolicznych rolników. Nie tylko chłopskie rebelie czy bunty. Nawet w czasach uznawanych za spokojne lepiej było omijać leśne trakty, choćby za cenę znacznej straty czasu, bo las skrywał gorszych od banitów zawodowych zbójów wszelakiego autoramentu: miejscowych, uprawiających swój proceder z ojca na syna lub grasantów, uznających przepastną knieję za bezpieczne schronienie i znakomity teren łowiecki. A przy niskich cenach potażu i węgla drzewnego w zubożałej, wyniszczonych latami niepokojów okolicy również smolarze próbowali dorobić sobie na boku.

Zaskrzypiały koła, grzęznące w piaszczystym gościńcu. Bat świsnął w powietrzu, spadł z trzaskiem na zady wołów u wyładowanego ponad miarę wozu. Woźnica zaklął ochryple, jakby to mogło zmusić stękające zwierzęta do większego wysiłku. Dowódca eskorty spojrzał niechętnie. Zaprzęg był u kresu sił.

Zbrojny podjechał do wozu. Lite drewniane koło zagłębiło się w piasku prawie po oś. Znów trzasnął bat, bez rezultatu. Zagrzebany w piasku wóz nawet nie drgnął.

Woźnica klął szpetnie, co woły, będące obiektem kunsztownych wiązań, przyjmowały z filozoficznym spokojem, opuściwszy nisko głowy obciążone sprzężajem. Zbrojny słuchał chwilę z mimowolnym podziwem, bo wozak jak dotąd nie powtórzył się ni razu, co nie zmieniało w niczym faktu, że przekleństwa nie przesunęły wozu ani o cal. Dwóch pomocników woźnicy, siedzących z tyłu, majtało beztrąsko nogami, wpatrując się tępo przed siebie. Nawet nie raczyli się odwrócić.

Na zdecydowany gest ręki czterej pozostali żołnierze zsiadli z koni, odroczyli kusze. Już bez dodatkowych rozkazów zajęli pozycje dokoła

unieruchomionego wozu. Dowódca podjechał bliżej, z rozmachem uderzył pięścią w deski, aż huknęło. Wozak przerwał swą litanie w pół słowa i odwrócił się.

– Czego? – warknął i tak nadspodziewanie grzecznie. Podczas krótkiej podróży dał się już poznać jako wyjątkowy cham, w dodatku głupi. Co z kolei było zjawiskiem nader częstym w jego zawodzie.

Żołnierz milczał przez chwilę. Na jego ogorzałej, pooranej zmarszczkami, lecz wciąż młodej twarzy odzywka wozaka nie wywołała gniewu czy choćby zniecierpliwienia. Widział w życiu wielu takich, byli jak hydra z dawnych legend, i z doświadczenia wiedział, że na miejsce jednego przywołanego do porządku chamiska niechybnie pojawią się trzy nowe.

– Trzeba odkopać – powiedział wreszcie cicho, wskazując koło. – Inaczej nie ruszy, wóz zbyt wyładowany. Woły nie dadzą rady.

Urwał, wiedząc z góry, co usłyszy w odpowiedzi na rozsądną propozycję. Chamski wozak nie zawiódł jego oczekiwań.

– A, co tam, kurwa... – Schylił się z wymoszczonego sianem siedzenia, macał gdzieś w dole. – Co tam... – Postękiwał niewyraźnie. Wreszcie znalazł to, czego szukał – długą, zaostrzoną na końcu żerdź i potrząsnął nią triumfalnie.

Zbrojny skrzywił się tylko.

– Co tam, kurwa, nie dadzą rady... – Wozak przechylił się z kozła, usiłując sięgnąć zadu stojącego ze spokojną rezygnacją wołu. – Jak mu to pod ogon wsadzę, to od razu ruszymy...

Wychylał się coraz bardziej, celując ostrym szpicem, umazanym starą, zakrzepłą krwią, ale przeszkadzał mu poruszający się miarowo ogon bydłęcia. Wół oganiał się od ospałych, obudzonych jesiennym słońcem much.

Tym razem jednak zwierzęta miały więcej szczęścia. Gdy woźnica wycelował w końcu i przymierzał się do pchnięcia, żerdź trzasnęła jak gałązka, chwycona pewną dłonią. Zbrojny drugą ręką pchnął wozaka w pierś, tak że ten padł na wymoszczony słomą kozioł.

– O, żeż ty... – Przygryziona warga nie pozwoliła utalentowanemu wozakowi na pełne zademonstrowanie bogatej wiązanek przekleństw.

Pomrukiwał tylko niewyraźnie, spluwając krwią. Jego dwaj pomocnicy nawet się nie poruszyli, w dalszym ciągu wpatrywali się tępo w przestrzeń.

Zbrojny uśmiechnął się lekko. Zaraz jednak spoważniał, gdy przyjrzał się trzymanemu w ręce ostremu, zapaskudzonemu na końcu ułomkowi żerdzi. Chciał go odrzucić ze wstrętem, lecz zmienił decyzję. Zbliżył się do wozu.

– Trzeba odkopać – powtórzył spokojnie. – Inaczej mogą pęknąć osie. Za głęboko się zarył, zbyt jest wyładowany.

Woźnica patrzył z nienawiścią. Otarł gębę z krwi.

– No to odkopuj! – wrzasnął już wyraźnie. Był wściekły, co chwilowo stłumiło wrodzone tchórzostwo. – Za co ci, kurwa, płacimy? Brać się do roboty, a żywo... – Urwał, widząc jak rysy zbrojnego twardnieją.

– Posłuchaj, dupku. – Głos Wulfa był nadal cichy i spokojny. Jedynie lekki obcy akcent świadczył o gniewie. – Płaci mi szeryf. Płaci za to, by nikt ci bełtu w dupsko nie wsadził, nie wypatroszył albo łba nie uciął. A przede wszystkim za to, żebyś nie wychlał wina, które wiesz. Tak mi właśnie powiedział. Najpierw beczki, potem zaprzęg, potem długo, długo nic. Następnie nasze własne tyłki, a dopiero na samym końcu ty. Rozumiesz?

Woźnica gwałtownie pokiwał głową.

– To dobrze – pochwalił zbrojny. – Teraz zleziesz z wozu, ty i twoi, pożałuj się Boże, pomocnicy. Odkopiesz koła, podłożysz, jeżeli trzeba, gałęzie. Ja poprowadzę zaprzęg. A wy będziecie popychać. Jeżeli nie wystarczy, trzeba koniecznie trochę rozładować. – Krytycznie przyjrzał się wozowi. Kupcy na wszystkim chcieli oszczędzać. Tę ilość ładunku powinny przewozić dwa, nawet trzy wozy. Pewnie liczyli, że drogi wcześniej stężeją od mrozu i koła nie będą grzęznąć w miękkim gruncie. Przeliczyli się.

– Wiesz co? – zagadnął Wulf przyjaźnie, przyglądając się robocie. Wozak spojrzał spode łba, odgarniając łapskami piasek. Nie miał na wozie rydla ani łopaty. – Niezły ten twój wynalazek. – Obrócił w ręce zaostrowany ułomek żerdzi. – Dobrze wymyślone. Zobaczymy, czy się sprawdzi, jak będziesz popychał wóz... Jeśli się słabo przyłożysz...

Wulf schylił się, podetknął pod nos wozaka szpic żerdzi.

– Jak się nie będziesz przykładła... – obiecał cicho – to ci go wsadzę w dupsko. Ale tak, że gardłem wyjdzie...

Wozak pochylił się tylko, odgarniając gorączkowo piach jak spłoszony kret.

Woły były zmęczone. Ciągnęły wolno, postępując, a wóz trzeszczał i skrzypiał na wyboistym, poprzecinanym korzeniami wysokich sosen trakcie.

Na szczęście podłoże twarde, pomyślał Wulf. Jakoś się toczy. Ale dziś już potoczy się niedaleko.

– Staniemy do jutra – powiedział. Wozak spojrzał niechętnie, lecz to nie była propozycja, to była decyzja, a wiedział już jasno, kto dowodzi konwojem.

Jednak spróbował. Bał się noclegu w lesie, zbyt wiele się nasłuchał o Sherwood.

– Mieliśmy stanąć we wiosce – zaprotestował. – Tam, gdzie zbrojni... Ten, wiecie, posterunek. A tak, zmitrzymy cały dzień. Nie będą zadowoleni.

Na pewno, pomyślał Wulf. Dodatkowy dzień, dodatkowa zapłata. Ale cech musi się z tym liczyć, jeżeli wysyła przeładowany wóz, w dodatku z durnym woźnicą.

– Nie dojedziemy. Zagonieś zwierzęta, padną po drodze. Sam jesteś sobie winien.

Wozak zachmurzył się wyraźnie. Też przyszło mu to do głowy. Starszy cechu jego będzie obwinił za zwłokę. Nie daj Boże z zapłaty potrąci... A na drugi raz wyśle samych, bez eskorty...

Owszem, zdarzali się desperaci, którzy próbowali dokonać tej sztuki, przewieźć towar, nie wykosztowując się na ochronę. Niektórym nawet się udawało. Jednemu aż dwa razy. Ale tylko dwa, co namacalnie potwierdziło głęboką mądrość ludową w przysłowiu "do trzech razy sztuka". Rozsądni, dbający o majątek i zdrowie kupcy albo nadkładali drogi, albo wynajmowali eskortę.

Cechy wprawdzie miały swoją milicję, ale jej członkowie zajmowali się głównie piciem po oberżach i wszczynaniem burd. Za to dobrze wyglądali w święta, świadcząc o sile i zamożności cechów. Do tego nadawali się znakomicie.

Kiedyś, jeszcze za czasów bandy Robina, milicja wyprawiła się do puszczy z karawaną wozów. Później, gdy uzupełniono już wakaty, zakupiono nowe halabardy i oszacowano straty w towarach, starszyzna cechowa doszła do wniosku, że lepiej wynająć fachowców z zewnątrz. Z tym też bywały problemy, zdarzyło się parokrotnie, że tuż za bramami miejskimi eskorta biła dotkliwie kupców i odjeżdżała w siną dal z wozami – jak również z otrzymaną z góry zapłatą.

Zniechęcone nader powszechnie spotykaną nieuczciwością, rady kupieckie znalazły w końcu rozwiązanie. Z pomocą przyszedł szeryf, który nie narzekał po wyczerpującej wojnie na brak gotówki. Wprawdzie wynajęcie jego zbrojnych nie było tanie, ale za to ochrona – nader skuteczna. I tak się utarło, mimo iż czasy rzeczywiście nastąpiły spokojniejsze.

Woźnica milczał ponuro. Nie dość, że stracą dzień, to jeszcze szykuje się popas w tej dziczy. Żeby chociaż wino było w antałkach, pomyślał tęsknie. Zawsze któryś mógłby się stłuc... A tu, masz ci los, same beczki. Zerknął na Wulfa.

– Nie ma co marzyć – mruknął pod nosem z rezygnacją – nie pozwoli wybić szpuntu. – Że też musiał mi się trafić ten pierdolony służbista...

Jadący obok eskorty dowódca obserwował go spod oka.

– Nie będzie tak źle – pocieszył wozaka, nie dlatego że poczuł dla niego współczucie, ale by uniknąć dalszych, niepotrzebnych dyskusji. – Niedaleko jest polana – ciągnął, nie zwracając uwagi na zduszone przekleństwa. – Teraz trakty ludne, spokojny czas. Pewnie ktoś tam popasa, kupcy, może wojsko. Szeryf podjazdy śle, banitów resztki wygniata. Coś do żarcia może się znajdzie, może piwo. Bo swoje, jak widziałem, wychlaliście na samym początku...

Wychlaliśmy, a bo co, pomyślał woźnica. Nasze, to wychlaliśmy, uśmiechnął się złośliwie mimo zdenerwowania. Widziałem, jak wam tylko grdyki chodziły. A niedoczekanie, niech wam szeryf da.

– Wychlaliście, nawet nie przyszło wam do głowy, żeby poczęstować.

– Wulf pokręcił z naganą głową. – Ano, srał was pies.

Odwrócił się.

– Skoczę do przodu, polana blisko! – krzyknął do towarzyszy. – A ty, Sean, pilnuj bukłaczków. Spokojnie dziś, można się napić na popasie.

Pognał wierzchowca, w przelocie mrugnął szyderczo do rozdziawiającego gębę wozaka. Po chwili zniknął za zakrętem.

Sean wstrzymał konia. Pomacał juki.

– A co tu pilnować? – mruknął. – Bezpiecznie w jukach schowane.

– Żeby chmyzy nie widziały – parsknął jego kamrat, spoglądając na wozaka i pomocników. Wozak wpatrywał się w juki z wciąż rozdziawioną gębą. Pomocnicy, o dziwo, zbystrzeli nagle. Z ich oczu zniknęła tępa apatia.

– Widzisz ich? – zwrócił się do Seana żołnierz. – Jakie to teraz, kurwa, bystre? Jak ślipiami wierci? A piwo wychlali, nawet nie raczyli spytać, czy ktoś by się nie napił! Ino na wozie się chowali, pod płachtą. A sikać to w krzaki chodzili, żeby się nikt nie domyślił, ukradkiem, a nie jak zwykle, z kozła. Eh, dobrze Wulf mówił. Srał ich pies!

Woźnica odzyskał głos.

– Ależ, szlachetni panowie... – zaprotestował słabo, bez większej nadziei, że zostanie wysłuchany. – Gdzież dla was, wojaków, takie piwo! Niedobre ono, jeno dla nas zdatne. Po prawdzie, szczynty to prawe, tfu! Nie chcieliby obrazić, nie proponowalim...

– To i dzisiaj szczynymi przyjdzie wam się zadowolić – rzucił Sean, popędzając konia. – Widać zwyczajni jesteście, to i krzywdy dla was nie będzie. No i co tak stoicie! – wrzasnął w końcu. – Popędzać, a żywo! Do popasu nam pilno!

Woźnica, zgięty pod brzemieniem krzywd, smagnął woły po zadach. Wóz, skrzypiąc i trzeszcząc, potoczył się dalej powoli.

Smuga dymu z ogniska unosiła się prosto w bezwietrznym powietrzu, przeświecona promieniami słońca. Będzie pogoda, pomyślał Wulf,

ściągnąć wodze. I cholernie zimna noc.

Przystłoniwszy oczy, zlustrował z daleka polanę. Nie mylił się, wielu ludzi przemierzało las, korzystając z ładnej pogody. Na dogodnej do popasu, porośniętej wrzosem polanie stały dwa kupieckie wozy. Konie, spętane i puszczone, skubały zeschniętą trawę. Dwa stały osobno, żując obrok z założonych worków. Wulf zmarszczył czoło, wyteżył wzrok. Zaobrokowane konie miały rycerskie rzędy, przy siodłach wisały tarcze.

Usiłował z dala dostrzec herb, jednak świecące prosto w oczy słońce oślepiało i barwy zlewały się w jedną szarość.

Ludzie siedzieli kręgiem wokół ogniska. Kilku kręciło się przy wozach. Wulf ruszył naprzód. Przy ognisku nie wszczął się ruch, jedynie dwóch ludzi, zajętych dotąd przy wozach, ruszyło na skraj polany. Jeden nawet miał kuszę. Nienapiętą.

– Kto idzie? – zakrzyknął ten z kuszą.

– Swój! – odkrzyknął Wulf, nie zatrzymując się. Człowiek wykrzywił się, mimo że jeździec podjechał na kilkadziesiąt kroków, przyłożył dłoń do ucha.

– To znaczy czy? – spytał głośno i nieufnie. Nie uniósł jednak kuszy. Zbrojny był już blisko.

– Swój! – powtórzył. – Przecie mówię!

– A, swój... – Człowiek kiwnął głową, uspokojony. – To w porządku, od razu tak trza było... – Szturchnął kompana, jak Wulf zauważył, równie obdartego, jak on sam. – No i czego tak stoisz? – zapytał gniewnie. – Wracamy.

Kompan nie miał żadnej broni, poza trzymaną w brudnej garści ogryzioną prawie do czysta kością. Nawet sporą. Miał za to kolczugę, wystrzępioną i zardzewiałą.

Wulf przejechał mimo, nie mogąc wstrzymać się od pogardliwego wzruszenia ramionami. Na obdartusach, będących zapewne eskortą kupieckich wozów, nie zrobiło to żadnego wrażenia.

Widać siedzący przy ognisku ludzie mieli do swych obrońców pełne zaufanie, bo żaden nie odwrócił głowy. Byli zbyt zajęci popijaniem wina i słuchaniem głośnej opowieści. Wulf zmarszczył brwi. Znał ten głos.

Zamiast jednak zbliżyć się do ogniska, ruszył w kierunku pojedynczej

nieruchomej postaci. Wyprostował się bezwiednie.

– Panie... – skłonił się z szacunkiem.

Siedzący na rozłożonej derce rycerz uniósł głowę, mierząc Wulfa uważnym spojrzeniem. Nie nosił kolczugi ani misiurki, tylko skórzany kaftan poodgniatany od zbroi, poznaczony rdzawymi plamami. Jego gładko wygoloną twarz znaczyły zmarszczki, siwe włosy były krótko przycięte.

Czując na sobie spojrzenie zimnych, wyblakłych oczu Wulf poczuł się odrobinę nieswojo. Po długiej chwili rycerz lekko skinął głową.

– W służbie szeryfa Nottingham – wyskandował Wulf. – Eskorta kupców. Wóz został w tyle, bo zaprzęg strudzony. Pozwólcie, panie, stanąć na popas.

Rycerz wstał powoli. Wulf przewyższał go o pół głowy, lecz było w obcym coś, co pozwalało mu patrzeć na zbrojnego z góry.

– Pozwalam – rzucił.

Wulf skłonił się, lecz nie ruszył z miejsca.

– Możecie odejść, żołnierzu – dodał rycerz uprzejmie. – Zaczekajcie na wóz i resztę ludzi, rozłóżcie popas. A potem...

Zawahał się, jeszcze raz zmierzył zbrojnego wzrokiem i uśmiechnął się nieoczekiwanie. Był to dziwny uśmiech, zaledwie skrzywienie wąskich warg, podczas gdy oczy pozostały chłodne i poważne.

– Potem zapraszam was do kompanii – dokończył po chwili. – Bo nie sądzę, by tamta bardziej wam odpowiadała. – Wskazał głową w kierunku ogniska, od którego dochodziły ochryple śmiechy.

– Jakże to, panie? – wyjąkał zaskoczony Wulf. – Jam tylko przecie... przecie w służbie...

W zdenerwowaniu mówił z silnym akcentem. Rycerz już się nie uśmiechał. Popatrzył wymownie na medalion na szyi zbrojnego.

– Z daleka przybyliście – powiedział spokojnie. – Może i teraz jesteście w służbie. Ale u siebie...

– Theowulf, syn Thormlunda! – wypalił zbrojny. – Dowódca straży szeryfa Nottingham. Tutaj zowią mnie Wulf.

– Syn jarla Thormlunda? – Rycerz znów uśmiechnął się na swój

sposób. – Jestem Bertrand de Folville.

Wulf był zbyt zaskoczony, by zareagować na sławne imię.

Rycerz spojrział w stronę swojego wierzchowca.

– Dziwi cię ta odwrócona tarcza? – spytał. – Myślisz, że śluby poczyniłem, co mi każą herb i tożsamość zatajać?

Zaśmiał się krótko. Usiadł z powrotem na rozłożonej derce, dając rozmówcy znak, by ten uczynił podobnie. Wulf po krótkim wahaniu usłuchał, cały czas sztywno wyprostowany, spoglądał ukradkiem na miecz pana de Folville, ukryty w prostej, obciągniętej czarną skórą pochwie. Ani pochwa, ani głowica miecza nie miały żadnych ozdób.

– Widzisz – zaczął cicho rycerz – żyję na tym świecie wystarczająco długo, by me imię nie było zupełnie nieznanne. Przy Bożej pomocy to imię budzi strach wśród tych, co nań zasługują, wśród tych, których ziemia nie powinna dłużej nosić. A ponieważ wyroki Boże, aczkolwiek nierychliwe, sprawiedliwe są i nieomyłne, przeto w swym zadufaniu, gdy tylko mogę, staram się je przyspieszać. I plugastwo, gdy tylko o nim się dowiem, karane jest tym mieczem...

Głos rycerza zabrzmiał donośniej.

– Wiem, że to kropla w morzu. Tyle jest na tym świecie nieprawości, zdrady i wiarołomstwa, tyle pychy i zbrodni... Choćbym się bardzo starał, a Bóg mi świadkiem, że trudu nie szczędzę, wszystkiego nie wytepię. Ale starać się należy, nawet we własnym, skromnym zakresie. Na miarę możliwości, gdy tylko zdarzy się okazja.

Rycerz spojrział Wulfowi prosto w twarz. W nieruchomych oczach żołnierz dojrzał ołowianą, ciężką szarość.

– Ten miecz nigdy nie splamił się krwią niewinną. Na tych, których żywot przeciął, zawsze wina ciążyła, choć czasami sądzili inaczej. Tak było, i tak będzie. Dopóki starczy sił, by to ostrze unieść.

Szare oczy wwiercały się w twarz Wulfa.

– Masz w sobie prawość, panie – powiedział rycerz. – Mimo że jako prosty żołnierz służysz. Masz prawość i honor. Ja się nie mylę, nigdy się dotąd nie pomyliłem. A ufam, że i w przyszłości Bóg nie dopuści...

Sir de Folville delikatnie gładził pokrytą jaszczurem rękojeść miecza. Wulf zauważył, że jest długa, bardzo długa w porównaniu z

brzeszczotem. Głowica za to była mała, widocznie klinga nie ważyła wiele.

– Ja walczę ze złem – podjął sir Bertrand już ciszej. – Tylko ze złem, nie dla sławy, dla poklasku czy przyjemności. Wyrynam chwasty, wyrastające w ziemskim ogrodzie. Jednak jest wielu takich, nie, nie z gruntu złych... Takich, co chcą sławy. Wiem, jest to niskie i naganne, jednak tacy nie zasługują od razu na śmierć. To jedna z mniejszych przywar, nie grzech śmiertelny. Ale sprawiają mi dużo kłopotu ci wszyscy, co nie mogą ścierpieć, że ktoś może być lepszy do miecza. I chcieliby zająć moje miejsce tylko po to, by cieszyć się poważaniem, napawać strachem. Nie po to, by czynić dzieło Boże. Wyrwać chwasty.

Wulf przełknął ślinę. De Folville wreszcie przestał się w niego wpatrywać.

– Gdziekolwiek pojedę, zaraz się zjawiają. Rzucają rękawice, chcą się zmierzyć, mimo że Bóg nie przeznaczył im kary, nie zasłużyli jeszcze na śmierć. Gołowasy i niedorostki, żądni chwały i zadufani w swe, jakże mizerne, umiejętności. Głupcy, którzy nie wiedzą, że do zwycięstwa potrzebna jest Boża łaska, a Bóg obdarza nią tych, co w jego służbie krew wylewają, a nie spragnionych sławy i zaszczytów. Wyzywają mnie do walki, gdy zaś nie chcę stanąć, poczynają lżyć, nie wiedząc, że w swej pokorze zniosę i ten dopust. Wreszcie dobywają broni, a ja... ja z lęku, iż dusze swe do reszty w pysze zatracą, muszę przyjść im z pomocą. Okaleczyć nieco, nie za bardzo, aby wbić trochę pokory do głowy, cnoty chrześcijańskie własnym przykładem pokazać.

Zbrojny machinalnie skinął głową. Wprawdzie Odyn i Thor mieli odmienne poglądy na walkę, ale Wulf nie czuł najmniejszej ochoty na dyskusję z rycerzem o lodowatych oczach i zimnym głósie. Ani z jego Bogiem.

– Tak więc okaleczyć nieco trzeba – mówił rycerz już jakby sam do siebie. – Upokorzyć, albowiem pokora kluczem jest do bram niebieskich. Alem słaby człowiek. Czasem się nie uda, miecza pohamować nie zdołam. A, nic to przecie, i tak na jedno wychodzi, Bóg swoich rozpozna. Tylko czasu, czasu szkoda, sił, których na starość zbraknąć może, tak potrzebnych, by przeciw prawdziwemu złu stanąć...

Pan de Folville pokiwał głową w zadumie. Popatrzył na coś za plecami Wulfa.

– Dlatego imię swe taję, tarczę licem do kulbaki obracam – dokończył.
– Nie z pustoty, nie z próżnych ślubów. Jeno po to, by siły na prawdziwe próby zachować. Czas na cię, twoi ludzie z wozem nadciągają.

Zbrojni nie kwapili się, by dołączyć do hałaśliwego towarzystwa przy większym ognisku. Wulf nie dziwił się im nadmiernie, wystarczyło popatrzeć na hałastrę, która obsiadła ognisko kręgiem. Pijane już obdartusy bardzo nieudolnie imitowały eskortę wozów kupieckich.

Wulf pociągnął wina. Zastanawiał się, co znaleźć sobie do roboty. Nie miał wielkiej chęci skorzystać z zaproszenia pana de Folville. Ale nie wiedział też, jak odmówić.

Dowódca eskorty znał swoje miejsce. U siebie mógł być synem jarła, lecz tutaj – tylko żołnierzem, nieprzyzwyczajonym do poufałości z rycerzami. Nie czuł się gorszy, ale pańska łaska na pstrym koniu jeździ. A co dopiero takiego rębajły jak de Folville.

Od wielkiego ogniska huknęła salwa śmiechu. Wulf znów usłyszał znajomy głos.

– Żebym tak skonał! – Pijackie pokrzykiwania niosły się daleko, odbijały się echem od ściany lasu. – Żeby mnie tak piorun... Sam widziałem.

Zaintrygowany Wulf podniósł się, niepostrzeżenie podszedł do ogniska i usiadł w gęstniejącym mroku, poza kręgiem światła.

Przysięgający na prawdziwość swych słów wstał chwiejnie, łyskając golizną przez podarty na plecach kubrak. Uderzył się z rozmachem w piersi, rozchlapując piwo z glinianego garnca.

– Święta to prawda, a kto mówi inaczej, to... to...

Z drugiej strony ogniska podniósł się pleczysty drab. Długie włosy opadały mu w strąkach na niskie czoło.

– To co? – czknął głośno.

– To... – prawdomówny oklapł nieco. – To nic.

Pleczysty roześmiał się, szczerząc wszystkie trzy przednie zęby.

– To i dobrze, że nic – wyseplenił. – Bo ja... – Też walnął się w pierś. Zadudniło, jakby głośniej. – Ja mówię, że łgarstwo to wszystko. Łgarstwo, od początku do końca.

Prawdomówny nie zrezygnował.

– Jak to, łgarstwo? – zapytał, ciszej i niepewnie.

Jego adwersarz roześmiał się.

– Inaczej mówiąc, gównu prawda – wyjaśnił. – Dobrze gadam, kamraty?

Trzech równie zwalistych drabów zarechotało zgodnie.

– Ale misternie wywiódł – pochwalił jeden. – Gównu prawda!

Teraz śmiali się wszyscy wokół ogniska. Z jednym wyjątkiem.

– Łziesz jako ten pies parszywy. – Zachęcony aplauzem, długowłosej drab postanowił pognębić przeciwnika do końca. – Jako ten pies, powiadam!

Powiódł wkoło oczyma przekrwionymi zapewne od dymu z ogniska, bo przecież nie od nadmiaru piwa.

– Ja znam w tej puszczy każde drzewo – zaczął rozwlekle. – Każdą ścieżkę i kamień. Pacholęciem już znałem wszelkie uroczyska. Wiem, co dzieje się we wioskach i na porębach.

– Do rzeczy!

Wulf dostrzegł dwie głowy wystające spod okrywającej bliższy wóz płachty. Kupcy zostali na wozach, pilnując dobytku. Zupełnie słusznie, ocenił Wulf, spoglądając na coraz bardziej pijaną eskortę.

– Chcecie słuchać, panie kupiec, to nie przerywajcie! – wrzasnął gniewnie elokwentny drab. – A nie, to ryj w słomę. I nie wtrącajcie się do rozmowy!

Wulf tylko pokręcił głową. Ciekawe, który cech aż tak poskąpił pieniędzy na eskortę. Jeśli kupcy jadą w tę samą stronę, trzeba pojechać z nimi, postanowił. Inaczej ta hałastra obrobi ich na następnym biwaku.

– Owoż, człek tak bywały i doświadczony jak ja, wie bez ochyby, co naprawdę zdarzyło się. Wieprz krwawy śmierć w puszczy znalazł, ino nie w żadnej otchłani piekielnej, jak byliście łaskawi pieprzyć, dobry człowieku. Druidowie głowę mu obcięli, czarami go wprzódy

otumaniwszy, bo zdrajcą się okazał, tajemnice srogie im wykradając. Skurwysyn był to wprawdzie, ale zabijaka wielki, jego mieczem czary kierowały, które druidom wykradł sprytnym przemysłem. I przeciw ludziom niewinnym ich używał, by ranić ich i zabijać, taka nienawiść w nim siedziała. Potwór to bowiem był w ludzkiej skórze, przez druidów ku niecnym celom stworzony... – Drab zająknął się, pociągnął piwa. Widać zaschło mu w gardle.

– Pieprzysz, Trepie – wpadł mu w słowo drugi, korzystając z chwili ciszy. – Przecie szeryf dwie niedziele wojsko w las posyłał, wszystkim borowym i kłusownikom śladów kazał wypatrywać. Szukali wszędzie, nawet w druidzkich gajach i uroczyskach. I nic nie znaleźli, ani ciała, ani nawet rzeczonych druidów, którzy widno wprzódę się gdzieś wynieśli. Już łośńskiego roku żaden się we wioskach nie pokazał, znać wytepić się wreszcie udało to plugastwo, tfu...

– Ja pieprzę, ja? – oburzył się Trep.

Przez chwilę wyglądało na to, że rzuci się z pięściami na kamrata. Ten nie przestraszył się. Wypił już wystarczająco dużo, by zatracić instynkt samozachowawczy.

– A pieprzysz – potwierdził bełkotliwie – jak potłuczony. Skoro mówisz, że łeb mu złotym sierpem ucięli, to gdzie ciało? Pytam się, gdzie ścierwo albo ten łeb urżnięty? Bo konie zbrojni znaleźli. Grasantów trupy, których poszczerbił, mało naruszone były, lisowie rozwłóczyć nie zdążyli. A tu nic! I co na to powiesz, Trepie?

– Co powiem? – zaperzył się drab. – Co powiem? Ano powiem, że dowód to jest właśnie niezbity, który wam w tych tępych łbach nie chce się pomieścić! Toż każdy wie, co druidzi ze zdrajcami robią! Skoro takiego ubiją, gotują go w kotle miedzianym, wielkim, a jak się już ugotuje i rosół schłodzi nieco, w kotle owym się kąpią i zwycięstwo świętują. Stary to ich obyczaj, tfu, naturze przeciwny. I kąpią się tak, trupa ogryzając, popijając rosółem, póki nic nie zostanie. Wszystko zjedzą!

– Z kośćcami? – spytał ktoś z powątpiewaniem.

Pierwszy z mówców, ten prawdomówny, zorientował się, że opowieść nie trafiła do słuchaczy.

– I co, słyszeliście? – spytał gromko. – Może ja łągałem? Czeluść

piekielna pochłoneła Wieprza, gdy zstąpił do niej, w swe siły dufny. Taka jest prawda i innej nie ma! Kto bowiem w przeklętą kotlinę wstąpi, już z niej nie wyjdzie. Jeny dusze potępione nad nią się unoszą, spokoju zaznać nie mogą. Jęczą i zębami zgrzytają, osobliwie w te noce, kiedy miesiąc nie świeci. I głos Wieprza poznałem, jak opłakuje swe zbrodnie, wyjścia ni spoczynku nie znajdując. – Powiódł triumfalnym wzrokiem po siedzących dokoła ogniska, zatrzymując go dłużej na pognęzionym niezbitym istotnie dowodem Trepie.

– Nie znajdzie on stamtąd wyjścia, przez wieczność całą. Nie wróci już na świat, o nie. Aż do dnia sądu męki będzie tam cierpieć, ulgi zazna dopiero, gdy trąby archanielskie usłyszy. Ale to też tylko na chwilę, bo Bóg zaraz go bez sądu do piekła wtrąci, taki to był sukinsyn i wredny odmieniec. Piwa mi, kurwa, dajcie, bom się wzruszył! Taka jest jeno prawda jedyna i niepodważalna, na co dowody wam przedstawiłem – ciągnął, ujmując podany garniec. – Kto zaś mi łez zadawać chce, niech wystąpi zara!

Wulf nie zdzierzył. Wstał i wszedł w krąg światła rzucanego przez ognisko. Gdy głosiciel jedynej i niepodważalnej prawdy ujrzał go, mimo pijackiego zamroczenia zbladł i rozdziawił gębę.

– Święta to prawda, owe dowody, które Patrick tu przedstawił – odezwał się Wulf, widząc wlepione w siebie oczy siedzących dokoła ogniska. – Dowód to niepodważalny i nie mnie go negować. Patrick służył w straży szeryfa. Zapomniał tylko dodać, że osobiście go z niej wypieprzyłem, jeszcze zeszłego lata.

Zebrani ryknęli śmiechem. Trep wstał i dzielił wciąż osłupiałego Patricka w kark, aż zadudniło. Kiedy ucichła ogólna wesołość, Wulf wzgardliwie odsunął garniec piwa, nie bacząc na urażone, złe spojrzenie ofiarodawcy. Ten gest zwrócił na niego uwagę. Wszyscy zamilkli.

– Wesoło było? – spytał zbrojny. Głos mu stwardniał. – To posłuchajcie, hołoto – ciągnął, nie dbając, że Trep z kamratem wstali i sięgnęli niedwuznacznie do rękojeści kordów. Sam demonstracyjnie założył kciuki za pas. – Możecie pieprzyć, co chcecie. Ale jeśli jeszcze raz usłyszę, jak imię Matcha szargacie, odmieńcem i sukinsynem go nazywając. To... – zawiesił głos.

Dwaj sięgający po broń oberwańcy popatrzyli po sobie. Jednak byli odważni, albo wystarczająco pijani.

- To co? – spytał wyzywająco Trep. Kord wysunął się z pochwy na cal.
- Spróbuj – zaproponował cicho Wulf.

Drab zmiękł, jak świński pęcherz, z którego wypuszczono powietrze. Drugi zniknął za plecami kamratów.

Wulf odwracał się właśnie, gdy zatrzymał go głos, dobiegający od strony kupieckich wozów. Głos dziewczęcy.

- Prawiście, panie – krzyknęła dziewczyna. – Prawiście. Match, wódz banitów, rycerzem był nieledwie! Honoru przestrzegał! To ta zła kobieta go skrzywdziła, od czego czystość na resztę życia ślubował!

Na młot Thora, pomyślał oszołomiony Wulf. Słodki Jezu, dodał zaraz, tak na wszelki wypadek. Dziewczyna! Co za idiota wysyła dziewczynę w drogę pod eskortą takiej plugawej zgrai! Toż gdyby nie ten rycerz i my, już na dzisiejszym popasie...

Kompania przy ognisku, mimo że przed chwilą nieźle przestraszona, ryknęła śmiechem.

- Hej, panienko! – krzyknął ktoś ochryple i urągliwie. – Czystość ślubował? Może dla ciebie ją zachowuje?

- To tylko wtedy, kiedy i ty nieruszana! – dodał drugi głos. – Sprawdzić by trza, coby się nie omylił!

Nie musiał się oglądać. Wiedział, że jego zbrojni już się poderwali, że stoją za nim półkręgiem, z bronią w gotowości. Lecz przewaga była po stronie przeciwników. Mimo że pijani, czterokrotnie przewyższali liczebnością ludzi Wulfa. Co gorsza, mieli kusze. Wyciągnął rękę po swój miecz. Gdy poczuł w dłoni rękojeść, skinął głową. Jednak zamiast znajomego burknięcia Seana usłyszał ciche westchnienie.

- Plugastwo, wszędzie plugastwo. Wiele chwastów do wyrwania, wiele, na chwałę Bożą...

Wulf odwrócił się zaskoczony. Za nim stał Bertrand de Folville. Miecz trzymał pod pachą. Na razie nie pofatygował się, aby go obnażyć.

- Dzięki Ci, Panie. – Rycerz wzniósł oczy do ciemnego nieba. – Dzięki za to, że postawiłeś ich na mojej drodze. Nie zawiodę Cię, dopilnuję Twych wyroków.

Plugastwo nie przejawiało ochoty do współpracy. Gdy dotarło do

nich, kogo mają naprzeciw, zaczęli się cofać zwartą ławą. Co rusz jakaś schylona postać odskakiwała w bok, znikając w mroku. Po chwili Wulf z rycerzem stali sami w kręgu światła, rzucanego przez ognisko.

De Folville pokiwał głową.

– Ano, nie dziś, to jutro – powiedział sentencjonalnie i splunął. – A najdalej pojutrze. Nikt nie ujdzie temu, co mu przeznaczone. W każdym razie nie oni. – Wskazał w mrok.

Wulf rozejrzał się z niepokojem.

– Oni mają kusze – zauważył. Pan de Folville roześmiał się głośno. Syn jarła Thormlunda po raz pierwszy usłyszał jego śmiech. I nie żałował, że wcześniej nie miał okazji.

Odeszli w stronę wozów. Wulf spostrzegł, że niepoczciwa kompania powoli ściąga do ogniska. Chyłkiem, milczkiem jak zbite psy.

Sir Bertrand stanął przed wozem, spojrzął w przerażone oczy kupieckiej córki.

– Nic się nie bój, panienko – powiedział. – Jesteś pod opieką tego oto pana, szlachetnego żołnierza. On nie da cię ukrzywdzić. A i ja pomogę – dodał skromnie.

– Dzięki wam, panie – odezwał się rozdygotanym głosem kupiec. – Dzięki wam, że towaru i dziewczki bronić chcecie. A ty, głupia, jape zamknij, nie odzywaj się, to w spokoju nas ostawią.

Wulf zacisnął pięści. Uprzedził go Sean.

– Wasz towar, kramarzu, to se możecie w dupę wsadzić – wycedził. – A powiem wam tyle, że każdy, kto w taką drogą dziewczkę bierze, z takimi zakazanymi mordami, wart jest, by po karku mu nakłaść, na co mam zresztą wielką ochotę.

– Sean! – warknął Wulf nawykłym do komendy głosem, spoglądając na rycerza.

Ale de Folville roześmiał się tylko. Znów na głos, tak że dziewczyna zbladła, a kupiec schował się w wozie.

– Widzę, szczerzy to żołnierz, słusznie prawi. Sam miałem ochotę płazem przeciągnąć, choć się nie godzi. Dobrze, że się schował.

Rycerz spoważniał. Ujął dziewczynę pod brodę. Ta szarpnęła się,

widząc jego oczy. Nigdy przedtem takich nie widziała. I nigdy więcej nie chciałyby zobaczyć.

– Nie bój się – rzekł zadziwiająco łagodnym głosem. – Powiedz nam. To, co chciałaś powiedzieć.

– Match... – Dziewczyna trzęsa się cała, nie śmiejąc opuścić wzroku. – Match jest szlachetny, prawy. Walczył za uciskanych. Smoka srogiego pokonał, but na plugawym łbie bestyi postawił. Ale... – Po jej policzkach spływały łzy. – ...szczęścia nie zaznał. On nie zginął. Wróci, gdy będzie potrzebny. Gdy plugastwo głowę podniesie. I pognębi plugastwo.

Folville drgnął na dźwięk swego ulubionego słowa. Wulf usłyszał głębokie westchnienie Seana. Poszedł za jego wzrokiem, spojrzał w szeroko otwarte oczy dziewczyny. Puste i szkliste.

– Choć sam będzie, opuszczony przez wszystkich, zwycięstwo jego będzie. – Głos stał się głuchy, skandowana kadencja poczęła się rwać. – Sprawiedliwi pójdą za nim, gdzie nikt nie ośmieli się pójść. Dobiją plugastwo tam, gdzie będzie chciało się schronić. Krew swoją i cudzą rozleją.

Już prawie krzyczała.

– Ty, który w swej pysze sprawiedliwym się mienisz. Ty, który wyroki boskie usiłujesz odgadywać i wypełniać... Przed prawdziwym złem staniesz. I zwyciężysz, bo jesteś jeszcze gorszy. Bo nie ma w tobie litości, nawet dla takich, jak ty sam... A gdy już osiągniesz szczyt zła, może zbudzi się w tobie dobro. Ta resztko, która jeszcze została...

Wciągnęła powietrze z westchnieniem, które zabrzmiało jak skowyt. Folville pogładził jej policzek.

– Mów, dziewczę – szepnął. – Mów...

– Resztko... – westchnęła znowu dziewczyna. – Tylko resztko, gdzieś na dnie. Wspomnienie dni, kiedy potrafiłeś jeszcze kochać. Nie tylko zabijać.

Rycerz po raz pierwszy opuścił swój bezlitosny wzrok, zacisnął dłoń na rękojeści miecza. Dziewczyna podjęła, spoglądając teraz prosto w oczy syna Thormlunda:

– Twój ojciec będzie dumny. Spotkacie się, tam, w tej ostatniej walce. W walce, od której wszystko zależy. Do której staniecie, gdy... gdy...

Żrenice uciekły w głąb czaszki. Głos prawie zamilkł. Theowulf, syn Thormlunda, przypadł do dziewczyny.

– Gdy przyjdzie koniec... – dopowiedziała ledwie słyszalnym szeptem.
– Koniec... wszystkiego...

Dziewczyna zwiotczała. Gdyby Folville jej nie podtrzymał, osunęłaby się do wnętrza wozu.

Cisza. Głośne oddechy trzech mężczyzn. Jak zimno, pomyślał Wulf.

Ze stojącego niedaleko drugiego wozu dobiegł przepity głos.

– A ja słyszałem, że Match, zwany Wieprzem, okradł szkatułę szeryfa i zwiął za morze. Tak ludzie gadali, przebóg, prysnął ze swoim kamratem, oszustem i wydrwigroszem.

Sean zareagował pierwszy. Schylił się błyskawicznie, cisnął kamieniem w kierunku wystającej spod płachty rozczochranej głowy. Trafił, o czym świadczył trzask i głuchy jęk.

Ale mu to nie wystarczyło. Podbiegł do wozu, kopnął w deski.

– Ty sukinsynu! – wrzasnął głosem, w którym pobrzmiwały nuty hysterii. – Ty fiucie zapijaczony! Powiedz tak jeszcze raz, a jaja ci ukręcę! A i to tylko na początek!

– Sean! – krzyknął Wulf. Udało mu się zapanować nad głosem, komenda zabrzmiała jak zawsze. – Dostyc tego!

Żołnierz nie uspokoił się od razu.

– Spalić tę furę, razem z tymi sztokfiszami, co wiezie! Śmierdziel pierdolony!

Przechylił się przez burtę wozu, pogmerał chwilę, chwycił za włosy oszołomionego kupca. Sądząc z zapachu, istotnie handlującego suszoną rybą. Potrząsnął nim, jak szmacianą kukłą, walnął głową o deski.

– Sean, dość – powiedział de Folville ze znużeniem. – Przestraszysz dziewczynę.

Dziewczyna właśnie otwierała oczy. Niezbyt jeszcze przytomna wychyliła się z wozu, zarzuciła rycerzowi ręce na szyję. De Folville zgarbił się. Wulf przysięgłby, że w kącikach ołowianoszarych oczu coś błysnęło.

– Ty śmierdzielu! – Sean jeszcze nie rezygnował. – Śmierdzisz ty i

twój wóz, nie wiadomo, co bardziej. Od razu widać, że wozisz ryby, chyba dlatego, że masz dokładnie tyle samo rozumu. Po samym fetorze można poznać. Zawsze myślałem, że są tylko dwie rzeczy, które śmierdzą rybą, z których jedna to ryba. Teraz wiem, że jest i trzecia! Ty!

Podszedł bliżej.

– O, przepraszam, panienko – zreflektował się, widząc przytomne już oczy.

Kupiec gramolił się z wozu, rozgarniając szeleszczącą słomę.

– Wybaczcie, panie, wybaczcie... – jęczał. – Córka na głowę słabuje, czasami jej się tak robi. Gada, co ślina na język przyniesie. Wybaczcie, panie, raczcie wybaczyć. Już ja z niej to brzozową witką wybiję...

Rycerz delikatnie ułożył dziewczynę na słomie. Przykrył starannie własnym płaszczem, podanym przez giermka na skinienie.

– Wybaczcie... – ślinił się kupiec. Można było pomyśleć, że też słabuje na głowę.

– Zamknij się, człowieku – powiedział pan de Folville, nawet bez specjalnego nacisku. – Bo jak nie, to uczynię twą córkę sierotą.

Pogładził niezręcznie długie włosy dziewczyny.

– Chociaż to byłoby dla niej lepiej – mruknął już do siebie.

Wulf w myśli przyznał mu rację.

Ranek wstał mglisty i zimny. Skończyła się złota jesień. Wulf przeciągnął się po bezsennej, długiej nocy, aż kości zatrzeszczały.

Jego czterej zbrojni byli już gotowi. Kupcy najwyraźniej też. Reszta udającej eskortę zgrai przemykała się bokiem, schodząc z drogi i patrząc wilkiem. Widać było zawziętą walkę z objawami przepicia.

Rycerz siedział swym zwyczajem na burce, trzymając na kolanach pochwę z mieczem. Mogłoby się wydawać, że przesiedział tak bez ruchu całą noc. Za nim giermek trzymał oba osiodłane, gotowe do drogi konie.

Gdy Wulf zbliżył się do rycerza, de Folville wstał. Chwilę patrzyli na siebie.

– Ruszamy – powiedział Wulf bez wstępów. – Pojedziemy razem, przy nas nie skrzywdzą dziewczyny. Zresztą kilku już zwiąło.

Rycerz skinął głową. On sam jechał w przeciwną stronę.

– Do zobaczenia, Theowulfie, synu jarla Thormlunda.

– Do zobaczenia, Bertrandzie de Folville.

- II -

Omszałe belki częstokołu chyliły się na zewnątrz, w stronę fosy, suchej, zarośniętej krzakami i wysoką trawą. W częstokole ziały szczyby, tam, gdzie spróchniałe, omszałe bale odłamały się i upadły, by zgnić, porosnąć mchami i grzybem. Jeszcze kilka zim, kilka upalnych lat, a jedynie ulegający dalszej erozji ziemny wał świadczyć będzie o tym, że kiedyś była tutaj warownia.

Już tylko częstokół i zręby zabudowań pozostały z warownego gniazda. Budynki niegdyś strawił pożar, pozostały zaledwie rozsypujące się słupy kominów i ślady dolnych, nasiąkniętych zwykle wilgocią belek. Wieża, jakimś cudem ocalała z pożaru, runęła już dawno, owady i grzyb zniszczyły podpory. Jeszcze można było odróżnić miejsce, gdzie niegdyś stała brama, strzeżona przez zwaloną wieżę, lecz niedługo mech pochłonie potrzaskane belki i rdzawe żelazne klamry. Rozkład i zgnilizna. Zapach wilgotnej ściółki, próchna i grzybów. Wzmagał się drobny jesienny deszcz, taki, przed którym nie sposób się ochronić, który przenika człowieka do głębi.

Drzewa straciły już liście. Niedługo nagie, szarpane wiatrem, lśniące od wilgoci gałęzie posrebrzy szron. Śnieg przykryje ściółkę, znikną miękkie, zielone poduchy mchów. Ale jeszcze nie teraz. Pusty, zimny las. Nigdzie nie dało się spostrzec żadnego przejawu życia. Martwe, gnijące liście. I tylko wszechobecny mech o wszelkich odcieniach zieleni i brązu. Siwe porosty na pniach, zwalonych, i tych jeszcze rosnących.

Pod butem trzasnęła gałąź. Match spojrzął w dół. To nie gałąź, tylko zielona od mchu spróchniała kość, chyba udowa. Rozejrzał się. Opodal nad ziemią wyginały się równie pozieleniałe, spróchniałe żebra. Dalej rdzawa plama, w której rozpoznał kształt pancерnej rękawicy. Poprzez cienkie rdzawe płatki białe drobne kostki palców.

Match stracił już rachubę, który to szkielet. Szczątki były wszędzie, przemieszane ze sobą, rozwłócone przez drapieźniki. Po tej walce nikt

nie chował poległych, ani najeźdźcy, ani obrońcy. Pozostali tam, gdzie padli od razu, lub tam, gdzie jeszcze długo umierali. W miejscu, gdzie niegdyś była brama, Match znalazł wielką bryłę rdzawego żelaza, domyślił się, że to głowica taranu. Po drodze, którą podtoczono machiną, nie został już nawet ślad, wszędzie rosły młode drzewka.

To musiało się zdarzyć dawno, bardzo dawno. Warownia z pewnością nie stała w lesie, zawsze dla bezpieczeństwa wycinano drzewa co najmniej na dwa strzelenia z łuku od murów czy wałów. Tutaj też nieznanymi włodarze byli ostrożni, drzewa w sąsiedztwie zmurszałego częstokołu były wyraźnie młodsze. Co nie znaczy, że młode.

Match trącił butem rozłupaną prawie na dwoje czaszkę i wzdrygnął się. Nie, nie na widok szczyrby zięjącej w kości ciemieniowej, rozłupanej samym końcem miecza. To tylko w bucie znów zachlupotała przejmująco zimna woda. Match skrzywił się. Nasylenie tłuszczem skórzanej podeszwy już nic nie pomoże, zanadto popękała, na nowe buty nie ma co liczyć, przynajmniej w najbliższej przyszłości.

Wstrząsany dreszczami otulił się szczelniej płaszczem. Dziwne, przemknęło mu przez myśl mimochodem, zimno, jak to późną jesienią, a dni wciąż długie. Takie, jak może pod koniec sierpnia. A do tego bezlistne drzewa, niskie, nabrzmiałe deszczem ołowiane chmury, przejmujący wiatr. I deszcz, siąpiący nieustannie, od mglistego, śmierzdzącego pleśnią i zgnilizną poranka do zapyziałego wieczora. I dla odmiany przez całą noc.

Pora wracać, trzeba zdążyć przed zmierzchem, pomyślał zasepiony. Niczego tu się nie znajdzie. Tylko ruiny i porozrzucane kości.

Tak było wszędzie, w tym lesie zdającym się nie mieć końca, bez przecinek, traktów, ścieżek innych od tych, które niewątpliwie wydeptała zwierzyna. Ciekawe, jaka, pomyślał Match, który do tej pory nie spotkał nic większego od królika. Króliki na szczęście wyglądały tak samo, jak w świecie, który opuścili.

I po co mi to było, pomyślał, po cholere tu lażem? Przecież tu nie ma nic.

Mijał prawie miesiąc, odkąd przybyli do tego pustego, wymarłego świata. Świata, który stał się więzieniem, z którego nie było wyjścia, a przynajmniej nie było go tutaj. Może gdzieś jest, gdzieś daleko, ukryte w obcym, martwym lesie. Był tylko jeden problem. Czy starczy życia, aby je

znaleźć? Po miesiącu Match wcale nie był o tym przekonany.

Trzeba iść, pomyślał. Inaczej tu zamarznę. Ocieężale wstał i ruszył przed siebie. Szedł, odnajdując podświadomie właściwy szlak, po raz kolejny rozmyślając o minionych dniach.

Najpierw była feeria światła i barw, wrażenie spadania, gdy mknął przez wijący się tunel. W znajomym błysku brama wypłuła ich na drugą stronę. Pierwsze, co Match poczuł, to zimne krople spływające po twarzy. Padał deszcz. Z trudem zbierał myśli. Jak zwykle po przejściu przez chwilę nie bardzo wiedział, kim jest, ani co tu robi.

Wzrok ogniskował się opornie, jeszcze widział podwójnie – polaną, porośniętą mchem, nasiąkniętą wodą jak gąbka, bezlistne drzewa dokoła i dwa nieruchome ciała.

Usiadł z wysiłkiem. W skroniach łomotało, czerwone plamy w oczach migały w takt tętna. Potrząsnął głową. Jedno z ciał poruszyło się, lecz po chwili znieruchomiało. Match przemógł się wreszcie. Chwiejnie wstał, nie bacząc na ból w skroniach, i podszedł do leżącego na wznak człowieka.

W pochmurne niebo patrzyły szeroko otwarte, puste oczy. Nie udało ci się, Basile, pomyślał ze ściśniętym gardłem. Dopadło cię i zapłaciłeś. Odwrócił się od bezwładnie leżącej postaci, wiedząc, że jeszcze chwila, a zaczniesz kłąć, walić pięściami w ziemię w bezsilnej rozpacz. Właściwie, czemu nie, pomyślał mętnie. Zasłużył na to. Zasłużył na żal.

Jason leżał bez ruchu, z zamkniętymi oczami. Na rozpalonej od gorączki twarzy osiadały drobne kropelki deszczu. Match bał się spojrzeć. Bał się, że wszystko mogło okazać się niepotrzebne. Nie było. Cichy jęk zabrzmiał w uszach Matcha jak najpiękniejsza muzyka. Dotknął delikatnie szyi i poczuł słabe, przyspieszone tętno. Nie wiedział, czy to nie złuda, czy nie mylą go rozkojarzone zmysły. Co dalej, pomyślał bezradnie. Czy przypadkiem nie przywiodłem go tutaj tylko po to, by umarł? Sam, w obcym świecie? Stał pod ołowianym niebem, patrzył na niskie, pędzone wiatrem chmury, nie wiedząc, co robić dalej. Czy w ogóle jest jakieś "dalej".

Obca polana. Obcy las. Obcy świat.

Wtedy po raz pierwszy poczuł coś, czego w świecie, który opuścił, mógł się najwyżej domyślać. Moc. Pierwotną, wszechogarniającą moc, która wypełniała ten świat. Tam, skąd przybył, tylko w bardzo szczególnych miejscach można było wyczuć jej obecność – nie więcej niż wyczuć, tak była słaba i niepochwytna. Tu moc przenikała wszystko, mroczna i groźna, wszechobecna. Czuł, jak przepływa przez całe ciało, od wpartych w ziemię stóp aż do wzniesionych w niebo rąk i nieledwie widział tryskające z palców strumienie. Czuł, jak wypełnia go nieznana nigdy dotąd siła, której istnienie wszak przeczuwał, na przyjęcie której był gotów. Od urodzenia. I od pokoleń.

Znał jej potęgę, domyślał się niebezpieczeństw. Mogła budować i niszczyć, stwarzać i zabijać.

I leczyć.

Dosyć! Match opuścił ręce. Kręciło mu się w głowie, jak od mocnego wina. Czuł się lekki, a zarazem silny, jak nigdy dotąd.

Usłyszał stęknienie i cichy jęk. Drgnął, odwrócił się.

Basile siedział, wpatrując się w niego pustym wzrokiem. Zza pustki wyzierał zachwyty.

– Udało się, udało!

Mimo uporczywego, jak twierdził, trzaskania we łbie, Basile podskakiwał jak mały chłopak. Match uśmiechnął się mimo woli, aczkolwiek wcale nie było mu do śmiechu po tym, co zrozumiał. Nie można było jednak nie uśmiechnąć się na widok radości Basile'a.

Match pokręcił głową z zadumą. Basile zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co mu grozi. I świadomie podjął ryzyko. Po raz pierwszy popatrzył na Basile'a bez lekceważącego pobłażania. Szkoda, że trzeba ostudzić jego zapał, pomyślał.

Olbrzym przypadł do leżącego, nieprzytomnego Jasona.

– On wyzdrowieje, prawda? – spytał. Jak gdyby to, czy Match

potwierdzi, czy zaprzeczy miało jakiegokolwiek znaczenie. – Powiedz, wyzdrowieje? – naciskał Basile, nie doczekawszy się odpowiedzi.

– Tak sędzę – mruknął Match, przypatrując się ścianie lasu otaczającej polanę. Nie dostrzegł nic istotnego. – Tak sędzę – powtórzył. – Tyle w tym wszystkim dobrego.

Basile nie zareagował. Nie dotarło do niego złowieszcze znaczenie słów Matcha.

– To na co czekamy? – Poderwał się z kłęczek. – Bierzmy go, nieśmy. Nie może tak leżeć na deszczu, zimno przecież.

Match ani drgnął. Rozglądał się nachmurzony. Dalej nic nie widział.

– Panie, co z tobą? – Basile był oburzony. – Trzeba go stąd zabrać! I to prędko!

Match popatrzył na olbrzyma.

– Dobrze – odparł. – Tylko dokąd?

– No, wynieść z lasu, do ludzi... – zaczął niepewnie Basile. – Znaleźć kogoś, jakieś schronienie.

Urwał, spostrzegłszy, że Match nie zamierza się ruszyć. Nie rozumiał.

– Basile, tu nie ma ludzi – powiedział łagodnie Match. – Tu nie ma nic.

– Jak to nie ma? – Oczy Basile'a rozszerzyły się ze zdumienia. – Muszą być. Nawet na takim zadupiu są ludzie. Kłusownicy, smolarze, bartnicy. Inna hołota. Zawsze tak jest, wszędzie. Choćby tacy, jak ja, no, wiecie... zbóje.

– Nie tutaj, Basile – uciął Match. – Nie tutaj.

Olbrzym zeźlił się.

– Tym bardziej, nie ma co stać, jak chłopu na weselu! Szałas trzeba zbudować, ogień rozpalić. Nie może tak leżeć na deszczu, kiedy wy się zastanawiacie. Wiem, żeście mądrzy, ale teraz to wasze dumanie to na... – Basile urwał, widząc ściągniętą nagłym gniewem twarz Matcha. – Wybaczcie – wyjąkał. – Wybaczcie śmiałość. Wiem, głupi jestem, nie mnie wasze zamysły...

– Nie, Basile – przerwał szorstko Match. – Nie na ciebie się złościę. To ja jestem dureń. Masz rację, trzeba zbudować jakieś schronienie, zabrać go stąd.

Basile rozpromienił się, nie wiadomo, czy rad z pochwały, czy też zadowolony, że miał rację.

– To co? – stęknął, prostując się z Jasonem trzymanym ostrożnie w ramionach. – Postawimy szałas, rozpalimy ogień. Poczekamy, aż wydobrzeje. To chyba szybko będzie, czuję, że mu się poprawi.

Ruszył przed siebie. Nie było po nim znać, jaki ciężar niesie.

– Musi się poprawić – pogadywał. – Czuję, że tu się uleczy.

Stęknął znowu, poprawił delikatnie niesiony ciężar.

– Co czujesz? – spytał ze zdziwieniem Match.

– A, nie wiem... – Na twarzy Basile'a odbiła się ciężka praca umysłowa. – Nie wiem, jak to powiedzieć. Ale czuję!

Błysnął zębami w uśmiechu, ruszył szybciej.

To niemożliwe, pomyślał Match, nie może czuć mocy. Nie on.

– Basile, czy ty wiesz, dokąd iść? – spytał tylko.

Olbrzym nie przystanął.

– Przecież mówiliście, że ludzi tu nie ma – odparł. – To i wszystko jedno. Mówię, szałas postawimy, poczekamy, aż wydobrzeje. A potem wrócimy, nic tu po nas.

Ma rację, przemknęło Matchowi przez głowę. Nic tu po nas. Tyle że... Tak, trzeba mu powiedzieć. Pewnie i tak nie zrozumie, ale zasłużył, żeby wiedzieć.

– Słuchaj, jest problem – zaczął Match.

Basile spojrzał pytająco.

– Nie mamy jak wrócić. Tu nie ma bramy. Obawiam się... – Słowa zawisły pomiędzy nimi. – Obawiam się, że zostaniemy tu na zawsze – dokończył.

Basile, niosąc Jasona, nie mógł wzruszyć ramionami. Zamiast tego odpowiedział beztrąsko:

– E, tam. Jeszcze nigdy nie było tak źle, żeby nie mogło być gorzej.

Gdy niedaleko od polany znaleźli chatę, nie doceniali jeszcze swego szczęścia. Byli zadowoleni, że nie trzeba mieczem ścinać drzewek na szałas, bo toporek, który Match woził zawsze ze sobą, został przytroczony do juków. Owszem, chałupa posiadała rozliczne wady. Z okien dawno zniknęły chroniące przed wiatrem i zimnem błony, a dach przeciekał miejscami, lecz i tak osłaniał lepiej od szałasów z gałęzi. Najmniejszy problem stanowił były właściciel, który uśmiechał się tylko łagodnie rzędem zębów wyszczerzonych pod pustymi oczodołami. Ostatecznie leżał na własnej pryczy.

Izba miała duże, murowane z wapienia palenisko. Gdy Basile złożył Jasona na drugim, wymoszczonym zetlałą słomą i zbutwiałymi skórąmi posłaniu, Match zabrał się do rozniecania ognia. Gdy zaczął wiercić patyczkiem w wydłubanym w podkładce wgłębieniu, ze złością wspominał swe krzesiwo, spoczywające spokojnie w sakwie przy siodle. Tam, po tamtej stronie.

Wkrótce czuł miłe ciepło, choć nie dlatego bynajmniej, że udało mu się rozpalić ogień. Z wysiłku pot wystąpił mu na czoło, lecz na szczapie nie pokazała się najmniejsza iskierka. Zaklął szpetnie. Przydałby się łuk, można by owinąć patyk cięciwą, pomyślał, ale łuk też został. Basile, przyglądający się tej scenie, trącił go nieśmiało w ramię i wyjął mu z ręki patyczek, który prawie zniknął w jego wielkich łapskach. Zakręcił, aż zadymiło. Tak, do tego nie trzeba rozumu, pomyślał Match niechętnie. Wystarczy siła.

Wyszedł przed chatę. Deszcz ciągle padał, a on nie wiedział wtedy jeszcze, że pada zawsze. Zastanawiał się, czy sama moc wystarczy, aby pomóc Jasonowi, czy wsparty nią organizm poradzi sobie ze straszną raną. Choć całe jego doświadczenie podszeptywało, że to bzdura, że nikt z rozdartym grotem żołądkiem, a może i wątrobą, nie ujdzie śmierci, coś mówiło mu, że będzie dobrze. Przynajmniej z tym będzie dobrze. Bo wszystko inne...

Dopiero skrzypnięcie ciężkich, koślawych drzwi wyrwało go z zamyślenia. W drzwiach stał Basile, uśmiechając się radośnie.

– Wymiotłem! – oznajmił dumnie.

– Co wymiotłeś? – zdziwił się Match. Nie posądzał Basile'a o nadmierne zamiłowanie do porządku.

– Gospodarza – wyjaśnił Basile. – Przez okno, tam, z tyłu. Nie będzie miał chyba za złe? – zaniepokoił się.

– Nie będzie – uspokoił go Match. Poczul zapach dymu. Ten zapach uświadomił mu, że jest głodny.

Cholera, zaklął w myśli, trzeba będzie coś upolować. Tylko czym, dwuręcznym mieczem?

Popatrzył na straszliwy oręż Basile'a, oparty o ścianę z bali. Olbrzym przytargał ten miecz przez bramę i dalej, aż do chaty. Może zresztą nie zauważył, że coś niesie. On także, jedyny ze wszystkich, miał skózaną, podróżną sakwę. Trzeba sprawdzić, postanowił Match, może ostało się w niej coś do żarcia.

Istotnie, znalazł nadgryzioną gomółkę sera, czerstwy półbochenek i zalatujący już nieco, ale jeszcze całkiem dobry połec wędzonki; gdy opiekli ją nad ogniem, nawet dawała się przełknąć.

Pogryzając śmierdzący boczek i przekąszając twardym serem, Match po raz kolejny przeglądał leżący przed nim na stole z nieheblowanych desek dobytek. Dwa noże. Dwa miecze (dwuręczny i zwykły). Kawałek rzemyka. Cztery hufnale. Bukłaczek (pusty). Szydło (złamane). Bryłka pszczelego wosku. Kości do gry (komplet). W kieszeni Jasona znalazł jeszcze złotą monetę. Wpatrując się w widniejący na awersie profil nieznanego bliżej, aczkolwiek niewątpliwie cierpiącego na przerost wola, władcy, Match zastanawiał się, na co by ją zamienił. Na przykład na kłębek sznurka. Sznurek byłby bardziej przydatny. Można z niego zrobić wnyki. Albo cięciwę do łuku.

W ostateczności można się na nim powiesić.

Poczul dym, zanim jeszcze zobaczył w zapadającym mroku zarysy chaty. Basile wyszedł naprzeciw, jego zarośnięta gęba rozjaśniła się. Czego się tak cieszy, pomyślał Match.

Skinął tylko głową.

– I co? – Basile nie wytrzymał.

– Można to określić jednym słowem... – Match nie sprawiał wrażenia

skorego do dalszych wyjaśnień, nazbyt był zziębnięty i zmęczony. A także zły.

Z twarzy olbrzyma zniknął uśmiech. Wiedział, jakim słowem można określić rezultat wyprawy Matcha. Zbyt często je słyszał, przy poprzednich powrotach.

Jason spał, jak zwykle ostatnio, odkąd minęła gorączka. Spał, budząc się tylko na posiłki. Już przyjmował jedzenie. Mógł jeść od tygodnia po trafieniu w brzuch. Było to niebywałe. Człowiek tak ugodzony na ogół do końca życia obywatł się bez strawy. Zresztą te dwa, góra trzy dni, każdy by na głodnego wytrzymał.

Match też poczuł głód. Sięgnął do nadzianej na rożen pieczeni, gotowej już, trzymanej jednak w ciepłe blisko paleniska. Skrzywił się, gdy odgryzł kęs. Pieczony króliczek, chlebek nasz powszedni, pomyślał, żując suche jak wiór mięso.

Trudno polować mieczem, nożem czy kawałkiem rzemyka, nie mówiąc już o złamanym szydle. W końcu, gdy zabrakło nadpsutej wędzonki, Basile zaczął pleść wnyki z gałązek.

Match po dłuższym namyśle postanowił zrobić procę, ale, jak się okazało, z tym też były trudności. Po pierwsze, gdy chciał spożytkować sakwę Basile'a, ten zaprotestował. Z początku nieśmiało, na koniec niemalże z płaczem. Match długo nie mógł zmiarkować z jego pochlipywań, o co chodzi. Po wielu pytaniach i naleganiach dowiedział się wreszcie, że sakwę Basile wyfasował razem z innym wyposażeniem, gdy przyjęto go do straży. Była u niego na stanie i nie chciał nawet myśleć o jej zniszczeniu. Opowiadał o straszliwych konsekwencjach, jakie spadają na wojaka, który straci przydziałowy sprzęt, o niechybnym gniewie bezpośrednich przełożonych i samego szeryfa, bowiem z jego szkatuły finansowane jest wyposażenie. Match z początku kiwał głową i starał się uspokoić chlipiącego, nieszczęsnego wojaka, ale w końcu, zniecierpliwiony, zbluzgał go od ostatnich. Powiedział dokładnie, gdzie w obecnej sytuacji ma całą straż i samego szeryfa, radząc, by Basile przyjął również ten punkt widzenia. Sukces odniósł połowiczny, olbrzym uspokoił się wprawdzie, ale z przerażeniem przyglądał się, jak Match wykrawa owalny kawałek skóry i szpicem noża robi otworki do przywiązania rzemyków. Zapewne zastanawiał się ponuro, ile kosztuje taka sakwa i ile lat będzie ją musiał spłacać.

Proca była sprzętem trudnym w obsłudze. Gdy kolejny spudłowany królik stawał słupka, po czym odkicywał ostentacyjnie, błyskając białym zadkiem, Match zastanawiał się, jak radził sobie Dawid. Chyba było mu łatwiej, Goliat był większy i nie kicał tak szybko ani nie uciekał do nory. Wreszcie ćwiczenia dały rezultat, a i we wnyki zastawiane przez Basile'a wpadało coś niecoś. Mogli najeść się do syta. Królik pieczony, królik gotowany, królik na surowo. Wedle gustu.

Jednak obfitość wybornych królików nie rozwiązywała sprawy. Match wiedział, że człowiek odżywiający się tylko króliczym mięsem, praktycznie pozbawionym tłuszczu, rychło umrze z głodu. Ale w lesie nie spotkali nic innego, żadnej zwierzyny płowej, żadnych dzików. Zresztą, jak ubić dzika z procy? Puste żarty.

Nie mieli tłuszczu. Nie mieli mąki, nawet jarzyn. Match nie sądził, że zdołają przetrzymać zimę, która w końcu musiała nadejść. Dziwny, obcy świat. Dziwny i wrogli.

Jedyne, co podtrzymało go na duchu, to stan Jasona, a raczej jego stała poprawa. Silny organizm, wspomagany wszechobecną mocą, radził sobie z ranami, które w każdych innych okolicznościach okazałyby się śmiertelne. Match i Basile niewiele mogli pomóc, więc jedynie zmieniali opatrunki, poświęcając na ten cel własne koszule. Match błogosławił fakt, że myszkujący w krzakach Basile znalazł miedziany saganek, pozieleniały i pogieły, jednak jeszcze całkiem dobry. Mogli zagotować wodę na napar z wierzbowej kory. Wprawdzie gorączka Jasona szybko spadła, ale Match uznał, że napar nie zaszkodzi. Nie mieli zresztą wielkiego wyboru, oprócz tego mogli jedynie przygotować rosół. Z królika.

Przez pierwszy tydzień nie było problemu, Jason leżał nieruchomo. Tylko oddech świadczył o tym, że jeszcze żyje. I czyste, niezaognione brzegi ran, które w niebywale krótkim czasie wypełniały się świeżą blizną, ale nawet teraz, gdy wyglądał już o niebo lepiej, Jason tylko na krótko otwierał oczy, wypijał swą porcję i zasypiał znów. Nic nie mówił, o nic nie pytał. Matchowi brakowało jego obecności, brakowało rozmów, trzeźwej oceny, może nawet kpin. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo się do niego przyzwyczaił. I jak bardzo potrzebował oparcia, które Jason mu dawał. Nawet nie wizji, nie nadnaturalnych zdolności. Zwykłej, ludzkiej przyjaźni.

Pocieszał się, że to już nie potrwa długo. Jason też nie był zwykłym człowiekiem. Rozumiał moc. Umiał z niej skorzystać. Nawet nieświadomie.

Z braku innych możliwości, by wypełnić czymś czas, zagłuszyć własne myśli i niepokoje, opowiedział wszystko Basile'owi. Zżymał się trochę, wątpiąc w sens dzielenia się tymi przeżyciami właśnie z nim. Ale opowiadał. Sprawiało mu to ulgę.

Mylił się co do Basile'a. Olbrzym rozumiał więcej niż kiedykolwiek. Nie ośmielał się wprawdzie pytać ani komentować, ale jego również odmienił ten świat. Też czerpał wszechobecną moc, nie wiedząc, że od tej chwili wszystko stanie się trudniejsze.

Match mylił się także, sądząc, że będzie musiał to wszystko jeszcze raz opowiedzieć Jasonowi. Jason słuchał. Leżąc z zamkniętymi oczami, łowił każde słowo. I widział. Wszystko to, co się stało.

- III -

Za okienkiem, przesłoniętym od wiatru jakąś nie całkiem zetłą szmatą, wstawał poranek, równie mętny, mglisty i wilgotny jak wszystkie dotąd. Match przetarł zaspane oczy. Odrzucił płaszcz, poczłapał do drzwi.

Uchylił je i mrużąc oczy przed światłem, wyjrzał na dwór. Padał deszcz. Zimny powiew przyniósł ciężki zapach pleśni, grzybów i spróchniałej, wilgotnej ściółki. Basile załomotał sagankiem nad wygasłym paleniskiem. Match skarcił go wzrokiem, wskazując na śpiącego wciąż Jasona. Olbrzym spłoszył się, stał się nagle bardzo ostrożny, czego jedynym rezultatem było to, że wylał polewkę na palenisko. Zasyczały żarzące się jeszcze pod warstwą popiołu węgle.

Widząc minę winowajcy, Match zmełł tylko w ustach przekleństwo. Niepotrzebnie się unosił, w puszczy królików było naprawdę dużo.

Basile w poczuciu winy wymknął się z izby sprawdzić zastawione wczoraj wnyki. I dobrze, pomyślał Match, może coś złapie, to rosół będzie świeży. Ten od wczoraj pewnie skwaśniał. Kwaśniał szybko, z braku soli.

Olbrzym wrócił migiem. Nabrał już wprawy w zastawianiu sideł, nieomylnie wyczuwał, którędy biegną najbardziej uczęszczane królicze ścieżki. Dziś dwa zwierzaki miały pecha. Match przyglądał się obojętnie, jak Basile wprawnie oskórowuje i dzieli zdobycz. Podniósł się wreszcie z pryczy i ponownie rozpałił zalany kwaśnym rosołem ogień. Nie minęło wiele czasu, a pogięty saganek zaperkotał, po izbie rozszedł się zapach gotowanego mięsa. Basile pociągnął nosem.

- Przydałby się pieprz - powiedział tęsknie.

- Tak, pieprz, sól, jarzyny - odparł ze złością Match. - Cebula, może marchewka. I imbir...

- Tak, żebyśmy tak mieli cebulkę - rozmarzył się Basile. Oczy zaszczyły

mu mgłą rozrzewnienia.

– Ale nie mamy – uciął Match nielitościwie. – I nie będziemy mieli. Zamiast tego możesz wrzucić na przykład szyszkę.

– I co, będzie dobre? – Basile ożywił się.

– Nie wiem, nie próbowałem. Ale jak chcesz, możesz wrzucić. – I tak nie zaszkodzi, dodał w myślach.

Olbrzym nabzdyczył się. Coś ostatnio częściej się obraża, zauważył Match, już nie spływa po nim wszystko, jak woda po gęsi. Wyrabia się chłopak, wie, kiedy z niego kpią.

– Basile – zaczął po chwili pojednawczo. – Dzisiaj nie idę, nie mogę. Obtarłem nogę, but mi się rozwała. Daleko bym nie zaszedł. Jeden dzień, co to zmienia? Ale wiesz, jak się zagoi, to pójdę dalej, zanocuję w lesie. Może dalej coś jest... – Nie miał na to wielkiej nadziei, ale coś trzeba robić.

Basile ożywił się. Zapomniał o urazie, nadal szybko zapominał.

– No, powiedz, nie wstydz się – zachęcił go Match.

Chłopak poczerwieniał.

– Skąd wiecie? – spytał.

Cały Basile. Match zniecierpliwiał się.

– Skąd wiem, to wiem, co ci do tego? Mów, co tam wymyśliłeś.

Basile wahał się jeszcze chwilę, lecz przynaglony zmarszczeniem brwi zebrał się na odwagę.

– Może ja pójdę! – wypalił.

Match chciał zrazu zrugać chłopaka, powstrzymał się w ostatniej chwili. Ostatecznie, czemu nie? – pomyślał, nic złego nie powinno go spotkać. Basile wystarczająco dobrze orientuje się w lesie, by nie zabłądzić, przecież w puszczy się wychował. Dotąd nie napotkali żadnych niebezpieczeństw, a ze wszystkim mniejszym od smoka Basile sobie poradzi. Zresztą, nie było tu smoków, a uporczywie krążące wśród ludu opowieści o strasliwym, krwiożerczym króliku, który mieszkał w jaskini, otoczonej obgryzionymi przez niego kośćmi, Match wkładał między bajki. Mimo że jak wieść przez pokolenia niosła, pokonał potwora sam król Artur z wierną drużyną. Czego to ludzie nie wymyślą, wspomniał Match z rozbawieniem. Tak, smok, wyvern, gryf, może

wilkołak – ale królik?

– Dobrze, Basile, ruszaj – przyzwolił Match.

Olbrzym błysnął zębami. Poderwał się.

– Czekaj – ostudził go Match. – Pamiętaj, nie idź za daleko, tak, żebyś wrócił przed nocą. A jeżeli zobaczysz coś podejrzanego, wracaj natychmiast. Nic nie kombinuj, tylko wracaj...

Basile z zapałem przytakiwał, ale Match miał przykre wrażenie, że gdy tylko ruszy w drogę, wszystkie polecenia natychmiast wywietrzeją mu z głowy. A co tam, niech idzie, pomyślał. I tak gównie znajdzie.

Match wyciągnął się na pryczy, przymknął oczy. Rad był z samotności.

Basile czasami działał mu na nerwy, zwłaszcza w taki dzień jak dzisiaj, gdy siedział w izbie zmuszony do bezczynności. Nie cierpiał podobnych sytuacji, stawał się drażliwy. Nie lubił czekać. Zawsze chciał działać, wychodzić na spotkanie...

...Przeznaczenia?

Tam, przed bramą, zdawało mu się, że doszedł do końca, że wszystko, co w życiu ważne, już się wydarzyło. Wszystkie te lata, które doprowadziły go z powrotem do mglistej kotliny. Gdy wracał na polanę, nie spodziewając się zastać Jasona przy życiu, w głowie miał zupełną pustkę. Skończyło się. Wszystko się kończy. Ale już nic się nie zacznie. Nie zastanawiał się wtedy nad przyszłością. Nie było przyszłości.

Nie było też przeznaczenia, to tylko kpina z ludzkich lęków i pragnień, rozpaczliwa próba zrozumienia porządku świata, nadania mu sensu. Był jedynie przypadek. Ślepy los, co niekiedy nagradza, ale znacznie częściej kopie w tyłek.

Match przymknął oczy. Na pierwszy odgłos dudniących kroków zerwał się na równe nogi, chwycił pochwę z mieczem, wyskoczył na dwór, nie zawracając sobie głowy wkładaniem butów. Spojrzał i zaklął. Zamiast nieznanego, groźnego potwora zobaczył zaczerwienioną od wysiłku, spoconą gębę Basile'a. Chłopak zatrzymał się przed nim, ciężko dysząc. Niech to diabli, może coś znalazł, pomyślał Match. Kazałem przecież wracać, gdyby natknął się na coś.

Basile próbował coś powiedzieć, ale wciąż nie mógł złapać tchu.

Przebiegł spory kawałek, uświadomił sobie Match. Długo go nie było.

– Zna... – zająknął się Basile. Złapał oddech. – Znalazłem! – Tam, za wąwozem. – Pokazał za siebie.

– Co znalazłeś, do cholery? – spytał w końcu Match, gdy przez dłuższą chwilę nie słyszał nic prócz chrapliwego oddechu.

– Gówno – powiedział Basile, gdy tylko chwycił dość powietrza, i popatrzył dumnie.

Za dużo sobie pozwala, przemknęło Matchowi przez głowę. Zgoda, sam to przecież mówiłem, za każdym razem, jak wracałem. Eh, Match, nie bądź takim ponurakiem. Chłopak się stara... A że przeleciałem się na bosaka po zimnym, mokrym mchu? Trudno, dowcip nie musi być dobry, byleby zaskakiwał. Uśmiechnął się wymuszenie.

– Musisz je zobaczyć. – Basile nie wyglądał na zadowolonego z udanego kawału. – Musisz je koniecznie zobaczyć.

To już przesada, pomyślał Match, chłopak nie ma umiaru. Nie wie, kiedy przestać.

– Posłuchaj, ja już widziałem w życiu gówno – powiedział oschle. – Pożartowałeś, i wystarczy. Trzeba znać...

– Ale...

Match odwrócił się bez słowa. Za dużo sobie pozwala.

– Match!

Zatrzymał się jak wryty. Basile nigdy dotąd nie odezwał się do niego po imieniu, choć Match wielokrotnie tłumaczył, że słowo "panie", które ten wtrąca raz za razem, działa mu na nerwy. Bez rezultatu, chłopak nie potrafił się ośmielić.

– W porządku, już wiem – uspokoił olbrzyma, który spoglądał z obawą, pomieszaną z natarczywością. – Nie żartujesz. Poczekaj, włożę buty...

Zawahał się. Jeśli pójdą razem, Jason zostanie sam.

– To niedaleko. – Basile zgadł jego obawy. – Szybko wrócimy.

Jason otworzył oczy. Uniósł głowę, a raczej chciał unieść. Udało się może na cal, zaraz potem opadła bezwładnie.

Nie był zaskoczony. Doświadczał dziwnego wrażenia, nie po raz pierwszy, wprost czując, jak zmaltretowany organizm regeneruje się. Z początku sprawiało to ból. Niemal widział, jak blizny ściągają skórę, jak obecna wszędzie energia wnika w zniszczone tkanki. Bolało, jeszcze jak bolało. Ale teraz już nie czuł bólu, tylko odrętwienie, niemoc, powodującą, że nie mógł ani unieść głowy, ani ruszyć palcem. Mógł jedynie mrugać. I rozglądać się.

Zaraz spostrzegą, że się obudził, zwilżą wargi. Zawsze szybko dostrzegają. Nie trzeba nawet wołać, zresztą nie da rady. Struny głosowe też nie są posłuszne.

Jednak nikt nie podchodził, nie uniósł głowy, nie przysunął naczyń do wyschniętych warg. Jason rozejrzał się, jak dalece było to możliwe bez poruszania głową. Wyteżył słuch, lecz dobiegło go tylko ciche potrząskanie żarzących się węgli i lekkie bulgotanie kociołka. Poszli sobie, pomyślał. Obaj. Poszli, a jego zostawili.

Jason z wysiłkiem popatrzył w bok. Na zydłu, jedynym nie całkiem spróchniałym, stał drewniany kubek, wydłubany pracowicie przez Basile'a z bukowego pieńka i zaimpregnowany rozgrzanym woskiem. Naczynie miało nawet sęczek, służący za ucho. I stało o kilka cali od bezwładnej, leżącej na posłaniu ręki, ale równie dobrze mogło stać o milę.

Jason zezował w jego stronę, czując, jak język przysycha mu do podniebienia. Wiedział, że w kubku jest chłodna woda, wyobraził sobie jej smak na języku. Tylko sięgnąć ręką...

Kubek drgnął. Ledwo dostrzegalnie.

Jason nie spostrzegł tego, właśnie mrugał. Rozstrojony osłabieniem i chwilowym paraliżem, zaczynał się nad sobą litować. Poszli, skurwysyny, i zostawili chorego człowieka. Wodę też zostawili, jak na złość.

Stukot o deski zydla sprawił, że otworzył oczy. Kubek balansował na samej krawędzi.

Tylko sięgnąć...

Naczynie przechyliło się, upadło na polepę.

Jason znów zamknął oczy. Nie napije się. Nie tym razem.

Na szczęście zaczynał odpływać w sen. Ze świadomością, że poznał coś nowego.

Match wprawdzie widział w życiu wiele górien, ale takiego jeszcze nie. Sterta odchodów była tak wielka, że mogliby się w niej zapaść po kolana – naturalnie, gdyby ktoś miał ochotę. On nie miał. Przykucnął na skraju sterty, przypominającej wielki krowi placek, i przełamując obrzydzenie, szturchnął patykiem. Tak, krowi placek. Tylko jaka to musiała być krowa?

Według słów Basile'a, odchody parowały jeszcze, gdy się na nie natknął. Jednak cokolwiek je zostawiło, musiało się oddalić.

Nie widział żadnych śladów w grubym dywanie liści. Owszem, były miejscami zryte, głęboko, głębiej, niż robią to buchtujące dziki. Nie widział jednak żadnych odcisków racic, kopyt, czy czego tam jeszcze.

– Basile – szepnął. – Wracamy. Tylko cicho...

Olbrzym kiwnął głową. Rozglądał się niepewnie, ale niczego nie wypatrzył pomiędzy mokrymi od deszczu pniami.

– Nic się nie bój – dodał Match. – Cokolwiek by to było, jest roślinożerne. Może i duże, ale roślinożerne. Nie powinno nas zaatakować.

Nie całkiem przekonany Basile przytaknął, wciąż strzelając oczami dokoła. Pamiętał, jak kiedyś uciekał przed buhajem, też niewątpliwie roślinożernym. Ledwie mu się udało.

Match wyczuł jego wątpliwości.

– Uwierz mi – powiedział uspokajającym tonem. – To jest roślinożerne. I da się zabić.

Basile uniósł wargi w uśmiechu.

– Da się zabić – szepnął. – I zjeść.

Match i Basile wykonali kawał solidnej, nikomu niepotrzebnej roboty. Już samo wyszukanie prostych jesionowych prętów zajęło sporo czasu, a trzeba było jeszcze je okorować, wyprostować nad ogniem, zaostrzyć, na końcu zaś utwardzić ostrza w płomieniach. Match wolałby co prawda osadzić na oszczepach metalowe groty, było to jednak tylko pobożne życzenie. Przeszukanie chaty i podwórza nie przyniosło żadnych rezultatów. Wynikiem całodzienniej, ciężkiej pracy były cztery całkiem przyzwoite oszczepy. Każdy myśliwy w zamierzonych czasach byłby nimi zachwycony.

Match był zachwycony nieco mniej. Owszem, polował chętnie na dziki z rohatyną, rodzajem oszczepu z umieszczoną na drzewcu poprzeczką. Ale rohatyna, której używał, była zaawansowanym, wykonanym przez fachowca narzędziem, nie zaś patykiem osmalonym nad ogniskiem, jak myślał pogardliwie, patrząc na wynik całodziennych trudów.

Bite dwa dni spędzili na uganianiu się po chaszczach. Owszem, znaleźli jeszcze jedną kupę nawozu i połamane drzewka, znaczące ślady przejścia olbrzymiego zwierza. Ale nic ponadto.

Obaj byli zawiedzeni i wściekli. Dopiero znacznie później mieli się dowiedzieć, że raczej mogli mówić o szczęściu.

Jason dochodził do siebie. Coraz częściej leżał z otwartymi oczyma, zajęty własnymi myślami. Owszem, odzywał się niekiedy, ale zbywał półsłówkami pytania o samopoczucie. Czasem tylko prosił o podanie wody lub jedzenia.

Match rozumiał, że nie jest mu łatwo. Po raz drugi w krótkim czasie otarł się o śmierć. Co tam, otarł, pomyślał Match, tym razem wyrwał się grabarzowi spod łopaty, bo przecież nie miał prawa przeżyć. Ale przeżył. Wbrew wszelkim przewidywaniom czy prawom natury.

Rany zagoiły się w tajemniczy, niezwykły sposób, bez zakażenia i gorączki, zupełnie jakby chodziło o rozcięcie skóry, może złamanie kości,

a nie postrzał w brzuch z dziesięciu kroków. Był słaby i wycieńczony, skóra twarzy napięta się na kościach policzkowych, rysy wyostrzyły. Można było bez problemów policzyć zębra, nawet zobaczyć miejsca, gdzie zrosły się po uprzednich złamaniach. Organizm usiłował dać sobie radę ze śmiertelnym okaleczeniem, dobyć wszystkich swych sił, uruchomić wszelkie rezerwy. Moc przepajająca ten świat tylko pomagała, ale głównego wysiłku musiał dokonać on sam.

Teraz jednak nie tylko fizyczne rezerwy były na wyczerpaniu, psychiczne również. Jason wprawdzie mógł już zdobyć się na nieco dłuższe okresy czuwania, ale męczył się tym bardzo szybko. Nie czuł się na siłach, by rozmawiać. Mógł jedynie słuchać i rozmyślać niespiesznie o wszystkim, co się stało.

W mroku izby, rozświetlanej tylko blaskiem paleniska Match widział otwarte oczy Jasona, nieruchome, z rzadka tylko mrugające oczy, wpatrzone w nisko zwieszającą się nad nimi powałę. I z wolna ogarniało go zwątpienie.

Cóż z tego, że przeżył? – myślał. Teraz powinien dobrze się odżywiać, nabierać sił, inaczej zabije go osłabienie. Zabije wszystkich.

Popatrzył na Basile'a. Jego dawniej szeroka, rumiana gęba była teraz wychudzona, pod oczyma widniały głębokie cienie. Match podejrzewał, że sam nie wygląda lepiej. A będzie jeszcze gorzej. Zaczną ruszać się zęby, krwawić dziąsła.

Nie bał się śmierci, nawet wyjątkowo paskudnej głodowej śmierci w obcym lesie. Był już gotów na śmierć, był zresztą gotów przez dużą część życia. Jason też nie miał wyboru. Gdyby nie znalazł się tutaj, już by nie żył. Ale Basile...

Basile nie musiał. On przyszedł tu sam, by nie opuścić w potrzebie kogoś, kto potraktował go jak człowieka. Po raz nie wiadomo który, patrząc na olbrzyma, wysysającego ponuro królicze kości, Match czynił sobie wyrzuty, że nie zatrzymał go wtedy, przed kotliną, że nie przegnał jak psa.

Noce były jeszcze gorsze niż długie, deszczowe dni. Wiatr zawodził w bezlistnych gałęziach, szarpał zawieszonymi w okienkach szmatami, wduszał do izby kłęby dymu z paleniska. O gonty nieprzerwanie bębnił deszcz, głośniejszy niż za dnia i bardziej przejmujący.

Choć dni wypełniały im bezowocne poszukiwania zwierzyny i polowania na coraz sprytniejsze króliki, Match sypiał źle. Kładł się na wilgotny, cuchnący pleśnią barłóg, ale mimo zmęczenia, które przenikało go do szpiku kości, przez długie godziny kulił się tylko pod płaszczem i wsłuchiwał w deszcz, bębniący po gontach.

Basile pochrapywał niezależnie od pozycji, w jakiej spał, choć najgłośniej, gdy leżał na wznak. Jason oddychał lżej, spokojniej. Tylko od czasu do czasu mruczał coś niezrozumiale i cicho.

Zazwyczaj cicho. Tej nocy, gdy Match po długim czasie zaczynał wreszcie zapadać w upragniony sen, Jason krzyknął coś donośniej. Jakby się zakrztusił albo nagle zabrakło mu powietrza. Match, rozbudzony natychmiast, leżał przez chwilę, nasłuchując. Zatrzeszczały deski pryczy, a zaraz potem usłyszał głośny jęk.

Zerwał się z pośłania. Zaklął z bólu, gdy bosą nogą w ciemności kopnął przewrócony zydeł. Rzucił się do paleniska, przez mo ment szukał smolnej szczapy. Wetknął ją w węgle i po chwili zajęła się z trzaskiem, pryskając płonącymi kropelkami żywicy.

Z kopącym łuczywem doskoczył do pośłania Jasona. W migotliwym świetle dostrzegł wyprężone, wygięte w łuk ciało, zaciśnięte powieki, pod którymi gałki oczne poruszały się w niesamowitym rytmie. Jason wyrzucił z siebie kilka niezrozumiałych, stłumionych słów.

Trzymając łuczywo w górze, z dala od twarzy Jasona, pochylił się i wolną ręką dotknął czoła. Chłodne.

Jakby pod wpływem tego dotknięcia, ciało Jasona rozluźniło się. Powoli rozprostowały się palce. Wargi poruszyły się, lecz oczy wciąż drgały, przesłonięte powiekami. Match pochylił się, zbliżył ucho do ust.

– Bruk... – usłyszał cichy, lecz wyraźny szept. – Bruk... i krew...

Match nieświadomie zacisnął pięści. Światło łuczywa zadrgało. Jason znów westchnął przeciągle.

– Nie zdążysz...

Gałki oczne pod zamkniętymi powiekami znieruchomiały.

Match zgasił łuczywo w kałuży, zbierającej się wciąż w rogu izby, tam, gdzie dach był najbardziej nieuszczelny, a potem usiadł u wezgowia przykrytego zbutwiałymi skórami barłogu. Długo trzymał rękę przyjaciela, słuchając spokojnego już oddechu. W końcu sen nadszedł, niepostrzeżenie, gdy świt przechodził już w dzień. Kiedy Match spał, niespokojnym, męczącym snem, stukot kropel o gonty dachu ustawał. Coraz ciszej szumiał wiatr w nagich gałęziach, coraz rzadziej zimne podmuchy wpadały do izby. Zamierał świst w szczelinach bali, z których już dawno wykruszył się uszczelniający je mech. Wreszcie ucichł słyszany wciąż od wielu dni szmer kropel.

Deszcz przestał padać.

- IV -

Z czeluści, mocą Zła rozbudzonych Plugastwo wypełzać poczęło, na zgubę Ludu Bożego; singulare Gryf Zwierz, a iest on o czterech nogach, skrzydlaty, alias od głowy Kota alibo Kocura imituie, od spodu Lwa. In Sherewod znayduią się takiey wielkości y siły, że Konia do gniazda swego zanieść mogą, owszem samego tak dużego podniesą na powietrze; Zwierza onego ieno Rycerz prawy maiori periculo pokonać może.

Przeto wiadomym iest, że Wieprz krwawy a ohidny Dyabłu Duszę zaprzedał, skoro żeleźcem ieno takowego ubił, ale i nie wiadomo, ile przechwałek czczych a bezbożnych w tym było. Powiadaią też, iż na usługi swe Gryfy Zwierze miał, i w komitywę z niemi wchodził, ale też to niechybny, iako iż Wieprz człkiem był zwykłym, choć plugawem.

Żywot Bł. Piotra z Blyton, Biskupa Lincoln

Match zbudził się nagle, ze świadomością, iż we śnie ujrzał coś niezwykle istotnego. Zerwał się gwałtownie, usiadł z szeroko otwartymi oczami. Usiłował schwytać ulatujące wrażenia, lecz nie zdołał. Skrzywił się ze złością, próbując przypomnieć sobie, co właściwie mu się śniło. I dlaczego było ważne. Bo co do tego miał nieprzyjemną pewność.

Stękając, zwlókł się z pośłania. Niespokojny sen pozostawił tępy ból w skroniach. Mruczając pod nosem wyszukane przekleństwa, ruszył do drzwi. Gdy je otworzył, jasne światło uderzyło go w oczy. Po raz pierwszy, odkąd tu przybyli, poranek nie był mglisty i pochmurny, cuchnący zgnilizną i rozkładem. Wiatr nie przeganiał niskich, brzemienych deszczem chmur. Nic dziwnego, że w ten, jakże odmienny od wszystkich poprzednich, poranek Basile podśpiewywał, łamiąc gałęzie na opał, oczywiście jeśli wydawane przez chłopaka odgłosy można było nazwać śpiewem. Na widok Matcha rozpromienił się, gwizdnął z uciechy na

brudnych paluchach, po czym zaśpiewał jeszcze głośniej. Piosenka niewątpliwie musiała pochodzić z jego rodzinnych stron, z czasów, kiedy jeszcze terminował na zbója. Przytłoczony lawiną przeraźliwych dźwięków, Match skrzywił się tylko, hamując gwałtowny odruch zatknięcia uszu. Nie chciał peszyć chłopaka, nad miarę ostatnio wrażliwego i skorego do dąsów, wysłuchał więc do końca przyśpiewki, akcentowanej przez wykonawcę dzikimi podskokami i waleniem się po udach. Gdy Basile skończył i przerwał dla nabrania tchu, skorzystał z okazji i wtrącił pospiesznie:

– Starczy tego drewna. – Wskazał na wielką stertę nałamanych, grubych niekiedy jak przegub dorosłego mężczyzny gałęzi. – Zanieś do izby, a przy okazji zajrzyj do Jasona, może wody trzeba..

Na dźwięk głosu Matcha Basile zamarł ze śmiesznie otwartymi ustami, widać szykował się do odśpiewania drugiej części przyśpiewki, w której, jak wiedział Match, wymieniano wszystkich, którzy dupczyli główną bohaterkę, ale nie ciekawiły go dalsze losy opiewanej w przyśpiewce panny. Zresztą, jak pamiętał, ostatnia zwrotka tego znanego, acz prostego i bezpretensjonalnego w formie i treści utworu zapewniała, że i tak ją dupczył, kto chciał. Gdy Basile, stękając pod ciężarem nałamanych gałęzi, zniknął w drzwiach chaty, Match odetchnął z ulgą. Nie lubił chamstwa i zbójnickiej muzyki.

Trzeba ruszać, postanowił. I to zaraz. Nawet jeśli nic nie znajdzie, przynajmniej woda nie będzie mi się lała za kołnierz.

Zbierając mizerny ekwipunek, popatrzył na Jasona. Spał, lub przynajmniej sprawiał takie wrażenie, a pierś poruszał mu spokojny oddech. Wyglądał jakby lepiej, cienie pod oczami były mniej wyraźne.

Wstał, gestem nakazując Basile'owi, by ten wyszedł za nim na zewnątrz.

– Mogę nie wrócić na noc – rzekł, gdy stali już przed chatą. – Nie pada, dobra okazja, by ruszyć dalej.

Olbrzym pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Dwa dni? – spytał tylko.

– Dwa, może trzy – odparł Match. – Trzeba korzystać z okazji.

Zanim opadniemy z sił, dodał w myśli.

- Pilnuj Jasona - przykazał chłopakowi, zapewne zresztą niepotrzebnie, bo Basile zawsze pilnował. - I jeszcze jedno... Dopóki się nie obudzi, nie śpiewaj. A jak się obudzi, to też spytaj, czy możesz.

Na widok miny Basile'a, który nie wiedział, czy ma się obrazić, Match o mało nie parsknął śmiechem. Skinął ręką i ruszył przed siebie.

Drugiego dnia wyprawy Match miał dość. Nie znalazł nic. Kości bolały go po nocy spędzonej w lesie. Nie padało, lecz ściółka była wystarczająco przepojona wilgocią, by mimo ognia całą noc trząsał się z zimna.

Wtedy zobaczył ślady koziołka. Pierwsze w tym lesie ślady normalnej zwierzyny. Świeże, mokre grudki piasku osypywały się jeszcze do środka.

Był nazbyt doświadczonego myśliwym, żeby podążyć tropem zwierzęcia z procą, którą długo trzeba było rozkręcać w powietrzu, zanim wypuściło się kamień. Match nie przypuszczał, że koziołek będzie czekał, słysząc w dodatku niespotykany w lesie świst rzemienia. To nie królik, który jest głupi z natury. Na szczęście wziął ze sobą jeden z oszczepów. Miał nadzieję, że przy odrobinie szczęścia trafi zwierzę z jakichś dwudziestu, może trzydziestu kroków.

Wodopoju nie szukał długo. Gdy Match ujrzał w kotlinie, kilkaset kroków od traktu, taflę brudnej, zmaconej wody, serce zabiło mu żywiej. Brzegi kałuży były zryte i stratowane. Przyjrzał się śladom. Nie tylko sarny tu zachodziły, bywały też dziki.

Ukrył się w rozłożystych jałowcach i ściskając oszczep, czekał cierpliwie. Wiedział dobrze, że będzie miał tylko jeden rzut i od tego rzutu będzie zależało, czy pójdzie spać syty, czy głodny, jak dotychczas.

Koziołek nie był ostrożny. Trafienie rzuciło nim w bok, padł od razu. Zanim znieruchomiały ryjące w drgawkach ziemię racice, Match już przy nim był.

Poprawił niewygodnie leżący na ramionach ciężar, niesiony długie

mile. Wyczuwał zapach dymu. Las przerzedzał się, zaraz będzie polana. I chata.

Widział już pociemniałe belki ścian i zrębów chaty, zapadniętą, poszarzałą strzechę. Pomiędzy drzewami wiła się ścieżka, ledwie widoczna w grubym dywanie zeschniętych liści. Match zmarszczył brwi. Nie dostrzegł dotąd tej ścieżki, ginęła w mokrym listowiu. Poprawił jeszcze raz ciężar, popatrzył uważniej.

Jeśli była uczęszczana, to bardzo dawno temu. Prawdopodobnie chodzili tędy dawni mieszkańcy chaty, a wśród nich może ten, którego Basile uprzętnął na samym początku.

Jeszcze jeden zakręt i zza wysokich jałowców wyłoni się poczerńiała ściana. Będzie można zrzucić ciężar z pleców, usiąść przy ogniu. Już tylko kilkadziesiąt kroków dzieliło go od ciemnego otworu drzwi, w których zobaczył niewyraźną sylwetkę.

Kilkadziesiąt kroków. I coś, co przypadło do ziemi na samym środku wąskiej ścieżki, uderzając się po bokach grubym, pręgowanym ogonem. Stuliło uszy tak, że przyłgnęły do spłaszczonej czaszki, syczało i pluło.

Tusza koziołka walnęła głucho o pokrytą liśćmi ziemię. Match szarpnął za pas, przechodzący ukosem przez pierś, drugą ręką pewnie chwycił rękojeść, wychylając się znad ramienia. Miecz gładko wysunął się z pochwy, sztych zatoczył wolny krąg.

Stwór zasyczał głośniej. Zabłyśły małe, ostre kielki.

Jest mniejszy od tamtego co najmniej o połowę, pewnie młody, przemknęło Matchowi przez głowę. Młody, więc głupi, ocenił, wciąż poruszając ostrzem miecza dla zdezorientowania stworzenia. Gdyby skoczył z drzewa, tym swoim dziwnym, szybującym skokiem, mogłoby być po zabawie. Jeśli dobrze by trafił, wydrapałby oczy. A Match wiedział, że atakujący gryf na ogół trafia dobrze.

Zrobił ostrożny krok, schodząc bokiem ze ścieżki. Stwór zasyczał wściekle, oczy, w zapadającym wolno mroku wielkie, z ogromnymi źrenicami śledziły ruchy człowieka. Jedno trafienie, jedno dobre trafienie, myślał Match. Nie jest odporny. Jest tylko bardzo szybki. Za szybki.

Kątem oka dostrzegł, jak stojąca w ciemnym otworze drzwi postać rusza do przodu. Gryf postawił uszy, unióśł się trochę znad ziemi,

prychnął.

To nie Basile, spostrzegł Match. To Jason.

Jason wyszedł za próg, podpierając się sękatym kijem. Gryf poruszył się, przemieścił tak, by móc obserwować obu ludzi, nieznacznie tylko ruszając głową. Ruchy były szybkie i nerwowe.

– Jason, nie podchodź! – wrzasnął Match, widząc, że stwór ma teraz do Jasona równie blisko.

Zwierz stulił uszy, przypadł do ziemi. Tylko ogon coraz gwałtowniej walił o pokryte zwisającą skórą boki.

Korzystając z dezorientacji stwora, Match postąpił krok do przodu. Znów krzyknął, by zwrócić na siebie jego uwagę, odciągając go od Jasona. Gryf uskokczył miękko, nie w tę stronę, w którą pragnął Match, ale i tak nie najgorzej. Match wysunął przed siebie lewą dłoń. Stwór wodził oczami za dłonią w nabijanej ćwiekami rękawicy. Match uniósł broń, szykując się do ciosu. Wiedział, że powinien trafić pierwszym razem, inaczej walka będzie przypominała zapasy z kotem w ciemnym, zagraconym pomieszczeniu.

– Match, nie! – W głosie Jasona było coś takiego, że Match zamarł.

Jason rzucił kij, na którym się opierał, i chwiejnie podbiegł do stwora. Gryf przestał syczeć. Match patrzył z niedowierzaniem, jak zwierzak wygina grzbiet w łuk, z dumnie zadartym grubym, futrzastym ogonem ociera się o łydkę Jasona, raz, drugi. Popatrzył spod oka na Matcha, który wciąż stał jak wrośnięty z uniesionym do ciosu mieczem.

Jason schylił się i podrapał zwierzaka za uchem.

Tego było dla Matcha za wiele. Nagle zmiękły mu nogi, usiadł z rozmachem na wciąż wilgotnych od deszczu liściach, pokrywających ścieżkę.

Gryf wyprężył grzbiet jeszcze bardziej, choć przed chwilą wydawało się, że to niemożliwe.

– Ghruuu! – powiedział.

Match siedział w oświetlonej kopcącym łuczywem izbie i powoli dochodził do siebie. Dopiero gdy opadło z niego napięcie po niedoszłej walce, zrozumiał, dlaczego jego zdobycz nie wywołała większej sensacji. Nad paleniskiem piekła się ćwiartka dzika.

To dlatego nie powiedzieli słowa, pomyślał ze złością, a Basile tylko się skrzywił, kiedy pokazałem mu koziołka. Po prostu obzarli się już po dziurki w nosie. A ja cały dzień targałem to ścierwo na plecach, nie odkroiłem nawet kawałka.

Jason leżał na pościeli. Był jeszcze bardzo słaby, krótki spacer wyczerpał go wyraźnie. Nic nie mówił, uśmiechał się tylko, widząc niedowierzające spojrzenie przyjaciela.

Match przyglądał się z gryfowi, który starannie udeptywał sobie miejsce na piersi Jasona, dumnie prezentując wszem i wobec, co ma pod wyprężonym ogonem. Nie było wątpliwości, że to samiec. Kocur.

Basile nie wytrzymał milczenia.

– Tego dzika... – zaczął. – Tego dzika to ja...

Match wzruszył ramionami. Był zły. Bolały go otarte stopy i ramiona, zmęczone długim dźwiganiem zdobyczy. Nie miał ochoty na wysłuchiwanie opowieści tych, którzy zwierzynę zdybali pod samą chatą.

Olbrzym był speszony. Zakręcił się nieporadnie.

– Może, tego... – zaczął. – Może chcesz pieczeni? Pewnie jesteś głodny?

No proszę, pomyślał Match, jak to zhardział. Już nie "panie", tylko "ty". Wzruszył ramionami.

– Nie wściekaj się – powiedział cicho Jason. – Przepraszam, powinniśmy od razu.

– Nie wściekam się – odparł Match po chwili, nie patrząc na niego. – Po prostu jestem zaskoczony. Zastanawiam się, co zastanę, kiedy wrócę następnym razem. Może pasztet z truflami? I smoka na łańcuchu? To tylko ja mam pecha. Mnie taki bydlak od razu rzuca się do oczu.

– Nie – zaprzeczył Jason. – To miłe zwierzę. Nie wierzysz? Chodź, spróbuj pogłaskać. On cię po prostu nie zna.

– Może później – mruknął Match. – Nie zna mnie, i na razie niech tak zostanie. Jakoś nie mam do niego zaufania. A co do ciebie, to będziesz

wiedział, do kogo mieć pretensje, jak obudzisz się z przegryzionym gardłem. Na mnie nie licz. Ja wiem, że gryf to wredna bestia...

Wredna bestia udeptała sobie wreszcie miejsce. Wyciągnęła się na całą długość, przymknęła oczy.

Jason zrezygnował z dyskusji. Znał dobrze humory Matcha. Tym razem uzasadnione, przyznał. Ostatecznie zasłużył na lepsze przyjęcie.

Głód zwyciężył. Match spojrział na Basile'a.

– No, dobrze – powiedział. – Bądź łaskaw ukroić tego dzika...

Olbrzym, stojący ze spuszczonej oczami jak spłoszona panienka, rozchmurzył się i podał Matchowi kawał ciepłej, tłustej pieczonej szynki. Spoglądając z aprobatą, jak Match wgryza się w gruby plaster, zaczął:

– Wiecie, tego dzika, to ja niedaleko... – Spojrział niepewnie, czy Match słucha. Ten, nie mogąc mówić z pełnymi ustami, skinął tylko głową. – Buchtował tam, w buczynie. – Basile wskazał w nieokreślonym kierunku. – Wiecie, tam, gdzieśmy to gównno...

– Nie przy jedzeniu – parsknął Match kawałkiem pieczeni.

Olbrzym stropił się.

– No, wiecie już gdzie – podjął po chwili. – Buchtował, mówiłem, w buczynie. Jak mnie zobaczył, to za... zasz...

Zaplątał się beznadziejnie. Match przełknął kęs mięsa.

– Zaszarżował – dopomógł chłopakowi. Ten z radosnym uśmiechem pokiwał dumnie głową.

Wszystko jasne, pomyślał Match. Skoro dzik zaszarżował na Basile'a, sam jest sobie winien. Ciekawe, czy olbrzym miał oszczep, czy tylko zdzielił pięścią.

– Jeszcze? – spytał Basile.

Match kiwnął głową. Czekając, aż Basile odkroi następny połącz szynki, popatrzył na Jasona.

I na to, co leżało na jego piersiach.

– A ten, skąd się wziął? – zapytał. – I dlaczego nie rozerwał ci tyłka do kołnierza?

Obiekt zainteresowania poruszył uszami. Oczu nie otworzył. Jason uśmiechnął się.

– Dlaczego nie rozerwał, to nie wiem – odparł cicho. – Domyślam się tylko. Zresztą sam wtedy w lesie mówiłeś, że on u siebie jest jak zwykły żbik. Tylko tam, w naszym świecie, staje się wściekłą bestią, rzucającą się od razu na ludzi. A tutaj jest u siebie. Poza tym, on chyba jest młody. Młody kociak. – Pogładził zwierzaka wychudzoną dłonią po grzbiecie.

Match przysięgłby, że gryf zamruczał. Jak kociak.

– Nie przekonałem cię? – spytał Jason, widząc nieufną minę Matcha.

– Owszem, przekonałeś – odburknął Match niechętnie. – Ty, owszem. Ale on mnie nie przekonał. Bo, jeżeli nie zauważyłeś, na mnie pluł i syczał.

– Przestraszył się po prostu.

– Wyobraź sobie, że ja też – parsknął Match i wziął od Basile'a następny kawałek pieczeni. – Dobra, powiedz, skąd się wziął – powiedział po chwili niewyraźnie, żując potężny kęs.

Jason ożywił się.

– Wiesz, to śmieszne. Ale ja też nie wiem.

– Jak to, nie wiesz?

– Nie wiem. Wczoraj nad ranem miałem głupi sen. Śniło mi się, że kot siedzi mi na piersiach. I rzeczywiście, jak się obudziłem, to siedział. On. – Znów pogładził gryfa po grzbiecie.

– Tak było – potwierdził poważnie Basile. – Jak wszedłem, to myślałem, że to kotek. Kiciuś... – Popatrzył na zwierzaka z rozrzewnieniem.

Match pokręcił głową. Miłośnicy gryfów się znaleźli, pomyślał. Sam nie miał najmniejszego zamiaru spać z bydlakiem w jednej izbie. Nie chciał mieć przegryzionego gardła ani wydrapanych oczu, a stwór najwyraźniej nie zapałał do niego uczuciem od pierwszego wejrzenia.

– Musimy porozmawiać – odezwał się po chwili Jason, innym już tonem.

– Tak. – Match niechętnie przytaknął. Wiedział, do czego zmierza Jason. Do czegoś, w porównaniu z czym nawet gryf był miłym kotkiem. – Tak, Jason – powtórzył. – Ale nie dziś. Na dziś mam dość, muszę odespać tę drogę.

W żołądku czuł miłe ciepło, po raz pierwszy od długiego czasu. Ciepło i sytość.

– Ty też nie wyglądasz jeszcze dobrze, Jason. Dziś czy jutro, co to zmienia. I tak nie mamy stąd wyjścia.

Jason nie protestował.

– Kładziemy się – zdecydował ostatecznie Match. – Tylko jeszcze jedno.

Podszedł do Jasona. Chwilę wahał się, po czym wyciągnął rękę i ujął gryfa za luźną skórę na grzbiecie. Zwierzak nie zaprotestował, nawet wtedy, gdy Match uniósł go w górę. Ważył nadspodziewanie dużo.

Match stropił się. Może rzeczywiście Jason ma rację i stwór jest niegroźny. Ale trudno, ostrożności nigdy za wiele.

– Nic nie mów, Jason – uciął spodziewane pytania i protesty. – Nie będę spał z nim w jednej izbie. A przynajmniej nie dzisiaj. Basile, otwórz drzwi.

Po chwili gryf z pełnym oburzenia wrzaskiem zniknął w ciemnościach.

Match siadł na posłaniu.

– Nic mu nie będzie – tłumaczył, nie wiedząc czemu. – Prześpi się na dworze, zwyczajny jest. A tak będzie bezpieczniej, dla pewności.

Przerwał mu głośny śmiech. Basile rechotał, aż łzy pociekły mu po twarzy. Jason śmiał się ciszej. Match podniósł głowę.

Gryf wrócił oknem. Mościł się właśnie na piersi Jasona, rzucając Matchowi spojrzenia pełne urazy.

– Zgaś to łuczywo, Basile – powiedział Match z rezygnacją. – Może jednak nie przegryzie gardła...

Nie przegryzł. Gdy Match obudził się, stwierdził, że nadal pozostaje w jednym kawałku. Ocknął się ze świadomością, że jest późno. Bardzo późno. To ta droga tak dała mi w kość, pomyślał. Za stary już jestem. A może nie, może to tylko króliczy wikt.

Kiedy usiadł na posłaniu, spostrzegł, że jednak nie został sam w chacie. Na posłaniu Jasona leżał gryf. Spał, albo przynajmniej starał się sprawiać takie wrażenie. Zwinięty w nieprawdopodobnie mały kłębek, otulony szczelnie luźną skórą powierzchni lotnych, rozpiętych pomiędzy przednimi i tylnymi łapami, przypominał okręcony w futro pakunek.

Match mimowolnie uśmiechnął się. Rzeczywiście, pomyślał, wygląda jak kociak, młody i nieszkodliwy. Chyba rzeczywiście u siebie zachowuje się inaczej. Ciekawe, czy ma pchły? Pewnie ma. Kocie pchły nie przeżają na ludzi, co innego psie. Ciekawe, jak jest z tymi.

Jason siedział przed chatą na nie całkiem jeszcze spróchniałej ławeczce. Nie chciał budzić Matcha. Wiedział, że i tak nie unikną dziś zasadniczej rozmowy. A nie będzie to przyjemna rozmowa.

Sam zastanawiał się nad swymi przeczuciami. Znów miewał sny, dobrze rozpoznawał znajome objawy – wyczerpanie po obudzeniu, ból napinanych nieświadomie mięśni. Ale, tak samo jak kiedyś, w głowie miał tylko pustkę. Nie pamiętał nic, poza przeczuciem, że śni mu się coś paskudnego i złowieszczonego. Nie, nie przeczuciem. Pewnością.

Co dziwniejsze, siła, której obecność czuł dokoła siebie, nic mu nie pomagała. Wprawdzie budziła uśpione zdolności, jakich nigdy w sobie nie podejrzewał, ale nie pomagała poznać tajemnicy snów.

Jason popatrzył na miedziany, zaśniedziały saganek, stojący obok rozwalającej się cembrowiny studni. Skupił wzrok. Saganek drgnął. Jeszcze trochę... Saganek przechylił się, woda wychlusnęła na ziemię.

Ciekawe, pomyślał Jason. A gdyby tak...

Nie zdążył wprowadzić w czyn swego zamysłu. Z głębi chaty rozległy się głośne przekleństwa, głuchy stuk, jakby ktoś cisnął butem. Z okna wyprysnął gryf, pognał do lasu z zadartym wysoko ogonem, nie oglądając się za siebie. Widać spieszyło mu się, bo w pędzie podskoczył, rozpostarł łapy i poszybował. Po chwili zniknął w krzakach koszącym lotem.

W drzwiach stanął Match, trzymając w wyciągniętej ręce but.

– Bydlak nasikał mi do butów – powiedział z mieszaniną gniewu i niedowierzania.

Jason przezornie zmilczał. Trzeba go było nie wyrzucać, pomyślał

tylko.

– Gdzie Basile? – spytał w końcu Match.

– Poszedł do lasu – odparł Jason. – Ma nadzieję na następnego dzika. Wiesz, tu jednak jest sporo zwierzyny. Rano sarny wychodzą na skraj polanki. Sam widziałem.

– Chyba zaczynam się domyślać. – Match z namysłem podrapał się w głowę. – To może mieć związek z bramą. Pamiętam, że w tamtym świecie zwierzęta instynktownie też unikały kotlinki. Widać nasze przybycie wyzwoliło coś, czego się boją. I dopiero teraz zdecydowały się wracać. Tylko durne króliki zostały przez cały czas.

Uświadomił sobie, że źle to wróży. Przejście, którym przybyli, zamknęło się na dobre. Nic nie odstrasza już zwierząt.

Jason pokiwał głową. Podzielał domysły przyjaciela. Podzielał też niewypowiedziane na głos obawy.

– Match – powiedział po chwili. – Korzystając z tego, że jesteśmy sami... Powiedz, co mówiłem przez sen.

– Nic. – Match skłamał szybko, nie odwracając nawet wzroku.

– Powiedz.... – nalegał Jason.

Match wstał.

– Mówiłem, nic.

– Siadaj. – Jason pokiwał głową. – Za szybko odpowiedziałeś, poza tym, znam cię... nie oszukasz mnie tak łatwo. Wiem, że mówiłem...

Match usiadł.

– Skoro mnie znasz – mruknął niechętnie – to wiesz, dlaczego skłamałem. Dlaczego, nawet jeśli coś mówiłeś, to teraz nieistotne.

Zapadła ciężka cisza. Bo rzeczywiście, obaj wiedzieli. Obaj nie widzieli wyjścia.

– Wiesz, Match – zaczął Jason znowu – ja już od dawna wszystko słyszałem. Kiedy jeszcze myśleliście, że jestem nieprzytomny. Wiem, że stąd nie ma wyjścia, a przynajmniej na razie go nie odnalazłeś. Że jesteśmy tu uwięzieni. I wiem, że tam, skąd przyszliśmy, dzieje się coś niedobrego. Coś grozi tym, których tam zostawiliśmy. Nie pamiętam swoich snów, ale wiem, że są złe.

Przetarł znużonym gestem twarz. Jest bardzo osłabiony, zrozumiał Match, widząc wyostrzone rysy, podkrążone oczy.

– Nie wyrzucaj sobie – powiedział. – Nie było wyjścia, dobrze o tym wiesz.

Jason roześmiał się niemiłym, szyderczym śmiechem.

– Nie, Match. Ja sobie nie wyrzucam. To ty... – urwał, wpatrując się w twarz przyjaciela. – To ty sobie wyrzucasz – podjął cicho. – Podjąłeś decyzję, którą teraz uważasz za błąd. Nie zaprzeczaj...

Match wytrzymał jego spojrzenie.

– Nie zaprzeczam – odparł zimno. – Ale to nie był błąd. Inaczej nie miałbyś szans. Już byłbyś trupem.

– Nie udawaj! – parsknął Jason. – Nie kłam znów! Przecież wiesz, że nie o tym mówię.

Tym razem Match spuścił wzrok.

– Błąd popełniłeś wcześniej – ciągnął Jason bezlitośnie. – Trzeba było ich zabić. Tak, po prostu zabić, nie upokorzyć i odejść w przekonaniu o własnej wyższości. Trzeba było pomyśleć, że może ciebie nie zdołają osiągnąć. Ale są jeszcze inni! – Jason sapnął ze złością.

Match siedział ze wzrokiem wbitym w ziemię. Milczał. Tylko pobielające kostki dłoni, zaciśniętych na krawędzi ławki świadczyły, że usłyszał.

– Przepraszam – mruknął po chwili Jason. – Może nie powinienem oceniać. Ale, do cholery!... – Znowu nie wytrzymał. – Do cholery, Match, co ci strzeliło do głowy? Dlaczego, kurwa, ich oszczędziłeś? W imię czego? Przepraszam, wiem, że pieprzę głupoty. Ale powiedz, dlaczego?

Match nie podniósł głowy.

– Nie pieprzysz, Jason – odpowiedział cichym, zgaszonym głosem. – Masz rację, od początku do końca. Tak, chciałem okazać wyższość, udowodnić, że jestem lepszy od nich, kłamców i oszustów. Ale przecież nie byłem. Bo to nie ze szlachetności. Po prostu uznałem, że śmierć to zbyt mała kara, zbyt mało dotkliwa. Nie daje czasu na rozpamiętywanie klęski, zawiedzionych ambicji i nadziei. A chciałem, żeby pamiętali, żeby myśleli o zmarnowanych latach, o wiekach starań, które poszły jak psu w dupę. Po prostu nie mogłem ich zabić. Nie z litości, wręcz przeciwnie.

Tak, przyznaję, że jestem durniem. Ale co to teraz zmienia? – Popatrzył na Jasona. – Chciałem po prostu... – Zaschło mu w gardle, odchrząknął. – Chciałem, żeby czuli to, co ja czułem przez całe życie. Nie pomyślałem o konsekwencjach. Byłem głupi. Zawsze byłem naiwny i głupi... – Znów wstał i stanął przed Jasonem. – To ja powinienem zginąć – powiedział twardo. – Byłoby o wiele lepiej dla wszystkich. I dla mnie, kurwa, też.

Jason nie znalazł odpowiedzi. Nie potrafił powiedzieć nic, co nie zabrzmiałoby źle ani fałszywie. Wiedział, komu grozi niebezpieczeństwo, kto teraz stał się celem i narzędziem.

– Chcesz powiedzieć, że musi być jakieś wyjście – zadrwił ponuro Match. – Teraz ty nie zaprzeczaj, znam cię tak samo, jak ty mnie. Ale tym razem uwierz mi na słowo. Nie ma wyjścia.

O dziwo, właśnie te słowa pomogły Jasonowi. Wściekł się, gdy je usłyszał, i wściekłość pozwoliła na znalezienie właściwej odpowiedzi.

– Tobie mam uwierzyć? – syknął. – A to niby dlaczego? Podaj mi choć jeden przykład, kiedy miałeś rację. Kiedy twoje przewidywania, zwykle apokaliptyczne, się sprawdzały. Nie potrafisz? Więc przyjmij do wiadomości, że to ja jestem tym, który coś wie i coś potrafi przewidzieć. Jak dotąd ty potrafiłeś tylko rozważać coraz gorsze warianty i martwić się, kiedy się nie sprawdzały, bo to zakłócało twój ustalony porządek rzeczy. Więc teraz zamknij się! – Jasonowi zabrakło tchu, toteż przerwał przemowę, przechodzącą coraz bardziej we wrzask.

Match odsunął się, otarł policzki. Jason pod koniec krzyczał tak, że kropelki śliny prysnęły Matchowi na twarz. Gdy opuścił rękę, Jason zobaczył w jego oczach wdzięczność. Trafił we właściwe miejsce. Wyrwał Matcha z ponurego odrętwienia. Dał mu nadzieję. Sam nie wiedział za bardzo jak, ale niewątpliwie tak było.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytał wreszcie Match po długim milczeniu.

– Od ciebie.

Match nie zdziwił się, mimo że nic Jasonowi nie mówił.

– Od ciebie – powtórzył Jason zupełnie niepotrzebnie. – Z twoich emocji. Rozpamiętujesz to przez cały czas, a ja słyszę, widzę. Już przedtem widziałem, ale teraz, tutaj jest inaczej. Nie, nie inaczej, po prostu łatwiej. Tu jest moc. Mniej to wszystko kosztuje. Kosztowało

zawsze, pamiętam, jak dużo trzeba było płacić za moje wizje – fizycznym bólem, wyczerpaniem... Każda zabierała część mnie samego. Tutaj jest łatwiej. – Zamyślił się na chwilę. – Tutaj moc jest wszędzie – podjął. – Można ją czerpać, uzupełniać stracone siły. Można leczyć. Siebie samego, a może i innych. Można...

Zamilkł. Match spojrzał na niego.

– Co można? – spytał wreszcie, nie doczekawszy się dalszego ciągu.

Jason zdecydował się.

– Zaraz ci pokażę – mruknął. – Ale najpierw jeszcze coś chcę ci powiedzieć. Wierzę, że ta moc jest naszą nadzieją. Ty też powinieneś uwierzyć.

Match pokiwał tylko głową. Owszem, powinienem uwierzyć, pomyślał. Bardzo bym chciał. Ale nie mogę. Nie potrafię.

– Potrafisz – powiedział cicho Jason.

Match rzucił mu z ukosa uważne spojrzenie. Domyślił się? Czy może...

– Miałeś pokazać – przypomniał.

– Co? – ocknął się Jason. – A tak, pokazać. Dobrze, spójrz tam.

Wskazał wypełniony jeszcze do połowy miedziany saganek, oparty o cembrowinę studni.

– Widzisz? – zapytał.

– Widzę. Saganek. I co z tego?

– Poczekaj. – Jason skupił się. Wciąż nie był pewien swych możliwości, a zależało mu na efektownym pokazie. Wpił wzrok w zaśnieżone naczynie, natężył się tak, że aż żyły wystąpiły mu na skroniach.

Match przyglądał mu się z rosnącym zdziwieniem. Nie patrz na mnie, durniu, przeleciało Jasonowi przez głowę. Patrz tam, na studnię!

Match istotnie popatrzył na studnię.

Huknęło. Saganek z rozmachem uderzył o cembrowinę, woda chlusnęła wysoko. Jason ze świstem wypuścił powietrze.

Match zerwał się na równe nogi. Podbiegł do studni, podniósł naczynie.

– I co? – spytał słabo Jason.

Match popatrzył na niego.

– Jak to co? – wyjąkał. Spostrzegł strużkę krwi spływającą Jasonowi z nosa. Przyjaciel wyglądał, jakby za chwilę miał zemdleć.

– Jak to co? – powtórzył Match. – Czyś ty oszalał? Do reszty?

Jason otarł twarz. Przyjrzał się zaplamionej krwią dłoni.

– Nie, nie oszalałem – odpowiedział. – To nic, to tylko tak wygląda, daję słowo. To nie takie trudne.

– Ja nie o tym! To jest, do cholery, jedyny saganek! Czyś ty zgłupiał, żeby ciskać nim o kamienie?

Podniósł nieszczęsne naczynie. Istotnie, saganek był nieco zgnieciony.

– Dobrze, że nie pękł – burczał Match pod nosem, oglądając go uważnie. – Inaczej, to byś wodę w przetaku gotował. Bo oprócz tego saganka, tylko przetak w chacie znaleźliśmy.

Roześmiał się, widząc na twarzy Jasona wyraz niedowierzania.

– Żartujesz? – upewnił się Jason.

– Jak na to wpadłeś? – spytał Match sarkastycznie. – Owszem, żartuję. Bądź ostrożniejszy, Jason. Bo widzisz, ile to kosztuje. Nawet tutaj.

– Będę uważał – obiecał solennie Jason, przede wszystkim sobie. – Ale widzisz, jak wiele potrafi moc. Jakie możliwości wyzwala. To nasza szansa, Match.

Ten sceptycznie pokręcił głową. Rzeczywiście, pokaz był imponujący, lecz świadczył tylko o jednym, o zdolnościach Jasona. Owszem, może zostały spotęgowane przez przenikającą wszystko moc, ale Jason miał je od dawna.

Jason popatrzył z dezaprobatą. Match, pomyślał, ty durniu, przecież też jesteś kimś niezwykłym. Niedoszłym druidem. Rezultatem wieków selekcji. Tyle że jesteś też ostatnią osobą, która w to uwierzy.

– Match, przestań pieprzyć – mruknął cicho.

– Przecież nic nie mówię! – oburzył się Match.

– W porządku, to nie zaczynaj pieprzyć. Tak lepiej?

Jason wstał i poszedł do chaty. Gdy wrócił, podał Matchowi kości.

– Wiesz, jak się rzuca? – spytał. Match kiwnął głową. – To wyrzucić trzy szóstki.

– Zgłupiałeś?

– Nie, nie zgłupiałem. Musisz tylko chcieć.

Match zawahał się. Nie wierzył w takie eksperymenty. W końcu, zmuszony wręcz nagłym spojrzeniem Jasona przemógł się i rzucił.

Kości potoczyły się po ławce i znieruchomiały. Trzy szóstki.

Match wciąż nie mógł dojść do siebie, tym bardziej że powtórzywszy próbę, uzyskał taki sam wynik. I to nie raz. Musiał tylko chcieć i wyobrazić sobie, jak padną kości. Gdy nie przykładał się zbyt, wyniki były losowe.

– Wystarczy? – Jason stał nad nim, uśmiechając się triumfalnie. – Teraz wierzysz? – spytał tylko.

– Tak. – Match kiwnął głową. – Teraz wierzę... – dokończył powoli. Ale to przecież nic nie zmienia, pomyślał.

Z lasu dobiegło wesołe pogwizdywanie. Gdy Basile wyłonił się zza jałowców, dostrzegli, że niesie dzika. Olbrzym szedł bez wysiłku, nie zwracając uwagi na gryfa, który płał mu się w podskokach pod nogami, jak zwykle, z dumnie uniesionym ogonem.

Basile z sapnięciem zwał ciężar na ziemię. Gryf podbiegł do Jasona, starannie omijając Matcha.

– Nie bój się – mruknął Match. – Nic ci nie zrobię. Już mi przeszło.

Zwierzak najwyraźniej nie przyjął tego za dobrą monetę, bo popatrywał z ukosa, łaszcząc się do Jasona.

– Nie, to nie – powiedział Match.

Wstał i poszedł do izby. Gdy wyszedł po chwili, niósł ukrojone płaty zimnej pieczeni. Podał jeden Basile'owi. Gryf zeskoczył z kolan Jasona, podbiegł do Matcha.

– Co, teraz mnie lubisz? – zdziwił się Match obłudnie, patrząc, jak stwór ociera mu się o łydki. – Wypchaj się.

– Basile – zwrócił się Jason do olbrzyma – może wyniesiemy stół, zjemy jak ludzie, nie w tej paskudnej izbie.

Żując zimną pieczoną szynkę, Match pomyślał, że przydałby się chleb. I piwo. Swoją drogą, jak szybko człowiek się przyzwyczaja. Jeszcze parę dni temu żarliśmy króliki, dziczyzna była nieosiągalnym marzeniem. A teraz, proszę, piwa brakuje. Odkroił kawałek mięsa, rozejrzał się za gryfem, ale zwierzak zniknął.

Położył kolejny plaster mięsa na kawałku w miarę czystej deski, służącej za talerz. Nie zdążył jeszcze odkroić kęsa, kiedy na stół wskoczył gryf. Stanął wprost przed Matchem, upuścił coś na stół. Match zerwał się z przekleństwem. Gryf, z początku dumnie popatrujący, odskoczył.

Na stole, na środku plastra pieczeni leżała martwa mysz. Dorodna, mało używana.

– I z czego się śmiejecie?! – wrzasnął Match, widząc pokładających się ze śmiechu Jasona i Basile'a.

Jason trzymał się za brzuch, wstrząsany paroksyzmami wesołości, Basile parskął, plując na wpół przeżutymi kawałkami mięsa. A udław się, pomyślał Match mściwie.

Gryf zdawał się dzielić jego uczucia. Odszedł obrażony, po czym ostentacyjnie zajął się ostrzeniem pazurów na leżącym nieopodal pieńku.

– Dlaczego ten zwierzak się do mnie przyczepił? – mruknął Match ze złością. – Co ja mu zrobiłem?

– Wyrzuciłeś przez okno – przypomniał Jason, wciąż nie mogąc opanować wesołości.

– To jeszcze nie powód, żeby szczać do butów. I wrzucać myszy do jedzenia.

Jason uspokoił się wreszcie.

– To nie tak, jak myślisz – powiedział już spokojnie, przecierając załzawione oczy. – Basile, przestań już. – Olbrzym zastygł z otwartymi ustami. – On nie zrobił tego na złość. Chciał się tylko pochwalić. To jeszcze kociak.

– Przyniósł, co miał najlepsze – dodał poważnie Basile, któremu

wreszcie udało się zamknąć usta.

Jason spojrział na niego uważnie.

– Masz rację – powiedział. – Coś w tym jest. Już wcześniej przynosił, myszy, żaby. Nawet żywe. Ale nikomu nie dawał. Sam się nimi bawił, dopóki nie zepsuł. A teraz wygląda, jakby rzeczywiście chciał ci dać.

Match z niesmakiem złapał zagryzioną mysz za ogon. Jak się woła takiego bydlaka, zastanowił się. W końcu wybrał najprostsze rozwiązanie.

– Kici, kici...

Gryf śledził jego poczynania wielkimi oczyma o pionowych źrenicach. Gdy Match położył mysz na ziemi, podbiegł, chwycił ją w zęby i uciekł w kierunku zarośli.

– Hej, poczekaj! – Match rzucił za nim poplamiony mysią krwią plaster mięsa.

Po posiłku Jason postanowił się położyć. Pokaz wyczerpał go, wciąż był słaby. Zanim odszedł, Match zatrzymał go na chwilę.

– Słuchaj – powiedział. – Jutro znów ruszam. Trzeba szukać.

Jason poważnie pokiwał głową.

– Powiedz mi, co mówiłem we śnie.

Match nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

– Niewiele – rzekł w końcu. – Bardzo niewiele. Nie można było zrozumieć. Ale jedno jest pewne, to nic dobrego. Mamy mało czasu.

- V -

Zimowy wiatr hulał po murach, zawiewał sypkim, ostrym śniegiem. Nie chroniły przed nim dachy wież, spiczaste, jak to zwykle bywa w północnych krainach. Strażnik kulił się z zimna, bezskutecznie owijał się opończą. Śnieg zacinał, drobne kryształki siekły po zmartwiałej z mrozu twarzy.

Bloki torfu żarzyły się w żelaznym koszu, rozdmuchiwane gwałtownymi porywami wichury, ale ogień nie dawał ciepła.

Strażnik dawno już zaniechał swego podstawowego obowiązku, polegającego na przepatrywaniu okolicy. Ukryty za blankami od zawietrznej strony, zabijał ręce i liczył pozostały do końca służby czas. Wypatrywanie i tak nie miało sensu: łzawiące od wiatru oczy nie pozwalały na dostrzeżenie czegokolwiek.

Pocieszał się, że dowódca straży prawdopodobnie nie będzie miał ochoty wspinać się po stromych drewnianych schodach dla roztaczającego się z wieży widoku podgrodzia i opustoszałego miasta.

Strażnik był młody, jeszcze pełen zapału do służby, która temu chłopskiemu synowi jawiła się jako oszałamiająca kariera. Mimo codziennej nudy i rutyny, codziennych trudów była czymś lepszym od zwykłej, chłopskiej doli. Zwłaszcza teraz.

Ponoć najstarsi ludzie nie pamiętali takiej zimy. Rzeka Trent zamarzła aż do dna, piętrząc krę w wysokie zatory. Bydło padało w oborach, a watahy wilków podchodziły pod same mury miejskie (o tym, co działo się w wioskach, wolał nawet nie myśleć). Leśna zwierzyna padała, nie mogąc wygrzebać pokarmu spod grubej warstwy twardego, ściętego mrozem po uprzedniej odwilży śniegu. W puszczy panowała cisza, przerywana jedynie wyciem wilków i trzaskiem pękających od mrozu pni.

Młody strażnik wstał, ruszył dokoła wieży – nie po to, by coś

zobaczyć, ale by się trochę rozgrzać. Pieska służba, pomyślał nie wiadomo który raz. Bramy zamknięte na głucho. Nikt nie nadciągnie pod mury, żaden wróg nie wytrzyma podobnego mrozu i zawiei.

Tylko wilki przemierzają ziemię w taki dzień.

O człowieku, który kołatał właśnie do zamkniętej bramy, mówiono, że ma wilczą naturę. Gdy zdarzało się, że to usłyszał, uśmiechał się tylko. Wewnętrznie, bo poza skrzywieniem wąskich warg, nikt nie widział nigdy na jego twarzy prawdziwego uśmiechu. Zgadzał się z tą opinią. Był jak stary, samotny wilk. Równie groźny i bezwzględny. Tak samo sprytny i czujny.

Jeszcze raz stuknął w okute belki bramy pięścią w futrzanej rękawicy. Mocno, tak aby usłyszał zbrojny, niechybnie drzemiący w załomku murów przy wypełnionym węglami koszu. Trudno się dziwić, strażę na pewno nie spodziewają się, by ktokolwiek dziś przybył.

Brama uchyliła się ze skrzypieniem zawiasów. W szparze błysnęły przestraszone oczy i zniknęły gwałtownie, gdy wiatr sypnął garścią śniegu. Nie czekając, mężczyzna precyzyjnie przesunął się przez wąskie przejście w uchylonych wrotach.

Podcienie bramy oświetlone było płonącym w żelaznym koszu ogniem.

– Nie mam konia – powiedział, gdy strażnik wciąż wypatrywał czegoś za bramą. – Możesz zamykać.

Widział zdziwione spojrzenie zbrojnego, ale nie chciało mu się wyjaśniać. W taką pogodę koń jest na nic. Lepiej przebyć dziesięć mil na piechotę. Tak, jak wilk.

– Na co czekasz? – spytał cicho i łagodnie. Bez nacisku. – Oznajmiam, że przybyłem.

Na strażnika ta łagodność podziałała jak chłasknięcie biczem, znacznie lepiej niż wyzwiska, którymi zazwyczaj wspierali swój autorytet panowie szlachta. Mężczyzna uśmiechnął się tylko. Wewnętrznie.

Wiatr dzwonił szybko i luźno osadzonymi w ramach. Gwizdał w przewodzie kominowym. Mimo ognia płonącego na wielkim palenisku, od kamiennej posadzki ciągnęło okrutnie zimno.

Szeryf pociągnął łyk grzanego wina. Jeszcze nie całkiem wystygło. Służba była dobrze wyszkolona, wiedziała, kiedy donieść następny kubek, roztaczający zapach korzeni i przypraw.

W palenisku strzelił głośno smolny sęk. Tłusty, wypasiony na zamkowych myszach kot przebudził się. Stulił uszy i zjeżył grzbiet, wpatrując się w pustkę przed sobą. Szeryfem mimo woli wstrząsnął dreszcz, gdy poszedł za wzrokiem zwierzęcia. Koty, jak wiadomo, widzą niewidzialne. Puste miejsce wiało chłodem. I grozą.

To puste miejsce... Tam zawsze stawał Gisbourne. Hrabia, którego kości sępy rozwłóczyły gdzieś po pustyni. Bieleją teraz, szlifowane przez niesiony wiatrem piasek, nie doczekawszy się pochówku w poświęconej ziemi.

Kot odprężył się. Przeciągnął, nastroszył i zwinął w kłębek na kupce słomy.

Szeryf westchnął z ulgą. Co też mi chodzi po głowie, pomyślał z niesmakiem. Duchy nie nachodzą ludzi, przynajmniej nie na co dzień. A zresztą, to nie mógł być hrabia. Gisbourne nawet za życia nigdy nie przeszedł obok kota, żeby go nie kopnąć.

Do diabła z tym! Wino się skończyło. Szeryf klasnął niegłośno. Po chwili trzymał w zziębniętych dłoniach parujący kubek. Pociągnął łyk i popatrzył z satysfakcją na oddalającego się sługę.

Wiatr cisnął garścią śniegu w okno. Zadzwończyły szybki. Co za dzień, ni dla zwierza, ni dla ludzi, pomyślał szeryf. Co teraz robisz, Match? I jak jest tam, po tamtej stronie?

Był pewien, że Match nie zginął, jak powszechnie głosiła plotka, poparta zresztą dowodami. Sam przesłuchał kłusownika, który na polanie znalazł konie, zakrwawione odzienie i złamany bełt z odkruszonym grotem.

Match nie zginął. Nie było ciała. Nie mogły go rozwłóczyć zwierzęta,

nie tak prędko. Podjazd, wysłany śladem Matcha, natrafił na zwłoki pięciu grasantów. Miały wydziobane oczy, co często zdarza się w lesie, gdzie ptactwa jest co niemiara. Zbrojni nie mogli się też doliczyć jednej głowy, ale biorąc pod uwagę obfitość lisów w puszczy Sherwood, nie było to niczym nadzwyczajnym, któryś z lisów po prostu miał fart. Ale większość z ciał została. Nawet po trzech dniach.

Wiadomo było, kto zabił bandytów. Szeryf wprawdzie nigdy nie widział pokazu umiejętności Jasona, ale słyszał o nich wiele. Znalaziono cztery ostrza. Mimowolnym właścicielem piątego stał się prawdopodobnie lis, otrzymując nieoczekiwaną premię do znalezionej głowy.

Walka musiała być gwałtowna i tak szybka, że nie zdołano zatrzymać mieczy, zabijając już umierających lub martwych.

Zabitych nikt nie szukał, nikt się do nich nie przyznał. Zostali pogrzebani w płytkiej bezimiennej mogile, jednej z wielu w przeklętej puszczy. Pewnie odkopią ich ścierwojady, teraz, a może na wiosnę. Ale nikogo to nie obchodziło.

Niczego więcej nie znaleziono. Na razie.

Szeryf pociągnął łyk z glinianego kubka. Na razie, pomyślał, tylko tyle. Ale wciąż miał nadzieję, że dowie się więcej, poczynił w tym celu odpowiednie starania. A pytań było wiele, za wiele.

Po raz setny zastanowił się, co każe mu dochodzić prawdy. Przecież skończyło się. Można zapomnieć i żyć tak, jak kiedyś, dwadzieścia lat temu. Zanim los skrzyżował drogi szeryfa Nottingham i dziwnego odmieńca zwanego Matchem.

- Długo to trwa - mruknął do siebie półgłosem, a tłusty kot uchylił powieki i poruszył uszami.

Ale dzisiaj i tak się nie doczekam, pomyślał. Nikt nie przybędzie. W taki dzień można spotkać tylko wyjące złowrogo watahy wilków i czarownice na ożogach. Swoją drogą, zamyślił się szeryf, według ludowych podań nawet podczas śnieżycy człowiek jest bezpieczny, gdy siedzi w swej izbie, w kręgu ognia. Można tylko czasem zobaczyć, jak potwór, zwany Śnieżnym Człowiekiem, lub też, gdzie indziej, Wielką Stopą zagląda do chaty, rozplaszczając swój paskudny nochal na okiennych błonach. Nie czyni większych szkód, czasem owieczkę porwie

albo cielątko, jak zwykły wilk. Ale napotkawszy człowieka na szlaku, zabija go szybko i sprawnie, wyrывая wprzód ręce. Co robi potem, nie wiadomo, ale delikwentowi i tak jest już wszystko jedno.

Pewnie to relik, pomyślał szeryf. Jeden z tych, co nie zdołali odejść. Zdziczał, wychodzi na świat tylko wtedy, gdy mróz i śnieg nie pozwalają ludziom na łatwe podróże.

– Tak, dziś nie ma na co czekać – mruknął szeryf do siebie, znów przerywając kotu drzemkę. – Nie przyjdzie, dopóki nie skończą się śnieżyce, nie zelżeje mróz.

Bo w taki dzień, powtórzył w myśli szeryf, można spotkać tylko Śnieżnego Człowieka. Watahy wilków i wiedźmy na miotłach...

Odgłos kroków przerwał tok myśli. Szeryf uniósł głowę, wyteżył wzrok, spoglądając w ciemny otwór wejścia.

Można spotkać tylko wilki. I Claymore'a Ramireza.

Claymore Ramirez skrzywił wąskie wargi w imitacji uśmiechu, ale przenikliwe oczy pozostały poważne. Otarł niestopniały jeszcze szron z wąsów i nie czekając na zaproszenie, siadł na ławie.

– Nie spodziewałeś się – powiedział bez żadnych wstępów.

Zgodnie z oczekiwaniami szeryf potaknął skinieniem głowy i uniósł ręce, by klasnąć w dłonie.

– Nie fatygujcie się, panie – mruknął Ramirez. – Już niosą, poprosiłem po drodze.

Cały Ramirez, pomyślał szeryf. Zadbął o grzane wino dla siebie, zapewne spotkał służę po drodze. I nie rozkazał. Poprosił. Prośby Claymore'a Ramireza były skuteczniejsze od rozkazów.

Istotnie, służa z parującym dzbanem zjawił się natychmiast. Postawił kubek przed gościem, pochylił dzban. Ramirez uprzejmym gestem trącił go w ramię, wskazując szeryfa i jego kubek.

– Gospodarzowi... – upomniał.

Szeryf podziękował skinieniem głowy. Wiedział z doświadczenia, że

w licytacji na grzeczności nie ma szans, nie chciał tracić więc czasu. Ale wiedział też, że gość nie lubi przynaglania.

– Jak wam się udało przybyć w taki dzień? – spytał wbrew sobie.

Ramirez spojrział ze szczerym zdziwieniem.

– A cóż macie do zarzucenia onemu dniu? – Uniósł brwi. – To piękny dzień, dobry do podróży. Hołota się po traktach nie pęta...

– Hołota, owszem, nie – odparł szeryf. – Tylko wilki, a może i coś gorszego. O takich drobnostkach, jak zawieja i mróz, nawet nie wspomnę.

Ramirez pociągnął wina, skrzywił się z widoczną aprobatą. Szeryf wiedział, że gdyby wino było marne, skrzywiłby się również, potem zaś dopił je do końca i pochwalił, ale pochwała uderzyłaby gorzej niż niejedne wyzwiska. Tym razem jednak nie było obawy. W zamku Nottingham już wiedziano, jak wyrafinowany smak ma ten szlachcic.

– Zawieja i mróz – mruknął z zadumą Ramirez, mocząc płowe, zapewne po walijskich przodkach, wąsy w kubku – też mają dobre strony. Pomyślałeś kiedyś, panie, jak po takiej drodze smakuje wino? Zwłaszcza tak znakomite?

Szeryf zmilczał w odpowiedzi na pochwałę, zupełnie zresztą szczerą. Wiedział, że winu nie można było nic zarzucić. No, może poza ceną.

– Nie chciałbym uchybić... – zaczął z namysłem; w obecności Ramireza łapał się na tym, że jego mowa nabierała także wyszukanej grzeczności.

– Ależ, skądże znowu – zaprzeczył Ramirez, odstawiając kubek. – Już przechodzę do rzeczy. Wybaczcie, panie. Oczekujecie rezultatów. – Niecierpliwym gestem uciął spodziewane protesty. – Nie zaprzeczajcie. Czekaliście już dosyć długo, za długo, jak przyznaję ze wstydem. Zazwyczaj bywa szybciej, lecz ta sprawa jest wyjątkowo skomplikowana.

– Ależ, odpocznijcie najpierw – zdołał wtrącić szeryf. – Cóż ze mnie za gospodarz, zdrożeni jesteście, pewnie głodni.

No proszę, pomyślał, jednak pozwoliłem się wciągnąć w wymianę grzeczności. Ale inaczej nie uchodzi, nawet wobec... No właśnie, wobec kogo?

Claymore Ramirez, pomyślał szeryf, osobliwe połączenie walijskiego imienia z nazwiskiem o południowym brzmieniu. Co znaczyło "Ramirez",

szeryf nie wiedział. Claidheamh Mo'r, to chyba Wielki Miecz w jednym z tych dzikich narzeczy, jak przypomniał sobie. Tak pewnie brzmiało niegdyś to imię, zanim przybrało obecną formę. Dziwne miano, ale prawdziwe. Ten człowiek nigdy nie występował pod przybranymi nazwiskami. Nie musiał. Choć szeroko znany, na palcach jednej ręki można było policzyć osoby, które potrafiłyby go opisać. Mistrz we władaniu bronią – jak wieść niosła, rękę układał mu sam de Folville – mimo to nigdy nie stawał w szrankach, nie został pasowany. Nawet o to nie zabiegał.

Na dźwięk jego nazwiska milkły rozmowy, choć nie padały słowa pełne pogardy dla kogoś, kto zajmował się rzeczami może nie tyle niegodnymi, ile niezwykłymi dla szlachetnie urodzonego. Zapewne wielu w głębi duszy czuło tę pogardę, jednak znacznie silniejszy był lęk.

Ramirez pomagał ludziom w kłopotach. Różnym ludziom w różnych kłopotach. Był tylko jeden warunek. Musieli dużo zapłacić. Ramirez był bowiem równie skuteczny, jak drogi.

Bardzo drogi, pomyślał szeryf ze złością. I oby teraz okazał się skuteczny.

Drogi specjalista obserwował szeryfa spod oka. Nieraz widywał ten moment wahania, czy poniesione koszty warte były rezultatów.

Milczenie przedłużało się. Zmieszany szeryf pomyślał, że Ramirez musiał już widywać podobną niecierpliwość i wypisane na twarzy wątpliwości.

– Opowieść będzie długa. – Ramirez wybawił go z zakłopotania. – Jedno nie przeszkadza drugiemu. Możemy rozmawiać przy posiłku.

Szeryf z ulgą klasnął w rękę, przywołując służbę.

Zapach pieczonego mięsa w ciężkim, korzennym sosie ożywił nawet twarz Ramireza, zazwyczaj bez wyrazu. Jadł powściągliwie, nakładając plastry mięsa na szerokie, cięte w poprzek całego bochenka kromki chleba. Nie ukrywał, że mu smakuje i był to pierwszy ludzki odruch, jaki zauważył u niego szeryf.

W większości zlecenia, jakie wykonywał Ramirez, były proste. Polegały na tym, że ktoś uznawał, że inny człowiek nie powinien dłużej chodzić po świecie. I jeżeli sam nie mógł, albo nie potrafił spowodować, by ów człowiek pospieszył się na spotkanie ze Stwórcą, załatwiał za niego sprawę Ramirez. Na ogół było to łatwe, ale czasami niedobrzy ludzie nie spieszyli się do śmierci. Potrafili się bronić, albo uciekać. Obrona nie była dobrym pomysłem, natomiast ucieczka mogła utrudnić sprawę nawet specjalście. Trzeba było delikwenta znaleźć, a to trwało. I kosztowało zleceniodawcę znacznie więcej.

Jak dotąd tylko jeden klient zdołał uniknąć swego losu. Ramirez wspominał to z niesmakiem, pomimo że zlecenie nie było wiele warte, podobnie zresztą jak zleceniodawca, jakiś gówniarz, szlachecki syn. Ramirez namówił hrabia, ojciec gówniarza. Stary hrabia pienił się ze złości, opowiadając o oszuście, który do spółki ze złodziejskim karczmarzem obłupił niewinnego, naiwnego młodzieńca, oszukując przy grze. Karczmarza dało się przykładnie ukarać, ale oszust, udający szacownego kupca prysnął z łupem.

Dla spokoju Ramirez przyjął zlecenie. I jak dotąd nie miał żadnych rezultatów, bo udający kupca oszust zapadł się pod ziemię. Cóż, pomyślał Ramirez, prędzej czy później... Przypomniawszy sobie takiego, którego znalazł po dziesięciu latach. Człłek zdążył się nawet ożenić, dochować dzieci i dorobić, jak twierdził zleceniodawca, za ukradzione pieniądze. Było wtedy sporo kłopotu, musiał poświęcić wiele czasu, by przekonać delikwenta, że powinien sam się powiesić. Bo przecież nie można, tak na oczach żony i dzieci... Wzdragająca się przed tym chrześcijańska część skomplikowanej duszy Ramirez. I nieważne było, że nikt wtedy nie zapłacił, gdyż zleceniodawca zdążył wcześniej opuścić ziemski padół. Kontrakt jest kontraktem, a specjaliści szczytą się tym, że zawsze się z niego wywiązują.

Ramirez zaspokoił pierwszy głód. Szeryf przyglądał się ze zdziwieniem, jak ociera usta czystą lnianą szmatką, wyciągniętą zza mankietu. Jakby nie miał rękawów... To się nie przyjmie, ocenił.

Pociągnął łyk wystygłego już wina. Nie zawołał o nowy dzban, nie chciał przerywać. Dowiedział się już wiele, sam dziwił się, że tak wiele. Może nawet nie było zbyt drogo, pomyślał. Wart jest tych pieniędzy.

Wyjaśniła się sprawa nagłego ucichnięcia pogłosek o człowieku,

mieniającym się nowym wcieleniem Robina w Kapturze. Tak to jest, że pogłoski cichną, gdy ich obiekt gryzie ziemię. Banda rozpięzchła się, a jeżeli nawet w lesie zostały jakieś niedobitki, to nie przetrzymają zimy.

– Nie słuchacie, panie. – Przez zamyślenie przebił się głos Ramireza.

Szeryf potrząsnął głową.

– Wybacz – powiedział. – Ale spodziewałem się tego. Wiedziałem, że Match stanie do tej walki. Sam zresztą wiesz.

Ramirez znał historię Matcha. Całą, ze szczegółami. Szeryf nie miał oporów przed opowiedzeniem mu wszystkiego, co powinno zostać tajemnicą. Mówiono, że Ramirez zna większe tajemnice, nawet takie, które mogą zachwiać tronem. Zna, bo musi znać. Ale są bezpieczne.

Claymore pokręcił głową.

– Zdziwisz się – odparł. – Nie stanął do walki. Zabił, możliwe. Ale nie w walce.

Szeryf uniósł tylko brwi. To było niepodobne do Matcha. To miała być walka jego życia, ukoronowanie, lub też kres wszystkiego. Albo nawet jedno i drugie. Zapłata za wszystko.

– Nie mógł stanąć do walki. – Ramirez skrzywił się jak zwykle. – Nie miałby szans, było ich wielu. Więc nie stanął, i powiem ci, doceniam taką decyzję. I pochwalam. Niemniej ten, który miał zginąć, zginął. W dziwny sposób...

Odkroił plaster pieczeni. Nabite na ostrze noża mięso starannie moczył w wystygłym już trochę sosie. Sięgnął po chleb.

– W bardzo dziwny – powiedział z namysłem. – Wiesz, znalazłem takiego jednego, co wtedy był na tej polanie. Normalnie nie ujawniam źródeł informacji, ale tym razem jest to tak niewiarygodne... – Położył mięso na chleb, ugryzł potężny kęs.

Szeryf poczekał, aż spłucze kęs łykiem wina.

– Stali na polanie – rzekł wreszcie Claymore. – Dużej polanie, kiedyś było tam pogorzelsko. Czekali. Co ważne, nie spodziewali się, że Match będzie walczył z ich przywódcą. Powiedziano im zupełnie coś innego. Zaczekaj... – Uniósł dłoń.

Szeryf zastygł z otwartymi ustami.

– Wiem, o co chcesz zapytać. Ale o tym później, po kolei.

Szeryf zamknął usta. Rzeczywiście, po kolei, pomyślał. I tak wiem, kto pociągał za sznurki.

– Owszem, liczyli się z tym, że Matcha trzeba będzie zabić – ciągnął Ramirez spokojnie – jeżeli do nich nie przystanie. Lub też jeżeli postawi warunki nie do spełnienia. Na przykład, będzie chciał przewodzić. Ale chcieli się dogadać. Match był im potrzebny, bardzo potrzebny. Jego legenda, a może raczej on sam jako łącznik pomiędzy inną legendą, legendą Robin Hooda, a nimi. Tymi, którzy uważali się za jego następców. Zresztą, to w tej chwili nieważne...

A co jest ważne, chciał spytać szeryf. Nie spytał.

– Przywódca banitów czekał na to spotkanie, wiele sobie po nim obiecywał. Wiele mu obiecano. Doczekał się śmierci. Bardzo dziwnej i zagadkowej. Wiesz, jak zginął?

Szeryf zaprzeczył. Ramirez skrzywił się ironicznie.

– Nie jesteś w tym odosobniony – powiedział sucho. – Nikt nie wie. Wszyscy widzieli, a nikt nic nie rozumie.

– Powiesz, że poraził go grom z jasnego nieba? – rzucił z przekąsem szeryf. – A może zasłabł i umarł z samego wrażenia?

– Niepotrzebna ironia – skwitował sucho Claymore. – Niepotrzebna, bo jesteś bliski prawdy. W tym pierwszym przypadku.

Szeryf postanowił więcej się nie wtrącać.

– Został trafiony bełtem w sam środek czoła – podjął Ramirez, z aprobatą przyjmując milczenie szeryfa. – Nie wiadomo przez kogo, nie wiadomo skąd. Jak mówiłem, polana jest duża. Nie ma człowieka, który ze skraju lasu trafiłby go z kuszy w sam łeb. Bełt przyleciał z nieba.

Szeryf uśmiechnął się. Coś mu to przypominało. Opały baron.

– Nie śmieję się. – Claymore opacznie pojął reakcję rozmówcy. – Tak mówią ci, którzy to widzieli. Twierdzą też, że ów nieszczęsny człowiek, mniający się wcieleniem Robin Hooda, którymś tam z rzędu, był naznaczony. Piętnem śmierci.

Zapadła cisza. Ramirez popatrzył drwiąco.

– Co, tym razem się nie śmiejesz? – zapytał. Szeryf tylko pokręcił

głową. – Masz rację. Ten, z którym rozmawiałem, widział na jego czole piętno. Dokładnie w tym miejscu, gdzie za chwilę uderzył bełt. Szkarłatne piętno śmierci, jak się wyraził.

– Wierzysz w to? – spytał szeryf. Cicho i bez ironii.

Claymore skinął głową.

– Widzisz, powiedział coś więcej. Na polanie był jeszcze ktoś. Druid. Taki, co to od samego początku, gdy tylko zaczęli grasować w lesie, trzymał się z nimi. Doradzał przywódcy.

Szeryf zamyślił się.

Claymore, na chwilę tracąc dworne maniery, podrapał się po konopiastej czuprynie.

– Mówią, że są pociski przeznaczone dla konkretnych ludzi. Przeznaczone im, mocą jakichś tajemnych zabiegów. Takie, które nie miną. – Nadal zamyślony, mówił cicho i jakby do siebie. – Słyszałem też... – przerwał na chwilę. – Słyszałem, że można pociskowi wskazać cel. Tak, że strzelec nawet nie będzie wiedział, kogo zabija. Nawet nie będzie musiał go widzieć. Pewnie nie wierzysz w to? Uznajesz za przesady? – Ramirez uśmiechnął się, spoglądając na szeryfa.

Ten zaprzeczył. Całkiem poważnie.

– Wierzę ci. Widziałem już wiele. Zwłaszcza wtedy, gdy w okolicy kręcił się druid.

Claymore pokiwał głową.

– Trudno się dziwić, że powstała panika, tumult. Nikt specjalnie nie przejmował się ciałem. Potem okazało się, że pocisk zniknął. Druid też.

– Ten twój informator powiedział coś jeszcze?

– Nawet żeby wyciągnąć z niego to wszystko, musiałem się mocno natrudzić. Prawie postradał zmysły. Śmieszne, kiedyś był to wielki zwolennik dawnej wiary, dawnego kultu. Tylko dlatego przystał do banitów. Ale potem nawrócił się w cudowny sposób. Przestraszył się kary boskiej, jak sam mówił, nieskładnie zresztą. Zamierzał dotrzeć do samego biskupa, opowiedzieć o knowaniach diabła, błagać o pomoc...

Szeryf zasępił się. Tego tylko brakowało, żeby sprawą zainteresował się biskup. Ramirez spostrzegł to.

– Co cię tak martwi? – spytał.

– Niedobrze byłoby, gdyby te wieści doszły do biskupa – powiedział otwarcie. – Już przedtem gadano, że nie podoba mu się to, co dzieje się w moim hrabstwie... – urwał, widząc skrzywienie wąskich warg.

Claymore lekko pokręcił głową.

– Nie pójdzie do biskupa – wyjaśnił, zupełnie już niepotrzebnie. – Nigdzie nie pójdzie.

Zapłata za informacje, pomyślał szeryf. Jak to dobrze, że ponoć Ramirez nie przyjmuje kontraktów na dawnych zleceniodawców.

– Dobrze, przejdźmy więc do sedna – powiedział szeryf po chwili. – Do tego, co najważniejsze.

Ramirez i tym razem nie bawił się we wstępy.

– Jego tu nie ma – odparł krótko. – Zniknął, kiedy to wszystko się wydarzyło. I na razie nie wrócił. Stawiam na to całą swą reputację.

Szeryfowi ani przyszło do głowy kwestionować znaną reputację. Zamyślił się jednak ponuro.

– Szukaj dalej – zdecydował wreszcie.

Zabójca z dezaprobatą pokręcił głową.

– Szukaj dalej – powtórzył szeryf z naciskiem.

– Marnowanie pieniędzy – mruknął Ramirez. – Zgoda, twoich, ale zawsze...

Szeryf wstał, zaczął się przechadzać po komnacie.

– Jak sam stwierdziłeś, moich pieniędzy – odezwał się po chwili.

Ramirez też wstał.

– Nie zrozumiałeś mnie – sprostował. – Szukanie go jest marnowaniem pieniędzy. Bo on sam się pojawi. On cię znajdzie.

Szeryf zmartwiał. Tego się spodziewał. I obawiał.

– Siadaj. – Zabójca położył mu rękę na ramieniu. – Nie wprowadzaj nerwowej atmosfery.

Szeryf podsłuchał.

– Na ogół tego nie robię, ale z kolei ja chcę coś zaproponować. – Ramirez usiadł również. – Widzisz, sam nie wiem, dlaczego ci to mówię.

Może dlatego, że ta sprawa jest inna. Nie szukasz dłużnika, nie chcesz moimi rękami sprzątnąć sąsiada, na którego ziemię masz chrapkę, ani nawet zabić narzeczonego panienki, która ci nie dała. Nie uwierzysz, ale takie są najczęstsze motywy.

Szeryf nie przerywał. Nie dlatego, że nie wierzył.

– Ty jesteś inny i ta sprawa jest inna – ciągnął Ramirez. – Dlatego, jeżeli pozwolisz, coś ci zaproponuję. Rozszerzenie kontraktu. Chciałeś, bym odnalazł druida i dowiedział się o jego motywach. I zrobię, jak chciałeś. Z jedną poprawką. Jak go znajdę, to zabiję.

Szeryf nie odpowiedział. Jedynie pokręcił głową.

– To nierozsądne. – W głosie zabójcy pojawił się ton przekonywania. – Jest twoim wrogiem. Wygląda na to, że coś poszło nie po jego myśli. Nie oczekuj zatem, że pozostanie bezczynny. Zrobi ruch. A ty możesz być celem.

Zaśmiał się zgrzytliwie.

– Nie będzie dodatkowych kosztów. W końcu to znalezienie go będzie najtrudniejsze, za co już płacisz. Sam finał nie jest zwykle drogi, ot, koszty własne. Zużycie strzał na przykład.

– Nie, Ramirez, jeszcze nie. – Szeryf był zdecydowany. – Nie mogę. Zrozum, ja muszę wiedzieć, nie tylko mój los od tego zależy. Jeśli zabijesz go za wcześnie...

Jeśli zdołasz go zabić, pomyślał.

Claymore wzruszył ramionami.

– Wiesz, po czymś takim powinienem odmówić – rzekł cierpko. – Zwykle odmawiam. Co by to było, gdyby klient dyktował mi, co mam robić? Sam się sobie dziwię, bo jednak nie odmówię. Dobrze, będzie jak chcesz. Ale to błąd.

– Wybacz – powiedział szeryf. – A gdybym zmienił zdanie? – Zawiesił głos.

Ramirez znów roześmiał się. Nie był to miły śmiech.

– Możemy porozmawiać.

Szeryf zrozumiał. Zostało coś jeszcze.

– Powiedz, nie boisz się? – spytał cicho, nie mając nadziei na

odpowiedź. Jednak padła.

- Już nie. Za pierwszym razem się bałem.
- Nie boisz się bogów? Nie druidów, nie ich mocy, ale bogów?
- Których? - rzucił Claymore z zimnym błyskiem w oczach.

Ramirez był zły. Bardzo często zleceniodawca wiedział lepiej, uparcie odrzucając wszelkie rozsądne sugestie. Dawniej próbował tłumaczyć, że ostatecznie to on jest fachowcem, potem coraz częściej po prostu zwracał zaliczkę. Czasem skutkowało i zleceniodawca zaczynał myśleć. Czasem nie, i wtedy zostawał sam.

Tym razem było tak samo. Robert de Reno robił wszystko, by położyć głowę pod topór. Nie tylko zresztą własną, bo jego bezsensowne obiekcje czyniły wykonanie zlecenia o wiele bardziej ryzykownym, a do swojej głowy Ramirez był osobiście przywiązany.

Mimo zacinającego śniegu uniósł nieco kaptur, rozejrzał się. Ulice były jak wymarłe, zza szpar okiennic pobłyskiwało mętne światło kaganków i łuczyw. Wiatr rozdmuchiwał torf, tłący się w żelaznym koszu pod bramą, miotał iskrami. Strażnika nigdzie nie dojrzał, skrył się zapewne w wykuszu, otulił płaszczem, klnąc szeryfa, zwierzchność i cały parszywy świat.

Zawieja cisnęła garścią śniegu prosto w oczy. Claymore zamrugął, teraz z kolei on zmełł w ustach przekleństwo.

Może lepiej zanocować, pomyślał i przez chwilę pożałował, że nie przyjął propozycji szeryfa. Ale zdawał sobie sprawę, że musi wszystko przemyśleć, zresztą nie powinien zbyt rzucić się w oczy służbie, zbrojnym i w ogóle wszystkim kręcącym się po zamku.

Naciągnął kaptur na czoło, ruszył szybciej w kierunku bramy. Ostatecznie nie miał tak daleko, kilka mil gościńcem zaledwie, co z tego, że zawianym przez zaspę. Nie pierwszozna. Ale pokusa ciepłego wnętrza oberży była silna, nawet jeśli podawano by w niej rozwodnione siki zamiast wina.

Wciąż miał poczucie, że jednak popełnia błąd. Może nie on sam, w

końcu to tylko interes, przecież nie on zapłaci.

To w ogóle śmierzcząca sprawa, pomyślał, idiotyczny kaprys wielmoży. Co go obchodzi byle rzeźnik, były banita? Owszem, jest w tym wszystkim jeszcze ona. Ale przecież tym bardziej powinien być zadowolony, że Match zniknął raz na zawsze. A jeśli jeszcze nie zniknął, to zniknie.

Ramirez zaklął jeszcze raz. Co w tym wszystkim jest, że rozsądni ludzie robią takie głupstwa? Co w ogóle jest w tej pieprzonej legendzie, w imię której ludzie giną i zdradzają od lat?

W podcieniu bramy nie wiało tak okrutnie, ale mróz trzymał solidny, bo cegły muru pokrywało szkliwo szronu. Ramirez strząsnął śnieg z płaszcza, otarł sośle zamrożonego oddechu z płowych wąsów. Chwilę stał bez ruchu w mrocznym podcieniu, którego nie rozjaśniały dogasające w koszu bloki torfu.

Zrobię to, zrozumiał nagle, zrobię jak on chce. Ale też i po swojemu, więc na jedno wyjdzie. Obym tylko zdążył, dotarło do niego nagle. Wiedział, że de Reno wynajął go grubo za późno.

– O co w tym chodzi? – powiedział na tyle głośno, że słowa przebiły się przez poświst wichru w szparach bramy. Dotarł do skulonego w wykuszu, okutanego derką strażnika. Zbrojny wygramolił się, klnąc głośno i plugawie. Dopiero teraz skojarzył, że ktoś stoi pod bramą. Macał zgrabiałą ręką, szukając drzewca glewii, odstawionej pod mur.

Ramirez roześmiał się głośno. Poczuł się lepiej, gdy decyzja została podjęta.

– Zostaw to żelastwo, człowieku, bo sobie krzywdę zrobisz! – zawołał. – I otwieraj, żywo, spieszy mi się!

Strażnik przestał przeklinać i wybałuszył oczy ze zdziwienia. Claymore ledwo powstrzymał śmiech, widząc płaski hełm, nasadzony krzywo na okutaną jakimiś szmatami głowę.

– Eh, panie – zamamrotał zbrojny popękany od mrozu wargami. – Siedzielibyście gdzie przy kominie, dupsko grzali. – W jego oczach błysnęła źle maskowana nienawiść. Nie mógł zrozumieć, że ktoś, komu żaden skurwysyn sierżant nie wyznaczył takiej służby, wybiera się gdzieś z własnej i nieprzymuszonej woli, a na dodatek jeszcze fatyguje porządnego człeka, by mocował się z ciężką sztabą blokującą skrzydła

bramy.

– No, żywiej, żywiej... – Ramirez powstrzymywał się, by nie pogonić ślamazarnego zbrojnego kopniakiem.

Strażnik, odstawiwszy glewę, mocował się z zamykającą bramę sztabą.

Widząc, że niesporo mu to idzie, Claymore sam chwycił odporne żelastwo. Poczul, jak wilgotne rękawice przywierają do rdzawej powierzchni.

Zbrojny łypnął zdziwiony. Zdziwienie przerodziło się w złość, gdy zrozumiał, że skoro wielmożny pan sami muszą się trudzić, nie ma co liczyć nawet na złamanego pensa za otwarcie bramy. Dobrze jeszcze, jak przez łeb nie zdiełają.

Sztaba uniosła się, zaskrzypiały zawiasy. Ramirez z trudem oderwał przymarznięte do żelastwa rękawice, z niejakim poczuciem winy patrząc na krwawiące dłonie strażnika. Żołnierz nie miał rękawic, dłonie owijał w jakieś skrawki futer.

Zmrużył oczy, grzebiąc w zanadrzu w poszukiwaniu sakiewki.

– Na! – powiedział, nie sprawdzając nawet, jaką monetę wygrzebał. – Zostaw to wszystko w cholerę i idź na piwo, najlepiej grzane.

Na pokrwawionej dłoni, w świetle rozdmuchanych wiatrem płomieni z palącego się w koszu torfu, błysnęło matowo srebro. Zbrojny wykonał ruch, jakby chciał paść do nóg.

– Jakże to? – zamamrotał. – Z posterunku zejść?

Ramirez roześmiał się.

– Możesz spokojnie – zapewnił. – Pies z kulawą nogą nie przyjdzie sprawdzać, czy tu stoisz. Trzeba być idiotą, żeby się włóczyć w taki czas.

Pewnie, pomyślał zbrojny, a wy? Był jednak na tyle rozsądny, że nie powiedział tego na głos. Uciekł tylko wzrokiem.

Claymore wstąpił w wąską szparę w uchylonych wrotach, za którymi były jedynie ciemność i wiatr. Odwrócił się jeszcze.

– Może mi tylko powiesz, dobry człeczko, po co ja to robię? – Musiał mówić głośniej, by przekrzyczeć zawodzenie wiatru. Nie czekając na odpowiedź, ruszył w zadymkę.

Zbrojny stał chwilę, po czym zabrał się do zamykania opornych drzwi. Nawet nie próbował odpowiadać, to nie było na jego rozum.

Zanim oba skrzydła bramy uderzyły o siebie, zdążył coś usłyszeć poprzez narastające zawrodoenie wichru.

- W imię, kurwa, zasad! - dobiegło z mroku. I coś jeszcze, jak stłumiony śmiech.

- VI -

Jason miał dość. I zaczynał się bać.

Już nie swoich snów i przeczuć. Sny odeszły, od rozmowy z Matchem sypiał kamiennym snem, bez marzeń i majaczeń. Jeszcze nie tak dawno męczył go ów dar, czy raczej przekleństwo, jak znacznie częściej to nazywał. A teraz czuł się po trosze jak ślepiec.

Powoli nabierał sił, choć dolegała mu wyłącznie mięsna dieta, brakowało zwyczajnego chleba czy choćby podpłomyków, nie mówiąc już o takich delicjach jak jarzyny. Rozpaczliwe eksperymenty Basile'a, polegające na gotowaniu utartej na kamieniach buczyny czy brzozonego łyka jakoś do nikogo nie przemawiały, zresztą sam pomysłodawca nie dawał dobrego przykładu i po spróbowaniu swych specjałów spluwał jak wszyscy. W lesie nie było orzechów, nieliczne grzyby wyglądały podejrzanie. A rzeczka nieopodal okazała się kompletnym bezrybiem.

Ale nie narzekał. Zdawał sobie sprawę, że jest wystarczająco źle bez narzekań.

Jason nie wiedział, ile czasu przeleżał nieprzytomny. Dlatego wściekł się, kiedy dowiedział się, że ani Match, ani Basile nie wpadli na pomysł, by chociaż na kiju wycinać karby, które znaczyłyby mijające dni. Dopiero od niedawna zaczął sam to robić.

Dziś, jak co ranka, siedział przed chatą i liczył nacięcia. Przed chwilą zrobił właśnie pięćdziesiąte.

To może już trwać ze cztery miesiące, pomyślał, wiodąc opuszką palca po płytkich nacięciach. Niedługo trzeba będzie znaleźć nowy kij. Dni coraz dłuższe, może jest już koniec stycznia, albo nawet i lutego. I wciąż ta mokra zgnilizna.

Trzeba znaleźć nowy kij. A jeszcze lepiej jakieś wyjście. Inaczej nasze kości niedługo będą próchnieć i pokrywać się zielonymi mchami.

Ale brak wyjścia nie był największym problemem. Był nim Match.

Ten wyszedł właśnie z chaty, ponury i zarośnięty. Mruknął coś pod nosem na powitanie Jasona, przysiadł na progu i dociągał rzemienie, utrzymujące na nogach niewyprawione skóry. Buty dawno mu się rozleciały.

Codziennie wychodził rankiem, ale Jason przypuszczał, że kręci się tylko po lesie, sam ze swoimi myślami. Wiedział, że dziś również nie odpowie na nagabywania, pójdzie w las i wróci dopiero ciemną nocą, mokry i milkliwy. Zje swoją porcję wędzonki czy pieczeni, położy się na pryczy i zapatrzy w powalę, nie reagując na nic. Czasem zaledwie odpowie niechętnie burknięciem. Albo przekleństwem.

Jak teraz, gdy pękł rzemień. Match zaklął, nie podnosząc głowy.

Jason miał dość. Cisnął kij z korbami prosto w krzaki, na co od dawna miał ochotę, tak mniej więcej od kiedy zrobił dziesiąte nacięcie, i zerwał się z ławeczki.

– Co ty sobie, kurwa, myślisz?! – wrzasnął, aż echo odbiło się od lasu.
– Łazisz nie wiadomo gdzie i nie wiadomo po co, gęby do nikogo nie otworzysz! Myślisz, że kim, kurwa, jesteś?

Match spojrzał na niego. Przez chwilę wydawało się, że podniesie się tylko i odejdzie w las, by wrócić, gdy już wszyscy zapomną. Nie tym razem.

Wyprostował się powoli, stanął przed Jasonem. W wychudłej twarzy pałały szalone oczy. Jason w pierwszej chwili chciał się cofnąć.

– Wyjścia szukam – powiedział z namysłem Match. Głos miał dziwny, zupełnie pozbawiony emocji. – Nie siedzę na dupie jak wy. – Zrobił ruch, jakby chciał wyminąć Jasona.

Ten zastąpił mu drogę.

– Nigdzie nie pójdziesz, dość tego! – warknął.

W szalonych oczach Matcha błysnęła złość. Wyciągnął rękę, chwycił Jasona za ramię, chcąc odsunąć go na bok.

Jason się nie poruszył.

– Zabierz tę łapę – wycedził. – Nigdzie nie pójdziesz. Od dzisiaj koniec z robieniem z siebie idioty.

Twarz mu nie drgnęła, choć zimny dreszcz wędrował wzdłuż kręgosłupa. Match puścił jego ramię, ale drugą dłonią wykonał lekki ruch, jakby chciał sięgnąć do rękojeści trzymanego pod pachą miecza.

– Dalejże – syknął Jason. Już nie czuł strachu, tylko złość. – Tnij. Bo inaczej cię nie puszcze.

Ręka Matcha drżała. Drgał mięsień na policzku.

– Trzeba było mnie zostawić, nie zwracać sobie dupy – ciągnął Jason bez litości. – Nie miałbyś dzisiaj problemów.

W oczach Matcha zgasło szaleństwo. Były teraz zupełnie puste, pozbawione wyrazu.

– Co ty wiesz, Jason? – zaczął cicho. – Co ty wiesz?

Odstąpił o krok, potarł twarz dłońmi. Miecz wypadł mu spod pachy.

– Co wiem? – Jason pokręcił głową. – Wiem, że kiedyś mnie uratowałeś, ale teraz stałeś się żalosnym gównem, które nie potrafi nikomu spojrzeć w oczy! Trzeba było mnie zostawić, żebym zdechł w lesie, miałbym przynajmniej spokój. A ty do dziś siedziałbyś w klasztorze i jebał kozy!

Match nawet nie poczerwieniał.

– Co ty wiesz! – Teraz mówił coraz głośniej. – To moja wina, to ja sprowadziłem cię tutaj! Stąd nie ma wyjścia, sam wiesz! Zdechniemy tu, a tam... – Złapał Jasona za ramiona, zacisnął dłonie, potrząsnął. – A tam zginą wszyscy – wyszeptał. – Wiesz, o tym, Jason, wiesz dobrze jak i ja. To moja wina, moja głupota... – Ścisnął coraz mocniej, z całą siłą miotającego nim szaleństwa, nie zwracając uwagi na wysiłki Jasona, który chwycił go za nadgarstki, usiłując się uwolnić. – To moja wina! – krzyczał Match, pryskając Jasonowi w twarz kropelkami śliny. – To ja cię tu przyprowadziłem! Ciebie i tego nieszczęsnego idiotę!

W głębi chatki coś załomotało, jakby ktoś cisnął o ścianę czymś ciężkim. Jason poczuł, jak uścisk nagle zelżał.

Basile oderwał od niego Matcha bez wysiłku.

– Jak powiedziałeś? – spytał groźnie.

Match o mało nie zatchnął się z wściekłości.

– Spieprzaj, nieszczęsny idioto! – syknął.

– Nie mów tak! – warknął Basile. – Nie mów, bo ci przypieprzę.

Puścił Matcha, aż ten się zatoczył. Stał bez ruchu, na bezmyślnej zwykle twarzy olbrzyma malowała się wściekłość.

Jason przezornie się odsunął, rozcierając obolałe ramiona.

– Eh, ty... – wycedził Match. – Co ty sobie wyobrażasz? Kim ty jesteś, jak ci się wydaje? – Pchnął Basile'a wyprostowanym palcem prosto w pierś. – No, co mi zrobisz, idioto nieszczęsny? – dokończył.

Jason tylko przymknął oczy. Usłyszał trzask, gdy wielka pięść Basile'a zderzyła się z nosem Matcha. Potem coś zważyło się na ziemię.

Gdy otworzył oczy, Basile stał jak przedtem. Match gramolił się z mokrej trawy, niczym ślepiec wodząc dokoła rękami. Z nosa ciekła mu krew, rozmazywał ją po twarzy. W końcu domacał się solidnego kawałka polana, które ktoś kiedyś przywlókł tu na opał. Poderwał się z bojowym okrzykiem.

Polano trafiło we wzniesione przedramię i pękło z trzaskiem. Match miał pecha, było dość spróchniałe. Basile nie drgnął nawet, zamrugał tylko zapróższonymi oczami i znów trafił celnie, tym razem w szczękę. Match toczył się jeszcze po ziemi, gdy Jason postanowił wrócić do chaty. Niech chłopcy załatwią to między sobą, pomyślał, i na wszelki wypadek zabrał leżący w trawie miecz, żeby nie przyszło im co głupiego do głowy.

Siedział na swej pryczy, wsłuchując się w głośnie przekleństwa, wyzwiska i odgłosy ciosów, które dobiegały z niepokojącą regularnością. Match niewątpliwie zbierał największy łomot w życiu. Jason pomyślał nawet, czy aby nie za duży, gdy usłyszał zduszony okrzyk.

– Kurwa! – Basile odezwał się po raz pierwszy od początku bójki.

Coś walnęło z hukiem w ścianę chaty, aż cała leciwa konstrukcja zadrżała. W izbie pociemniało od kurzu, który wzniósł się ze wszystkich zakamarków, a za chwilę zrobiło się jeszcze ciemniej, gdy przygarbiona sylwetka przesłoniła drzwi.

Basile wszedł skurczony, przyciskając ręce do krocza.

– Kopnął mnie w jaja – poskarżył się, boleśnie skrzywiony.

– Aha. Mogłeś się tego spodziewać.

Basile nie odpowiedział. Usiadł na pryczy i kiwał się tylko, jak dziecko dotknięte chorobą sierocą.

– Żyje? – spytał Jason po chwili.

Basile przytaknął ruchem głowy.

– Nie walnąłem go mocno – dodał. – Ot tak, żeby se nie myślał.

Jason o mało nie parsknął śmiechem. Zastanawiał się co by było, gdyby Basile walnął mocniej.

Zaraz jednak spowaźniał. Znał Matcha. I wiedział, że są w tej chwili dwie możliwości: albo pozbiera się spod ściany, pójdzie w las i zniknie na zawsze, albo zmądrzeje i weźmie się w garść.

– Jason... – Basile oderwał już dłonie od krocza, widać ból przechodził.

Za ścianą było słyhać, jak Match gramoli się, klnąc zduszonym głosem, i bulgotliwe pociąga nosem, zapewne złamanym.

– Jason, przepraszam... – Basile mówił niepewnie, jak chłopak, który coś zbroił.

– Coś ty! – parsknął gniewnie Jason. – Zrobiłeś, co mogłeś zrobić najlepszego, a czy poskutkuje, to zobaczymy.

Nie czekali długo. Match pojawił się w drzwiach, musiał przytrzymać się framugi. Gdy wszedł dalej, nawet w półmroku widać było brodę, zlepioną ciekącą z nosa krwią, i coraz ciemniejszą właśnie obwódkę wokół jednego oka.

Podszedł do pryczy, na której siedział Basile. Milczał dość długo.

– Przepraszam – powiedział wreszcie. – Miałeś rację. Obaj mieliście.

Uczynił niezręczny gest, jakby chciał wysunąć rękę, ale w końcu poklepał tylko chłopaka po ramieniu i ruszył do wyjścia.

W drzwiach przystanął i odwrócił się.

– Jeszcze słówko, Jason – rzucił, nie patrząc na nikogo. – Nigdy nie jebałem kóz.

Match siedział wraz z Jasonem na ławeczce pod ścianą. Splunął krwawą śliną. Zęby się ruszały, ale żadnego nie stracił. Sam się temu

mocno dziwił.

– No dobrze – odezwał się po chwili. – Parę spraw załatwiliśmy. Przepraszam was obu, i ani słowa więcej. – Pokręcił głową, krzywiąc się niemiłosiernie. – Jak zwykle wyszedłem na idiotę.

– Miałeś już nic nie mówić – przerwał Jason nielitościwie. – To akurat wiemy.

I nie posuwa nas to do przodu, skonstatował w duchu. Ale nie powiedział tego na głos.

– Ano nie posuwa – rzekł Match ponuro. – Ani to, co robiłem ostatnio, nie posunęło również.

A co robiłeś, pomyślał Jason. Włóczyłeś się bez sensu po lesie, zamiast siedzieć spokojnie w chacie. Taki już jesteś, wolisz najbardziej bezsensowne działanie od bezczynności. Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie tego, co właśnie usłyszał.

– Co powiedziałaś? – wykrzyknął prawie.

Match spojrzał na niego uważnie jednym okiem. Drugie zapuchło już tak, że pomiędzy powiekami nie została nawet szparka.

– Zgodziłem się z tobą – odparł sarkastycznie. – Co, nie jesteś do tego przyzwyczajony, myślisz, że będę się kłócił?

– Z czym się zgodziłeś? – naciskał Jason.

Match pomilczał trochę.

– Z tym, co powiedziałaś – mruknął w końcu. – Jason, to ja dostałem po łbie, nie ty. To dlaczego tobie odbija?

– Ja nic nie mówiłem. Tylko pomyślałem...

Zapadła cisza.

– Jason, może jednak nie zgłupiałem tak bardzo...

Mina Jasona świadczyła, że nieco sceptycznie odnosi się do tego stwierdzenia. Ale słuchał dalej.

– To nie było całkiem bez sensu, to moje łożenie po lesie. Wiesz, sam

myślałem, że głupieję, że wariuję z tego wszystkiego. Jednak teraz wiem, że mam rację...

– Match – przerwał Jason. – Spróbuj się skupić. Wiem, dostałeś po łbie, może ci być trudno. Ale uspokój się najpierw.

W oku Matcha znów błysnął gniew i przez chwilę wyglądało na to, że rzuci się na Jasona. Basile przezornie podszedł bliżej, by w razie czego powtórzyć lekcję.

Nie było takiej potrzeby. Match ochłonał bardzo szybko.

– Masz rację, pieprzę bez sensu. Skąd możesz wiedzieć, nie odzywałem się do was już od... – Machnął ręką. – Nieważne. Głupi byłem, myślałem, że nie zrozumiecie. A to proste, Jason, oni tu są. – Urwał, czekając na efekt.

Jason spojrzał porozumiewawczo na Basile'a. Match poczuł ciężką rękę na ramieniu.

– Połóż się może na trochę – powiedział Jason. – Nie chce ci się rzygać czasem?

Match, o dziwo, nie wybuchnął gniewem. Pokręcił głową, krzywiąc się nieco, gdy załomotało mu w skroniach.

– Jason, Basile – zaczął powoli. – Posłuchajcie może. Spuściliście mi łomot, zgoda.

– Ja cię nawet palcem nie tknąłem – zaprotestował Jason.

Match uśmiechnął się krzywo.

– Ale podpuszczałeś. Nieważne, nie o to chodzi. Basile, zabierz tę łapę, bo cię... – Uśmiechnął się szerzej. – Bo cię ładnie proszę.

Olbrzym istotnie zabrał łapę z ramienia Matcha. Zawsze był czuły na prośby.

– Jason, teraz przez chwilę serio. Nie pieprzy mi się we łbie, mimo że łomot dostałem niezły. I nie zwariowałem. Już wiem na pewno, że się nie myliłem. Oni tu są i to niedaleko. Może nawet teraz nam się przyglądają.

Basile się zaniepokoił. Rozejrzał się czujnie dokoła, ale nie dostrzegł nic poza bezlistnymi drzewami i wszechobecną mgłą, unoszącą się z mokrego poszycia.

– Eee, tego, a co mówią? – spytał niepewnie.

– Nic nie mówią! – parsknął Match ze złością. – Tylko obserwują.

Dopiero teraz dotarło do niego znaczenie tego, co usłyszał.

– No nie – jęknął z rezygnacją. – Ty też, Jason? Też myślisz, że jednak zgłupiałem, słyszę głosy?

Jason energicznie zaprzeczył. Przejdzie mu, miał nadzieję.

– To dobrze – uspokoił się Match. – To nawet bardzo dobrze. Bo oni wiedzą.

Tym razem Jason nie wytrzymał. Rozumiał wprawdzie, że w takich przypadkach nie należy zbyt gwałtownie się przeciwstawiać, raczej wysłuchać, a potem przez jakiś czas trzymać delikwenta w cieple i spokoju, z dala od ostrych narzędzi. Na przykład w obórcie. Kiedy minie wstrząśnienie czaszki, powinno się polepszyć. Ale nie mógł się powstrzymać.

– Match, na litość boską, jacy oni? Co wiedzą?

Match popatrzył ze zdziwieniem. Jak ktoś może nie rozumieć tak prostych rzeczy.

– Muszą wiedzieć, Jason! – rzucił z zapalem. – Muszą, to jest ich świat. Muszą znać...

– Jacy oni? – jęknął Jason z rezygnacją.

Ten chciał coś jeszcze dodać, ale zamilkł z wpółotwartymi ustami. Dotarło do niego, że mówi cokolwiek nieskładnie.

– No dobrze – mruknął. – Postaram się od początku. Ale nie polewajcie mnie zimną wodą, dobrze?

– Starsze ludy, powiadasz. – Jason z zastanowieniem podrapał się po głowie.

– Tak, starsze ludy. – Match był już całkiem spokojny, mówił rzeczowo i z sensem. – To przecież ich świat, my jesteśmy tu intruzami.

I to szczególnego rodzaju, pomyślał, przypominając sobie ruiny, do których dotarł w poprzednich wędrówkach, butwiejące szkielety, ślady walk. Nie jesteśmy pierwszymi najeźdźcami. Przed nami byli inni.

Na razie nie zastanawiał się, co z tego wszystkiego wynika, ani nawet, czym był narzędziem, i czemu tak naprawdę miał służyć, exodusowi czy podbojom. Odegnął te myśli, teraz były nieistotne. Kiedyś można będzie do nich wrócić, ale najpierw trzeba przeżyć.

– Wiem, Match... – Jason wpadł w tok jego myśli. – Mówiłeś już kiedyś o tym. Ale wiesz, jakoś wciąż trudno mi uwierzyć. – Uniósł rękę, uprzedzając protesty Matcha. – Wiem – powtórzył – lecz trudno mi uwierzyć. Tu po prostu jest las i nic poza tym.

To Basile zaprzeczył, nie Match.

– Nie, Jason – zaczął poważnie. – Nie tylko las. Możesz o tym nie wiedzieć, nie wychodziłeś dalej, nie mogłeś. Ale ja wiem, tu coś jest.

– Przedtem myślałem, że po prostu głupieję – ciągnął Match. – Bo od dawna to czułem, że oni tu są. Obserwują nas na razie, choć mogliby od razu pozabijać, ot tak, dla pewności... Wiem, ja już kiedyś... – Urwał, wzruszył bezradnie ramionami. – Oni nie są tacy, jak u nas. Żałośni i bezbronni. To ich świat.

Jason spojrzał uważnie.

– Chyba jest coś, o czym nie wiem – stwierdził sucho.

Match przytaknął.

– Owszem, nie wiesz. Nie opowiadałem ci tego dotąd. Nie, nie dlatego, że bałem się, że nie uwierzysz. – Uśmiechnął się krzywo. – Ty i tak wierzysz we wszystko, byle było wystarczająco niesamowite.

Jason pominął milczeniem tę uwagę. Spojrzał tylko groźnie na Basile'a, który lekko się uśmiechnął.

– Wiesz, ja tego po prostu nie pamiętałem. Do dziś miałem tylko niejasne przebłyski. Jason, ja ich znam. Nie tych stąd, triumfujących i władających światem, tylko nielicznych, którzy zostali u nas, zapędzonych w ostatnie zakamarki, wymierających. Jednak są tym samym... – Urwał, popatrzył na Jasona. – Nie wierzysz.

Jason zaprzeczył.

– Wierzę. Ale opowiedz.

- VII -

Scoti alias Szkoci, Obywatele części Insuły Wielkiej Brytanii Scotia zwanej, daley niżli Northumbria leżącej, olim mięsem ludzkim żyjący. Ku nim Człek zwany Wieprzem peregrynował, a w Krainach owych Zły dostęp łatwy dla zgubienia Duszy ma.

Takoż powiadaia, Ludy Starsze, alias Distinctas Gendes tam żyją, od pogany gorsze, ludzi mając figurę y symmetryę, głowy cale nie mają. Autorowie naznaczaią im sedes w Scytyi, niedaleko Ryphaeis montibus. Z otchłani piekielnych rodzaj swoy wywodzą, lubo się ex Monstroso partu rozmnożyli; ieno w komyszach zapadłych żyją, mocy Wiary y Słowa Dobrego nie wytrzymuiąc, takowa generacya dzięki Łasce Bożey y prawych Chrześcijan staraniom wszędy indziej tandem evanuit.

Z tym to Plugastwem Człek zwany Wieprzem po raz wtóry się znosząc, Duszę swą nieśmiertelną naraził, a powiadaia, że i ze szczętem postradał, co uczynki iego późniejsze widno potwierdzaią.

Żywot Bł. Piotra z Blyton, Biskupa Lincoln

Match grzebał nożem w resztkach pieczystego na drewnianej tacy. Nie znosił takich uczt, choć miejsce przy niskim stole, pośród pomniejszych ze szlachty, wielu poczytałoby za zaszczyt. Wielu mu zresztą ten zaszczyt wypominało, poczynając od Gisbourne'a, który na każdej uczcie, zanim jeszcze solidnie podpił, świdrował wzrokiem rozpartego za stołem Matcha. Hrabiemu nie mieściło się w głowie, by ktoś taki zasiadał za stołem, nawet niskim.

Co prawda Match chętnie zrezygnowałby z zaszczytu. Nie bawiło go towarzystwo okolicznej szlachty, która odnosiła się do niego z mieszaniną lekceważenia i lęku. Zresztą w miarę opróżniania dzbanów wina i baryłek piwa lekceważenie brało górę. Gdy zaczynało się kurzyć z

czupryn, zawsze znajdował się ktoś, kto kwestio nował głośno prawa Matcha do zasiadania przy stole, wskazując mu jego właściwe miejsce, przy czym jako właściwe miejsce najczęściej wymieniano loch, szafot, ewentualnie samo piekło.

Tym razem było inaczej. Jeden z sąsiadów spoczywał już pod stołem, w towarzystwie psów, które, powarkując, wydierały sobie ogryzione kości. Po drugiej stronie Matcha siedział zaś jowialny szlachcic, prawdziwy brat-łata, i temu wyraźnie imponowało towarzystwo byłego banity. Szlachcic był denerwujący, ale nieszkodliwy. Nie szukał zaczepki, przepijał tylko nieustannie do Matcha, który zaczynał się obawiać, że nie strzyma. Oceniał, że w monstualnym kałdunie szlachcica mogą się zmieścić ze dwie baryłki. I to lekko licząc.

Nastroju Matcha nie poprawiał minstrel, zawodzący znaną do znudzenia balladę o smoku srogim i jego pogromcy, sir Mortimerze. Na szczęście Gisbourne przechodził właśnie pierwsze stadium upojenia, siedział z głową podpartą na łokciach i wpatrywał się szklistym wzrokiem w przestrzeń. Zwykle gdy bard dochodził do zwrotki, w której dzielny rycerz wraził kopię w trzewia bestii, po czym dorzynał smoka mizerykordią, hrabia nie wytrzymał i w zależności od stanu umysłu rzucał się na grajka z mieczem lub gołymi rękami. Doszło do tego, że za wykonywanie owej ballady w przytomności hrabiego minstrele żądali dodatkowego wynagrodzenia, za niebezpieczne warunki pracy.

Match nie dziwił się hrabiemu. Sir Mortimer był idiotą, niepozbawionym wprawdzie odwagi, ale za to kompletnie wypranym z wyobraźni. Zasług żadnych w zgładzeniu bestii nie położył, tylko przyczynił kłopotów. Całe laury należały się chłopom. Ci zaś sarkali na rycerstwo, które wszelkie zasługi sobie przypisywało, pastuszkowie pokątnie opowiadali historyjki o dzielnym koledze po fachu, co to bestię sposobem zgładził, podsuwając jej wypchaną owcę.

Ale szeryf stanowczo zakazał głoszenia prawdy. Przyrodzoną powinnością rycerza jest przecież pokonać smoka, mówił. I na drugi raz, jak się bestia załęgnie, nikt nie będzie wymagał jej zgładzenia od władz lokalnych, tylko zaraz rycerze zewsząd nadciągną. Dlatego niedobrze byłoby, jakby się rozniosło, że coś dużego, agresywnego i złośliwego można łatwo w wilczy dół schwytać. Na przykład rycerza.

Match wyjątkowo posłuchał bez szemrania. Sam chciał jak

najszybciej o całej sprawie zapomnieć. Gisbourne też się stosował. Na trzeźwo.

Wzrok Matcha nagle skrzyżował się ze spojrzeniem szeryfa. Spostrzegł, że jest zupełnie trzeźwy, tak jak i jego gość, szpakowaty szlachcic o przeciętej paskudną blizną twarzy. Widząc, jak szeryf szepce coś do ucha gościa, Match miał nieprzyjemne wrażenie, że i jego to będzie dotyczyć. Wkrótce okazało się, iż się nie mylił.

Gisbourne stał na blankach muru, wystawiając twarz na rzeźwiące poddmuchy wiatru. Docierało do niego, że przesadził. Szeryf zakazał picia, ale nie mógł do końca dopilnować i teraz, kiedy zaczynały się ważne sprawy, Gisbourne wciąż widział podwójnie.

Rozmowa toczyła się na murach. To niespotykane miejsce wybrano ze względu na hrabiego, licząc na zbawienne działanie świeżego powietrza. Mówił tylko gość, posunięty już w latach szlachcic, o twarzy przeciętej blizną, do którego szeryf zwracał się z widocznym szacunkiem.

Początek rozmowy umknął Gisbourne'owi, zresztą z jego własnej winy, gdyż bardzo niechętnie opuszczał salę, czepiając się wszystkiego, co znalazło się w zasięgu rąk. Trwało trochę czasu, zanim udało się go dostarczyć na blanki. Ale i to, co teraz słyszał, było wystarczająco niepokojące.

– I tak, Robercie, sprawa jest delikatna. – Starszy szlachcic z nieprzeniknioną twarzą spoglądał w ciemność za murem. W jego głosie było coś, co budziło niepokój. Rezygnacja. – Wiesz, jak jest na północy – ciągnął. – Nie mogę zebrać ludzi, ruszyć całą siłą. Klany są niezależne, wywołałbym wojnę.

– Nawet teraz, kiedy, jak sam powiedziałaś... – próbował wtrącić szeryf.

– Nawet teraz – uciął gość. – To delikatna sprawa. Jeżeli ruszymy siłą, odkryjemy karty. Nasze przygotowania wyjdą na jaw. A jeszcze... – urwał, zaciskając zęby. – Jeśli nie ruszymy, jeśli nie zrobimy nic, to wszystko dojdzie do...

Nie musiał mówić, do kogo dojdzie. To było jasne nawet dla Matcha, z zasady nieinteresującego się polityką, którą uważał za knowania wielmoży.

Szeryf gwizdnął cicho. Wiedział znakomicie, o co chodzi, jaką grę prowadzi jego osiadły na północnej granicy krewniak. Wiedział też, co będzie, gdy ta gra się wyda. Podbijanie ziem sąsiadów przy użyciu szkockich klanów było bardzo źle widziane, aczkolwiek nagminne.

– Nieważne. – Szlachcic machnął ręką. – Przyjechałem do ciebie, Robercie. Rozumiesz chyba, więzy krwi.

Szeryf zmrużył oczy. Więzy więzami, ale nie spodziewał się tego po Arnulfie, zwanym Rzeźnikiem. Nawet jeśli to krewny.

– Czego więc oczekujesz? – spytał ostro. Nie znosił Arnulfa od dzieciństwa, kiedy to musiał nazywać go wujem. – Ja mam ruszyć, ze swoimi ludźmi? Myślisz, że jakby co, to ma być na mnie?

– Nie – zaprzeczył Arnulf zwany Rzeźnikiem. – To nic nie da. Tam można posłać tylko kilku. Swoich nie mogę, nie pójdą. Boją się.

Szeryf parsknął śmiechem.

– Bardziej niż ciebie? – Spoważniał nagle i pokręcił głową w zamyśleniu. – Jeśli tak, to chyba rzeczywiście jest się czego bać.

– Próbowałem – zachnął się Arnulf. – Nawet musiałem dwóch obwiesić. Czyste marnotrawstwo. – Zamilkł na chwilę, posapując cicho. Musiał być poruszony.

Szeryf spoglądał beznamiętnie. Ciekawe, co on ma do zaoferowania, pomyślał.

– Wynagrodzę – powiedział cicho, z wysiłkiem Arnulf.

Szeryf uśmiechnął się. Skąpstwo krewniaka dorównywało okrucieństwu.

– Po królewsku wynagrodzę. Ty dasz mi kilku ludzi, pięciu, może sześciu. I kogoś zaufanego, poświęcisz go. Nie martw się, zapłacę, znajdziesz nowego, nie ma niezastąpionych. Widzisz, ja wciąż nie wiem, czy te górskie capy nie łąą w żywe oczy. Może tylko cenę chcą podnieść? Trzeba sprawdzić. Nie wrócą, znaczy prawdę górale mówią. A wrócą, to znaczy łąą, a ja ich wtedy... – Zgrzytnęła zębami, twarz mu ściągnęła się. Stara blizna nadała jej upiorny wygląd. – ...po królewsku wynagrodzę. –

Zgrzytnął jeszcze raz.

To przekonało szeryfa. Wyduszanie pieniędzy z krewniaka było zawsze bolesne. Skinął głową.

– Zgoda – powiedział.

Twarz gościa rozluźniła się. Stała się prawie ludzka.

– Zgoda? – upewnił się jeszcze.

Szeryf kiwnął głową.

– Match, wybierz ludzi. Dobrych ludzi – polecił krótko. – Jutro ruszasz.

Gisbourne i Arnulf zgodnie wybałuszyli oczy. Match nawet nie drgnął.

Arnulf szarpnął lekko szeryfa za rękaw i odciągnął na bok.

– ...słyszał... – docierały do Matcha strzępki słów. Arnulf starał się mówić cicho, był jednak zbyt zaskoczony i wzburzony. – ...słyszał... będzie niepewny... Ucieknie... pobuntuje...

Szeryf po chwili wrócił do Matcha.

– Zrobiłem błąd – zaczął bez wstępu. – Myślałem, że chodzi o coś trochę innego – zniżył głos do szeptu. – Wygadał się, stary dureń. Gdybyś nie wiedział, wybrałbyś kogoś. Ale teraz tego nie zrobisz, prawda? Nie teraz, kiedy wiesz, o co idzie. Znam cię, Match – mruknął coś pod nosem, jak przekleństwo. – Wybierzesz najlepszych. I bez żadnych wygłupów, rozumiesz? To rozkaz. Pojedziesz, zobaczysz i wrócisz.

Odwrócił się nagle, zwinętą pięścią uderzył w mur.

– Niech go diabli wezmą! – wybuchnął, nie przejmując się, że krewniak może usłyszeć. – Niebezpieczeństwo z mgły! Ludojady, niewidzialne i niedotykalne! Wierzysz w to, Match?

Match nie odpowiedział.

– Wierzysz – rzekł szeryf. – I ja, niestety, też.

Nic w tym dziwnego. Niedawno musiał uwierzyć w smoki.

Arnulf wrócił.

– Nie bój się, krewniaku – pocieszył szeryfa, traktując Matcha jak powietrze. – Zapłacę, skoro mówisz, że to twój najlepszy człowiek. Zapłacę, mimo że nie wygląda.

Szeryf spojrział tylko na Arnulfa. Tak, że ten od razu zamilkł.

Kiedy wrócili wtedy do komnat, Arnulf z lubością przypiął się do dzbana i w nieprawdopodobnym tempie nadrabiał wszystko, co stracił podczas uczty. Rozgadał się, nie zwracając uwagi na milkliwość szeryfa.

Opowiadał o swych północnych dziedzinach, o podporządkowanych sobie klanach, straszliwych wojownikach, którzy z radością wyrzynają niewygodnych sąsiadów.

Szeryf zajęty był własnymi, niewesołymi myślami. Królewska zapłata, obiecana przez krewniaka, ciążyła mu na sumieniu. Hrabia spoglądał na niego z niepokojem.

– Panie – zaczął w pewnej chwili, jakby zgadując myśli szeryfa – on sobie poradzi, on sam z tych odmieńców. – Przerwał, spiorunowany przez szeryfa wzrokiem.

Szeryf wymownie spojrział na krewniaka.

– Co? A, tak... – połapał się hrabia.

Match będzie miał atut, którego Arnulf nie pozna, pomyślał. To nie musi być straceńcze zadanie. Sam z odmieńców, zna te wszystkie, tfu, stare ludy, o których tu, na południu, dawno słuch zaginął. Hrabia, prawie całkiem już trzeźwy, przypomniał sobie opowiadania druida o pamięci pokoleń, do której Match może się odwołać, jeśli zdoła.

W zamroczonym jeszcze winem umyśle Gisbourne'a dojrzewała decyzja. Bogata północ, ziemie do podboju. Nie to, co tutaj, wciąż u boku szeryfa, bez szans i perspektyw. Zanim trzeźwa część jego jaźni zdążyła zaprotestować, decyzja została podjęta.

– Ja też – powiedział zdecydowanie.

Szeryf popatrzył na niego uważnie.

– Co ty też? – spytał. – Też się uchłaeś? Nie musisz mówić, to widać.

– Ja też ruszam – odparł hrabia, nieco zbity z tropu, lecz wciąż pewnym głosem.

Czekał na podziw, ale się nie doczekał.

– Jednak się uchlałeś – stwierdził szeryf tylko.

Jeżeli Gisbourne miał jeszcze jakieś wątpliwości, to w tej chwili było po wszystkim. Trzeźwa część umysłu została zepchnięta głęboko, stłumiona urażoną ambicją.

– Też ruszam – oświadczył twardo i tak głośno, że Arnulf zwany Rzeźnikiem o mało nie zakrztusił się winem. Kaszlał dobrą chwilę.

– No, no... – Popatrzył drwiąco na hrabiego. – Kto by się spodziewał? Ale zapłaty nie zwiększę! – zastrzegł szybko.

Wsadź se gdzieś zapłatę, pomyślał Gisbourne. Też mi coś, twoje pieniądze. Poczekaj, ja też pociągnę na północ, też będę miał swoich Szkotów. Lepszych niż twoi. A może właśnie twoich, jak już razem z nimi zwyciężymy ludojadów.

Zagalopował się beznadziejnie. Popatrzył w przekreśloną blizną twarz.

– Honor ze złem walczyć nakazuje – powiedział surowo, mając tylko nadzieję, że język mu się nie zapłacze. Zepsułoby to niewątpliwie efekt twardych, wyniosłych słów. – Nawet z nienazwanym i niedotykalnym. Rzecz to rycerska...

Szeryf z rezygnacją pokręcił głową. Popatrzył na hrabiego. Dopiero następnego dnia do Gisbourne'a dotarło, iż nie było w tym spojrzeniu podziwu.

Z gór spływała mgła. Postrzępione welony opadały coraz niżej, jakby niewidzialna siła ściągała je w doliny. Biały opar odsłaniał niekiedy skały, zbrunatniałe wrzosowiska, małe, rachityczne górskie sosenki i świerki. Tylko wierzchołki gór lśniły matowo ponad mgłami.

Przez całe tygodnie, odkąd tu przybyli, padał deszcz, rozpylony na maleńkie kropelki, które jednak po długim czasie potrafiły przemoczyć do cna wełniane pledy. Czasem z drobnych kropelek przeradzał się w gwałtowne strugi, czasem był zaledwie zawieszoną w powietrzu mgiełką.

Match poprawił wrzynający się w ramię pas przewieszzonego przez

plecy miecza, otarł wilgoć osiadającą kropelkami na twarzy. Schodził w dolinę, do niewidocznej pod całunem mgły wioski. Uważnie stawiał stopy i patrzył pod nogi, by nie skręcić kostki na ścieżce, dobrej dla pędzonych na wypas owiec.

Zwolnił, pamiętając, że dróżka przekracza piarg, a właściwie kończy się przed nim. Pod nogami zachrupały mu drobne kamienie. Stąpał ostrożniej, nie chcąc zmylić kierunku, aż wyszedł prosto na głaz, z rosnącą obok niego powykręcaną przez wiatry sosną. Uśmiechnął się. Przypomniawszy sobie, jak z początku dziwił się kształtom drzew, wyrosłych w odsłoniętych miejscach. Gdy powiedziano mu o sile jesiennych i zimowych wiatrów, uwierzył od razu.

Po lewej usłyszał bełkotanie strumyka, przelewającego się przez głazy. Spadek nie był już tak uciążliwy, sama ścieżka stała się szersza i mniej kamienista. Zbliżał się do wioski. Znów uśmiechnął się krzywo. Nie mógł się przyzwyczać do nazywania wioską kilku sadyb o ścianach ułożonych z płaskich kamieni, z sięgającymi prawie do samej ziemi dachami, krytymi darnią. Nawet zagroda dla owiec otoczona była niskim kamiennym murkiem. Nie przypominało to w niczym wsi z południa, czy chociażby środka wyspy, gdzie chaty były z belek, nierzadko bielonych, z przestronnym majdanem, z cembrowanymi studniami i polami, podchodzącymi pod obejścia, z płotami, na których suszyły się gliniane naczynia.

Tej wioski można by nawet nie zauważyć, jeśli nie wiedziało się, że jest właśnie w tym miejscu. I nie potrzeba było mgły, kryte darnią dachy przypominały niskie, trawiaste pagórki.

Jeden z pagórków wyrósł nagle po prawej. Gdyby nie ciemny otwór tuż nad ziemią, przesłonięty zwisającą skórą, można by wziąć go za niedźwiedzią gawrę. Opary zrzędy nagle, rozpedzone przez płonące w żelaznym koszu bryły torfu. Niewielki płaski placyk w dolinie otaczały ciemne kopce zabudowań. Match nie dostrzegł żadnego ruchu, widać ten, który jeszcze niedawno dał w róg, uznał swój obowiązek za spełniony i schronił się w przytulnym wnętrzu którejś z kamiennych sadyb.

Rudy, nieprawdopodobnie kudłaty i niezgrabny pies łypnął spod oka i wydał z siebie leniwe szczeknięcie. Najwyraźniej uznał, że spełnił obowiązek, wsadził z powrotem nos pod ogon i najwyraźniej zasnął. Wyglądał jak kupa długiej, rudej sierści, pod którą trudno było nawet

zobaczyć, czy oddycha. Match spoglądał na niego przez chwilę, po czym uznał, że jednak śpi. Trudno było przypuszczać, by zdechł tak od razu, od jednego szczeknięcia.

Match wstrząsnął się.

– Pieprzona mgła – burknął. – Jeszcze gorsza od deszczu.

Mrucząc pod nosem klątwy, ruszył w stronę otworu wejściowego, ledwo widocznego pod sięgającym prawie do ziemi okapem. Klął wciąż, gdy schylał się, gdy podnosił przesłaniającą wejście wyleniałą skórę. Zaklął głośniejszym głosem, gdy wystająca znad ramienia rękojeść miecza zawadziła o nadproże, i za kołnierz posypały mu się śmieci.

Pieprzona mgła, pieprzony deszcz, pieprzone wszystkie owce po kolei. Ponoć to ostatnie było prawdą, przynajmniej tak utrzymywały liczne powiastki o góralach.

Klnąc, miał świadomość, że w ten sposób chce dodać sobie otuchy. Bo wciąż pamiętał słowa, które usłyszał nie tak dawno i których nie mógł zapomnieć, czekając tak od wielu, wielu dni.

Niebezpieczeństwo przychodzi z mgłą.

W izbie, o ile norę, zdatną dla niedźwiedzi, można nazwać izbą, było jasno. Match zmrużył oślepienie oczy, pociągnął nosem, i już nawet nie musiał pytać, co się gotuje.

Haggis. Tak niedawno poznał to słowo, a już zdołał je do szczętu znienawidzić.

Niespiesznie rozpiął klamrę na piersi, zdjął miecz. Wysunął go z pochwy, niedużo, na jakieś dwa cale i skrzywił się na widok czerwonego nalotu pokrywającego klingę. Ta wilgoć, pomyślał, przeżera wszystko. Stal broni, skórzany ekwipunek, nawet nas. Sam rankiem czuł strzykanie w stawach.

Ktoś stuknął go w ramię, podając natłuszczony kawałek skóry. Match spojrział na ogorzałą, brodatą twarz pod strzechą jasnych, przetykanych siwizną włosów. Popatrzył w niebieskie oczy, skryte w sieci zmarszczek. Angus McLeod jak zwykle uśmiechał się po swojemu, co Matcha przejęło

jeszcze większą niechęcią do tego miejsca, do tej kamiennej chaty, a zwłaszcza do gotowanych baranich żołądków.

Przyjął jednak kawałek skóry i zmusił się do uśmiechu. Jego niechęć nie rozciągała się na Angusa. Match nigdy nie ufał ludziom od samego początku. Większości nie ufał do końca. Ale ten niemłody już człowiek, mogący przywozić na myśl zdeklarowanego barbarzyńcę, szybko zaskarbił sobie jego zaufanie. I szacunek.

Było to dziwne. Match spotkał Angusa niedawno, nigdy nie widział go w sytuacji ekstremalnej. Ale wiedział już, że zaufa mu bez zastanowienia, zawierzy mu wszystko, z własnym życiem włącznie, o życiu hrabiego nie wspominając nawet. I Gisbourne nie powinien mieć pretensji, będzie to dobry wybór.

Dziwne, pomyślał po raz któryś, przecierając starannie pokrytą nalotem klingę. Poznał Angusa jako gospodarza, przywódcę klanu. Widział, jak pije i upija się zgodnie ze zwyczajem, dogląda owiec, bierze udział w miejscowych rozrywkach.

Tutaj Match uśmiechnął się pod nosem i bezwiednie pokręcił głową. Rozrywki polegały głównie na turniejach w rzucaniu głazami czy ciężkim palem, pojedynki zaś – na naprzemiennym waleniu się po mordach. Angus brał udział we wszystkich i mimo wieku wielokrotnie wychodził zwycięsko. Pocieszał nawet Matcha, który usiłował dźwignąć ciężki pał, że wszystko jest sprawą techniki, a nie siły. Match chętnie czuł się pocieszony, zwłaszcza że pał wymusknął mu się z rak, o mało nie spadając na nogi.

Tak, sprawa techniki, wspomniał Match, patrząc, jak pod natłuszczoną skórą znika rdzawa powłoka, a klinga zaczyna znów odbijać czerwony żar tłących się brył torfu. Ćwiczą tymi głazami i palami od małego, sam widziałem kilkuletnich chłopców, oddających się ulubionej rozrywce.

Angus nie pokazał mu jeszcze jednej tradycyjnej konkurencji, rzutu kotem na odległość. Żywym, oczywiście. Match nie widział w tym nic specjalnie trudnego, dopóki nie pokazano mu jednego z miejscowych kotów. Wtedy uwierzył, że ta konkurencja jest najtrudniejsza technicznie. Bydlę miało bowiem rozmiar półtora zwykłego kota i bardziej przypominało żbika, z charakteru też, co potwierdziły wściekłe parskanie i plucie.

Niestety, tej konkurencji nie można było rozegrać z powodu trudności w pozyskaniu niezbędnego sprzętu. Po jednym rzucie kot nie nadawał się do powtórnego wykorzystania, bo zazwyczaj nie pojawiał się w okolicy przez kilka tygodni, zwierząt musiało być więc co najmniej tyle, ilu uczestników. A miejscowe kocury słowa "kici, kici" uważały za wredną prowokację.

Match odegnał wspomnienia, skupiając się na czyszczeniu klingi. Przecierał teraz niebezpiecznie blisko ostrza, a wolał mieć nadal wszystkie palce.

Leżąca w kącie izby sterta skór i wełnianych pledów poruszyła się i zajęczała głucho. Match podniósł głowę.

– Dzień dobry, panie hrabio – powiedział uprzejmie.

Angus zawtórował cichym chichotem i, korzystając z tego, że Match odłożył natłuszczoną szmatkę, podał mu gliniane naczynie.

– Nie dziś. – Match pokręcił głową.

Angus skinął tylko. I sam nie wypił, co było niecodzienne.

Spod sterty skór wysunęła się ręka i odrzuciła pled, a potem wyrzała blada twarz Gisbourne'a.

– Hee... – zachrypiął hrabia. Odkaszlnął, krzywiąc się od wszechobecnego dymu. – Hej, niech no mi da...

Nie mógł się odzwyczaić od mówienia do Angusa inaczej niż w trzeciej osobie. Nie pomagały tłumaczenia Matcha, że przywódca klanu to też hrabia bez mała, a już na pewno szlachcic. Jakoś w pojęciu Gisbourne'a nie mieścił się szlachcic o włochatych łydach wystających spod kraciastej spódnicy, zamieszkujący norę pod kamieniami.

Angus nie dał nic po sobie poznać. Porozumiewał się z Matchem i Gisbourne'em normańską francuszczyzną, prawie bez obcego akcentu. Na angielski nie reagował, twierdząc, że go nie zna i znać nie zamierza. Match nie postawiłby jednak złamanego pensa na to, że nie rozumie, choć Angus nie reagował nawet wtedy, gdy opinie hrabiego pod jego adresem przekraczały granice dobrego smaku. Match nie mógł się oprzeć wrażeniu, że przekraczają także granice instynktu samozachowawczego. Z początku hamował hrabiego, teraz już mu się nie chciało.

Skrzywił się. Odpowiadał za Gisbourne'a, którego pyskowanie nie po

raz pierwszy spowodowało kłopoty. A także, do czego trudno było mu się przyznać, w jakiś sposób polubił tego cynicznego, sprytnego wielmożę. Ostatecznie sporo razem przeszli, po tym, kiedy już przestali być tym, czym byli na początku – najpierw śmiertelnymi wrogami, potem więźniem i panem, potem podwładnym i zwierzchnikiem.

W charakterze hrabiego było coś, co nieżyczliwi nazywali tchórzostwem, a Match wolał nazywać rozsądkiem. Rzadko pakował się w sytuacje bez wyjścia, powodowany irracjonalnym honorem, który tyle już szlachty wygubił. Wiedział zazwyczaj, gdzie przebiega granica, za którą nie warto się zapuszczać, bo może to być ostatni raz.

Ale hrabia miał jedną wadę: gdy chodziło o coś innego niż życie i śmierć, potrafił się zapominać. Z natury próżny i zarozumiały, traktował wszystkich na wszelki wypadek z góry. I parę razy się na tym przejechał.

Angus popatrzył na Matcha, znakomicie udając, że nie rozumie słów hrabiego. Match zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie dziś – powtórzył.

Góral nie protestował. Odstawił pełne naczynie.

Miejscowi nie pili wina, piwa też niewiele. Zamiast tego mieli piekielny wynalazek, pędzony na torfie destylat z jęczmienia o znakomitym, przydymionym smaku i diabelskiej mocy. Hrabia szybko zagustował w miejscowym specjale, Match zresztą też, mimo że pijał w zasadzie mało. Ale destylat działał szybko, w każdym razie na nieprzywykłych, a dziś nie mogli sobie na to pozwolić. Z gór spływała mgła.

O dziwo, hrabia nie zaprotestował. Wpatrywał się tylko przed siebie bezmyślnym wzrokiem. Po chwili wygrzebał się spod skór i usiadł obok Matcha na przykrytej także skórą ławie.

– Mgła. – W jego głosie nie zabrzmiało pytanie. Wstrząsnął się, odpędzając resztki snu, przetarł twarz. – Jak...? – zaczął.

– Jeszcze trochę. – Match odłożył miecz i zabrał się teraz do ostrzenia sztyletu, noszonego zwykle za cholewą. – Przespaliście do południa, panie hrabio. Tak sędzę, bo koguta tu żadnego nie ma, nic nie pieje. Mgła coraz gęstsza, ale do zmierzchu nic nie powinno się stać.

Angus kiwnął głową, zapominając, że nie rozumie. Hrabia niczego

jednak nie spostrzegł, zajęty własnymi myślami. Po chwili zapytał:

– A reszta? Na posterunkach?

– Nie – odparł Match. – Też śpią.

– Czy to rozsądne? – Hrabia postawił pytanie spokojnie, bez wyrzutu w głosie, choć postąpiono wbrew jego rozkazom.

Match spojrział na niego z aprobatą. Gisbourne taki był. Na co dzień nieznośny i rozkapryszony, wyniosły i wtrącający się do wszystkiego, w chwilach realnego niebezpieczeństwa stawał się nad podziw rozważny. I zawierał tym, którzy mieli więcej doświadczenia, wiedząc, że z nimi ma szansę przeżycia. Rozsądek brał górę nad pańskimi kapryсами.

– Przed nocą nic się nie stanie – odparł w końcu Match.

Hrabia spojrział z ukosa.

– Zgoda, nie wiem na pewno – przyznał Match, uprzedzając pytanie. – Ale oni tak twierdzą, a nie widzę powodu, żeby nie wierzyć. – Wskazał brodą Angusa i jego trzech synów, siedzących bez słowa pod kamienną ścianą. – Sami widzieliście, hrabio, jak patrzyli na nas, kiedyśmy co noc posterunki wystawiali. Mówili, że bez sensu, że w takie noce nic się...

– Rzeczywiście – wpadł mu w słowo hrabia. – Śmiali się z nas, że stoimy po nocach jak idioci, w deszczu.

Match mruknął coś pod nosem. Nie miało sensu wypominać, że conocne warty były pomysłem hrabiego. Sam Match szybko doszedł do wniosku, że jeśli mieszkańcy zagrożonej wioski, przetrzebieni już przy poprzednich napadach, śpią spokojnie, to wystawianie wart nie ma sensu. Ale tłumaczenie tego hrabiemu nie dawało rezultatów. Match podejrzewał, że po prostu lepiej śpi ze świadomością, że pilnują go zbrojni. I sam Match.

Gisbourne po posiłku poweselał wyraźnie i nawet się rozgadał.

– Co tam, damy radę. Te ćwoki się boją, ale my, we dwóch, z wierną drużyną, poradzimy. Nam to i smok niestraszny, co, Match? – Klepnął Matcha z rozmachem w plecy, aż ten zakrztusił się piwem.

Match otarł wąsy.

– Nie rozlewaj waszmość piwa... – mruknął, odsuwając się nieznacznie.

Gisbourne nie przerwał nawet na chwilę.

– Smok niestraszny, powiadam – ciągnął z ożywieniem. – Pamiętasz, jakeśmy mu koniec zgotowali?

Match popatrzył z ukosa w jego błyszczące oczy o rozszerzonych źrenicach. Zawsze tak jest, gdy czeka się na nieznane, na coś, co spłynie z gór wraz z mgłą. Jedni siedzą jak słupy z kwadratowymi oczami, inni wpadają w słowotok. Widywał już podobne objawy przed każdą bitwą. Sam też odczuwał, a jakże. Zawsze ziębły mu końce palców.

Popatrzył na Angusa. Stary siedział nieruchomo, jak posąg, wpatrując się w tłący torf. W oczach pełgały mu czerwone ogniki, ogorzała twarz wyglądała jak miedziana maska. Dopiero po chwili Match dostrzegł ruch palców, zaciskających się miarowo na rękojeści miecza.

– Nadział się, a flaki z kałduna wypływały! Dobić było trudno. Ach, szkoda, że te kmioty nic nie rozumieją, nie wiedzą, z kim...

– Zamknij się, Guy! – warknął Match bezceremonialnie. Musiał jakoś przerwać też słowotok, hrabia nakręcał się coraz bardziej, a do wieczora zostało jeszcze trochę czasu.

Gisbourne zamarł w pół zdania z półotwartymi ustami.

– Myślisz, że dziś? – Pytanie zawisło w powietrzu na dłuższą chwilę.

Match milczał, bo i co było mówić.

– Eh, a może to jakaś bzdura? – Gisbourne jeszcze nie rezygnował, próbował wykrzesać z siebie swój zwykły optymizm. Popatrzył na Matcha, a w jego wzroku czaiło się błaganie o potwierdzenie. – Może te dzikusy leją się między sobą? Popatrz, skłócone klany, władza korony tu nie sięga. Sam Angus opowiadał – wskazał podrzutem głowy starego górala, który niczym nie dał po sobie poznać, że to zauważył, tylko jego palce zacisnęły się na rękojeści i tak pozostały dłuższą chwilę – jak to złupili wioskę tych, no, z tego innego klanu – ciągnął swobodnie hrabia. – Wyrznęli mężczyzn i zgwałcili kobiety, zabrali owce. Może je też zgwałcili. Może te napady teraz to też...

Match pokręcił głową. Nie zamierzał hrabiego oszczędzać, tym

bardziej że ten niebezpiecznie się zapędził, co można było poznać po błyskach w oczach Angusa i jego trzech milczących synów.

– Inny klan, powiadacie, panie hrabio? – odezwał się już ze złością i politowaniem w głosie. – Inny klan wybił większość mężczyzn?

– Może.

– I wyrwał ręce, temu tam...?

– Connerowi.

Match drgnął, zaskoczony. Angus po raz pierwszy wtrącił się do rozmowy, już nie udawał, że nic nie rozumie.

Hrabia nie załapał.

– Zaraz urwał... A zresztą, widziałeś te ich maczugi, mogli i urwać.

Angus tylko splunął w palenisko, nie powiedział nic więcej.

– Nie pieprzcie, panie hrabio, i tak nie zrobi się wam lepiej – przyciął Match złośliwie. – Urwane, i już. Głowy też zabrali. A zwyczajnie takiego tu nie ma.

– Kto ich tam wie, dzikusów?

Match chwycił hrabiego za kołnierz, szarpnął.

– Zamknij się – wysyczał. – Pomyśl, że w nocy musimy stanąć razem, inaczej nic twojego dupska nie uratuje. A już na pewno nie ja.

Po twarzy Angusa nie było widać, że cokolwiek rozumie z rozgrywającej się przed nim sceny. Tylko oczy w sieci zmarszczek błysnęły weselej.

– Przestań pieprzyć, bo sam w to nie wierzysz. – Match mówił już spokojniej. – Przypomnij sobie urwane ręce i tego, którego uprowadzili. Co to go później znaleźli, w górach, w ognisku. Upieczzonego.

– Może sam... – zaczął hrabia z rozpędu.

Matchowi opadły ręce.

– Sam się, kurwa, upiekł? I sam ogryzł?

– Nnie – wyjąkał hrabia. – Co ty, za głupiego mnie masz?

Match nie zaprzeczył.

– No co ty! – zeźlił się Gisbourne. – Ja tylko chciałem powiedzieć, że sam wpadł w ognisko. Uchlał się i wpadł... – Urwał na chwilę. – No tak,

ale by się nie ogryzł – dodał po chwili z rezygnacją. – Eh, kurwa...

Match powrócił do przecierania klingi. Nie zamierzał oszczędzać Gisbourne'a i tym razem.

– Trzeba być gotowym. Przyjdą dzisiaj. Jest...

– ...noc i mgła – dopowiedział Angus.

Mgła nie gęstniała już. Match zobaczył swoich zbrojnych, wybranych starannie, najlepszych. Żaden nie odmówił wyruszenia tutaj, mimo iż on powiedział im wszystko, co sam wiedział.

Rozejrzał się dokoła. Byli jego zbrojni, Angus z synami, czterech pozostałych mężczyzn z wioski i kilku niedorostków, którzy zapewniali, że mogą stawać w walce na równi z dojrzałymi mężczyznami. Angus potwierdził ich przechwałki.

Były jeszcze kobiety. Nawet ładne, ale dziś o spojrzeniach wilczych, broniących dzieci. Wszystkie uzbrojone.

Był też problem. Wioska nie miała umocnień. Ale choćby otoczyć ją częstokołem, nic by to nie dało. Poprzednie ataki wykrwawiły klan, nawet z ludźmi Matcha obrona będzie rozpaczliwie słaba.

Jeszcze raz popatrzył na swoich ludzi, stojących zwartą grupą w milczeniu jak zwykle przed walką. Oni nie mieli wątpliwości, że coś dzisiaj się stanie. Stary żołnierz czuje takie rzeczy. Match pomyślał, że dokonał dobrego wyboru. Najlepsi szermierze, jakich mógł znaleźć. Dwóch łuczników.

O nich pomyślał jeszcze przed wyruszeniem. We mgle ważna jest szybkostrzelność, nie donośność, jaką dają kusze. Teraz z zadowoleniem uznał, że nie zawiodła go intuicja. Tu strzelać się będzie z kilku kroków.

Angus stanął opodal, zanurzył dłoń w kamiennym naczyniu, podanym przez syna. Przeciągnął palcami po jego twarzy, malując ją w granatowe smugi. Potem podszedł następny, po chwili najmłodszy. Ten, gdy stary zakończył już swój rytuał, sam nabrał barwnika na palce, z szacunkiem dotknął twarzy ojca.

Góral pytająco spojrział na Matcha. Ten przymknął oczy i poczuł na twarzy tłuste dotknięcie. Było w tym coś symbolicznego.

– Teraz jesteś jednym z nas – usłyszał.

Pochylił głowę.

– Żebyś tak jeszcze nosił *léine*, zamiast tych głupich spodni. – Angus roześmiał się, rozładowując napięcie.

Match poczuł, że też się uśmiecha. Popatrzył na krótką szafranową tunikę, która nie okrywała nawet kolan, na muskularne łydki górala.

– Niezwyčajnym – mruknął. – Za zimno w jaja.

Odwrócił się, ścigany przez zgodny rechot Agnusa i zarośniętych synów, potwierdzających swym wyglądem najgorsze opinie o góralach.

"Jesteś jednym z nas", powracała uparta myśl. W tym cały problem, Match, powiedział wewnętrzny głos. Wypełniłeś misję. Masz już dowody, że górale nie kłamią. Reszta to nie twoja sprawa. A ty zostajesz. Nie zostawisz starego Angusa i jego dzikich synalków. Nie zostawisz tych kobiet, o spokojnych ruchach i zimnym spojrzeniu, gotowych na wszystko. Nie zdradzisz ludzi, których znasz od... No właśnie, od miesiąca.

Zdradziłeś już w życiu wystarczająco dużo razy.

Hrabia wyłonił się z chaty. Gdy zobaczył twarz Matcha, oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia.

– Coś ty zrobił z pyskiem? – spytał z nagłym rozbawieniem.

Powiódł wzrokiem po innych, spoważniał. Zrozumiał.

Jeden z synów Angusa wciąż trzymał w rękach kamienne naczynie z barwnikiem. Gisbourne zrobił ruch, jakby chciał podejść. Syn Angusa spojrział na ojca. Ten nawet nie drgnął, stał z nieprzeniknioną twarzą.

Oblicze hrabiego skurczyło się ze złości. Odwrócił się na pięcie.

– Co robimy? – rzucił ostro.

Match nie odwrócił się, próbował przebić wzrokiem ciemniejącą

mgłę.

– Nie wiem – podjął gniewnie. – Zupełnie nie wiem. Jeśli tu zostaniemy, nie mamy szans. Za mało nas, żeby osadzić cały obwód wioski. A tu jesteśmy jak barany w zagrodzie. Wyrzną nas po kolei. – Splunął ostentacyjnie. – Oni podobno widzą we mgle – dodał niepotrzebnie.

Angus nie zamierzał bronić wioski na zewnątrz. Wszyscy skupili się w największej z chat, pustej teraz, choć należącej niegdyś do najliczniejszej rodziny w wiosce. Zgodnie z miejscowym zwyczajem część chaty przeznaczona była dla jagniąt. W drugiej, tej o grubych, pozbawionych otworów murach skupiły się dzieci i kobiety. Zmieścili się wszyscy, klan był wykrwawiony poprzednimi najazdami. Dopiero teraz było widać, jak niewielu pozostało.

Mężczyźni legli w kręgu dokoła paleniska. Synowie Angusa zgodnie pochrapywali, on sam też wydawał się senny. Match tymczasem nie mógł się zdobyć na zamknięcie oczu. Leżał, wpatrując się w jaśniejszy otwór dymnika. Torf przygasł już, pokrył się szarym popiołem, spod którego błyskały nieliczne iskry żaru.

Gisbourne poruszył się, brzęknęły klamry oporządzenia. Match położył uspokajająco dłoń na ramieniu hrabiego.

– To głupota – usłyszał ciche słowa Gisbourne'a. – Jak w mogile. Przyjdą i nas spalą. Spalą...

– Nie – zaprzeczył szeptem Match. – To darń i kamienie, nie spalą się za nic.

Dobiegło ich ciche syknięcie. Angus jednak nie spał.

Czas znowu zwolnił. Matcha zaczęły opadać ulotne sny, w jednej chwili widział jaśniejszy kontur dymnika, w drugiej dawno zapomniane

twarze umarłych ludzi. Pojawiał się w nich Elijah z uśmiechem na perlącej się potem twarzy i z mokrymi włosami, przewiązanymi zieloną opaską, a także Marion, jej rude włosy, odrzucane niezapomnianym gestem z twarzy.

Nie wiedział, co usłyszał wcześniej – cichy zgrzyt wysuwanego z pochwy miecza, czy ledwie słyszalny trzask żerdzi, podtrzymujących kryty darnią dach. Poderwał się, jednocześnie ostrożnie dobywając broni i zobaczył błyszczące odbłaskiem żaru oczy.

– Sst! – dobiegł go cichy syk.

Usłyszał lekki szelest podnoszących się ludzi, pojedyncze dźwięknięcia klamer i obnażanych kling.

Poniewczasie przypomniał sobie o Gisbournie. Sięgnął na oślep, chcąc uspokoić hrabiego, żeby przedwcześnie nie narobił wrzasku. Spóźnił się. Ten siedział już, wodząc dokoła całkiem przytomnym spojrzeniem.

– Stajemy plecami do siebie, w kręgu. – Cisza sprawiła, że szept Angusa zabrzmiał bardzo donośnie.

Dach załamał się z głośnym trzaskiem. Masa darni runęła do wnętrza, wznosząc chmurę kurzu ze słomy zaścielającej podłogę i rozdmuchując żar. Z nieartykułowanym wrzaskiem do izby spadły ciężko dwie postaci, o kształtach niemożliwych do rozpoznania w tumanie kurzu i słabym świetle. Błysnął metal, świsnęło rozcinane powietrze. Match usłyszał obok tępy trzask i coś ciepłego chlusnęło na twarz.

Przez dziurę w dachu spadały następne postaci.

Krąg rozerwał się, walczący zmieszali się w szczękę zderzającej się stali. Match bardziej wyczuł niż zobaczył ostrze, uchylił się w uniku. Ciął z półobrotu, nisko, tam, gdzie człowiek ma brzuch. Miał nadzieję, że przeciwnik przypomina człowieka. Pociągnął rękojęść, ostrze z zgrzytem rozcięło... kolczugę?

Zanim rozplątany przeciwnik upadł, Match odbił następne cięcie, czując, jak drży i drętwieje ręka. Kimkolwiek był wróg, miecz miał ciężki. Matchowi przed oczami stanął oręż Angusa i pozostałych Szkotów – ciężkie, długie miecze, mało przydatne do fechtunku, ale przy celnym cięciu rozchlastujące przeciwnika od głowy do krocza.

Ciął z rozmachem przez odwrócone do siebie plecy. Ostrze zgrzytnęło

o kości. Jeszcze jedna postać spadła z nieba, lądując na przygiętych nogach zbyt daleko, by jej sięgnął. Przygotował się na przyjęcie kolejnego, szerokiego ciosu, zastanawiając się, czy zdąży go zatrzymać. Nie musiał. W mroku świsnęła klinga, odwalając bark od ramienia, i przyczajona postać nie uniosła się już.

Błysnęło światło. Ktoś przytomnie wetknął pochodnię w żar, smolne drzazgi zajęły się natychmiast. Oślepiony Match przymknął oczy, widząc jeszcze, jak ktoś wali się na twarz, uderzony w kark ręką miecza. Zanim otworzył oczy, otarł szybkim ruchem krew ze zbocza. Wiedział, że już po walce.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie. Ten z odwalonym od szyi barkiem nie zdążył jeszcze umrzeć. Klęczał, usilnie wpatrując się w Matcha wciąż przytomnymi oczyma. Wieki trwało, zanim zaciągnęła je mgła i uciekły w głąb czaszki, pokazując białka. Człowiek pochylił się, uderzył ciężko czołem o polepę.

Człowiek. Okrywający go płat kolorowej materii nasiąkał krwią.

McLeod odwrócił martwego. Jeden z synów przyświecał kopczą pochodnią.

– McDougal – wypluł ze złością.

Match spojrzał pytająco. Stary nie odpowiedział. Wydał jakiś rozkaz synowi.

Któryś z żołnierzy zapalił drugą pochodnię. Match rozejrzał się, licząc ciała. Dziewięć trupów; nie wiedział, swoich czy obcych, w subtelnościach odzienia mógł się rozeznac tylko rodowity Szkot. I dwa w barwach Nottingham.

Młody McLeod oglądał leżących, przy jednym zatrzymał się dłużej. Dał znak ręką.

– Żyje dwóch – mruknął Angus. – Bo ten – wskazał na leżącego na wznak, któremu na wargach pękały krwawe bąble – już nie żyje.

– Wiedziałem! – Gisbourne rozdarł się na cały głos, swoim zwyczajem. – To wasze, dzikusów, porachunki! Od razu wiedziałem! – Angus nie zareagował. – Nienazwane! Kurwa, nienazwane! Kmioty się leją, a ja muszę tutaj...

– Zamknij się! – warknął Match.

Hrabia, o dziwo, zamknął się natychmiast.

– Od nas jeden – mruknął stary. – I dwóch twoich. Nie spodziewali się, myśleli, że śpimy, że wyrzną nas jak jagnięta.

Wydał jakiś rozkaz synowi. Chłopak pochylił pochodnię nad twarzą nieprzytomnego. Kropla płonącej żywicy spadła na obnażoną szyję, zaskwierczało, zaśmierdziało palonym mięsem. Leżący zwinął się w męce.

– Od razu wiedziałem, że udaje – rzekł zimno Angus.

Zapadła cisza, przerywana szarpiącym nerwy, świszczącym oddechem śmiertelnie rannego, Match uniósł broń, jednak na jego ramieniu zamknęła się dłoń Angusa. Szarpnął się, ale stary miał mocny chwyt.

– Zostaw – usłyszał. – Niech czuje, że umiera.

Angus przytknął sztych miecza do gardła leżącego.

– No co, McDougal, będziesz jeszcze udawał? – spytał sucho.

Match ze zdziwieniem spostrzegł, że Angus mówi po angielsku. Widocznie chce, byśmy rozumieli, pomyślał.

Powieki leżącego uniosły się, przekrwione oczy błysnęły nienawiścią. Angus docisnął ostrze. Zakrwawione wargi otworzyły się, jeniec coś mruknął. Brzmiało to jak przekleństwo. Ku zdziwieniu Matcha wszyscy Szkoci wybuchnęli śmiechem. Angus odpowiedział coś i jeniec zaszamotał się. Gdyby nie ostrze pod brodą, zerwałby się na równe nogi.

Angus odwrócił spojrzenie.

– To młodszy syn starego McDougala – oznajmił Matchowi.

Spojrzał w bok, gdy jeden z synów trącił go w ramię, i przez chwilę wpatrywał się w odciętą głowę, trzymaną za włosy przez jednego ze swych ludzi.

– Obecnie najstarszy – dodał.

Match poczuł, jak hrabia ciągnie go za rękaw.

– Zabieramy się stąd jutro – Gisbourne mówił trzęsącym się głosem. – Nie chcę ci wypominać, że znowu na moje wyszło. Ale skurwysyna załatwiłem, no powiedz sam...

– Nie – odparł Match krótko. – Tak.

– Co ty gadasz? – zachnął się hrabia.

– Nie ruszamy. A skurwysyna załatwiłeś – wyjaśnił Match, nie patrząc na hrabiego.

Stary Angus wydawał przyciszonym głosem rozkazy.

– To nie koniec, panie hrabio – dodał po chwili Match. – To tylko nieprzewidziana atrakcja. Biedne sukinsyny narwały się na nas, pewnie nie wiedzieli, że tu jesteśmy. Słyszeli, że klan osłabiony.

– Match, co ty pieprzysz? – warknął Gisbourne ze złością. – Już po wszystkim, kmioty za łby się wzięły.

Match nie powiedział już nic, pokazał tylko hrabiemu zaciśniętą pięść. Górale odciągali zwłoki pod ścianę. Rannego, wciąż oddychającego ze świstem, potraktowali w ten sam sposób, rzucając z rozmachem na stos trupów. Ranny wreszcie umilkł.

Match zbliżył się do Angusa.

– Co z nim zrobisz? – spytał, wskazując na jeńca, który znów przymknął oczy i wydawał się pogodzony z sytuacją.

– Zaskoczę cię – wyszczerzył zęby w uśmiechu stary. – Puszczę go wolno. I tego drugiego też.

Wskazał na skulonego pod ścianą, płytko ciętego przez pierś człowieka, który kołysał się w bólu, nie wydając jednak żadnego dźwięku. Lewą dłońią ścisnął prawą, przy której został tylko kciuk.

– Nie zaskoczysz. – Match popatrzył staremu wprost w oczy. – Wiem, co chcesz zrobić. Ale...

– Żadne ale – przerwał Angus. – Napadli na nas, gdy dowiedzieli się o naszej słabości. Normalnie zginęliby w walce. Albo litościwie, szybko, od noża. Ale nie dziś. – Błękitne oczy patrzyły teraz twardo i bezlitośnie. – To nie wszystko. Napadli, ich zbójeckie prawo. Nie po raz pierwszy, nie ostatni. Ale dzięki nim nasze szanse bardzo się zmniejszyły. Jest nas mniej, trzech jest rannych. Tej dziury w dachu nie załatamy. Muszą zapłacić.

Match spuścił wzrok. Nie czas na prawienie morałów.

– I zapłacą – dodał jeszcze stary. – Ty wiesz, że to jest blisko. Też to czujesz.

Match nie mógł zaprzeczyć.

Jeńcy do końca nie wierzyli. Nawet gdy Angus rozcinał więzy najstarszemu McDougalowi, tego drugiego nie warto było wiązać. Stali jeszcze, gdy stary zakrwawionym ostrzem wskazał w mrok. I we mgłę.

W końcu ruszyli. Zanim obie sylwetki zniknęły w szarej otchłani, ta wyprostowana, i ta zgarbiona, którą trzeba było podtrzymywać, usłyszeli rzucone przez ramię pogardliwe słowa.

Match ich nie zrozumiał. Ale sens mógł być tylko jeden. Zginiesz, McLeod. Wrócę tu i cię zabiję. Potem mgła i mrok wchłonęły oba cienie.

– Match, o co tu chodzi? – Gisbourne wydawał się zagubiony.

Minęło oszołomienie walką i trząśnięcie teraz już nie z podniecenia, tylko z zimna, przenikającego do szpiku kości, a także zwykłego strachu, który tlił się gdzieś głęboko, mimo iż hrabia tłumaczył sobie, że już jest po wszystkim. Jutro ruszą z tego przeklętego, wilgotnego kraju, zajadą do sir Arnulfa, pośmieją się z "nienazwanego" i pomyślą wspólnie o sposobach, jak wziąć za pysk górali.

Powtarzał sobie to wszystko, a jednak trząśnięcie wewnątrz, za przykładem pozostałych wpatrując się w mrok i mgłę. Spostrzegł, że tak samo jak inni stoi, sprężony, i ściska w gotowości broń. Parsknął lekceważąco.

– Match – zaczął.

Match chciał zakryć mu usta dłonią, nie zdążył. Głos uwiązł hrabiemu w gardle.

Przez mgłę przebił się rozpaczliwy krzyk, stłumiony, lecz wyraźny, który przeszedł w coś pomiędzy warkotem a charczeniem.

Gisbourne poczuł, jak dłoń Matcha zaciska mu się na twarzy.

Krzyk przybliżył się, brzmiał coraz głośniejsze. Urwał się nagle,

zakończony tępym stuknięciem. Po chwili ciszy dłoń Matcha rozluźniła się i hrabia mógł odetchnąć.

– Co...? – zapytał na wdechu. W tej chwili mgłę rozdarło triumfalne wycie.

Hrabia mógł przysiąc, że jego włosy powstają na głowie, podnosząc ciężką, kolczą misiurkę. W tym głosie nie było nic ludzkiego. Ani zwierzęcego.

– Do tyłu – sapnął Match. – Pod ścianę.

Hrabia nie zareagował, jak skamieniały wsłuchiwał się w ciemność, w której drgały jeszcze odgłosy wycia. Szarpnięty za ramię zachwiał się, oparł plecami o wilgotne, zimne kamienie.

– Co to, kurwa... – jęknął tylko.

Match nie tracił czasu na wyjaśnienia. Spojrzał na Angusa, wspartego obok, zataczającego kręgi sztychem miecza.

– Blisko – szepnął.

– Za blisko. – Angus nie odwrócił się. – Ze dwieście kroków.

Mgła opalizowała. Wzrok zaczynał płatać figle, Matchowi zwidywały się ciemne kształty, gdzieś na granicy pola widzenia. On też wodził już sztychem w powietrzu.

Atak nastąpił z niespodziewanej strony. Trzasnęły krokwie chaty, coś wyskoczyło zza pleców górali. Okap był nisko, ściana chroniła tylko do barków. Ciemny kształt przeleciał tuż za hrabią, stojący obok człowiek potoczył się do przodu. Match zdążył zauważyć, że to już nie człowiek, ale bezgłowy kadłub. W półobrocie wyrzucił klingę za siebie i jeszcze zanim potoczył się po ziemi, wiedział, że trafił. Tym razem nie poczuł zgrzytu kolczugi, tylko żywy, sprężysty opór. Trafienie nie było czyste, ostrze zwinęło się.

Pokoziółkował, instynktownie chroniąc głowę. Z charkotem przeskoczyła nad nim następna bezkształtna postać, dostrzegł błysk kłów jak w niedźwiedziej paszczy. Miał szczęście, że upadł. Powietrze, przecięte nie klingą, ale raczej potężną maczugą albo toporem, zawyło nad nim na wysokości, gdzie miałby głowę, gdyby opadł chociażby na kolana. Przeciwnik zniknął w ciemności. Match zrobił jeszcze jeden przewrót, poderwał się na nogi. Na wyczucie chlasnął mieczem na odlew,

wyszarpnął klingę i osłonił się od ciosu, który nadszedł z lewej. Tym razem stal uderzyła w stal. Sparował nadspodziewanie łatwo, broń atakującego zsunęła się wzdłuż jego ostrza. Uderzył z obrotu. Coś charknęło w ciemności, zabulgotało.

Na chwilę dokoła zrobiło się luźno. Rozejrzał się, przeklinając ciemność. Nie potrafił odróżnić swoich od obcych w kotłowaniu kształtów. Poderwał się w uniku, gdy z tyłu, tuż za nim, rozległo się bolesne wycie. Na szczęście kudłata, przysadzista postać waliła się już na ziemię, a zza niej błysnęła szeroka klinga, ciągnąc za sobą strugi krwi, czarnej wśród opalizującej mgły. Match złowił błysk wyszczerzonych zębów jednego z młodych McLeodów.

Coś walnęło go w bok, poczuł smród niewyprawionych skór. Uderzenie wytłoczyło powietrze z płuc, złowił jeszcze zduszony krzyk, niewątpliwie ludzki, gdzieś spod samej kamiennej ściany chaty. Stal zgrzytnęła na kamieniach. Później krzyk ucichł, przerodził się w słaby jęk, co Match zarejestrował, padając na ziemię. Kosmaty ciężar przydusił go, tuż przed twarzą ujrzał wydłużoną, pełną kłów paszczę. Zwinął się, chcąc sięgnąć rękojeści sztyletu w cholewie, ale nie zdołał. Pazury orały mu ramię. Nagle przygniatający go ciężar zadrgał, uścisk osłabł. Match zebrał siły, odrzucił kosmate ciało, przetoczył się w bok. Z rozpaczą pomyślał, że stracił miecz. Wydobył sztylet, by nie zostać zupełnie bezbronnym.

Usłyszał jeszcze jeden bolesny charkot i tupot ciężkich stóp.

Już po wszystkim, zrozumiał Match. Uchodzą.

Opadł ciężko na kolana. Żebro, pomyślał. Oby tylko jedno.

Niebo jaśniało. Nadchodził poranek.

Mgła unosiła się. Match siedział oparty o kamienny murek, za którym pobekiwały owce. Oddychał już lżej, ale w boku wciąż kłuło go boleśnie. Jedna z kobiet obmywała mu naznaczone głębokimi bruzdami ramię. Match tępo patrzył w miszkę, którą wypełniała nasycająca się czerwienią woda. Było coraz jaśniej i coraz dalej mógł sięgnąć wzrokiem. Widział

zamglone, ciemne sylwetki drzew na otaczających dolinę zboczach i był pewien, że coś też go obserwuje, przyczajone na granicy mgły, tam, gdzie drzewa roztopiają się w szarych oparach.

Ktoś stanął przed nim. Match podniósł głowę. Angus.

Na pytające spojrzenie stary tylko pokręcił głową.

– Nic – powiedział cicho. – Żadnego ciała. Żadnej porzuconej broni. Zupełnie nic.

– Trafiłem dwóch. – Match skrzywił się, gdy dziewczyna przejechała szmatką po krwawych brzdach. – Dwóch na pewno.

– Ja też – rzekł stary. – Co najmniej trzech. Zabrali ciała. Pozbierali wszystko.

Match popatrzył na klingę miecza, wbił ją przed nim w ziemię, czerwona w świetle poranka. Angus poszedł za jego wzrokiem.

– Krwawią – przytaknął. – Można ich zabić. Nawet on zabijał – wskazał skulonego pod ścianą Gisbourne'a. – Dobrze zabijał. Ale i oni zabijają.

Match odtrącił dziewczynę, wstał z jękiem. Pociemniało mu w oczach, tak zakłuło go żebro.

– Ilu? – rzucił.

Angus milczał chwilę, odwracając twarz, do której przylepiły się zmoczone, przetykane siwizną jasne włosy.

– Ilu zostało? – spytał po chwili. – Tak będzie łatwiej wyliczyć. Dwóch twoich, jeden nie wyżyje. Moich dwóch synów. I my trzej.

Match zacisnął szczęki.

– Zabrali głowy – dopowiedział Angus, jakby tego było mało. – Wszystkim. Nie są odcięte. Są oderwane.

Gisbourne coś mówił, ale trudno było go zrozumieć, tak szczękał zębami. Match przysunął się bliżej.

– Co to jest? – Hrabia wyrzucał urywane słowa. – Co to, kurwa, jest? Dlaczego nie można ich zabić? Dlaczego, kurwa, uciekli? Jak, kurwa, uciekli? Co to jest?

Angus przykucnął przy nim, położył uspokajająco dłoń na ramieniu. Gisbourne zaszamotał się, oczy błysnęły szaleństwem.

– Co to jest? – powtarzał. – Zabiłem, zabiłem na pewno. I uciekł, nie ma. Nic, kurwa, nie ma.

– Uspokój się – Angus mówił łagodnie. – Zabrali ciała. Zawsze tak robią.

– A skąd ty, kurwa, wiesz?! – rozdarł się Gisbourne. – Skąd wiesz?! Wiedziałeś przedtem, no powiedz, wiedziałeś? – Chwycił Angusa za ramię, zacisnął zakrwawione palce. – Wiedziałeś... – Głos przeszedł w szloch.

Stary milczał, twarz mu pociemniała. Wreszcie delikatnie rozwarł palce hrabiego. Przytrzymał jego dłoń w swojej. Gisbourne uspokoił się jak mały chłopiec.

Angus wstał.

– Ja muszę...

Match kiwnął głową. Do wieczora mieli spokój.

– Uważaj na przyjaciela – rzucił stary łagodnie.

Nie jestem jego przyjacielem, chciał powiedzieć Match, ale Angus go uprzedził:

– To on zdjął z ciebie tego ostatniego. Widziałem, sam bym nie zdążył.
– Pokręcił głową z podziwem. – Ale że tobie ła przy okazji nie uciął... – rzucił na odchodnym.

Żałośnie mała grupka stała wśród kamiennych murków na dnie doliny: Angus i dwóch synów, jedyny ocalały zbrojny z Nottingham, Gisbourne i Match.

Żaden z nich nie był w pełni sprawny. Match oddychał z trudem, zbrojny kulał, paskudnie stłukł sobie kolano. Angus z synami mieli płytkie, acz dotkliwe cięcia. Nawet Gisbourne spostrzegł ze zdziwieniem, że oberwał w głowę, a krew, zlepiająca mu włosy, jest jego własna.

– Nie przetrzymamy. – Angus pierwszy głośno powiedział to, co było oczywiste dla wszystkich, może z wyjątkiem hrabiego, który jeszcze nie doszedł do siebie na tyle, by trzeźwo myśleć.

Obaj synowie McLeoda pokiwali smętnie głowami. Match też nie przeczył. Ocalały zbrojny nie odzywał się, ale jego nikt o zdanie nie pytał.

Match popatrzył na otaczającą dolinę wzgórze. Angus poszedł za jego wzrokiem.

– Tak – potwierdził stary. – Są tam. I czekają. Wiedzą, ilu nas zostało.

– Myślisz, że wszyscy? – Match nie odrywał spojrzenia od szczytu wzgórze. Wydawało mu się, że na grani coś się porusza.

McLeod zaprzeczył.

– Tylko zwiadowcy. Reszta wróciła. Muszą zabrać trofea.

Match wstrząsnął się. Chyba wiedział, dokąd poszli. Przed oczyma pojawił się nagle stos czaszek i zetknięch kości. Potrząsnął głową, obraz zniknął.

– Tak, nocy nie przetrzymamy – powtórzył McLeod z namysłem.

– To co robić? – wybuchnął Gisbourne. – Siedzieć i czekać, aż nas wszystkich zarżną?!

Nikt nie odpowiedział.

– Nie wiecie? – krzyknął hrabia. – To ja wam powiem. Trzeba spieprzać. Zostawić wszystko, i zabierać się stąd!

Wszyscy milczeli.

– No co tak stoicie?!

Match ze znużeniem pokręcił głową.

– To na nic. Nigdzie przed nocą nie dojdziemy. Nie zdążymy. Pójdą za nami i dopadną nas.

Hrabia spoglądał błędnym spojrzeniem.

– To co? – spytał w końcu, cicho i żałośnie. Już nie było w nim złości, tylko rezygnacja. – Zostaniemy, i co?

– Nie – odparł z naciskiem Match. – To my pójdziemy do nich. To jedyna szansa.

Angus poważnie skinął głową. W szansę nie wierzył, ale wolał zginąć w ten sposób, niż czekać na to, co nieuchronnie przyjdzie nocą. Wraz z mgłą.

– Oszalałeś – powiedział Gisbourne podejrzanie spokojnie. – Wszyscy

oszaleliście.

Bezradnie przetarł twarz ręką.

– On ma rację – rzucił Match niespodziewanie. – Pójdę tylko ja. Wy tu zostaniecie. I postaracie się przygotować jak najlepiej.

Gisbourne spojrział na niego jak na durnia.

– A ty jesteś najgłupszy – ocenił. – Pomyśl, ilu ich jest. Ilu zamierzasz zabić.

Match uśmiechnął się raz pierwszy tego poranka.

– Odpowiem wam precyzyjnie, panie hrabio. Jak tylko umiem najprecyzyjniej. – Zawiesił głos, spoglądając z tym szalonym uśmiechem na hrabiego. – Jest ich od cholery. Ale zabić trzeba jednego. – Odwrócił się i odszedł bez słowa.

Hrabia spoglądał, nic nie rozumiejąc.

Angus powiedział coś do swych synów, dwóch pozostałych. Bez zwłoki zniknęli w ciemnym wejściu do chaty. Po chwili jeden wyszedł, trzymając małe kamienne naczynie. McLeod zanurzył palce w barwniku, przesunął po twarzy hrabiego. Bez zdziwienia dostrzegł, jak po policzku Gisbourne'a spływa łza.

Mógł lżej oddychać po tym, jak kobiety ciasno owinęły mu pierś płótnem, podartym na pasy. Spieszył się. Wiedział, że im wcześniej wyruszy, tym lepiej.

Dostrzegł niebieskie barwy na twarzy hrabiego. Jeszcze jedno pozostało do zrobienia.

– Dziękuję – powiedział po prostu.

Gisbourne zmieszał się.

– Nie pieprz – mruknął tylko, spuszczać wzrok.

Match chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował.

Angus odciągnął go na bok.

– Ty wiesz, Match – po raz pierwszy odezwał się do niego po imieniu.

– Wiem – odparł. – Nie pytaj, skąd.

Stary nie spytał. Nie spytał też, kim Match jest. On również wiedział.

– Dasz radę?

– Dam – skłamał Match w końcu.

– Wiedziałem – padło w odpowiedzi drugie litościwe kłamstwo.

Ktoś odepchnął McLeoda. Gisbourne.

– Idę z tobą. – W głosie były zdecydowanie i determinacja, którym przeczyła bladość na twarzy, ponad smugami barwnika. Masz ci, pomyślał Match, teraz temu odbiło.

Spróbował przemówić do rozsądku. Nie mógł gorzej wybrać. Hrabia wściekł się.

– Bo co?! – wrzasnął. – Lepszy jesteś ode mnie? Gdyby nie ja, twój łeb też by zabrali!

Match milczał. Hrabia zachłysnął się, gdy dotarło do niego to, co tuż wcześniej powiedział.

– Przepraszam – powiedział cicho po chwili.

Match uniósł głowę, spojrzał hrabiemu w twarz. Nie spodziewał się, że to usłyszy.

– Przepraszam, Match – powtórzył Gisbourne. – Wiem, że ci się nie przydam, że pewnie tylko przeszkodzę. Ale ja nie mogę, nie mogę czekać tu, jak zwierzę na rzeź. Jesteś... – Rzucił w bok szybkim spojrzeniem.

McLeod chrząknął, odsunął się z nieoczekiwanym taktem, o który trudno byłoby podejrzewać gruboskórnego górala.

– ...jesteś mi to winien – dopowiedział niepotrzebnie hrabia.

– Cóż, Guy, każdy może wybrać, kiedy chce umrzeć. Pół dnia wcześniej, pół później. Nie miej złudzeń.

Gisbourne wyprostował się.

– Dla ciebie to jestem wciąż panem hrabią, Match. Nie zapominaj o tym.

Match roześmiał się. To był znowu dawny Gisbourne. Robiący właśnie największe głupstwo w swoim życiu.

– Jeszcze jedno, Angus. – Match przypomniał sobie coś. – Znaleźliście

ciała? McDougala i tego drugiego?

McLeod zaprzeczył z krzywym uśmiechem.

– Nie – odpowiedział. – Tylko krew. Zabrali wszystko, nie tylko głowy. W końcu i oni muszą coś przekąsić.

Gisbourne zwinął się, wstrząsany torsjami.

– A niech cię – wykrztusił z wysiłkiem.

I to było wszystko. Ruszyli, gdy tylko hrabia wyprostował się. Bładość twarzy przeszła mu w odcień zielonkawy, kontrastujący z niebieską farbą na policzkach.

Match wyciągnął dłoń do starego Szkota.

– Bywaj, McLeod.

– Bywaj, Match. – Szkot uśmiechnął się swym zwykłym uśmiechem. – Bywajcie, panie hrabio.

Skłonił się starannie. Gisbourne wyciągnął dłoń, uścisnęli się mocno. Stary dotknął palcem policzka hrabiego.

– To sławne barwy – mruknął cicho.

– Nie zapomnę – równie cicho odparł hrabia.

– Konno trzeba było – utyskiwał Gisbourne, potykając się na kamienistej ścieżce. – Nie tak, nogi wykręcać na tych kamieniach.

Konie zostały w wiosce. Swoją drogą Match zastanawiał się, dlaczego wierzchowce nie ucierpiały podczas napaści. Nikt ich nie pilnował, stały pod gołym niebem, obok zagrody dla owiec. Coś mówiło mu, że te konie są w jakiś sposób ważne, może nie tyle konie, ile fakt, że zostały zignorowane. Machinalnie omijał kamienie, rejestrował ślady, tak wyraźne, że znalazłoby je pięcioletnie dziecko, nawet debilne. Zupełnie jakby chcieli, by za nimi trafić, pomyślał. Plamy skapującej krwi układały się w równe sznureczki, wskazując wyraźnie kierunek. Niekształtne ślady stóp były odcisnięte głęboko, jakby zostawił je niedźwiedź w łąpach z lipowego łyka. Jakaś część umysłu Matcha śledziła trop, reszta szukała w pamięci nieuchwytnych skojarzeń, które wydawały się tak

oczywiste. Były oczywiste, za takie je przyjmował, nie wiedział tylko, z czego ta oczywistość wynika.

– Konno, mówiłem – postękiwał hrabia z tyłu.

Gisbourne szedł głośno. Match słyszał wyraźnie posapywanie, chrzęst kamieni i trzask łamanych gałązek pod nogami, pobrzękiwanie oporządzenia. I gniewne mamrotanie o pieprzonych kamieniach, o mgłę i w ogóle o pieprzonym kraju, dobrym dla dzikusów, nocnych, śmierdzących ludojadów i idioty Matcha.

Idiota Match uśmiechnął się pod nosem. Gadanina hrabiego nie denerwowała go, rozumiał jej powód. Gisbourne był przekonany, że idzie na śmierć, i miał nadzieję, że umrze w dzień, nie w ciemnościach, których się lękał.

Grzbiet wzgórza porastał wrzos, wysoki do kostek. Grzęzły w nim buty, pod stopami cmoktało błoto. Szlak był tu widoczny jeszcze wyraźniej, ślady nakładały się na siebie, przygnieciony wrzos jasno wskazywały kierunek. Tylko krwi było mniej, a może trudniej było ją dostrzec w plątaniu łądyg.

Gdy zaczęli schodzić w dolinę pomiędzy dwoma grzbietami, ciemną, porośniętą wysmukłym, świerkowym lasem, Match zrozumiał, że to już tam. Nie wiedział dlaczego, ale był pewien.

Zatrzymał się tak gwałtownie, że zagapiony hrabia wpadł na niego. Match nie odwrócił się. Patrzył na prawie czarne sylwetki świerków, spomiędzy których snuły się pasma mgły. Kiedyś już to widział. Może nie własnymi oczami, ale widział na pewno.

– Co jest? – spytał Gisbourne z niepokojem. – Dlaczego stoisz?

Match nie odpowiadał. Przymrużył oczy, jakby oczekiwał, że na widziany obraz nałoży się ten właściwy. Ten, który wszystko wyjaśni.

Nic się nie stało.

– No co jest? – Głos hrabiego zadrżał histerycznie.

Match ocknął się.

– Schodzimy – mruknął. Zrobił krok i zatrzymał się niezdecydowany.
– Zostań tutaj – powiedział. – Poczekaj.

– Na co? – Gisbourne zaśmiał się nerwowo. – Na ciebie? Czy raczej na tych, co po mnie przyjdą?

– Nie przyjdą – zapewnił Match. – Jestem pewien... – Uciekł wzrokiem, wcale nie był pewien. Tylko przypuszczał.

Gisbourne energicznie zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie zostanę. Za nic nie zostanę. Przyjdą po mnie, przyjdą i... – zająknął się. To, co zrobią jak przyjdą, nie chciało mu przejść przez gardło. – Przecież idą za nami – wykrztusił wreszcie, patrząc w twarz Matcha rozszerzonymi oczyma. – Idą, prawda?

Ten spuścił wzrok. To, że idą, było oczywiste. Nie atakują, bo...

Bo jest ich za mało.

Bo chcą wiedzieć, dokąd pójdziemy.

Blisko. Match ścisnął skronie dłońmi.

Chcą wiedzieć, że dojdziemy tam, gdzie powinniśmy. Nie pozwolą zawrócić, jeszcze nie.

Otworzył szeroko oczy.

– Idziemy, panie hrabio – zakomenderował sucho i nie czekając, ruszył w dół stoku.

Gisbourne stał jeszcze przez chwilę. Dopiero gdy sylwetka Matcha zaczęła się oddalać, puścił się biegiem.

Zadyszany dogonił go.

– Match, ty coś wiesz? – spytał natarczywie. W głosie była rozpaczliwa nadzieja, że być może nie jest to wyprawa po śmierć. – No powiedz, wiesz?

– Wiem – zbył go Match półgębkiem. – Zamknij się teraz... – Dotarli do pierwszych drzew, jeszcze rzadkich. – ...panie hrabio.

Wśród pni snuły się pasma mgły, wstającej z mokrego mchu. Promienie słońca, przefiltrowane przez gałęzie, tworzyły zwodnicze kształty. Las gęstniał.

Szeroka ścieżka zakręcała obok wielkiego, do połowy pogrążonego w mchu głazu. Match zwolnił, uważnie przypatrywał się dróżce pod stopami. Tu już nie było śladów widocznych dla każdego, musiał wyęźać uwagę, by dostrzec niewyraźny odcisk stopy, otarty z mchu kamień, złamane źdźbło.

Jakby każdy, kto doszedł aż tutaj, musiał trafić. Gdzie?

Match zatrzymał się, ręka instynktownie wzniosła się do ramienia, znad którego sterczała rękojeść. Hrabia ze zgrzytem obnażył do połowy swoją klingę.

Przed nimi były żerdzie, związane i wbite w ziemię. Na szczycie zatknięto niedźwiedzią czaszkę, starą, pobielaną od deszczu i słońca, spróchniałą podczas niezliczonych dni i nocy, które przeszły nad doliną, odkąd tu tkwiła. Pod żerdziami na ziemi piętrzyły się ludzkie czaszki. Wrośnięte w mech, pozieleniałe, spoczywające od niewiadomych czasów. I świeże, z resztkami rudych włosów, niedokładnie jeszcze oczyszczone przez owady. I...

Match usłyszał, jak Gisbourne wciąga z sykiem powietrze. Musiał poznać jednego ze zbrojnych, z Nottingham. Match nie pamiętał jego imienia.

I jeszcze coś. Skierowane ostrzami ku nadchodzącym, wbite w ziemię trzy ni to włócznie, ni to strzały. Całkiem nowe, ozdobione pękami piór tuż pod krzemiennymi ostrzami.

– Schowaj broń, hrabio – powiedział Match, i aż sam się zdziwił spokojnym brzmieniem swego głosu. Odchrząknął. – Schowaj – powtórzył z naciskiem. – To znak.

Gisbourne posłuchał. Nie puścił jednak rękojeści, wciąż strzelał oczami na boki, chcąc przebić wzrokiem gęstwą gałęzi, zasłonę oparów. Las pachniał wilgocią, próchnem, rozkładem. I krwią.

Niczego nie dostrzegł. Żadnego ruchu, oprócz grania słonecznych plam na mchu. Spojrzał na niedźwiedzią czaszkę, przypomniał sobie zamazane obrazy z ostatniej nocy. Wydłużone, najeżone kłami pyski, cuchnące surową skórą kudły.

– To niedźwiedzie – szepnął z niedowierzaniem, cicho, jakby do siebie.

Match dosłyszał.

– Chcą być niedźwiedziami – skorygował. – Chcą, byśmy tak o nich myśleli.

W lesie nie odezwał się żaden ptak, nie zaszeleściła przemykająca się jaszczurka.

– To ludzie? – Hrabia nie krył zdumienia. – Ludzie mogą robić takie

rzeczy?

Ludzie robią gorsze rzeczy, chciał powiedzieć Match. Ludzie zdradzają, zabijają podstępem. Mordują masowo siebie nawzajem. Bo ktoś ma coś, co sami chcemy mieć. Bo wierzy w innych bogów. Bo mówi innym językiem. Bo nam się, w końcu, kurwa, nie podoba jego gęba.

Nie powiedział nic. Podszedł do wbitych w ziemię włóczni, uważając, by nie przekroczyć niewidzialnej linii, którą wyznaczały na ścieżce. Popatrzył na krzemienne groty, przymocowane ścięgnami do opalonych nad ogniem drzewc. Bezwiednie wyciągnął dłoń, ostrożnie dotknął krawędzi, najostrzejszej rzeczy na świecie, świeżo odłupanego krzemienia. Prześlizgnął się spojrzeniem po uciętej głowie, nie, nie uciętej, oderwanej, z kikuta szyi zwisały tchawica i ścięgna. Zajrzał w krwawe oczodoły. Spostrzegł, że oczy nie były wybite ani wykłute, wyłupiono starannie całe gałki oczne.

Nikt nie będzie patrzył twoimi oczyma. Sam nie wiedział, skąd przyszło mu do głowy to zdanie.

Wyprostował się. Starając się nie kręcić zbytnio głową, mrużąc powieki zlustrował las. Z początku niczego nie dostrzegł, myliły go zwiewne mgły i tańczące na mchu plamy światła. Zbyt wiele było jałowców, wyobraźnia płatała figle. Coś, co jawiło się przyczajonym wrogiem, okazywało się nagle krzakiem.

Ale nie tylko. Ciemny kształt na granicy widzialności poruszył się, co uczyniło go dostrzegalnym, ludzkie oko wyczulone jest na ruch. Teraz, kiedy wiedział, gdzie patrzeć, dostrzegł też drugi kształt, ciemnobrunatny, prawie czarny.

Zmusił się, by nie patrzeć w tę stronę. Odwrócił głowę, czując mrowienie na karku. Postanowił nic hrabiemu nie mówić, za dużo obawiał się jego reakcji. Gisbourne nie rozglądał się już. Z twarzy znikła bladeść, policzki nad pasmami farby nabiegły krwią.

– To nie ludzie, panie hrabio. – Match uprzedził powtórne pytanie. – W każdym razie nie tacy jak my.

– To co to, kurwa, jest? – rozdarł się hrabia.

Match kątem oka spostrzegł, że ciemny, daleki kształt przypadł do ziemi, zniknął.

– Ciszej! – syknął Match ze złością. – Długo by opowiadać. Teraz wracamy.

– Co? – Hrabia poczerwieniał jeszcze bardziej i wyglądał, jakby za chwilę krew miała trysnąć mu z policzków.

Załamnął się, zrozumiał Match. Już mu wszystko jedno.

– Zgłupiałeś?! – parsknął Gisbourne wściekle. – Co ty mi tu? To dzikusy, to zwykłe dzikusy. Popatrz na to! – Wskazał na włócznie. – Głupie dzikusy, które potrafią tylko zrobić takie patyki. W niedźwiedzich skórach, śmierdzące i głupie! Z maczugami i kamieniami!

Bez nerwów, powiedział sobie Match, tylko bez nerwów. Trzeba go uspokoić i wracać. Przekazać znak.

– Nawet mieczy nie mają! Nie potrafią zrobić! Będziesz mi tu bajki opowiadał, że nie tacy jak my! Pewnie, że nie tacy! Śmierdzące dzikusy!

Match spróbował jeszcze raz.

– Wy też, panie hrabio, miecza zrobić nie potraficie, jak mniemam. Ale go używacie. A przypomnijcie sobie... – Chciał uświadomić hrabiemu, że cała broń została starannie zebrana.

– Nie, Match, nie będę cię słuchał. To dzikusy. Nie żadne nienazwane, nie żadne zło z mgły! A jak dzikusy, to muszą gdzieś spać. Gdzieś żyć. I tam pójdziemy, tam ich zabijemy!

– We dwóch? – wtrącił Match sceptycznie.

– Co? – zająknął się Gisbourne, tracąc na chwilę desperacki zapał. Jednak szybko go odzyskał. – Nie, nie we dwóch. Pójdziemy zobaczyć, gdzie. I wrócimy tam, wrócimy wszyscy. Na naszych warunkach, to my wybierzemy, kiedy! Zabijemy wszystkich.

Match pokręcił głową. Spróbował jeszcze raz tłumaczyć.

– To znak. Przeprowadzili nas tutaj. Chcieli, żebyśmy to zobaczyli, chcieli być pewni. Zostawili ślad, po którym musieliśmy trafić. Zostawili wiadomość, której przedtem nikt nie chciał zrozumieć.

– Jaką znowu wiadomość? – parsknął hrabia pogardliwie.

Match wskazał na głowę, na zatknięte w ziemię włócznie.

– Myślisz, że tę akurat głowę zostawili, bo nie pasowała im do gzymsu nad kominkiem? Akurat tę jedną?... To nie ludzie, Gisbourne, ale i nie

zwierzęta. To ich dolina, nie chcą, żebyśmy...

– Gówno mnie obchodzi, czego chcą, a czego nie!

– To starszy lud, to nie dzikusy. Nie chcą wojny, chcą tylko mieć...

Gisbourne podszedł, zbliżył twarz do twarzy Matcha. Plując drobnymi kropelkami śliny, wycedził:

– Dość tego. Dość pieprzenia o starszych ludach. Niech sobie będą starsze, nie ma dla nich miejsca. Pójdziemy do nich, zniszczymy, unicestwimy. To nasza ziemia, to my zwyciężymy!

Match odsunął się. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Z pamięci wypływały obrazy, nie pozwalały jasno myśleć. Nogi mu osłabły, przysiadł na mchu, na skraju ścieżki.

– My już zwyciężyliśmy – mówił cicho, jakby do siebie, z opuszczoną głową. – Zwyciężyliśmy przed tysiącami lat, zabraliśmy im świat. Był dla nas za mały, nie mogliśmy się w nim pomieścić, my, i oni.

Poderwał głowę.

– Gisbourne, nie!

Za późno.

Hrabia podszedł do wbitych w ziemię włóczni. Zgarnął je, wyrwał. Przekroczył niewidzialną granicę.

Match zerwał się, postąpił krok. Przystanął.

Gisbourne potrząsnął trzymanymi włóczniami.

– No i co! – wrzasnął triumfalnie. – Ot, wasze znaki! No i co mi...

Nie skończył. Uderzenie w bark okręciło go, rzuciło na ziemię.

– ...zrobicie... – Hrabia jęknął.

Z ramienia sterczała włócznia, taka sama jak te, które wciąż trzymał w zaciśniętej dłoni. Począł pełznąć, drapiąc mech szponami palców jednej ręki. Druga była bezwładna.

– Match... – stęknął tylko.

Match zwinął się w obrocie, ręką instynktownie sięgnął do rękonoży i zamarł, wpatrując się w postać przed sobą.

Okrywała ją skóra o długich, brunatnych włosach, zwieszająca się aż do ziemi. Nasadzona na głowę połówka niedźwiedziej czaszki ocieniała

czoło, jednak spod kłów zwierzęcia błyskało czujne, ludzkie spojrzenie.

Sam nie pojmując, dlaczego, Match opuścił wzniesioną rękę. Zrobił krok do przodu, zatrzymał się, uderzony następną falą nienawiści. I strachu, zrozumiał po chwili.

Nie, chciał powiedzieć, ale zaschnięte gardło odmówiło posłuszeństwa, wydobył się z niego jedynie cichy skrzek. Nie, pomyślał tylko, nie będziemy zabijać, nie tu, i nie teraz. Oczy pod nawisem niedźwiedziej szczęki błysnęły.

Match już wiedział. Zrozumiałem, pomyślał, zrozumiałem znak. Przekażę go. Nie wiem, czy posłuchają, ale przekażę. Tego chcieliście, prawda? Przekazać znak.

Potwierdzenie nadeszło natychmiast, zrozumiałe. Match odprężył się, spróbował rozejrzeć. Tylko jeden, pomyślał nieopatrznie. Drugi, który rzucił włócznię. Tylko tyłu widziałem. Jakby poszło nie tak, to powinienem sobie...

Nienawiść i strach uderzyły nagle, z nieodczuwaną dotąd siłą. Zrozumiał, że popełnił błąd, zanim jeszcze za jego plecami trzasnęła gałązka. Zanim świat eksplodował w czerwonym rozbłysku.

Słodki smród przypalonego mięsa miesza się z odorem niewyprawionych skór. Zalepione zakrzepłą krwią powieki nie dają się otworzyć, ale ręce, wykręcone do tyłu i zdrętwiałe, wyczuwają rzemienie, zgrubienia ciasnych węzłów.

Ocknął się. Fala ciepła uderza go w twarz, trzaskają podsyczone płomienie ogniska. I zaraz ogarnia go fala strachu. Chcą upiec. Nawet najpierw nie oprawiają. Ciało skręca się w panice, na tyle, na ile pozwalają więzy, krępujące ciasno do wbitego w ziemię pala. Ciepło słabnie. Próby rozwarcia powiek spełzają na niczym, potęgują tylko dokuczliwe łupanie w głowie. Pod powiekami rozbłyskują świetliste kształty. Z tyłu dobiega powolne, rytmiczne kapanie wody. Krople rozpryskują się na kamieniach. Gardłowe pomruki odbijają się pogłosem.

Jaskinia.

Znów nasila się zapach przypalonego mięsa, do pomruków dołącza się mlaskanie, chrupot miażdżonych kości. Odgłosy wysysania.

Coś dzieje się z głową. Myśli rozpierzchają się, mimo wysiłku coraz trudniej je zebrać. Ma dziwne wrażenie, jakby oślizgłe paluchy grzebały mu pod czaszką. Nienawiść i ciekawość. Czyjaś. Obca.

Cichy trzask w tyle głowy. Nienawiść odpływa, pozostaje ciekawość. I lęk. Kolorowe, lśniące plamy tańczą w głębi czaszki. A potem kolory bledną, przekształcają się w słowa.

Przyszedłeś mnie zabić. Zabić nas wszystkich.

Nie. Chcę wiedzieć. Chciałem wiedzieć. Zrozumieć.

I zrozumiałeś? – Zdziwienie. Jak myślą wyrazić kpinę? Jak wyrazić ironię?

Zrozumiałem. Nie, przypomniałem sobie.

Tak, wiem, kim jesteś. Już wszyscy wiemy. Ty pamiętasz.

Znów uderza nienawiść, jest tak silna, że aż ściska skronie bólem.

Ty pamiętasz, kiedy przyszlście tutaj, na naszą ziemię. My byliśmy tu zawsze, od początku. Byliśmy tą ziemią, a ona była nami. Do dziś jest. Jesteśmy jednością. Wy zabraliście nam wszystko. Chcecie zabrać to, co jeszcze pozostało.

Kim jesteś?

Nie wiesz? Jestem matką. Jestem wszystkim, jestem nimi, a oni są mną.

Chcę...

...zobaczyć? Nie możesz? Nie potrafisz widzieć, potrzebne ci oczy?

Znów ma wrażenie gmerania pod czaszką, uczucie zatruty ciała, wirowania bez dołu i góry. Migotliwe kształty uciekają na boki, pod zlepionymi powiekami pojawia się obraz, ciemny, zamazany. Ból w czaszce słabnie, obraz wyostrza się.

Sklejone krwią włosy, poszarpane ubranie. Twarz nierozpoznawalna pod maską zakrzepłej krwi. Wykręcone do tyłu ręce...

...Tak. Widzisz siebie. Moimi oczyma. Nie potrzebujesz swoich, dotąd byłeś ślepcem, teraz widzisz.

Dostrzega nagle doliny, korony drzew sterczące nad mgłą. Błysk płomieni, żar ogniska.

...Widzisz? To wspólnota. Coś, czego nigdy nie miałeś, czego nigdy nie będziesz miał. Pomyśl o tym...

Cichy trzask w tyle głowy. Pustka. Pustka nie do wytrzymania, pustka, jakiej dotąd nigdy nie doświadczył. Samotność ostateczna. Tylko ja i nic więcej.

Wracaj!

Kropla upadła na ramię, rozprysła się. Poczucił chłód na obnażonej szyi. Druga trafiła w to samo miejsce.

Match z wysiłkiem pochylił głowę, następna kropla uderzyła w czoło z hukiem, który zagrział wewnątrz czaszki. Kolejna spłynęła po czole, do oczodołu, w dół po policzku, jak krwawa łza.

Kapią kolejne krople, sprawiając ból, jakby były twardymi kamykami. Ale wilgoć spływa po twarzy, zmywa skrzepłą krew.

Match z całych sił spróbował otworzyć zlepione powieki. Udało się, mimo bólu rozdzielanych siłą rzęs. Zaczął mrugać, skapujące krople przemywały oczy. Rozróżniał już szczegóły. Jaśniejszy kształt, otwór jaskini wypełniony różową mgłą. Blask ogniska. Skulone postaci przy ognisku, niekształtne, grubokościste, okutane w skóry. Już bez niedźwiedzich skalpów nasadzonych na głowy, głowy o dziwnym kształcie, z ciężkim nawisem brwi, niskich czołach, wydatnych nosach. Match złowił błysk spojrzenia. Postać poderwała się z gardłowym charkotem, po chwili przysiadła, uspokojona. Drugi z siedzących podniósł coś z popiołu. Match poczuł uderzenie w pierś. Spojrzał na dół i wewnątrzności skrzyły mu się w twardy węzeł, przymknął oczy.

Ludzka ręka. Rozwarte palce o popękanej skórze, przedramię przypalone w żarze, do czysta objedzone aż do łokcia.

Zmusił się, by spojrzeć jeszcze raz. Usiłował przypomnieć sobie, czy

Gisbourne nosił taki pierścień, poczerniały od ognia.

Nie, to nie on.

Nie zauważył, kiedy cień przesłonił wejście do jaskini. Mógł dostrzec tylko ciemny kontur, bezkształtny, jak reszta, okutany w skóry.

To nie on, on będzie na później. Jeszcze żyje, ale już niedługo. O co ci chodzi? On cię przecież nienawidzi, nienawidzi wszystkiego, prócz siebie.

Match chciał pokręcić głową, ale zrezygnował po gwałtownym ukłuciu bólu. Kark był sztywny.

Ja też go, kurwa, nie lubię...

Zaciekawienie przebiło się przez lęk i nienawiść.

...Co to jest...?

Match o mało się nie roześmiał. Nie podejmował się tłumaczyć, co to jest kurwa.

Boisz się mnie – stwierdził zamiast tego, ku własnemu zaskoczeniu. Nie było w tym satysfakcji, tylko stwierdzenie. Nie oczekiwał odpowiedzi, ale ta szybko nadeszła.

Boję się. Wszyscy się boimy. Nie tylko ciebie, was wszystkich. Zabiliście nas już raz, teraz chcecie znowu. Chcecie nam wszystko odebrać, uważacie, że tylko wam się to należy.

Dlaczego więc walczyacie? Po co te znaki? Dlaczego ze mną rozmawiasz, zamiast po prostu zabić?

Wahanie. I niepewność.

Bo tak trzeba – padła w końcu odpowiedź. – Wszystko jest przesądzone, ale jeszcze nie dziś, nie jutro. My pamiętamy, pamiętamy wszystko. Nie tak, jak ludzie, skazani tylko na swe istnienie, zamknięci we własnym umyśle. Ty powinieneś zrozumieć. Dla nas nie ma tu miejsca, ale i dla ciebie też.

Wstała, krępa i niska, niekształtna w swych skórach. Na jej niesłyszalny rozkaz postaci przy ognisku wsiąkły w mrok. Przykucnęła przed Matchem, przesłaniając otwór jaskini i słaby blask dogasającego ognia.

Nie rozumieją znaku. A raczej rozumieją na swój sposób, jak on. Jako coś do złamania, do przejścia. Znak jest tylko wyzwaniem, wyzwaniem do

zniszczenia wszystkiego, co nie jest wami. Co nie jest nimi. Jesteś szansą, złudną, ale zawsze. Trzeba spróbować, choć to nic nie da, na pewno.

Pochyliła się nad nim. Poczuł dotyk sztywnych włosów na policzku. I zapach, ostry, ale nie przykry.

Spróbuj, proszę... Zanim zaczniemy znów zabijać. Zanim zginiemy.

Dotknęła jego warg. Zapach parującego płynu budził wspomnienia, ukryte głęboko, ale jego własne. Z tego życia.

Cofnął głowę, zanim jeszcze poczuł na ustach gorący napar. Chciał coś powiedzieć. Uprzedziła go.

Dobrze. Ale on jest zły, jest tacy, jak wszyscy.

Przyszedliśmy razem. I wyjdziemy też razem. Albo wcale.

Już nie było nienawiści i lęku. Pozostało ulotne wrażenie wspólnoty, więzi ze starszym ludem, tak bliskim i tak odmiennym. I zrozumienie pomiędzy dwiema rozumnymi rasami.

Pij. A będziesz mógł zapomnieć.

Ogień wybuchł jasnym płomieniem, odbijając się w ociekających wilgocią kamieniach. W pojedynczym błysku, zanim opadły bezwolne powieki, Match zobaczył jej twarz. Obcą, nieludzką i piękną.

Angus podał blaszaną flaszkę. Match pociągnął tęgi łyk. Jęczmienny destylat spłynął ciepłem wzdłuż przełyku.

– Tego mi było trzeba – mruknął.

Popatrzył na górskie grzbiety, z których spływała mgła. Siedzieli przed chatą, bez mała wrośniętą w ziemię i z daleka prawie nie do odróżnienia od trawiastego pagórka. Siadywali tak codziennie, popijając i wpatrując się w góry z nadzieją, że nic już nie wyłoni się z mgły. Match czekał, aż stan hrabiego polepszy się na tyle, by można go było zabrać z powrotem do Nottingham – albo aż umrze, co też rozwiązywało sprawę. Zdaniem Gudrun, starej zielarki, szanse na razie były równe.

Match z wyraźnym zniecierpliwieniem rozgrzebywał ziemię końcem kija, który służył mu za laskę. Czuł się prawie dobrze, żebro już nie kłuło,

minęły mu ataki podwójnego widzenia. Jak sam Angus pochwalił, miał prawdziwie szkocki łeb, taki, który niełatwo całkiem rozwalić.

– A niech mnie! – Stary pokręcił głową. – Nie do pojęcia, że zdołałeś wrócić, iść z tak rozbitym kolanem i jeszcze jego przytargać.

Match spojrział bezradnie, jak zwykle, gdy słyszał coś podobnego.

– Nie wiem – odparł wreszcie, nie odrywając wzroku od wyłaniających się z mgły szczytów drzew. – Nie pamiętam. Dostałem w łeb, tam, pod znakiem. Nawet nie pamiętam, jak go zranili, i kiedy.

– Doniosłeś go prawie do wioski. Dwustu kroków zabrakło – mruzczał w zamyśleniu Angus. – I jak się tylko ocknąłeś, powiedziałeś o znaku. O zakazanej dolinie.

– Angus... – zaczął Match.

– Wiem, wiem. – Stary machnął ręką. – Obiecuję, że póki mego życia, nikt tam nie pójdzie. Nie obudzimy tego, co przybywa z mgły. Powiedz, Match, to demony? Czy dzikusy?

– To starszy lud, Angus. Nie wrócą, dopóki wy tam nie pójdziecie. Wtedy znów trzeba będzie zabijać.

Zamyślił się. Dotrzymasz słowa, pomyślał, wiem, że dotrzymasz, choć ciężko będzie ci żyć z czymś takim pod bokiem.

Match spojrział na przechodzącego obok jednego z synów Angusa, rudowłosego młodzieńca o chmurnym spojrzeniu. Ty dotrzymasz, Angus, pomyślał. Ale kiedy on zechce pomścić brata?

Patrzył na omywany mgłą las. Nie miał złudzeń. Wtedy, pod znakiem, zrozumiał wszystko. Wszystko powtórzył, gdy odzyskał przytomność. Nie zastanawiał się, jak udało mu się wrócić, z rozwalonym kolanem i rozbitą głową. Nie zgadywał, jak przywłókł nieprzytomnego hrabiego. Nie myślał nawet, dlaczego zostawili go na ścieżce, zamiast zabić. Coś sprawiało, że gdy próbował tego dociekać, myśli rozpierzchały się, gubiły. W końcu więc przestał.

Ale nie miał złudzeń. Wiedział, że ktoś w końcu obali znak, ruszy dalej, zanieść śmierć i zemstę. Świat jest za mały, nie pomieści wszystkich. Dostrzegał chmurny wzrok młodych McLeodów. Słyszał majaczenia Gisbourne'a – o karnej ekspedycji, o zapłacie. Słowo Angusa da tamtym czas. Ale ten czas się skończy i nieznane znów uderzy. A

potem także w tej dolinie zastukają siekiery, staną zagrody. W miejscu lasu będą pastwiska. I będzie pewnie następna dolina. Dopóki starczy dolin, dopóki nie nadejdzie noc i mgła.

– Nigdy tam nie wróciłem. – Match potarł czoło. – Nawet nie pamiętałem. Oprócz tego, że nie wolno tam wracać.

Deszcz bębnił o gonty, w kącie jak zwykle zbierała się kałuża. Żaden z nich nie zdobył się, by naprawić przeciekający dach. Match rozumiał teraz, dlaczego: byłoby to przyznanie, że zostaną tu długo.

Mrok w izbie rozświetlało tylko dogasające palenisko. Nie widzieli swych twarzy.

– Nie będą przyjaźni – zauważył Jason po dłuższym milczeniu. – Jesteśmy intruzami. A nawet najeźdźcami, jak mówisz.

Match zaprzeczył.

– Gdyby chcieli nas zabić, zabiliby dawno. To oni są u siebie. Nie mieliby z tym żadnych problemów.

Wstał, przeciągnął się, aż zatrzeszczały kości. Syknął, gdy zaboląły naciągnięte mięśnie.

– To jedyna szansa, Jason – stwierdził rzeczowo. – Tylko oni mogą nam pomóc wrócić. Bo to oni ukryli przejścia.

Ma rację, zrozumiał Jason. Znowu myśli trzeźwo, to znowu dawny Match. I jak zwykle okaże się skuteczny.

– Już wiem, jak słuchać ich głosów. Trzeba po prostu poczekać. Nie biegać jak dureń po lesie, nie ścigać cieni – dokończył Match.

Basile począł rozdmuchiwać żar, podłożył nałamanych gałęzi. Płomienie z trzaskiem wystrzeliły z nad brzozonej kory. Zwinięty w kłębek na pryczy gryf zastrzygł uszami. Niedługo się obudzi i ruszy na polowanie.

– Znajdę wyjście. Nie wiem, może nie jutro i nie pojutrze, ale znajdę.

Jason spod oka obserwował jego zaciętą, zdecydowaną twarz. To znowu dawny Match, pomyślał cynicznie. Wystarczyło dać parę razy po

łbie.

– Znajdę przejście i wrócę. Oby nie za późno.

– Chyba wrócimy? – spytał Jason.

Match popatrzył na niego, tak jakoś z ukosa, jednym okiem. Do drugiego wciąż przykładł mokrą szmatę.

– Nie, Jason – rzekł wolno. – Nie tym razem.

Jeśli oczekiwał protestów, to się nie doczekał. Tylko Basile uniósł wysoko brwi, ale się nie odezwał.

– Będzie mi łatwiej – dodał, zupełnie niepotrzebnie. – To ja muszę naprawić to, co spieprzyłem. Jeśli to w ogóle możliwe. Wybacz, Jason, i ty, Basile. Nie pomożecie mi.

A nawet będziemy przeszkadzać, chciał powiedzieć Jason. Ale nie powiedział. Czuł, że Match tym razem ma rację.

– Muszę ratować... – rzekł Match bezradnie.

Potem już tylko długo milczeli.

CZEŚĆ DRUGA MASQUERADE

*Nobody will ever let you know
When you ask the reasons why
They just tell you that you're on your own
Fill your head all full of lies*

*Where can you run to
What more can you do
No more tomorrow
Life is killing you
Dreams turn to nightmares
Heaven turns to hell
Burned out confusion
Nothing more to tell*

Black Sabbath, Sabbath Bloody Sabbath

I chuci swey plugawey Wiedźma folgować chciała, do zguby przywieść, iako wprzódy iuż czyniła, czego exemplum naylepszem Wieprza krwawego losy, alibo Banity sławetnego, zwanego Robyn Hode. Wszelako prawości Rycerza dobrego, Sheriffa Nottyngham, złamać nie potrafiąc, Philtra tajemne a zdradliwe gotować poczęła, proszki, ziela sekretne i metalle mieszaiąc, takóż szerść pewnych zwierząt. Co nie może dobrego Chrześcijanina do amorów przywieść inaczey iak ex pacto z Dyabłem inito.

Lecz uradził mocy piekielney dobry Sheriff Robert, nie przywiodła go Wiedźma ku zgubie, cierpliwością y modlitwą zbawienia dochodząc. Ieno Philtra owe ciału y rozumowi szkodzą, z racyi szkodliwych swoich ingrediencyi, iako to odchody miesięczne, żywot Hyeny alias Wilka Azyatyckiego, virga lupi, kości ziemney żaby, a naybardziej szaley ziele. Przeto z łaski Bożey Robert de Reno swemu Stwórcy Duszę oddał, pokusom Dyabelskim nie ulegaiąc; cierpieniem swem się ubogacaiąc i Bogu ie ofiaruiąc, iako że wątpia mu ze szczętem wygniły i z żywota wyciekły.

Żywot Bł. Piotra z Blyton, Biskupa Lincoln

Śnieg nie okrywał już niskich, przysadzistych zabudowań. Niespodziewana, wczesna odwilż pozbawiła je białej osłony, na tle nagich drzew i rozmiękłego błota ukazała całą, niczym niezmaconą szpetotę poczerniałych przez lata ścian, zapadających się już gdzieniegdzie, krytych gontem dachów. Odstłoniła to, co inne pory roku litościwie skrywały pod liśćmi oplatającego ściany bluszczu lub skrzącym się śniegiem.

Siedlisko zwano niegdyś kasztele, ale było to dawno temu, zanim rozebrano chroniący je częstokół, zasypano wąską i płytką fosę, a osieroczone przez właściciela zabudowania padły ofiarą płomieni i

miejscowych, zapobiegliwych jak zwykle, wieśniaków.

Ogień strawił główny budynek, będący kiedyś domem panującej na tych włościach rodziny. Wieśniacy dopatrywali się w pożarze Bożego zamysłu, jako ostatniej plagi, którą Wszechmocny zesłał na szlachcica dla dopełnienia poprzednich nieszczęść. Dziwili się trochę, gdyż wcześniejsze klęski złamały nieszczęśnika ze szczętem, w powszechnej opinii zaś nie zasługiwał on na potępienie i doświadczanie czyścica za życia, w każdym razie nie bardziej niż inni ze szlachty. Wręcz przeciwnie, dobry był z niego pan, pobożny i prawy, którego jedyną wadę, jak mawiano, stanowiła zbytnia wyrozumiałość. Dziwiono się zatem w okolicy, aż świątły ksiądz wyjaśnił, że nieszczęścia owe są szczególnym wyrazem umiłowania nieszczęsnego szlachcica przez Boga. Dobry Bóg bowiem tych, których szczególnie umiłował, doświadczają niezwykle dotkliwie, co wyrazem jest łaski Pańskiej najwyższej. Jak dodał kapłan, Bóg czyni tak od początku rodzaju ludzkiego, czego przykładem Księga Hioba.

Prostemu ludowi trudno było rozeznaczyć niezbadane ścieżki Pańskie, przeto zdarzały się całkiem niestosowne pytania. Nim dobry ksiądz zeźlił się całkiem i pogonił co bardziej dociekliwych, zdołał jeszcze wyjaśnić, że biedny szlachcic utracił wprawdzie najpierw córkę, potem majątność, inwentarz i żonę, ale duchowo ubogacony został niezmiernie. I szkoda, że zginął tak szybko, nie zdążywszy swego cierpienia, będącego wartością samą w sobie, na pociechę i przykład dla innych obrócić.

Niezbadane są ścieżki Pańskie, przeto ksiądz uznał najwidoczniej, że prawda o spaleniu domostwa nie zaprzecza w żaden sposób mistycznej interpretacji wydarzeń. W istocie bowiem gdy szlachcic wyruszył na ostatnią swą wyprawę, do samego króla, by już nawet nie sprawiedliwości, ale litości prosić, kasztel odwiedzili kilkakrotnie co bardziej przedsiębiorczy z chłopów, których na swej ziemi osiedlił. Zemściła się srodze zbytnia dobroć. Po śmierci pani kasztelu parobkowie rozbiegli się, potem odeszli nieliczni zbrojni, a na koniec zdechł ostatni pies, nic więc nie chroniło już dobytku. I bardzo prędko nic z tego dobytku się nie ostało, wyrwano nawet framugi z okien, rozebrano palenisko. Toteż gdy ostatni z amatorów pańskiej własności, człowiek nieco ociężały umysłowo, zjawił się w kasztelu, zastał już tylko gołe ściany. Tak zdenerwował się tą krzyczącą niesprawiedliwością, że,

obrażony na cały świat, podłożył ogień. W ten sposób stał się narzędziem Bożym. Każdemu bowiem, nawet ociężałemu wiejskiemu głupkowi, Bóg na tej ziemi przeznacza jakąś rolę.

Gdyby szlachcic wrócił z dalekiej, niepewnej i upokarzającej drogi, widok pogorzeliska załamałby go ze szczętem. I może nawet, w przeciwieństwie do Hioba, nie wytrzymałby w swej wierze niezłomnej, ale przygnieciony ostatnim z łańcucha nieszczęść, począłby narzekać i bluźnić, nie bacząc na łaskę i miłość Boską, a nawet na niechybną na tamtym świecie nagrodę. Jednak Bóg w swej łaskawości nie wystawił nieszczęśnika na kolejną próbę. W powrotnej drodze szlachcic napotkał rabusiów i poległ w nierównej walce. Powiadają, że szans żadnych nie miał, gdyż wracał ze swej daremnej wyprawy całkiem zdruzgotany, nic od króla nie uzyskawszy, ani sprawiedliwości, ani litości. Jednak stanął dzielnie i padł zaraz od zdradzieckiej strzały w plecy.

Kasztel spłonął. Budynki, które ostały się pożarowi, stajnie, obory, dom dla służby z wolna popadały w ruinę. Wkrótce też z rozkazu szeryfa zburzono częstokół i zasypano fosę, aby miejsce to nigdy już nie było obronnym gniazdem.

Po latach czas zatarł ślady burzliwych wydarzeń. O spalonym kasztelu przypominał ledwie widoczny, zarośnięty trawą i chwastami zarys fundamentu z ciosanego kamienia. Do obór wrócił inwentarz, choć niewielki w porównaniu z dawnymi czasami. Siedlisko nie odzyskało dawnej świetności, nigdy nie odbudowano częstokołu, nie oczyszczono fosy. Nowe chaty dla parobków pobudowano tak dawno, że zdążyły poczerńieć i wyglądem nie odbiegały od reszty. A w niegdysiejszym głównym budynku dla służby od lat mieszkała nowa pani.

Nie całkiem nowa. W istocie ona była przyczyną wszystkich nieszczęść, jakie spadły na to miejsce i żyjących tu ludzi. To ona za nic miała ojcowskie nakazy, wzgardziła domem, rodziną, swym szlacheckim stanem. A także małżeństwem, które jej proponowano. Odrzuciła zaszczyty i dobrobyt, splamiła swą cześć szlachecką i dziewiczą.

Została kochanką banity. Potem zaś drugiego, jeszcze gorszego, nawet nie szlachcica. Sprzeciwiła się prawom i obyczajom. Do prowadziła do klęski i upadku swego ojca. Przywiodła matkę do grobu.

Lady Marion.

Wiatr rozrzucił kasztanowate, przetkane srebrnymi nitkami włosy. Marion szczelniej otuliła się chustą. Nie wyglądała w niej na panią na, bądź co bądź, kasztelu, stojącym na jej włosciach, mizernych wprawdzie i okrojonych, ale rodowych.

Nie musiała już, jak na początku, sama brać się do pracy. Ludzie z wolna zapominali. Mogła nająć parobków, miała też kogoś w rodzaju rządcy. Nie musiała dłużej przemykać się chyłkiem ani chować twarzy w cieniu, by nie widzieć znaków czynionych od uroku, albo po prostu pogardliwych i nienawistnych spojrzeń. Wszystko już spowszedniało, czas uczynił swoje. Ale wiedziała, że nie zapomniano.

Jak przez pierwsze lata, wciąż doglądała prac gospodarskich. Nie było to konieczne, lecz pozwalało wypełnić pustkę życia bez nadziei, bez oczekiwania, że cokolwiek jeszcze nadejdzie, że cokolwiek się zmieni. Bo przecież życie się skończyło, kiedyś, przed laty. Prawdziwe życie. Teraz jest tylko trwanie.

Kobieta o złych, pustych oczach odrzuciła z twarzy kosmyk targanych wiatrem włosów.

Wciąż stała na zimnym, wilgotnym wietrze, nie wchodząc do izby. W izbie też była pustka, pomimo wypełniających ją sprzętów, i chłód.

Kiedyś próbowała uczynić tę izbę miłszą, przytulniejszą. Ale nie pomogły miękkie skóry na łóżku ani uratowany przed rabusiami gobelin na ścianie, ani nawet weneckie zwierciadło, jedyny przedmiot zbytku. To niczego nie zmieniło, bo chłód i pustka były w samej Marion.

W wąskiej szczelinie pomiędzy chmurami pokazał się niespodziewanie skrawek bladego, zimowego nieba. Promień niegrzejącego jeszcze słońca oświetlił błotnisty podwórzec. W szarej, suchej zeszłorocznej trawie coś błysnęło. Odłamki zwierciadła złowiły pojedynczy promień słońca i odpowiedziały zwielokrotnionym błyskiem.

Lustro było doskonałym dziełem rzemieślnika z dalekich krajów. Nazbyt doskonałym. Nie zniekształcało. Dawało odbicie wyraziste i prawdziwe.

Kiedyś cieszyło ją, że może czesać przed nim włosy, z których była tak dumna. Z biegiem lat jednak odbicie stawało się zbyt prawdziwe. Widziała coraz więcej srebrnych nitok we włosach. Zmarszczki w kącikach ust i oczu, jeszcze delikatne, widoczne tylko przy uśmiechu.

Włosy można czesać, nie patrząc w lustro. Zwłaszcza że już nikt ich nie pogładzi, nikt nie wtuli w nie twarzy, nikt nie nawinie kosmyka na palec. Nikt z tych, których kochała. Ani ten, który zginął przed laty. Ani ten, który odszedł całkiem niedawno, gdyż przeznaczenie było ważniejsze niż lata tęsknoty. Ani nawet ten, który pomógł, nie chcąc niczego w zamian, a dostał więcej niż tamci.

Zwierciadło podzieliło los, jaki często spotyka nazbyt prawdomówne zwierciadła. I jak zwykle nie załatwiło to problemu, bo nie da się przecież rozbić tafla wody w cebrzyku. Nie można nie dostrzegać swego odbicia w oczach innych, ich zdziwienia i wstrząsu przy spotkaniu po latach. Nie można przegapić upływającego czasu, jakkolwiek byłby on pusty i jałowy.

Jeszcze przed tygodniem sądziła, że pustka nie może być większa, a chłód dotkliwszy. Wydawało się jej, że straciła już wszystko, co mogła. Myliła się. Mogła więcej.

W zasypanym śniegiem kasztelu dnie biegly zwyczajnym, niespiesznym rytmem. Nic nie zapowiadało nadchodzącej odwilży. Mróz, jak to w lutym, trzymał mocno, śnieg grubą warstwą pokrywał zmarzniętą ziemię i dachy zabudowań. W rozciągającym się za kasztelam lesie słycać było trzask pękających pni, gdy rozsadzały je tężejące resztki soków. Zwierzyna wychodziła na skraj pól, licząc na znalezienie pod śniegiem pożywienia, na ogół daremnie. To była ciężka zima. Marion wiedziała, że wiele zwierząt jej nie przetrzyma, wielu ludzi w odciętych od świata siołach również. Czas sprzyjał tylko wilkom, które podchodziły coraz bliżej ludzkich siedzib.

W izbie, ogrzewanej płonącymi w palenisku brzożowymi kłodami, wielki, kudłaty pies przerwał drzemkę, łypnął spod przekrwionego oka. Marion otrząsnęła się z zadumy i spojrziała niechętnie na kundla.

Normalnie jego miejsce było na dworze, okazałe bydlę, z widoczną domieszką wilczej krwi, znakomicie znosiło mrozy. Jednak teraz, gdy w zapadającym zmroku wilcze watahy krążyły wokół zabudowań, bezpieczniej było trzymać go w izbie. Wilki pały wyrażną nienawiścią do spiałego kuzyna, widząc w nim zapewne wstrętnego renegata. Z ostatniej potyczki tuż za stodołą pies wprawdzie wyszedł cao, ale przy przewadze liczebnej leśnych współbraci porażka była kwestią czasu.

Marion zlitowała się więc nad psiskiem i, aczkolwiek niechętnie, wpuszczała go na noc do izby. Nie miała wyboru, rządcą stanowczo zaprotestował przed wzięciem psa do siebie, zamknięcie go zaś w obórcie wraz z owcami nie wchodziło w rachubę, zbyt często dochodziła do głosu jego wilcza natura.

Pies głównie spał i puszczał baki, co samo w sobie nie dokuczało jej zbyt. Gorsze były napady obowiązkowości, objawiające się basowym poszczekiwaniami na każdy szmer dochodzący z zewnątrz, zwłaszcza głuchą nocą. Pies starał się jak mógł, by wykazać swą czujność i przydatność. A jeszcze gorsze były pchły, które posiadał w wielkiej obfitości.

Nie zwracając uwagi na niechętne spojrzenie, zwierzak wstał i przeciągnął się, po czym wydał z siebie basowe warczenie.

– Śpij, kundlu – mruknęła pod nosem Marion.

Pies zjeżył sierść, warknął ponownie.

Teraz i ona usłyszała stukot kopyt na mostku przez strumień.

Nie obawiała się. W okolicy wiadano, że niewiele pozostało do zrabowania, ci zaś, którzy przychodzili spalić wiedźmę wraz z domostwem, zostali już dawno skutecznie zniechęceni przez szeryfa. Była jednak zdziwiona. Tu prawie nikt nie przyjeżdżał, a już na pewno nie zimą, nie w taki mróz.

Jesienią, po strzyży, do kasztelu ściągali kupcy po weinę. Czasem przywożono towar z miasta, ale nie w zimie. Marion nie odwiedzali ani krewni, ani przyjaciele. W rzeczywistości od lat już nie pamiętała, co oznaczają te słowa. Przynajmniej sama tak uznała.

Narzuciła kożuszek bez rękawów. Uchyliła skrzypiące drzwi, stanęła za progiem, czując na policzkach ukąszenia mrozu. Zapadał wczesny zmierzch, rozjaśniany skrzącym się śniegiem. Z końskich nozdrzy

buchały kłęby pary. Dojrzała dwóch jeźdźców, znajomą sylwetkę szeryfa hrabstwa Nottingham.

Robert de Reno. Kiedyś znienawidzony, bezlitosny wróg. Potem szlachetny przeciwnik, który potrafił otoczyć swą opieką tę, która przegrała wszystko.

Czekała nieruchoma, patrząc, jak zbliżają się powoli. Dotknięciem dłoni uspokoiła psa, w którego gardle wzbierał groźny warkot. Pogładziła kudłaty łeb. Nie musiała się schylać, pies był naprawdę duży.

Ten drugi, Wulf, jak odgadła w zapadającym mroku, zeskoczył z kulbaki. Prawą ręką chwycił wodze szeryfowego konia, lewą przytrzymał strzemień. Szeryf gramolił się z siodła dziwnie nieporadnie i powoli. Wreszcie stanął na ziemi i zachwiał się lekko. Niecierpliwym gestem odprawił Wulfa, ruszył przed siebie.

Kiedy stanął w świetle padającym przez otwarte drzwi, Marion spojrzała w jego twarz i z trudem powstrzymała westchnienie. To nie był Robert de Reno, którego pamiętała, a widziała go przecież nie tak dawno. Ze ściągniętej, wychudzonej twarzy patrzyły na nią błyszczące gorączką oczy.

– Witaj... – zaczął szeryf. Nie dokończył. Zaniósł się suchym, szarpiącym kaszlem. Zgiął się, nie mogąc przerwać ostrego ataku. Tym razem nie powstrzymał Wulfa, który podskoczył, aby go podtrzymać. Napad kaszlu nie przechodził.

Spojrzenia Marion i Wulfa spotkały się. W oczach syna jarla Thormlunda dostrzegła gniew. I rozpacz.

W ciepłej izbie kaszel minął. Szeryf siedział na zydlu, wpatrując się w podłogę, jakby w sękatych, wygładzonych deskach dostrzegał coś niezmiernie ciekawego. Wulf poszedł do chaty szumnie zwanej czeladną, by tam, w zaduchu licznej rodziny i chudoby rządcy, wypić garniec grzanego piwa. Pies położył się na swoim miejscu. Znał szeryfa i uważał za jednego z domowników, może dlatego, że ten nigdy nie ciskał w niego kamieniami, gdy przywiązany na krótkim łańcuchu, szarpał się i pienieł.

Mimo że nieraz miał okazję, gość potrafił odmówić sobie tej zwyczajowej, prostej przyjemności.

Marion przyglądała się ukradkiem twarzy szeryfa, pochylonej wprawdzie, lecz dobrze widocznej w świetle woskowej świecy. Niedawno sądziła, że nic jej już nie może przerazić czy zasmucić. Okazało się, że jednak może.

Wyostrome, ściągnięte rysy, głębokie cienie pod oczami błyszczącymi gorączką. Dłonie splecione, by ukryć drżenie.

Szeryf nie był już młody. Ale jeszcze niedawno trzymał się krzepko. Nawet posiwiata czupryna i zmarszczki na twarzy pasowały do niego, nie postarzały go nadmiernie. Teraz wyglądał na swoje lata. Co najmniej na swoje.

To nie był już dumny wielmoża. Odnosiło się wrażenie, jakby wszystkie przeżyte lata zwały mu się nagle na kark, przyginając do ziemi.

To stary, chory człowiek, pomyślała Marion. To już nie jest Robert, jedyny...

Zacisnęła pięści, czując jak paznokcie wbijają się w dłonie.

...przyjacieli?

Po raz pierwszy tak o nim pomyślała. Nie wtedy, kiedy otaczał ją dyskretną opieką. Nie wtedy, kiedy... Nie, dopiero teraz. Teraz, kiedy budzi tylko współczucie. Jak zwykle, za późno.

Za późno. To nie była zwykła choroba, to nie była zwykła starość. To była zimna aura śmierci, bliskiej i nieuchronnej.

Nie miała dla niego nic, prócz współczucia. Nic więcej, nic w zamian. W zamian za co? Nie potrafiła sama dać sobie odpowiedzi.

Tylko gdzieś głęboko coś zakłuło. Coś zabolowało. Jesteś wredną dziwką, Marion, uświadomiła sobie. Nie stać cię nawet na...

Właśnie, na co?

Nieważne. Cisza zaczynała ciążyć. Rozpraszały ją tylko trzaskające w palenisku drwa.

Powodowana nagłym impulsem Marion wyciągnęła rękę. Szeryf uniósł twarz, lecz nie ujął wyciągniętej dłoni.

Ręka Marion zawisła w powietrzu. Cisza coraz bardziej męczyła. Marion opuściła głowę, by ukryć łzy napływające do oczu, piekące pod powiekami. Łzy żalu, może złości. Nie wiedziała.

Pies nie wytrzymał rosnącego napięcia. Zakręcił się niespokojnie, wstał. Podszedł do szeryfa, chcąc serdecznie polizać po rękach. W połowie drogi znieruchomiał nagle, wargi uniosły się, obnażając kły. Zaskomlił nerwowo.

– Ty też to czujesz? – spytał cicho szeryf. Pogładził psa po głowie. Ten nie przestał skomleć.

Słyszając te słowa, Marion drgnęła. Głos też się zmienił. Szeryf mówił ze świszczącym przydechem, czuło się wysiłek, jaki wkłada w wypowiedzanie słów.

– Mądre psisko – szepnął chrapliwie. – Czujesz trupa, co?

– Przestań! – Marion zerwała się z okrytego skórą łóża. – Przestań, bo...

Głos jej się załamał. Opadła bezwładnie z powrotem, ukryła twarz w dłoniach.

– Bo co? – Pytanie zabrzmiało prawie jak dawniej, kpiąco i szyderczo. – Bo jeśli o tym nie powiemy, to się nie zdarzy? Marion, jesteś dużą dziewczynką, powinnaś być rozsądniejsza.

To brzmiało zupełnie jak kiedyś. Jak zawsze, gdy próbował odwieść ją od czegoś lub do czegoś przekonać. Nie mówił wprost, nie radził. Tylko zawsze tak.

Jesteś dużą dziewczynką. Sama powinnaś wiedzieć.

Rozpłakała się w końcu. Po raz pierwszy od lat. Jak wielu? Nawet nie pamiętała.

Przez całe lata dusiła w sobie złość i żal, krzywdę i nadzieję. Nie zapłakała nigdy. Nawet tym ostatnim razem, gdy wszystko się kończyło. Kiedy musiała posłać na śmierć jedyne go człowieka, na którym jej zależało. Kiedy wiedziała, że już więcej go nie zobaczy.

Nie pociekła nawet jedna łza. Ani wtedy, ani przedtem.

Dopiero teraz. Dopiero kiedy śmierć, towarzysząca jej od lat, sięgnęła po niego.

Poczuła obejmujące ją ramię. Miała wrażenie, że jest silne jak kiedyś.

– Co się dzieje, Robercie? – szepnęła cicho. – Jak długo jeszcze? Co się jeszcze stanie?

– Nieważne, Marion – powiedział z wysiłkiem. – Nieważne, i tak tego nie zmienisz. Po prostu, przyszedł czas. Musiał przyjść.

Odsunęła się, szarpnęła głową. Spod rozsypanych włosów błysnęły wściekłością oczy.

– Dlaczego? – syknęła mu prosto w twarz.

Znow spróbował ją objąć. Odsunęła się.

– Marion, to się zdarza – powiedział spokojnie, lecz wciąż z widocznym wysiłkiem. Mówienie męczyło go.

Jak wiele kosztował go ten przyjazd, zrozumiała teraz Marion. W taki mróz, po zaśnieżonych drogach. Powinien zostać, powinien leżeć w ciepłe, odpoczywać. On już nie ma siły, ta droga to było wszystko, na co się zdobył.

Szeryf skinął głową. Domyślał się, co oznacza to spojrzenie.

– Nie utrudniaj – poprosił cicho. – Sama widzisz, że niewiele mi zostało. Proszę, to nie potrwa długo.

– Dlaczego? – powtórzyła szeptem. Usiłował przerwać jej niecierpliwym gestem. Bezskutecznie.

– Dlaczego ty? Dlaczego nie ja?

– Nie mów tak.

– Niby dlaczego? – nie dała sobie przerwać. – To ja powinnam... To ja nie mam już po co... Dlaczego wszyscy dokoła mnie?!

Chciał coś powiedzieć, coś wtrącić – że to bez sensu, że to nie jej wina, że wszyscy, jej nie wyłączając, są ofiarami. Ofiarami splotu okoliczności, kłamstwa, złej woli i manipulacji. Ofiarami... przeznaczenia?

Ale to nie stanowiło całej prawdy. Byli też ofiarami samych siebie. Swoich lęków i żądz. Swoich błędów. Dlatego nie przerywał Marion.

– Myślałam, że to już koniec. Że wtedy, kiedy wysłałam na śmierć jedyne... Tak, do diabła, jedyne, którego naprawdę...

Zająknęła się, uciekła ze wzrokiem. Pogładził ją delikatnie po włosach.

- Nieważne – powtórzył cicho, mimo że gdzieś głęboko coś zabolalo.
- Tak, jedyne, którego naprawdę kochałam – wyznała wdzięczna, że przyjął to tak łatwo. – Wybacz. Wiedziałaś przecież. Zawsze wiedziałaś. Nigdy nie kłamałam.
- Ja też. – On również zdobył się na szczerość, choć znaczenie słów było dokładnie odwrotne. – Daj spokój. Nieważne, zwłaszcza teraz.
- Zwłaszcza teraz! – krzyknęła prawie. – Wszystko było kłamstwem! Wszyscy byliśmy kukiełkami na patykach! Tańczyliśmy, jak nam zagrali. Bez zmrużenia oka raniliśmy się. Wysyłaliśmy na śmierć. Bo tak chciało przeznaczenie! Bo takie były wyższe racje!

Teraz już krzyczała.

- A co się okazało?! Gównno, nie przeznaczenie! Gównno, nie wyższe racje! Tylko czyjś pokrętny plan. Za który wszyscy zapłaciliśmy. Wszystko straciliśmy, Robert! Wszystko straciłam! Wszystko. Wszystko oddaliśmy, nie zostało nic.

Pierwszy raz widział ją taką. Bezradnie skuloną, szlochającą. Pierwszy raz, przez te wszystkie paskudne lata.

- To powinnam być ja – wymamrotała przez łzy. – Nie ty. Bo ja już nie mam, nie mam po co...

Droga była rzeczywiście ciężka. Gdyby nie Wulf, podtrzymujący go w kulbace, nie dojechałby. Podczas całej, ciągnącej się w nieskończoność upiornej drogi myślał, że to już koniec, że zaśnieżone łapy świerków, zwisające nad drogą pochwycają go, nie puszczą dalej, i zostanie tam, nie spełniwszy tej ostatniej misji.

Teraz czuł, jak nadbiegają fale zamroczenia, jak odzywa się ból, przyczajony głęboko w trzewiach. Ból, który zdołał już dobrze poznać, przyzwyczaić się do jego obecności. Trzeba się spieszyć. Załatwić, co trzeba, a potem wracać. Żeby zdechnąć na własnych śmieciach.

Trzeba się spieszyć, pomyślał szeryf. Mam nadzieję, że zrozumie. I posłucha. Musi zrozumieć, drugiej okazji nie będzie.

Zmobilizował wszystkie siły, wstał. Pociemniało w oczach, lecz udało się nie zachwiać. Tylko ból, przed chwilą jeszcze uśpiony, coraz mocniej kąsał trzewia. Był pomocny, odpędził zamroczenie i znużenie, dał trochę czasu, zanim stanie się nieznośny i obezwładniający.

Szeryf już zdążył się nauczyć, ile ma czasu, nim ból weźmie górę. Powinno wystarczyć, by powiedzieć wszystko, co trzeba. Wgramolić się na konia i odjechać. Potem, po drodze, można będzie zwijać się z bólu i gryźć pięści do krwi. Można nawet stracić przytomność. Wulf dowiedzie...

Starał się nie patrzeć na skuloną bezradnie, wstrząsaną szlochem postać. Tak bezbronną, tak samotną. Uświadomił sobie, że to już ostatnie spotkanie. Że taką ją zapamięta, taką zabierze ze sobą, na wieczność... Otrząsnął się całą siłą woli. Na rozpamiętywanie będzie jeszcze czas, starczy czasu. Musi starczyć.

Powinien się postarać, by ona nie zapamiętała go takim, jakim jest teraz. To była jedna z rzeczy, na których mu jeszcze zależało.

Odchrząknął, by głos nie zawiódł w najmniej odpowiednim momencie.

– Widzisz, odszedł sławny król Artur – zaczął bez troski. – Zginął Ryszard Lwie Serce. A i ze mną coś, kurwa, niedobrze.

Żart, choć stary i, prawdę mówiąc, dosyć cienki, poskutkował. Marion przestała szlochać. To był znów Robert de Reno, szeryf Nottingham.

– Nie ma co żałować, moja droga. – Widząc reakcję, zaczął twardo i zdecydowanie. Sądził, że autorytatywny, niedopuszczający sprzeciwu ton odniesie skutek. – Wszystko się kończy, wszystko się zużywa. Nie jestem młody, przyszedł po prostu mój czas. Zresztą, ja niczego nie żałuję.

Ujął ją pod brodę, niemal siłą podniósł głowę. Spojrzał w zielone oczy. Oczy, w których nie było już pustki. Był żal.

– Niczego, Marion – powtórzył z naciskiem. – Zwłaszcza tego, mimo wszystko... Mimo tego, co chcesz powiedzieć. Co zapewne powiesz. Poproszę cię o jedno. Nie mów. Ja i tak wiem. To wszystko takie pokręcone...

Zawahał się. Jeszcze jest czas, postanowił. Trzeba powiedzieć. Później. Teraz to, co jest najważniejsze. Najpilniejsze.

– Wrócimy do tego... może – zaczął. – Ale to nieistotne. Mam gorsze wiadomości. Wynikają, niestety, z mojego stanu, z mojej choroby. Widzisz, to się nie skończyło. To wszystko dalej trwa, a ja nie będę mógł cię chronić.

– Robert, co z tobą? – Marion potrząsnęła głową. – Może jest sposób,

może ktoś...

Sama nie wierzyła w to, co mówi. A on tylko zaprzeczył bez słowa.

– Marion, z tym trzeba się pogodzić. To nieodwracalne. Ja już się pogodziłem. Wiesz, przeżyłem swoje. – Miało być pewnie, wyszło bezradnie. – Ważne jest to, że grozi ci niebezpieczeństwo – podjął po chwili. – Musisz zniknąć, Marion. Zaczyna się od nowa, a ty zostajesz sama.

Patrzyła martwym wzrokiem. Ja już nie chcę, myślała. Ja już nie mam siły. Nie mam po co.

– Musisz – powiedział ostro, zgadując jej myśli. – Musisz, Marion.

– Po co? – spytała, już na głos.

– Dlatego że inaczej oni wygrają – odparł twardo. – Dlatego że jesteś to winna.

– Matchowi? – spytała. – On odszedł. I nie wróci.

– Przede wszystkim sobie samej. Jemu, owszem, też. Mylisz się, Marion. On wróci...

Roześmiała się zgrzytliwym śmiechem. Jak prawdziwa wiedźma, pomyślał mętnie. Ból stawał się silniejszy.

– Po co? – spytała szyderczo. – Po co, jeśli nawet żyje? Do czego ma wracać?

– Po ciebie – odpowiedział po prostu, pokonując ból.

– Po mnie? Nie żartuj. Nie w taki sposób. Ja go wysłałam, byłam narzędziem. Nawet pomijając wszystko, co było przedtem... Ale za to... On nie może wybaczyć, nie może zrozumieć...

– Jesteś mu to winna – powtórzył bezradnie i z rozpaczą. Nie miał już argumentów. – Marion, oni chcą się dobrać do niego. Chcą... nie, nie zemsty! Chcą go znów mieć, znów opłacać kłamstwem, szantażem. Żeby znów był narzędziem, posłusznym i powolnym. I mogą mieć kogoś, na kim mu zależy. Dla kogo wróci. Ciebie, Marion.

Nie odpowiedziała. Jej spojrzenie było martwe.

Uwierz mi, kobieto, uwierz, żeby...

...Żeby to nie poszło na marne. Długi miesiąc bólu. I decyzja.

Ból czał się podstępnie. Najpierw wysyłał zwiastuny – osłabienie, brak apetytu. To starość, myślał. Wszystkich to czeka.

Potem przyszła bezsenność. I pierwsze ukłucia, gdzieś pod żebrami. Ciemność w oczach w najmniej spodziewanych momentach.

Próbował to lekceważyć. Cóż, ciężka zima, człowiek ma swoje lata. Ale nie dało się zlekceważyć. Było coraz gorzej. Aby do wiosny, myślał. Trzeba będzie pójść do zielarki, lepsze to od cyrulika. Ten tylko by puszczał krew.

Ale było coraz gorzej. Obawiał się, że wiosna może przyjść za późno. Co mogło się stać? Przecież nigdy nie chorował. Nigdy dotąd.

Aż wszystko stało się jasne.

Zjawił się jak zwykle. Bez zapowiedzi, sobie tylko znanym sposobem omijając strażę. Wiedział, gdzie znajdzie szeryfa, w wielkiej, pustej komnacie, w której, jak dotąd zawsze siadywał. Jak wtedy, gdy w wypełnionej ludźmi komnacie sprawował sądy, wyprawiał uczty. Teraz też, mimo bólu, przychodził do komnaty każdego dnia. Mimo iż wieść o chorobie rozniosła się szeroko, mimo iż nie wyprawiał więcej uczt. Nie miał już przyjaciół, z którymi mógłby ucztować, z którymi chciałby spędzać czas. W zimie nie było wielu spraw do rozsądzenia. Nawet te codzienne załatwiał rządca. Ale szeryf zawsze schodził do komnaty, siadał i nie zważając na narastający ból, czekał, by wszystko było jak dawniej.

Nieproszony gość stanął w pustej, zimnej komnacie, drwiąco przypatrując się pobladłemu właśnie w ataku bólu obliczu.

Zaczął też jak zwykle, bez wstępów.

– Czy już dojrzałeś do tego, by zrobić to, czego chcę? – spytał, odrzucając kaptur na plecy. Szeryf z wysiłkiem zaczerpnął powietrza. Ostatnio coraz trudniej to przychodziło.

Na twarzy druida rozlał się wyjątkowo wredny uśmiech.

– Chyba dojrzałeś – skonstatował.

Szeryf wiedział, do czego to niby miał dojrzeć. Wiedział, choć druid nigdy nie sformułował swych żądań.

– No, nie pochlebiaj sobie – usłyszał. – Że niby taki jesteś domyślny. To przecież jasne, każdy, kto ma choć odrobinę inteligencji, zrozumiałby. Odpowiedz zatem, jesteś gotów.

Szeryf całą siłą woli zdusił ból. Wstał z wysiłkiem, wyprostował się. Już wszystko zrozumiał.

– Jestem – powiedział głucho. – Jestem gotów.

Tylko lekkie drgnienie ramion wskazywało, że druid jest zaskoczony. Nie spodziewał się tak łatwego zwycięstwa. Nastawiał się na dłuższy opór. Szkoda, pomyślał. Dobrze byłoby bardziej złamać tego zarozumiałego sukinsyna. Dobrze byłoby, żeby skomlał o litość. No cóż, trudno. I tak najbardziej liczy się rezultat.

– Tak trzeba, szeryfie. – Skłonił głowę z udanym współczuciem. Mógł sobie na nie pozwolić. – Masz rację, to straszne świństwo. Ale, jak wiesz, bliższa koszula ciała. Milsze własne bebechy. I dzięki twojej pomocy Match będzie znów nasz. Uległy, potulny. Zrobi, co do niego należy. A nawet i więcej, ochoczo. A ty tylko pomożesz, nawet niewiele od ciebie oczekuję. Potrzymasz w lochu tę dziwkę, do której Match jest w taki dziwny sposób przywiązany, on, taki odmieniec. A wydaje mu się, że żywi do niej jakieś uczucia. Mimo że to ty rzniesz ją od czasu do czasu przez te wszystkie lata. Teraz pewnie już nie, nie jesteś w stanie.

Mężczyzna w kapturze zatarł ręce. Nadspodziewany sukces przytłumił jego czujność.

– Popatrz, jak to się dziwnie składa. Gdziekolwiek Match by był, wróci tutaj. Przyleci, co sił w nogach. Nawet stamtąd, skąd nie tak łatwo wrócić. Bo tu będzie jego ukochana kobieta. I jego najlepszy przyjaciel, znaczy, ty. Co ja mówię, przyjaciel, on cię uważa za ojca bez mała. Wstrętne, co? Ale, jak już mówiłem, bliższa koszula ciała. Własne gnijące wątpia.

Spojrzał w twarz szeryfa z małą ciekawością.

– Boli, prawda? – zapytał troskliwie. – Będzie jeszcze bardziej. Albo i nie.

Mimo bólu szeryf wyprostował się jeszcze bardziej. Był zdziwiony, że przeciwnik nie odkrył jego prawdziwej decyzji. Mała wygrana.

– Jestem gotów – powtórzył. – A ty może byś zapytał, na co.

Z satysfakcją dostrzegł wręcz dziecinne zaskoczenie. I gniew. A taki

był pewien siebie.

Stanął tuż przed druidem.

– Jeżeli i ty jesteś gotów, to posłuchaj – syknął stłumionym przez ból głosem. – Możesz mnie pocałować w dupę. Wyłącznie. Wynoś się stąd, bo mam już ciebie dosyć. I obiecuję, że zrobię wszystko, żeby dobrać ci się do tyłka, wszelkimi możliwymi sposobami...

Druid uspokoił się nagle. Szare, wyblakłe oczy znów były bez wyrazu. Już nie błyszczały w nich triumf.

– Siadaj, w twoim stanie niedobrze jest tak krzyczeć – wycedził. – Niedobrze się forsować. A tak nawiasem mówiąc, masz na myśli swojego psa, którego posłałeś, by za mną węszył? Tego mieszańca? Nie udawaj zdziwienia, wiem o nim. Kręci się zupełnie jak pies za swym ogonem. Robi to, co sam mu podsuwam. I nic istotnego się nie dowie. A może ma zrobić coś więcej? To też na nic. Ale przejdźmy do rzeczy.

Druid odwrócił się, usiadł niedbale rozparty na ławie.

– Siadaj, mówiłem – zadrwił. – Skoro już wiesz, że nie masz nic, to może jednak zastanów się. I zrób to, co musisz zrobić.

Spojrzał w wysokie okno, za którym martwym, sinym światłem lśnił księżyc.

– Musisz zrobić, bo czasu zostało niewiele. Nie zobaczysz następnej pełni. Chyba że...

Przerwał na chwilę. Spojrzał uważnie w pobladłą twarz. Teraz już bez złośliwości.

– Dla pełnego zrozumienia – zaczął znów, teraz głosem cichym i uprzejmym – przypomnę ci pewną ciekawą rozmowę sprzed lat. Pamiętasz ją na pewno, pamięć masz dobrą. Na razie, oczywiście, zanim twoja przypadłość zmaćci całkiem umysł. Taka ciekawa rozmowa, o truciznach. Warto ją kontynuować. Bo wiesz, prócz trucizn bywają też odtrutki. Rozumiesz teraz?

Szeryf skinął głową. Rozumiał, rozumiał aż do końca.

– Trochę szczegółów. Odtrutka oczywiście powinna podziałać, jednak musisz wiedzieć, że im później, tym mniejsze szanse. I musisz pamiętać też, że gdy przyjmiesz ją zbyt późno, zmiany mogą być nieodwracalne. Możesz przeżyć, ale do końca życia będziesz na przykład robił pod siebie.

Albo ślinił się i jąkał. Nie wiem, działanie bywa osobnicze. Więc pospiesz się z decyzją, tą jedyną prawidłową. Bo to, co uważasz za swą decyzję, to głupota.

Nie doczekał się odpowiedzi. Szeryf milczał. Ból zelżał nieco.

– Nie masz wyjścia – naciskał druid. – Jeszcze pozostało trochę czasu, ale wierz mi, jest go coraz mniej. Teraz możesz to zrobić łatwo, później może być trudniej. Możesz nie wsiąść na konia. Nie wzdragaj się, pluń na wszystko. Nie jesteś jego przyjacielem. Nikt nie jest. Bo to nie człowiek. A poza tym, pieprzysz jego kobietę. Przynajmniej tak mu się wydaje, że to jego kobieta. A on jest nasz. Tylko nasz.

Popatrzył na siedzącego, znów zgiętego z bólu człowieka. Zobaczył zaciśnięte pięści, pobielające kostki.

– Zdecydowałeś? – spytał bezlitośnie.

– Tak – szepnął szeryf. Zebrał siły i wstał. – Wynoś się!

– Co? – Druid oniemiał.

– Dobrze usłyszałeś. Wynoś się. Powiem ci tylko tyle. Jak chcesz, to mogę wyrazić się dosadniej.

Druid nie ruszył się. Patrzył na ściągniętą bólem i nienawiścią twarz. Na powstrzymywane z trudem drżenie rąk. Patrzył i milczał.

– Więc tak – uśmiechnął się po chwili. – Nasz wielki, niezłomny rycerz postanowił się poświęcić. W imię wyższych wartości, z których całe życie kpił. W imię przyjaźni, w imię prawdy. W imię miłości. Powiedz, co w niej jest takiego? Co jest takiego, że wszystkim wam odbija? Przecież to tylko...

– Kobieta? – spytał stłumionym głosem szeryf. – To chciałeś powiedzieć? Czy tylko... człowiek?

– Daruj sobie te wielkie słowa – parsknął druid z rozbawieniem. Chyba tym razem szczerym. – Nie dorabiaj ideologii do swej głupoty. Wracajmy do rzeczy. Oczywiście, z twoich planów, że jeszcze zdążysz mnie dopaść, nic nie będzie. Twój Claymore jest jak dziecko we mgle, nigdy mnie nie znajdzie. Nawet się do mnie nie zbliży. A pomysł krucjaty przeciwko pogaństwu, karnej ekspedycji... – Roześmiał się głośno. – Cóż, sam zobaczysz, że nic z tego nie wyniknie. Już niedługo zrozumiesz. Ale o tym później. Chciałbym ci najpierw uświadomić jedno – to, co jest teraz,

nie jest jeszcze najgorsze. Będzie gorzej, mogę cię zapewnić. Znam się na tym, sam wszystko przygotowałem, specjalnie dla ciebie. Przyjdzie czas, że ból stanie się nieznośny. Tak nieznośny, że zapragniesz umrzeć, tylko po to, by zaznać ulgi. Ale nie zdołasz, słabość nie pozwoli ci rzucić się na własny miecz, albo dowlec na mury, by skoczyć do fosy. Nie mówiąc już o uwiązaniu stryczka. A na pomoc nie licz. Bo widzisz, zapomniałem ci powiedzieć, że pod koniec ubędzie ci urody. Twarz pokryją ci wrzody i strupy. Wszyscy uciekną od zarazy. Co ty na to?

Druid nie oczekiwał odpowiedzi. Jednak ją usłyszał. Skrzywił się tylko.

– Takie propozycje do niczego nie prowadzą – odparł sucho. – No dobrze. Postanowiłeś się poświęcić. W porządku, twój wybór. Tyle że bezsensowny. Bo widzisz, nie uda się krucjata przeciwko pogaństwu. Twój brat opat, choć zgrzybiały staruch, ciągle ma ambicje. A ja mam z nim wspólne interesy. Ciekawe, co? Nawet odwieczni wrogowie mogą się czasem dogadać, zawrzeć chwilowy rozejm, dla uzyskania doraźnych korzyści. Wtedy odkłada się na bok pryncypia, wielkie słowa o pogaństwie, o zagrożeniu dla wiary. Jeżeli obie strony mogą sobie coś dać, coś sprzedać, powiedzmy raczej. Twój brat chce zostać biskupem, wydaje mu się, że zdąży. A ciebie nie lubi. I chciałby wreszcie rozpalic stosik pod nogami naszej Marion. Od dawna o tym marzy, taka drobna obsesja. Nie lubi cię za to, że ją chronisz, wiedźmę, co skumała się z poganami. Zwykłą dziwkę, bandycką kochankę. W takich sprawach jest bardzo pryncypialny, czarownica powinna spłonąć. I widzisz, on już ma dobrego kandydata na twoje miejsce. Takiego, który siedzi u niego w sakiewce. Tak więc twoje poświęcenie jest całkiem na nic. Dogadaliśmy się. Zrobimy to, co chcemy. A raczej to, czego ja chcę.

Od długiej przemowy zaschło druidowi w gardle. Przestał mówić, odchrząknął.

– Skończyłeś? – przerwał szeryf. – Jeżeli tak, to...

– Niezwłocznie – odpowiedział druid z ironią. – Ale bądź tak uprzejmy i pozwól jeszcze rzec słowo. Będę wobec ciebie szczery, i powiem do końca, jak się wszystko odbędzie. Na stos oczywiście nie pozwolę, ona potrzebna jest żywa. Jakieś wyznanie win, próba wody, rozpalone kleszcze... Owszem, to może być, żeby szanowny współnik miał jakąś uciechę. Trzeba być lojalnym wobec partnerów. Ale

utrzymamy ją przy życiu. Żeby mieć coś na niego, jak wróci. Żeby był posłuszny. Tak, nawet Match nie oprze się podobnej propozycji.

Wstał, zdecydowanym ruchem ogarnął długi, szary płaszcz.

– Teraz decyduj, szeryfie – rzucił z ironią. – Teraz, kiedy już wszystko wiesz. Kiedy rozumiesz cały bezsens swojej szlachetności i poświęcenia. Pamiętaj, wrzody i strupy. Czas się kurczy.

Wskazał na świecący trupią bladością księżyc. Odwrócił się od skulonego w ataku bólu człowieka. Ruszył do wyjścia.

Ból i wściekłość pomogły podjąć decyzję. A raczej podtrzymać poprzednią.

Druid przystanął, odwrócił się.

– Miłego umierania – życzył z uśmiechem.

...Nie zmarnuj tego, Marion. Nie zmarnuj.

Teraz trzeba powiedzieć. Prawdę, ale nie całą. Całej nie można...

Kudłaty pies patrzył uważnie, bez mrugnięcia. Jakby rozumiał. Sterczące uszy drgały nerwowo.

Jeszcze nie chciała się pogodzić. Jeszcze próbowała.

– Może to nie tak – powiedziała z rozpaczą. – Może coś się zmieni.

– Nie zmieni – zaprzeczył łagodnie. – A jeśli nawet, jeśli to jeszcze nie koniec. Moja... przypadłość okazała się bardzo na czasie. Następca już się szykuje, aby objąć urząd, przejąć zamek, wszystko. Ma poparcie. Czekał na taką chwilę od lat. Póki byłem silny, nie miał szans. Ale teraz... nie zdołałem się obronić. Brak mi siły, znikąd poparcia. Widzę tylko samych wrogów dokoła. Naszych wspólnych wrogów, Marion. Mojego brata, okolicznych baronów, którzy nie zapomnieli, jak ich kiedyś potraktowałem. Na dworze królewskim też nie miałem nigdy najlepszych notowań. Ale wiesz... – Odkasznął.

Dłuższe mówienie zmęczyło go, przed oczami zawirowały czarne płatki. Przetarł znużonym gestem piekące od gorączki oczy. Odetchnął głęboko. Pomogło, mimo palącego bólu w płucach.

– Wiesz – podjął po dłuższej chwili, mobilizując resztki sił. – Z nimi wszystkimi bym sobie poradził. Nieraz tak już było, poradziłem sobie nawet wtedy, gdy wróciłem ranny z tej idiotycznej wojenki. Udało mi się, bo miałem dobrą drużynę. Zaufanych ludzi. Nie pchnęli mnie sztyletem, gdy leżałem bez przytomności. Tak, teraz też pewnie dałbym radę.

Uśmiechnął się, kryjąc pod tym prawdziwe myśli.

– Ale teraz jest jeszcze on. A raczej oni. Żądni odwetu za to, że coś najwidoczniej nie poszło po ich myśli. Chcą Matcha, on widać też przejrzał na oczy. Zerwał więzy, którymi go spętali. Całą misterną pajęczynę kłamstw, półprawd i niedomówień. Zobaczył wreszcie to, czego ja się od dawna domyślałem, czego domyślał się Jason. To bystry człowiek. Nie poznałaś go nigdy. On dostrzegł to, co i ja, że wszystko było kłamstwem, skrywającym coś, co było głębiej. Jakiś plan, jakiś cel. A my wszyscy, ze mną włącznie, przez lata realizowaliśmy ów plan, sądząc, że są to nasze własne zamierzenia. A oni pociągali za sznurki, zmuszając nas do robienia rzeczy, o których chcielibyśmy zapomnieć. Ale nie możemy. Bo wiesz, Marion, w nas też tkwi zło. My też jesteśmy winni. Bo gdyby nie było zła w nas, nie zrobilibyśmy tego. Wykorzystali nas. Ale za naszą zgodą.

Potrząsnął głową. Popatrzył na skuloną postać.

– Przepraszam, rozgadałem się – podjął po chwili, trochę ciszej. Siły wyczerpywały się. – Nieważne, jacy jesteśmy. Liczy się to, co jest teraz. A teraz to oni są górą. Owinęli wszystkich wokół palca, może oszukali, jak nas. Ale ważne jest to, że uwierzono im. I inni realizują ich plan, myśląc, że są samodzielni, że to, co robią, robią z własnej woli, z pełnym przekonaniem, dla siebie. I teraz my jesteśmy celem. Dokładnie, ty. Przepraszam, nie celem, ale środkiem. Bo prawdziwym celem jest Match. Już odrzucili przyłbicę. Już nie chcą nim sterować, teraz chcą zmusić. I mogą zmusić, Marion. Używając ciebie.

Roześmiał się złym, chrapliwym śmiechem. Długim, spazmatycznym, aż zadygotały ramiona. Po chwili Marion spojrzała na niego – to już nie był śmiech, to był suchy, szarpiący kaszel.

Atak kaszlu trwał długo. Gdy wreszcie minął, na wychudłą twarz wystąpiły kropelki potu. Szeryf otarł je znużonym gestem.

– Muszę uważać – powiedział cicho i niewyraźnie. – Ale co zrobić,

coraz więcej rzeczy mnie śmieszy.

Splunął na polepę.

– To nie jest zaraźliwe – dodał przeprasząco. – Postaram się. A, zresztą...

Marion siedziała bez ruchu. Niedobrze, pomyślał. Nic do niej nie trafia.

– Śmiałem się, bo to niewiarygodne – zaczął po dłuższej przerwie. – Tyle lat się ich tępiło. Kościół tak się starał. Tyle lat zwalczania zabobonów, walki z pogaństwem. Oni nie mają prawa istnieć. A jeżeli już, to powinni siedzieć po lasach, jak myszy pod miotłą. Gusta odprawiać, jemiołę oporządzać, żeby dobrze rosła. Mech z megalitów omiatać, kurzajki zamawiać. A tymczasem przystosowali się. Zdobyli wpływy. Dogadali się z co większymi skurwysynami w okolicy. Owinęli ich wokół palca, jak mówiłem. Dobili targu ze swymi największymi wrogami. Pewnie ich też wystawią do wiatru. Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Nie wyglądało na to. Marion wpatrywała się w polepę, siedziała skulona, obejmując kolana rękoma. Poza kompletnej rezygnacji. Niedobrze, pomyślał po raz kolejny.

– Zrozum, to nie tylko tak, jak myślisz. Że ty jesteś zła, że cały świat jest paskudny. Że to przeznaczenie, na które nikt nie ma wpływu. Posłuchaj, do cholery! Teraz już wiem trochę więcej niż kiedyś. To tylko intryga, Marion, subtelna i cierpliwa intryga. Wszyscy byliśmy narzędziami, ty, ja. A przede wszystkim Match. To on był głównym obiektem, on był najważniejszy. Przez całe jego życie sterowali nim, przygotowywali do czegoś.

– Do czego niby? – mruknęła niechętnie.

– Nie wiem – zająknął się. – Jeszcze nie wiem, ale...

Z rezygnacją pokręciła głową.

– Daj spokój – powiedziała cicho. – Nie uda ci się usprawiedliwić. Nie uda się wybielić, nikogo, ciebie, mnie. Jego też nie, szeryfie. Wszystko, czego dokonał, pozostanie, choćbyś nie wiem jak się starał. Zdrada i śmierć. Nie usprawiedliwisz go.

– Nie próbuję.

– Nie usprawiedliwisz go. – Marion nie dała sobie przerwać. Mówiła

równym i zgaszonym głosem. Tylko padające słowa zawierały wściekłość i gorycz, żal i zwątpienie. Nie ton głosu. – Ani jego, ani...

Słowa zawisły w powietrzu. Znów skryła twarz we włosach.

– Dokończ – powiedział z wysiłkiem. Spowodowanym nie tylko narastającym bólem.

Spojrzała mu prosto w twarz.

– Ani nas. Nas wobec niego.

Nic nie da się usprawiedliwić. Ale może komuś uda się zrozumieć. Można przynajmniej mieć nadzieję.

Patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem.

– Skoro już zacząłeś, to usłyszysz coś, czego pewnie nie chciałbyś usłyszeć. Czego się domyślasz, czego domyślałeś się od dawna. Ale czego nigdy nie powiedziałam. Nie potrafiłam. I tak naprawdę nie było powodu.

– Po co, Marion? – zapytał szeptem. – Po co?

– Bo kiedyś trzeba to powiedzieć! Bo musisz w końcu zrozumieć, kim jestem. Bo on już chyba zrozumiał.

Wstała, nerwowym gestem odrzucając włosy. Stała przed paleniskiem, odwrócona tyłem.

Szeryf pomyślał, że tak mimo wszystko lepiej. Wreszcie coś ją wyrwało z tępej rezygnacji. Tak lepiej, mimo tego, co miał usłyszeć. I usłyszał.

– Nikomu nie przyniosłam szczęścia – mówiła, nie odwracając się. – Nikomu szczęścia nie dałam. Tobie też. Nie przyznasz tego, znam cię. Zawsze w porządku, zawsze tak, by mnie nie zranić. Nie zranisz, nie możesz. Tylko ja mogę.

Już nie, Marion, już nie, błysnęła myśl. Może kiedyś, ale już nie.

– To był układ. Jasny i prosty. Kiedyś uczciwy. Zapłata za opiekę. Jedyna, jaką dysponowałam.

Wbrew sobie przymknął oczy. Już nie mogła zranić. W każdym razie niezbyt dotkliwie. Ale wystarczająco.

Co gorsza wiedział, że nie była to cała prawda.

– Tak, bywało wspaniale. Kiedy przekradałeś się tu chyłkiem i uciekałeś przed świtem, by broń Boże ktoś nie zobaczył. Kiedy wpadałeś przez całe lata, wpadałeś, kiedy było ci wygodnie. Lubiłam to, nie przeczę. Jaki miałam wybór? Ostatecznie oszczędziłeś mi szukania innych sposobów, o których opowiadaniem nie chcę cię zanudzać. Jestem wdzięczna, Robercie. Zawsze byłam. Tylko wdzięczna.

Odwróciła się powoli. Pięści miała zaciśnięte, aż zbieleły kostki.

– Nie zwracałeś uwagi, gdy czasami myliły mi się imiona. Gdy zdawałeś sobie sprawę, że jesteś tylko, żeby tak to ująć, narzędziem. Właśnie o tym przez cały czas rozmawiamy, o narzędziach. Bo ja wyobrażałam sobie, że jest ze mną ktoś inny. Tak, on zawsze był gdzieś tutaj, między nami. Nigdy nie powiedziałeś nawet słowa. Aż zrozumiałam, że dla ciebie to coś więcej. Nie wykorzystywanie okazji.

Podeszła do niego. Pogładziła po krótko przyciętych, białych już jak mleko włosach.

– Wybacz, jeśli możesz. Co ja mówię, ty przecież możesz. Ty wybaczyłeś, inaczej nie byłoby cię tutaj. A ja... ja powinnam to przerwać, przerwać wtedy, gdy sobie to uświadomiłam. Nie przestałam. Bo było mi wygodnie.

Patrząc w zielone oczy, ujął jej rękę. Pocałował wewnątrz dłoni. Zadrżała. Wyrwała dłoń jak oparzona.

– Spójrz na mnie! – krzyknęła. – Przejrzyj na oczy! Nie warto!

Zaprzeczył ruchem głowy. Nie mógł mówić, coś ścisnęło gardło. Pewnie objaw choroby, zaraz przejdzie.

– To było złe. – Ramiona znów opadły w pozie rezygnacji, zgasł gniew w oczach. – Nie wierzę w sprawiedliwość. Nie wierzę już w przeznaczenie. Ale musimy zapłacić. Oboje. Nie udawaj jego przyjaciela. Gdy pieprzy się czyjąś kobietę, to nie można zostać przyjacielem, można tylko udawać. A co do mnie... Eh, co tu mówić...

Zebrał siły, które jeszcze pozostały. Czas się kurczył.

– Posłuchaj wreszcie – powiedział, wstając i chwycił ją za nadgarstki,

mocno, aż mimowolnie syknęła z bólu. – Darujmy sobie to wszystko. Winę i karę. Przyjaźń i zdradę. I inne duperele. Teraz powiem krótko. Mój następca, który rychło osiadzie w Nottingham, niezależnie, czy przeżyję, czy nie, to lepszy skurwiel. I zrobi jedno, gdy tylko będzie mógł, zawlecze cię do lochu. Tam posiedzisz sobie, dopóki nie zjawi się Match. A ja znam te lochy, w końcu należą jeszcze do mnie. Brat ma specjalistów, dobrze mi znanych, którzy niechybnie zastąpią mojego dobrotliwego nad miarę kata. Nie, na stosie się nie skończy, jesteś potrzebna żywa. Na razie. A kiedy wróci Match, oni wygrają.

Puścił ją i usiadł.

– Musisz uciekać – stwierdził kategorycznie, patrząc, jak stoi w miejscu, gdzie ją zostawił. – Pomogę ci. Tym razem nie musisz się odwdzięczać. – Uśmiechnął się krzywo.

Nie wywołało to reakcji takiej, jakiej się spodziewał. Zamiast gniewu czy wybuchu roześmiała się niespodziewanie.

– To nie jest sprawa winy i kary – rzuciła szyderczo. – Nie wyrzutów sumienia. To ty je masz, nie ja. Nigdy dotąd nie miałam, i chyba już nie będę. Mnie tylko żal spieprzonego życia, niewykorzystanych szans. Wszystkiego, co straciłam z głupoty i lekkomyślności. Życie przeciekło mi między palcami. A teraz... Teraz popatrz na mnie!

Patrzył przez cały czas. Zirytowało ją to jeszcze bardziej.

– Nie tak, nie tym twoim wzrokiem, jak... Ach, do cholery! Ja już nie jestem wdzięcznym dziewczęciem! Starzeję się, jeśli ty tego nie widzisz, to widzą wszyscy dokoła! Ja to widzę! Jestem zmęczona. Nie chcę już uciekać. Nie mam po co, już się nic nie zdarzy! I wiesz, co ci jeszcze powiem? Mogą mnie trzymać w tym lochu do usranej śmierci! Nikt po mnie nie przyjdzie, nikt nie wróci! Nawet on!

W końcu zadrgały usta, oczy wypełniły się łzami. Bezwładnie opadła na posłanie, objęła dłońmi kolana.

– Wszystko spieprzyłam – wymamrotała przez łzy. – Wszystko. Jestem wredną, kłamliwą i głupią dziwką. Teraz starą dziwką. I on to wie.

Owszem, wie, pomyślał, patrząc na wstrząsane płaczem ramiona. A jak nie wie, to się domyśla. Ale wciąż cię kocha. A ty jego. Poczuł wielkie znużenie. Wszystko to były tylko pozory, skomplikowana gra. Ale nie żałował. Nigdy nie pożałuje. I do końca będzie wspominał.

– Marion, proszę – wyszeptał z wysiłkiem. – Posłuchaj mnie. Nie pozwól im wygrać. Obojętne, co będzie potem, nie pozwól, by postavili na swoim.

Pogładził kasztanowate włosy. Chyba po raz ostatni.

– Nie mam już czasu – mówił z trudnością. – Ty też nie. Jedź do Lincoln. Tam znajdzie cię niejaki Ramirez, Claymore Ramirez. Zapamiętasz, rzadko zdarza się takie dziwaczne imię. A jego samego nie sposób nie poznać. Będzie wiedział, co robić dalej. Marion? Obiecuj mi.

Wydawało mu się, że po długiej chwili skinęła głową.

- II -

*"...moim zdaniem zostaniemy tam w samej rzeczy powitani jak
wyzwoliciele..."*

Richard Cheney

– A mnie tam za jedno! Służba to służba, do każdego pana można w końcu przywyknąć! Byle swoje dobrze robić, zwierzchności się nie narażać, to i dobrze będzie. Ino dziobem nazbyt nie trzaskać, jak ty, Sean.

Wulf popatrzył na swoich żołnierzy stłoczonych w nisko sklepionym wnętrzu zamkowej bramy. Ich oczy błyszczały w półmroku. Jak przed walką, pomyślał.

Od śmierci szeryfa w straży panował równie nerwowy nastrój, jak w całym mieście. Trudno było zapanować nad podwładnymi, trudno zapewnić porządek w mieście.

Śmierć szeryfa wyglądała na naturalną, ostatecznie zdarzają się paskudne choroby, ale coraz mniej ludzi w to wierzyło. Jednak wkrótce coś, co było początkowo tylko plotką, dla wielu stało się pewne. Głośno mówiono o złym uroku, czarach i tajemnej zemście. Gdy zaś ogłoszono, kto będzie nowym szeryfem, ludzie tylko utwierdzili się w swych przekonaniach. Rada miejska trawiła czas na nieskończonych naradach, kłócąc się głównie o to, jak zachować przywileje. Zgadzano się tylko co do jednego – że nie będzie to łatwe.

Wulf wraz ze strażą usiłował zapanować nad wzrastającym w mieście chaosem. Przychodziło mu to z trudem, co rano okazywało się bowiem, że ma coraz mniej ludzi. Reputacja nowego szeryfa wyprzedzała go, wielu postanowiło więc nie czekać, aż nowy pan dogoni swą reputację i zjawi się we własnej osobie. Inni zwlekali, jednak w ich oczach Wulf

dostrzegał coraz większą niepewność, która powoli brała górę nad lojalnością.

Teraz, prócz niepewności, w oczach pozostałych widział lęk i złość, że zwlekali zbyt długo, aż nowy szeryf stanął pod bramami miasta i nie można było odejść.

– Mówię, zbrojni zawsze potrzebni – ciągnął ten sam, co przed chwilą, Wulf nie pamiętał jego imienia. – Byle słuchać, to na miskę polewki się zarobi i na garniec piwa. Co tu myśleć? Pan jak pan, ani gorszy, ani lepszy.

– Głupiś! – Sean splunął pogardliwie. – To przecież Czarny Baron!

– A co mi tam, czarny czy zielony! Zostaję na służbie i mówię, dobrze będzie! Byle się nie wychylać i swoje robić, znaczy, co rozkażą.

Sean zrezygnował z odpowiedzi. Pokręcił tylko głową z niedowierzaniem, jakby dziwiąc się, że człowiek może być tak głupi.

Wulf zgadzał się z nim w głębi duszy. Trudno było znaleźć większego durnia i okrutnika w całej okolicy, a może i na całej wyspie niż Czarny Baron, zwany powszechnie – acz za plecami – Czarnym Matołem.

Nie pojmował, jakim cudem ten mieniący się baronem szlachetka został szeryfem, ani co skłoniło króla do przystawienia pieczęci na nominacji. To był ostatni kandydat, którego można było brać pod uwagę – oczywiście jeśli nominacja miała na względzie dobro hrabstwa i sprawiedliwe, rozumne rządy. Bo jeśli chodziło o coś innego...

Czarny Baron. Nikt nie pamiętał jego prawdziwego imienia. Wbrew przydomkowi, który sobie sam nadał, był to czerwony na gębie, ryży tłuscioch, pan na zrujnowanym zamku i wyjałowionych ziemiach, właściciel skrawka lasu, w którym obecnie polować można było jedynie na nieliczne wiewiórki. Wszystko inne, co nie uciekało na drzewa, zostało wybite do nogi. Co charakterystyczne, Czarny Baron nie odziedziczył zamku w ruinie, tylko w parę lat doprowadził go do obecnego stanu. Gdy kiesa stała się pusta, a kilka wiosek wyludniło się i przestało przynosić dochód, zaczął wraz z drużyną, złożoną z podobnych mu rzezimieszków i opojów, dorabiać rozbojem i kradzieżami bydła z pastwisk sąsiadów. Robert de Reno już od lat obiecywał sobie zrobić porządek z tym wrzodem na ciele hrabstwa. Cóż, zawsze znalazły się ważniejsze sprawy.

Najdziwniejsze było, jak Czarny Baron zdołał wyjednać sobie nominację. Po prostu niewiarygodne. Wulf miał jedno wyjaśnienie. Ktoś osadził go tutaj w sobie tylko wiadomych celach. Co więcej, ktoś za to zapłacił. I to sporą kwotę, bo do bram miejskich zbliżał się orszak w asyście co najmniej dwustu zbrojnych, na pierwszy rzut oka zdyscyplinowanych, uzbrojonych po zęby i znakomicie wyekwipowanych zawodowców. W taborze prowadzono wozy z zaopatrzeniem, wystarczającym na małą wojnę. W otoczeniu barona widać zaś było kilka rycerskich zbroi.

Wulf otrząsnął się z rozważań. Wiedział, że na nic się teraz nie zdadzą. Było za późno, by opuścić miasto. Zresztą... on nie mógł odejść, wiązało go przyrzeczenie, i to, jak się wkrótce okazało, niełatwe do spełnienia.

– Rób sobie co chcesz, ja tam nie zamierzam służyć takiemu... – Sean splunął ponownie. – Wulf, do cholery, ty dowodzisz! Zabierajmy się stąd!

Nie patrząc Seanowi w oczy, Wulf pokręcił głową.

– Za późno – powiedział z trudem. – Już wjeżdżają do miasta.

Sean po raz pierwszy, odkąd Wulf go znał, naruszył dyscyplinę. Podskoczył do niego i szarpnął za ramiona.

– To przez ciebie! – wydyszał mu z wściekłością prosto w twarz. – Wiedziałaś przecież, z kim będziemy mieli do czynienia. I nie zrobiłaś nic! Trzeba było uciekać, ludzie by ciebie posłuchali!

Odstąpił o krok, widząc, że dowódca unika jego wzroku.

– Ty też, Wulf? – spytał gorzko, głosem rozdygotanym od tłumionej złości. – Tobie też zapachniała polewka i garniec piwa? Tobie? – Cofnął się jeszcze dalej, jakby pod wpływem nagłej odrazy. – Też zapomniałaś, komu jesteś winien? Kto przyjął ciebie, przybędę nie wiadomo skąd? Kto zrobił cię kapitanem straży? Kto ci ufał?

Wulf zebrał się w sobie. Nie można powiedzieć prawdy, pomyślał mętnie.

– Sean, zaufaj mi... – Wokół dowódcy nagle zrobiło się pusto.

– Wtedy ci ufałem. – Sean mówił już spokojnie, jakby z żalem. – Ale teraz...

Wulf czuł na sobie wzrok żołnierzy. On nie żyje, pomyślał z rozpaczą,

teraz jestem winien moim ludziom troskę, by nie zginęli bez sensu. Jeszcze mnie słuchają, jeszcze oczekują decyzji. To im powinienem pomóc.

A przyrzeczenie? Złożone umierającemu człowiekowi, który był kimś więcej niż zwierchnikiem? Zobowiązanie, które trzeba wypełnić, choćby jego konsekwencje były wstrętne?

Wulf podjął decyzję.

– Sean, on nie żyje – powiedział twardo. – Skończyły się nasze powinności.

Sean nie wybuchnął. Jego spojrzenie wyrażało tylko smutek, jakby żegnał się z kimś, kto był jego dowódcą i przyjacielem.

Odwrócił się od Wulfa ostentacyjnie.

– Kto chce, niech zostaje, na tę psią służbę. Ja odchodzę. Może nas nie zatrzymają, a jeśli spróbują... To się przebijemy!

Kilku stanęło przy nim od razu. Następni dołączali z wahaniem, gromadzili się wokół. Sean ogarnął ich wzrokiem.

– Kto jeszcze? – krzyknął. – Zobaczycie, będziecie konie czyścić i po piwo dla panów biegać!

Dołączyło jeszcze dwóch niezdecydowanych.

– W najlepszym razie – dokończył Sean. – Gotowi jesteście? Do koni!

Gdy przejeżdżali koło dowódcy, Sean nie zaszczycił go nawet spojrzeniem. Wulf rozejrzał się. Zostało sześciu, sami najgorsi. Patrzyli w ziemię, unikając spojrzenia w oczy.

Popatrzył na znikających za bramą.

– Żegnaj, Sean – wyszeptał bezdźwięcznie.

Wiatr, niosący kropelki marznącej mżawki, wstrząsnął człowiekiem, skulonym w zagłębieniu okalających plac targowy murów. Nieszczęśnik mruknął coś pod nosem, nasunął porwany kaptur na oczy i szczerzej otulił się porwaną derką. Wymamrotał coś przez poźółkłe wąsy, bynajmniej nie błogosławieństwo.

Żywot żebraka w mieście Nottingham nie był lekki i godny pozazdroszczenia. Zresztą nie był taki w żadnym mieście. Zwłaszcza zimą.

Przez plac, rozpryskując na wszystkie strony marznące błoto, przegalopowała kolejna czwórka koni. Żebrak nie podniósł oczu. Nie było po co, ta czwórka niczym nie różniła się od poprzednich, od rana rozjeżdżających się po mieście, i tak samo jak od poprzednich nie mógł oczekiwać łaskawych datków. Wręcz przeciwnie. Toteż nie wysunął nadstawionej dłoni, nie wybuchnął zawodzącymi, jęklivymi prośbami, w których doszedł do wprawy przez lata uprawiania swego niełatwego zawodu. Nawet nie starał się być natarczywy, choć na ogół to popłacało w żebraczym rzemiośle. Przyłgął tylko ciaśniej do muru, starając się być jak najmniej widoczny.

Miał dziś szczęście. Najlepiej uczyć się na cudzych błędach, a błąd popełnił kolega po fachu, ten, któremu wszyscy zazdrościli miejsca, przy samym wjeździe na plac targowy. Kolega zajął najlepsze miejsce, co więcej, ku zazdrości pozostałych miewał też najlepsze wyniki. Pomagał mu jego wysoce profesjonalny wygląd, gdyż jako jedyny z żebraków w mieście posiadał wielką, bardzo efektowną kulę, na której wspierał się, wyciągając rękę po datki. Brak nogi nie przeszkadzał mu wcale, nawet w zajęciu najlepszego miejsca. Kula przydawała się nie tylko do bezpośredniego uprawiania zawodu, używana do grzmocenia po plecach konkurentów także sprawdzała się znakomicie.

Tenże niekwestionowany przywódca miejskich żebraków z samego rana zagroził drogę jeźdźcom, wyciągnął rękę. Teraz leżał z obwiązany szmatą kikutem gdzieś w stajniach, dokąd odciągnęli go dobrzy ludzie. Jeśli przeżyje, bez ręki będzie miał jeszcze bardziej profesjonalny wygląd.

Ciężki był żywot żebraka w Nottingham, zresztą nigdzie nie był lekki. Ale teraz wystarczyło nie pchać się w oczy i dziękować Bogu, że nie jest się na przykład rajcą miejskim lub strażnikiem. Albo nawet zwykłym kupcem czy sklepikarzem.

Przez plac przejechali następni, tym razem wolniej. Widać zmęczyli się waleniem w zamknięte na głucho okiennice. Przypominanie zacnym mieszkańcom, kto tu teraz rządzi, nie należało do lekkich zajęć: trzeba było jeździć po mieście, pokrzykiwać, czasem sponiewierać kogoś, kto

nieopatrznie wychynął z domu. Pierwszy z konnych mimo zimnej mżawki zdjął futrzaną czapę, jego nalana, czerwona twarz błyszczała potem. Spojrzał na ukrytego w załomku muru żebraka, małe oczka błysnęły na chwilę, lecz zaraz przygasły. Za blisko muru, nie da się najechać koniem, zsiadać... Taki śmieć niewart zachodu, pomyślał, pewnie sam zdechnie z zimna. Zresztą, szkoda fatygować się dla żebraka, nie o niego przecież chodzi. On już wie, kto tu rządzi, i domyśla się pewnie, jak będą wyglądały nowe rządy. Teraz, gdy trupy nielicznych strażników, bezsensownie przywiązanych do dawnego pana, zwleczono już za mury, trzeba przypominać o tym innym. Spocony żołdak z nalaną twarzą popędził konia.

Gdy kolejna czwórka żołnierzy zniknęła w bramie, żebrak spojrzął na plac, smagany porywami wiatry, który prócz mżawki niósł już mokre płaty śniegu. Plac był pusty, nie licząc sześciu szacownych rajców miejskich, którzy zwisali w pęczkach, po trzech, na zbyt małej szubienicy, dziwnie podobni do powieszonych pod okapem ustrzelonych zajęcy. Popękane wargi żebraka wykrzywił uśmiech. Tak, porównanie było celne: gdy tylko tych powieszono, reszta zaraz skruszała.

Rajcy kołysali się w podmuchach wiatru. Kiedy wiatr ustanie, zabiorą się do nich ptaki. I to by było na tyle, jeżeli chodzi o zachowanie dawnych przywilejów i praw, pomyślał żebrak. Pod nowymi rządami nie będzie żadnej rady miejskiej.

Z karczmy, tuż za wyszczerbionym murem, otaczającym plac targowy, poprzez szum wiatru przebiły się głośne śmiechy. Od wczoraj pękała w szwach, jednak karczmarz nie miał nazbyt wielu powodów do zadowolenia. Zjechało się wprawdzie pełno rozmaitych gości, którzy jedli, a przede wszystkim pili, jednak żaden z nich nie płacił. Nie mieli takiego zwyczaju, jak wyjaśnił na samym początku jeden z przybyłych, zanim jeszcze sponiewierał karczmarza.

Przejęcie władzy przez nowego szeryfa przypominało raczej podbój. Pewnie to się zmieni, myślał żebrak, bezskutecznie starając się zatrzymać pod dziurawą derką resztki ciepła. I szeryf musi z czegoś żyć, nawet taki sukinsyn, nie można grabić i mordować bez końca. Należy po prostu przeczekać, szkoda tylko, że w taką psią pogodę trzeba tkwić na dworze. Ale próby wślizgnięcia się do stajni były ryzykowne, mógł się natknąć na pijanych żołnierzy, odsypiających nocne hulanki lub

gwałcących kolejną nieostrożną niewiastę.

A jeszcze niedawno wydawało się, że wszystko się ułoży. Gdy nowy pan przybył na zamek, całe miasto wyległo podziwiać jego okazały orszak. Herold odczytał królewski dekret. Mieszkańcy radowali się nawet, widząc pyszną świtę nowego szeryfa, jego po tężną i liczną straż. Kupcy i karczmarze zacierali ręce, rachując już spodziewane zyski.

Żebrak z niechęcią spojrział na podrygujących na wietrze rajców z nieprzystojnie wywalonymi językami. Wszystko przez nich, pomyślał mściwie. To rada miejska zabiegała o posłuchanie, chcąc potwierdzenia swych przywilejów. I właśnie po owym posłuchaniu szeryf spuścił swych zbrojnych ze smyczy, zakazując tylko jednego, a mianowicie wzniecania pożarów. To byłoby marnotrawstwem, na wszystko inne zaś mieli jego przyzwolenie.

Żebrak rozumował naiwnie. Późniejsze wydarzenia przypisywał porywczoci nowego pana, jak to zwykle bywa, obrażonego w swej świeżo nabytej godności przez bezczelne żądania mieszczan. Mylił się, terror został zaplanowany.

Następna czwórka przegalopowała przez plac. Żebrak schylił się i udał, że drzemie. Gdy ucichło mlaskanie kopyt na rozmięklej ziemi, uniósł głowę. I zamarł.

Sztylet dotknął wychudłej grdyki.

– Ruszaj, tylko ostrożnie – syknął nieznajomy. Żebrak ujrzał wpatrzony w siebie nieruchome oczy. – No, szybciej...

Żebrak nie poruszył się, sparaliżowany strachem. Ostrze nacisnęło na skórę.

– Szybciej!

Żebrak z niedowierzaniem miętosił w garści fałdy materiału. Piękny, ciepły płaszcz za jego starą opończę i dziurawą derkę. Coś takiego się po prostu nie zdarza.

– Dzięki, panie, dzięki stokrotne – zaczął zawodzącym głosem. – Niech ci to Bóg wynagrodzi, rycerzu świetlany. Chrześcijański to uczynek

biedaka wspomóc, co na wojnach ze szczętem zdrowie sterał..

– Zamknij się! – uciął krótko Claymore Ramirez, nasuwając na oczy bury, poplamiony kaptur.

– Ależ wiem ja, wiem, rycerzu! – Żebrak starał się sumiennie zapracować na nowy płaszcz. – Widno śluby poczyniłeś, by biedaków ratować, a samemu w ubóstwie się umartwiać. Godny to postępek i rycerza prawego godzien.

– Zamknij się! – powtórzył Ramirez, popierając słowa kopniakiem, wprawdzie lekkim i bez złości.

Nie poskutkowało.

– Wiem, panie, że w swej skromności podziękowań słuchać ci się nie godzi. A kimże ja w końcu jestem, by człekowi takiemu jak ty, świętemu bez mała, jeśli nie teraz, to już wkrótce, dziękować...

Ramirez chciał powtórzyć, lecz rozmyślił się. To i tak nie miało sensu, a w tym ciemnym zakamarku za murem byli dobrze ukryci. Żebrakowi zresztą przeszedł pierwszy entuzjazm i dalsze podziękowania mamrotał już pod nosem, gładząc z niedowierzaniem nowy płaszcz.

Dziadowska opończa była długa, sięgała do samej ziemi. Zakrywała buty, i dobrze, bo na buty nie można było się zamienić. Żebrak takowych nie posiadał, a na owijanie nóg szmatami Ramirez nie miał ochoty, nie sprawdzały się na deszczu. Coś jeszcze przyszło mu do głowy.

– A kija nie masz, dobry człowieku? – przerwał wreszcie dziękczynny bełkot. – No wiesz, kostura żebraczego?

Żebrak wybałuszył oczy.

– Nie mam – odparł z żalem po chwili. – Nie mam nogi drewnianej, ani chromy nie jestem. Wrzody jeno prezentować mogę. Popatrzcie, panie!

Rozchylił poły nowego płaszcza i podciągnął brudną szmatę zastępującą mu koszulę. Ramirez odwrócił wzrok. Szyja w miejscu, gdzie ocierała się o nią opończa, zaczęła go dotkliwie swędzieć, a smród bijący od nowego przyodziewku przyprawiał o mdłości. Trudno, zabrakło kija, sztylet musi wystarczyć.

Pozostało jeszcze jedno. Claymore sięgnął po skórzany bukłak, cisnął go zaskoczonemu żebrakowi i odwrócił się szybko. Nie miał ochoty na

wysłuchiwanie następnych podziękowań.

Stawszy się szczęśliwym właścicielem pełnego bukłaka wina, żebrak na pewno nie wyjdzie pochwalić się swą przygodą i nie opowie nikomu o tajemniczym dobroczyńcy, przynajmniej dopóki nie osuszy bukłaka do cna. Ramirez nie potrzebował więcej czasu.

Miasto wyglądało na wymarłe. Na uliczkach, gdzieniegdzie nawet brukowanych, nie spotkał nikogo, poza nielicznymi, zmęczonymi waleniem w okiennice i dziarskim pohukiwaniem patrolami. Za każdym razem słyszał je z daleka i miał dość czasu, by uskoczyć w ciemny zaułek. Dopiero bliżej zamku zaczął napotykać ludzi. O ile te pijane indywidua można było nazwać ludźmi.

Przemykał się pod ścianami budynków wolnym, niepewnym krokiem, garbiąc się i potykając. Na razie nikt z zataczających się po wąskich uliczkach żołnierzy nie zwrócił na niego uwagi. Przy bramie zamkowej na wszelki wypadek jeszcze zwolnił, usiłując jak najbardziej wtopić się w zapadający już mrok.

Brama była otwarta i pilnowało jej trzech zbrojnych. Ci byli trzeźwi. I czujni. Na murach okrzykiwały się strażę, ich sylwetki odcinały się wyraźnie na tle jaśniejszego, choć pokrytego niskimi chmurami nieba. Okna słonecznej komnaty jaśniały blaskiem.

Ramirez, oparty o ścianę domu, uważnie przyglądał się strażom. Żołnierze nie nosili jednakowych barw, zapewne świeżo ich zwerbowało. Jednak pełniący służbę na murach i przy bramie wyglądali na sprawnych zawodowców, tak samo jak ci, którzy czwórkami objeżdżali miasto. Reszta, chlejąca w karczmach i włócząca się po ulicach, była zwykłym pospółstwem, niezdiscyplinowanym i niezdarnym. Przypominali rzezimieszków, pospiesznie skaptowanych na traktach.

Straż na murach była liczna, jak nigdy w czasie pokoju. Claymore przypuszczał, że tych doborowych zbrojnych jest co najmniej dobre dwie setki chłopca, z czego dwie trzecie pieszych.

Z miejsca, w którym stał, mógł z trudem zajrzeć przez bramę na

zamkowy dziedziniec. W migotliwym świetle płonących ogni widział kilku ludzi w szlacheckich strojach i kolczugach. Wyglądali na giermków. Prócz straży byli więc także rycerze. Ramirez nieznacznie pokręcił głową. Potężna siła.

Potężna, tylko po co? Claymore zastanowił się. Dawny szeryf nie żył, a ten miał królewskie nadanie, choćby więc był ostatnim sukinsynem, mieszkańcy miasta nie mieli wyboru, musieli się podporządkować. Zresztą, wcale nie wyglądało na to, by zamierzali czynić nowej władzy jakiegokolwiek wstręty. Po cóż więc takie siły? I po co ta noc terroru?

Ramirez odkleił się od ściany, pokuśtykał z powrotem zaułkiem, biegnącym w stronę placu targowego. Nic tu po nim, dziś więcej się nie dowie.

Na widok dwóch żołdaków zatrzymał się jak wryty, co okazało się błędem. Żołnierze byli pijani, jednak nie aż tak, by przepuścić okazję do sponiewierania kogokolwiek, nawet odrażającego żebraka.

– Hej, ty tam! – Jeden ruszył chwiejnie w stronę zgarbionej postaci. Jego kompan o świńskiej, czerwonej gębie roześmiał się rechetliwie.

– Co, jeszcze jakieś ścierwo chodzi po ulicach? – zabełkotał niewyraźnie. – Pokaż mu, gdzie jego miejsce!

Ten bardziej aktywny przystanął przed zgarbioną postacią. Claymore spróbował zatrząść się.

– Popatrz, jak się trzęsie. – Żołdak odwrócił się z uciechą do kompana.

– Zabij śmiecia – doradził tamten, głosem przerywanym napadem czkawki. – Szeryf powiedzieli, kto na ulicach, to pysk rozwalić, nie patrzeć, cham, kupiec czy pan rajca miejski. A co dopiero taki...

– Słyszałeś, śmieciu? – Pierwszy wziął się pod boki i zachwiał lekko. – Zaraz cię zabijemy, jak wielmożny pan kazał. Boisz się, co? Zaraz narzniesz pod siebie. Odpowiadaj, jak grzecznie pytam!

Claymore nie był pewien, czy uda mu się naśladować zawodzący głos prawdziwego żebraka. Toteż milczał.

– Odpowiadaj, bo... – rozeźlił się pijany zbir.

Bo co, pomyślał Ramirez, co mi zrobisz? Zabijesz mnie?

– O, żeż ty! – Żołnierz niezdarnie wy dobył krótki, zardzewiały miecz, drugą ręką zaś chwycił przygarbioną postać za ramię i szarpnął do

siebie.

Spodziewał się chudego, bezwolnego ramienia. Toteż gdy poczuł pod palcami twarde, naprężone mięśnie, a przykurczona postać nawet nie drgnęła, przez zamroczony umysł przemknęła fala zdziwienia i pozostała już na zawsze w szeroko otwartych, przekrwionych oczach.

Sztylet przebił gardło. Skierowany lekko w górę cios gładko przeciął rdzeń kręgowy w miejscu, gdzie stykał się z czaszką. Napastnik zwiotczał i osunął się jak szmata na bruk. Nie wydał nawet stęknięcia.

Claymore wiedział, że człowiek z poderżniętym gardłem umiera długo, a co gorsza wydaje przy tym wcale głośne dźwięki. Ramirezowi nigdy nie zależało na nadmiernym rozgłosie, dlatego zawsze uderzał w ten sposób. Miało to swoje złe strony. Często sztylet klinował się między kręgami, tak jak teraz.

Drugi żołnierz nie próbował nawet wyciągnąć broni. Zamarł z szeroko otwartymi oczyma, nie mogąc wydać głosu. Claymore puścił oporną, niedającą się wyciągnąć rękojeść, skoczył ku niemu. Zbrojny zdołał się tylko odwrócić, gdy chwycony z tyłu potoczył się na ziemię. Ciszę zaułka przerwał stłumiony chrupot łamanych kręgów.

Nic więcej się nie stało. Nie uchyliły się żadne drzwi ani okiennica. Claymore rozejrzał się, odrzuciwszy z głowy postrzępiony kaptur. Nie dostrzegł nikogo w zasięgu wzroku.

Nie chciał zostawiać swojego sztyletu. Podszedł do zabitego, przycisnął szyję butem, szarpnął. Coś chrupnęło, ostrze gładko wysunęło się z rany. Wytarł je o własną opończę, nic jej nie mogło już zaszkodzić. Zza cholewy buta zabitego wyjął tandetny, oprawny w drewno nóż, podszedł do drugiego ciała. Kopniakiem obrócił je twarzą do góry, wbił ostrze w pierś. Ten też miał nóż za cholewą, równie tandetny, może tylko trochę bardziej zardzewiały. Umazał ostrze we krwi, włożył rękojeść do stygnącej dłoni. Odstąpił na krok i przyjrzał się swemu dziełu.

Pijacka bójka, uznał, zdarza się wśród żołnierzy. Pokłócili się i zabili nawzajem. Naciągnął kaptur na głowę i zniknął w mroku zaułka.

Kroki dudniły głucho po posadzce słonecznej komnaty, pokrytej zeschniętą trzcina. Wiatr, który łomotał okiennicami, niósł pierwszą zapowiedź wiosny.

Przed wielkim paleniskiem, w miejscu, gdzie zwykł siadywać tłusty kocur, widniała zaschnięta plama krwi. Kot wyniósł się wcześniej, nie przeżywał rozterek moralnych ani nie miał trudności z podjęciem właściwej decyzji. Od razu uznał, że nowe rządy mu nie odpowiadają i zniknął bez żalu. Krew pozostała po służącym. Myśl o stawianiu oporu nie przeszła słudze nawet przez głowę, miał tylko nadzieję, że nowe rządy zapewnią mu miskę polewki i garniec piwa od święta. Od początku starał się, jak mógł, jednak rychło okazało się, że aż za bardzo. Czarny Baron nie lubił nadgorliwej służby, toteż skarcił służącego osobiście, gdy nieproszony przyniósł kolejny dzban wina. Własną pańską ręką rozszczepił mu łeb obuszkiem.

Czarny Baron, zwany Czarnym Matołem, przechadzał się po komnacie. Nie przeszkadzała mu plama zaschniętej krwi, której nie kazał nawet posypać choćby trocinami. Był przyzwyczajony. Spoglądał na szybki w oknach, będące przywilejem bogatych. Dumnym okiem właściciela podziwiał nadjedzony przez mole gobelin z tłustymi nimfami przy ruczaju. Z ukontentowaniem poklepywał grube mury zamkowe, zadowolony, że nic wreszcie nie kapie na głowę.

Był szczęśliwy. W końcu coś w życiu osiągnął.

Ten zamek, te szyby w oknach, ten gobelin... To przecież zaledwie cząstka, pomyślał. Jeszcze jest miasto, bogate miasto, cztery karczmy, przywilej targowy, zasobne cechy. Jest z czego grosz wydusić, byle od razu wziąć za mordę. Co tam miasto, kalkulował baron, całe hrabstwo. Wioski z robotnym ludem, łany zbóż, pastwiska z owcami i bydłem. Las, w którym można polować, co z tego, że królewski. Od ubytku paru jeleni król nie zbiednieje. Trzeba szybko wycisnąć, ile się da.

Z doświadczenia wiedział, że nie ma takiej posiadłości, której nie można doprowadzić do ruiny. Dziwnym trafem jemu zawsze się to zdarzało. Na tłustej twarzy odbił się wyraz irytacji. Na długo nie starczy, a tu trzeba się jeszcze dzielić. Zdawał sobie sprawę, że urząd szeryfa to nieoczekiwany uśmiech losu. Nawet przy swym mało lotnym umyśle wiedział, że sam nigdy by go nie osiągnął, nawet by nie próbował. Wszystko zawdzięczał układowi.

Układ, pomyślał zasepiony. Z opatem sprawa czysta, choć stary krwiopijca sporo wydusił. Trzecią część dochodów kazał przeznaczyć na opactwo, toż to rozbój! Ale nie było wyjścia, więc baron, choć z bólem serca i poczuciem niezawinionej krzywdy, położył swój krzyżyk pod spisaniem przez skrybę uroczystym aktem. Pocięszał się, że choć w niebie zasługa. Przy całym swoim okrucieństwie i tępcocie był on człowiekiem szczerze i żarliwie wierzącym, co jakże często się zdarza.

Otuchy dodawała mu też myśl, że stary opat niedługo już pożyje, a inne jego warunki nie były uciążliwe. Baron i tak zawsze popierał opactwo, wiedźmę zaś w lochu trzymać to sama przyjemność. Tak, pomyślał już radośniej, stary coś źle wygląda, pewnie nie doczeka wymarzonego biskupstwa, a z następcą zawsze można się od nowa układać.

Gorzej wyglądała sprawa z tym drugim. Na samą myśl o tajemniczym mocodawcy baron wstrząsnął się. Jak wielu okrutników był tchórzliwy, a ów człowiek od początku wzbudzał w nim lęk. Najgorsze, że nie wiedział, czego się spodziewać, jakie warunki przyjdzie wypełnić, czym zapłacić. Obawiał się, że zapłaci wiele. Jednak nawet nie domyślał się najgorszego.

Stanął przed gobelinem, mimo woli podziwiając obfite kształty nimf. Nie był koneserem sztuki, nie przeszkadzało mu, że nieznaną artystą przydał swym modelkom straszliwego zęza. Ważne było, że inne istotne szczegóły oddane były bez zarzutu, wręcz nieco nadrealistycznie, co bardzo trafiało w gusta barona. Poczł żywą zazdrość wobec satyra, wyobrażonego również na wspaniałej tkaninie.

– Skończyłeś się napawać? – dobiegł z tyłu ironiczny głos.

Baron aż podskoczył w miejscu, co przy jego tuszy wyglądało nader komicznie. Nie usłyszał, by ktoś wchodził do komnaty, a tym bardziej, by stanął tuż za nim. Odwrócił się niechętnie.

Stojący przed nim człowiek nie nosił swego zwykłego jasnego płaszcza z kapturem. Dziś ubrany był jak szlachcic, w skórzany kubrak, nie miał jednak bronii poza krótkim, bogato zdobionym sztyletem za pasem. Długie, siwiejące włosy niedbale związał rzemykiem w koński ogon.

Widząc rozbiegany wzrok barona, mężczyzna uśmiechnął się lekko. Ten dureń wyobrażał sobie, że wystąpię w obrzędowym stroju, z

jałowcową laską i złotym sierpem, skonstatował z rozbawieniem. Cóż, jest głupszy, niż wygląda. Ale to i dobrze.

Pokręcił głową z niedowierzaniem. Ten idiota chciał mieć druida! Na zamku królewskiego szeryfa, oficjalnie. Dopiero by ludzie mieli o czym gadać. No dobrze, dość tego dobrego.

– Skończyłeś? – potwórzył już ostrzej. – Jeśli tak, to zabieraj się łaskawie do roboty. Później będziesz miał czas przeliczać swe bogactwa.

Baron nadał się jak wielka, ryża, spocona ropucha. Bał się druida, lecz ambicja zaślepiła go.

– Bo co? – spytał falsetem. – Będziesz mi rozkazywał? Mnie, królewskiemu szeryfowi?

Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz głos zagulgotał mu w gardle. Niewidzialna dłoń ścisnęła mu gardło tak mocno, że mógł tylko patrzeć na oddalonego o dwa kroki, złośliwie uśmiechniętego druida. Ten niespiesznie odwrócił się i zaczął przechadzać po komnacie. Z początku bez słowa. Twarz barona stawała się coraz bardziej czerwona.

– O to właśnie chodzi – usłyszał w końcu cichy, bez nacisku głos. – Będę ci rozkazywał. A ty będziesz wypełniał moje rozkazy. Ochoczo i bez ociągania, najlepiej jak potrafisz. Mienisz się królewskim szeryfem? Twoja sprawa. Ale ja ci powiem, kim jesteś. To bardzo proste. Jesteś nikim.

Popatrzył na barona, który stał wyprężony na palcach, wodząc za nim wybałuszonymi oczyma, jakby ktoś trzymał go za gardło i uniósł znad posadzki. Nie wydawał już gulgoczących dźwięków, jego twarz nabierała coraz bardziej sinego odcienia.

– Jesteś nikim, posłusznym narzędziem osadzonym tu przez nas dla naszych celów. Wydobyliśmy cię z gnoju, abyś nam służył. Jeżeli będziesz posłuszny, czeka cię nagroda, ale musisz na nią zapracować. – Druid zatrzymał się przed wyprężonym tłuściochem. – Nie nudzę cię? – spytał od niechcienia. – Nic nie mówisz...

Baron nie mógł zaprzeczyć ani potwierdzić.

– Mamy na ciebie kij – podjął druid swój monolog. – Mamy też marchewkę. Marchewką jest to, że jak już zrobisz wszystko, czego oczekujemy, nie będziemy cię nękać. Zostanie ci hrabstwo, żebyś mógł je

spokojnie doprowadzić do ruiny. Jak wszystko zresztą, czego się w życiu tknąłeś. – Popatrzył krytycznie na barona, wykonał nieznaczny gest. Baron ze świstem wciągnął powietrze, nie poruszył się jednak.

– Trzeba trochę poluznić – padły dobrotliwie wypowiedziane słowa.
– Gotowyś się zatchnąć przez czasem. O czym to ja? A, już wiem. Jest także kij. Pamiętaj, mój dobry człowieku, że nie jesteś jedynym wyrzutkiem w okolicy. Można cię zastąpić, znajdą się inni. – Machnął niecierpliwie ręką, jakby przecinał protesty.

Tych jednak nie było. Baron nie mógł protestować, choćby chciał.

– Tak, wiem, że to kosztuje, trzeba zachodu, załatwić nominację, opłacić zbrojnych... Też wolałbym tego uniknąć. Ale jeżeli trzeba będzie, zakarbuju sobie, że nas stać na jeszcze kilku takich jak ty. Widzisz, mógłbym ci zagrozić, że skończysz tak jak de Reno. Ale nie zagrozę. Na takich jak ty jest lepszy kij. – Znowu stanął przed szeryfem, którego twarz przybrała ponownie naturalny czerwony odcień. Chrapliwy oddech rozpryskiwał kropelki śliny. – Ta wyschnięta studnia w twoim, pożałuj Boże, zamku.

Baron znów posiniał, źrenice zatańczyły dziko.

– Co, dziwisz się, że o niej wiem? – zdumiał się druid obłudnie. – O tej studni, w której niedługo nie starczy miejsca, tak wypełniają ją kości? Wiem o studni, a jakże. Wiem o wszystkich dziewczuszkach, które zniknęły w twoich wioskach, a także paru okolicznych. Znam twoją ulubioną rozrywkę. Na razie wiem ja i paru twoich zdegenerowanych sługusów. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, by dowiedzieli się inni.

W swych niewidzialnych więzach baron zaszamotał się spazmatycznie, po czym zwiotczał i zwiśł. Druid ze zdziwienia uniósł brwi. To musiała być niezwykle silna emocja, by choć trochę przełamać urok. Na ogół nikomu się nie udawało chociażby drgnąć.

Nim zmysły go opuściły, baron ujrzał przed sobą rozpalony żelazny pręt, którym zwyczajowo karano sodomitów, by odwieść ich od grzesznego procederu. Zwykle skutkowało, nie zanotowano przypadku, by któryś powrócił do uprawiania perwersji.

Wzruszywszy ramionami, druid odwrócił się z niesmakiem. Tłuste cielsko zważyło się na posadzkę z odgłosem przypominającym upadek mokrego skórzanego worka.

Upłynęła długa chwila, podczas której druid podziwiał talent nieznanego twórcy gobelinu, a zwłaszcza jego skłonności do pewnych uproszczeń. Oderwał wzrok od tkaniny dopiero wtedy, gdy usłyszał za sobą kaszel i pochrząkiwania przywodzące na myśl taplającą się w bajorze świnie.

– Gotów jesteś? – spytał cicho. – To ruszaj na podwórzec, stary zboczeńcu.

Gdy baron wyszedł na drewniany pomost, prowadzący do stołu prosto z murów, wyglądał już całkiem normalnie. Tylko ledwie dostrzegalne dygotanie dłoni pozwalało się domyślić, co się niedawno zdarzyło. Ciężko oparł się o drewnianą barierkę, popatrzył w dół, na podwórzec. Wciągnął chrapliwie powietrze do płuc.

– Każ zawołać Bładego. – Stojący za nim druid nie dopuścił do rozpoczęcia oracji.

Baron wypuścił powietrze jak przedziurawiony świński pęcherz. Znów poczerwieniał.

– Po co? – spytał gwałtownie, zanim zdążył się zastanowić.

– Każ zawołać – powtórzył wciąż cichy głos. – Chcesz wiedzieć, dlaczego? Bo ja tak chcę.

Baron nie przejawiał ochoty do polemiki. Niepewnym głosem wydał polecenie, by sprowadzono Gilberta, zwanego Bładym. Nawet nie zastanawiał się, po co, choć na jego miejscu warto było się zastanowić.

Gilbert należał do szlachty, przydanej baronowi do jego nowego pocztu. Wedle słów opata był to wielce obiecujący młodzieniec, choć nie dostąpił jeszcze pasowania – biegły, jak na swe lata we władaniu bronią, ambitny, a także inteligentny, w miarę okrutny i bezwzględny. Obecną swą funkcję traktował najwyraźniej jako pierwszy krok do dalszych dokonań, pierwszy samodzielny krok po wyrwaniu się spod władzy despotycznego ojca.

Druid pomyślał, że gdyby był starszy, nadałby się znacznie lepiej na nowego szeryfa od tego degenerata. Też byłby posłuszny, ale świadomie,

bez konieczności szantażu. Nic straconego, pomyślał. Wprawdzie po osiągnięciu celu nie musieli dłużej kontrolować hrabstwa Nottingham, ale może na wszelki wypadek... Blady Gilbert byłby niezłym następcą Czarnego Matoła. Kto wie, co się zdarzy, szeryf zawsze się przyda. A Gilbert przynajmniej swe upodobania zaspokajał w bardziej przyjęty sposób. Nie przepuścił żadnej dziewczce, wybierał jednak starsze niż baron i chuciom swym dawał upust w sposób nieodbiegający od powszechnych obyczajów, po wykorzystaniu nie wrzucał do wyschniętej studni, czasem nawet potrafił dać pensa czy dwa.

Blady Gilbert, obiecujący młodzieniec z wielką przyszłością, pojawił się szybko. Nie zadając żadnych pytań, stanął obok szeryfa. Ten niepewnie obejrzał się na druida, który skinął głową. Można było zaczynać.

– Ekhem... – odchrząknął Czarny Baron. Wciąż dławilo go w gardle. – Ekhem... A zatem, młody panie...

Urwał, widząc, że Gilbert wcale na niego nie patrzy. Mało tego, wpatruje się w druida, jakby to właśnie on był jego zwierzchnikiem. Szeryf poczuł zalewającą go złość. Nie tak miało być. Obiecał przecież tylko pomóc w jednej sprawie, zgoda, śmierdzącej z daleka. Ale przecież to z jego kiesy finansowana jest ta cała zabawa i niczym sobie nie zasłużył na podobne traktowanie, zwłaszcza przez tego przybłędę i zarozumiałego młokosa.

W samą porę, by nie wybuchnąć, przypomniał sobie ucisk na gardle, dławiącą, niewidoczną dłoń. Przełknął z trudem ślinę.

– Ekhem – odchrząknął jeszcze raz. – Zatem, panie Gilbercie, czas pośród straży porządek zrobić. Niepewnych znaleźć i ukarać.

– Za co? – wtrącił beczelnie panicz Gilbert. Nie, żeby mu się nie podobał pomysł karania niepewnych. Ale nie mógł sobie darować okazji do drażnienia barona. Bardzo wcześnie wyczuł, jak sprawy rzeczywiście stoją i kto tym wszystkim rządzi. I zgodnie ze swym charakterem korzystał z każdej okazji.

Nie tym razem jednak. Przed dalszymi złośliwościami powstrzymało go ostrzegawcze kasznięcie i spojrzenie bladoniebieskich oczu.

Gilbert poczuł dreszcz. Bał się druida, nigdy nie wiadomo, co taki może zrobić. Już dawno przestał się dziwić, że nawet sam opat wchodzi z

poganami w konszachty. Cóż, takie bywają kaprysy wielmożów, nawet dostojników Kościoła. Pewnie dla większej chwały Bożej trzeba się i z takimi czasem sprzymierzyć, żeby we właściwym czasie ku zgubie ich przywieść. Ale strach pozostał. Teraz też chętnie by się chociaż przeżegnał, zawsze strzeżonego Pan Bóg strzeże. Jednak się nie ośmielił.

– Oczywiście, zajmę się wszystkim – zapewnił panicz skwapliwie, spuszczać oczy pod kąpiącym, jak mu się wydało, wzrokiem druida. – Wszystko, co pan baron rozkażą – poprawił się spieszenie, wiedząc, że warto dbać o pozory.

Druid skrzywił wąskie wargi w uśmiechu.

– Rozkazujcie zatem, panie baronie – powiedział szyderczo.

Szeryf nie okazał po sobie, że dostrzegł ironię. Czegoś się jednak uczył.

– Tego, zatem. – Podrapał się po głowie. – O czym to myśmy... A, niepewne, znaczy elementy. We straży.

Gilbert udawał, że słucha. Baron mamrotał coś niezbyt składnie o konieczności pozbycia się dawnych zbrojnych, nawet tych, którzy pozostali w służbie z własnej woli. Sam dawno wiedział, że trzeba pozbyć się może nie prostych żołnierzy, ale przynajmniej starszych.

Starszego, uświadomił sobie, został tylko jeden, sam dowódca – Wulf, czy jakoś tam. Gilbertowi wydawało się to dziwne od początku, tamten musiał być przecież zaufanym dawnego szeryfa. Jednak został i wypełniał przykładowie wszystkie rozkazy.

Baron wciąż gadał. W końcu druid zniecierpliwiał się wyraźnie, ujął go pod ramię. Nowy szeryf umilkł w pół słowa.

– Tak, tak, panie baronie – powiedział łagodnie, lecz z naciskiem druid. – Macie słuszość niewątpliwie. Ale nie fatygujcie się, takie rzeczy to my tu załatwimy z naszym młodym przyjacielem.

Fala krwi uderzyła na i tak czerwone policzki barona. Odprawia mnie, zrozumiał, odprawia jak jakiegoś chudopachołka, jak swojego sługę...

Mało brakowało, a nie bacząc na konsekwencje, bluznęłyby przekleństwami. Do czego to podobne, przy tym smarkaczu!

Nie zdążył. Poczł tylko, jak palce druida zaciskają mu się wokół ramienia, a język nagle kołowacieje w ustach. Pozwolił się obrócić i

bezwolnie pomaszerował z powrotem do ciemnego wejścia w ścianie stołpu.

Gilbertowi zmiękły nogi. Widział, jak twarz barona sztywnieje i staje się podobna do woskowej maski, jak nieruchomieją oczy. Bał się popatrzeć za odchodzącym sztywnym krokiem szeryfem.

Druid wymruczał pod nosem przekleństwo. Chwilę przechadzał się po pomoście, deski potrzaskiwały pod jego stopami. Zatrzymał się przy barierce.

– Chodź tu – rozkazał, nie odwracając się.

Gilbert z ociąganiem podszedł do balustrady.

– Bliżej – warknął druid. – Nie bój się, nie gryzę. – Roześmiał się głóśno. – W każdym razie nie od razu – dodał już łagodniej.

Gilbert posłuchał. Oparł dłonie na wyslizganej belce poręczy, rad, że w ten sposób może ukryć ich drzenie. Popatrzył z ukosa na druida, ale nie dostrzegł wiele, długie włosy zasłaniały twarz.

– Nie przejmuj się, chłopcze – usłyszał. – Już niedługo wszystko się skończy, dostanę, czego chciałem, i odejdę, a jaśnie pan baron będzie mógł robić tutaj, co mu się żywnie podoba. Ty też. I tylko twoja w tym głowa, czy z tego skorzystasz.

Nagle odrzucił włosy z twarzy. Spojrzał Gilbertowi prosto w oczy.

– Ale żeby skorzystać, najpierw zrobisz to, co każę. – Głos stwardniał. Druid nie musiał stosować żadnej ze swoich sztuczek. Gilbert pokiwał skwapliwie głową.

– No, rozumiemy się, jak widzę – stwierdził druid z aprobatą. – Bystry jesteś, nie to, co ta kupa sadła. Trudno, z takimi też trzeba czasem współpracować.

Panicz Gilbert był rozumnym młodzieńcem. Wiedział doskonale, że Czarny Baron miał same zalety. Był okrutny, spragniony władzy, posiadał możnych przyjaciół, skłonnych sfinansować jego plany, a nade wszystko był pazerny. Znakomicie nadawał się na przykrywkę całego przedsięwzięcia, a w razie czego nie żał będzie się go wyprzeć i zostawić na pastwę losu. Tak musiał kombinować choćby opat, w razie niepowodzenia będzie miał na kogo zwalić winę.

– Jak mówiłem, pewnie skorzystasz – ciągnął druid. – Tylko od ciebie

zależy, jaką pozycję sobie wyrobisz, póki tu jestem. A potem... Potem również ty zdecydujesz, kiedy będzie potrzebny nowy dziedzic tego zamku. Pan baron, jak wiesz, potomstwa się nie dorobił...

Gilbert znakomicie zdawał sobie sprawę z tego wszystkiego. Zastanawiał się tylko, czy cena nie będzie przypadkiem zbyt wysoka.

– To była marchewka, a teraz kij, mój młody przyjacielu. – Głos druida wpadł w sam środek niewesołych rozważań. – Widzisz zapewne, że na tym durniu nie mogę polegać. Zrobił swoje, stał się niepotrzebny, a w każdym razie stanie się niepotrzebny już niedługo. Wypadło zatem na ciebie. I zrobisz to, czego zażądam. – To nie było pytanie, to było stwierdzenie.

Gilbert kiwnął tylko głową, nie mógł wypowiedzieć ani słowa.

Druid z aprobatą poklepał go po plecach.

– To dobrze, mój młody przyjacielu, to dobrze. – Uśmiechnął się zimno. – I pozwolisz, że nie będę obrażał cię obietnicami nagrody. Sam ją sobie weźmiesz.

– Słucham was, panie. – Głos zawiódł Gilberta i zadrżał wyraźnie. Druid uśmiechnął się szerzej.

– I tak ma być – pochwalił, nie wiedzieć, czy chęć do posłuchu, czy też wyraźny lęk. – Nadajesz się, chłopcze, jesteś w sam raz tchórzliwy i pazerny. Mam nadzieję, że i z okrucieństwem u ciebie nie najgorzej? I z tak zwanym brakiem skrupułów? Zresztą, niepotrzebnie pytam, wiem przecież. – Objął Gilberta przez plecy i ruszyli wzdłuż pomostu. Młodzieniec nie śmiał o nic pytać. Spoglądał na pusty podwórzec, na cembrowanie studni, kamienne koryto, w którym zwykle pojono konie. Był rad, że nikt nie widzi tak bliskiej konfidencji z druidem. Bał się złych spojrzeń, ukradkowych znaków, chroniących przed urokiem. Jakoś nikomu nie podobał się ten dziwny sprzymierzeniec, tak jawnie paradyżący po zamku. Nawet zbrojni barona, hałastra złożona z zabijaków spod ciemnej gwiazdy, niechętnie spoglądali na ten niecodzienny sojusz.

Tym razem na szczęście podwórzec był pusty. I Gilbert miał nadzieję, że takim pozostanie.

– Dobrze się sprawiłeś z tym, jak mu tam było... – podjął druid.

Gilbert kiwnął głową.

– Tak, panie – potwierdził skwapliwie.

Druid puścił go, zatrzymał się.

– Nie mów tak do mnie – syknął. – Nie jestem żadnym z was, szlachty.
– Ostatnie słowo zabrzmiało jak splunięcie, tyle było w nim pogardy. Gilbert poczerwieniał mimo woli. – Jestem czymś nieskończenie większym od was, durnie. Nigdy tego nie pojmiecie, nie jesteście w stanie.

To po co ci jesteśmy potrzebni? – pomyślał Gilbert, mimo znów wzbierającego w nim lęku.

– Wasze ambicje, wasze pragnienia są niczym, zakarbuje to sobie we łbie, niczym! Nie liczcie się. – Nie zmienił wyrazu twarzy. Wciąż był spokojny i pogardliwy. Tylko bladoniebieskie oczy zwężyły się nieco. – Zrozumiałeś, człowieku? – Zabrzmiało to jak wyzwisko. I było nim w istocie.

Gilbert nie opuścił wzroku. Lęk przeszedł w złość.

– To jak mam do was mówić? – spytał. – Jakoś przecież muszę. Macie jakieś imię?

Oczy druida zwężyły się jeszcze bardziej.

– Chciałbyś wiedzieć... – odparł zimno. – Ale wiesz co, odważny jesteś. To dobrze, przydasz się! – Zaśmiał się zimno.

Panicz nie zawtórował, nie było mu do śmiechu.

– Do rzeczy. – Druid zatarł ręce, gestem zadziwiająco pospolitym. – Został jeszcze dawny dowódca straży. A nie powinien zostać.

Gilbert zmartwiał. Wiedział, że trzeba się pozbyć dawnych zaufanych Roberta de Reno. Wulf wprawdzie zachowywał się nad podziw lojalnie, wypełniał wszystkie rozkazy w ponurym milczeniu, bez słowa sprzeciwu, ale nie można było wierzyć w jego lojalność.

Zgadywał jednak, że druidowi nie chodziło o to, żeby odprawić dawnego dowódcę, tylko o coś zgoła innego. A to się Gilbertowi bardzo nie podobało. Trudno mu się było przyznać przed sobą samym, ale czuł do ponurego wojaka jakiś szacunek. Poza tym nie miał wątpliwości, że Wulfowi nie będzie łatwo wsadzić sztylet pod żebra. I całkiem po prostu bał się.

Ale nie zaprotestował. Zdawał sobie sprawę, że nie ma dobrego wyjścia. Odmowa będzie równie niebezpieczna, jak próba wykonania rozkazu, który wprawdzie nie padł w sensie dosłownym, ale był łatwy do przewidzenia. Przychodziło mu na myśl wiele sprzecznych pomysłów. Niestety, żaden nie był dobry. Ale się wpieprzyłem, pomyślał tylko.

Powoli skinął głową, mając nadzieję, że druid zrozumie to właściwie. Nie mylił się.

W nagrodę doczekał się kolejnego klepnięcia w ramię.

– No to załatwiliśmy!

Gilbert uciekł wzrokiem, bojąc się, że druid wyczyta z jego twarzy wahanie, albo co gorsza decyzję. Ta bowiem była prosta – nie leźć w oczy i zwlekać, jak się da. Może uda się przemówić Wulfowi do rozsądku, jeśli nie, to może do sakiewki. Gilbert nieomal pokręcił odruchowo głową. To ostatnie było mało prawdopodobne.

– Udałeś mi się, chłopcze. – Druid uśmiechnął się. – Dobrze się z tobą rozmawia. Szkoda, żeś gołodupiec, moglibyśmy się dogadać bez tego tłustego idioty. Przydałbyś się na przyszłość. Zresztą, pewnie i tak się przydasz. Co, nie cieszysz się?

Gilbert istotnie nie wyglądał na zachwyconego. Z wysiłkiem przywołał na twarz uśmiech, który w założeniu miał być entuzjastyczny, bardziej przypominał jednak wymuszone skrzywienie warg.

Uratowało go wysokie mniemanie rozmówcy o samym sobie. Druid często widywał takie reakcje, przyzwyczał się kłaść je na karb obawy. Postanowił uspokoić Gilberta, by ten nie spanikował i wypełnił wszelkie polecenia. Nieważne, co się potem z nim stanie, pomyślał, nawet lepiej, gdyby zabili się z tym zbrojnym nawzajem. To też tylko narzędzie, z założenia jednorazowe.

– Nie przejmuj się, wkrótce będzie po wszystkim.

Gilbert zapomniał, że miał udawać, iż o niczym nie wie.

– Myślisz, że przybędzie? – spytał, zanim zdążył ugryźć się w język.

Druid obrzucił go przeciągłym spojrzeniem. Za mądry, pomyślał, nie powinien pożyć za długo. Cóż, każdy ma swoje wady, niektórzy są za głupi, inni wręcz przeciwnie.

Zmrużył oczy, by zamaskować podjętą decyzję. Niezbyt korzystną dla

Gilberta.

– Przybędzie. – Nie widział powodów, by okłamywać młodego panicza. Niedługo ta wiedza na nic mu się nie przyda. – Przybędzie na pewno. Bo jak się domyślasz, mój młody przyjacielu, mam coś, na czym mu zależy.

Pewnie, że masz, pomyślał Gilbert. I po raz pierwszy chyba poczuł ukłucie wstydu.

– Już niebawem – dodał druid. – Bo wy, ludzie, jesteście głupi. A ja zawsze dostaję to, czego chcę.

- III -

Na polach śniegi już stopniały, ale w lesie, chronione przed coraz śmieiej grzejącym słońcem, pozostały jeszcze białawe płachty. Obok lśniących wilgocią pni widać było nadtopione niecki, śnieg pokrywała cienka warstewka lodu, tężejąca podczas nocnych przymrozków.

Wiekowy dąb na polanie szeleścił suchymi, poskręcanyimi liśćmi, które wciąż trzymały się konarów. Jałowce, jeszcze czarne, bez świeżej zieleni młodych odrostów, otaczały kręgiem polanę. W mroku podobne do milczącej leśnej straży, teraz, za dnia były tym, czym być powinny. Tylko jałowcami.

Dziewczynka siedziała oparta o szorstki pień dębu, czując podświadomie, jak wypełnia ją siła bijąca z tego miejsca. Nie wiedziała, że trafiła w miejsce szczególne, nie podejrzewała nawet, czego świadkiem przez stulecia był rozłożysty dąb. Ani co odbywało się w cieniu jego coraz bardziej rozłożystych i mocarnych konarów przed wiekami, gdy zaledwie wykiełkował z żołądzi. Co stało się tu choćby zeszłej jesieni. Nie rozumiała, ale czuła. Nie zważała na zbliżający się z wolna zmierzch, nie pamiętała, że oddaliła się zanadto od obozu. Siedziała i podśpiewywała. Jej pyzata, okolona blond lokami buzia uśmiechała się radośnie.

Wrzask sójki wdarł się dysonansem w prościutką melodię. Piosenka urwała się, mała zmarszczyła brwi. Poczwała nagle, jak uwiera ją w plecy popękana kora dębu, a tyłek ziębnie od siedzenia na zeschniętych liściach. Usta dziewczynki wygięły się w podkówkę.

Sójka wrzasnęła jeszcze raz, jakby bliżej. Przez szum wzmagającego się wiatru w bezlistnych koronach drzew przedarło się niewyraźne nawoływanie.

Mała popatrzyła na ciemniejące niebo. Nawoływanie powtórzyło się i dziewczynka zerwała się na równe nogi. Miała niejasne przeświadczenie,

że ojcowy rzemień znów pójdzie w ruch.

Rozejrzała się. Wiedziała, którędy przyszła, nigdy nie zabłądziła w lesie. Nie czuła przed nim lęku. Złościło ją, że rodzice zakazywali się oddalać. Przecież w lesie było tyle ciekawych rzeczy. Przecież las nie mógł skrzywdzić małej dziewczynki.

Nawoływania przybliżały się. Niedobrze, pomyślała, jeśli ojciec znajdzie mnie tutaj i zobaczy, jak daleko odeszłam. Trzeba wracać, dookoła, żeby go nie spotkać. Powiedzieć, że byłam po drugiej stronie, nad strumieniem, a tam dochodzą przecież głosy i dym z obozowego ogniska. Coraz bliżej odzywający się wrzask sójki urwał się nagle. Dziewczynka miała już dać nura w jałowce, gdy zamarła. Coś było nie tak. Zupełnie nie wiedziała co, ale bardzo nie tak.

Wraz z uciętym nagle ptasim krzykiem zamarł wiatr. Ucichł szum w koronach drzew, przestała szeleścić przeczesywana wiatrem trawa. Nastąpiła cisza, teraz zupełnie rzeczywista, nie ta pozorna cisza leśna, wypełniona w istocie różnymi odgłosami. Cisza martwa i absolutna.

Dziewczynka znieruchomiła, rozglądając się wokół rozszerzonymi ze strachu oczami. Nic. Polana z wiekowym dębem, okolona mrocznymi sylwetkami jałowców. Cisza i bezruch. Nagle zgęstniały mrok.

Chciała uciekać, zdjęta lękiem, płynącym nie wiadomo skąd, ale nie mogła się poruszyć. Mogła tylko patrzeć.

Patrzeć i słuchać, jak w bezwietrznej ciszy zaczynają szeleścić suche liście dębu, a konary wyginają się w nieruchomym powietrzu, coraz bardziej i gwałtowniej. Sylwetki smukłych jałowców pochylały w różne strony, jakby wiatr wiał we wszystkich kierunkach. Gdy poczuła, jak nieznana siła podnosi jej włosy i usłyszała ciche potrzaskiwanie, ze wszystkich sił zacisnęła powieki. Nie krzyknęła, choć bardzo chciała.

Pod zaciśnięte powieki wdarł się błękitny blask. Otworzyła oczy wbrew przemożnemu pragnieniu, by nie patrzeć, to może i jej nie zobaczą. Kto? Nie wiedziała.

Błysk.

Błysk, jak bliskiego pioruna, jaskrawoniebieski, rozgałęziony. Jednak poza suchym trzaskiem nie słyszała żadnego dźwięku.

Błyskawica nie zgasła, z trzaskiem pełzła po polanie, syjąc iskrami,

od których jednak nie zajęła się płomieniem wysoka su cha trawa. Do pełzającego wyładowania dołączyło drugie, potem trzecie. I następne. Błękitne światło zalało polanę, nozdrza dziewczynki wypełnił dziwny zapach.

Błyskawice ułożyły się w sferę, zamykając w swym wnętrzu potężny dąb, który potrząsał wściekle rozłożystymi konarami. Pełgały po powierzchni niewidocznej, wypełnionej błękitnym blaskiem kuli.

Blask stał się coraz jaśniejszy. Dziewczynka mrużyła oczy, przed którymi biegały ciemne płatki. Trzask narastał, a potem usłyszała głuchy łomot.

Wszystko ucichło.

Stała chwilę jak sparaliżowana, czując na twarzy uderzenie ciepłego podmuchu. Cisza dzwoniła w uszach.

Przez chwilę nie widziała nic, poza świetlistymi kręgami powidoków. Powoli wracało czucie, władza nad własnym ciałem. Powróciła świadomość, gdzie jest.

Polana była mroczna i dziewczynka ledwie widziała odartą teraz z liści sylwetkę dębu, rysującą się niewyraźnie na tle jaśniejszego nieba. Poczuła ból w zaciśniętych piąstkach. Powoli otworzyła dłonie, w które głęboko wbiły się paznokcie. Paraliż mijał, mogła już poruszać rękoma.

Kolejny błysk. I straszliwy huk.

Zwykły grom uderzył w przeciwległy skraj polany, sypiąc iskrami z trafionego przezeń drzewa. Na ziemię runęła z trzaskiem odłamana gałąź. Po chwili spadły strugi deszczu.

Dziewczynka stała przez jeszcze przez chwilę, wpatrując się w miejsce, gdzie w krótkich błyskach niebieskiego światła zobaczyła nagie, leżące w kręgu wygniecionej trawy nieruchome ciało, którego jeszcze przed chwilą tam nie było.

Z tym obrazem pod powiekami rzuciła się do ucieczki.

Obozowisko było osłonięte, ale wiatr szarpał płachtą okrywającą wóz

i przez szwy przeciekały strugi wody. Niemłody mężczyzna zaklął cicho, ocierając wodę, płynącą z przemoczonych, długich włosów, które oblepiały mu twarz. Uciekając przed ulewą, stracił w gąszczu przepaskę.

Pulchna kobiecina przeżegnała się nabożnie. W szeroko otwartych oczach czał się strach.

– Jezu, burza w taki czas. – Skuliła się na huk bliskiego pioruna. – Dobry Jezu, kto to słyszał.

– Cicho! – syknął mężczyzna, usiłując nasłuchiwać. Na nic się to nie zdało, szum wiatru i bębnienie deszczu o napiętą płachtę były zbyt głośne. Do tego wszystkiego doszły lamenty kobiety.

– Zginęło dziecko, zginęło ze szczętem. Koniec świata niechybnie nadchodzi. Wszyscy zginiemy.

– Cicho, psiakrew!

Nie bacząc na zacinający deszcz, mężczyzna odchylił płachtę i zeskokczył na rozmiękłą ziemię. Po chwili trzymał w ramionach roztrzęsiony kłębek z umorusaną, zakrwawioną buzią.

– Bethie!

Dziewczynka wtuliła się jeszcze bardziej, wstrząsana spazmami płaczu. Mężczyzna podniósł ją bez wysiłku, wspiał się na wóz. Burza przycichała.

Ognisko dymiło, przemoczone drewno zajmowało się z trudem. Burza, tak niecodzienna o tej porze roku, skończyła się wreszcie. W jednej chwili przestały lać się z nieba strugi wody, zamilkły pioruny. Spod czerni nocnego nieba nad obozowiskiem przezierały gwiazdy.

Bethie kuliła się, okryta derką. Jej jasne włosy wyschły już, na policzku nabrzmiwała pręga od uderzenia gałęzią. Pulchna kobieta objęła małą, szepcząc coś cicho. Dziewczynka powoli przestawała się trząść.

Niemłody mężczyzna związał długie, siwiejące włosy. Gdy dziewczynka znalazła się w obozie, przeszła mu cała złość. Nie zrugął jej

za oddalanie się od bezpiecznego obozowiska. Nie dodał zwyczajnych opowieści o wilkołakach, czyhających na małe, lekkomyślnie włączające się dzieci. Nie opowiedział o srogim wilku z wielkimi oczami i jeszcze większymi zębami oraz długim chwostem.

Jednak mimo pozorów spokoju był wciąż roztrzęsiony. Nigdy nie widział burzy srożącej się z taką siłą na przedwiośniu i nie mógł doczekać się ranka, gdy będą mogli ruszyć dalej, zostawić za sobą ten przekłętą las. Puszcę Sherwood, w której może czaić się...

Kudłaty pies warknął cicho, zjeżył sierść. Po chwili zaniósł się ujadaniem. Zza wozu zawtórowały mu pomruki i brzęk łańcucha. Kobieta podniosła małą, poprowadziła w stronę wozu.

Pies ujadał wciąż, stojąc na sztywno wyprężonych łapach. Wreszcie ucichł, tylko w gardle wzbierał mu głuchy warkot. Szczerzył błyszczące w migotliwym świetle ogniska kły. W zaroślach słychać było trzaski łamanych gałązek. Ktoś przedzierał się ku nim. Ktoś lub coś.

W dłoni mężczyzny nie wiadomo skąd pojawił się długi sztylet. Było za późno, by na wozie, w bałaganie spowodowanym przez burzę, szukać kuszy. Podrzucił sztylet w dłoni, chwycił za ostrze. Potem opuścił rękę wzdłuż uda, lekko nią kołysząc.

Niewiadome w zaroślach zbliżało się. Coraz głośniej trzaskały gałązki.

Za uzbrojonym w sztylet mężczyzną stanęła następna sylwetka, niewysoka, kryjąc twarz w cieniu kaptura. Mężczyzna, nie odwracając się, dał znak. Postać skinęła głową i roztopiła się w mroku.

Do coraz bliższego trzasku poszycia dołączyły niewyraźne pomruki. Mężczyzna wsłuchiwał się chwilę, po czym nieco odprężył. Pomruki brzmiały jak przekleństwa. Ktokolwiek nadchodził, był człowiekiem. Upiory i wilkołaki nie używały takich wyrazów.

Pies zawarczał głośniej. Głośniej zabrzczał łańcuch za wozem. W krąg światła ogniska wszedł człowiek.

Był wysoki, jego ramiona lśniły od wilgoci. Długie, mokre włosy przykleiły się do policzków, po twarzy i barkach spływały cieniutkie strużki krwi, efekt przedzierania się w ciemności przez gęste zarośla.

– No, no, co my też widzimy! – rozległ się młody, dziewczęcy głos. Nie

brzmiało w nim zdumienie, raczej wesołość.

Mężczyzna ze sztyletem uśmiechnął się. Postąpił krok do przodu.

Człowiek, który stał przed nimi, był całkiem nagi. W dłoni ścisnął pochwę miecza, okręconą pasem.

Mężczyzna zatknął sztylet za cholewę i przypatrzył się dziwnemu gościowi. Na widok blizn na jego twarzy zmarszczył brwi, jakby usiłując sobie coś przypomnieć. Nie zdołał, potrząsnął jedynie głową, wpatrując się w zabłocone, oblepione liśćmi i igliwem nogi przybysza.

Oczy przywykły do blasku ogniska i Match dostrzegł szczegóły – twarz mężczyzny z cieniem rozbawienia w oczach, uniesioną płachtę wozu, spod której błyskały ciekawe spojrzenia. Psa, który węszył z zainteresowaniem. Dziewczynę, stojącą nieco z tyłu, która odrzuciła kaptur na plecy i wpatrywała się z szerokim uśmiechem. Nie w jego twarz bynajmniej.

Po plecach spływały mu mokre strużki. Coś uwierało w bosą stopę, stanął na szyszce. Zaczynał być zły.

Dziewczyna zachichotała, pokazując palcem. Niemłody mężczyzna roześmiał się. Spod płachty też dobiegło ciche parsknięcie śmiechu.

– Potrzebuję ubrania – powiedział cicho Match. – I konia.

Śmiechy ucichły. Mężczyzna spoważniał, zmierzył Matcha wzrokiem, jego oczy zwęziły się. Po chwili znów się uśmiechnął.

– Zapomniałeś powiedzieć "proszę" – odparł.

Nad miedzianym kociołkiem unosiła się para. Pulchna kobiecina przestała mieszać strawę drewnianą łyżką i rozrzuciła patykami polana, by zmniejszyć żar. Potrawa najwidoczniej już dochodziła, o czym świadczył zapach, powodujący u Matcha bolesne skurcze żołądka. Siedział dość daleko od ognia, oparty o pień wielkiej sosny, nie dość daleko jednak, by nie czuć korzennego zapachu duszonego mięsa. Jeszcze niedawno stał w tamtym świecie na pustej polanie, patrząc w powietrze, które drgało jak w upalny dzień nad piaszczystą drogą. I zaraz później, wyrzucony przez drgający feerią barw tunel, spadł u stóp dębu. A jednak

miał wrażenie, jakby nie jadł już od tygodnia.

Żarzące się węgle potrzaskiwały, potrawa perkotała cicho. Pulchna kobiecina zaczerpnęła z kociołka, w przytłumionym świetle żaru z ogniska Match widział jej wysunięte wargi, gdy dmuchała na łyżkę, i smużki pary, unoszące się w zimnym powietrzu. Dziewczyna w opończy zniknęła za wozem, skąd dochodził teraz jej stłumiony głos, jakby przemawiała do kogoś cicho i łagodnie. Mężczyzna dłuhał przy uprzęży. Kudłaty pies rozciągnął się nieopodal ogniska, czujnie strzygąc uszami i powarkując od czasu do czasu w stronę Matcha, zupełnie jakby chciał powiedzieć, że mimo wszystko czuwa i ma go na widoku. Match uśmiechnął się do zwierzęcia, co pies skwitował podwinięciem warg, jego kły błysnęły czerwono w świetle ogniska. Warknął głośniej.

Kobieta siorbnęła z łyżki.

– Cicho! – rzuciła w stronę psa. – To swój.

Pies nie był do końca przekonany. Przestał warczeć, ale oczami wciąż śledził siedzącego pod drzewem Matcha.

– A to się jeszcze okaże – mruknął mężczyzna, ot tak sobie.

Match nie zareagował. Siedział bez ruchu, nie zwracając uwagi, że z kołysanej wiatrem korony sosny co rusz za kołnierz spadają mu zimne krople wody.

Za wozem zabrzączał łańcuch, głos dziewczyny zabrzmiał głośniej. Coś otarło się o burtę wozu.

Kozę mają, czy co, pomyślał Match bez większego zaciekawienia. Bardziej interesowało go, czy oprócz przydzwiewku dostanie coś do zjedzenia. Konia bowiem odmówiono.

Dziewczyna wyszła zza wozu, stanęła w kręgu światła rzucanego przez ognisko. Starsza kobieta skinęła na nią, zdjęty zawieszony na łańcuszku kociołek. Mężczyzna wsunął się pod płachtę wozu i dobył wielki bochen chleba.

Match przełknął ślinę, tym razem głośno. Doczekał się rozbawionego spojrzenia dziewczyny, rzuconego spod oka, życzliwego uśmiechu pulchnej gospodyni i niechętnego psiego warknięcia. Pies widział w nim najwyraźniej konkurenta do wylizywania kociołka.

– Łap!

Match ledwie zdążył zrzucić z kolan miecz i chwycić w powietrzu ciśnięty przez dziewczynę nóż. Nóż leciał wysokim łukiem, łatwo było chwycić za rękojeść, nie rozcinając przy okazji palców. Jednak Match był zaskoczony. Zupełnie nie spostrzegł, kiedy rzuciła, w jednej chwili widział ją pochyloną nad kociołkiem, w drugiej – już błysk lecącego ostrza.

– No, no... – W cichym mruknięciu dziewczyny wyczuł uznanie.

– Nie wygłupiaj się, Fabienne – karcąco zaburczała kobieta. – Krzywdę możesz człowiekowi zrobić, ciemno tu, nie jesteś przecież na targu.

Dziewczyna prychnęła lekceważąco, podrzuciła głowę, aż długie włosy rozsypały się na plecach.

Match obrócił w palcach nóż z kościaną rękojeścią. Nie przyglądał się wcześniej dziewczynie, trudno podziwiać urodę kogoś, kto właśnie celuje w ciebie z kuszy, zwłaszcza zważywszy, w co konkretnie celuje, a pewnie trzymana kusza świadczy o tym, że zazwyczaj nie chybia.

Teraz, widząc w świetle ogniska jej profil, Match aż westchnął.

Fabienne, piękne imię, pomyślał. Piękna jak elf. Brzmiało to trywialnie, jednak było prawdą.

– Na co czekasz? – W szorstkim głosie drgało rozbawienie.

Match ocknął się. Mężczyzna podał mu niezgrabną miszkę, pracowicie wydłubaną z topolowego klocka, z wielką pajdą chleba w środku.

– Najpierw zjedz – mruknął pobłażliwie. – Popatrzysz sobie za dnia.

– Jak mu pozwolę! – Fabienne parsknęła jak rozgniewana kotka, ale wesołe błyski w oczach przeczyły szorstkiemu tonowi.

Match, wbrew sobie, spuścił wzrok.

Gdy łyżka zgrzytnęła o dno kociołka, z trudem powstrzymał zadowolone, syte beknięcie. Wytarł do czysta miseczkę pozostałą skórką.

Pies warknął.

– Będiesz ty cicho! – syknęła kobieta. – Przecie widzisz, że swój!

– Swój – potwierdził nieoczekiwanie mężczyzna, spoglądając uważnie na Matcha. Wytarł usta wierzchem dłoni, czknął, nie krępując się wcale. – Nie spytasz, dlaczego?

Match pokręcił głową. Po posiłku zaczynały mu się kleić powieki.

– Nie poprosiłeś, nie dziękujesz. – Mężczyzna pokiwał głową. – Wiesz, że na szlaku jadła odmówić... A i dziękować nie ma za co, zwykła rzecz. Znaczy, żeś swój.

Pies nie przyjął wyjaśnień do wiadomości, warknął znów. Fabienne popatrzyła z ukosa. Bez uśmiechu.

– Jedź z nami – zaproponował mężczyzna. – Miejsce na wozie jest, pomieścisz się, w dwa dni w mieście staniemy. Sam widzisz, że konia dać nie możemy. A nawet gdybyśmy mogli, to i tak nie masz czym zapłacić, miecza przecie nie oddasz. – Popatrzył, jak Match machinalnie gładzi pochwę, utrzymaną z przyzwyczajenia na kolanach. – Rozmowny nie jesteś – stwierdził mężczyzna.

– Daj, stary, spokój – burknęła kobiecina. – Człek widno zdrożony, przemarzył, grzbietu nawet okryć czym nie miał.

– Cichaj, babo, nie na babski to rozum – ofuknął ją mężczyzna bez specjalnego zniecierpliwienia, jednak miał najwidoczniej posłuch, bo kobiecina zamilkła natychmiast. Tylko naburmuszona twarz, zacięte wargi świadczyły, że uwagi męża są jej nie w smak.

Match nie odezwał się, skubał cekiny, którymi naszywana była skórzana kurtka.

– Nie podoba się przyodziewek? – zauważył mężczyzna kpiąco. – Innego nie było.

– Wyglądam jak kuglarz – mruknął Match i ugryzł się w język. Nie zabrzmiało to najlepiej, zwłaszcza w ustach kogoś, kto wyszedł nagi z lasu i zażądał przyodziewku.

– Nie w smak ci? – wykrzywił się mężczyzna, niezbyt jak widać urażony. – Trudno. Wlazłeś między wrony...

Łańcuch za wozem zabrzączał głośniej, po odgłosach można było sądzić, że jakieś zwierzę czochnęło się o burtę wozu, który zaskrzypiał, zakołysał się. Duża ta koza, pomyślał Match.

Na rozkazujące spojrzenie mężczyzny Fabienne wstała, ruszyła za wóz.

– Spuść na chwilę – rzucił za nią mężczyzna i nie wiedzieć czemu uśmiechnął się złośliwie. – Wlazłeś między wrony – powtórzył, patrząc

Matchowi prosto w oczy. – Ot, kuglarz między kuglarzami. Nie w smak, ty pewnie wojak srogi? Nie spytam, czego goły po lesie się włóczysz, sam powiedzieć nie chcesz, to nie.

Match spojrzął na gładko wygoloną, pokrytą siecią zmarszczek twarz mężczyzny, długie, siwe włosy. Stary jest, pomyślał, dobrze się trzyma, ale jest stary.

– Powiedziałbym wam... – urwał.

Oczy starego zwęziły się.

– Powiedziałbym – podjął Match. – Powiedziałbym, ale... Nie uwierzycie. Długo by opowiadać.

– Wam? – zabrzmiało to ironicznie. – Nam wszystkim? Czy tylko mnie tak traktujesz z waszecia? Niepotrzebnie, prosty człek ze mnie, kuglarz zwykły. Nie tak, żabciu?

Nazwana żabcią kobiecina skrzywiła się z dezaprobatą.

– Długo by opowiadać? – Mężczyzna przykucnął w niewygodnej pozie. – Mamy czas, do rana daleko. A nocą przez las jechać, sam wiesz, niebezpiecznie. Można gardło dać, zelgnąć w bagnie, czy w innym oparzelisku, albo i przyodziewek stracić. – Uśmiechnął się, demonstrując zdrowe jak na swój wiek zęby.

Sytuacja poczynała Matcha złościć. Widział, że stary chce go sprowokować, a co dziwniejsze, nie obawia się wcale nieznanego z mieczem. Nie robi na nim wrażenia jego wygląd obcego, blizny, profesja zabijaki wypisana na twarzy. Chce sprowokować, tylko nie wiadomo po co.

Dziewczyna, pomyślał Match, pewnie znowu stoi gdzieś z boku z napiętą kuszą. Wbrew sobie rozluźnił się. Nie przepadał za takimi sytuacjami, ale nie widział bezpośredniego zagrożenia – niewielki sens człeka odziać, nakarmić, a potem zastrzelić.

– To w takim razie ja zacznę. Jak się mogłeś domyślić z tego przyodziewku, który masz na grzbiecie, jesteśmy kuglarzami. Niezbyt godna profesja, ale ktoś to musi robić, prawda? Tak więc wypadło, że my. Moja stara, żabcia kochana, co kuplety ucieszne śpiewa... – Gdzieś z boku zabręczał łańcuch, pies zatrzepał kosmatymi uszami. – Ja, nie uwierzysz, łańcuchy żelazne przegryzam i gwoździe w palcach skręcam, ot tak. –

Pomiędzy palcami starego pojawił się jak wyczarowany czterocalowy żelazny, srodze zardzewiały gwóźdź. Stary owinął go wokół serdecznego palca, nie zmieniając przy tym wyrazu twarzy.

Match dostrzegł tylko, jak nabrzmiewają żyły na jego skroniach.

– Fabienne!

Coś parsknęło tuż pod boki Matcha, który wpatrzył się w potworne, skręcone teraz w pierścień gwoździsko. Nie zdążył się odwrócić, gdy owiał go gorący, niewypowiedzianie cuchnący oddech, a nad uchem usłyszał pomruk i pomlaskiwanie.

Długi, zwinięty w trąbkę język dotknął jego policzka. Match szarpnął się, znieruchomiał jednak. Gwałtowne ruchy nie były najlepszym rozwiązaniem, o czym świadczył gniewny pomruk. Straszliwy fetor powodował łzawienie z oczu.

– Fabienne... – dobiegł go spokojny wciąż głos starego. – Nie, o Fabienne będzie później. Teraz, przyjacielu, poznaj Stana. No, popatrz, nie bój się, Stanowi będzie przykro. Nie bój się, Fabienne trzyma.

Match wolno obrócił głowę, starając się unikać ruchliwego, liżącego po twarzy jęzora. Z bliska zobaczył poźółkłe, połamane zęby, oczy zaszcze bielmem, kołyszącą się głowę. Niedźwiedź był stary. Stary, słaby i cuchnący.

– Strasznie śmierdzi. – Mężczyzna uśmiechnął się, widząc grymas na twarzy Matcha. – I do niczego się już nie nadaje, słabo widzi. Po prawdzie, ślepy jest jak kret. Sztuczek już nie robi, piwo by ino chlał. Tańczyć nie chce. – W głosie starego zabrzmiała nutka nostalgii. – Od małego razem się wychowujemy, obu nam do ziemi blisko. Starość, psia nędza. Ino kłopot z nim. W karczmie stanąć nie można. Nie uwierzysz, ślepy, a psa jednym machnięciem łapy przetrącić potrafi. Ale my od małego razem...

Fabienne pociągnęła łagodnie naprężony łańcuch. Niedźwiedź nie zaprotestował, spróbował tylko jeszcze raz liznąć Matcha po twarzy.

– Musi dobry z was człek – zdziwił się kuglarz obłudnie. – Od razu do lizania się zabrał, zamiast pazurami czuprynę potargać. Zdarzało się i tak, ni z tego, ni z owego, tańczy sobie, łakocie łapie, a jak kto bliżej podejdzie... Raz tośmy ledwo z życiem uszli, bo kogoś znaczniejszego po łbie przeczesał. Już się w tym hrabstwie nie pokazujemy.

Miś zaparł się, kołysał łbem. Fabienne szarpnęła łańcuch.

– Ruszaj – rzuciła niecierpliwie. – Trza cię było na sadło sprzedać, kiedy ów zacny człek chciał. Sadło dobre, na wszelkie rany i stłuczenia, a tak ino smród.

Skrzywiła się. Match dyskretnie otarł zaśliniony policzek, ciesząc się, że znów może odetchnąć względnie czystym powietrzem. Względnie, gdyż smród niedźwiedzia miał wyjątkowo duży zasięg.

– Bacz, dziewczko, cobym ciebie nie sprzedał! – krzyknął stary gniewnie. – Nawet nie pytaj, na co!

Twarz dziewczyny skurczyła się, wydawało się, że bluzgnie złym słowem. Jednak wargi zadrgały jej tylko, odwróciła się, ciągnąc opierającego się niedźwiedzia. Stary stropił się.

– A żeby cię! – dobiegło znad ogniska. Kobięcina splunęła, ślina błysnęła w świetle węgla, z sykiem padła w żar. – A żeby cię, dziadu głupi!

Mężczyzna wstał z opuszczonymi bezradnie ramionami. Chciał ruszyć za dziewczyną, ale zatrzymał się w pół kroku.

– Fabienne tańczy z tamburynem? – spytał Match. Nie rozumiał, co się stało, chciał jednak rozładować zgęstniałą nagle atmosferę.

Stary wykonał dłońmi niezdecydowany, zakłopotany gest. Kobieta zwana żabcią jeszcze raz spiorunowała go wzrokiem, kręcąc głową z dezaprobatą.

Co mnie to wszystko?... – zdążył pomyśleć Match, gdy coś świsnęło w powietrzu, z głuchym stukiem wcięło się w pień. Tak blisko, że poczuł na policzku powiew. Całe szczęście nie szarpnął się w bok, bo stuk powtórzył się, tym razem z drugiej strony. Prysnęły odłamki kory. Popatrzył ostrożnie na nóż, wbity głęboko o cal od policzka i jeszcze drgający. Podniósł dłoń, by wyciągnąć nóż.

Świsnęło znowu. Match znieruchomiał z palcami obejmującymi drewnianą rękojeść. Nie mógł już poruszyć tą ręką, przybitą do pnia przez szeroki na szczęście rękaw skórzanej kurtki.

– To robi Fabienne! – W jej głosie była wściekłość.

Match postąpił rozsądnie. Przymknął oczy.

Kolejne świsty i stuki. Nie liczył, ile. Poczuł ostry ból, gdy po którymś stuknięciu zapiekła go skóra na żebrach. Ostatnie uderzenie było głuche,

na dole, gdy nóż zamiast w pień trafił w ziemię.

– To robi Fabienne! – Jej głos załamał się.

– Oszalałaś, dziewczyno? – krzyknął stary.

Match uchylił ostrożnie powieki. Popatrzył w dół i zaraz je zamknął. Pomiedzy nogami sterczała mu obscenicznie drewniana rękojeść. Poczował gorąco. Po ciemku, z takiej odległości, pomyślał, a na dodatek czasem trafia niedokładnie, o czym świadczyła spływająca po boku ciepła strużka.

– Fabienne, córeczko! – Głos pulchnej kobiety załamał się.

– Nie jestem twoją córką! Nie jestem...

Match uwolnił rękę, rozrywając bez skrupułów rękaw darowanej kurtki. I tak mu się nie podobała przez te cekiny.

Dziewczyna stała z opuszczonymi ramionami.

– To robi Fabienne! Nie tańczy z tamburynem – mówiła cicho, głosem drgającym złością. – Ten śmierdziel na łańcuchu też nigdy nie umiał tańczyć, nie znał żadnych sztuczek, potrafił najwyżej zadusić psa albo narznąć kupę. Śmierdzi tylko tak, że baranom rogi się prostują. Stary, owszem, zgina gwoździe i sztaby, kiedy jest trzeźwy. Co robi, kiedy nie jest, nawet nie pytaj. A Bethie, ta mała, wiesz... Bethie odcina sakiewki w tłumie. Trafiłeś między swoich, z tym twoim mieczem i paskudną gębą, i profesją wypisaną na twarzy. Co, nie powiodło się tym razem, tym razem to ciebie obłupili?

Match popatrzył w ziemię, na sterczący spomiędzy nóg trzonek.

– Rzygać się chce – rzekła Fabienne. – Gościna na szlaku, tfu! Wiesz, dlaczego żyjesz? Wiesz?

Podeszła bliżej, przysiadła przed Matchem, po kobiecemu, na zgiętych nogach.

– Wiesz dlaczego? – spytała ciszej, zmuszając go do popatrzenia sobie prosto w twarz. – Boś przyszedł goły, nie było ci czego zabrać. Inaczej byś leżał w krzakach z poderżniętym gardłem. Albo i nie, staremu to niepotrzebne, złamałby ci kark jak kurczakowi. Albo sama wsadziłabym ci bełt w bebechy.

Na wozie coś zaszeleściło, uniosła się płachta. Wyjrzała spod niej zaspana buzia Bethie.

- Co się stało? - spytała dziewczynka, wodząc nieprzytomnym wzrokiem.

Match widział, jak ściągnięte, ale wciąż piękne rysy Fabienne rozluźniają się, wargi zaczynają drgać, a wielkie, zielone, jak spostrzegł dopiero teraz, oczy szklą się od łez. Pod jego spojrzeniem dziewczyna wstała bez słowa, podeszła do wozu, objęła małą za szyję.

Szrama na żebrach była płytka, Fabienne chybiła niewiele. Match ocierał krew czystym gałgankiem, wydobytym skądś przez pulchną kobiecinę. Ta, zwana "żabcią", oglądała tymczasem rozciętą połę kurtki, starannie unikając wzroku Matcha. Stary kuglarz gdzieś zniknął. Nie ma czym opatrzeć, będzie się paskudzić, pomyślał z niechęcią. Dobrze, że tak płytka. Wyciągnął bez słowa rękę po kurtkę, zaczynał marznąć.

- Wybaczcie - usłyszał cichy głos.

Pokręcił głową, walcząc ze sztywną skórą. Bolały go poobijane mięśnie, piekły zadrapania, te od przedzierania się przez krzaki i to, które zafundowała mu Fabienne. Marzył tylko o jednym, żeby dostać jakąś burkę i lec przy żarzących się węglach ogniska, spać do poranka, a potem ruszyć.

Nie obawiał się, że poderzną mu gardło. Przecież nic nie miał.

- Wybaczcie, proszę, to nie tak... - powtórzyła kobieta.

- Nie moja sprawa - rzucił szorstko. Zbyt szorstko, jak zrozumiał poniewczasie, widząc bezradnie opuszczoną głowę kobiety. - Nic mi do was - usiłował niezręcznie naprawić sytuację. - Ruszę rano. Pilno mi do miasta. Nie... - urwał, nie wiedząc jak zwrócić się do tej, starszej już, kobiety. Mimo że należała do złodziejskiej zapewne kompanii, jej twarz budziła zaufanie. - To nic, to tylko zadrapanie.

Całą siłą woli odegnał wspomnienie grubej młynarzowej, przybranej matki, wspomnienie mgliste i zatarte prawie. Pochylona nad nim, grubo ciosana, chłopska twarz, dotyk szorstkiej ręki. Dłoń ociera krew z czoła. To nic, synku, to głupie łobuzy... Zacisnął powieki.

Potrząsnął głową, odpędzając mętne, niewyraźne obrazy z tych dni,

które mało pamięta. Dziwne, pamięta tylko kamienie, ciskane przez rówieśników, rzemień przybranego ojca. Wyzwiska i drwiny.

– Co wam, panie?

Match otworzył oczy, rozluźnił zaciśnięte pięści.

– Nic – mruknął. – Nic takiego. Nie macie jakiej burki, matko?

Już wiedział, jak się zwracać. Kobieta uśmiechnęła się.

– Prześpię się, ruszę świtem – dodał. – Do ognia podrzucę, wy idźcie na wóz.

– Mam. – Kobieta skinęła głową. – Nie burkę, coś lepszego...

Wstała, wgramoliła się na wóz. Match został przy ognisku, słysząc, jak mrukliwie strofuje kogoś, zapewne małżonka. Płachta uniosła się, na ziemię spadł wielki kłęb, chyba skór. Za nim z wozu zeskoczyła Fabienne. Match spojrzał uważniej. Bez sięgającego do ziemi burego samodzielnego płaszcza, w obcisłym kaftanie była nie tylko piękna. Była też zgrabna.

Kopniakiem potoczyła tobół w stronę Matcha.

– Masz! Coś lepszego niż derka, niedźwiedzie skóry.

Odwróciła się.

– Fabienne! – zawołał Match za nią.

– Czego? – Już chwyciła burtę wozu, jedną nogą stanęła na osi, na jego głos zamarła jednak, odwróciła się powoli.

Milczał chwilę, podziwiając wdzięcznie przegiętą sylwetkę dziewczyny. Fabienne po chwili spostrzegła, na co Match patrzy. Postawiła z powrotem nogę na ziemi.

– Czego, pytam grzecznie? – syknęła.

Match uśmiechnął się.

– Dziękuję! – powiedział pogodnie.

Jej twarz ściągnęła się znów złością. Podeszła bliżej, stanęła nad Matchem, usiłującym rozsuptać rzemień, którymi obwiązane były skóry.

– Posłuchaj – szepnęła. – Zawiń się w skóry, śpij. Rano ruszaj, najlepiej przed świtem. I żeby nie przyszło ci do głowy zabrać coś na

pamiętkę, miś może i ślepy, ale słyszy dobrze. – Jakby na potwierdzenie jej słów zza wozu dobiegł brzęk łańcucha. – Zabieraj się rano, żebym cię nie widziała!

– Fabienne... – Chciał powiedzieć, że nie wie, o co chodzi. I co więcej, zupełnie o to nie dba, odejdzie sam, bez ponaglania. Chciał powiedzieć. Nie zdążył. Znów nie spostrzegł ruchu.

Ostrze chlasnęło o cal od jego palców, przecięło oporny węzeł. Fabienne uśmiechnęła się złym uśmiechem.

– Tak prościej.

Match usiadł, przetarł zapuchnięte od snu powieki. Wszystko go bolało, mięśnie i kości, nie wiedział, czy od przedzierania się przez las, od snu na twardej ziemi, czy może po niewiarygodnej podróży przez świetlisty tunel. Potrzęsął głową i zaraz się skrzywił, tak potężnie łupnęło mu w skroniach.

– Za stary jestem. – Przeciągnął się, aż zatrzeszczało w stawach.

Był już późny, mglisty poranek. Ognisko dymiło, osmalając wiszący nad nim kociołek. Obok wozu, krytego płachtą na drewnianych kabłąkach nie widział nikogo. Nie słyszał nawet brzęku łańcucha, widać niedźwiedź spał, skryty za wozem.

Odrzucił derkę, podniósł się szybko, a raczej chciał podnieść. W kolanie trzasnęło, zakłuło nagłym bólem, aż opadł, klnąc na głos.

– Rzeczywiście, za stary jesteście! – Z tyłu dobiegł go dziewczęcy śmiech.

Nie słyszał, jak podchodziła. Może zresztą stała już dawno, pomyślał.

Tym razem zdołał się podnieść, bez bólu, tylko z lekkim stęknieniem. Odwrócił się.

Była naprawdę piękna, teraz, w świetle poranka mógł to docenić. Ubrana w obcisły kubrak, skórzane, też dopasowane spodnie. Związane w koński ogon długie, jasne włosy opadały na ramię.

Jej oczy zwęziły się, kiedy spostrzegła, że wzrok Matcha prześlizgnął się po niej od stop do głów, zatrzymując w co ciekawszych miejscach.

Wydęła wargi.

– Co się tak gapisz? – prychnęła. – Głuchyś chyba jak pień, śpisz jak zabity, łatwo możesz się obudzić z poderżniętym gardłem. Tu jest puszcza, człowieku, pamiętaj o tym.

– Wyobraź sobie, że wiem – odparł z uśmiechem. Przestał już się złościć, intrygowała go ta dziewczyna. Bezcelnie popatrzył na rozpięty pod szyją kubrak, opuścił wzrok niżej.

– Patrzcie go! – Fabienne wykonała ruch, jakby chciała sięgnąć, zebrać odzienie pod szyją. Jednak nie zrobiła tego. – Patrzcie go – powtórzyła. – Jak to się gapi. Popatrz sobie, tylko uważaj, od oskomy zęby się psują.. – Widząc, że nie przestaje się uśmiechać, zgarnęła poły kubraka. – Dość – rzuciła zimno. – Zbieraj się, pora na ciebie. Nie wiem, dlaczego, ale czegoś mi się nie podobasz, lepiej, żebyś się wyniósł. Konia nie masz, to im wcześniej wyruszysz, tym szybciej dojdiesz, dokądkolwiek chcesz.

Odwróciła się. Gdy odchodziła, Match podziwiał tym razem kształtne pośladki w opiętych skórzanych spodniach.

– Dzięki za nocleg – rzucił za nią.

Nie odpowiedziała.

Wrócił do swego posłania, zwinął starannie derkę i skóry. Ma rację, pomyślał, trzeba ruszać co prędzej, nie ma na co czekać. Nie zamierzał jednak wymykać się jak złodziej. Chciał chociaż podziękować za odzienie, za strawę. Po prostu podziękować, bo zapłacić i tak nie miał czym. I wbrew słowom dziewczyny przypuszczał, że wczoraj kuglarz mówił szczerze, raczej nie zarznąłby nieznanomego, który przyszedł do jego obozu.

Pies znów zaczął plątać się wkoło, chwytając zębami za spodnie, jak mały szczeniak. Co mu się stało, pomyślał Match niechętnie, wczoraj o mało mnie nie zagryzł. Odbiło zwierzakowi.

Kundel istotnie zachowywał się tak, jakby zaszła jakaś cudowna przemiana w stanie jego uczuć do Matcha. Podskakiwał radośnie, w końcu przyniósł spory patyk, położył mu u stóp i popatrzył wyczekująco.

– No i co? – spytał Match. – Teraz to się bawimy? Spadaj.

Wyminął psa, odwijając jednocześnie pas z pochwy miecza. Pies

chwycił za zwisający koniec.

– Żeby cię! – zaklął Match pod nosem. – Już dobrze, widzę, że się nie odczepisz.

Podniósł ośliniony patyk, rzucił. Pies pognał za nim z radosnym ujadaniem. Match skrzywił się. Tego nie przewidział.

Reszta potoczyła się zgodnie z obawami. Za wozem zabręczał łańcuch, niedźwiedź zasapał, buda zakołysała się, jakby zwierz szarpał łańcuch, albo czochrał się o koło. Płachta uniosła się, wyrzała spod niej rozczochrana główka Bethie. Dziewczynka przecierała oczy ze śmiesznie otwartą buzią.

Tyle z mojego niepostrzeżonego odejścia, pomyślał Match. Powstrzymał się, by nie kopnąć kundla, który tymczasem zdążył przynieść patyk.

Pierwszy z wozu zeskoczył potężny kuglarz. Ziewał rozdzierająco. Był półnagi, długie siwe włosy opadały mu na plecy i barki, zasłaniając tatuaże na ramionach. Z tego, co mógł dostrzec Match, dość nieprzyzwoite.

– Cicho, Stan – rzucił kuglarz w stronę pomrukującego niecierpliwie niedźwiedzia. – Cicho, micha będzie później.

Podszedł do Matcha, uśmiechnął się. Ten odwzajemnił uśmiech, zaskoczony.

– Widzę, że nic nie zeżarło cię w nocy – powiedział stary.

– Ano, nic – odparł Match, wpatrując się w potężnie umięśnioną klatkę i brzuch mężczyzny. Na piersiach nie było wiele tatuaży, tylko ogon węża, zaczynający się wysoko, w połowie mostka, schodzący fantazyjnymi zygzakami w dół. Dalej wąż ginął w spodniach.

Kuglarz złowił jego spojrzenie.

– No to już wiesz, co pokazuję – mruknął. – Zazwyczaj za namiotem. Nie uwierzysz, mieszczki po parę pensów potrafią dać.

Match nie widział powodu, by nie wierzyć.

– Dlatego nazywają mnie Snake – dodał kuglarz. – I muszę powiedzieć, że wolę to imię od tego, które na chrzcie mi dano.

– Jakie? – spytał Match obojętnie. Nie, żeby go to interesowało, ale nie

chciał być nieuprzejmy.

– Lepiej nie pytaj. – Snake roześmiał się dość ponuro. – Nawet żabcia go nie zna. I nie pozna, póki żyję.

Match pokręcił głową. Nie miał już zamiaru pytać.

Niedźwiedź za wozem kręcił się coraz bardziej, łańcuch podzwaniał. Stary skrzywił się.

– Widzisz go? Jaki wkurzony? Tańczyć nie chce, ale do michy mu spieszo. Gotować trzeba, jagły z mięsem, bo już zęby nie te, świeżego nie daje rady. Dobrze, że lasami ciągniemy zwykle, jelonek się zawsze jakiś trafi. Chodź, zobaczysz.

O dziwo, niedźwiedź z rana cuchnął jakby mniej. Może dlatego, że nie ział mu prosto w twarz, ani nie próbował polizać. Na widok kuglarza wspiął się na tylne łapy, począł kołysać łbem z boku na bok. Match spostrzegł, że nie jest całkiem ślepy, jak mu się wczoraj wydawało. Lewe oko zaszło bielmem, ale prawe, przekrwione wprawdzie, spoglądało bystro i złośliwie. Zwierz począł przestępować z łapy na łapę, obracać się w miejscu. Snake roześmiał się.

– No popatrz tylko! – Wskazał na tańczącego niezdarnie niedźwiedzia. – Wie, że nic za darmo. Tylko by żarł i żarł...

Miś opadł na cztery łapy, widać zrozumiał znajome słowo. Kołysał ciężkim łbem na lewo i prawo, z pyska wysunął się długi, sinoczerwony jęzor. Kuglarz podszedł do niego, wplótł palce w długą sierść, przeczesał ją pieszczotliwie. Niedźwiedź zamruczał. Match spostrzegł, jak zmienia się twarz Snake'a, wygładzają twarde rysy. Odwrócił wzrok.

Stary dostrzegł jego zmieszanie.

– Zawsze był ze mną, odkąd pamiętam – powiedział miękko. – Zawsze.

Jeszcze raz potargał zmierzwioną sierść. Poklepał pieszczotliwie po głowie.

– Można się przyzwyczaić nawet do takiego leniwego śmierdziela. Eh, roztkliwiam się, a on by tylko żarł!

– Żarł! – charknął niedźwiedź.

Zabrzmiało to prawie po ludzku, tak wyraźnie, że Match się roześmiał. Snake zawtórował mu na całe gardło.

– Chodź. – Pociągnął go za rękaw. – Dam staremu śmierdzielowi jego miche, niech się cieszy. Zapracował sobie na nią.

Ruszyli w stronę wygasłego prawie ogniska, z osmolonym kociołkiem zawieszonym nad węglami.

– Zawsze tak jest – zagderał kuglarz. – Wstaje rano, latawica jedna, a nie dopilnuje, znów się pewnie jagły nie dogotowały. A nie uwierzysz, jaki on wybredny potrafi być, i złośliwy. Pacnie łapą w miskę, wywali, jak mu tylko nie w smak. – Zamieszał w kociołku drewnianą kopyścią. – No, tym razem miała szczęście – mruknął.

Obejrzał się.

– A ty nie stój tak – powiedział. – Nakarmię bydlaka, nic tu teraz po tobie, rękę potrafi odgryźć, jak głodny. Weź cebrzyk, wody ze strumienia przynieś.

Match niezdecydowany przestąpił z nogi na nogę.

– No co jest? – skrzywił się Snake. – Może powiesz, że babska robota?

– Nie o to chodzi. Widzisz, dziękuję ci bardzo za wszystko. Ale muszę już ruszać.

Kuglarz wyprostował się, chwilę spoglądał uważnie.

– Cóż, nie zatrzymuję – odrzekł wreszcie. – Skoro chcesz.

– Muszę, Snake – przerwał mu Match.

Stary pokręcił głową.

– Wiem, że musisz. Powiem ci tylko, że to bez sensu, pewnie pierwsi staniemy w mieście. Nie masz konia i raczej go po drodze nie znajdziesz, a nie wyglądasz mimo wszystko na takiego, który ściągnie z wierzchowca pierwszego napotkanego jeźdźca. A i powiem ci jeszcze jedno – łatwiej ci będzie do miasta z nami wjechać, Match.

– Nie... – zaczął Match, zanim dotarło do niego, jak nazwał go Snake. – Zaraz!

– No i sam widzisz – roześmiał się kuglarz. – Skoro ja cię poznałem, to i inni mogą. A chyba ci na tym za bardzo nie zależy, zgaduję.

Match zmarszczył brwi. Twarz Snake'a nie wydawała mu się znajoma.

– Nie wysilaj się, nie znasz mnie. – Oczy kuglarza zwęziły się

złośliwie. – Cóż, nie byłem wtedy jeszcze sławny, nawet nie miałem czego pokazywać, no wiesz, mieszczkom. Stare dzieje, Match. Ale ty się wiele nie zmieniłeś.

Popatrzył mu prosto w twarz.

– Ot, blizn przybyło. Ale wciąż masz taką otwartą gębę, co to nic nie ukryje. Jak wtedy, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem. – Machnął ręką.

Match był zły, zupełnie nie potrafił skojarzyć, skąd ów człowiek mógł go znać.

– Nie wysilaj się – powtórzył Snake. – Nie mogłeś znać wszystkich, którzy się z tobą po lesie kręcili. Przysłałem do was późno, pod sam koniec.

– Nie byłeś wtedy siwy – powiedział wolno Match. – Byłeś...

Snake spowaźniał.

– Tak – odparł. – Byłem jednym z tych, których zgarnąłeś z gościńca, że się tak wyrażę. Tych głupich, co to myśleli, że prowadzisz całkiem porządny zbójecki interes, a nie prywatną wojnę. Jak widzisz, uniknąłem stryczka. I nawet wyszedłem na ludzi.

Match pokręcił głową.

– Snake...

– Nie, Match – przerwał mu kuglarz. – Nie w tym rzecz. Chociaż przyznam, zastanawiałem się czasem, czy cię jednak nie zabić, kiedyś już do szeryfa przysłał. Nie godzi się, myślałem, zbójecki honor plamić. Zabiłbym zresztą, gdyby trafiła się okazja.

– To dlaczego nie zrobiłeś tego teraz? – spytał Match, spoglądając mu prosto w oczy.

– Bo lata minęły, Match – odrzekł twardo Snake. – I wiesz, jestem kuglarzem, jeżdżę tu i tam, słucham, co ludzie gadają. To ja byłem zbrojcem, ty nie byłeś nim nigdy. I nie będziesz, jesteś szlachetny aż do obrzydliwości, a flaki wypruwasz tylko w słusznej sprawie, nieprawdaż? – Zachichotał. – Owszem, wiele złego też można usłyszeć. O Wieprzu krwawym, kacie męża i niewiasty, jak to zazwyczaj ludzie prawią. Może nawet więcej złego. Ale trzeba ci wiedzieć... – Zaśmiał się głośno. – Niedawno jechaliśmy z takim jednym, minstrelem, panie świeć nad jego duszą, ubili go w karczmie. Jedni mówią, że za fałszowanie, inni, że

oszukiwał przy grze w kości. Nieważne zresztą, dostał, na co zasłużył, w obu wypadkach. On ci to balladę ułożył, o przeznaczeniu, miłości wielkiej i smoku straszliwym.

– Odwał się, Snake! – Match był coraz bardziej wzburzony.

Kuglarz z trudem utrzymywał resztki powagi.

– Powiem ci, panny, jak słuchały, to kraśniały na licach i aż kolanem o kolano pocierały. Zwłaszcza jak o tej miłości śpiewał.

– Odwał się – powtórzył Match z pasją.

– W porządku – uśmiechnął się kuglarz. – Dodam tylko jeszcze, dla ułatwienia, że o tobie to było, rycerzu prawym, w puszczy dzikiej żyjącym, w ostępach.

Match milczał. Po chwili Snake spoważniał.

– No dobrze, pożartowaliśmy sobie. A teraz powiem ci zupełnie serio – zginiesz. Całkiem po prostu, i bez pożytku. – Ze złością wetknął kopyść do kociołka. – Wiem, co chcesz zrobić. I powiem ci, zgłupiałeś na starość.

Zamiast unieść się gniewem jeszcze bardziej, Match tylko pokiwał głową.

– Co ty, kurwa, wiesz, Snake.

Rysy kuglarza stwardniały.

– Więcej od ciebie, głupcze – odparł zimno. – Nie wiem, gdzie byłeś, czy cię faktycznie czeluść mroczna pochłonęła, jako to ludzie bajają. Jeśli tak, to widno wypłuła z powrotem, tylko odzienie zeżarła. Ale gównu wiesz, przyjacielu.

Match chwycił go za ramię, chciał przyciągnąć do siebie. Kuglarz ani drgnął, Match poczuł pod palcami twarde jak kamień mięśnie.

– To może mi powiedz.

Snake uśmiechnął się.

– Widzisz, już lepiej – rzekł kpiąco. – Zaczynasz myśleć, może nie polecisz jak ten głupi, na pewną śmierć.

– Co ty wiesz? – wyrwało się znów Matchowi.

– Wiem sporo. Ale to długa historia. Więc weź cebrzyk, i przynieś wreszcie wody, bo się jagły przypała. Potem porozmawiamy.

Wydawało się, że strumyk jest bliżej. W każdym razie jeszcze wczorajszej nocy Match przysięgłby, że ledwo się wygrzebał na urwisty, podmyty brzeg, i już za chwilę trafił na polankę z obozem. Wreszcie ścieżka skręciła nieco, musiał się schylić pod konarami rozłożystego dębu. Teren opadał, już dochodził bełkot wody, rozbijającej się o kamienie.

I coś jeszcze. Cichy śpiew.

Nie wiedzieć czemu zwolnił i począł iść ciszej, starając się nie nastąpić na żadną suchą gałązkę ani nie poślizgnąć na zbutwiałych liściach.

Ostrożnie odgarnął kolczaste gałązki jałowca na szczycie skarpy, nad wąwozem wyżłobionym przez strumień. Spojrzał w dół.

Fabienne nuciła cicho, wyzymając oburącz długie jasne włosy.

W pierwszej chwili chciał się cofnąć. Wtedy odrzuciła głowę, mokre włosy rozsypały się na nagich plecach. Rozsunął szerzej gałęzie, zasłaniające nieco widok. I zaklął na cały głos, kiedy pod butem urwała się darń na szczycie skarpy. Próbował jeszcze chwycić gałązkę, nie zdążył. Zjechał na tyłku na samo dno wąwozu, prawie pod jej nogi. Udało mu się nie wypuścić z ręki cebrzyka.

Odwróciła się gwałtownie.

– Wiedziałam! – wrzasnęła.

Nie zakryła się wstydliwie, jak wiejskie dziewczuchy przyłapane w kąpielu. Wzięła się pod boki, dając Matchowi okazję do podziwiania kształtnych piersi ze sterczącymi z zimna sutkami, pokrytych błyszczącymi kropelkami. Skorzystał z okazji, były dokładnie takie, jak sobie wczoraj wyobrażał.

– Wiedziałam – powtórzyła Fabienne. – Od razu, jak cię zobaczyłam. Tyś tu nie na polowanie przyjechał, przyznaj się. Goły po lesie lata, mogłam się domyślać. Często tak robisz? No i na co się tak gapisz?

Match nagle poczuł ochotę, żeby się roześmiać. Jednak nie zaryzykował, choć nagle odeszło całe zażenowanie.

– A jak myślisz? – spytał bezczelnie, gapiąc się przez cały czas.

Zaśmiała się tylko. Uniosła ręce nad głowę, piersi zakołysały się.

– Napatrzyłeś się? – rzuciła zaczepnie, znów wzięwszy się pod boki. – To wystarczy, macania nie będzie. Wstawaj, wilka złapiesz, jak tak będziesz siedział.

Pochyliła się, wyciągnęła rękę. Po chwili wahania Match ujął jej dłoń, szorstką i ciepłą w dotyku. Gdzieś głęboko ponownie zakłuło wspomnienie innej dłoni, też ciepłej i szorstkiej. Twarz mu drgnęła. Fabienne to spostrzegła, w jej oczach coś błysnęło. Już nie tylko złość.

Była silna, pociągnęła mocno. Wstał od razu.

– Przepraszam. – Znowu poczuł się głupio, kiedy tak stał, wciąż trzymając jej rękę, drugą dłoń zaciskając na zardzewiałym kabłąku cebrzyka.

– Eh, zamknij się – powiedziała ze złością. Nagle przyciągnęła go do siebie, wsparła się piersiami o skórzaną kurtkę z naszytymi cekinami. – Posłuchaj. – Musiała spojrzeć w górę, był niższa prawie o pół głowy. – Nie wiem, kim jesteś. W porządku, przylazłeś tu przypadkiem, wiem. Gapiłeś się, trudno, gorzej, gdybyś się nie gapił, to dopiero byłoby podejrzone. Pewnie porządny z ciebie facet, masz to na gębie wypisane. Z tych biednych durniów, co to kobiety nie ukrzywdzą, a w jej obronie każdego pochlastają. Nie zaprzeczaj nawet! – parsknęła, widząc, że chce coś powiedzieć. – Uważam, żeś porządny, nie rzuciłeś się, nie próbowałeś obmacywać, jak zwykle bywa, kiedy baba cycków nie chowa. Porządny, powiadam, albo niegłupi, bobyś nożem po grdyce dostał.

Odsunęła się trochę, zanim zdążył się zorientować, podniosła jego rękę, położyła sobie na piersi.

– To masz w nagrodę. – Uśmiechnęła się złośliwie. – Więcej nie będzie. A teraz grzecznie wyniesiesz się, nieważne, co ci ten stary dureń nagadał. Wiem, że nagadał, bo inaczej by cię tu nie było, chciałeś się sam zbierać, prawda? Dlatego mówię, żeś porządny. Szkoda, że zajężdża od ciebie kłopotami, ciągniesz je za sobą, a jeszcze większe przed tobą niechybnie. A ja nie chcę kłopotów, wystarczy mi własnych.

Powoli wyswobodził dłoń, cofnął się. W jej oczach odczytał coś w rodzaju współczucia. Zasłoniła piersi skrzyżowanymi ramionami, jakby nagle się zawstydzila.

– Nie stój tak – powiedziała cicho. – Podaj mi ubranie.

Wzięła bez słowa podziękowania.

– Czuję kłopoty – dodała, wciągając kubrak. – Idź stąd, czym prędzej.

Nie odpowiedział. W jego spojrzeniu było zrozumienie.

Zakręciła głową, mokre włosy opadły na ramiona.

– I wiesz co? – dodała. – Czuję coś jeszcze. Jak już nabierzesz tej wody, to może się umyj. Snake nigdy nie był czyścioszkiem, a to jego łachy. Będziesz śmierdzieć jak ten cholerny niedźwiedź.

Gdy odeszła, Match schylił się, zaczerpnął wody.

– Zwariowała całkiem – mruknął na głos. – Myć się z rana...

Snake bez słowa przyjął pełny cebrzyk, dolał od razu wody do kociołka.

– Coś się tak grzebał? – spytał dopiero wtedy. – Prawie się przypaliło, psiakrew. A on nie lubi przypalonego. I bardzo się niecierpliwi.

Istotnie, zza wozu dochodziło nagłące porykiwanie.

Kuglarz spojrzał na Matcha.

– Fabienne? – domyślił się. – Nie przejmuj się nią. Zgaduję, kazała ci spierdalać? Czy może wyraziła się ogłędniej?

Zaklął ze złością, zdejmując kociołek z ognia. Niedźwiedź ryknął głośniej.

– Zamknij się, sierściuchu! – krzyknął Snake. – Poczekasz, aż ostygnie, gorącego nie zeżresz.

– Snake, słuchaj – zaczął Match. – Ona ma...

– Gównu ma, nie rację! – Kuglarz nie pozwolił mu dokończyć. Mówił coraz głośniej. – Co ona tam wie! A zresztą, nie zatrzymuję na siłę, idź, gdzie chcesz! Tylko co ci szkodzi poczekać? No pomyśl. Nie bój się, nie utnie ci jaj, jak pewnie zagroziła. Gdyby robiła to wszystkim, którym to obiecuje, to już dawno ludzkość by wyginęła.

Płachta na wozie podniosła się. Zaskrzypiały deski.

– Nie drzyj się tak! – rozległ się zaspany, lecz utyskliwy głos. – Skaranie z tobą, dzieciaka obudzisz!

Snake urwał momentalnie, aż Match uśmiechnął się mimo woli.

– Z czego się cieszysz? – mruknął. – Nie znasz żabci, to się nie śmieję. Zresztą, teraz już nigdzie nie pójdziesz.

Pulchna kobiecina uniosła do końca płachtę, poczęła gramolić się z wozu. Nie przerywała przy tym monologu.

– Utrapienie z tobą. Niedźwiedź głodny, a tu południe niedługo. Utrapienie tylko z tymi chłopami, utrapienie...

Kuglarz rzucił Matchowi złe spojrzenie, jakby obwiniął go o wszystko.

– Eh, cichaj, kobieto, do czego to podobne?

Jednak podniósł kociołek i począłapał za wóz. Po chwili dobiegło stamtąd radosne porykiwanie i mlaskanie.

– ...utrapienie jeno – powiedziała kobieta z rozpędu. – Ino by żarł i żarł. A ty co tak stoisz?

Match nie odpowiedział. Nie musiał zresztą.

– Utrapienie, powiadam, z tymi chłopami. Do południa się wylegują, a tu w drogę trzeba. Tyle roboty, ino na babskiej głowie wszystko. Fabienne, gdzie się kręcisz, niecnoto? – Rozejrzała się, zadreptała w miejscu. – No tak, tej też nie ma... Eh, wszystko na mojej głowie, niedźwiedzia nakarm, konie oporządź, jadła daj, a nikt nie pomoże.

Zza wozu, wśród pomlaskiwania i pomruków zadowolonego misia dobiegł podejrzany kaszel.

– A ty czego się śmiejesz? Leniu jeden?

Kaszel umilkł jak ucięty. Kobiecina spojrzała na Matcha.

– Widzisz go, utrapienie jeno. Jedyne, co potrafi, to podkowy wyginać i węża pokazywać, jak to chłop. Jak dziecko, powiadam, jak dziecko.

Zza wozu wyszedł Snake.

– A nie narzekaj, żabciu, nie narzekaj – odkrzyknął. – Samego sierściucha pokazywać, to byśmy głodem przymierali, kto takiego ciekaw. Nawet tańczyć nie chce.

Klepnął Matcha w ramię.

– Chodź, konie trza oporządzić, bo jędza żyć nam nie da, sam widzisz. Mrugnął porozumiewawczo, nie zwracając uwagi na oburzony jazgot.

Fabienne podeszła do ogniska. W milczeniu usiadła, opłótła rękami kolana, włosy zakrywały jej twarz. Po dłuższej chwili pulchna kobiecina objęła ją matczynym gestem. Fabienne drgnęła i zeszywniała, przez moment wydawało się, że się odsunie, że powie coś niemiłego. Ale nie, przytuliła się tylko jak dziecko, poddała pieszczocie głaszczącej włosy dłoni. Trwało to długo, aż dym z ogniska, nisko snujący się w bezwietrzny poranek, począł owiewać przytulone kobiety, młodą z twarzą ukrytą w ramionach, i starszą, wpatrzoną w nieodległy las.

Dziewczyna zakaszłała, wyswobodziła się z objęć.

– Eh, matka... – mruknęła ze złością. – Ty płaczesz?

– To tylko dym, córeczko – odparła kobiecina, wycierając zaczerwienione oczy. – Tylko dym.

Fabienne nie zareagowała, choć zwykle, gdy tak ją nazwano, wpadała we wściekłość. Ale nie tym razem.

– Nie kłam. – Popatrzyła na nią uważnie. – Coś czujesz, prawda? Masz ten swój przekłety dar, wiesz, co się stanie. Inaczej byś po prostu kazała Snake'owi przegnać przybłędę. – Zerwała się na równe nogi. – Kurwa, znowu będą kłopoty.

Kobiecina zareagowała odruchowo.

– Nie mów tak, córuś.

Fabienne odeszła parę kroków.

– A jak mam, kurwa, mówić? – rzuciła, nie odwracając się. – Znowu coś zobaczyłaś? Nie możesz ograniczyć się do odgadywania imion ukochanych na jarmarkach? – Splunęła.

Kobiecina wstała również. Położyła rękę na ramieniu dziewczyny. Ta odskoczyła.

– Przestań! – krzyknęła. – Zaraz mi powiesz, że to przecież nie od ciebie zależy, że to przeznaczenie. Jak zawsze zresztą, kiedy pakujemy się

w tarapaty. Już wczoraj wiedziałam, że tak będzie, a wy zamiast psem poszczuć, odzienie dajecie, na nocleg przygarniacie. Aż się boję, co będzie dalej.

Pulchne, dobrotliwe rysy kobiety stwardniały.

– Najpierw ci powiem, co było, córko – powiedziała spokojnie. – Nie, nie przerywaj, wiem, że nie lubisz, jak cię tak nazywam. Trudno, przeżyjesz.

Ramiona Fabienne opadły bezradnie. Wróciła do ogniska, przysiadła znów skulona.

– Wiem, nie musisz mówić – odezwała się zgaszonym głosem. – Nie musisz przypominać. Ale ja się boję, rozumiesz? Po prostu się boję!

Spojrzała na przybraną matkę. Nie, na matkę po prostu, jak już przyzwyczaiła się o niej myśleć.

– Jestem tylko głupią dziewczką. Nie widzę tego, co ty, i cieszę się, że nie widzę. Ale za nim idzie nieszczęście, nawet ja to wiem. – Wstrząsnęła się. – Idzie śmierć – szepnęła, chowając głowę w ramiona.

Niedźwiedź skończył swoje jagły gotowane z mięsem. Do pobrzękiwania łańcucha dołączył dźwięk miski, przetaczanej uderzeniami łap.

Fabienne uniosła głowę. Też miała zaczerwienione oczy.

– Uspokój, matka, sierściucha – powiedziała. – Niech go, znowu kołek wyrwie, będziemy po lesie łapać starego śmierdziela.

Stary śmierdziel jakby usłyszał, bo ryknął krótko, z wyraźną pretensją.

– Skaranie z nim – sarknęła kobiecina. – Znowu miskę cała pognie, a taka dobra, cynowa.

Poczłapała za wóz, utyskując pod nosem.

– Mówiłam, na sadło... – mruknęła Fabienne, ale cicho, by nikt nie usłyszał.

Brzęczenie łańcucha ucichło nagle. Fabienne mogła sobie wyobrazić,

jak niedźwiedź łasi się, spoglądając jedynym widzącym okiem niby zбитy pies. Ani Snake, ani jej przybrana matka nigdy go nie uderzyli. Wystarczało, że krzyknęli, a czasem nawet tego nie trzeba było. Stary sierściuch dokładnie wiedział, kiedy coś zbroił.

Misa istotnie była pogięta. Kobięcina rzuciła ją na ziemię.

– No, jak się stary dowie... – Pokręciła głową.

– Gównu mu robi – rzuciła mściwie Fabienne. – Tylko nim się przejmuję, pozwala na wszystko. Na mnie warczy, jak mu co wezmę.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że to nieprawda. Ale wiedziała, jak najłatwiej zranić.

Udało się i tym razem.

– Oj, córcia... – Kobięcina pokiwała tylko głową, ale Fabienne dojrzała skrzywienie ust.

– Przepraszam – szepnęła. – Nie wiem, co się ze mną dzieje.

– Ale ja wiem, dziecko, wiem doskonale. I nic na to nie poradzisz.

Istotnie, nie poradzę, pomyślała Fabienne. Widzę już, że wbiliście sobie coś do waszych zakutych łbów. I wszystko skończy się źle, jak zwykle.

Gdy wrócili, strawa dymiła już w kociołku, tym samym, w którym przedtem warzyła się kasza dla niedźwiedzia. Match usiadł bez słowa na pniu, starając się trzymać jak najdalej od Fabienne. Była wściekła, widać to było na pierwszy rzut oka.

– No co jest, matka? – ponaglił dobrotliwie Snake. – Grzebiesz się z tym żarciem. Sierściucha nakarmiłem, a nam żołądki do krzyża przyrastają. No, żabciu, nuże!

Żabcia puściła zaczepki mimo ucha. Mieszała w parującym kociołku.

– A co? – spytała, nie odwracając się. – Klacz już się ożrebiła?

Snake zmarszczył brwi, zaskoczony.

– Przecież nie mamy klaczy. Wałachy ino.

Kobiecina stuknęła kopyścią w brzeg kociołka, strząsając z niej przylepione jagły.

– Co ty nie powiesz? – Uśmiechnęła się, jej nieładna, ale dobra twarz pokryła się drobnymi zmarszczkami. – Nie mamy klaczy? To coście tyle czasu przy koniach robili?

Snake spoważniał.

– Rozmawialiśmy – mruknął po chwili. – Później powiem, nie będę na głodnego jęzora strzępił, żabciu.

Match spostrzegł, że Fabienne zgarbiła się prawie niedostrzegalnie.

– Co ty nie powiesz? – spytała żabcia z ironią. – Trzeba było jeszcze dłużej, jagły do cna się rozgotowały, teraz będziesz narzekał.

– A będę – odparł hardo kuglarz. – Bo babska sprawa jądra dopilnować. Gdzie kucharek sześć...

– ...tam dwanaście cycków – dokończyła zjadliwie Fabienne. – Stary dowcip, Snake.

Kuglarz chciał coś odpowiedzieć. Zrezygnował jednak, widząc zaczerwienione oczy dziewczyny.

– To może jeszcze powiesz, co jest męską sprawą, stary? – Jego połowica postanowiła stanąć po stronie Fabienne. – Bo ja czegoś nie wiem. Kiedyś wiedziałam, ale już dawno zdążyłam zapomnieć.

Snake poczerwieniał.

– Dawaj te jagły – mruknął tylko. – I przestań dogadywać, kobieto.

Match miał dosyć. To, co usłyszał od Snake'a przy koniach, wystarczająco nim wstrząsnęło. A teraz mitrężył czas bez potrzeby, siedząc tu przy ognisku i wysłuchując przekomarzań. Dziewczyna miała rację, powinien ruszać jak najszybciej. Chciał wstać, poczuł jednak na ramieniu ciężką dłoń. Snake był silny, widać nie tylko pokazywał węża. Lata prostowania podków nie poszły na marne.

– Siedź! – usłyszał Match rozkazujące mruknięcie.

Posłuchał, choć z oporami. Nie chciał się siłować z człowiekiem, który potraktował go tak dobrze, nawet mimo wieści, które od tegoż człowieka usłyszał.

Pulchna kobieta włożyła mu w ręce drewnianą miskę. Zapach

jedzenia uderzył w nozdrza, Match poczuł dopiero, jak jest głodny.

– Zjesz i porozmawiamy – syknął kuglarz, nie patrząc na niego. – Te trochę czasu cię nie zbawi.

Wziął swoją miskę z rąk kobiety. Nawet nie narzekał, że powyginana.

– Pyszne, żabciu. – Uśmiechnął się szeroko.

Kasza jaglana była istotnie rozgotowana, lepiała się w nieapetyczne grudy. Match miał wrażenie, że dla niedźwiedzia dodawano do stawy więcej mięsa. Poza tym jadło niczym się nie różniło.

Fabienne grzebała w swojej misce, wyławiając rozgotowane włókienka mięsa. Odgarniała na brzeg pozlepiane grudy kaszy. Łyżką szło jej niesporo, pomagała sobie nożem, jednym z tych do rzucania, ciężkim, z prostym drewnianym trzonkiem. Match uśmiechnął się. Wiedział, że noże do miotania nie są ostre, poza czubkiem. Przynajmniej nie pokaleczy sobie ust, pomyślał.

Dostrzegła jego uśmiech. Prychnęła jak kotka, plując kaszą.

– Czego się cieszysz?

Match poczuł, jak na twarz wypełza mu rumieniec. Zanim zdążył coś odpowiedzieć, poczuł znów na ramieniu dłoń kuglarza.

– Cichaj, dziecko – upomniał ją Snake z dezaprobatą. – Zachowuj się.

O dziwo, Fabienne nie wybuchła gniewem. Spuściła wzrok i wróciła do grzebania w misce.

Kuglarz odchylił się do tyłu, beknął głośno i przeciągle.

– Dobrze sobie podjadłem – oznajmił wszem i wobec.

Tego było za wiele dla dziewczyny.

– A ja, wyobraź sobie, nie. – Wstała zdecydowanie. – Eh, sierściuchowi lepiej gotujecie.

Ruszyła w stronę wozu, skąd znów dobiegał brzęk łańcucha. Zabrała ze sobą niedojedzoną porcję.

– Dam bydlakowi, niech się ucieszy – rzuciła przez ramię. – Widać większy z niego pożytek niż ze mnie. A wy tu decydujcie sobie, jak zwykle za mnie.

Tym razem Snake nie zdołał Matcha powstrzymać. Zerwał się, podbiegł za dziewczyną, chwycił ją za ramię.

– Zabierz łapę – warknęła, nie odwracając się. – Bo ślepią wydrapię.
– Posłuchaj – syknął. – Nie wiem, co sobie myślisz, ale mylisz się. Nic od was nie chcę, i nie potrzebuję. Zwłaszcza od ciebie.

Odwróciła się powoli.

– Ależ potrzebujesz – powiedziała spokojnie. – I to bardzo. Tylko będziesz musiał ładnie poprosić.

Jej buzia ściągnęła się w brzydkim grymasie. Match z początku chciał tylko zakląć, miał dość tej dziewczyny i jej złośliwości. Ledwie się powstrzymał, żeby nie uderzyć. Zamiast tego uśmiechnął się, patrząc Fabienne prosto w oczy.

– Zwłaszcza od ciebie – powtórzył cicho.

Rysy Fabienne drgnęły. Spostrzegł, że dziewczyna jest bliska płaczu. Zrobiło mu się głupio.

– Eh... – Machnął tylko ręką.

Podszedł do ogniska, podniósł pochwę z mieczem. Nie bardzo wiedział, co może jeszcze powiedzieć. W końcu zrobił ruch, jakby chciał odejść bez słowa.

– Siadaj! – osadził go w miejscu ostrzy głós. – Siadaj i nie rób z siebie durnia.

Kobieta zwana żabcią już nie miała swojego zwykłego, dobrotliwego wyrazu twarzy. Oczy sypały skrami.

Posłuchał od razu. Widać było, kto tak naprawdę rządzi tą dziwną trójką.

– Nie rób z siebie durnia. – To już zostało powiedziane znacznie łagodniej. – Ja wszystko wiem. Nie pytaj, skąd.

Nie pytał. Pomyślał tylko, że przypadłość Jasona jest znacznie powszechniejsza, niż dotąd sądził.

Przysiadła przed nim, podkurczywszy nogi, mała, krągła kobiecina o pospolitej urodzie, o dobrotliwym wyglądzie wiejskiej gospodyni lub tłustawej mieszczałki.

– I tak zginiesz. Możesz zginąć bez sensu. Jeśli zrobisz po swojemu, tak będzie. Jeśli nas posłuchasz, niekoniecznie.

To prawda, uświadomił sobie już przy koniach, kiedy Snake, nie

patrzając mu w oczy, opowiadał wszystko, co wiedział, o śmierci Roberta de Reno, szeryfa Nottingham, i kaźni więdźmy. Nie musiał pytać, kim jest ta więdźma. I nie musiał się długo zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi. Było za późno, by czynić sobie wyrzuty. I już nie będzie na nie czasu.

– Może się uda – spróbował jeszcze. Sam w to nie wierzył.

Kobieta zaśmiała się.

– Nie udawaj durnia. Może jestem tylko jarmarczną wieszczką, ale nie mniej mnie za głupią.

– To prawda, Match – wtrącił się Snake. Mówił poważnie, bez żartobliwej nuty, brzmiącej dotąd w jego głosie. – Nawet jeśli będą mieli ciebie, co im szkodzi trzymać ją dalej? Co szkodzi zabić, ot tak, dla przykładu, żebyś wiedział, kto tu rządzi? Dobrze mówię, żabciu?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– On zginie, Snake. Wiem. Przykro mi, ale wiem.

To nie może być prawda, pomyślał Match. Jestem im potrzebny, o mnie przecież chodzi, o to, żeby mieć nade mną władzę. Ale coś mówiło mu, że jarmarczna wieszczka ma rację.

– Przykro mi, chłopcze – usłyszał jeszcze.

Podniósł się, nie wiedząc, gdzie podziać wzrok.

– Nie mogę was o nic prosić. To nie wasza sprawa.

Snake błysnął zębami w uśmiechu.

– Owszem, nie możesz – przyznał. – Ale co z tego?

Rzeczywiście, pomyślał Match. Co z tego?

Jarmarczna wieszczka zniknęła na wozie. Spod płachty dobiegało ciche nucenie i śmiech małej Bethie.

– To pewne, że cię dostaną – zaczął Snake bez żadnych niedomówień. – Pochwycą, albo i zabiją, jak mówi żabcia. – Pokręcił głową. – Szkoda, żabcia rzadko się myli. Popatrz, nieźła z niej wieszczka, chociaż nie

wygląda.

– Nie pieprz, Snake – mruknął Match tylko. – Jak wiesz, gównu mnie to obchodzi.

Kuglarz popatrzył na niego badawczo.

– Istotnie, nie kłamiesz – stwierdził po długiej chwili. – W porządku, to martw się teraz, żeby nie było to na marne. I żebyś naprawił, co spieprzyłeś, jak sam niedawno mówiłeś. Chociaż po mojemu nie zdołasz naprawić, oni i tak wygrają. Możesz tylko zmniejszyć straty. – Popatrzył na ściągniętą twarz Matcha. – Przepraszam. Nie moja sprawa. Nawet nie wiem, kim są oni, i pewnie nie chcę wiedzieć. Wiem tylko tyle, że ryzykujesz teraz z całkiem normalnych powodów. I to jestem w stanie zrozumieć.

A ty? – chciał spytać Match. Nie spytał. Ale kuglarz i tak się domyślił.

– Niewiele ryzykujemy, Match. Niewiele więcej niż zwykle. Bo Fabienne mówiła prawdę. Jesteśmy zbóje i złodzieje, ryzykujemy zawsze.

Match pokręcił głową z powątpiewaniem.

– A ona? – Wskazał w kierunku wozu.

Rysy kuglarza zmiękły.

– Ona też – przytaknął. – Takie życie. Wiesz, na sztuczki magicznych, nawet na pokazywaniu węża niewiele zarobimy. Trzeba kraść, trzeba zabijać czasem. Straszne z nas skurwysyny.

Z tyłu dobiegło ciche parsknięcie.

– Mów za siebie, Snake – zaśmiała się Fabienne. W jej śmiechu nie było hysterii.

– A, przepraszam, córcia – odpalił kuglarz złośliwie. Wiedział, że dziewczyna nie znosi, kiedy ją tak nazywać. A przynajmniej udaje, że tak jest. – Dobrze, Match, szkoda gadania. Możemy ci pomóc, nie ryzykując wiele. Nie łudź się, nie dlatego, że cię lubię. To interes. Nie uda się, trudno. Uda się, to ona zapłaci.

– Jesteś pewien, że będzie miała czym zapłacić? – Match popatrzył mu w oczy. – Bo ja nie mam nic, nawet zakopanych w lesie skarbów.

Snake zmrużył ironicznie oczy.

– Na pewno nie masz? – spytał. – To co z ciebie był za banita?

Match potrząsnął tylko głową. Fabienne roześmiała się głośniej.

– On jest goły – powiedziała. – A przynajmniej wczoraj był. Wiesz co, Match? Pogadaj, matka wydziarga ci węża. Będziecie we dwóch się wydurniać. A ty bardziej, domyśl się, dlaczego.

– Cicho bądź. – W głosie Snake'a zabrzmiała tłumiona wesołość. – Wybacz, Match, strasznie głupia jest czasami. Wracając do rzeczy, zaryzykujemy. Ciężko teraz, każdego zarobku człek się ima.

To nieprawda, chciał powiedzieć Match. Snake, ty durniu, nie jesteś zobowiązany do żadnej lojalności. Nie pamiętam cię nawet. Nie udawaj, że to interes.

– Snake, zastanów się jeszcze... Jak sobie to wszystko wyobrażasz? Jest nas dwóch.

Zerknął na dziewczynę, która stała wciąż za nimi, z ładną buzią wykrzywioną szyderczym uśmiechem.

– No dobrze, troje. Jak chcesz mi pomóc? Jak chcesz przebić się przez strażę? Owszem, to ja skupię na sobie całą uwagę. Ale musisz ją stamtąd wyprowadzić. Musisz zabijać, żeby wzniecić jak największe zamieszanie... Zrobię co mogę, ale to nie wystarczy.

Snake uśmiechnął się tylko. Popatrzył na Fabienne.

– Nie docenia nas, Snake – powiedziała kpiąco dziewczyna. – Nie widział jeszcze wkurwionego sierściucha.

Istotnie, Snake miał rację. Zmieniło się w okolicy, i to wcale nie na korzyść. Jak tłumaczył kuglarz, właśnie dlatego jechali lasami, wąskimi drogami, na których wóz ledwo się mieścił. Od śmierci szeryfa okolica zeszła na psy. Nikt nie pilnował porządku, co gorsza podjazdy, wysyłane czasem przez nowego włodarza Nottingham, zajmowały się dokładnie tym samym, co reszta – łupieniem kogo się da, rabunkiem i mordowaniem.

Tym razem grasantów było tylko dwóch. Match sięgnął do rękojeści miecza, sprężył się, by wyskoczyć na drogę.

– Ty zostajesz. – Szept Fabienne osadził go w miejscu. – Ja ich zatrzymam, ciebie mogą się wystraszyć.

Brzmiało to sensownie. Match kiwnął głową, obnażył miecz. Dziewczyna swobodnie wyszła na gościniec, stanęła na środku.

Nadjeżdżający zwolnili, do Matcha dobiegł zadowolony rechot. Wyrzwał ostrożnie zza gałęzi.

Zbrojni mieli na sobie barwy Nottingham. Co prawda kubraki były niesamowicie brudne, a gdy podjechali bliżej, nie rozpoznał ich twarzy. Musieli być nowi, ze świty tego, jak mu tam... Czarnego Barona, przypomniał sobie Match.

Nawet nie dobyli broni, na widok samotnej dziewczyny na trakcie ich zarośnięte gęby wykrzywiły obleśnie uśmiechy. Przez myśl im nie przeszło, że może to być zasadzka. Fabienne stała ze spuszczoną skromnie głową, jak przystoi wystraszonej wieśniaczce. Żaden ze zbrojnych nie pomyślał, że wieśniaczki nie noszą zazwyczaj nabijanych cekinami, obcisłych kubraczków.

Podjechali bliżej, zaczęli ją okrążyć. Wstrzymywane wierzchowce tańczyły w miejscu. Jeden schylił się, chcąc chwycić za jasne włosy. Wywinęła się zręcznie. Zbrojny zaklął.

– Co tak, dziewczko, nie boisz się tak sama, po lesie? – rechotał drugi.

– Nie – odpaliła Fabienne. – Pieniędzy nie mam, pieprzyć się lubię.

Przesadza, pomyślał Match, widząc na twarzy napastnika wyraz zaskoczenia, przechodzącego w złość.

Sprężył się do skoku. Za późno.

Fabienne znakomicie wyczekała na dogodny moment. Gdy drugi, ten młodszy, pochylił się w siodle, by znów spróbować złapać ją za włosy, jej ręka wystrzeliła na chwilę do góry. Zanim jeszcze napastnik z rozchlastanym gardłem wydał przeraźliwe skrzeczenie, Fabienne podrzuciła nóż, chwyciła za ostrze.

Zbrojny nie zrozumiał jeszcze, co się stało. Rozdziawił gębę, tak, że można było policzyć wszystkie spróchniałe zęby. Tylko tyle zdążył zrobić, na więcej nie starczyło już czasu. Ciężki nóż trafił dokładnie w otwarte usta, przebił podniebienie. Jeździec zwalił się jak wór mąki prosto na łęk siodła. Krew chlusnęła z ust, plamiąc i tak brudny czaprak.

– Łap konie! – wrzasnęła Fabienne.

Drugi wierzchowiec pognął przed siebie, zbrojny z poderżniętym gardłem zwiślał z siodła, noga ugrzęzła mu w strzemieniu. Jeszcze żył, bo wciąż skrzeczał.

Match wyskoczył na gościniec. I zamarł.

Zza zakrętu wypadli galopem trzej następni. I nadjeżdżający nie mieli żadnych trudności z oceną sytuacji.

Chciał w pierwszej chwili uskoczyć, nie bacząc na zdobyte konie. W gąszczu konni nie mieliby szans ich dogonić. Ale Fabienne została. Match zaklął tylko.

Stała na środku gościńca, z rękami luźno opuszczonymi wzdłuż ciała. Nie zauważył, kiedy dobyła dwóch noży. Nie domyślał się nawet, gdzie je przedtem ukrywała.

Zbrojni galopowali ze wzniesioną bronią. Dwóch przodem, obaj w barwach Nottingham, w kubrakach równie brudnych, jak poprzedni. Trzeci nieco z tyłu, nie miał miecza, wywijał więc krzywym sejmitarem, podobnym do tych, którymi posługiwał się Nazir. Co gorsza, wyglądało na to, że umie nim władać.

Match chciał wyskoczyć przed dziewczynę, przyjąć pierwszy atak. Ale zrozumiał, że już za późno, są za blisko. Sprężony obserwował, jak podpuszcza ich coraz bliżej, zostało nie więcej niż kilkanaście kroków. Zwariowała dziewczyna. Jeszcze zdąży, przemknęło mu przez głowę. Odepchnę ją na bok, potem niech się dzieje, co chce.

Jeszcze kilka kroków. Już miał skoczyć do przodu, kiedy zobaczył, że Fabienne wyrzuca obie ręce do góry.

Noże trafiły bezbłędnie, tuż nad kolcze napierśniki. Pierwszy z napastników wypuścił miecz, żelazo zamigotało w powietrzu. Byli zbyt blisko, dziewczyna nie zdążyła uskoczyć, uderzenie końskiej piersi odrzuciło ją, wyniosło wprost pod wzniesiony sejmitar.

Match zanurkował pod brzuchem konia, rozpaczliwie wyrzucił miecz, na oślep, licząc na to, że zdąży zatrzymać spadającą szablę. Wiedział, że nie zdąży.

I nie zdążył, ostrze trafiło w pustkę. Match stracił równowagę, upadł na kolano, nie poczuł, jak ostry żwir rozdziera spodnie i skórę.

Fabienne miała szczęście. Napastnik umiał wywijać sejmitem. Co nie znaczy, że potrafił się nim posługiwać.

Szerokie cięcie nie trafiło, dziewczyna usłyszała tylko świst, poczuła podmuch na policzku. Bardzo blisko. Zrobiła jedyną rzecz, którą mogła zrobić, padła płasko na ziemię, ryzykując stratowanie. Zanim zamknęła oczy, ujrzała kopyto, które wryło się w ziemię kilka cali od twarzy. Ziarenka żwiru uderzyły ją w twarz.

Zbrojny popełnił błąd. Zamiast zwrócić się przeciwko Matchowi, przechylił się w siodle, usiłował przyszpilić Fabienne do ziemi. Prawie mu się udało.

Ale chwila zawahania wystarczyła. Match zdążył sięgnąć samym sztychem, niewygodnie, od dołu ciął w pochyloną, pociemniałą z wysiłku twarz. Napastnik wrzasnął, gdy ostrze weszło w oczodół, puścił broń, która wbiła się w grunt. Chwycił się za twarz, spomiędzy jego palców spływała krew zmieszana ze śluzem.

Match poderwał się, ciął jeszcze raz, już stojąc, wycelował dokładnie w bok nabrzmiałej od krzyku szyi.

Było po wszystkim. Stał, ciężko oddychając. Fabienne wciąż leżała nieruchomo, wbity w ziemię sejmitar kołysał się lekko. Match popatrzył wokoło.

Przedsięwzięcie zwane "kupnem koni" zakończyło się pomyślnie. Mieli trzy wierzchowce, dwa pozostałe odbiegły, nie było sensu ich gonić. Ale wystarczą trzy.

Fabienne podniosła się powoli. Była bardzo blada.

Nachyliła się nad leżącym ciałem, wyrwała swój nóż, otarła o kubrak zabitego. Drugiego nie mogła odzyskać, koń, ciągnący za sobą napastnika z nogą uwięzioną w strzemieniu, zniknął już za zakrętem.

Dziewczyna podeszła do Matcha.

– Jeśli powiesz "dziękuję"... – uprzedził ją.

Nic nie powiedziała. Musnęła tylko wargami jego policzek.

– Szkoda... – szepnęła. – Nie, nie to, o czym myślisz. Szkoda, że kochasz inną.

- IV -

*But I feel I'm growing older
And the songs that I have sung
Echo in the distance
Like the sound
Of a windmill goin' 'round
I guess I'll always be
A soldier of fortune*

Deep Purple, *Soldier of Fortune*

- To wszystko, Claymore? - Marcel z Tours nie przerwał swej ulubionej czynności, której oddawał się w każdej wolnej chwili. Nie podniósł nawet wzroku, zdawał się całkowicie pochłonięty doprowadzaniem klingi prostego, oprawnego w drewno noża do ostrości balwierskiej brzytwy.

Zasyczała ślina spadająca pomiędzy żarzące się węgle. Brat Marcela, Jean-Pierre, splunął bez słowa w dogasające ognisko. Zazwyczaj swój udział w negocjacjach handlowych ograniczał właśnie do tego.

Ramirez nie odpowiedział od razu. Prowadził już wiele podobnych rozmów, ostatecznie współpracowali od lat. Nie spodziewał się niczego nowego. Jak zawsze przy podobnych okazjach, przyglądał się braciom, zastanawiając się, ile jest prawdy w tym, co o sobie opowiadają. Przypuszczał, że niewiele.

Jean-Pierre był wielki, ociężały, wręcz tłusty. Pozlepiane w brudne strąki jasne włosy opadały mu na niskie czoło, przesłaniając małe oczka,

mające zwykle wyraz beznadziejnej tępoty. Marcel był jego przeciwieństwem – mały, szczupły, czarniawy. Żeby było śmieszniej, powiadali się bliźniakami.

Marcel jeszcze raz ze skupieniem przeciągnął klingę po odwróconym licem do wewnątrz skórzanym ochraniaczu. Claymore nawet nie drgnął, końcowa faza wecowania kozika nie denerwowała go tak, jak zgrzytanie żelaza po osełce. Obcując z Marcelem, trzeba było do tego przywyknąć.

Marcel popatrzył w skupieniu na swe obnażone przedramię. Choć siwawa sierść wystawała mu nawet nad kołnierzem, aż do łokcia skóra była gładka. Zbyt często próbował ostrza, by ostały się na niej jakieś włosy. Cmoknął z niezadowoleniem, podrzucił nóż w górę, pewnie schwytał za ostrze. Po chwili owinął go pieczołowicie w zatłuszczony kawałek skóry i wsunął do cholewy. Dopiero potem spojrzał na Ramireza.

– To wszystko? – powtórzył.

Claymore skinął głową.

Bliźniacy popatrzyli na siebie. Zdawało się, że w małych oczkach Jeana-Pierre'a błysnęło coś ludzkiego. Zaraz jednak tłuszcioch wbił tępe spojrzenie we własne buty.

– Podsumujmy. – Bardziej elokwentny z braci starannie zapinał na nadgarstku wyświecony od długoletniego używania skórzany ochraniacz. – Zatem powiadasz, że mamy odbić więźnia. – Mocował się z oporną sprzączką. – Tak po prostu. Nie z konwoju, nie z lochów. Mamy to zrobić podczas egzekucji, a najlepiej przed samą egzekucją.

Ramirez milczał. To też należało do rytuału: wstępne targi, określenie zadania jako zupełnie niemożliwego do wykonania. Zawsze tak zaczynali, nawet nie po to, by podbić stawkę. Choć tym razem mogło być inaczej, pomyślał.

– Przed egzekucją, powiadasz... W zasadzie słusznie, po egzekucji stopień trudności taki sam, a pożytek pewnie mniejszy. Tu się zgadzamy, co do joty. – Marcel skończył zapinać ochraniacz, podniósł wreszcie wzrok. – Nie uśmiechaj się tak, Claymore – mruknął. – Na tym kończy się zgodność poglądów.

Ramirez spojrzał prosto w oczy najemnika. Z twarzy Marcela nie wyczytał zwykłej kpiny. Pokręcił głową.

Bliźniacy z Tours wcale nie pochodzili z tego miasta, nawet nie z najbliższych okolic. Nosili ten przydomek znacznie krócej, niż trwało ich dość długie życie. Dość długie, jak na wykonywany zawód.

Wykonywali go zresztą ostatnio głównie na wyspie. Po tym, co stało się na rynku miasta, od którego wzięli przydomek, kontynent nie był dla nich zdrowym miejscem. Żyli jeszcze krewni pechowców, którym zdarzyło się brać udział w wypadkach, zwanych rzezią w Tours.

Claymore nieraz korzystał z ich usług. Byli drodzy, ale najlepsi.

– Nie uśmiecham się – odburknął. – Wiem, to będzie trudne.

Obaj bracia zarechotali głośno. Po chwili do śmiechu przyłączyła się reszta niepocziwej kompanii, z pozoru niesłuchająca cichej rozmowy, zajęta własnymi sprawami.

– Dobrze, Ramirez, jeszcze raz. – Wykrzywiona szyderczo gęba Marcela skamieniała, śmiech zniknął. – Mamy odbić więźnia. Nie z konwoju, nie z lochów, tylko w dzień targowy, który uświetniony będzie dodatkową atrakcją. Egzekucją.

Ramirez nie przerywał. Jak dotąd wszystko się zgadzało. Jean-Pierre znów splunął na węgle. Zasycało, w snujący się nad żarem niebieskawy dymek wplotła się delikatna nitka pary.

– Parę setek ludzi na podwórku. Kramy, kuglarze, baby i dzieciaki...

– Odkąd to przeszkadzają ci baby i dzieciaki, Marcel? – przerwał ostro Claymore. Zaraz tego pożałował.

Najemnik skrzywił się paskudnie.

– Nieładnie, nieładnie. Tak wypominać... Słabości ludzkie wytykać...

Niepotrzebnie, pomyślał Ramirez.

Bliźniakom nie przeszkadzały baby i dzieciaki. Na rynku w Tours wyrąbali sobie drogę przez tłum, tratujący się w panice pomiędzy kramami, stłoczony w wąskich przesmykach uliczek w daremnej próbie ucieczki z piekła, w które nagle zamienił się gwarny targ. Trzeba oddać braciom sprawiedliwość, znacznie więcej ludzi zatratowało się nawzajem i padło od strzał, którymi szyjący z łuków i kusz zbrojni nieszczęsnego barona usiłowali osiągnąć jego zabójców. Mogli sobie zresztą darować te wysiłki, ich pan ani zipnął, pchnięty pod żebro dobrze wywecowanym kozikiem Marcela. Tym bardziej że młody baronet, nie

mieszkając, i tak kazał wielu z nich obwiesić. Za nieskuteczność między innymi.

Claymore zdecydował się.

– Wtedy nie można było inaczej – stwierdził.

W ciemnych oczach najemnika błysnęła czujność. Spojrzał na brata, nieodmiennie wpatzonego tępym spojrzeniem w dym nad dogasającymi węglami.

– Skąd wiesz? – spytał powoli. – O ile pamiętam, nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy. Czyżbyś nagle zwątpił w nasze kompetencje? – Parsknął gniewnie. – A może sugerujesz, że pora nam odpocząć? Wyciągnąć worki z gotówką, kupić sobie włości, do końca życia siedzieć na przyzbie, popijać piwo i patrzeć, jak owieczki się mnożą, czy inne cholerstwo, które się tu hoduje? Chyba sugerujesz, skoro wspominasz o tych... no, jak im tam, skrupułach. O litości może jakowejś, tfu!

Splunął celnie w żar, wcale nie gorzej od brata. Ramirez nagle poczuł się bardzo zmęczony.

– Pieprzysz, Marcel – powiedział cicho. – Niczego nie sugeruję. Zwłaszcza litości. Ale nie uwierzę, że mieliście zamiar zarznąć klienta, a potem na dodatek nieco mieszcuchów. Za dobrze was znam.

Najemnik zmierzył go przeciągłym spojrzeniem. O dziwo, takie samo spojrzenie rzucił Jean-Pierre.

– Znasz nas – przyznał po chwili Marcel. – Rzeczywiście, nie zarzucasz nam skrupułów ani litości. Za to zarzucasz nam coś gorszego. Błąd w sztuce.

Wstał z rozłożonej przy dogasającym ognisku skóry.

– I masz rację. – Popatrzył z góry na Ramireza. – To był błąd, mój błąd. Należało ustrzelić go z kuszy, z daleka. Ostatecznie młody baronet płacił za skutki, nie metody. Sam się bał, a tatuś przeczuwał, co się święci. Bez eskorty nigdzie nie łąził, a i z eskortą najdalej na ów zakichany targ. Mój błąd, masz rację, lubię bezpośrednio dostarczać złe wieści, że się tak wyrażę. A raczej lubiłem, bo uczę się na swoich błędach.

Przykucnął przed Claymorem, aż coś trzasnęło mu głośno w kolanach.

– I nie rozumiem, dlaczego ty nie chcesz się uczyć na cudzych –

kontynuował. – Powiem ci. To się może udać. Ale wszyscy będziemy mieli potem równo przesrane. – Prychnął pogardliwie. – Równiutko.

Kłęczał teraz przed Ramirezem. Zbliżył nieogoloną, pokrytą ciemnym, aż niebieskawym zarostem gębę do twarzy zabójcy.

– Powiedz mi, *mon vieux*, odbiło ci?

– To nie jest takie proste. – Ramirez uśmiechnął się krzywo. – Wierz mi, wolałbym, żeby mi odbiło.

Marcel pokręcił głową.

– A ja wciąż nie jestem pewien.

Odpiął znów ochraniacz z nadgarstka. Wyciągnął nóż z za cholewy, strząsnął niecierpliwie przetłuszczoną skórę.

– Uspokaja mnie to. – Skrzywił się, wecując ostrze o wyślizganą skórę. – Nie uwierzysz, jaki się robię nerwowy, kiedy słyszę o takich pomysłach.

Rzeczywiście, pomyślał samokrytycznie Claymore, pomysł taki sobie. Ale nie ma innego wyjścia.

– Nie ma innego wyjścia? – spytał najemnik z powątpiewaniem. Zaraz sam sobie odpowiedział. – Pewnie nie ma. Bo jeśli jest, to znaczyłoby, żeś oszalał, *patron*.

Bianco, Genuńczyk, parsknął nerwowym chichotem i ucichł zaraz pod ciężkim spojrzeniem Marcela.

Wstawał późny przedwiosenny świt. Zerwał się wiatr, rozdmuchał dogasający ogień, nad węglami i siwym popiołem zapełgały małe płomyczki. Zaszleściły suche, poskręcane, zeszłoroczne liście na dębach. Claymore powiódł wzrokiem po widocznych teraz lepiej twarzach.

Bianco obejmował pieścotliwie łożę swojej ogromnej kuszy. Jego prawdziwe imię brzmiało inaczej, a przydomek zupełnie nie pasował do smagłego, ponurego i milkliwego człowieka. Ramirez kiedyś próbował się dowiedzieć, skąd przydomek, jednak Bianco indagowany w tej sprawie natychmiast przestawał mówić jakimkolwiek ludzkim językiem. Reszta kompanii albo nie wiedziała, albo nie chciała nic powiedzieć.

Obok kusznika oparty o pień siedział Wilfried, zwany Gwiazdeczką, od swej ulubionej broni, wielkiego łańcuchowego morgensterna. Był obiektem nienawiści karczmarzy, gdyż zwykł walić kolczastą kulą w stół, gdy tylko brakło mu piwa w garncu. Dalej pił już na stojąco, jak dotąd nie znalazł się stół, który wytrzymałby takie traktowanie.

Koń znów zaparskał, poruszył chrapami, stulił niespokojnie uszy, pewnie wiatr przyniósł z głębi mglistego lasu jakieś niepokojące zapachy. Uspokoił się dopiero pod łagodnym dotykiem dłoni.

Szczupły chłopak przemawiał coś cicho, poklepując rosteo, nerwowego kasztana po szyi. Wierzchowiec nie wyglądał na bojowego konia, wydawał się stworzony raczej do szybkiego biegu. Stał już spokojnie, tylko z nozdrzy buchały mu kłęby pary. Claymore wstrząsnął się. Uświadomił sobie, jak zimny i wilgotny jest ten poranek. Kątem oka zauważył uśmiech na twarzy szczupłego chłopaka.

Johnnie uśmiechał się rzadko. I nigdy do ludzi.

Na pozór nie pasował do reszty. Nie był zabójcą, nie władał mistrzowsko żadną bronią. Nikt go nie ścigał, przed nikim nie uciekał, w każdym razie nie wtedy, gdy Marcel znalazł go na trakcie. Łkał nad okulawionym luzakiem, którego właściciel, zapijaczony szlachciura, postanowił dobić.

Marcel zawsze powtarzał później, czy ktoś chciał słuchać, czy nie, że po prostu nie podobała mu się gęba szlachcica. Przecież nie przejąłby się chłopakiem, któremu celny kopniak z kulbaki złamał nos, gdy czepiał się strzemienia, błagając o litość dla nieszczęsnego zwierzaka. W każdym razie dobić trzeba było wkrótce zarówno konia, jak i jego właściciela. Z powodów czysto ludzkich, nie zostawia się na pastwę wilków bezradnego zwierzęcia ani człowieka bez rąk. Co prawda, w przeciwieństwie do konia, człowiek sam był sobie winien. Koń potknął się po prostu w wykrocie, nie sięgał po broń.

Kompania odjechała wkrótce w zwiększonym składzie.

Bracia z Tours nigdy nie żałowali swej decyzji. Chłopak o krzywo zrosniętym, zapadniętym nosie potrafił z najzłośliwszego bydłęcia uczynić idealnie ułożonego wierzchowca, z zabiedzonej, porwanej gdzieś z pastwiska chabety – bojowego rumaka. A nieoceniony był przy okazjach, nazywanych enigmatycznie "pozyskiwaniem transportu".

Bezbłędnie wyłuskiwał ze stłoczonego tabuniku najwartościowsze zwierzęta.

– Wiesz, Claymore – głos najemnika wyrwał Ramireza z zamyślenia – coś mi się zdaje, że wplątałeś się tym razem w niezłą awanturę. Skoro przychodzą ci do głowy takie pomysły...

– Desperackie? – wpadł w słowo Ramirez. Istotnie, desperackie, pomyślał. Mało czasu.

Marcel w zamyśleniu popatrzył na ostrze.

– E tam, zaraz desperackie – burknął. – Raczej kosztowne, no nie, chłopaki?

Chłopaki huknęły śmiechem. Nawet Johnny, kryjąc okaleczoną twarz w cieniu, skrzywił wargi.

Najgłośniej śmiał się Skowronek. A raczej się śmiała.

W jej przypadku Claymore nigdy nie zastanawiał się, dlaczego wybrała takie życie. Była brzydka. Tak brzydka, że według docinków kompanów psi wyli na jej widok, a mleko kwaśniało, gdy tylko przeszła obok. Jej grubo ciosanym rysom nie szkodziła nawet głęboka blizna po źle zszytej ranie, która ciągnęła się od kości jarzmowej aż do podbródka. Blizna przecinała usta, ściągając wargi w złym grymasie i odsłaniając wielkie przednie zęby. Skowronek nie miała złudzeń, bez blizny byłoby równie źle.

Na docinki mogli sobie pozwolić wyłącznie kompani. Mogli wyśmiewać jej niezgrabną postać, sterczące, sztywne jasne włosy, piskliwy głos, od którego pochodził zresztą jej przydomek. Paru postronnych, którzy pozwolili sobie na niewczesne żarty, wyglądało teraz znacznie gorzej od niej.

– Kosztowne, Claymore – powtórzył najemnik, gdy ucichł szyderczy rechot. – Bo wybrałeś sobie najgorszy chyba sposób.

Pokiwał głową. Zbyt długo pracował dla Walińczyka, by wiedzieć, że innego sposobu nie było. Miał świadomość, że będzie niezwykle trudno. Ale przecież jak dotąd dawali sobie radę.

– Bez obaw, Marcel. – Claymore bezwiednie odetchnął z ulgą. Mimo wszystko niepokoił się, czy najemnicy tym razem nie odmówią. Ryzyko graniczyło z szaleństwem. – Bez obaw – powtórzył, pewniej stając na

gruncie negocjacji finansowych. – Jak skończymy, to będziesz mógł kupić tę wieś albo dwie, i do końca życia chędożyć te swoje owieczki. Wszyscy będziecie mogli.

Niewątpliwie przyjemniej byłoby popasać w karczmie: większy wybór, nie tylko dość podłe, wioskowe piwo, nie tylko upieczony, a raczej nadwęglony nad ogniem prosiak. Może i przyjemniej, ale niezbyt rozsądnie. Plany były ryzykowne, a jednym z warunków ich powodzenia było zaskoczenie.

Dlatego też niewczesne pomysły Gwiazdeczki zostały szybko ukrócone. Najemnik marudził wprawdzie, twierdząc, że na koniec zabawy można przecież karczmę spalić, a innych gości wraz z karczmarzem wyrznać, i nijakiego rozgłosu nie będzie. Ale widać było, że gada tak jedynie dla zasady, sam zdawał sobie znakomicie sprawę, że wieść o bandzie najemników, która stanęła w gospodzie, niechybnie rozejdzie się natychmiast po okolicy. A to oznaczałoby jedno – wzmożenie czujności w mieście.

Rubaszne żarty i hałaśliwa wesołość pokrywały niepokój. Claymore nie dziwił się, ostatecznie byli to twardzi zawodowcy, zdający sobie znakomicie sprawę z ryzyka, jakiego się podjęli. Nieważne, że po jego wykonaniu rzeczywiście mogliby do końca życia zająć się hodowlą czy też chędożeniem owieczek, co, jak przypuszczał Ramirez, w przypadku Jeana-Pierre'a rzeczywiście mogłoby być prawdą.

Zasyczały węgle, buchnął kłęb pary. Nie przejmując się obecnością Skowronka, bliźniacy z Tours starannie zasikiwali ognisko.

Straszliwie brzydka dziewczyna nie zwróciła na to uwagi. Mimo chłodu rozebrana do skórzanego kubraka bez rękawów przenosiła juki. Na lśniących od wilgoci barkach i ramionach napinały się postronki mięśni. Pakunki były ciężkie, Ramirez wiedział, że najemnicy wożą ze sobą wiele sprzętu. Zafascynowany patrzył, jak dziewczyna przerzuca sakwy przez koński grzbiet, lekko, pozornie bez wysiłku. I jak koń przysiada ze stęknieniem.

Claymore poczuł, że ktoś trąca go w ramię. Wilfried zwany

Gwiazdeczką mrugnął obleśnie, wskazując dziewczynę.

– Chciałbyś, Ramirez, no nie? – mlasnął. – Niezła dupa, powiadam ci.

Ramirez spojrział na wielką, prawie kwadratową sylwetkę, równie szeroką w biodrach i w talii, na szopę jasnych, pozlepianych włosów i barki jak u portowego tragarza. Nie widział brzydkiej, nielitościwie w dodatku okaleczonej twarzy, Skowronek była odwrócona.

I tylko nieznaczne drgnięcie ramion uświadomiło Ramirezowi, że usłyszała.

Popatrzył na Wilfrieda.

– Czy chciałbym? – powiedział wolno. – Naturalnie. Tobie tylko nie radzę, nie wydolisz.

Najemnik wybałuszył oczy. Morgensternem wprawdzie machał szybko, myślał wolniej. Zamiast odgryźć się Ramirezowi, zawołał do dziewczyny:

– Hej, Skowronek, wziął cię ktoś kiedyś za chłopca?

Dziewczyna odwróciła się. Na jej twarzy pojawił się osobliwy grymas, który, jak wiedzieli lepiej ją znający, był uśmiechem.

– Owszem – odpowiedziała wolno, starając się mówić jak najwyraźniej. – A ciebie?

Wilfried nie załapał. Nie uskoczył, gdy Skowronek podeszła wolno, wciąż z grymasem imitującym uśmiech.

Wadą Gwiazdeczki była nieprzeparta chęć popisywania się. Zwłaszcza przy zleceniodawcach.

– No, masz jaja, Skowronek – zaczął niby pojednawczo. Przecięta blizną maska nieco się wygładziła. – Szkoda, że zamiast cycków – wypalił szybko, widać musiał tę kwestię przygotowywać od dawna. Wyprostował się, czekając na aplauz.

Nie doczekał się. Zamiast tego ramię dziewczyny wystrzeliło do przodu, wielka dłoń w rękawiczce bez palców, okutej na kostkach żelaznymi płytkami ścisnęła krocze najemnika.

– A ty masz? – syknęła dziewczyna.

Claymore usłyszał, jak Gwiazdeczka wciąga gwałtownie powietrze, zobaczył, jak czerwienieje na gębie. Jak staje na czubkach palców.

Skowronek przybliżyła twarz do jego twarzy, nie zwalniając uścisku. Okaleczone, ściągnięte wargi dziewczyny przylgnęły do ust Wilfrieda. Najemnik zagulgotał i poczerwieniał jeszcze bardziej. Zapadła cisza.

– No, dość tych pieszczot, dzieciaki – krzyknął ostro Marcel po nieskończeniu długiej, zdało się, chwili. – Kurwa, Skowronek, zostaw go, bo na kulbakę nie wsiądzie!

Wydawało się, że dziewczyna nie słyszy. Ramirez pomyślał mętnie, że za chwilę trzeba będzie ją odrywać od Wilfrieda siłą. Nie miał na to najmniejszej ochoty. A i wątpił w rezultaty.

Wreszcie Skowronek odjęła wargi od ust najemnika. Nie mogła się jednak powstrzymać, przejechała językiem po zarosniętym policzku, potem szybkim, niczym żmija, ruchem wpiła się jeszcze raz w jego wargi. Wilfried krzyknął. Odgłos był dość przykry, bo uczynił to na wdechu. Dopiero wtedy dziewczyna otworzyła zaciśniętą pięść. Najemnik padł na kolana, tym razem własnymi dłońmi obejmując sponiewierane przyrodzenie. Z przegryzionej wargi sączyła się krew.

Na zniekształconych ustach dziewczyny lśniła karminowa kropla. Zlizwała ją powoli czubkiem języka.

– Wszystko w porządku? – spytał Marcel. Pytanie było skierowane do Skowronka, na jęczącego Gwiazdeczkę nikt nie zwracał uwagi.

Zachichotała piskliwie.

– W porządku. – Znów sepleniła, jak zwykle. Uniosła dłoń. – Musiałam dobrze posukać – pokazała pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

Skulony Gwiazdeczka, wciąż z dłońmi wciśniętymi między uda, zabełkotał coś niewyraźnie.

– No, kompania, pożartowaliśmy, pofiglowaliśmy, a teraz na koń – oznajmił Marcel głośno. Claymore wyczuł w jego głosie coś w rodzaju ulgi. – A ty co tak siedzisz, Wilfried? Wstawaj, zimno jest, jeszcze wilka złapiesz!

Kopnął skulonego najemnika w biodro, wcale nielekkko. Gwiazdeczka zamamrotał nieco głośniej, stękając, gramolił się z mokrego mchu.

Krzątanina zaczęła się znowu. Bianco odłożył kuszę, pomagał juczycy konie. Gwiazdeczka, wciąż blady, odszedł na stronę. Dwaj pozostali, których Claymore nie znał, zwijali rozłożone derki. Jean-Pierre ze

stoickim spokojem siedział przy parującym, zasikany ognisku.

– Skaranie boskie z tą dziewczuchą – mruknął niechętnie Marcel, przerzucając przez bark obciążony pochwą z sejmitem pas. – Co rusz, to kręci wora temu durniowi. A on to chyba lubi, bo wciąż się podkłada. – Splunął, o włos omijając własne buty. – Eh, przepędziłbym jedno albo drugie, ale gdzie ja takich znajdę? – narzekał dalej. – Trudni do zastąpienia, nie to, co... – Wskazał na dwóch młodych.

Ramirez zrozumiał.

W każdej akcji były straty. Ale doświadczeni najemnicy nie ginęli. Oni byli do zabijania, do wypełniania głównych zadań. Ktoś musiał zwyciężać, ktoś musiał zabijać. Żeby mógł to robić skutecznie, inni musieli osłaniać mu plecy. Posuwać się za nim, odbijać przeznaczone dlań ciosy. Oprócz tych przeznaczonych dla siebie.

Bliźniacy, Gwiazdeczka, Bianco, nawet Skowronek walczyli już długo, pewni, że za sobą mają tych, których zadaniem jest tylko osłona i wsparcie. Ci drudzy przeciętnie zaliczali dwie akcje. Potem przychodzili nowi.

I nigdy ich nie brakowało. Sława bliźniaków przyciągała wciąż następnych chętnych, z których każdy roił sobie łatwe, ciekawe życie, bliską fortunę. I niektórzy pewnie myśleli, że wkrótce to oni będą mieli za plecami osłonę, że to dla nich będą walczyć i ginąć inni. Na ogół się mylili.

– Tylko dwóch? – mruknął Claymore.

Marcel zaklął. Strzyknął śliną spomiędzy zębów.

– Tak – odparł po chwili niechętnie. – Tylko dwóch. Reszta zużyła się przy poprzedniej robocie, nie starczyło czasu, żeby uzupełnić. Strasznie poganiałeś, myślałem, że to coś na szybko, a tu tymczasem taki pierdolony pasztet... – Uśmiechnął się niewesoło. – Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że oszalałeś. Ale zawsze byłeś rozsądny, nie wpuszczałeś nas w byle gówno. Więc i tym razem...

Urwał. Nie patrzył na szczęście na Claymore'a, który zastanawiał się, czy widoczne jest bijące na twarz gorąco wstydu. Marcel, przyjacielu, pomyślał Claymore. Gdybyś wiedział...

– A co tam, było nie było! – Najemnik smagnął konia długą rękawicą. Wierzchowiec stulił uszy, przyspieszył.

Ramirez milczał. Spoglądał przed siebie, w perspektywę leśnej drogi, ginącej wśród podmokłych łąk. Widział plecy Bianca, który wysforował się do przodu, i przekrzywionego na kulbace Gwiazdeczkę. Mistrz morgensterna miał nieco dziwny dosiad, zwiślał w jedną stronę i ciężar ciała spoczywał na przewieszonym przez siodło udzie, ale niewiele to pomagało, bo od czasu do czasu dochodziło ich bolesne syknięcie, głośniejsze od równego chrapania koni i uderzeń kopyt w miękki grunt.

Marcel zwolnił nieco, znów zrównał się z Ramirezem.

– Wiesz, jak powiedziałaś o zapłacie, to od razu mi się lepiej zrobiło – wyznał z rzadką dla siebie szczerością.

Claymore nie odpowiedział. Jemu właśnie zrobiło się gorzej.

– Bo już myślałem, żeś zgłupiał na starość. Że i tobie odbiło, że zaczęłaś roić o jakichś powinnościach i przeznaczeniach. A na coś takiego to ja się nie piszę. Profit niepewny, a wpierdol murowany. Co innego umowa. Rzecz święta. Bo kto by nas, kurwa, wynajmował, gdybyśmy umów nie dotrzymywali?

Owszem, można rzecz do tego sprowadzić, pomyślał Claymore. Tyle że to umowa z nieboszczykiem, cóż więc przeszkadza zwinąć zapłatę, nie kiwnąwszy nawet palcem? Ano, umowa święta rzecz. Ramirez miał wrażenie, że Marcel chce zagłuszyć swoje wątpliwości.

Problem w tym, że sam nie potrafił zagłuszyć własnych.

– A, co tam, było nie było... – pogadywał najemnik. – Damy radę, ostatecznie nic wielkiego, małośmy razy podobne rzeczy robili? Wpadniemy, wyrzniemy kogo trzeba i kto się pod ostrze nawinie, ty wiedzmy od stryczka odetniesz...

Jadący przodem Bianco dosłyszał widocznie, bo ścisnął konia kolanami, przyspieszył. Claymore dostrzegł gest, ukradkowy, zaciśniętą pięść z wyprostowanym wskazującym i małym palcem. *Manu cornuta*, gest chroniący od uroku.

Też się boi, zrozumiał. Też przeczuwa.

– Tylko powiedz mi jedno, Claymore. Zawsze wolałeś bez hałasu, profesjonalnie, jak mówiłeś.

Ramirez wiedział już, do czego zmierza najemnik.

– Zawsze krzywiłeś się na straty uboczne. Mnie tam za jedno, sam wiesz, jak się zdarzało. A tym razem przecież zdajesz sobie sprawę, jak będzie.

Wiedział. Drogę trzeba będzie sobie wyrąbać. Nie tylko przez zbrojnych, także przez tłum, zrazu ciekawy jatki, potem przerażony, wrzeszczący, prący do wąskiej bramy, jedyne przesmyku, przez który można wydostać się z placu. Będą kobiety, dzieci przyprowadzone na egzekucję, podsadzane do góry, żeby nic nie uroniły z pouczającego i wzbogacającego moralnie widowiska. Bosonodzy urwisi, czatujący pod szubienicą, by szydzić z wiedźmy, a potem może zdobyć kawałek stryczka na szczęście. Tłum zacnych mieszczan i kmiotków, przekupnie i kuglarze. Wszyscy zaczną się tratować wzajemnie, gdy świsną pierwsze strzały, jak to zwykle bywa w większości trafiające w gapiów. A potem trzeba będzie wyrąbać sobie drogę. Dosłownie.

Marcel nie czekał już na odpowiedź. Prawdę mówiąc, wcale jej się nie spodziewał. Myślami był gdzie indziej, zastanawiał się, jak daleko jeszcze do wioski, w której spędzą następne dwa dni.

Dlatego zaskoczyło go to, co usłyszał.

– To złe miasto, Marcel. – Ramirez nie spojrzał na niego, mówił jakby do siebie. Jakby chciał sam siebie przekonać.

Wtedy Marcel z Tours zaczął się bać.

Wójt nie był szczęśliwy. Z początku myślał, że to zwykli grasanci, ot, wpadną, wychleją, co zdołają, świń parę wytłuką, popsowają dziewczki. Ale i groszem na odchodnym sypną, co jak wiadomo na cnotę utraconą niezawodnie pomaga. U grasantów tak bywało, łatwo przyszło, łatwo poszło. Wójt pamiętał, jak to łośkiego roku szwagier za wybity ząb dostał pierścień zacny, co prawda na palcu spuchniętym i szerniałym

jeszcze tkwiący, widno dama tłusta była nad miarę i w porę ściągnąć nie zdążyła.

Dobre ludzie, wspominał wójt, gwałtowne, ale szczodre. Nie to, co te odmieńce. Żałował, że tak łatwo dał się skusić.

Odmieńce zajęły wójtową chatę, krótko i stanowczo każąc domownikom spierdalać, zanim się zdenerwują. Został tylko wójt i najstarsza córka, w końcu ktoś musiał piwa nalewać. Reszta, czyli wójtowa żona wraz z rozlicznym drobiazgiem, pochlipując i pomstując, poszła szukać schronienia u sąsiadów.

Izba była nadspodziewanie czysta i schludna, polepę posypano pociętą, zeszłoroczną jeszcze trzcina. Claymore opadł z ulgą na wyścielone baraniami skórą nary. Nawet spodziewany atak pcheł nie zdołał go powstrzymać. Nie zamierzał tu długo zabawić. Chciał wracać do miasta, najszybciej, jak to możliwe. Musiał jeszcze tylko omówić z bliźniakami plany.

Za zasmolonymi okiennymi błonami był już mrok. Z zewnątrz dochodziły głośne przekleństwa Wilfrieda, któremu dostała się pierwsza warta.

Skrzypnęły drzwi, do izby wtoczył się wójt, dźwigając w objęciach wielki garniec. Staął, nie wiedząc, co dalej zrobić. Córka, cysate dziewczę o wielkich oczach, ciekawie zerkała zza jego pleców.

Jean-Pierre napluł w węgle na palenisku.

– I czego tak stoisz, jak chłopu na weselu? – huknął Marcel. Był zły, i wiedział już, na kim można będzie wyładować złość. Zastanawiał się, jakim cudem dał się namówić na to wszystko. Wizja zasobnej wsi, owieczek, wygodnego kasztelu gdzieś na krańcach wyspy dziwnie zbladła, zastąpiona przez inne obrazy. Znacznie mniej powabne, ale za to bliższe.

Z drugiej strony... To ostatnie zadanie, co z tego, że trudne? Z gorszych opatów się wychodziło już nieraz bez szwanku.

– Polewaj, kmiecie! – otrząsnął się najemnik. – Nie stój tak, zaraz po drugi garniec pójdziesz.

Skowronek grzebała w sakwie, wyjmując jakieś podejrzenie wyglądające połcie wędzonej słoniny, małą gomółkę owczego sera. Wójtowi poruszyła się grdyka na chudej szyi i prawie słychać było, jak przetyka ślinę.

Nic dziwnego, pomyślał Marcel. Przednówek przecież. Pewnie nic prócz jęczmiennej polewki dawno nie jadł. Eh, było ci chłopci...

Claymore podsunął drugi zydel, siadł przy stole.

– Zostaw to piwo, Marcel. – Głos miał chropawy, wyraźnie słychać w nim było zmęczenie. Spoglądał gdzieś przed siebie, na oświetlone łuczywem, poutykane mchem belki. Czuł w kościach kilkanaście mil przejechanych skrajem lasu, w poszukiwaniu odpowiedniego przysiółka, gdzie mogliby przeczekać te dwa dni. Pierwsza wioska, nawet na oko zasobna, nie przypadła najemnikowi do gustu. Przemknęli przez nią galopem, aż bawiące się pomiędzy opłotkami dzieci z piskiem pierzchały sprzed koni. Kmiotkowie, nauczeni życiowym doświadczeniem, nie zdążyli nawet barykadować wierzei ani wyganiać co cenniejszego inwentarza do pobliskiego zagajnika, a to nierogaczyny, drobiu oraz co młodszych córek i żon, w tej właśnie kolejności. Chłopska przezorność, i tak zresztą spóźniona, okazała się tym razem niepotrzebna. Kompania przemknęła przez przysiółek, zanim chłopci zdążyli wyciągnąć z chlewika pierwszą oporną maciorę.

Gdy chaty zniknęły za zakrętem, znów puścili konie stępa. Ramirez nie poskromił ciekawości, dlaczegóż to wioska okazała się niegodna goszczenia znakomitych wojowników. Marcel z kamienną twarzą wyjaśnił, że chłop, którego napotkali, gdy tylko wjechali w opłotki, wyglądał jak zbój.

Claymore nie obraził się. Wiedział, że przeszedł kolejny test. Jak mawiał Marcel, najemnicy dzielili się na nieufnych i martwych. Ci drudzy zresztą przeważali. Bliźniacy nie byliby sobą, gdyby wjechali wolno do wioski, do której przywiódł ich Claymore. Podejrzliwość obowiązywała wobec wszystkich, zwłaszcza zlecniodawców.

Zlecniodawca też mógł być zadowolony. Marcel również zdał egzamin. Nie zestarzał się widać, nie zgnuśniał, co więcej, nie pomyślał o postoju w ludnej, zasobnej wiosce, gdzie nawet piwo mogłoby mieć

znośny smak. Wioska miała jedną, zasadniczą wadę – leżała zbyt blisko uczęszczanego gościńca, a zjeżdżająca nagle na popas karawana kupców, jakiś oddział wracający z podjazdu czy choćby wędrowni mnisi-jałmużnicy oznaczaliby kłopoty.

Claymore nie miał złudzeń. Zadanie i tak miało być trudne,omalże niemożliwe do wykonania. Nie chciał jeszcze bardziej zmniejszać mizernych szans, co niewątpliwie nastąpiłoby, gdyby ktoś zdążył rozpowiedzieć w mieście o podejrzanej bandzie obozującej nieopodal miasta.

– Zostaw – powtórzył, widząc, że Marcel sięga jednak po garniec. – Zostaw to na później.

– A co na teraz? – Najemnik nieufnie uniósł brwi.

Skowronek przestała odkrawać grube plastry słoniny.

– Każ przynieść wino. – Claymore mimo zmęczenia uśmiechnął się złośliwie, wskazując na wójta.

Skowronek zachichotała piskliwie. Jej skrzywiona śmiechem twarz w migotliwym blasku z paleniska wyglądała jeszcze paskudniej niż zwykle. Zawtórował jej Marcel. Nawet odwrócony do ognia Jean-Pierre wydał z siebie coś pomiędzy beknięciem a pierdnięciem.

– Jaja sobie robisz, Claymore. – Najemnik pokręcił głową. – Skąd tu, na tym zadupiu, wino? Chyba...

Urwał, widząc kpinę w oczach Ramireza.

– Ty sukinsynu... – mruknął, na poły ze złością, na poły z podziwem. – Wiedziałeś.

– Owszem, wiedziałem. Znam cię nie od dziś. I nigdy się jeszcze nie zawiodłem na twojej wrednej podejrzliwości.

Brzydka wojowniczką zachichotała jeszcze głośniejsze, nie bacząc na złe spojrzenie patrona. Wbiła z rozmachem nóż w umazane tłuszczem z krojonej słoniny deski, rzuciła wyczekujące spojrzenie. Drugi z bliźniaków nie odwrócił się nawet.

Milczenie przeciągało się, Marcel naprawdę był zły.

– Skowroneczku, skarbie. – Ramirez postanowił zarządzić coś konstruktywnego. – Weź no tego kmiota, niech cię zaprowadzi. Pamiętaj, powinny być trzy bukłaczki.

Najemniczka podniosła się powoli, jej ciężka, ogromna głowa sięgała powały. Wójt zbladł, zadreptał w miejscu.

– Zaraz, zaraz! – Marcel poderwał się z zydlu. – Siadaj, dziewczko, sam przyniosę.

Na twarzy dziewczyny odbiło się rozczarowanie. Powetowała je sobie zaraz, waląc wójtą otwartą dłonią w kark. Poskutkowało, poblądły nagle chłopina zatoczył się na drzwi, które otworzyły się, niemalże wyskakując z zawiasów. Zniknął w gęstniejącym mroku. Za nim, utyskując głośno, podążył Marcel.

Rozmazana krew na twarzy wójtą zdążyła już zaschnąć. Sam był sobie winien, mógł przewidzieć, że zawartość wody w winie powinna mieć jakieś granice. Tymczasem zgubiła go pazerność.

Wystarczyło, by Marcel pociągnął pierwszy łyk. Spojrzał przeciągle na Ramireza, podał mu bukłak. Claymore spróbował i tylko skinął głową.

– Można? – upewnił się Marcel.

Wójt nie zrozumiał jeszcze. Jego błąd, nie powinien w ogóle leżać w oczy.

Claymore spróbował jeszcze raz. I potwierdził.

Teraz wójt związał się jak w ukropie. Znalazło się nawet piwo, nie ten paskudny płyn, który dostali na początku, a który kolorem i smakiem sugerował, że w jego warzeniu duży udział miały konie. Zupełny idiota, ocenił Ramirez. Mógł podpieprzyć zwyczajnie bukłak, zamiast z każdego odlewać, na jedno by wyszło. Może i nie na jedno, pazerny był, dołał bez umiaru. To się dobrze nie skończy.

Jean-Pierre uparcie próbował, jednak w końcu i on się zniechęcił. Próby wypicia wina z pominięciem wody nie powiodły się. Z niechętnym pomrukiem najemnik przerzucił się na piwo.

Na jego miejscu już bym zwiął, pomyślał Claymore, obserwując wójtą. Na co on jeszcze czeka, na zapłatę może? Widział już zabawy Marcela i jego kompanii. Dziś także nie zamierzał przeszkadzać, zbyt zależało mu na współpracy, nawet jeśli ceną za nią miało być zdrowie, albo wręcz

życie tego kmiota, czy też wątpliwa cnota jego córki.

Na razie córka była zachwycona. Uśmiechała się złośliwie, gdy spoglądała na ojca, i zalotnie, kiedy spoczął na niej wzrok któregoś z najemników. Spoczął to źle powiedziane, zauważył Claymore. Jean-Pierre odstawił dzbanek, aż rzadka piana chlusnęła na deski stołu. Oblizując wargi z resztek piany, wręcz obmacywał spojrzeniem nieco tłustawą dziewczynę. Panna chichotała, zachęcana jeszcze ponagłającymi gestami ojca.

Ramirez splunął, pożałowawszy przelotnie, że też nie natrzaskał chłopca po pysku. Gdyby zległ gdzieś w barłogu, nie stręczyłby tak nachalnie własnej córki.

– Zawołaj resztę, póki piwo jeszcze jest – mruknął do Marcela. – Bez sensu na dworze stać.

Wilfried wtoczył się do izby i od razu wypatrzył walające się na narach bukłaki. Przypiął się do jednego.

– Tfu! – splunął ze złością.

Nikt go nie ostrzegł, za to Skowronek z Jeanem-Pierre'em zgodnie zachichotali. Po chwili przyłączył się wójt, sprawca nieszczęścia. Zrazu niepewnie, potem widząc aprobatę, pełną gębą. Brakowało mu przednich zębów, Claymore nie pamiętał, czy od niedawna, czy może i przedtem ich nie było. Przypomniał sobie trzask, jaki rozległ się, gdy pięść Marcela trafiła w zarośnięty pysk. Raczej od niedawna, zdecydował.

Gwiazdeczka cisnął bukłak, chlustając przy okazji rozwodnionym winem.

– Z czego się cieszysz, kmiocie? – warknął wściekły.

Nie znosił, gdy kamraci śmiali się z niego, a zdarzało się to dość często. Powoli odwijął z drewnianej rękojeści łańcuch morgensterna. Ciężka, kolczasta kula zakołysała się. Wójt już się nie śmiał, stał z otwartą gębą, sparaliżowany strachem. Śledził ruchy Gwiazdeczki rozbieganym wzrokiem, w końcu padł na kolana.

Najemnik wykrzywił wargi w uśmiechu. Tak będzie nawet wygodniej. Przedłużał tę chwilę, bardzo to lubił.

Chłop na przemian usiłował zajrzeć najemnikowi w oczy, to znów śledził kołysanie się kuli, zataczającej coraz szersze łuki. Nie mógł

wydobyć głosu, choć zrozumiał, co za chwilę się stanie. W izbie zapadła cisza. Tłustawa dziewczyna stała bez ruchu, patrząc z jakąś niezdrową fascynacją.

– Dość tego! – W ciszę wdarł się gniewny głos Marcela. – Koniec zabawy, zostaw go!

Rozkaz padł w ostatniej chwili. Łańcuch był wystarczająco rozkołysany: wystarczył krótki ruch przedramienia, by kula ze świstem spadła na czaszkę klęczącego wójta.

Ręka Gwiazdeczki drgnęła, kula ominęła głowę kmiecia o cal. Najemnik odwrócił się z wykrzywioną złością twarzą.

– Czego? – syknął, zapominając o szacunku dla przywódcy.

Marcel pchnął go w pierś.

– Nie będziesz tu gnoju robić! – powiedział bez specjalnego nacisku. – Zachłapiesz wszystko i nie będzie na czym dupy posadzić, żeby się nie umazać. A przecież na noc tu zlegniemy.

– Uważałbym... – Wilfried był wyraźnie rozżalony.

– Jasne! – parsknął najemnik. – Jak ci tak zależy, to bierz go, idź na majdan i rób, co chcesz. Tylko dalej odejdz, my tu zamierzamy kulturalnie czas spędzać, krzyki nam będą przeszkadzać. Albo napij się piwa.

Gwiazdeczka popatrzył na klęczącego, bezsensownie osłaniającego rękami głowę chłopca. Potem na garnce z piwem. Potem jeszcze raz na chłopca. Rozwahał widać, co sprawi mu więcej przyjemności. I podjął decyzję.

Wetknął trzonek morgensterna pod pachę, schylił się. Bez wielkiego trudu poderwał wójta na nogi.

– No, pora na cię – powiedział z okrutnym uśmiechem.

Wójt odzyskał mowę, zaskomlił coś o politowaniu, małych dzieciach. Na nikim nie zrobił wrażenia, nawet na własnej córce, ale ona nie była już mała, w rzeczy samej. Potem próbował paść do nóg, co Wilfried udaremnił szybkim kopniakiem.

Schylił się, ujął chłopca wpół.

– Skowronek, otwórz drzwi! – stęknął.

Najtrudniej było przy samym wyjściu. Wójt czepiał się framugi, wpijał paznokcie w drewno. Już nie skomlał o politowanie, teraz przeklinał, na przemian z psim niemalże skowytym. Nie wiedzieć czemu przeklinał zwłaszcza tę kurwę, prawdopodobnie ślubną małżonkę.

Widząc, że tak nie da rady, Wilfried puścił go, cofnął się o krok, kopnął z rozmachu w sam dół kręgosłupa. Palce chłopca zeszywniały, ześlizgnęły się z futryny. Drugi kopniak wyrzucił go w ciemność.

Gwiazdeczka starannie zamknął drzwi, bo ciągnęło od nich chłodem.

Popatrzył po twarzach kamratów.

– No co? – spytał. – Ja tylko tak dla jaj...

Bez wójta w izbie zabawa rozkręcała się znacznie lepiej. Nawet Jean-Pierre przestał słuwać w palenisko. Cycata dziewczyna już nie stała skromnie w kącie. Siedziała na kolanach Gwiazdeczki, wpółrozwalonego na narach. Chichotała piskliwie, odpychała dłonie obmacujące pierś. Ale bez specjalnego zaangażowania.

Marcel przymrużonymi oczyma i z pobłażliwym uśmiechem przylepionym do twarzy śledził poczynania reszty. Wiedział, że kamraci muszą się wyszumieć.

– Może ty chcesz, Claymore? – spytał Marcel. – Jeśli tak, to chłopaki poczekają.

Claymore spojrział zdziwiony, gdy dotarło do niego, że propozycja jest poważna. Zmierzył wzrokiem chichoczącą dziewczynę.

– Może następnym razem – mruknął uprzejmie.

– Jak chcesz – odparł najemnik. – Też nie mam ochoty na...

Przerwał mu trzask dartego płótna. Gwiazdeczka zniecierpliwiał się widać. Półnaga teraz dziewczyna zeszywniała na chwilę, ale szybko znów zaczęła piszczeć.

Ramirez pociągnął łyk piwa. Mogliby już skończyć, pomyślał, spać się chce. A pannie najwyraźniej spodobał się Wilfried, widać zaimponował, jak lał tatusia. Albo z ciebie niezła zdzira, pomyślał Claymore, albo z

tatusia skurwysyn. Eh...

Znów uniósł kubek. Piwo w miarę picia robiło się coraz lepsze.

Do pary kotłującej się na narach dosiadł się Jean-Pierre. Z drugiej strony Bianco, jak zwykle mroczny i milczący. Dziewczyna chciała wstać, zabawa najwyraźniej przestała jej się podobać. Po chwili krzyknęła, gdy bliźniak z Tours ścisnął do bólu jej pierś. Próbowwała go odepchnąć, ale najemnik zaśmiał się tylko, począł zdzierać z niej resztki przyodziewku. Pomagał mu Bianco.

– Ale ja pierwszy? – zaniepokoił się Wilfried. Mocował się z kłamrą pasa.

Claymore popatrzył na najemniczkę siedzącą pod ścianą, spodziewając się zobaczyć... sam nie wiedział co, dezaprobatę, może wstręt. Napotkał wyzywający, a jednocześnie nieobecny wzrok brzydkiej dziewczyny. Oddychała głośno. Gdy zobaczył, gdzie powędrowała jej ręka, odwrócił oczy.

Tłusta wieśniaczka z krzykiem spróbowała odepchnąć Jeana-Pierre'a. I po raz pierwszy oberwała po twarzy, nawet niezbyt mocno, grzbietem dłoni. To wystarczyło jednak, by z pękniętej wargi pociekła strużka krwi. W oczach dziewczyna miała już tylko strach.

Claymore dosłyszał ni to westchnienie, ni jęk, dobiegający spod ściany, gdzie siedziała Skowronek. Nawet nie spojrział.

Cycata dziewczyna jeszcze usiłowała się bronić. Korzystając, że Wilfried wciąż był zajęty własnymi spodniami, a Jean-Pierre zanosił się kretyńskim chichotem, niemal zdołała się wyrwać. Bianco chwycił ją i zaraz puścił, wrzasnąwszy. Dziewczyna odskoczyła, potknęła się, upadła na podłogę.

– Ugryzła go, kurwa jedna! – Wilfried rozpiął już pas, teraz wskazywał oskarżycielsko palcem.

Dziewczyna rozejrzała się błędnym wzrokiem. I dokonała złego wyboru. Przypadła do Skowronka, siedzącej pod ścianą. Chwyciła ją za nogi.

– Ratujcie, pani – wychlipała.

Najemniczka pogładziła jej policzek, powiodła palcem po wargach. Potem chwyciła za nadgarstki, jakby chciała oderwać dłonie przyciśnięte

do policzków.

– Cichaj, dziewecko – szepnęła. – Cichaj, wszystko będzie dobrze...

W oczach wieśniaczki, wypełnionych łzami, błysnęła wdzięczność. Przeszła bardzo szybko w strach, gdy dłonie najemniczki zacisnęły się z całą siłą.

Skowronek wstała bez wysiłku, podnosząc zmartwiałą dziewczynę.

– Gryzies? – wysepleniała. – Nie bój się, wszystko będzie dobrze, polubis...

Powlokła wierzgającą dziewczynę, która ledwie dotykała stopami polepy. Rzuciła na nary.

– Psytsymam ją, chłopaki. A ty nie gryź, cies się, że ja na zabawę chęci dziś nie mam.

Claymore chciał po prostu wyjść. Powstrzymał go kpiący wzrok Marcela. Co, okażesz się miękki? – zdawał się pytać.

Nie, nie okażę, pomyślał Ramirez. Zbyt jesteś mi potrzebny. Pożałował, że nie ma czym się upić, bo krzyki gwałconej dziewczyny stawały się coraz głośniejsze. Rzucił okiem, Wilfried jak zwykle nie miał szczęścia, albo zbyt się guzdrał. Ubiegł go Jean-Pierre. Kończył właśnie, po chwili przetoczył się na bok, z wyrazem tępego zadowolenia na twarzy. Przytrzymująca wieśniaczkę Skowronek oblizała wargi. Znów oddychała szybko, oczy jej błyszczały.

Bianco na chwilę zdjął rękę z ust dziewczyny. Ta wrzasnęła głośniej. I splunęła mu prosto w twarz, śliną zmieszaną z krwią.

– Przeklinam was wszystkich. – Prawie nie można było jej zrozumieć, musiała przygryźć sobie język. – Wszyscy umrzecie, już niedługo! Jesteście trupy!

Ramirez spostrzegł, że Marcel drgnął, przymknął szybko oczy, by ukryć strach. Jemu samemu zrobiło się dziwnie. Może mieć rację, pomyślał.

– Tfu, na psa urok! – wymamrotał Marcel.

Najemniczka okazała najwięcej przytomności. Ze ściągniętą nagle twarzą nacisnęła dziewczynie szyję, tuż pod uchem. Białka wieśniaczki uciekły w głąb, głowa opadła jej na bok.

Bianco ukradkiem zrobił gest od uroku. Splunął.

– Dalejże! – przynagliła Skowronek.

Wilfried stał ze spodniami opuszczonymi do pół łydki, spoglądał w dół.

– Eh, teraz mi nie stanie – mruknął na poły ze złością, na poły z żalem.

– Kurwa przeklęta.

Ściągnięta twarz najemniczki wykrzywiła się w uśmiechu.

– A stawał ci kiedykolwiek? – spytała pogardliwie. Ale w oczach miała tylko lęk.

- V -

Stało się tedy, iż Wiedźma wprzódy officiose na konfessaty wzięta a także y przed Mistrza dla poiednania przywiedziona, widząc zgubę niechybną swe Maleficium, alias czary czynić poczęła. A w woli zaś ludzkiej, która cum libero arbitrio operuje, tylko czary prezentuią objecta zewnątrz iakie amabilia albo odibilia, albo wystawuią imaginaryine wizye, wolę łudzając y iakoś wkładaiąc potrzebę czynienia y nakłonienia. Do takiej usługi może być Czart sprowadzony tylko per pactum explicitum, albo implicitum y przez obietnicę iemu rzeczy iakiey niegodziwey uczynioną.

To ieszcze addendum, iż Czart Chmurę gradową y ciężką sprowadziwszy na Wiedźmy wezwanie, dym z niey y fetor nieznośny puszczaiąc, woyska zamkowe poraził, y tak ich nieszczęśliwą zniósł klęską. Próżno Baron prawy z towarzyszymi swemi na przekór czartu stawał, mocy Dyabelskiej nie uradził. Od Czarta i mocy piekielney porażon na bruku skrwawionym legł, o mała ducha Bogu nie oddawszy.

Powiadaią, że Czart impotentiam ad coitum na zgubę iego directe ordynował, ieno na nic zdała się perfidya, a Bóg litościwy w łasce Swey niezmierney prawemu Baronowi nazaiutrz zbyć żywota dozwolił.

Żywot Bł. Piotra z Blyton, Biskupa Lincoln

Żylasty mnich w przybrudzonem, połatany habicie postukiwał do taktu sękatym kosturem. Jego bosc, obute w sandały, wielkie stopy co rusz mimowolnie przytupywały rytmicznie, co sądząc z grymasu na wygolonej, wygarbowanej wiatrami twarzy, wprawiało świątobliwego męża w wielką irytację. Mnich nieruchomiał na chwilę, palącym spojrzeniem wpijał się w twarze mijających go obojętnie mieszczan, kmiotków i małych urwisów. Bez rezultatu. Nawet osoby zwykle hojne – kupcy, pragnący miedziakiem odkupić codzienne grzechy,

niedomierzone łokcie sukna, śmietanę fałszowaną mąką, przemyślnie wydrażone odważniki – nie zwracały uwagi na wykrzykiwane przemiennie błogosławieństwa i groźby ogni piekielnych. W drewnianej misce jałmużnika leżały jedynie nieliczne miedziaki, a w uszy mnicha wwiercał się pisk niemelodyjnej fujarki, rytm bębenka natrętnie prowokował bose stopy do nieprzystojnego przytupywania w takt muzyki. W przerwach między błogosławieństwami wymrukiwał pod nosem coś, co brzmiało zgoła nie po chrześcijańsku. Nikt go nie słuchał, wszystko zagłuszała hałaśliwa melodia.

Jego konkurent nie miał takich problemów, od samego rana nie mógł narzekać na brak publiczności. Co chwila w dźwięk fujarki wdzierał się brzęk monet, szczerze wrzucanych do kociołka, z którym mała, jasnowłosa dziewczynka o pucołowatej buzi aniołka obchodziła stłoczonych w kręgu, przepychających się ludzi. Krąg nie był zbyt ciasny. Nawet ci, którzy precyzyjnie się na sam przód, w pewnym momencie zapierali się z całej siły w ziemię. Zgoła nie ze strachu zresztą, tańczący do rytmu bębenka, przy wtórze piskliwej fujarki niedźwiedź potwornie śmierdział.

Zabrzęczał krotki łańcuch. Niedźwiedź kołysał na boki ciężkim łbem, sapał z wysiłkiem, mierząc publiczność przekrwionymi ślepkami. Nie wyglądał na zachwyconego koniecznością zabawiania gawiedzi i niejeden z tych, którzy dopchali się na sam przód, był szczęśliwy, gdy spojrzenie śmierdzącego, ponurego zwierzaka prześlizgnęło się po nim gdzieś dalej. Coraz wolniej kiwał się wielki łeb, dreptał też coraz mniej zgodnie z rytmem tamburyna, którym potrzasała po męsku ubrana dziewczyna. Długi, siny jęzor wysunął się spomiędzy oślinionych, żółtych zębisk.

Potęźnie zbudowany mężczyzna targnął za łańcuch. W przekrwionych oczach zwierzęcia błysnęła nienawiść, przez chwilę widać było, że pod skudloną sierścią drzemią wciąż jeszcze potężne mięśnie. Z gardła niedźwiedzia wydarł się głuchy charkot, na stojących najbliżej wionęła fala potwornego smrodu. Cofnęliby się chętnie, lecz nie pozwolili na to napierający z tyłu. Jednak kolejne szarpnięcie łańcucha przywołało niedźwiedzia do porządku. Zgasły ogniki buntu w małych ślepkach, zwierz wyprostował się jak dźgnięty w zadek, zaczął przytupywać i kołysać się z nową energią.

- ...błogosławieństwo! - Ochryply okrzyk wdarł się w dźwięki muzyki.

Mnich jałmużnik widać nie rezygnował. Chwilowo nie miał jednak szans.

Fujarka wydała ostatni, przeraźliwy pisk i umilkła. Śmierzący zwierzak z ulgą opadł na cztery łapy. Kołysał tylko łbem na lewo i prawo, mierząc nieprzyjaznym spojrzeniem wiwatującą publikę.

Ludzie zaczęli się rozchodzić. Wmieszany w tłum Ramirez minął jałmużnika, który korzystał z okazji i wykrzykiwał swoje błogosławieństwa z rosnącą nienawiścią. Zupełnie uzasadnioną, biorąc pod uwagę, że zabawa dopiero się zaczynała, a tańczący niedźwiedź był pierwszą atrakcją festynu. Nikt nie kwapił się do rzucania miedziaków, przecież i później czekało wiele atrakcji, od piwa poczynając, na wszetecznych dziewczkach kończąc. Ostatecznie nie co dzień zdarza się taka zabawa.

Unikając nienawistnego spojrzenia mnicha, Claymore powoli ruszył wzdłuż rozstawionych kramów.

Minął opartego o mur strażnika, jednego z tych nowych. Zbrojny nosił już barwy szeryfa, jednak nie wyglądał na żołnierza, raczej na zubożalego szlachcica-grasanta. Wyraźnie nie wiedział, co robić z długą glewią o zardzewiałym ostrzu. Jednak był czujny, jego spojrzenie prześlizgnęło się po postaci Ramireza, który miał wrażenie, że zbrojny wręcz obmacuje go w poszukiwaniu ukrytej broni.

Claymore wbił wzrok w ziemię, odsunął się pospiesznie. Tak zareagowałby niewątpliwie pastuch, za którego chciał uchodzić. Kątem oka dostrzegł, że zbrojny nie spogląda za nim, rozglądał się dalej po stłoczonym na targowym placu tłumie.

Poddasze było niezłe, choć jak na gust Bianca deski podłogi zanadto skrzypiały. Nie miało to znaczenia, właściciel spichrza i tak nie mógł nic usłyszeć, bynajmniej nie z powodu gwaru ciżby, która coraz bardziej wypełniała plac, wylewając się strumieniami z wąskich uliczek.

Kupiec miał pecha, ta stara jędza, jego żona, słusznie wyrzekała, że zgubi go gnuśność. Tym razem też marudził. Zamiast zbierać się szybko na widowisko, kręcił się jeszcze bez sensu po spichrzu, pomstując na czeladników, którzy od dawna walczyli o najlepsze miejsca pod samą szubienicą.

Wąski sztylet Bianca, który w innym przypadku posłużyłby tylko do oderwania zardzewiałego skobla, wbił się w tłusty, obwisły podbródek, ostrze kierowane ku górze przebiło język, podniebienie i pograżyło się w mózgu. Opasły kupiec zdążył tylko sapnąć, zanim jego świat zniknął w pojedynczym rozbłysku. Kuszniak wyteżył mięśnie, podtrzymał drgające ciało, popatrzył w kończące ostatni pląs źrenice.

Po chwili drgawki ustały, oczy wywróciły się, uciekły pod czaszkę. Bianco powoli opuścił rękę, ciało osunęło się w kałużę moczu. Szarpnął, wyrывая zaklinowany sztylet, wytarł go o przyprószone mąką odzienie kupca.

Nasłuchiwał, ale głuchy odgłos padającego ciała nie zwabił nikogo. I tak nie spodziewał się, że w równie obfitującym w atrakcje dniu kogokolwiek zastanie w spichrzu. Jak zawsze jednak był ostrożny, co też jak zawsze się opłacało. Trącił nogą zwłoki. Jego pech, pomyślał.

Stryzek był spory, mógł spokojnie położyć się z dala od jedyne go otworu, ni to drzwiczek, ni to okna, służącego do wciągania worków mąki i zboża. Miał pewność, że dla kogoś na zewnątrz kwadratowy otwór jawił się jednolicie czarny, zwłaszcza dziś, na tle bezchmurnego, jasnego nieba. Nieco przeszkadzała tylko belka nad otworem, z której zwisał sznur, kołyszący się w podmuchach lekkiego wiatru.

Za to miał doskonały widok na cel. Wielką trybunę z baldachimem, obitą sukniem i przyozdobioną proporcami. Na razie jeszcze pustą.

Zazwyczaj było to zadanie dla dwóch ludzi, ale tym razem Bianco musiał poradzić sobie sam – zająć stanowisko, oszacować odległość, napiąć kuszę. Dwieście kroków to nie byle co, nawet dla takiej kuszy, używanej zwykle, z racji swej mocy do zabijania ciężkozbrojnych, opancerzonych rycerzy. Strzelec tylko celuje i naciska spust, kto inny

napina broń, ocenia odległość i siłę wiatru. Bianco tym razem musiał to wszystko zrobić sam. Wiedział, że jeśli spieprzy robotę i spudłuje, straci jedyną szansę. Wszystko diabli wezmą, nawet jeśli zdoła się wycofać, a nie było wcale oczywiste, że zdoła. Spichlerz, najwyższy budynek, tkwił samotnie przy placu niczym samotny ząb w szczęce starego wieśniaka. Nietrudno będzie się zorientować, skąd mógł nadlecieć bełt. Jeśli nie trafi od razu, trudno liczyć na szok, na zamieszanie. Cały skomplikowany plan, i tak zwariowany i ryzykowny, załamie się.

Od szpar w podłodze ciągnęło zimnem. Nie miał tym razem ze sobą izolujących od podłoża skór, trudno kręcić się po mieście, pod okiem straży, z wielkimi tobołami na plecach. Widział zresztą, że zbrojni potrafili rozpruwać worki, które wieśniacy wnosili na plac, dźgali sztychami mieczy siano i słomę na wozach, niemalże zaglądali wieśniaczkom pod kiecki. I tak dobrze, że udało się wnieść kuszę. Na szczęście dawała się rozmontować, ciężkie, warstwowe łuczysko można było oddzielić od łoża, zawinąć razem w podługowaty pakunek.

Wybrał specjalny bełt, przeznaczony do przebijania hartowanych płyt zbroi. Nie zależało mu tym razem na sile przebicia, ale takie bełty były ciężkie, leciały bardzo płasko, co za tym idzie raziły celnie. Nie przejmował się, że prawdopodobnie pocisk przejdzie na wylot i być może zabije nie tylko cel, ale jeszcze tego, kto będzie stał przypadkiem z tyłu. Na przykład jakiegoś sługę albo kogoś ze straży. Albo jaśniepańską faworytę. Nie, ta raczej będzie siedzieć obok, machając chusteczką, pomyślał Bianco. Nieważne.

Łuczysko z cichym szczęknięciem zaskoczyło w wyłobieniu łoża. Bianco rozciągnął się na poskrzypującej podłodze, oparł broń na wypełnionym do połowy worku, który znakomicie posłużył jako przedpiersie. Popatrzył wzdłuż linii celowania, prosto na trybunę. Wciąż jeszcze pustą.

Cofnął się nieco, denerwował go rozkołysany, zwisający z belki w polu widzenia sznur. Teraz lepiej. Jeszcze raz przylgnął policzkiem do łoża. Doskonale.

Zaskrzypiała korba, zębátka pociągnęła cięciwę. Szło ciężko, kusza miała dobrych kilkaset funtów naciągu. Wreszcie cięciwa zaskoczyła w rowku orzecha.

Bianco w zamyśleniu popatrzył na bełt, jedyny, jaki ze sobą zabrał.

Delikatnie przeciągnął palcem po lotkach ze sztywnych gęsich piór. Dmuchał na grot i oparł go na cięciwie.

Teraz mógł już tylko czekać.

W końcu w bramie pojawił się wózek, popychany przez zbrojnych. Gawieź straciła zainteresowanie występami niedźwiedzia, wreszcie zaczynało się najciekawsze. Każdą czarownicę. W nagłej ciszy słychać było turkotanie kół na bruku i skrzypienie wózka, brzęk oporządzenia. Claymore sprężył się i w jednej chwili zapomniał o dziewczynie z tamburynem. Za chwilę się zacznie, gdy tylko kobieta prowadzona przez zgarbionego księdza wstąpi na rusztowanie.

Ruszył do przodu, słysząc narastający gwar, klątwy zbrojnych, usiłujących utrzymać napierający tłum z dala od szubienicy. Każdy chciał zająć jak najlepsze miejsce. Każdy walczył o nie łokciami i kopniakami.

Zaraz się zacznie. Miał nadzieję, że Marcel i Jean-Pierre już zajęli właściwe pozycje. Co do Gwiazdeczki i Skowronka był pewien, dostrzegł ich kilka chwil przedtem. Najemnik, oparty o wóz, dłubał w nosie z miną zdeklarowanego idioty, niby mimochodem bawiąc się ciężkim, zwisającym z dyszla łańcuchem. Dziewczyna, której szkaradna twarz nie wzbudziła jak dotąd większej sensacji, uwiesiła mu się na ramieniu. Wyglądali na dobraną parę.

Nie spoglądał w stronę rusztowania. Wiedział, że wszystko odbędzie się jak zwykle, według reguł. Starał się ominąć największą cizbę, która i tak się rozpierzchnie, kiedy Bianco wykona swoją część zadania.

Żyłasty mnich jałmużnik zdążył pojąć, że nie może konkurować z główną atrakcją festynu, ani z pomniejszych, w rodzaju tańczącego, smrodliwego niedźwiedzia, miotającego nożami dziewczęcia, czy nawet z bezwstydnymi dziewczkami. Nie rezygnował jednak, przeciwnie, miał się teraz bardziej aktywnych metod niż bezcelowe wykrzykiwanie błogosławieństw na przemian z obietnicami mąk piekielnych. Znienacka zastąpił drogę Ramirezowi, podsuwając mu pod sam nos drewnianą miseczkę.

- Jesteś dobrym chrześcijaninem, mój synu! - wykrzyknął z nienawiścią.

- Nie, ja tylko tak głupio wyglądam. - Claymore odepchnął go z roztargnieniem na bok. Jałmużnik runął między stragany, ciskając przekleństwami, jakich nie powstydziłby się czciciel szatana.

Ramirez nawet nie spojrzał w jego stronę, zajęty wyciąganiem korda z nogawki zgrzebnych spodni. Tkwił tam od rana, przymocowany przemyślnie rzemykami do uda, z rękojeścią wystającą nieco powyżej biodra, ale bez pochwy, przez co Claymore już od dłuższego czasu wolał się nie schylać. Rękojeść, choć pozbawiona jelca, zaplątała się w fałdy odzienia. Zaklął pod nosem i zastygł w niewygodnej pozycji, czując na sobie czyjeś natarczywe spojrzenie. Jego wzrok skrzyżował się ze wzrokiem jasnowłosej dziewczyny, tej od tamburyna. Zrozumiał, jak kretyńsko musi wyglądać, kmiot o zarośniętej gębie, zgięty wpół, gmerający w okolicach przyrodzenia. Ale w spojrzeniu dziewczyny nie dostrzegł rozbawienia ani odrazy. Tylko czujność.

Wyprostował się ostrożnie, rzemyki były już rozluźnione, a nie chciał przy okazji gwałtownych ruchów stracić czegoś istotnego. Dziewczyna odwróciła się bez słowa, wmieszała w ciżbę. Nie na tyle jednak szybko, by nie zdołał dostrzec noża, trzymanego w luźno opuszczonej dłoni, ostrzem opartego o nadgarstek. Co tu się, kurwa, dzieje, pomyślał tylko. Nie było czasu na dalsze rozważania i wątpliwości, po coraz głośniejszej wrzawie i aplauzie ocenił, że wiedźma wkracza właśnie po stopniach rusztowania. Pora na Bianca. Powstrzymał się od spojrzenia w ciemne okienko spichlerza, daleko, gdzieś za plecami.

Rękojeść korda wyplątała się wreszcie. Wyciągnął broń, mocno ujął drewniany uchwyt, nie przejmując się już, czy ktokolwiek to zobaczy. Zaraz i tak zacznie się coś, co Marcel zwykle określał mianem "pożaru w zamtuzie".

Obserwował proporce na włóczniach, zatkniętych na skrajach trybuny. Jeszcze niedawno zwisały smętnie, a teraz mógł już zobaczyć klejnot, wyszyty złotymi nićmi na szkarłatnej tkaninie. Chyba gryf, uznał,

sądząc po pazurach i niewielkich, szczałkowych skrzydłach. Zmełł pod nosem przekleństwo. Z ruchu proporca mógł wywnioskować tylko kierunek wiatru. Na szczęście wiał prostopadle do przewidywanego toru pocisku i był jednostajny. To dobrze, pomyślał, łatwiej oszacować poprawkę na znoszenie. Może nie jest tak źle, pokrzepił się w myślach Bianco, nie ma nic gorszego niż nagły podmuch, kiedy naciśnie się spust i nie można już nic więcej zrobić.

Trybuna powoli się zapełniała. Jednak najważniejsze, centralne miejsce wciąż było puste. Ale już niedługo.

Dwa bosonogie urwisy dawno zrezygnowały z dotarcia na lepsze miejsce. Wszystko sprzyścięło się przeciwko nim. Byli zbyt mali i słabi, żeby dopchać się na sam przód, przed skrzyżowane giewie, i zobaczyć budujące widowisko ze wszystkimi szczegółami. Ale zbyt duzi, by liczyć, że matki, ojcowie lub dobrzy wujkowie podsadzą ich w górę, skąd widok byłby równie dobry, jak z trybuny wielmożów. Trudno, później też będzie ciekawie, czarownic nigdy zbyt szybko nie odcinano ze stryczka, zdążą obejrzeć i siny, wywalony z ust język, i szkliste, wybałuszone oczy. Będą mogli porzucać w zwłoki końskim łajnem.

Na razie wprawiali się na dwóch braciszkach, którzy trzymali się na uboczu zbiegowiska. Mnisi z chrześcijańską pokorą znosili szczeniackie wybryki, kryjąc pochylone twarze w cieniu kapturów. Tylko zaciskali mocniej dłonie na długich, sękatych kosturach, gdy grudki nawozu trafiały celniej, i mruzcili coś cicho. Pewnie odmawiali różaniec, co jak wiadomo jest znakomitym sposobem wspomagającym cierpliwość.

Wybuchły wiwaty. Zacni mieszczenie z Nottingham szybko zapomnieli o strachu, który nie tak dawno przecież spadł na miasto, gdy nowy szeryf zaprowadzał swoje porządki. Cóż, rajcom pewnie się należało, wiadomo, każdy człek z gminu, który dochrapie się urzędu, to

złodziej. Słuszną więc decyzją było obwieszenie ich wszystkich. Słuszną i bardzo na czasie.

A nowy pan okazał się ludzki. Dostarczył przecież igrzysk. Przyjdzie pora i na chleb, a może i nawet coś do chleba. Na przykład piwo. Toć nie co dzień wieszka się wiedźmę, zwłaszcza równie zatwardziałą, kochankę szatana i banitów. Mniejsza o szatana, banitów w całym hrabstwie wszyscy mieli powyżej dziurek w nosie.

I nieważne, że źli ludzie szeptali o ciemnych siłach, które stoją za nowym panem. Plotkarze też niechybnie powinni skończyć na szubienicy.

Czarny Baron, szeryf hrabstwa Nottingham dostojnie posadził tłusty zadek w centralnym miejscu trybuny. Dwieście kroków dalej policzek Bianca przyłgął do łoża kuszy.

Nieświadom niczego baron machał łaskawie ciężką od pierścieni dłonią. Czuł się szczęśliwy, dla takich chwil warto było znosić wszystko, włącznie z kłopotliwym sprzymierzeńcem. Był dzisiaj skłonny wybaczyć wszelkie poniżenia.

Ramirez trzymał kord opuszczony wzdłuż uda. Od skrzyżowanych giewi strażników dzielił go tylko jeden rząd napierających ludzi. Był gotów.

Wzniesiona do rzutu ręka ulicznika znieruchomiała. Smarkacz zamarł, widząc, jak obaj potulni braciszczkowie wstają jednocześnie, a odrzucone na plecy kaptury odsłaniają twarze niepasujące nijak do świątobliwych mnichów. Kiedy błysnęła stal ostrzy, skrytych dotąd w wydrażonych kosturach, poczuł nagłe ciepło spływające po nogach.

Marcel roześmiał się zgrzytliwie. Jean-Pierre charknął i splunął. Bliźniacy z Tours stanęli ramię przy ramieniu, za nimi wyprostowało się dwóch niepozornych jeszcze przed chwilą kmiotków. W rękach dzierżyli okute pałki, do niedawna będące niewinnie wyglądającymi częściami zaprzężonego w dychawiczną szkapę wozu.

Marcel machnął klingą. Pora na zabawę.

Claymore bezceremonialnie wbił łokieć w plecy stojącego przed nim mieszczanina, tuż nad samą nerką. Człowiek tylko stęknął i zwiotczał. Ramirez podtrzymał go i wepchnął się na jego miejsce w pierwszym szeregu. Teraz tylko rząd zbrojnych dzielił go od szubienicy.

Widział wyraźnie jasną lnianą koszulę, gołe, pokryte siniakami i zadrapaniami nogi, mokrą plamę na cienkiej koszuli. Lśniące strużki spływały po łydkach, barwiąc się karminowo od skrzepów i zupełnie świeżych ran.

Całym wysiłkiem zdusił zalewającą go wściekłość. Jeszcze nie teraz, na wściekłość będzie czas. Wytrzymaj, dziewczyno, już niedługo.

Wciąż miała głowę obwiązaną chustą. Już nie walczyła, zwisała bezwładnie, podtrzymywana przez dwóch żołdaków. Gdyby nie oni, pewnie upadłaby u stop nowiutkiej, pachnącej żywicą i jaśniejącej niedawno obrobionym drewnem szubienicy.

Niedługo powinni odsłonić jej twarz, by mogła pojednać się z Bogiem. Ucałować podsunięty krucyfiks. I poddać się oczyszczeniu.

Na twarzy zgarbionego księdza malowała się uduchowiona radość z dobrze spełnionego obowiązku. Jeszcze jedna duszyczka odebrana szatanowi, pomyślał Claymore, i poczuł, jak wilgotnieją mu dłonie, a pot wsiąka w drewniane okładziny rękojeści.

Jakaś część jego umysłu zareagowała niezadowoleniem. Zazwyczaj nie potniały mu dłonie. Przyłapał się na tym, że wciąż powtarza w myśli jedno zaklęcie, jak natrętny refren. Żeby nie stało się nic nieprzewidzianego. Jednak gdzieś głęboko tkwił niepokój. Coś było nie tak.

Czarny Baron, szeryf hrabstwa Nottingham, nie zamierzał w nieskończoność przedłużać miłych chwil triumfu. Nie mógł się zresztą doczekać, kiedy wreszcie spod nóg wiedzmy kat wykopie stołek i ciało

zatańczy na krótkim sznurze.

Kat był fachowcem, wieloletnim zaufanym barona. Szeryf mógł się spodziewać, że nie skończy się na chrupnięciu kręgów, krótkich drgawkach i przebieraniu nogami. W zasadzie mógł mieć pewność. Kat doskonalił latami swe rzemiosło. Droga żmudnych i czasochłonnych ćwiczeń, metodą prób i błędów doszedł do nie byle jakiej wprawy. Potrafił tak sprytnie założyć pętlę, że skaza niec dusił się dość długo, na tyle długo, że baron mógł z małą ciekawością zaglądać w siniejącą, potem czerniejącą twarz.

Baron westchnął. Dobry fachowiec, ale drogi. Cóż, przynajmniej materiału do ćwiczeń nigdy mu nie brakowało. A kunsztem mało kto mu dorównywał. Szeryf pomyślał, że już niedługo będzie mógł się wykazać, udowodnić, że wygórowane wynagrodzenie nie poszło na marne.

Już czas. Czując dziwne ciepło rozlewające się po podbrzuszu, baron dał znak heroldowi. Wszystko należało odprawić zgodnie z zasadami, egzekucja powinna być porządna, wedle reguł. Skrzywił się niechętnie, chciałby już jak najprędzej przejść do konkretów. Ale trudno, oprawa musi być uroczysta.

Na placu zapadła względna cisza, tylko w ostatnich rzędach tłumu napierającego na szereg zbrojnych dało się słyszeć stłumione przekleństwa, dość uzasadnione, bo z tyłu niewiele dało się zobaczyć. Zapłakało jakieś dziecko, stłamszone w ciżbie, ale płacz ucichł szybko, przerwany kłaśnięciem. Smarkacz zdenerwował matkę, nie w porę zebrało mu się na marudzenie.

Herold, człowieczek chuderlawy, acz obdarzony donośnym, spiżowym głosem rozwinął pergamin, nabrał powietrza w płuca, po czym wypuścił je, całkiem zwyczajnie, nie wydając innego dźwięku poza sapnięciem.

Na twarzach strażników, którzy powstrzymywali widzów, malowała się złość.

Rozkaz był wyraźny, poparty zresztą obietnicami rozlicznych kar, od

wybatożenia poczynając. Mieli tak stać, odwrócenie twarzami do tłumu. Nie miało to sensu, ciżba nie była groźna, chciała tylko dopchać się byle bliżej spektaklu, jak zwykle zresztą. Zbrojni nie rozumieli zupełnie, czym dzisiejsza egzekucja miałyby się różnić od innych. Dlatego byli źli, że jako jedyni na placu mieli stracić najciekawsze.

Polecenia raczył wydać sam pan baron, Wulf dołożył swoje, obiecując, że pierwszemu skurwysynowi, który się odwróci, wyrwie osobiście nogi z dupy i rzuci je psom do zabawy. Choć w większości strażnicy byli nowi w Nottingham, przybyli wraz z szeryfem, nieliczni weterani uświadomili im szybko, że groźba jest całkiem realna, podobnie jak obietnica rozerwania dupy aż do kołnierza. Dowódca straży miał ciężką rękę, a kiedy był wściekły, potrafił karać szybko i bez specjalnego pomiarkowania. A wściekły był zawsze, przynajmniej ostatnio.

Strażnicy też byli wściekli. Tłum czuł to bardzo wyraźnie i nie napierał zbyt, czasem tylko rozlegały się sarkania odważniejszych i milkły szybko pod twardym, nieżyczliwym spojrzeniem zbrojnych. I jedni, i drudzy uważali nowe obyczaje za bezsensowne. Cóż komu przeszkadza, że prosty człek stanie pod samą szubienicą? Rusztowanie wysokie, wielmożni panowie i tak zobaczą, co chcą.

Nic więc dziwnego, że zabrakło czujności. Rozkazy wydawały się zbyt bezrozumną pańską fanaberią, by zbrojni należycie przykładali się do roboty. Żołnierze nie spostrzegli uważnego, taksującego wzroku, który prześlizgnął się po nich, szukając najłabszego ogniwa kordonu. Młody chłopak, widać wzięty do straży prosto od wideł i gnoju, nawet nie potrafił dobrze trzymać broni. Kiedy silne dłonie chwyciły drzewce, instynktownie pociągnął je do siebie, by nikt nie odebrał mu niedawno wyfasowanego ryszunku.

To był błąd. Drzewce skręciło mu się w dłoniach, zaplątało między kolana. Silne pchnięcie i kopniak dokończyły dzieła, a smarkaty strażnik zwałił się na bruk, wypuszczając glew. Jego sąsiad, zanim zrozumiał, co się dzieje, zarobił drzewcem w brzuch, nisko, tam, gdzie kończył się skórzany, nabijany blachami napierśnik. Nawet nie krzyknął, zgiał się tylko, wypuszczając ze świstem powietrze.

Postać w płaszczu z opuszczonym na czoło kapturem bez przeszkód przekroczyła kordon, nim reszta strażników zdążyła się zorientować, co się tak naprawdę stało, dlaczego ich kamraci zwijają się na ziemi, zamiast

stać czujnie, jako pan baron kazali.

Człowiek w kapturze odrzucił giewię. Zanim spadła na bruk, z odgłosem, który rozszedł się szeroko w nagłej ciszy, zsunął z głowy kaptur. Przeszedł jeszcze parę kroków, stanął przed trybuną. Wiatr rozwiewał długie, siwiejące włosy.

Claymore pojął od razu, że cały plan diabli wzięli. Wszystkie przygotowania, przemyślane w najdrobniejszych szczegółach, w jednej chwili straciły sens. Nawet nie zaklął, kiedy stało się to najgorsze, nieprzewidziane.

Nigdy przedtem nie widział mężczyzny, który stał przed trybuną, spoglądając z wyzwaniem w tłustą gębę szeryfa. Ale wiedział, że właśnie rozpadły się w gruzy wszelkie rojenia nieszczęsnego Roberta de Reno. Nikogo nie da się uratować, skurwysyny wygrają.

Przez zalewającą go wściekłość poczuł podziw.

Przyszedł po nią, zrozumiał w jednej chwili. Da im to, czego chcieli. Siebie. Nie mógł zrobić inaczej, nie wiedział przecież.

Co z tego, pomyślał. Właśnie spierdoliłeś wszystko, co mogłeś, Match. Ty też, Claymore, odezwało się coś w jego umyśle. Mogłeś przewidzieć, że tak właśnie się stanie. Że przecież jej nie zostawi. Mogłeś pomyśleć, że nie wszyscy są wyrachowani.

Coś było w samotnej postaci, co powstrzymało zbrojnych, spowodowało, że baron i jego kompania zastygli na trybunie. Ten człowiek nie miał żadnych szans, wystarczyłoby jedno skinienie dłoni, jeden krótki rozkaz, by nie mógł dłużej bezczelnie zakłócać widowiska. Wiedzieli doskonale, przynajmniej niektórzy, że przyjdzie, przecież o to właśnie chodziło. Mimo wszystko byli jak sparaliżowani.

Zamarli w przeczuciu, że oto na ich oczach powstaje legenda. Przeczucie nie myliło ich, istotnie powstawała. Jak każda przyzwoita legenda, ponura i krwawa.

Czekali na wyzwanie, które musi niechybnie paść. Samotny człowiek zdawał się olbrzymem, nie był już nawet człowiekiem. Bali się go

wszyscy, mimo iż stał bez ruchu, z opuszczonymi rękami, bez widocznej broni. Opadły ostrza glewii i halabard, zbrojni odsuwali się, lecz tłum też nie napierał dłużej na szereg. Tłusta twarz barona poczerwieniała, jego poplecznicy uciekali wzrokiem przed spojrzeniem samotnego, bezbronniego człowieka stojącego przed nimi.

Może jeszcze jest szansa, pomyślał Claymore. Może da się coś uratować, może nie wszystko pójdzie na marne. Począł przesuwając się w stronę rusztowania. Jak na razie nikt nie zwracał na niego uwagi.

Match całą siłą woli starał się nie patrzeć w stronę szubienicy. Wystarczyło mgnienie oka, jedno krótkie spojrzenie, by w świadomość zapadł widok postaci podtrzymywanej przez dwóch katowskich pachołków. Nie mógł pozwolić, by wściekłość wzięła górę. Nie mógł przegrać w ten sposób.

Choć zdawał sobie doskonale sprawę, że przegrał. Miał to gdzieś. Nie przyszedł tu wygrywać ani szukać pomsty. Przyszedł zawrzeć układ. Jedyny, jaki pozostał do zawarcia. Nie zastanawiał się, co będzie później. To nie był pierwszy kompromis, jaki miał zawrzeć w życiu. Nie pierwsza klęska. Choć coś powtarzało mu, że pewnie najgorsza.

Prześlizgnął się wzrokiem po trybunie. Nie interesował go ten tłuszcioch, nowy szeryf. Na razie nie interesował, bo jeśli sprawa dobrze się potoczy, przyjdzie i na niego czas. Szukał kogoś, kto, jak wiedział, będzie krył się w cieniu, za plecami innych, którzy byli tylko jego marionetkami.

Nie szukał długo.

W skórzanym, prostym kubraku, z krótkim mieczem zwisającym u pasa druid wyglądał jak zwykły niebogaty szlachcic, może daleki krewny nowego pana, dla którego nie starczyło już miejsca wśród gości, dlatego stał z tyłu, skryty w cieniu baldachimu. Znakomicie pasował do nowych sprzymierzeńców.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. We wzroku druida Match nie dostrzegł triumfu.

– Masz, co chciałeś – powiedział cichym, lecz doskonale słyszalnym głosem.

Spojrzenie bladoniebieskich oczu miało w sobie coś niepokojącego. W ogóle było coś nie tak, Matcha to wyczuwał, ale dotarło do niego dopiero teraz. Jarmarczna wieszczka miała rację. Uświadomił sobie, że do tej chwili w to nie wierzył.

– Przyszedłem – dodał zupełnie niepotrzebnie.

Druid postąpił krok do przodu, wyszedł z cienia. Pochylił się do ucha barona, siedzącego wciąż z rozdziawioną gębą, coś szepnął. Ten wzdrygnął się, poczerwieniał jeszcze bardziej. Popatrzył zaskoczony, jakby nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał. Nie tak miało być.

Nie tak miało być, tłuć się w głowie Ramireza. Już powinno trwać zamieszanie, ten obleśny tłuścioch powinien się stoczyć z trybuny z łbem rozwalonym bełtem, powinien plamić krwią i mózgiem zielone sukno, którym obito deski trybuny. Powinien się kłębić zdezorientowany, zszokowany tłum, zbrojni powinni padać pod ciosami Marcela i Jeana-Pierre'a.

Tylko wtedy Claymore miałby szansę w miarę bezpiecznie dotrzeć do rusztowania, zarąbać kata i jego pomocników. Tylko tak mógł uratować kobietę, po którą tu przyszedł, i wypełnić coś, co z początku było tylko kontraktem, teraz zaś stało się zobowiązaniem.

Mimo wszystko nie rezygnował. Zbrojni wciąż otaczali rusztowanie, na którym kat pospołu z księdzem i pomocnikami przyglądali się bezmyślnie rozgrywającej się przed nimi scenie.

Miał nadzieję, że Bianco nie stracił głowy, że będzie trzymał się planu. Nawet nie pomyślał, że może lepiej się wycofać, skoro i tak szanse powodzenia drastycznie zmalowały, uratować, co się da. Czyli siebie.

Śmiech Czarnego Barona zabrzmiał skrzekliwie, zaschło mu w ustach.

Boi się, spostrzegł Match. Coś nie pasowało. Na obliczu szeryfa malowało się zaskoczenie. Czyżby i on nie wiedział, jak wszystko ma się potoczyć? Czyżby usłyszał właśnie coś nieoczekiwanego?

Match domyślał się, że szeryf jest tylko narzędziem. Chwilowym sprzymierzeńcem, który, jeśli dokładnie wypełni rozkazy, będzie mógł zatrzymać swe zdobycze. Ale musiał też wiedzieć, co zostało zaplanowane, na czym polega cała intryga. Zaskoczenie na jego twarzy było niespodzianką. Nie tak miało być.

Baron zebrał się w sobie. Wstał, z ulgą spostrzegając, że nogi nie trzęsą mu się zanadto. Jeszcze wczoraj zapewniał druida i samego siebie, że przecież wszystko znajdzie się pod kontrolą. Ten człowiek, kiedy się pojawi, nie będzie miał żadnych szans, otoczony zbrojnymi, pod czujnym okiem kuszników. Posunął się nawet do wyśmiewania zarządzonych środków bezpieczeństwa, trochę dlatego, że nie sam wydawał polecenia. Wciąż nie pozwalano mu poczuć się panem na zamku, swoim zamku, jak już przyzwyczaił się go nazywać. Złościło go to na tyle, że zapomniał nawet o nauczkach, jakie otrzymał od sprzymierzeńca.

Nie wydał krótkiego rozkazu, który zakończyłby wszystko. Czuł się trochę jak dziecko, któremu odebrano zabawkę. Liczył, że zobaczy strach, poniżenie. Wyobrażał sobie setki razy, jak to będzie, kiedy już pojmy tego szaleńca. Legendarnego Wieprza, o którym tyle słyszał. Cóż, tylko to pozostało.

– Czego chcesz, człowiecze? – Spojrzał na niego z góry.

– A kim ty jesteś? – spytał Match. – Nie do ciebie przyszedłem.

Baron poczerwieniał, zacisnął pięści. Potoczył wściekłym spojrzeniem.

– Więcej szacunku! – warknął zduszonym głosem.

– Bo co? – przerwał Match. – Nie będę z tobą gadał, sługusie.

Tłum zaszemrał. Baron skinął tylko ręką.

– Nie będziesz? – krzyknął triumfalnie. – To patrz.

Wskazał w stronę szubienicy. Na dany znak kat zdarł zasłonę z twarzy skrupowanej kobiety. Match spojrział i zmartwił.

To nie była Marion. Wszystko na próżno. Dał się złapać w pułapkę.

– Patrz! – zaryczał baron triumfalnie, w kącikach ust bielała mu piana. – Przegrałeś, chamie! A teraz cię zabijemy!

Wieszczka miała rację, przemknęło Matchowi przez głowę. Wszystko na nic. Oni wygrają.

I błysk zrozumienia. Nie mają jej. Nigdy nie mieli. Tylko ja dałem się okpić jak dziecko.

Nie patrzył już na barona. Odszukał wzrokiem druida, kryjącego się w cieniu. Popatrzył w oczy swego wroga.

– Nie możecie mnie zabić! – krzyknął. I znał już odpowiedź.

Naturalnie, mogli.

W ciszy, która zapadła na placu, szczególnie ciężki słycać było nawet na dwieście kroków. Tak samo, jak w chwilę później uderzenie pocisku. Bianco na mgnienie oka oderwał wzrok od spoconej gęby celu i zdążył zobaczyć, jak trafienie wstrząsnęło mężczyzną sprężającym się już do skoku. Ustał, ale i tak nie mógł przeżyć.

Bianco do końca nie zrozumiał, co właściwie nim powodowało, ani jak zdołał zauważyć, że wiatr ucichł. W każdym razie musiał to spostrzec, bo grot pocisku spoczął dokładnie na czole kusznika, bez żadnej poprawki na wiatr. Genueńczyk jak zwykle delikatnie nacisnął dźwignię spustu, ciężka zeskoczyła z rowka orzecha i nagle uwolnione kilkaset funtów mocy, uwięzionej w warstwowym łuczysku pchnęło ciężki bełt. W czasie nie dłuższym niż potrzeba na uderzenie serca pocisk pokonał dwieście kroków. I trafił, dokładnie tam, gdzie Bianco wymierzył.

Oczy strzelca niemal wyskoczyły na wierzch od szoku, kiedy uderzenie zniosło mu cały tył czaszki, ochlapując krwią i strzępami mózgu tłoczących się z tyłu zbrojnych.

Ale było jeszcze coś. Drugi z kuszników nie mierzył już w mężczyznę, który wciąż szedł, choć wiadomo było, że nigdzie już nie dojdzie. Przez chwilę dwaj strzelcy spoglądali na siebie z odległości dwustu kroków.

Bianco wiedział, że to niemożliwe. Że nie można go dostrzec w ciemnym wnętrzu poddasza spichrza. Ale czuł, że strzelec doskonale wie,

że tam jest. Co więcej, był dziwnie pewien, że go widzi.

I wiedział, że trafi.

Ramirez wrzasnął, odpychając najbliższego kmiotka, który napierał na niego w tłumie. Wrzasnął z wściekłości i rozpacz, też zobaczył twarz kobiety na rusztowaniu, i wiedział już, że wszystko poszło na marne. Zamiast się wycofać, skoczył do przodu. Błysnął wzniesiony kord, pierwsze cięcie rozcięło kolczugę na barku strażnika. Wiedział, że to irracjonalne, ale nie potrafił teraz myśleć. Chciał zabijać.

Zewsząd dobiegał wrzask. Krzyczeli ludzie, stłoczeni wkoło, tratujący się nawzajem, by ująć przed ostrzem. Dwaj zbrojni pozbierali się szybko, natarli z obu stron. Ale glewie były nieporęczną bronią w ścisku, zanim wpadli na pomysł, by je odrzucić i dobyć mieczy, Ramirez zarąbał ich w przelocie, oszczędnymi cięciami. Krew z rozciętej tętnicy ochlapała mu twarz gorącym strumieniem, a potem rozpęd poniósł dalej.

To nie miało sensu. Nie było o co walczyć. Zawiódł, jak nigdy dotąd, tylko to kołatało się w jego umyśle. Nawet wtedy, gdy stanął twarzą w twarz z pleczystym drabem, który jednym cięciem próbował pozbawić go głowy. Schylił się pod ostrzem, pchnął w obwisłe brzuszysko. Choć kord nie nadawał się zbytnio do pchnięć, wszedł prawie po rękojeść, ledwie zdołał go wyszarpnąć. Z tyłu słyszał wrzawę i głośny ryk.

Niedźwiedź, spuszczonej z łańcucha, był straszny. Wokół bardzo szybko zrobiło się pusto, ciosy łap powalały wszystkich, zwierzę nie wybierał przeciwników. Za nim postępował Snake, uzbrojony w okuty drąg, wyrwany z jakiegoś wozu. Jednym uderzeniem zdruzgotał wzniesioną rękę żołnierza, drugiemu wgniół hełm razem z czaszką. Tłum kłębił się na placu, spychany pod mury.

Czarny Baron zanurkował pod ławę, gdy tylko na placu padły pierwsze ciosy. Długo tam nie zabawił. Ktoś chwycił go za włosy, wyciągnął bezceremonialnie.

– Rusz się, durniu – syknął druid. – Bo za chwilę będziesz musiał sam sobie radzić. Ja już mam, co chciałem.

Baron ledwie go usłyszał w panującym zgiełku.

– Ale co? – zaskowytał.

– Każ kusznikom strzelać!

Szeryf spoglądał błędnym wzrokiem. Był pewien, że za chwilę napastnicy wedrą się na trybunę. Nie był daleki od prawdy, do ogólnej walki przyłączało się sporo mieszczan, co bardziej zapalczywych. Nowe władze nie cieszyły się zbyt dużą popularnością.

– Ale do kogo strzelać? – wrzasnął bezradnie.

– Wszystko jedno, idioto! – Druid trzasnął go na odlew w głowę.

Pocisk, ciężki bełt, przystosowany do przebijania zbroi, trafił w bark, tuż nad obojczykiem. Bianco poczuł tylko uderzenie, które podrzuciło nim całym, miotnęło o podłogę, aż wzbił się gęsty, mączny pył.

Stęknął głucho, gardło wypełniła fala krwi z rozerwanych płuc. Nadludzkiem wysiłkiem uniósł głowę. Chciał do końca widzieć, jak mężczyzna na placu wciąż idzie do przodu, coraz bardziej przygięty, jakby brnął w gęstej cieczy.

Wciąż szedł. Bianco widział już tylko jego, ze wszystkich stron nadpełzała czerń, mrok z jednym jaśniejszym punktem w samym centrum. Chciał widzieć do końca.

Nie dał rady. Czerń wypełzała szybciej, głowa Bianca opadła, zanim Match upadł na bruk. Kusznik żył jeszcze chwilę, serce bez sensu tłoczyło krew w poszarpane grotem arterie. W końcu i ono zadrgało w ostatnim skurczu, zatrzepotało i znieruchomiało.

Krew przeciekała przez deski podłogi stryszku. Krople rozpryskiwały

się, malując na ubielonych mąką workach czerwone gwiazdki.

Nad uchem Marcela świsnął bełt. Potem drugi. Z tyłu ktoś stęknął.

Niech to szlag, pomyślał Marcel, osłonę diabli wzięli. Nie obejrzał się nawet.

– Rozdzielamy się! – krzyknął do Jeana-Pierre'a. – Bo nas wystrzelają!

Skoczyli na boki. Marcel zdążył jeszcze pchnąć jednego ze zbrojnych, którzy na niego nacierali. Drugiego nie musiał. Żołnierz wypuścił broń, padł na twarz. Z potylicy sterczał mu bełt.

Marcel przepychał się przez tłum. Chwilowo nie miał z kim walczyć. Walnął pięścią w zęby jakiegoś kmiecia, który zaplatał mu się pod nogi, odrzucił na bok zawodzącą kobietę w sukni poplamionej krwią, nie wiedział, jej własną czy cudzą. Przedzierał się do przodu, w stronę trybuny, skąd dochodził ryk rozwścieczonego niedźwiedzia, przechodzący w bolesne wycie.

Klął coraz głośniej. Ramirez, ty skurwysynu, w coś ty nas wpakował?

Kusznicy, szyjący w tłum bez wybierania celu, spowodowali jedno. Ludzie rzucili się do ucieczki, zostawiając za sobą tych, którym się nie poszczęściło. Na bruku leżały ciała, pełzali ranni w kmiecych sukmanach, w żołnierskich kubrakach. Obok nich leżał drgający jeszcze zezwłok wielkiego niedźwiedzia, naszpikowany bełtami, otoczony wieńcem trupów.

Tłum kotłował się przy jedynym wyjściu z placu, wąskiej bramie, odcinając odwrót. Nawała bełtów ustała, widać ktoś rozsądniejszy zakazał kusznikom strzelania, by nie razić własnych ludzi. Zbrojnych pozostało wciąż wielu, powinni sobie poradzić.

Panicz Gilbert, bo to on był tym rozsądniejszym, zawahał się chwilę, po czym przestał być rozsądny. Dobył miecza i zeskoczył z trybuny,

prosto na bruk. Poślizgnął się zaraz na skrwawionych kamieniach, opadł na kolano, co uratowało mu życie, kiedy nad głową brzęknął zardzewiały łańcuch. W tej niewygodnej pozycji zdołał sięgnąć końcem miecza i ciąć w udo potężnego chłopca, sądząc po skórzanym fartuchu – czeladnika kowalskiego. Drab nawet nie jęknął, kiedy załamała się pod nim noga, wypuścił tylko swój oręż, który poszybował dalej. Gilbert poderwał się, klnąc stłuczone kolano. I zaraz musiał odbić cięcie jednego ze zbrojnych, któremu już całkiem pomyliło się, kto jest wrogiem, a kto nie. Wojak może nie wiedział, kogo bić, a może było mu wszystko jedno, w każdym razie uderzył potężnie, aż ręka Gilberta zdrętwiała momentalnie, a miecz opadł bezwładnie. Panicz nawet nie zdążył pożałować swej nieroztropnej decyzji wzięcia osobistego udziału w walce. Zobaczył, jak zbrojny wznosi miecz do następnego ciosu, przed którym nie mógł już się zasłonić, i zdążył tylko przymknąć oczy.

Po chwili, jak mu się zdawało, nieskończenie długiej otworzył je znowu, zdziwiony, że wciąż żyje. Zbrojny stał nad nim ze wzniesionym mieczem, ale w jego oczach było tylko zdumienie. Z piersi na dobre pięć cali wystawał mu grot, zanim zniknął nagle, wyrwany przez kogoś z tyłu. Niepodtrzymywany już przez nic, nieszczęsny wojak upadł powoli, nadal z wyrazem niepomiernego zdumienia na twarzy.

Gilbert wciąż nie mógł unieść ręki. Potężny, siwowłosy mężczyzna o ramionach pokrytych tatuażami uniósł włócznię, uśmiechając się ponuro. Panicz zdążył zauważyć jeszcze, że nie jest to wojskowa włócznia, osadzony na sękatym drzewcu grot przywodził raczej na myśl broń, której używali kłusownicy. Jakaś trzeźwa część jego umysłu zdziwiła się, że potrafi myśleć tak jasno.

Zanim po raz drugi zdążył pożegnać się z życiem, zobaczył, jak mężczyzna obraca się, odbija niezdarne pchnięcie glewii, a zaraz potem paruje drzewcem swej włóczni uderzenie jakiegoś drağa, chyba cepa. Gilbert skorzystał z zamieszania, odpełził na czworakach. Miał dość bohaterstwa, bezsensownego zresztą, skoro i tak wszyscy bili się już ze wszystkimi.

Zdążył zobaczyć jeszcze, jak przyparty do muru potężny mężczyzna łamie jak słomkę drzewce nieprzydatnej w tłoku włóczni i zaczyna grzmocić swych przeciwników znacznie poręczniejszymi ułomkami.

To niewiarygodne, ale kat wraz ze swym pomocnikiem wciąż stał na rusztowaniu, z otwartą gębą przyglądając się zamieszaniu. Tylko ksiądz gdzieś zniknął. Albo wykazał się szybką orientacją, albo, co bardziej prawdopodobne, zmiotł go z rusztowania jakiś wystrzelony na oślep bełt.

Claymore walczył teraz z kilkoma przeciwnikami naraz. Nie był sam, ramię w ramię z nim stał człowiek, którego nigdy przedtem na oczy nie widział, całkiem sprawnie odpierając nieskoordynowane ataki zbrojnych żołnierskim mieczem. Z odzienia wyglądał na solidnego mieszczanina, ale radził sobie nieźle. Znacznie lepiej niż dwóch wyrostków, którzy także chwycili broń, porzuconą przez zbrojnych.

Mimo że ataki były nieprzemyślane, a zbrojni przeszkadzali sobie nawzajem, to jednak było ich wielu. Claymore wraz z niespodziewanymi sojusznikami mógł się tylko bronić, spychano ich w kąt placu, bliżej rusztowania. Jeden z młodzików wyraźnie tracił siły, krew plamiła mu twarz, ruszał się coraz wolniej. Wkrótce padnie, zrozumiał Ramirez.

I zaraz potem my wszyscy, pomyślał, odbijając kolejny cios.

Wyrostek istotnie słabł. Kątem oka Claymore dostrzegł, że z trudem odbija pchnięcie, chce zrobić unik, niemożliwy w ścisku. Nie mógł mu pomóc, musiał zadbać o samego siebie. Zastanawiał się tylko, czy ma to jakikolwiek sens.

Kord stawał się coraz cięższy, Ramirez wiedział, że długo to już nie potrwa. Cóż z tego, że wyszkoleniem górował niepomiernie nad każdym z przeciwników z osobna. Było ich jednak zbyt wielu. Przegraliśmy.

Znów ogarnęła go wściekłość, wykrzesła z niego ostatnie siły. Czerwona mgła przesłaniała oczy, dostrzegał już tylko zagrażające mu ostrza, twarze przeciwników zlewały się w jednolitą masę. I nagle napór zelżał.

Claymore poczuł, że ktoś stanął obok niego. Długie ostrze śmignęło do przodu, trafiło pod brodę następnego nacierającego.

– Co ty, kurwa, robisz? – wychrypiał znajomy głos, zdyszany z wysiłku.

Ramirez ciął następnego, wiedział, że kiepsko, ostrze przejechało tylko po barku. Ale wystarczyło, by zniechęcić napastnika.

– Ja ich zatrzymam – wydyszał Jean-Pierre. – A ty, kurwa, rób to, co miałeś robić!

Zrobiło się luźniej. Zbrojni otaczali ich wprawdzie półokręgiem, ale żaden nie kwapił się do ataku. Chwila oddechu. Ale i tak niedługo nabiorą śmiałości, nie powstrzymają ich długo trupy pod nogami, przykład kamratów, którzy byli na tyle głupi, że pchali się pierwsi. Na placu targowym wrzała regularna bitwa, nie wiadomo już, kto stał po czyjej stronie. Tylko strażnicy mieli świadomość, że są celem. I muszą walczyć, żeby przeżyć.

– Ramirez, co z tobą? – syknął Jean-Pierre, wodząc przed sobą zakrwawioną klingą. – Rób swoje, bo jeśli jeszcze nie zauważyłeś, to dostajemy wpierdol.

To nie ma sensu, chciał powiedzieć Claymore. I tak wszystko na darmo.

– Ratuuj ją, kurwa! – Jean-Pierre nic nie rozumiał. – Przecież po to nas tu przyciągnąłeś!

– To nie... – Claymore urwał. Rzeczywiście, Jean-Pierre mógł nic nie rozumieć. Trzeba mu powiedzieć, może wtedy najpierw zabije mnie, sprawnie i szybko.

Trzeba powiedzieć, albo i nie. Co to, kurwa, za różnica.

W krótkim wypadzie odbił nisko mierzone pchnięcie glewii. Jeden ze zbrojnych ochłonął szybciej, albo był odważniejszy. Cięcie najemnika natychmiast pozbawiło go odwagi oraz kawałka czaszki.

– Gdzie Marcel? – spytał Claymore.

– Tam, gdzie ma być, pod bramą – sapnął Jean-Pierre. – Ale już tylko on...

– A reszta? – To pytanie było zupełnie niepotrzebne.

Skowronek umierała. Leżała na bruku, nie czując już nic poza

chłodem. Nie miała szczęścia.

Nie była w stanie nawet pełznąć. Mogła poruszyć tylko jedną ręką. I skorzystała z tego.

Jej palce splotły się z palcami Wilfrieda. Zacisnęły mocno. Wreszcie mieli chwilę dla siebie, wokół nich panował spokój, walka przeniosła się dalej. Ktoś charczał w pobliżu, miotał się po bruku jak wyrzucona na brzeg ryba. Ale nie przeszkadzał im w tej chwili.

Gwiazdeczka czuł chłód palców dziewczyny, delikatne uderzenia tętna w zagłębieniu koło kciuka. Już mógł tylko patrzeć w jej oczy zasnuwane mgiełką, jedyne, co w twarzy Skowronka było naprawdę piękne. Chciałby tak leżeć koło niej jak najdłużej, trzymać dłoń, czuć słaby puls. Ale nie trwało to długo.

Oczy brzydkiej dziewczyny spoglądały nieruchomo od dłuższego czasu. Coraz słabsze i rzadsze były uderzenia tętna, coraz trudniej wyczuwalne. Wilfried powiedział wreszcie to, co chciał powiedzieć od dawna.

– Kocham cię, Skowroneczku – szepnął.

Zanim oczy dziewczyny wypełniła pustka, zdążył jeszcze zobaczyć w nich to, na co czekał.

Potem już tylko leżał, ściskając stygnącą dłoń. Sam miał umierać znacznie dłużej.

Jean-Pierre przestał udawać głupka. Już nie splotał i nie smarkał. Wiedział, że nie wyjdzie stąd żywy i nawet mu na tym nie zależało.

– Zatrzymam ich – rzucił Ramirezowi. – Już niedługo pewnie, rusz się wreszcie.

Niby dlaczego nie, pomyślał Claymore. I tak przechlapane, może chociaż to się uda. Wiedział, że jeśli powie teraz najemnikowi, że wszystko na próżno, nie wyjdą stąd nigdy. Jean-Pierre sam go zabije.

Kiwnął głową.

– Dzięki, Jean-Pierre...

Najemnik błysnął zębami. Nie odwrócił się nawet do Ramireza, śledząc kolejnych dwóch odważnych, którzy wysunęli się przed szereg otaczających ich zbrojnych. Ciekawe, przemknęło Ramirezowi przez głowę, kiedy wreszcie się zorientują, że trzeba ruszyć kupą, przygnieść samą masą? Pewnie niedługo.

– Spierdalaj, Claymore – rzucił Jean-Pierre, zataczając krwawym ostrzem skomplikowane ósemki. Na razie to wystarczało, dwaj odważniejsi nie okazali się wystarczająco śmiali.

– Wiesz, nigdy nie wierzyłem, że jesteś naprawdę głupi.

Najemnik nie odpowiedział. Właśnie doszedł do wniosku, że nie musiał udawać. Jednak był.

Ramirez zamarkował wypad, pierścień napastników cofnął się nieco, rozluźnił. Tyle mógł zrobić dla najemnika, który skorzystał z okazji i szybkim cięciem wyłuskał spośród zbrojnych jeszcze jednego, zyskując dla Ramireza cenne chwile.

Claymore odskoczył w tył, tuż pod rusztowanie. Chwycił świeżą, nieheblowaną belkę, podciągnął się, czując jak dłoń przylepia się do żywicy, a drobne drzazgi wbijają w skórę.

Za sobą usłyszał wrzask i szcęk stali. Czar prysnął, gdy tylko odskoczył, zbrojni rzucili się hurmem na osamotnionego najemnika. Ponad hałas wznosił się ryk Jeana-Pierre'a, który bluznął potokiem przekleństw, jakich Claymore jeszcze nie słyszał.

Najemnik dał mu trochę czasu. Ale nie za wiele.

Ramirez spodziewał się pustego rusztowania, nie sądził, by kat i pomocnicy czekali tak długo. Dlatego zupełnie zaskoczył go kopniak, który trafił od razu, gdy wysunął głowę nad deski podestu. Zamroczyło go, ale nie puścił belki, odruchowo tylko szarpnął głową. Ostrze korda kata wcięło się głęboko w świeże drewno.

To go uratowało. Stał, wbita głęboko w belkę, nie dała się łatwo wyszarpnąć. Kat, zamiast ponowić kopniaka, bez sensu szarpał rękojeść. Claymore podciągnął się z wysiłkiem, przeturlał po deskach. Chciał się poderwać, uderzyć, zanim kat odzyska przytomność umysłu. Nie zdążył.

Coś przeleciało tuż obok niego, aż przymknął oczy, zaskoczony. Gdy je otworzył, kat klęczał jak przedtem, z szeroko otwartymi oczyma. Ze

skroni sterczał mu trzonek ciężkiego noża.

Zanim jeszcze ciało osunęło się na deski, na rusztowanie wspięła się jasnowłosa dziewczyna. Poza nożem nie miała broni.

– Na co czekasz? – wrzasnęła.

Następna, pomyślał Ramirez mętnie.

– A ty skąd się tu wzięłaś?

Przecisnęła się obok niego, przypadła do nóg skrupowanej powrozami kobiety, która nieruchomym, szklanym wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń.

Jasnowłosa przecinała więzy na kostkach wiedźmy. Szło jej ciężko, nóż do miotania był tępy. Nie przerywała jednak.

– Czego się gapisz, pomagaj! – warknęła.

Przyskoczył, zaczął piłować więzy w nadgarstkach ostrzem korda. Spieszył się, ostrze ześlizgnęło się, przecięło głęboko skórę, na szczęście nie naruszając żył ani ścięgien. Powrozy nagle stały się śliskie. Wiedźma nie poruszyła się nawet.

Słyszał chrapliwy oddech dziewczyny. Po co ja to robię, tłukło mu się w głowie. Po co to wszystko?

Dotarło do niego, że nie słyszy już przekleństw Jeana-Pierre'a. Czas się kurczył.

Cios tym razem nie ześlizgnął się wzdłuż ostrza. Ominął zastawę, trafił w bark, samym sztychem. Cięcie było płytkie.

Jednak któryś z kolei cios doszedł i Jean-Pierre począł tracić siły. Nie atakował już, bronił się tylko. Ale i przed następnym uderzeniem nie zdołał się osłonić, miał tylko szczęście, że atakował gołowąs, mający więcej zapału i odwagi od doświadczenia. Zmylił go niedokończony unik, przemknął obok, ustawiając się w znakomitej pozycji, by zginąć od jednego uderzenia.

Nie zginął, uderzenie nie nastąpiło. Najemnik był już zbyt wolny.

Zbrojni okazali się sprytniejsi, atakowali po trzech, nie bezładną

kupą. Jak dotąd nie udało im się, lecz najemnik wiedział, że to już niedługo potrwa.

Przez chwilę pożałował, że nie jest na miejscu Marcela, który zadanie miał nieco łatwiejsze. Musiał tylko wyrąbać sobie drogę przez tłum, siec mieczem nie strażników, lecz plecy mieszczan i chłopów. Później, gdy już przebije się do koni, będzie ich tratować w ucieczce, rozpychać końską pierś, nie zwracając uwagi na krzyki, zwłaszcza te kobiet i dzieci.

Żal minął szybko. Przed oczami Jeana-Pierre'a stało długie nabrzeże, spichrze nad Loarą. Zakurzony plac targowy w Tours, pełen zgiełku i lamentu. I krwi. Teraz jest czas zapłaty, dotarło do niego.

Jeszcze walczył. Zamierzał dać Ramirezowi jak najwięcej czasu. To tylko maska, pomyślał, on też udaje. Tu nie chodzi o zapłatę. To powinność. Albo przeznaczenie.

Stał mignęła mu tuż przed oczami. Odbił, czując jak ręka staje się coraz cięższa. Chciał odepchnąć przeciwnika na innych, by choć trochę ich powstrzymać. I wtedy stęknął tylko, gdy grot włóczni zatopił się tuż pod żebrami.

Mógł jeszcze popatrzeć w oczy swojego zabójcy. Nie miał żalu do tego starego żołnierza, sprytnego, który dotąd trzymał się z tyłu, czekając na dogodny moment. Stał chwilę, póki zbrojny nie wyszarpnął ostrza.

Wtedy opadł na kolana. Nie myślał już o niczym. Nawet o Tours.

– *A Dieu mon âme, ma vie au roy* – wyszeptał Jean-Pierre, szlachcic kryjący się pod maską zbroja i bandyty. – *Mon coeur aux dames...*

Upadł na śliski od krwi bruk.

– *...l'honneur pour moy...*

Nie poczuł już ciosu łaski, który przeciął mu kręgi.

Wiedźma opadła na kolana. Jasnowłosa dziewczyna zaklęła. Nie będzie mogła iść, zrozumiał Ramirez.

Powrozy na nadgarstkach puściły. Zawinął się, by sięgnąć tych na kostkach, z którymi mozoliła się dziewczyna. Wpiły się głęboko w

napuchnięte ciało nad sinymi stopami.

– Weź paluchy – krzyknął do dziewczyny. Ciął płytko, starając się narobić jak najmniej szkód.

Skazana przelewała się przez ręce, coś mamrotała. Zarzucił jej rękę na swoje ramię, dźwignął.

– Pomóż – syknął do dziewczyny. Już nie zastanawiał się, skąd się wzięła. Istotne było, że najwyraźniej miała zamiar zrobić to samo, co on.

Pomagała niezgrabnie, jedną ręką. W drugiej trzymała nóż, za ostrze, gotowa w każdej chwili do rzutu.

Podniósł się, popatrzył pod rusztowanie. I zmartwiał.

– Wiedziałam – szepnęła dziewczyna. – Od razu wiedziałam.

Żołnierze otaczający rusztowanie prawie wyłącznie uzbrojeni byli w giewie. Ramirezowi przyszła do głowy myśl, że najprościej rzucić się na nastawione ostrza. Przynajmniej któryś się wypierdoli, pomyślał, i może stłucze kolano.

Innego wyjścia nie widział. Czuł drzenie zwisającej mu z ramienia, storturowanej kobiety. Słyszał monotonne mamrotanie.

– Kurwa jego pierdolona mać – dodała dziewczyna z rezygnacją.

Wtedy wiedźma wrzasnęła. Krzyk ciął jak batem, Ramirez miał wrażenie, że pęka mu czaszka. Puścił krzyczącą, która o dziwo nie zwała się bezwładnie. Uniosła ręce do góry, krew z rozciętych nadgarstków spływała aż do łokci.

I krzyczała.

Claymore poczuł, że kord zadrgał mu w dłoni. Przez czerwoną mgłę zasnuwającą oczy zobaczył, że trzyma w ręku zwijającego się węża. Chciał puścić gada, lecz nie mógł rozewrzeć palców.

Szereg zbrojnych otaczający rusztowanie załamał się. Ludzie ciskali broń, padali na kolana, zwijali się w straszliwym bólu. Niektórzy rozdierali twarze paznokciami. Pociemniało. Nie wiadomo skąd na niebie pojawiły się niskie, nabrzmiące deszczem chmury, wirowały nad

placem, pośrodku którego wzbijały się podrywane pędem powietrza śmieci.

Gdy Claymore ujrzał stado świń, pochrzających pod rusztowaniem, uznał, że zwariował. Unosił już ręce do twarzy, gdy dostał na odlew w zęby, aż zadzwoniły. Przez chwilę nic nie widział, oprócz czerwonych jaskrawych plam. Wtedy dostał drugi raz.

Gdy otworzył oczy, nie widział już świń, tylko tarzających się po bruku żołnierzy. Niektórzy z nich nie żyli, zakłuci przez kamratów albo wbili sobie własne sztylety w gardła.

Wiedźma wciąż wrzeszczała, obracając głową, bez zaczerpnięcia oddechu. Wydawało się, że jej krzyk uderzył w pokrytą sukrem trybunę z siłą huraganu, podtrzymujące baldachim żerdzie złamały się, w powietrze wyleciały drzazgi.

Claymore dostrzegł, jak jasnowłosa dziewczyna zamierza się do następnego uderzenia.

– Przestań, już nie trzeba – wychrypiał. Miał nadzieję, że usłyszy go w tym hałasie.

Dosłyszała.

– Na mnie to nie działa! – krzyknęła. – Ruszaj się, sama nie dam rady!

Skinął tylko głową w nadziei, że wizje już nie wrócą. Podniósł kord, który przestał się zwijać i grozić jadowitymi zębami, stał się na powrót zwykłym kordem.

Krzyk osiągnął najwyższą nutę. Gdy Claymore pomyślał, że dłużej nie wytrzyma wibracji, drążącej bólem czaszkę, nagle wszystko ucichło.

– Szybciej – stęknęła dziewczyna. – Zaraz się ockną. Do koni.

Zeskoczył pierwszy na bruk, wyciągnął rękę. Jasnowłosa wbiła nóż w belkę, popchnęła wiedźmę, znów bezwolną, z nieobecny spojrzeniem.

– Twoich czy moich? – mruknął Claymore. Odebrał bezwładny ciężar, zarzucił kobietę na plecy.

Był pewien, że dziewczyna też ma przygotowane konie do szybkiej ucieczki. Druga banda idiotów, psiakrew, pomyślał. Nieważne, później będzie można się zastanowić.

Zeskoczyła lekko z rusztowania, trafiła jeszcze kopniakiem

zbrojnego, który pierwszy zaczynał się gramolić, niezgrabnie jak wyrzucony na brzeg rak. Wojak zaskowyczał i legł znowu.

- Ruszaj! - krzyknęła. Claymore posłuchał. Kątem oka dojrzał dziwną sylwetkę na środku placu, starego człowieka z odrzuconym na plecy kapturem i wzniesioną w górę długą laską. Nie zwrócił na niego uwagi, starzec był zbyt daleko, by przeszkodzić.

Teraz trzeba tylko przebić się przez bramę.

- VI -

Mały ptaszek z rudym brzuszkiem zakołysał się na gałązce, zatrzepotał skrzydełkami, by złapać równowagę. Ciekawość walczyła w nim ze strachem. Bał się nieruchomej, opartej o juki postaci. Człowiek nie poruszał się, ale ptaszek wyczuwał, że ledwie widoczne spod półprzymkniętych powiek oczy śledzą go uważnie, widać jeszcze nie nadszedł czas niefrasobliwego wydziobywania co smaczniejszych kąsków.

Małe, leśne ptaszki, puchate kuleczki, zawsze były pierwsze, zazwyczaj dziobały już, zanim pojawiły się kuny i lisy. Ostatnio dobre czasy nastały dla leśnego ptactwa. Nawet najmniejszego, nie tylko kruków i wron.

Ptak ćwierknął niezdecydowanie, podfrunął bliżej. Niepokoili go zapach dymu, głosy dobiegające z pobliskiej polany. Ale człowiek, półleżący na derce, rozpostartej na chłodnej jeszcze, ciągnącej zimnem wiosennej ziemi, nawet nie drgnął.

Do ptaka dołączył drugi, identyczny. Zaćwierkał z irytacją, być może na widok konkurencji. Pokiwał śmiesznym, krótkim ogonkiem. Pierwszy, jakby ośmielony, sfrunął z gałęzi, przysiadł na samym skraju derki. Zaaferowany, zrobił dwa małe podskoki. Nie zauważył nieznacznego ruchu dłoni, pełznącej powoli w jego stronę.

Głębiej w lesie, od strony zakrętu gościńca wrzasnęła sójka.

Ręka wystrzeliła w kierunku zuchwałego ptaka. Za późno. Mały ptaszek z rudym brzuszkiem zniknął w jałowcach.

Claymore zaklął pod nosem.

Nie lubił małych leśnych ptaszków z rudymi brzuszkami.

Sięgnął po napiętą kuszę, ułożył ją sobie na kolanach, okrył derką. Marcel nie przepuściłby nikogo niebezpiecznego, wiedząc, że stoją tu

obożem i na pewno nie ruszą jeszcze przez dzień albo nawet dwa. Napotkawszy większy oddział, po prostu zawróciłby. Ale strzeżonego...

Spod półprzymkniętych powiek Ramirez spoglądał w stronę zakrętu.

W obozowisku na pobliskiej polanie zarżał koń, spłoszony wrzaskiem sójki. Niewidoczny jeszcze jeździec musiał dosłyszeć, albo poczuć dym z ogniska, bo wstrzymał wierzchowca, przechodząc z galopu w stępa. Ale jechał dalej, aż wyłonił się zza kępy świerków na zakręcie. Dziwne, pomyślał Claymore, nie boi się. Albo tak się boi, że mu wszystko jedno. Jeśli jedzie z Nottingham, to istotnie ma ku temu podstawy.

W postaci zbliżającego się jeźdźca dostrzegł coś znajomego. Przyjrzał się uważniej, podświadomie zadowolony, że może skupić się na czymś innym niż wciąż widziane obrazy.

Niedługo zagoni biedne bydło na śmierć, zauważył. Koń potknął się raz i drugi, pióropusze piany były z jego nozdrzy. Jadący wcale nie wyglądał lepiej. Ciemne włosy zlepił pot, mokre kosmyki przylgnęły do czoła. Nie miał żadnych juków czy sakw przy siodle, jakby po prostu wybrał się na przejażdżkę. Dość daleką, jak się okazało.

Claymore zdjął palce ze spustu kuszy, którą miał pod derką okrywającą kolana. Młody panicz Gilbert mógł być porywczy i nieobliczalny, ale nie dzisiaj.

Kary wałach zatańczył w miejscu, jakby nie mógł zatrzymać się po długim, wyczerpującym biegu. Po ciemnej, wilgotnej sierści spływały strużki krwi. Gilbert nie żałował ostróg.

– Tak sobie tu siedzisz, Ramirez? – spytał chrapliwie. Dyszał ciężko, prawie jak jego wierzchowiec. – Tak sobie siedzisz, na widoku, na trakcie, nie boisz się, po tym wszystkim?

Claymore uśmiechnął się leniwie, spoglądając spod półprzymkniętych powiek.

– Bać się? – zawiesił głos. – A to czemuż? Myślałem, że mnie wszyscy kochają.

Gilbert nie odpowiedział. Przerzucił nogę nad łękiem, stęknąwszy boleśnie, zeskoczył z siodła. Zachwiał się i upadłby, gdyby nie chwycił się uprzęży.

Gnał bez przerwy, zrozumiał Claymore. Wyruszył pewnie wieczorem,

cud, że w ciemnościach łba nie rozbił o jakąś gałąź, albo karku nie skręcił w wykrocie. Nic dziwnego, że zagonił wałacha prawie na śmierć. Padłby za pół mili, najdalej za milę.

– A jak teraz myślisz? – wychrypiał Gilbert. – Po tym wszystkim, co się stało, coś, kurwa, narobił?

Nie mógł dłużej ustać na nogach. Siadł ciężko, nie wybierając specjalnie miejsca, na samym środku leśnego, zarastającego mchem traktu. Wałach chwiejnie odstąpił parę kroków. Kulał wyraźnie, pęcina tylnej nogi była już spuchnięta.

Na policzku Gilberta ciemniała świeża szrama, widać nie wszystkie nisko zwisające nad traktem gałęzie udało się ominąć. Odzienie ubrudzone było błotem, pomiędzy ogniwa kolczugi powbijało się igliwie i pasemka mchu. Nie przypominał już butnego szlacheckiego synalka.

Ukrył twarz w dłoniach, jego zgarbionymi plecami wstrząsnął dreszcz. Claymore zrozumiał po chwili, że nie był to bezradny szloch zagonionego prawie na śmierć, uciekającego byle dalej człowieka. To był zdławiony chichot.

Nie zareagował. Wolał przeczekać, aż minie atak hysterii. Czekał długo. Wreszcie śmiech przeszedł w coś, co przypominało czkawkę. Gilbert odjął dłonie od twarzy. Popatrzył na Ramireza.

– Co to, kurwa, było, Claymore? – spytał cicho. – Może mi powiesz? Co ty robisz, co wy wszyscy robicie? O co tu, kurwa, chodzi?

Ramirez milczał. Dobre pytanie, pomyślał tylko. Szkoda, że nie ma na nie dobrej odpowiedzi.

– Nie powiesz? – Gilbert pokiwał głową. – To może wyjaśnisz mi jedno. Tylko jedno. Co ja w tym wszystkim, kurwa, robię? Też nie wiesz?

Po dłuższej chwili milczenia miejsce szaleństwa w oczach młodego panicza zajęła rezygnacja.

– Nie wiesz? – mruknął cicho. – Jesteś taki sam głupi, jak i ja. Nawet chyba głupszy.

Claymore zacisnął pięści i pomyślał mętnie, iż dobrze się stało, że zdjął palce ze spustu kuszy. Inaczej Gilbert miałby dodatkową dziurę w i tak dziurawej kolczudze.

Tak, jesteś głupszy, powiedział jakiś niesłyszany już od bardzo dawna

głos. Panicz chciał po prostu władzy, chciał wyrwać się spod ciężkiej ręki ojca, myślał, że na służbie Czarnego Barona zdobędzie to, na co w rodzinnym zamku musiałby czekać jeszcze całe lata. Nie wiedział, w co się pakuje. A ty, Claymore? Nie powtarzaj sobie o zasadach, powinnościach i zobowiązaniach. Też nic nie rozumiesz, zwłaszcza teraz. A co gorsza, nie rozumiesz sam siebie. Albo udajesz, że nie rozumiesz. Nie wiadomo, co naprawdę gorsze.

– Posłuchaj, Gilbert... – zaczął.

Panicz podrzucił głowę.

– Nie, to ty posłuchaj. Mam dosyć. Nie wiem, o co chodzi, i nie chcę wiedzieć. Nie wyrzniętem połowy miasta, nic osobiście nie spaliłem, przynajmniej ostatnio. Nie wpychałem paluchów pomiędzy drzwi. A mimo to dostałem po łapach. I to tak, jak jeszcze nigdy w życiu. I dobrze ci radzę, Ramirez, po starej znajomości... – Gilbert zająknął się. Wstrząsnął nim jakby zdławiony śmiech. Albo po prostu dostał czkawki.

To było coś nowego. Claymore znał Gilberta, dowiedział się o nim sporo przy okazji tego niezrealizowanego do dziś zlecenia. Nie miał złudzeń, młody panicz był zepsutym, rozkapryszonym wielkopańskim jedynakiem. Nie dałby złamanego pensa za to, czy sam nie spowodował całego zdarzenia, pewien święcie, że nikt nie gra tak, jak on. Zapewne wcześniej siadał do kości ze sługami i zbrojnymi z drużyny ojca, którzy radzi byli, że mogą przegrywać do panicza drobne sumy. Może zdarzało mu się zagrać z przyjaciółmi, równie zarozumiałymi, pewnymi siebie kiepskimi graczami. Aż wreszcie trafiła kosa na kamień. Ale cóż, zlecenie było zleceniem, choćby i racja nie stała przy zleceniodawcy.

Tak naprawdę, to nigdy nie stoi, prawie nigdy, pomyślał. I zaraz sam miał ochotę zaśmiać się idiotycznym śmiechem, zupełnie jak panicz Gilbert. Wstrząsnął się tylko. Co się z tobą dzieje, Ramirez. Później będzie czas zastanowić się nad tym.

– Co mi radzisz? – spytał szorstko, by pokryć zmieszanie. – Spieprzać jak ty, na ośle? Zagonić konia na śmierć albo przy odrobinie szczęścia rozbić sobie wcześniej łeb o jakiś pień? Bez obaw, to Sherwood. To puszcza, Czarny Baron nie będzie mnie tu ścigał, choćbym spalił całe to jego pieprzone miasto, a nie tylko wyrznął trochę hołoty.

Znów widział szerokie cięcie Marcela, zadane z całą siłą rozpaczy w

pochylone w ucieczce plecy. Obróconą uderzeniem sylwetkę, rozrzucone w ostatnim piruecie jasne warkocze, oczy, szeroko otwarte, ale już martwe. Stłoczeni w bramie ludzie, tratujący się nawzajem tłum, który jest już tylko przeszkodą.

Claymore zacisnął oczy. Obraz pozostał pod powiekami, jak wypalony na siatkówce. To nie Tours, to Nottingham.

– Co mówiłeś? – spytał niewyraźnie.

– Nie będzie cię ścigał, istotnie. – Gilbert uśmiechnął się po raz pierwszy. – Nikogo już nie będzie ścigał, a to z tej prostej przyczyny, że nie żyje.

Zaskoczenie na twarzy Ramireza sprawiło, że uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Ty tylko zacząłeś. Kończy kto inny, a do celu jeszcze daleko. I wiesz, dam sobie łeb uciąć, że nawet nie wiesz, co zaczął.

Claymore znów poczuł zmęczenie. Jak wiele razy w ciągu ostatnich dni.

– Chodź, Gilbert – powiedział, podnosząc się ociężale. – Opowiesz, ale nie tu.

Kary wałach uspokajał się już. Z początku parskął i szarpał się, zapach niedźwiedzia, którym przesiąkło ubranie Snake'a, doprowadzał go do szału. Ale szybko opadł z sił, wyczerpany całonocną gonitwą, poddał się delikatnemu poklepywaniu.

Gilbert nie był tak ufny. Spoglądał z ukosa na zwalistego mężczyznę, na poznaczony cięciami skórzany kubrak bez rękawów, długie siwe włosy, zamiast opaską ściągnięte teraz szmatą o nieokreślonym kolorze, przesiąkniętą zakrzepłą krwią. Dobrze zapamiętał, czego potrafią dokonać dłonie, gładzące w tej chwili końską szyję. Poza łamaniem podków, naturalnie.

Ramirez przegarnął patykiem węgle w dogasającym ognisku. Siedział chwilę w milczeniu, patrząc, jak dym snuje się pomiędzy jałowcami niczym poranna mgła nad torfowiskiem. Nie chciał ponaglać, widząc, że

ramionami panicza co chwila wstrząsają dreszcze.

Przydałoby się wino, pomyślał. W tym stanie nie powie nic rozsądnego.

Gilbert sam zaczął mówić. Z początku cicho, nieskładnie, potem coraz głośniej. Jakby chciał wszystko z siebie jak najprędzej wyrzucić.

– To nie był koniec, Ramirez. Tylko tak ci się wydawało.

Claymore zdał sobie sprawę, że istotnie. To dopiero początek. I po raz pierwszy jasno przyznał sam sobie, że nie są ważne żaden kontrakt, żadna umowa, żadna obietnica. Żadne zasady. Tylko urok legendy, mrocznej i wieloznacznej. Może zazdrość wobec tych, którzy rzucali jej wyzwanie i zarazem współtworzyli. A może jedynie urok kobiety, tej widzianej tylko raz, przelotnie.

Nie chciał się teraz nad tym zastanawiać, usiłował uporządkować sobie wszystko, zapanować nad wydarzeniami, które zaczynały nieść go w niewiadomym kierunku. Jednak nie do końca mu się udało.

– Wasze jatki, ten człowiek, który przybył, wiedząc, że nie ma szans...
– Claymore drgnął. – Zupełnie jak ty, Ramirez, prawda? – W oczach Gilberta błysnęła złośliwość. – Chociaż nie, ty jednak kalkulowałeś, miałeś szansę, choć niewielkie. I prawie ci się udało, a raczej udałooby się, gdybyś nie trafił w próżnię? Zupełnie jak on, ryzykował na próżno.

– Skończ – przerwał szorstko Claymore. – Nie jestem ciekaw twoich głębokich wynurzeń.

Twarz panicza wykrzywiła się w złym uśmiechu.

– A co, jak nie skończę? Zabijesz mnie? Po co? Myślisz, żeś lepszy? Nie, przyjacielu, już nie jesteś lepszy. Jesteś takim samym szaleńcem, jak wszyscy w to zamieszani. Poza mną, bo ja mam dość.

Kuglarz, pozornie nie zwracając na nich uwagi, oglądał uważnie spuchniętą pęcinę. Tylko nieznaczny uśmieszek, ledwie dostrzegalne skrzywienie warg świadczyły, że Snake słucha uważnie.

– Eh – mruknął Claymore. – Wiesz co, Gilberte? Dajmy temu spokój. I tak wszystko diabli wzięli. On nie żyje. Zamiast lady Marion mamy tę niedojdę. Nie żyje kilku dobrych ludzi.

– Mówisz o tych zabijakach, Ramirez? – zakpił panicz. – Twoich najemnikach? Rzeczywiście, dobrzy byli.

Claymore zgrzytnął zębami.

– Uważaj, co mówisz. To byli...

– Twoi przyjaciele? To powiedz, wiedzieli, w co się pakują? Co, milczysz? Obiecałeś złote góry, prawda?

Claymore nie odpowiedział.

– Więc jednak prawda. – Gilbert skrzywił się szyderczo. – I nie strasz mnie, powtarzam. Ja już niczego się nie boję. Albo, kurwa, boję się wszystkiego, co na jedno wychodzi.

Snake zostawił konia w spokoju. Począł grzebać w stercie sakw, zwalonych bezładnie na kupę. Skóry koło ogniska poruszyły się, wyjrzała spod nich buzia Bethie. Mała przetarła oczy. Po niej jednej nie było znać niedawnych przeżyć.

– Dzieciaka też ciągnąłeś ze sobą – zauważył Gilbert. – Eh, Claymore, dochodzę do wniosku, że ci jednak odbiło.

– Zamknij się – warknął Ramirez. – Albo siadaj i mów, co wiesz, albo spieprzaj. Wsiadaj na konia, i już cię tu nie widzę.

Wrócił Snake z bukłaczkiem wina. Uśmiechał się drwiąco.

– Spokojnie, szlachetni panowie – zakpił. – Już po wszystkim.

Claymore sapnął tylko ze złością. Za to Gilbert roześmiał się głośno, z wyraźnie słyszalną nutą hysterii. Przyjął bukłak od kuglarza, pociągnął długi łyk.

– Widzisz, Ramirez? – powiedział niewyraźnie, ocierając usta. – Prosty człek, a jaki rozsądny. Nie to co ty. Masz, napij się, może ci przejdzie.

Gdy Claymore pił, Gilbert zwrócił się do Snake'a.

– Ty też jesteś niezły. Jak ci się udało?

– Nie ze wszystkim – odparł poważnie Snake.

– No pewnie, że nie ze wszystkim. Nikomu się nie udało.

Ramirez usiadł na skórkach obok Bethie.

– Snake, zabierz ją – poprosił.

Kuglarz kiwnął głową. Jego twarz złagodniała, gdy gładził małą po włosach. Usta Bethie wygięły się w podkówkę, nie chciała wychodzić

spod ciepłego przykrycia. Snake wziął ją na ręce i odszedł w kierunku zarośli. Gilbert odprowadził go wzrokiem.

– Tam jest reszta? – spytał.

– Nie bądź za ciekawy – burknął Claymore.

Gilbert roześmiał się tylko.

– O Jezu, Ramirez, przestań pieprzyć! Kolejna tajemnica! Psiakrew, nie widzisz, że i tak już wszystko diabli wzięli? Razem z twoimi zobowiązaniami? – Usiadł koło Claymore'a. – Gównu zrobiłeś, i jeszcze się rzucasz – mruknął.

Ramirez wiedział, że ma rację. Ta świadomość już nie była tak dotkliwa, jak jeszcze wczoraj. Na wstyd będzie czas później. Na razie chciał się jak najwięcej dowiedzieć.

– Wybacz, Gilbert, masz rację – zaczął pojednawczo. – Dałem dupy, wiem o tym. I przez moją głupotę zginęło wielu ludzi...

Panicz wykazał zadziwiającą trzeźwość umysłu.

– Przez twoją? – rzucił zjadliwie. – Pokaż mi kogokolwiek, kto zachował się mądrze. Kto nie dał się okręcić wokół palca temu skurwysynowi. Nawet ty tańczyłeś, jak ci zagrał, przyznaj się. Chociaż pewnie wydawało ci się, że jest inaczej.

Ramirez zacisnął pięści, już chciał bluznąć przekleństwem. Powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Przyznaję się – odparł sucho. – I co z tego? Czujesz się lepiej? Bo jak nie, to daruj sobie.

Rozciągnął się na skórkach, popatrzył na niebo, po którym przepływały niskie wiosenne chmury. Odrzucona na bok ręka trafiła na coś twardego. Gryf lutni Fabienne.

Wyciągnął instrument. Fabienne, dziwna dziewczyna, pomyślał. I piękna.

Panicz zaśmiał się histerycznie.

– Co, zagrasz mi? – spytał. – Umiesz na tym grać?

– Nie wiem, nie próbowałem. – Ramirez odrzucił lutnię, struny jęknęły cicho. – Nie pieprz, Gilbert – podjął ze znużeniem. – Opowiedz lepiej, co wiesz. Chcę zrozumieć.

– Nie ty jeden chcesz zrozumieć. – Panicz też spoważniał, a co ważniejsze uspokoił się. Z zastanowieniem przetarł dłonią czoło.

Claymore nie ponaglał go, nie chciał, by młody panicz wpadł znowu w histerię albo zaczął złośliwe docinki.

– Nie ty jeden – powtórzył z naciskiem Gilbert. – Samemu mi się wydaje, że nic nie rozumiem. On też coś spieprzył, przynajmniej na początku. A potem oszalał chyba. Kazał zabić tego, na którego pojmaniu ponoć mu zależało.

Ramirez zmarszczył brwi.

– Może od początku chciał? – wtrącił.

Panicz pokręcił głową.

– Sam w to nie wierzysz, Claymore. Wszyscy gadają przecież, że Wieprz był od nich, czarownik przeklęty. Wyrwał się im, tajemnice zdradzał, dlatego ukarać go chcieli przykładnie.

– Gadają, gadają... – zirytował się Ramirez. – Pieprzą ludziska trzy po trzy, a ty dajesz temu wiarę. Ukarali przecie.

Sam nie bardzo miał przekonanie do tego, co mówi. To nie mogło być takie proste.

– A dlaczego nie? – zaprotestował Gilbert. – Przecież wszyscy wiedzą, że to żadna kara. Taki druid dziewięć żywotów ma, jak kot. Kara zaś to wtedy, jakby łeb mu złotym sierpem ucięli, zezwłok w kotle gotowali, jako to u nich we zwyczajach. Inaczej się nie liczy.

Claymore zachnął się.

– Jakie dziewięć żywotów? A jeśli wykorzystał wcześniej już osiem? Bądź poważny, człowieku.

Gilbert splunął.

– Ty co, wszystkie rozumy zjadłeś? – spytał z przekąsem. – W nic nie wierzysz? Nieważne. Chcesz się dowiedzieć tego, co wiem, czy cały czas będziesz kpił i przerywał? Jeśli tak, to spieprzaj.

Ma rację, przyznał Ramirez. Chciał przeprosić, nie zdążył.

– Możesz sobie gadać, ile chcesz. Ale ja swoje wiem. Z początku inaczej być miało, już loch był przygotowany, w którym trzymać go mieli. Dopiero potem...

Ramirez zmarszczył brwi. Coś mu zaświtało, coś nieuchwytnego jeszcze, zaczynało się składać. Przymknął oczy.

– Słuchasz czy nie? – rzucił Gilbert opryskliwie, widząc jego nieobecny wyraz twarzy.

– Zamknij się – usłyszał w odpowiedzi. Za późno, nieuchwytnie wrażenie zniknęło.

– Dopiero jak wiedźmę przywieźli, wszystko się zmieniło – ciągnął panicz niezrażony. – Zły wtedy chodził, ani przystęp. Coś rozważał, kalkulował. Dziwne, bo i tak przecież na jego wyszło, Wieprz dał się przywieść na hak...

To było to. Claymore już zaczynał pojmować.

– Tylko Marion mogła dać gwarancję – powiedział powoli. – Tylko ona.

– Co? – Gilbert nie zrozumiał.

Ramirez spojrział drwiąco.

– Nie zapanowałby nad nim, gdyby nie miał lady Marion.

Panicz też skojarzył. Ostatecznie wiedział wystarczająco wiele.

– A ona związała na czas. Dlatego kazali złapać pierwszą lepszą, byle mieć przynętę.

Claymore pokiwał głową. Tak musiało być.

– Ale nieszczęsny dureń miał pecha. – Roześmiał się panicz. – Tym razem złapał prawdziwą.

I zaraz zmartwiał. Przypomniawszy sobie, jak klęczał za zwaloną trybuną, ściskając w ręku coś, co jeszcze przed chwilą było rękojeścią miecza, a teraz wyglądało jak odcięty, krwawiący członek. Jego własny. Wstrząsnął nim dreszcz. Nigdy więcej, obiecał sobie solennie.

– Co w tym wszystkim jest takiego? – spytał bezradnie Gilbert. – Jak to się dzieje, że rozsądni ludzie głupieją, jak ty nie przymierzając. Dlaczego ci cholerni kuglarze ryzykują tyle, żeby... No właśnie, żeby co? Przecież to nie ich sprawa.

Ramirez tylko pokręcił głową. Nie podejmował się objaśniać. Jeszcze nie wytłumaczył nawet samemu sobie.

– A oni, twoje zbiry? Zresztą oni są nieważni, przyznaj się, nic nie

wiedzieli? I nawet de Folville... Nie mówiąc o pieprzonym niedźwiedziu.

Claymore poderwał głowę, spojrzał uważnie.

– Sir Bertrand de Folville?

– Onże sam. A raczej samowtór, z wiernym giermkim. – Gilbert zaśmiał się, odkaszlnął. Zaschło mu w gardle.

– Folville to świr – rzucił tylko Claymore.

Ramirez znał Folville'a. I prędeż spodziewałby się smoka ze skrzydłami i ognistym oddechem.

– To właśnie on zarznął Czarnego Barona – usłyszał. – Sam widziałem.

Panicz Gilbert nie miał dobrego nastroju. Wystarczająco dało mu do myślenia to, czego był świadkiem i uczestnikiem. Siedział na skrzyni w swojej komnacie, obnażony do pasa, smarując zaschniętą już kresę na piersi jadowicie żółtą maścią. Na szczęście skóra była płytko rozcięta, ale gdyby nie uchylił się instynktownie przed ciosem, niewątpliwie mógłby podziwiać swoje własne żebra. Maść śmierdziała okrutnie zjełczalym tłuszczem i jeszcze czymś, czego nie potrafił zidentyfikować. Święcie jednak wierzył, że jest skuteczna, przecież dał za nią sporo przekupniowi pod kościołem, prawie całą sztukę srebra, i jeszcze po grzbiecie, gdy handlarz zrobił się zbyt natarczywy.

Musi być skuteczna, powtórzył w myśli, nabierając na palec więcej tłustej mazi z glinianego garnuszka. Przypomniał sobie składniki, które wymieniał dziad o wyglądzie przywodzącym na myśl starego capa, przynajmniej z racji rzadkiej bródki. Same mocne ingrediencje, niewątpliwie magiczne.

Syknął z bólu, kiedy nacisnął mocniej brzegi rany. Skóra rozłaziła się, może rzeczywiście trzeba było zeszyć? Aż wzdrygnął się, przypomniawszy sobie cyrulika i jego igłę, wielką, zakrzywioną, jako żywo służącą uprzednio do prac kaletniczych. Nie, lepiej jednak nie.

Płytkie rozcięcie piekło coraz bardziej. Podobno to dobrze, musi piec. Znaczy, że smarowidło działa. Podsunął umazany maścią palec do nosa i

aż łzy mu w oczach stanęły. Mocna, psiajucha. Nie żałował już wydatku. Pomagała na zranienia wszelakie, krosty, otarcia, a także na rozwolnienie. Szkoda, że nie wysłuchał do końca starego capa, nie bardzo wiedział, jak używać uniwersalnego remedium w przypadku tej ostatniej dolegliwości.

Przed komnatą zastukały kroki na kamiennej posadzce. Gilbert skrzywił się. Potrzebował spokoju, by wszystko sobie do końca przemyśleć. A raczej utwierdzić się w swoim postanowieniu.

Decyzja była prosta. Uznał, że należy stąd spieprzać. Jak najszybciej i jak najdalej.

Nie tak miało być. Oczekiwał rychłego awansu i zaszczytów. Miał nadzieję, że w niedługim czasie stanie się zausznikiem nowego szeryfa, kimś w rodzaju hrabiego Gisbourne'a przed laty. Ojciec nieraz opowiadał o swym przyjacielu, który tak niefortunnie zginął, broniąc prawdziwej wiary. Gilbert nie pamiętał hrabiego, niegdyś częstego gościa w rodzinnym kasztelu, ale wiele o nim słyszał, ojciec po pijanemu chętnie wspominał wspólne przewagi, stawiając Gisbourne'a za wzór szlachcica.

Tymczasem okazało się, że nic z tego. Obok Czarnego Barona kręciło się mnóstwo różnych podejrzanych indywiduów, niewyglądających nawet na szlachtę, ale bez wątpienia zaufanych. Mimo koneksji Gilberta traktowali go z góry, pozwalając sobie nawet na niewybredne docinki.

A teraz... Po tych jatkach, kiedy wszystko poszło nie tak, jak trzeba, bruk miasta spłynął krwią. Drużyna i zausznicy barona nieźle oberwali, część poszła w rozsypkę, rano nie można się było doliczyć połowy spośród z tych, którzy niewątpliwie przeżyli wczorajszą walkę.

Ale bystrego młodzieńca, jakim był z pewnością Gilbert, niepokoiło coś jeszcze. Nie mieli do czynienia z jednym szaleńcem, owszem, groźnym i tajemniczym, ale w końcu tylko szaleńcem. Przyszedł sam, to prawda, i zginął marnie, jak wszyscy przewidywali, chociaż baron nakazywał wprzód pojąć go żywcem. Nie uwolnił więdźmy, choć zgodnie z przewidywaniami ofiarował się za nią. Ale wydawało się, że za tamtym stanął cały świat. Kilku innych straceńców rzuciło się na pomoc, mimo że na pierwszy rzut oka nie mieli żadnych szans. I to nie tylko ludzie o wyglądzie zbójów, będący też zapewne najemnymi zbirami. Gilbert wciąż miał przed oczami dziewczynę, która miotła noże, potem stanęła z mieczem jak mężczyzna. Kuglarza, wywijającego łańcuchem,

zdałoby się, za ciężkim nawet dla dwóch mężów, rozłupującego czaszki, łamiącego jak słomki ręce podniesione w daremnej nadziei osłonięcia się przed ciosem. Bardzo prędko do tumultu przyłączyli się mieszczanie, którzy wreszcie zobaczyli szansę odegrania się na znienawidzonych zbrojnych, którzy plądrowali ich domostwa. Rzeczywiście, drużyna nowego szeryfa w bardzo krótkim czasie zdążyła zapracować na nienawiść.

Nawet ten pierdolony niedźwiedź, pomyślał Gilbert. Trzeba spieprzać, zanim zdarzy się następne nieszczęście.

Ale miał nieprzyjemne przeczucie, że przed następnym nie zdąży. Popatrzył niechętnie na mężczyznę, który pojawił się w drzwiach komnaty.

– Baron wzywają – burknął przybyły bez żadnych wstępów.

Był to jeden z przybocznych szeryfa, nie wiedzieć, dlaczego, zwany Jasiem Zielone Ucho. Wbrew przydomkowi uszy miał co prawda ponadrywane w niezliczonych bójkach i brakowało mu sporego kawałka lewej małżowiny, ale żadne z uszu nie było zielone.

Jaś Zielone Ucho pociągnął nosem.

– Co tu, kurwa, tak śmierdzi? – spytał z niesmakiem, krzywiąc gębę i ruszając obwisłymi wąsiskami.

Gilbert poczuł, jak zalewa go wściekłość. Omal nie cisnął w zbrojnego garnuszkiem z maścią. Powstrzymał się w ostatniej chwili.

Nie znosił tego osobnika. Zastanawiał się, jak szeryf, w końcu baron, wysoko urodzony, mógł dopuszczać do konfidencji kogoś takiego. Człeka z gminu niewątpliwie, choć Gilbert wątpił, by to określenie dostatecznie ściśle określało miejsce, gdzie Jaś Zielone Ucho mógł się urodzić, ewentualnie gdzie baron go znalazł.

Nie znosił go i bał się jednocześnie. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zaufany zbrojny barona sprawiał wrażenie, że zabiłby człowieka dla złamanego pensa. I zapewne było to prawdą.

– Wyjdź, to przestanie śmierdzieć – rzucił panicz.

Zbrojny ani przez chwilę nie zmienił wyrazu twarzy.

– Miarkujcie się, panie... – powiedział powoli, mrużąc złośliwie oczy. Zabrzmiało to jak "zamknij się, gówniarzu".

Gilbert poczerwieniał, ale nie odezwał się więcej.

– Ino szybko – rzucił przez ramię Jaś. – Miałem kamrata, który się takim samym gównem smarował – dodał, nie odwracając się. – Poczerniał potem, i mięcho od kości mu odpadało, he, he... – zaniósł się gromkim śmiechem.

Czarny Baron wyglądał jeszcze gorzej niż wczoraj, gdy tylko zbrojni wyciągnęli go zza trybuny i otrzepali z kurzu. Jego nalana twarz czerwieniała, jakby zaraz miała zalać go krew.

To zrozumiałe, pomyślał Gilbert. Orszak barona wydawał się dziwnie przerzedzony. Część padła, część uciekła. Obok Jasia Zielone Ucho dostrzegł jedynie dwóch podobnych mu rzezimieszków. Stali w otoczeniu kilku strażników, ale bliżej Gilbertowi nieznanym. Z drobnej szlachty został tylko jeden, zaraz, Eric mu było. Eric z Weybridge chyba. Gilbert popatrzył z niechęcią na młodego szlachcica. Nie lubił go od początku, byli zbyt podobni do siebie. Obaj równie ambitni, co zarozumiali.

Wśród zbrojnych uderzyła go twarz Wulfa, dawnego kapitana straży jeszcze z czasów de Reno. Został, choć traktowano go na równi z innymi zbrojnymi, wyznaczając najgorszą służbę przy bramie, gdzie nawet w słotę nie było się gdzie schować, lub w podjazdach, kiedy reszta zbrojnych grzała tyłki w gospodach. Gilbert zdziwił się mocno. Był pewien, że Wulf odejdzie jako jeden z pierwszych.

Baron podszedł blisko, stanął twarzą w twarz z Gilbertem. Musiał nieco zadzierać głowę, by zajrzeć paniczowi w oczy. Jechało od niego kwaśną wonią przetrawionego wina.

– Gdzie ten skurwysyn?! – wrzasnął, opryskując Gilberta kropelkami śliny.

Panicz nawet nie musiał się zastanawiać, o którego skurwysyna chodzi. Cofnął się o krok, machinalnie otarł twarz, co sprawiło, że baron poczerwieniał jeszcze bardziej. Żyłki na skroniach o mało nie pękły.

– Nie widziałem – rzucił ze złością.

Szeryf znienacka wypuścił powietrze, wionęło kwaśnym odorem. Skurczył się, zapadł w sobie, zgarbił.

– Nikt nie widział, nikt nie słyszał – poskarżył się żałośnie. – Najpierw znikający trup, potem znikająca wiedźma, potem znikający zbrojni, w końcu znikający druid... – Rozejrzał się po obecnych, jakby oczekując, że ktoś przytaknie. Nie doczekał się. Wszyscy odwracali wzrok. – I na co mi, kurwa, przyszło? Po co mi to było? Kto mi za to, kurwa, zapłaci?

– Może opat? – wyrwał się Eric. Jak się okazało, nie w porę. Baron momentalnie odzyskał swój naturalny, sinoczerwony kolor i znowu wrzasnął, aż się zachłysnął. – Opat?! Właśnie, a gdzie on jest?

Pytanie było retoryczne. Opat wyruszył wczesnym rankiem, zabierając swoją świtę. Bardzo się spieszył, ponoć wzywały go pilne obowiązki kanoniczne, zresztą, jak twierdził, z braku wiedzy nic tu po nim. Dodał też, że bardzo się zawiódł na nowym szeryfie. A do sprawy dziwnych osobników, kręcących się po zamku nie omieszka wrócić, gdy czasy staną się bardziej sprzyjające.

– Po co mi to było? – powtórzył baron, cicho i żałośnie.

Nikt nie odpowiedział.

Istotnie, ma problem, pomyślał Gilbert. Został sam, bez sojuszników, z dawnymi długami na karku. A i nowych trochę doszło.

– Jasiu, kurwa... – Baron postanowił zrobić coś konstruktywnego. – Zbierz zbrojnych, ruszaj go szukać. Ino zaraz.

Jaś Zielone Ucho poruszył się niespokojnie.

– Eee, tego... opata? – spytał bez zapału.

Baron o mało nie pękł tym razem.

– Druida! – ryknął, aż zadrżały małe szybki w oknach słonecznej komnaty. – Tego skur...

Urwał, widząc jak jego zauszniak kręci głową.

– Cooo? – syknął tylko, nie mogąc wydobyć głosu.

Gilbert był pewien, że tym razem krew zaleje go niechybnie. Mylił się, jeszcze nie teraz.

– Sami sobie, panie, szukajcie. – Jaś Zielone Ucho splunął na posadzkę, posypaną zdeptaną, zmierzwioną trzcina.

Baron nic już nie mówił, wodził tylko przekrwionym wzrokiem po twarzach obecnych. Większość z nich rozglądała się wokół, jakby na ścianach dostrzegała coś niezmiernie ciekawego, poza żelaznymi kunami, w których tkwiły wygasłe łuczywa, oraz licznymi porożami dorodnych jeleni. Nic więcej nie pozostało, słynny gobelin zniknął niedawno.

A pewnie, pomyślał Gilbert, sam sobie szukaj, tłusciuchu, jak takiś mądry. Jedź do puszczy, gdzie druid niechybnie zapadł, trop go po uroczyskach i bagnach. O banitach wprawdzie już nie słyhać, ale jak na ciebie i zwykły zbój z gościńca wystarczy.

Reszta świty barona niewątpliwie podzielała jego przekonanie. Wystarczyło popatrzeć, jak ci najwierniejsi uciekają spojrzeniem.

Gilbert spostrzegł, że tylko dwóch ludzi nie odwraca wzroku. Wulf, na którego wargach plątał się nieznaczny uśmiezek, i młody Eric, którego twarz płonęła świętym oburzeniem.

– Ja ruszę, panie – oświadczył dumnie młodzieniec, spoglądając z pogardą na pozostałych. – Dajcie mi jeno drużynę, a przywiodeę poganina w powrozach, żywego albo martwego.

Jaś Zielone Ucho pokręcił głową z niedowierzaniem, jakby nie mógł się nadziwić, że ktoś może być tak głupi. Swoim zwyczajem głośno wysmarkał się w palce.

– Ciekawym tylko, panie, skąd drużynę niby weźmiecie? Chyba samowtór chcecie jechać, albo najwyżej samoczwart. – Usmarkaną dłonią ujął szlachcica pod ramię. – Bo tyłu może ciurów znajdziecie, którzy potrafią się jako tako w siodle utrzymać. Reszta albo zabita, albo ranna, albo zwiąta, ot co... – Otarł palce o rękaw kubraka młodzieńca. Odwrócił się do barona. – Wybaczcie, panie. – Skłonił się lekko. – Młody jest, to głupoty gada. A myślę ja tak... – Popatrzył po zebranych.

Widać było, że zwykł w takich momentach przejmować inicjatywę. Baron najwyraźniej gubił się pod naporem okoliczności, polegał na zaufanych. Jaś, przybrawszy dumną postawę, przechadzał się po komnacie. Baron wodził za nim przekrwionymi oczami, sapał głośno.

– Myślę ja tak: Bramę zamkową trza zawrzeć, mury obsadzić. Ludzi starczy, konni niepotrzebni. Ze dwóch niepewnych obwiesić dla przykładu, coby na innych strach padł, i żaden więcej nie poważył się

zwiąć. Ciebie, Wulf, za to odpowiedzialnym czynimy.

Wulf nie zmienił wyrazu twarzy, wciąż nie schodził z niej ledwie widoczny uśmieszek. Jaś stropił się nieco, oczekiwał kłótni. Już dawno chciał się pozbyć dawnego dowódcy, nie dowierzał mu, choć ten jak dotąd wypełniał rozkazy bez szemrania. Ale zbyt często napotykał jego wzrok, jakby dawny kapitan tylko czekał na okazję.

– Co to ja mówiłem? – Jaś wydawał się zbity z pantałyku bezczelnym spojrzeniem Wulfa. – A, już wiem. Mieszczan paru do lochów trza wrzucić, niby że tumultum uczynili. Co znaczniejszych, dobrze wybrać. Jak się nic nie przydarzy przez niedzielę, albo i ze dwie, to do wiosek można podjazdy posłać, dobra trochę ściągnąć. A i cechom warto nieco mieszka przetrzepać.

Rozsądnie gada, przyznał Gilbert z niechęcią. Diabli wiedzą, co się jeszcze może stać. Może opat nie rzucał słów na wiatr, szybko potrafił zmieniać faworytów. Mogło się okazać, że niebawem pod mury podciągną okoliczni baronowie, nieznoszący nowego szeryfa jak zarazy. A król... Cóż, kto miał siłę, mógł liczyć na królewski edykt i nominację.

Pomyślał niechętnie, że zbyt długo czekał. Trzeba było zwiewać wcześniej, teraz może być trudno.

Wymruczał przekleństwo pod nosem. Przecież nie mogą go zatrzymać, jest szlachcicem, wolnym człowiekiem. Ot, przystał tylko do kompanii, szeryf nie jest jego suwerenem. Ale nie był pewien.

– Co tam mówicie, panie? – spytał ostro Jaś Zielone Ucho.

Gilbert nie mógł się powstrzymać od głośniejszego przekleństwa.

– Nic – warknął wściekły na samego siebie.

Zbrojny roześmiał się drwiąco.

– A, to dobrze – wycedził. – Bo już mi się wydawało, że chcecie wielmożnego szeryfa opuścić w potrzebie. Drapnąć jak reszta hołoty. Ale myliłem się, wybaczcie panie, zem wziął was za tchórzem podszytego. Bo wszak nie jesteście? – Podszedł bliżej. – Nie jesteście, prawda? – syknął.

Gilbert cofnął się mimo woli. Pokręcił głową.

– A, to dobrze – westchnął zbrojny. – Bo wiecie, tak się składa, że my za pana barona dalibyśmy się pokrajać, prawda, kamraci? A jeszcze chętniej pokrajalibyśmy kogoś innego. Ot, tchórzliwego szlachciurę dla

przykładu...

Kamraci zgodnie zarechotali. Młody Eric pobladł. Słowa Jasia nie dotyczyły go wprawdzie bezpośrednio, ale nie mieściło mu się w głowie, żeby taki prostak, taki cham mógł podobnie odezwać się do szlachcica.

– No, to dogadaliśmy się – oznajmił zaufany szeryfa wszem i wobec.

Nikt nie zaprotestował.

Tylko baron nie wyglądał na szczęśliwego. Opadł na ławę i siedział zgarbiony, oklapły. Wydawało się, że uszła z niego resztką energii.

– Mury obsadzić, powiadasz? Bramy zawrzeć? – zapytał. – Kto mi, kurwa, za wszystko zapłaci? Nieszczęścia same, powiadam. Żebym ja tego skurwysyna... – Zadarł rudą brodę, wbił przekrwione oczy w sklepienie sali, jakby Boga samego przywoływał na świadka swych krzywd.

Jaś Zielone Ucho splunął dla pewności. Był przesądny.

– A nie wyrzekajcie, panie, żeby jakie nieszczęście rzeczywiście na nas nie spadło z jasnego nieba. Tfu, na psa urok, jeszcze w złą godzinę kiedyś powiecie.

Psa, jak na złość, akurat pod ręką nie było. A godzina okazała się złą.

Nieszczęście nie spadło z jasnego nieba, tylko całkiem zwyczajnie wjechało przez główną, miejską bramę. Most był spuszczone, oba skrzydła bramy rozwarte szeroko. Podkowy ogromnego, bojowego konia zadudniły na drewnianych balach, odezwały się ostrzejszym dźwiękiem na bruku, gdy rycerz wjechał w wąski przesmyk barbakanu. Za nim podążał giermek, zaskakująco młody, pacholę prawie, sądząc z twarzy pokrytej jasnym meszkiem zarostu. Prowadził za sobą jucznego luzaka.

Tuż za bramą drogę zatarasował wóz. Przechylony na bok, stał prawie w poprzek wąskiego przejazdu. Worki, którymi był załadowany, częściowo zsunęły się na ziemię. Kilka z nich było rozerwanych, mąka wysypywała się na bruk.

Rycerz zmarszczył brwi. Po wyrazie szczupłej, pociągłej twarzy widać

było, że się na czymś zastanawia. Chwilę przyglądał się wozowi, potem ruszył dalej, mijając zwalone worki i rozsypaną mąkę.

Nieco dalej natknął się na pierwszych ludzi, obdartych uliczników, którzy usiłowali ściągnąć buty zbrojnemu. Ten nie protestował, leżał wciąż jak padł, krew oblepiająca rozbitą czaszkę zaschła już i zdążyła poczernieć. Nad ciałem krążyły pierwsze wiosenne muchy. Chłopcy pierzchli na odgłos końskiego stąpania, odbijającego się od murów kamieniczek, zabierając ze sobą jeden but. Stopa zabitego, częściowo owinięta onucą, zdążyła już zsinieć.

Przejechali obok, rycerz zamyślony i coraz bardziej posepny, giermek z wyrazem zdumienia i lęku, wypisanym na chłopięcej twarzy.

Wąska uliczka wychodziła na plac targowy, pełen połamanych kramów, rozbitych wozów, gdzie bruk pokrywały czarne, zakrzepłe kałuże, których pochodzenie nie budziło żadnych wątpliwości. Dalej widniała szubienica ze smętnie dyndającym, odciętym kawałkiem sznura.

Zza węgła wypadł na nich pies, bezpański kundel. Wierzchowiec rycerza chrapnął spłoszony, zbyt dobrze go jednak wyszkolono, by choć zmylił krok. Zatrzymał się dopiero, gdy jeździec klepnął go po szyi. Za to pies wystraszył się niewątpliwie. Obnażył kły, zjeżył się, zawarczał, podkulając bojaźliwie ogon. Z pyska wypadła mu zdobycz, coś, czego początkowo rycerz nie mógł rozpoznać. Dopiero przyjrawszy się bliżej, zrozumiał, że to ludzka dłoń, odcięta w nadgarstku, ogryziona już nieco.

Z tyłu dobiegł gwałtowny kaszel, potem odgłosy torsji. Giermek zwijał się w kulbace, widać i on zobaczył dostatecznie dużo.

Na placu nie brakowało psów. Dwa z nich wrywały sobie coś, co z daleka wyglądało na kawał szmaty. Rycerz wolał się dokładnie nie przyglądać.

Pierwszym żywym człowiekiem, którego spotkali, i który przed nimi nie uciekł, był garbaty mężczyzna o różowej łysinie, okolonej wianuszkami siwych włosów. Mozolił się nad załadowaniem słusznej postury zwłok na dwukołowy, ręczny wózek. Nie przerwał swej czynności, choć musiał zdawać sobie sprawę, że nie jest już na placu sam. Rycerz podjechał bliżej, patrzył przez chwilę w milczeniu, jak garbus stękając i przeklinając, wciąga zwłoki na wózek. W końcu mu się udało.

Otarł pot z łysiny, wyprostował się na tyle, na ile pozwalał mu garb. Popatrzył na górującego nad nim jeźdźca, jakoś tak śmiesznie, z ukosa przekrzywiając twarz. Widać nie mógł bardziej zadrzeć głowy.

– Pochwalony! – rzekł rażno. – Piękny mamy poranek, panie.

– I ja go chwale, dobry człowieku – odparł rycerz. – Istotnie, piękny.

Rozejrzał się po placu. Psy zdążyły się już dobrać do niektórych ciał. Zmarszczył brwi, widząc truchło wielkiego niedźwiedzia, otoczone kręgiem warczących kundli. Zwierz i po śmierci budził ich respekt, nie poważyły się jeszcze szarpać go tak, jak ludzi.

– Piękny, zaiste – powtórzył rycerz. – A cóż to spotkało owo piękne miasto? Pomór raczej nie! – Roześmiał się głośno.

Słyszając ten śmiech, garbus aż się skurczył i zapadł w sobie, co jeszcze przed chwilą wydawało się niemożliwe.

– Chyba nie pomór ani zaraza – ciągnął rycerz, nadal się uśmiechając, choć jego szare oczy pozostały czujne i zimne. – Ot, temu chociażby, na tym wózku, złom włóczni z wątpi wystaje. – Pokręcił głową. – Powiedźcie no mi, człecze, cóż tu się stało?

Garbus zadreptał w miejscu.

– A bo ja to wiem? – mruknął. – Nie moja to rzecz, panie, o co się ludzie wadzą. Moja rzecz to ino posprzątać.

Rycerz przestał się uśmiechać.

– Zgaduję, grabarzem jesteś, dobry człowieku?

– W rzeczy samej – odparł garbus z godnością, uczynił nawet dziwny ruch, jakby chciał się dumnie wyprostować, co naturalnie było niemożliwe i zakończyło się czymś w rodzaju pokraccznego podskoku w miejscu. – Grabarzem miasta Nottingham – oświadczył wyniośle, jakby mienił się co najmniej szeryfem.

– Grabarzem jesteś, powiadasz... – zastanowił się rycerz. – No, rzeczywiście, nie ma cię chyba co wypytywać, ciebie raczej obchodzą skutki, nie przyczyny.

Jeszcze raz rozejrzał się dokoła. Ciała zbrojnych były nieliczne. Większość martwych miała na sobie chłopskie siermięgi, mieszczkańskie kubraki i odświętne suknie.

– I tak dasz radę, ze wszystkimi, sam? – zatroszczył się rycerz nieszczerze. – Nikt ci nie pomaga, rajcy miejscy nie zagonili czeladzi do roboty? Toż tyle dołów wykopać, do jesieni ci zejdzie, człecze nieszczęśny.

Grabarz zaśmiał się tylko, umilkł jednak szybko, uświadomiwszy sobie ten brak szacunku.

– Eeee, tego... – Podrapał się po łysinie. Paznokcie na krótkich palcach były czarne i połamane.

Przez głowę rycerza przemknęła szalona myśl, że ryje tymi pazurami doły w ziemi, zamiast rydlem czy łopata. Jak ghoła jakowyś, pomyślał, przypomniawszy sobie opowieści, których nasłuchiwał się w dalekiej Palestynie. Przeżegnał się machinalnie, wzbudziwszy tym zdziwienie grabarza.

– Ee, panie. – Garbus opacznie pojał ten gest. – Nic się takiego nie stało, pamiętam, w czasach moru... Wtedy było trupów, a nie uwierzycie, panie, jakich paskudnych. Nie to, co te, czyściutkie i świeże. – Poklepał trupa na wózku po wydętym brzuchu, z którego sterczał ułamany kawałek drzewca. Jedna z dłoni wciąż była na nim zaciśnięta, druga ręka właśnie opadła, zwisając obok wózka. Na opuchniętym palcu błysnął pierścień.

– A, tego... – grabarz mówił dalej, zezując na pierścień. – Dołów to dużo kopać nie trza, i tak miejsca nie wystarczy, smętarz mały. I stary, wiecie, źle się kopie, panie. Kości więcej już niż ziemi, żeby nowym umrzykom miejsce zrobić, trza starych wykopać. Tak to już jest, panie... – Zadumał się, jednocześnie przesuwając tak, by zasłonić zwisającą dłoń z połyskującym pierścieniem. – Nie, panie. Doły to ino dla znaczniejszych. Nawet dla zbrojnych tylko jedna mogiła będzie, dół taki ino, gdzie ich wożę i rzucam. Jak popadnie, na pysk taki zleci, to i na tym pysku do sądnego dnia będzie spoczywał, dupsko ino prezentując. Ale cóż, starym jest, nie wydolę, a syn, zamiast poważnej profesji się uczyć, skrybą został. Uwierzycie, panie? Skrybą. – Pokręcił głową z dezaprobatą. – A dla innych, kmieci i reszty hołoty nawet dołu nie ma. Na kupę jeno będę zwał, za murami, niech się jaśnie wielmożny szeryf martwi, kiedy śmierdzieć mu zacznie. Może się i nie zmartwi, bo z fosy cały czas jedzie jednako.

– Rajcy miejscy nie protestują? – spytał rycerz, skrzywiwszy się z

niesmakiem.

Z boku dobiegł go kaszel. Popatrzył na giermka, twarz chłopaka była blada jak chusta, z trudem powstrzymywał targające nim wymioty. Pod spojrzeniem rycerza wyprostował się jednak w kulbace, utkwiał wzrok w jakimś punkcie przestrzeni.

– Ano nie. – Garbus manipulował z wysiłkiem ręką, skrytą przed wzrokiem rycerza. – Bo wiecie, panie, rajcom to ja sam całkiem niedawno doły kopałem, jak ich wreszcie od stryczka odcięli. Całkiem już skruszeć zdążyli, długo wisieli, dla przykładu, znaczy. A dobrze im tak, złodziejom. – Machnął z lekceważeniem ręką. – Teraz ino starsi cechowi zostali, to znaczy chyba zostali, bom rymarza na ten przykład właśnie niedawno odwiózł. Jenó szeryf w mieście rządzi.

Rycerz uśmiechnął się znowu.

– A właśnie, szeryf... Z tego, co mówisz, dobry człecze, tuszę, iż przeżył to drobne towarzyskie nieporozumienie?

– A przeżył – stęknął garbus z wysiłkiem. Palce trupa opuchły, pierścień nie dawał się ściągnąć. – Przeżył, tumultum całe w ukryciu przeczekał, tfu! – Umilkł, skonsternowany własną gadatliwością. Przypomniał sobie, że ponoć nic nie wie na ten temat. – Mnie tam panie, za jedno.

Rycerz roześmiał się.

– Nie turbujcie się, dobry człecze. Powiadasz, przeżył, i to w dobrym zapewne zdrowiu? Cóż, radość mi wielką czynisz.

Grabarz spochmurniał, nie potrafił ukryć uczuć, które niewątpliwie nim targały. Jak większość mieszkańców miasta miał ocalenie szeryfa za niezawiniony dopust Boży. Cóż, nie nam maluczkiem dochodzić tych wyroków, pomyślał stary melancholijnie. Trzeba się cieszyć z drobiazgów, które dobry los zsyła. Znów, nie bacząc na obecność rycerza, szarpnął z całej siły pierścień, aż wózek zakołysał się, koła zaskrzypiały. Na nic.

– Radość mi czynisz – powtórzył rycerz. – Zaiste, niezmierna jest dobroć Boska, że szeryfa w zdrowiu uchował. I w gotowości. Przeto, dobry człecze, skoroś mnie uradował, to dam ci dwie rady...

Grabarz aż się skulił. Z takich pańskich rad na ogół nie wynikało nic

dobrego. Puścił dłoń trupa, aż ręka znów zakołysała się bezwładnie.

– Ależ, co wy, panie? – wyjąkał. – Jam człek niewinny.

Śmiech rycerza odbił się echem od kamienic, otaczających plac. Psy odskoczyły, ptaki poderwały się i z ochrypłym krakaniem zataczały kręgi.

– Widzę, żeś sumienny i prawy człowiek. – Rycerz uspokoił grabarza, gdy już przestał się śmiać. – Przeto najpierw ci poradzę, byś cisnął tę robotę na razie, i począł kopać jeden grób, w dobrym miejscu, nie gdzieś pod murem. Bo rychło będzie potrzebny.

Garbus spojrział w jego blade oczy. Dostrzegł groźbę, czającą się pod pozorną wesołością. Już zrozumiał.

– A druga rada, panie? – spytał cicho, gdy milczenie się przedłużało.

Rycerz wskazał na zwisającą z wózka rękę trupa.

– Spróbuj nożem – poradził, zawracając wierzchowca.

Jaś Zielone Ucho sprawnie zapanował nad rozgardiaszem, który wszczął się na zamkowym dziedzińcu, kiedy zebrano zbrojnych: wszystkich, którzy mogli chodzić i nie podziękowali jeszcze za służbę. Gilbert z politowaniem przyglądał się owej zbieraninie. Większość to gołowąsy, albo wręcz przeciwnie, ludzie starzy, którzy nie chcieli ryzykować wysłużonych lat i uciekać na niepewne. Jednak już po paru wykrzyczanych przez Jasia klątwach wyprostowali się, a wielu nawet zaczęło przypominać zbrojnych. Do obsadzenia murów wystarczą, pomyślał Gilbert. Muszą wystarczyć.

Kombinował przez cały czas, co zrobić, by zausznik szeryfa dał mu jakieś zadanie w mieście, nie w zamku. Był jednak za sprytny, by sam się przymawiać, to mogło wydać się podejrzane. I tak już zauważył nieufne spojrzenia, jakie rzucali mu baron i jego zausznicy.

Tylko we wzroku Wulfa było coś dziwnego.

Baron pozbierał się nieco. Nie był już purpurowy na twarzy, jedynie rude włosy, mokre od potu i pozlepiane świadczyły o niedawnym

wzburzeniu. Siedział na wielkim kamieniu, obok studni na środku dziedzińca, przy kamiennym korycie do pojenia koni. Było ono puste, zauważył mimochodem Gilbert, nikt nie zatroszczył się o wodę.

– Jak, kurwa, stoisz! – Jaś wydzierał się na mizernego człeczynę, który, wydawało się, nie zdoła unieść ciężkiej glewii. Nieszczęsny zbrojny chwiał się na nogach, był już niemłody. I przerażony.

Gilbert obserwował to ze znużeniem, czekając, aż skończą się te całe jasełka. W końcu i tak trzeba będzie pognać strażników na stanowiska, nie zrobią się dużo sprawniejsi od klątw i wyzwisk. Bez sensu to wszystko.

Szeryf podniósł się ociężale z kamienia. Wolno pocłapał do swego zaufanego. Jaś urwał w pół przekleństwa.

– Wyślij ze dwóch, żeby kopidoła przypilnowali – rzucił baron. – Ścierwa tyle, rychło śmierdzieć zacznie, ciepło się, psiakrew, robi. I żeby do fosy nie wrzucał, bo sam w niej skończy.

To niebywałe, pomyślał Gilbert. Nic do niego nie dociera. Nie zastanawia się nad niczym, jest tylko wściekły, że został wydymany przez swego dziwnego protektora. Nieistotne, że to najważniejsze ciało zniknęło w okolicznościach co najmniej podejrzanych. Jak stwierdził opat na odjeźdny, podejrzanie przypominających działalność największego nieprzyjaciela rodzaju ludzkiego. A ten nic, martwi się tylko, że mu śmierdzieć pod komnatami zacznie, choć jeszcze nie wiadomo, jak długo to będą jego komnaty.

Później Gilbert zachodził w głowę, skąd wzięły mu się takie prorocze wręcz przeczucia.

Jaś Zielone Ucho nie zdążył wydać odpowiednich poleceń. Do wszystkiego wziął się za późno. Zaniedbał zwłaszcza zamknięcia zamkowej bramy, czego skutki miały wkrótce okazać się opłakane.

Dostrzegli rycerza dopiero wtedy, gdy wyłonił się z cienia bramy.

Baron znów poczerwieniał. Bez namysłu ruszył w stronę przybyłego, burcząc pod nosem plugawe przekleństwa. Jeszcze tego brakowało, myślał z pasją, przybłądy, który spóźnił się pewnie na widowisko, jakim miała być kaźń więdzmy. Szkoda, niechybnie by go zarąbali, wyróżniałby się w tłumie, wysoki, chudy jak tyka. Baron dostrzegł tarczę, obróconą licem do siodła, i jego przekleństwa stały się głośniejsze. Widno jeden z

tych, co to po świecie krążą, ze złem się potykając, a imię swe tają, pomyślał. Z takimi nigdy nie szło się dogadać, a ten zjawił się mocno nie w porę.

Rycerz siedział sztywno wyprostowany, w kubraku z rdzawymi plamami i odciskami od pancerza. Spod małej skórzanej mycki, jaką zwykło się wkładać pod hełm, wymykały się krótko przycięte, siwe kosmyki. Nie był już młody, wiek pobruździł jego twarz, szczupłą i ogorzałą.

Baron stanął przed nim, wzięwszy się pod boki. Zadzierał śmiesznie rudą brodę, żeby patrzeć prosto w twarz przybysza.

– Cóż to was sprowadza, panie? – spytał, nie bawiąc się w konwenanse i nie czekając, aż rycerz zsiądzie z konia. – Nic tu po was, widzicie sami. Wiedźmy już nie mamy, a i smoka nijakiego w okolicy nie widziałem. Dziewic pohańbionych także.

Rycerz uśmiechnął się zimno, nic nie odpowiedział.

– Za to, jak widzicie, mamy inne problemy – ciągnął baron niezrażony. – Wybaczcie tedy, że na komnaty nie zapraszam, poczęstunku nie proponuję, panie... – Obrzucił wymownym spojrzeniem odwróconą tarczę. – Wybaczcie, ale herb swój zatajasz, panie, widno masz powody.

Niemłody rycerz przerzucił nogę nad łękiem, zwinnie niczym młodzieniec zeskoczył z wierzchowca. Stanął przed baronem, nadal zmuszając go do zadzierania brody w górę. Był o głowę wyższy.

– Jestem Bertrand de Folville – powiedział cicho.

Gilbert usłyszał, jak szeryf głośno wciąga powietrze.

– Czegóż to chcecie, panie? – wychrypiął po chwili.

Pan de Folville wyjął powoli zza pasa długą, jeździecką rękawicę, przyglądał się jej przez chwilę, po czym z rozmachem trzasnął nią barona po gębie. Tak głośno, że Gilbert aż podskoczył.

– Domyśl się – usłyszał cicho wymówione słowa.

Baron zatoczył się, chwycił za policzek. Oczy gorzały mu wściekłością.

– Brać go! – wrzasnął.

Nikt się nie poruszył. Nawet grupka zauszników. Imię sir Bertranda odebrało im chęć jakiegokolwiek pomocy.

– Brać... – powtórzył szeryf, tocząc dokoła dzikim wzrokiem.

Gilbert widział, jak furia zamienia się w zdumienie, potem w obłądny strach. Baron właśnie zaczynał chyba rozumieć sens słowa "przeznaczenie". Jeszcze rozglądał się dokoła, usiłował zagłębiać w oczy swym niedawnym zaufanym. Odwracali wzrok, wszyscy. Gilbert pochwycił jego spojrzenie, które wyrażało jakby błaganie.

Wolno pokręcił głową.

Co ty sobie wyobrażasz? – pomyślał. Nie wykręcisz się, musisz stanąć. Nie da się go ustrzelić z kuszy, to nie człek z gminu, któremu też nie chciałeś stanąć, tylko rycerz, słynny w całym chrześcijańskim świecie. Zresztą genueńscy kusznicy odjechali z opatem, to on im płacił.

Baron opuścił wzrok, stał chwilę, sapiąc głośno.

– A czym żem zasłużył – spytał wreszcie chrapliwie – na taki zaszczyt?

Folville uśmiechnął się zimno.

– Przysięgałem na krzyż, że plugastwo tępić będę, ot i całe wyjaśnienie – podniósł głos, nie mówiąc już, lecz przemawiając. – Boś plugastwem jest, i ziemię tę kalasz, stąpając po niej. A uczynki twe Bogu są niemiłe, i ja, w swej skromności, w zuchwałości całej, postanowiłem Bogu ich oszczędzić. – Roześmiał się. – I masz rację, zaszczyt to niemały. Bo też plugastwo jak psa można ubić, miły to Bogu uczynek.

Mimo przerażenia żyły nabrzmiały szeryfowi na skroniach. Wysunął rudą brodę do przodu.

– Ejże, miarkujcie się, panie – wydyszał zduszonym przez wściekłość głosem. – Z równym sobie mówicie, zważajcie tedy...

– Na co? – przerwał sir Bertrand. – Wyzwiesz mnie?

Baron zrozumiał, że bezsilna złość w niczym mu nie pomoże. Jeszcze nie zrezygnował, uderzył jednak w inny ton.

– Toć panie Bertrandzie, o cóż taka w was uraza? Niczym żem nie uchybił rycerskim powinnościom, nie znam was wcale.

Folville spoglądał z pogardą.

– Daję ci przeto szansę, byś niewinność swą wykazał.

Na krótką chwilę w baronie obudziła się szalona nadzieja.

– Jak? – spytał szybko, zanim zdążył pomyśleć.

Rycerz popatrzył ze zdziwieniem przemieszonym z odrazą.

– No przecież stając mi – wyjaśnił. – Pokonasz mnie, znaczy niewinności swej dowiedziesz. Bóg rozsądzi, bo ja nawet wszelkich twych plugawych uczynków wymieniać nie chcę, coby złego nie wzywać przypadkiem.

– Jakże to? – Szeryf kręcił głową, jakby nic nie rozumiał. – Jakże?

Folville odwrócił się, począł odwiązywać rzemienie, którymi przytroczono do siodła pochwę jego miecza. Młody giermek zeskoczył z konia, chciał pomagać. Sir Bertrand odprawił go niecierpliwym gestem.

Szeryf cofnął się kilka kroków.

Rycerz, trzymając w ręce pochwę okręconą pasem, postąpił ku niemu.

– Jakże? – mruknął. – Ano, na miecze na przykład. Nie po to chyba nosisz miecz, żeby pas ci obciążał? Alibo na topory, znajdziesz chyba jakiś w zamku? Wybieraj.

Do barona najwyraźniej dopiero teraz dotarło, że istotnie, jest uzbrojony. Uczynił gest, jakby chciał ująć rękojeść, cofnął jednak dłoń w ostatniej chwili, zatrzymał ją w pół drogi. Zginał tylko i prostował na przemian palce.

– Dalejże, wybieraj, bo jak nie, to zarżnę cię jak psa! – warknął de Folville. – Dość tego!

– Dlaczego? – jęknął baron. Chwycił wreszcie rękojeść, zdołał się zebrać w sobie nawet na tyle, że nad pochwą ukazały się ze dwa cale lśniącego ostrza.

– Dlaczego, pytasz? – Sir Bertrand niedbale odrzucił okręconą pasem pochwę. Klinga jego miecza zabłysła matowo. – Uczynię ci łaskę, choć nie zasługujesz na nią. – Westchnął. – Żebyś umierał ze świadomością, jakie z ciebie bydłę i pies parszywy.

Coś wzleciało wysokim łukiem, trafiło rycerza w pierś.

Młody Eric z Weybridge wszedł pomiędzy przeciwników. Błada twarz

drgała mu z wściekłości.

– Nie godzi się, panie – wykrztusił. – Nie godzi się lżyć szlachcica!

De Folville popatrzył na leżącą rękawicę. Potem przeniósł wzrok na twarz młodzieńca.

– Szkoda, synu – powiedział tylko.

– Nie godzi się! – wrzasnął Eric głosem, w którym brzmiały wściekłość i strach. – Pozwólcie, panie, że orędownikiem sprawy barona się ogłoszę. Przeciwno wam stanę na ziemi udeptanej, na miecze krótkie alibo długie, niech Bóg rozsądzi.

Rycerz pokiwał głową.

– Rozsądzi, rozsądzi... – Popatrzył młodemu szlachcicowi w oczy. – A wiecie, panie, za czym orędujecie?

Wściekłość spelzła z twarzy Erica.

– Niedawno ów człek – de Folville wskazał sztychem na barona – stanąć nie chciał prawemu mężowi, którego podstępem w matnię zwabił, z plugastwem się sprzymierzywszy. A kto się z plugastwem sprzymierza, Bogu niemiłym i wszetecznym, sam plugawym się staje. I tchórzliwie nie stanął, jeno ustrzelić kazał, mówiąc, że szlachcic człekowi z gminu stanąć nie może, tylko zasieć go, ustrzelić lubo obwiesić zgoła. Takoz ja przybyłem tu jako orędownik. Mnie stanąć musi. Albo... – Roześmiał się znów, swym zgrzytliwym śmiechem. – Albo jak psa zabiję. Bo trzeba wam panie wiedzieć, że człek ów, tak zdradliwie zabity, skrzyżował kiedyś ze mną swe ostrze. Już samo to uczyniło go równym. A postępek jego, gdym na łasce jego klingi leżał, do gardła mając ją przystawioną, między rycerzy najprzedniejszych go wynosi. Mam dług, dzielny, acz nierozumny młodzieńcze. Prawda za mną.

Spoważniał.

– Spóźniłem się – dodał. – Ślubu swego dopełnić nie zdołałem. Wiem, wieki czyścica mnie czekają. Ciężko tak będzie, kilkaset lat się prażyć. – Splunął baronowi pod nogi. – I dlatego jestem bardzo wkurwiony...

Eric z Weybridge już nie dyszał wściekłością. Był tylko śmiertelnie blady.

– Poniechaj mnie, synu – poradził de Folville. – Nie po dobrej stronie stajesz, nieświadom byłeś, czci przeto nie uchybisz.

– Nie, sir Bertandzie. – Eric zaprzeczył ruchem głowy. – Nie mogę, sami wiecie. – Skinął na najbliższego ze zbrojnych. Obnażył swoją broń, rozpiął klamrę pasa, podał go wraz z pochwą. – Jestem gotów – powiedział. Głos lekko mu się załamał. Próbował to pokryć chrząknięciem.

De Folville przez chwilę patrzył mu prosto w twarz. Wreszcie skłonił głowę.

– Rozumiem – odparł tylko.

Gilbert miał wrażenie, że dzieje się coś zupełnie nierzeczywistego. Przecież on zaraz go zabije, myślał, zrobi to gładko i sprawnie. Nie miałyby żadnych wątpliwości, nawet gdyby nie znał wcześniej reputacji rycerza. Wystarczyło popatrzeć w jego bezlitosne, wyblakłe oczy.

Sir Bertrand wznosił twarz w górę.

– Boga i wszystkich tu obecnych biorę na świadków, że niewinien krwi, która tu będzie rozlana – obwieścił gromkim głosem.

Nie czekając, aż wszyscy inni odsuną się, czyniąc wolne miejsce, oddał niedbały salut klingą.

Zapadła cisza, przerywana tylko sapaniem barona, który cofnął się najdalej, prawie pod cembrowinę studni. De Folville stał nieruchomo, z opuszczoną bronią, jakby wciąż miał jeszcze nadzieję, że jego przeciwnik zrezygnuje z bezsensownej walki w imieniu niegodnego suwerena.

Nadzieja była płonna.

Eric rzucił się naprzód, próbował pchnąć znienacka, bez uprzedzenia, bez skrzyżowania ostrzy. Stopy sir Bertranda nie drgnęły nawet, trudno było zauważyć jakikolwiek ruch, jednak klinga młodego szlachcica ześlizgnęła się wzdłuż klingi rycerza. Eric, poniesiony impetem, przeleciał obok. Próbował się osłonić, wyrzucając miecz w górę, za plecy. O wiele za późno, de Folville nie zadał ciosu, który mógł zakończyć walkę już w pierwszym złożeniu. Nie zmienił pozycji, czekał, aż przeciwnik stanie znów naprzeciw niego.

Gilbert zrozumiał, że sir Bertrand w ten sposób okazuje szacunek dla odważnego, choć lekkomyślnego i zapalczywego młodzieńca. I zrozumiał też, że niemłody zabójca nic więcej nie może zrobić. Los Erica został przesądzony w momencie wyzwania.

Zadźwięczała stal, gdy de Folville odbił następny cios. Gilbert opuścił wzrok. Nie chciał na to patrzeć. Nie lubił Erica, ale mimo wszystko nie chciał.

Zobaczył, jak wokół barona zbierają się jego zbrojni. Jaś coś szeptał szeryfowi do ucha, ten potakiwał. Nie był już czerwony na gębie, w jego oczach widniały ten sam strach i desperacja.

Eric z Weybridge nacierał wciąż z całą siłą rozpacz. Był silny, wydawało się, że gdyby któryś z jego zamaszystych ciosów dosięgnął rycerza, walka skończyłaby się w jednej chwili. Ale de Folville odbijał wszystkie ciosy oszczędnymi ruchami, cofając się powoli przed nacierającym przeciwnikiem. Sam nie zaatakował jeszcze ani razu.

Jaś Zielone Ucho gdzieś zniknął, Gilbert nie zdążył nawet zauważyć, kiedy. Coś knują, pomyślał.

Giermek pana de Folville też coś spostrzegł. Na jego młodej twarzy odbiło się zaniepokojenie. Obserwował bacznie barona i grupę jego zauszniaków.

Zbrojni właśnie nakładali szeryfowi pancerny napierśnik, dociągali rzemienie.

Zderzające się ostrza dźwięczały coraz rzadziej. Eric męczył się wyraźnie, jego potężne ciosy nie dochodziły celu. Sir Bertrand przestał się cofać, spokojnie i metodycznie odbijał tylko cięcia, nie robiąc nawet uników. Wargi Erica rozciągnęły się, odsłaniając zęby, słyszało się jego chrapliwy oddech.

Wśród zbrojnych stojących pod murami słyhać było szemranie i nieprzyjazne okrzyki. Najwyraźniej sądzili, że sir Bertrand bawi się ze swoim przeciwnikiem. Do Erica dotarło, że jeszcze chwila, a zmieni się to w litość i pogardę. Zebrał wszystkie siły i z głośnym okrzykiem, w którym brzmiała już tylko wściekłość, rzucił się do przodu.

De Folville mógłby z łatwością odbić szeroki, sygnalizowany cios. Zamiast tego przyjął go na swą klingę, nisko, tuż przy jelcu. Przez chwilę stali tak, napierając na siebie, dysząc sobie prosto w twarz, odpychając z całej siły. Wolnymi rękami chwycili za nadgarstki prawic dzierżących rękojeści. Wyraz twarzy sir Bertranda nie zmienił się, tylko oddech stał się odrobinę głośniejszy. Eric poczerwieniał z wysiłku.

– Kończ! – wysapał wreszcie.

Przez chwilę nic się nie działo, tylko ostrza wzniesionych, napierających na siebie mieczy poczęły drżeć. De Folville wpatrywał się w twarz przeciwnika.

– Dobrze – powiedział w końcu cicho.

Jakby na komendę odskoczyli od siebie, jednocześnie. Eric rzucił się do ostatniego ataku.

Tym razem de Folville nie odbił ciosu, stojąc w miejscu. Uderzył pozornie lekko, jednak ręka młodego szlachcica opadła bezwładnie, w momencie gdy sir Bertrand wykonał taneczny prawie unik, i nie kończąc tego ruchu, ciął nisko, tuż pod żebrami. Gdy Eric zwinął się pod ciosem, pociągnął rękojeść do siebie. Klinga załśniła, wlokąc za sobą wachlarz czerwieni.

Eric stał jeszcze, zgięty w pół, gdy jego miecz z brzękiem uderzył o bruk. Krew chlustała mu spomiędzy obejmujących brzuch dłoni, w oczach miał przerażenie i ból.

Przerażenie zniknęło, gdy krótki cios łaski, samym końcem ostrza w miejsce, gdzie czaszka styka się z karkiem, posłał go na ziemię. Eric z Weybridge wierzgnął raz i drugi wyprężonymi nogami. I zaraz znieruchomiał.

Sir de Folville wetknął miecz pod pachę, nie zawracając sobie głowy wycieraniem ostrza. Przeżegnał się szeroko.

– Dzielnie stawał – skwitował obojętnie. – Ale złej sprawie służył, ufam, że Bóg mu wybaczy. Pora na ciebie.

Baronowi nie trzeba było przypominać. Ręka dociągająca rzemienie napierśnika dygotała mu wyraźnie. Jednak postąpił do przodu.

W pancernym napierśniku, opiętym na tłustym tułowiu, z półotwartą gębą i na krzywych nogach przypominał groteskowego żółwia.

– Stawaj – przynaglił de Folville.

Szeryf uspokoił się, nie drżał już, nie sapał głośno. Kiedyś był niezły na miecze, wiedział o tym, choć lata hołdowania zbyt wielu przyjemnościom niewątpliwie dawały o sobie znać. Ale wciąż miał instynkt zabójcy, a rękojeść miecza w dłoni przydawała mu irracjonalnej pewności siebie.

Nie zaatakował pierwszy, jak Eric, nie rzucił się naprzód z pianą na

wargach. Pierwsze skrzyżowanie kling było ostrożne, jakby badali się dwaj równorzędni przeciwnicy. A przynajmniej równie doświadczeni.

Cięcie, zasłona, unik. Ta walka wyglądała zupełnie inaczej. Baron począł głośno sapać, jednak nie ze zmęczenia ani strachu, który nagle gdzieś się ulotnił. Pozostała chłodna kalkulacja. Wiedział, że wytrzymałością nie dorówna rycerzowi, mógł jedynie liczyć na ogromną wciąż siłę ramion, na doświadczenie. I na coś jeszcze.

Kolejne cięcie sir Bertranda odbił z łatwością, prawie tak samo, jak rycerz odbijał ciosy młodego, niedoświadczonego Erica.

W oczach de Folville'a błysnęło niechętnie uznanie.

Gilbert bezwiednie zrobił krok do przodu, potem następny. Nie on jeden. Zaufani barona także poczęli otaczać walczących coraz ciaśniejszym kręgiem. Nie spodobało się to młodemu giermkowi. Również podszedł, z dłonią na rękojeści.

De Folville rzucił mu krótkie spojrzenie, nie mógł jednak spuszczać z oka swojego przeciwnika. Baron, rozzuchwalony, nacierał coraz śmieiej i sapał coraz głośniej, podskakując na pałkowatych nogach.

Gilbert dostrzegł Jasia Zielone Ucho. Ponury drab pojawił się jakby znikąd, trzymał się z tyłu, ale tak, by wciąż być za plecami rycerza.

Sir Bertranda ogarniała złość. Jego cios prawie dosięgnął barona, ale ześlizgnął się po napierśniku. Rycerz odbił dwa szybkie, następujące raz za razem ciosy, zanim znów przejął inicjatywę. Teraz szeryf musiał się bronić. Ale czynił to zadziwiająco sprawnie, jak na jego wiek i tuszę. Do sapania barona dołączył się coraz głośniejszy oddech rycerza.

Oczy szeryfa zwięziły się nagle. Po raz pierwszy dostrzegł nadzieję na wyjście cało. Zaatakował jeszcze raz.

De Folville'a uratował błąd, jaki baron popełnił. Złowił szybkie spojrzenie, rzucone przez przeciwnika komuś za jego plecami. Odbił szerokie cięcie, skoczył w bok z półobrotem. I w ostatniej chwili uchylił się przed ciosem Jasia Zielone Ucho. Poczłł piekący ból pod żebrami. Klinga barona dosięgła go, na szczęście samym końcem.

Był w niedogodnej pozycji, wiedział, że następny cios któregoś z przeciwników musi dojść celu. I wiedział, że nic nie może zrobić.

Baron stchórzył. Mógł zadać ostatni cios, jednak zawahał się. To

przesądziło, dało sir Bertrandowi ten jeden, bezcenny moment.

Skulił się w szybkim wypadzie, przemknął pod ostrzem Jasia Zielone Ucho. Pchnięcie trafiło w brzuch. Zaufany szeryfa wybałuszył oczy, klinga miecza wychynęła na chwilę z jego pleców na dobre pięć cali, krwawa i dymiąca. Jaś zacharczał, fala krwi rzuciła mu się z ust, zachlapując dłoń rycerza. Sir Bertrand wyszarpnął ostrze i zwrócił się ku skamieniałemu baronowi.

Był wściekły. Nawały jego ciosów Czarny Baron już nie mógł odeprzeć ani się zasłonić. Cofał się, z twarzą wykrzywioną przerażeniem. Po trzecim złożeniu ręka szeryfa opadła bezwładnie, podczas gdy miecz pana de Folville zatoczył szybki łuk, uderzając w bok głowy przeciwnika, tuż powyżej skroni.

Gilbert usłyszał tylko obrzydliwe chrupnięcie, gdy miecz zniósł całą górę czaszki. Źrenice szeryfa uciekły w górę, błysnęły białka. Stał wciąż, już martwy, kiedy rozległ się głośny trzask i pokrywa czaszki spadła na bruk, odwrócona jak upiorna krwawa misa. Wreszcie ciało pochyliło się do przodu, Czarny Baron padł na twarz, u stóp pana de Folville. Na bruk wypłynęła galareta, która jeszcze przed chwilą była jego mózgiem.

Rycerz oddychał ciężko. Lata widać dawały znać o sobie. Jego giermek podnosił się na kolana, potrząsał ciężko zakrwawioną głową. Na samym początku oberwał pałką.

– Ktoś jeszcze? – spytał rycerz.

Nikt nie odpowiedział. Niewydarzeni zbrojni stali pod murami. Większość z nich porzuciła broń. Poplecznicy barona zniknęli. Na dziedzińcu zamku Nottingham panowała cisza.

Wzrok rycerza skrzyżował się ze spojrzeniem Gilberta. Ten podniósł tylko puste dłonie.

– Rozsądnie, bardzo rozsądnie – skwitował to rycerz.

Schylił się, otarł klingę miecza o szatę barona.

Gilbert poczuł, że nogi pod nim się uginają. Musiał usiąść, i to prędko.

– Bertrand de Folville. – Claymore w zamyśleniu kręcił głową.

Nie spodziewał się tego. I prawdę mówiąc, wolałby nie spotkać więcej mrocznego rycerza o niezłomnych zasadach. Lata już całe minęły od dnia, gdy sir Bertrand wypędził go, krzycząc o renegatach i nieuchronnej karze boskiej. Właśnie jego, ulubionego giermka, który jednak doszedł do wniosku, że zło można zwalczać również czerpiąc z tego korzyści. A także miał nieco bardziej elastyczne wyobrażenia na temat zła jako takiego.

– Onże sam – zakpił Gilbert.

Pozbierał się już, czuł ulgę, że mógł komuś wszystko opowiedzieć. Teraz chciał tylko jak najszybciej stąd odjechać.

Ramirez siedział zachmurzony. Niewiele się wyjaśniło, przeciwnie, coraz więcej było zagadek. W dodatku miał przeczucia.

Najbardziej złościło go właśnie to. Przeczucia, przeznaczenie. Wszystko, co uważał kiedyś za przesady i puste słowa. W dodatku coś z całej rozmowy utkwilo mu głęboko w głowie. Coś wręcz idiotycznego.

Dziewięć żywotów.

– Gilbercie, powiedz jeszcze, jak się to skończyło. Te jatki na placu.

Młody szlachcic zadrzał. Ramirez zacisnął dłoń na jego ramieniu. Miał wrażenie, że to, co teraz usłyszy, będzie bardzo ważne.

– Spadła mgła... z nieba. – Słowa padały z przerwami, jakby Gilbert z trudnością zmuszał się do mówienia. – Gęsta, gryząca.

Ukrył twarz w dłoniach. Nie mógł zapomnieć, jak walczył o zaczerpnięcie oddechu. Biały opar wydawał się czymś dotykającym, śliskim, oplatał klatkę piersiową jak wąż, dusząc coraz bardziej. Pamiętał, jak szarość mgły zmieniała się w czerwień, a potem w czerń, gdy wydawało się już, że płuca pękną z bólu.

– Więcej nic nie wiem – szepnął. – Nic...

Rzeczywiście nie wiedział. Następne, co mógł wydobyć z pamięci, to jak skręcał się na bruku, miotany torsjami, a głowę rozsadzał mu piekielny ból. Wokół ludzie śniali się i zataczali, niektórzy wciąż leżeli bez ruchu, we własnych wymiocinach.

Dziewięć żywotów, pomyślał Claymore. I był pewien już, że to nie koniec.

– Nie chcę tego słuchać, Ramirez. – Gilbert dopinał klamry upręży. – Odpierdol się ode mnie. To koniec. On nie żyje. I w to chcę wierzyć do końca życia.

Claymore nie odpowiedział. Zastanawiał się intensywnie. Było coraz więcej niejasności, coraz więcej tajemnic. Nawet nie słuchał, co mówi młody panicz.

– Nie żyje i tak niech zostanie. Jedno jest pewne, tylko jedno. Żyje wiedźma, ta prawdziwa, lady Marion. Ale i ona jest już za siedmioma górami. Nigdy więcej o niej nie usłyszymy! – Roześmiał się.

Ramirez nie odpowiedział uśmiechem.

– Dzięki za konia – rzucił Gilbert. – A ty się zastanów, zostaw te swoje powinności. Gównno z tego będzie.

Tym bardziej że człowiek, któremu byłem to winien, nie żyje, pomyślał Ramirez, patrząc za paniczem Gilbertem, który uderzył konia piętami po bokach.

Spod rozpiętej pomiędzy zaroślami płachty Fabienne widziała ściągniętą, zamyśloną twarz Claymore'a. Przetarła mokrym gałgankiem rozpalone czoło wiedźmy. Tej prawdziwej.

Opuchnięte wargi drgnęły. Dziewczyna nachyliła się, by usłyszeć cichy szept.

– *C'est une masquerade...*

Fabienne zadrzała. Pogładziła posiniaczony policzek.

– *C'est vrai, ma soeur* – powiedziała cicho. – Całe to pierdolone życie.

Dopiero wtedy się rozpłakała.

Gilbert jechał piaszczystym traktem, już wolniej i ostrożniej. Nie gnał jak rankiem, byle dalej od miasta, od koszmaru, nie zwracając uwagi na

wykroty i nisko zwieszające się nad drogą gałęzie, ryzykując w każdej chwili upadek lub rozbicie głowy o konary. Wszystko zostało już gdzieś daleko. Odeszły ambicje, marzenia. Minął nawet strach. Teraz chciał tylko zapomnieć.

Koń pochrapywał miarowo, idąc stępą środkiem leśnej drogi, o dziwo mało zarośniętej, zrytej koleinami. Prowadziła zapewne na poręby, jednak dość dawno nikt z niej nie korzystał. Gilbert nie rozglądał się, wzrok utkwiał w perspektywie drogi, dość prostej przecinki, wiodącej przez partie starodrzewu. Chciał jak najprędzej wrócić do domu, który jeszcze przed miesiącem był dla niego nieznośnym miejscem.

Tak niedawno, pomyślał, wpatrując się w mgłę. Wydawało mu się wtedy, że wreszcie przemógł pecha, który prześladował go od roku, od tamtej bezsensownej gry w kości i jeszcze bardziej bezsensownej przegranej.

Nie miał wyrzutów sumienia, raczej żał do losu, że tak go potraktował. Wszystko przez jedną głupią grę.

Ojcowska niełaska była ciężka. Nie poszło o okrucieństwo, do tego wręcz zachęcał. Ale jakieś bydlę, Gilbert podejrzewał starego zbrojnego z ojcowej straży, doniosło, jak to wszystko wyglądało, jak płakał, przegrawszy wszystkie pieniądze. Od tego dnia stary spoglądał na niego jak na psie gówno na dziedzińcu. Gilbert nie był faworytem, szykowanym na następcę, tylko stryjeczny brat, zarozumiały szczył, który bardzo prędko wyczuł, skąd wiatr wieje. Zaczęły się szykany, z początku drobne, potem coraz większe, w miarę jak konkurent się ośmielał.

Gilbert znienawidził gówniarza i życzył mu szczerze, by na przykład koń się pod nim potknął, a smarkacz skręcił kark. Wiele razy wyobrażał sobie tę scenę, na przemian z innymi, równie realistycznymi. Ale nic to nie zmieniało. Było coraz gorzej, zwłaszcza od czasu, jak oszedł Kiciak, jedyny, który pozostał wierny i lojalny, z garstką towarzyszy. Ale Kiciak wygubił swą drużynę w bezsensownej karczemnej bójce, a ojciec wypędził go bez litości, twierdząc, że giermek ze sztywną nogą jest nieprzydatny nawet dla takiego nieudacznika jak Gilbert.

Wspomnienie zakłuło wstydem. Pamiętał Kiciaka, wielkiego chłopca o twarzy już wcale nie butnej i aroganckiej, jak oparty na niezdarnie wystruganej kuli błagał pana, aby pozwolił mu zostać. Choćby w charakterze koniuszego czy prostego pachotka. Kiciak błagał, stojąc, nie

mógł rzucić się na kolana.

Błaganie na nic się nie przydało. Przydała się za to kula, miał czym oganiać się od psów, którymi poszczuł go pan na kasztelu. Kiciak bronił się nawet dość skutecznie, za bramę wypadł mało poszarpany i pokrwawiony. Może dlatego, że psy go znały, nieraz szčuł je sam na chłopów, gwoli rozrywki. Ujadały więc i kąsały bardziej z obowiązku.

Gilbert nie zapomniał spojrzenia, jakie rzucił mu Kiciak, gdy już wiedział, że wszystko na nic, zaklinania i prośby nie wzruszą. Nikt się za nim nie wstawił, nawet panicz, któremu w niejednej bójce osłaniał plecy, niejednego chłopu pospołu rozszczepili lub choćby wysmagali batogiem, niejeden garniec piwa wypili. Nie wspominając już o dziwkach albo chłopkach, branych siłą, kolejno, często na oczach ojców lub mężów, ku uciesze reszty kompanów, przestępujących z nogi na nogę w oczekiwaniu na swoją kolejkę.

Psy ujadały z daleka, podskakiwały co chwila, obnażając poźółkłe kły. Czasem doskakiwały bliżej, chwytaly zataczającą kręgi kulę, szarpały chłopską siermięgę, w którą jak na urągowisko przyodziano Kiciaka. Wśród śmiechów gawiedzi były giermek zdążył tylko rzucić Gilbertowi jedno spojrzenie, od którego paniczowi wypełzł na twarz krwawy rumieniec.

W spojrzeniu nie było gniewu, żalu czy wyrzutu. Była bezdenna pogarda.

Pogarda paliła jak uderzenie w gębę. Gilbert nie spuścił wzroku, zamiast tego jak inni począł ochryple wykrzykiwać, pobudzając psy do większego zapału. Ale wstyd pozostał, tlił się gdzieś głęboko, rozpalając coraz większą nienawiść do wszystkich.

Panicz Gilbert zbyt bał się ojca, by powiedzieć choćby słowo w obronie giermka, dawnego kompana w najdzikszych eskapadach. Nawet teraz, gdy bardziej nienawdził, niż się bał starego.

Później zobaczył Kiciaka jeszcze raz. Ojciec był pobożny, co niedzielę domownicy musieli odwiedzać nędzny drewniany kościółek, położony w należącej do kasztelu wiosce. Słuchali mszy, odprawianej przez zabiedzonego księdza, bowiem dziedzic bardzo dosłownie pojmował wersy o błogosławionych ubogich i jego pobożność znacznie przewyższała jego ofiarność. Pod murem, otaczającym przykościelny

cmentarzyk, panicz Gilbert ujrzał żebraka, cień dawnego zabijaki. Niepotrzebnie uciekał wzrokiem, ze spojrzenia Kiciaka zniknęła już pogarda, było tylko psie błaganie. Trzęsącą się dłonią wyciągał żebraczą miseczkę, pokazując okaleczone nogi. Obie, gdyż drugą przetręcili mu nowi koledzy po fachu, zmówiwszy się, gdy z początku, nie posiadając jeszcze obycia, usiłował zająć lepsze miejsce pod murem. Walka o byt była twarda, biedny wiejski kościółek nie rokował perspektyw szybkiego wzbogacenia się lub chociażby poprawy egzystencji. Kiciak szybko pogodził się z losem i siadywał na szarym końcu, licząc daremnie, że litość nie wyczerpie się na początku szeregu, gdzie starzy wyjadacze demonstrowali efektowne kikuty i równie efektowne wrzody.

Były giermek nie zdołał się widać dorobić efektownych wrzodów, bo później Gilbert już go nie oglądał. Ale gdy mijał cmentarny mur, widok pustego miejsca wciąż palił wstydem.

Droga skręcała lekko, las stawał się bagnisty. Gilbert ponaglił wierzchowca, nigdy nie lubił tych partii puszczy. Zbyt wiele nasłuchiwał się o bezdennych moczarach, o dzikim zwierzem i potworach zamieszkujących trzęsawiska. Nie niepokoił się zbyt, wedle słów Ramireza przecinka powinna go wyprowadzić wkrótce na poręby, bezludne wprowadzie i opuszczone, ale jasne i widne. Stamtąd już prosta droga na szeroki trakt, wiodący na skraj lasów, do gościńca, którym mógł dotrzeć do pierwszej wsi w dziedzinach swego ojca. Rodzinny kasztel, tak niedawno znieawidzony jawił mu się teraz jako wymarzona przystań.

Myśli wciąż kręciły się wokół jednego. Jak mógł być tak głupi, by przystać na propozycję Czarnego Barona, wiedział wszak, jaki to sukinsyn, jego sława sięgała daleko poza hrabstwo. Wtedy uważał, że każdy suweren będzie lepszy od własnego ojca, też przecież niezłego drania, który własnego syna chciał wydziedziczyć. Na samo wspomnienie Gilbert poczuł pod powiekami palące łyzy złości.

Ale to stary miał rację, przestrzegając syna, nieudanego wprowadzie, mazgaja, ale zawsze syna. Sam oddalił wyniośle posłańca barona, choć ten roztaczał wizje niebywałych korzyści i zwycięstw, jeśli przyłączy się do krucjaty przeciw pogaństwu. Nie pomógł nawet pergamin, na którym skryba pod dyktando opata wszystko misternie wywiódł. Niestety, stary pan Gilbert, po którym nieudany syn miał już odziedziczyć tylko imię, nie

umiał czytać. Poślaniec zresztą też.

Pan Gilbert burknął potem, kiedy już poślaniec odjechał, że coś mu w tej krucjacie śmierdzi, że nie jest to uczciwa grabież, jak myślał z początku, ani chęć zawłaszczenia hrabstwa Nottingham pod nieobecność szeryfa i prawowitego hrabiego, który od lat znosił się z pogany w dalekiej Palestynie. Napomknął również zgryźliwie, że od lat jedynymi poganami w okolicy byli druidzi i ich wyznawcy, a jak źli ludzie donoszą, jeden z zauszników Czarnego Barona przypomina osobliwie nie kogo innego, jak właśnie druida.

Powiedział to już po odjeździe pośłańca, był bowiem człowiekiem ostrożnym, któremu doświadczenie podpowiadało, że z czymś takim lepiej nie mieć nic wspólnego. Wymówił się pustkami w szkatule i kiepskimi zbiorami, co zresztą było prawdą. Ale też nie oponował, gdy panicz wyruszył w ślad za pośłańcem. Splunął tylko, stwierdzając, że gówniarz niczego się nie nauczył, i utwierdził się w decyzji dotyczącej dziedzictwa. To prawda, pomyślał panicz Gilbert, kawał z niego sukinsyna. Ale teraz trzeba będzie do ojca wrócić, objąć pod kolana i błagać o wybaczenie. Wszystko jednak wydawało się lepsze od tego, co zostawiał za sobą.

Już onegdaj przyrzekł sobie solennie poprawę. Nigdy nie siądzie do gry, każdego, kto mu to zaproponuje, rozszczepi obuszkiem, zanim jeszcze kości zdążą potoczyć się po stole. Zawsze dopilnuje, by wyróżnić wszystkich, nie będzie już tak niestaranny, nie pozwoli, by jakaś dziewczka, która uszła przypadkiem z pogromu, mogła skargi zanosić. Będzie uczciwie łupić kupców, łać chłopów, najeżdzać sąsiadów. Wszystko wzorem ojca, którego bał się równie mocno, jak podziwiał niezłomność jego zasad. Już nig dy, przenigdy nie będzie chciał stać się kimś innym, nawet jeśli przyjdzie mu do końca życia służyć w drużynie stryjecznego brata. I zawsze będzie trzymać się z daleka od wszelakich wiedźm, druidów i tajemnic. A zwłaszcza przeznaczenia, które wprowadzie jest dla wybranych, ale łatwo dotyka postronnych.

Las rzednął, Gilbert zbliżał się do zrębów. Wkrótce wyjedzie na otwartą przestrzeń, daleko od mrocznych ostępów, w których czaić się mogło niebezpieczeństwo. Jak wszyscy w okolicy, bał się puszczy, bał się legend i przepowiedni, a i zwykłych bająn, zbyt często słyszanych w karczmach i gospodach. Ochłonawszy nieco, zastanawiał się teraz, co go

u diabła podkusiło, by wybrać krótszą drogę.

Nieco poweselał, gdy z ocienionej przez wiekowe świerki drogi wyjechał na szeroką przestrzeń poręby. Puścił wodze, pozwolił wierzchowcowi zwolnić. Odetchnął pełną piersią, spoglądając w niebo, po którym wiatr przeganiał wiosenne obłoki.

Może nie będzie źle. Ostatecznie opamiętałem się, pomyślał. Nie tak, jak ci wszyscy, którzy pogłupieli do cna, zauroczeni krwawym mitem. Którzy ochoczo stawali i ginęli w obronie... No właśnie, w obronie czego? Nie potrafił zrozumieć.

Teraz, gdy przed sobą miał szeroki trakt, zastanowił się nad tym, co usłyszał od Ramireza i co jeszcze niedawno wydawało się tak bardzo ważne. Roześmiał się na głos. Śmiech echem odbił się od ściany lasu, aż spłoszony koń podrzucił łeb i zachrapał. Dobre sobie... Claymore też oszalał, a wyglądał na całkiem rozsądnego. Wszystko się skończyło, Wieprz nie żyje. Pewnie po prostu w zamieszaniu ciśnięto ścierwo do fosy, razem z innymi. Nie żyje Czarny Baron, zarąbany przez szalonego rycerza. Niedobitki zbrojnych się rozpierzchnęły, niech sobie teraz szukają tajemnicy i przeznaczenia. Życzę szczęścia. Tajemnica nie żyje, trafiona bełtem prosto w serce, szczyła jak zwykły śmiertelnik.

Porąbało cię całkiem, Claymore, pomyślał panicz Gilbert. Już po tajemnicy i przeznaczeniu, możesz gonić sobie za mrzonką, wymyślać teorie, kto za tym stoi i komu to służy. Dotrzymywać słowa danego jednemu umarłakowi, by pomścić drugiego trupa. Jak będziesz mądry, to zastanowisz się, przejdzie ci. Jak nie, to skończysz jak ten kuglarz albo szalona dziewczka, też niezła. Lojalność i powinność, srał to pies.

– Srał to pies! – powtórzył na głos, chichocząc. – Zginiesz tylko, durniu, i dobrze ci tak. A ta wiedźma, którą chcesz odszukać, już jest za siedmioma górami. Nie usłyszysz już o niej, nigdy nie usłyszysz.

Rzeczywiście, nic nie usłyszał.

Śpiew lotek był zbyt cichy.

Piętnastocalowa strzała wzniosła się wysokim łukiem, na chwilę jakby zawisała, po czym zaczęła opadać, nabierając impetu. Uderzyła prawie pionowo, druzgocąc łopatkę, rozdzierając płuco. Siła uderzenia nie wysadziła Gilberta z siodła, tylko koń, spłoszony odgłosem uderzenia i dziwnym chrapnięciem jeźdźca, zatańczył w miejscu. Młody panicz

siedział jeszcze moment w siodle, dopiero gdy krew rzuciła mu się ustami, gdy począł się dusić, osunął się powoli na bok. Daremnie usiłował przytrzymać się łąku siodła, ręce nie usłuchały.

Trwało to długo. Gilbert nie stracił przytomności, wisząc głową w dół, nie dławił się, jasna krew z przebitego płuca spływała swobodnie z półotwartych ust, plamiąc rudawy, zeszłoroczny mech. Wciąż nie bolało, czuł tylko bezwład i jakby tępe łomotanie w klatce piersiowej. Widział obłoki, odwrócone koronami w dół drzewa, czasem, gdy głowa podskakiwała na nierównościach, tuż obok twarzy dostrzegał ułamane gałązki, źdźbła traw.

Aż wreszcie zobaczył ją.

Zbliżała się powoli, nie chcąc spłoszyć konia. Przetykane siwizną kasztanowate włosy rozwiewał wiatr. Łuk niosła w opuszczonej ręce, nie zadała sobie trudu, by nałożyć nową strzałę na cięciwę.

Od razu pojął, że to ona, mimo że nigdy jej przedtem nie widział. To mogła być tylko ona, samotna mścicielka, która wciąż wierzyła w przeznaczenie. I w powinności, nawet wobec dawno martwych.

Na chwilę zniknęła mu z oczu, nie mógł już nawet poruszać gałkami. Jeszcze słyszał wyraźnie, jak poklepuje wierzchowca po szyi, uspokaja, przemawiając doń cichym głosem.

Świat się kurczył. Zewsząd wypełzała ciemność. I tylko w centrum pola widzenia pojawiła się twarz z zaciętymi ustami i zimnym spojrzeniem zielonych oczu.

Jest sam, myślała Marion. Uzbrojony wprawdzie, ale niegroźny. Miała wrażenie, że kiedyś widziała już tę twarz, jednak mogła się mylić. Trudno poznać rysy wykrzywione skurczem w rozpaczliwej walce o zaczerpnięcie oddechu.

Wargi Gilberta poruszyły się, w strużce krwi pękały bąbelki. Nachyliła się, ostatkiem świadomości pomyślał, że chce usłyszeć, co mówi. Ale cichy szept utonął w bulgocie krwi.

Gilbert nie doczekał odpowiedzi na swoje ostatnie pytanie.

Marion przyjrzała się grotowi sterczącemu w okolicach wątroby, gdzie przebił skórzane odzienie, by wychynąć na zewnątrz. Nie warto wyciągać, uznała, uderzając o kości, zniekształcił się zbytnio, pękł prawie

na pół.

Oczy Gilberta były wciąż otwarte. Krew przestawała płynąć.

Pomyślała, że w zasadzie mogła mu odpowiedzieć, choć nie zrozumiała bulgotliwego szeptu. Pytanie mogło być tylko jedno: dlaczego?

Odcięła strzemię z tkwiącą w nim, wykręconą stopą. Miała swojego wierzchowca, ten nada się na luzaka, nie ma się co babrać. Ciało zważyło się na ściółkę.

Mogła odpowiedzieć, ale po co? Odpowiedź przecież mogła być tylko jedna.

Na dobry początek.

CZEŚĆ TRZECIA POWROTY

*We come from the land of the ice and snow,
From the midnight sun where the hot springs blow.
How soft your fields so green, can whisper tales of gore,
Of how we calmed the tides of war.
We are your overlords.*

Led Zeppelin, *Immigrant's Song*

- I -

Nazywam się Match. Jestem...

Sęki w deskach powały. Ciemniejsze plamy okolone pasmami słoików, niedbale obrobione belki, pełne zadr i zaciosów, śladów uderzeń ciesielskiego topora, ledwie zastrugane do kantu. Surowe drewno, pozbawione przez czas naturalnej barwy, w kącie nad paleniskiem prawie czarne od dymu. Niezbyt ciekawy widok, zwłaszcza oglądany już, zda się, od całych wieków. A w każdym razie od nieskończonego ciągu dni, znaczonych zmrokiem i świtem, wypełnionych bólem i słabością. I coraz bardziej męczącą pustką.

Nazywam się Match.

Byłem... Nie wiem, kim byłem, zanim mnie zabili.

Mięśnie mimowolnie napięły się w skurczu. Zwinięta w kłębek czarna kotka, spoczywająca na nagiej piersi syknęła, pokazując ostre, białe kiełki. Przez moment zadrgały jej uszy, zanim uspokojona rozciągnęła się, rozpląszczyła, wyciągnęła łapki, wyprężając je na przemian, wpijając delikatnie w skórę pazury w kociej pieszczocie. Tuż obok świeżej, błyszczącej różowo blizny.

Nazywam się Match. Byłem głupi.

Match siedział na prostym zydlu, z łokciami opartymi o blat prostego stołu zbitego z desek. Apatycznie spoglądał w okno, małe, przekreślone krzyżem ramek. Przez półprzezroczyste błony i tak zupełnie nic nie było widać, ale nie przeszkadzało mu to najwyraźniej.

Nie rozglądał się po izdebce, skromnej, wręcz ubogiej, dobrej najwyżej dla kmiecia albo borowego. Jakaś część jego świadomości

rejestrowała szczegóły, zdawał sobie sprawę, że chatka nie stoi we wsi, bo z zewnątrz nie dobiegały żadne gospodarskie odgłosy, poszczekiwanie psów ani porykiwanie bydła. Nie słyszał nawet kłótni chłopek. Co jest tak naprawdę na zewnątrz, nie wiedział. Popatrzył na drzwi, prześwitujące szparami. Do tej pory nie znalazł dość motywacji, by je uchylić.

Jestem Match. Tego już był pewien. Pamięć wracała, ale dziwna, oddzielona grubą, przezroczystą taflą, jak lód na strumieniu w bezśnieżną zimę. Jakby wspomnienia dotyczyły kogo innego. Przez szczelinę pod drzwiami wślizgnęła się kotka. Lekko wskoczyła na stół, przysiadła naprzeciw Matcha. W pyszczku trzymała małego ptaszka, wystawał łeppek i rozłożone, zwisające bezwładnie skrzydełko. Pewnie złamane.

Ptaszek żył jeszcze. Kręcił główką, mrugając małymi, czarnymi oczkami. Nie próbował się wyrwać.

Kotka siedziała nieruchomo, spoglądając wielkimi, żółtawozielonymi ślepiami. W izbie było dość jasno, kocie źrenice zmieniły się w wąskie szparki. Białe wąsy, kontrastujące z czarnym, aż błyszczącym futerkiem drżały ledwie dostrzegalnie.

Przez dłuższą chwilę wpatrywali się sobie prosto w oczy – wychudzony mężczyzna o pustym spojrzeniu i czarna kotka. Długo, bez mrugnięcia. Tylko koniuszek ogona poruszał się, zrazu nieznacznie, potem zataczał coraz szersze łuki. Tylko dłoń mężczyzny, leżąca na stole, powoli zacisnęła się w pięść, aż pobieleły kostki.

To Match nie wytrzymał. Pierwszy uciekł spojrzeniem w bok. Rozprostował palce, wpatrzył się w dłoń, jakby widział ją pierwszy raz.

– Zabij – powiedział cicho.

Kotka zacisnęła szczęki. Ptaszek zaszamotał się, skrzydło rozłożyło jeszcze bardziej. Potem oczka zaciągnęły się białawą błoną, łeppek opadł bezwładnie.

Na białe podgardle kotki spłynęła kropla krwi. Skapnęła na dłoń Matcha. Nie poruszył się, nawet wtedy, gdy kotka z lekceważącym prychnięciem zeskoczyła ze stołu, wyprysnęła przez szparę w niedomkniętych drzwiach.

Dopiero po bardzo długiej chwili, wypełnionej potrzebami

ognia na palenisku, podniósł dłoń prawie do samych oczu. Obrócił ją, patrząc, jak kropla ptasiej krwi spływa po kostkach, malując stróżkę aż do nadgarstka.

– Zabij – powtórzył szeptem. Pierwsze słowo, które wymówił odkąd...
Odkąd go zabili.

Zbliżał się zmierzch. Znad moczarów unosiły się mleczne smugi mgły, zmieszane z siwym dymem, uchodzącym z chaty. Pomiedzy kępami oczeretów, w wodzie, smolistej teraz i czarnej, coś chlupnęło raz i drugi, zaskrzeczało przeraźliwie, aż kotka drgnęła, czujnie nastawiając uszy. Nie była specjalnie zaniepokojona, długo już żyła na tej wysepce wśród niezmiernych moczarów, zbyt chyba długo.

Skrzeczenie przeszło w ciche kwilenie, zakończone ohydny chrupnięciem, doskonale słyszalnym, bo dźwięki nad wodą niosły się daleko. Kotka, uspokojona, powróciła do mycia. Ostatecznie wciąż coś zżera się nawzajem, na tym polega życie.

Oblizwała łapkę. Wiedziała, że moczary dopiero budzą się do życia, a gdy zapadnie ciemność, nastanie prawdziwa orgia pożerania i polowań, spokojna za dnia woda będzie drgać i lśnić w blasku księżyca. Jedyna droga z zagubionego wśród trzciny, tataraków i grążeli ostrowia stanie się zbyt niebezpieczna dla śmiałków, chcących ją przebyć. Wprawdzie kotka nie potrzebowała światła dziennego, by dostrzec tyczki, powbijane w muł, które znaczyły bezpieczne kępy, ale i tak przedsięwzięcie uznała za zbyt ryzykowne, acz nie ze względu na możliwość postawienia fałszywego kroku.

Tylko zimą czuła się w miarę bezpiecznie. W miarę, bo nawet gdy lód skuwał moczary, trzeba nie lada znawcy, by ominąć wszelkie pułapki. Pół biedy, gdy nie spadł jeszcze śnieg i przez przezroczysty lód dało się dostrzec dno, zwodniczo bliską moczarkę. Później było gorzej. A na skutek lodem moczary można było wejść z każdej strony. Czyniły to stworzenia, których doprawdy lepiej nie spotkać.

Kotce na co dzień wystarczała świadomość, że może opuścić

wysepkę, kopulaste, piaszczyste wzniesienie, które nie wiedzieć czemu wyrosło w samym środku wielkich bagien. Nie chciała odchodzić. Nie zostawi przecież starego. Choć czasem miałyby ochotę wyrwać się poza przestrzeń ograniczoną trzcinami. Niekiedy podejmowała takie ryzyko. Ale rzadko.

Stary człowiek, nieświadom kocich rozterek, zajmował się swoimi roślinami. Czas nagiął, kwiatostany zaczynały pylić. Jeszcze trochę, a byłyby na nic. Rozgarniał uważnie palczaste, ciemnozielone liście, odrywał czubki krzewów, wrzucał do lnianego woreczka. Udały się roślinki tego lata. Rzucił przelotne spojrzenie kotce, która, jakby wiedząc, o co chodzi, skupiła się na starannym wygryzaniu czegoś spomiędzy pazurków.

Pamiętała nazbyt dobrze, czym skończyło się, kiedy zeszłej wiosny, zamiast do wysianego w miseczce jęczmienia, specjalnie na jej użytek, dobrała się do flanc, wschodzących w ciepłe izdebki. Ścierka poszła w ruch, poniekąd słusznie zresztą. Dla kotów jest przecież kocimiętka.

Stary odgarnął długie, prawie białe włosy, opadające na oczy. Zamruczał coś pod nosem. Zawsze pomrukiwał, gdy był zadowolony, czym nieodmiennie wprawiał otoczenie w konsternację. Brzmiało to bowiem jak niechętnie burczenie.

Woreczek spęczniał całkiem nieźle. Będzie zapas na cały rok, pomyślał stary. No, może mniej, niedługo trochę się zużyje, zmarszczył brwi, spojrzawszy w stronę chatki.

Kiedy tak stał, wyglądał jak na druida przystało, w długiej szacie z surowego lnu, przepasanej rzemieniem, z siwymi, opadającymi na ramiona włosami, z płowymi, obwisłymi wąsiskami. Obrazu dopełniał woreczek z ziołami i sierp. Brakowało tylko jałowcowego kostura. Może dlatego, że obie ręce miał zajęte. Ale laska, wyślizgana i lśniąca od wieloletniego użytku, znajdowała się nieopodal.

Kotka spoglądała na niego bez zdziwienia. Stary w rzeczy samej był druidem.

Przysiadł przy niej, odłożywszy sierp, pogłaskał po grzbiecie. Kotka wyprężyła się, rada z pieśczoły, zamruczała cicho. Poczęła ocierać się o jego dłoń, kręcić się, zataczając koła i ósemki.

– Dobrze się spisałaś, mała – powiedział cicho.

Mruczenie stało się głośniejsze. Kotka próbowała łapać go za palce, zupełnie jak młodziutka kociczka.

– No, spokojnie, spokojnie – strofował ją dobrotliwie. – Nie hasaj tak, moja droga, nie przystoi.

Spoważniał, spoglądając w okienko chaty, rozświetlone teraz różowawym żarem paleniska.

– Jeszcze wiele przed nami – szepnął. Kotka znieruchomiła, jakby doskonale rozumiejąc.

Mgły nad moczarami gęstniały, powoli tworząc jednolitą, mleczną warstwę. W trzcinach zakotłowało się, coś dla odmiany zakwiczało rozpaczliwe. Kolejne bagienne paskudztwo postradało żywot. Na horyzoncie, gdzie w oddali widniała krawędź lasu, wschodził księżyc. Wielka, jakby opuchła kula, świecąca czerwienią niedawnego zachodu. Jeszcze trochę czasu upłynie, zanim wzniesie się wyżej, rozsiewając zimny, rtęciowy blask.

– Pora na nas – powiedział druid. – No już, nie drocz się ze mną.

Czarna kotka z białymi wąsami zeskoczyła bezszelestnie na ziemię. Wślizgnęła się do chaty przez niedomknięte drzwi. Stary został jeszcze na zewnątrz. Wkrótce i on będzie musiał tam wrócić, naparzyć znów ziół, potem siedzieć w ciemności i słuchać. Jeszcze wciąż nie wiedział, czy mu się powiedzie.

Popatrzył na niebo, na wznoszący się coraz wyżej księżyc, który zalewał mgły widmową poświatą.

Ten mniejszy.

- II -

Palce nacisnęły półkolistą bliznę. Nie było żadnego śladu zaognienia, nawet po usunięciu szwów, tylko jasnoróżowy naskórek i ślad cięcia, obramowany małymi punkcikami.

- Możesz opuścić rękę.

Match posłusznie opuścił ramiona. Przez cały czas zachowywał się tak, jakby nie jego ciało było obiektem badania, spoglądał gdzieś w przestrzeń nad głową druida. Nawet gdy stary poczynił sobie mniej delikatnie, wyraz twarzy Matcha nie zmieniał się, był obojętny i nieobecny. Tylko mięśnie drgnęły niedostrzegalnie, kiedy klatkę piersiową przeszył kłujący ból niezrośniętych jeszcze żeber. Nadal siedział bez ruchu, z dłońmi złożonymi na kolanach.

Natomiast kotka obserwowała uważnie, jak druid krząta się przy palenisku, dosypuje ziół do bulgocącego kociołka. Prychnęła cicho. Nie znosiła zapachów unoszących się z naparów.

Stary spojrzał spod oka, mieszając drewnianą kopyścią. Kotka prychnęła ponownie, lekceważąco. Tym razem nie było najgorzej, znacznie paskudniej śmierdziała maść, którą druid smarował pierś Matcha, zanim owinął ją ciasno podartym na pasy płótnem. A właśnie na piersi kotka lubiła siadywać.

Stary pokiwał głową. Nie dziwił się wcale, sam nie lubił zapachu maści. W dodatku od zetknięcia z nią swędziały go dłonie. Cóż, kiedy skutkowałą znakomicie.

Dosypał do kociołka czegoś z woreczka, zawieszzonego nad paleniskiem. Wrzątek w naczyniu zakipiał, piana przelała się przez krawędzie i zasyczała, spadając na rozżarzone węgle.

Kot, widząc co się święci, nie czekał. I słusznie, bo woń, która rozeszła się po izbie, w niczym nie przypominała fiołków.

– Ubierz się – rzucił druid przez ramię.

Match skinął machinalnie głową, zaczął naciągać na grzbiet zgrzebną koszulę.

– I otwórz drzwi.

Do izby wpłynął rześki podmuch. Druid stuknął kopyścią o brzeg kociołka, aż przylepione do niej, rozgotowane łodygi wpadły z powrotem do wywaru. Podciągnął łańcuszek, na którym zawieszony był kociołek. Teraz musi dochodzić, bez gotowania.

Podszedł do stołu, usiadł naprzeciw Matcha. Milczał chwilę.

– Jest lepiej – zaczął wreszcie, obracając w dłoni stojący na stole kubek. Na dnie został tylko mętny osad. Grzeczny chłopiec, pomyślał, wypił do końca. A to przecież wyjątkowe świństwo. Ale działa.

Popatrzył w źrenice, tak rozszerzone, że prawie nie widział tęczy. Match nie odwracał wzroku, nie mrugał, w izdebce panował wystarczający mrok. Już można, ocenił druid.

– Kim jesteś? – Nie patrzył w twarz rozmówcy. Wiedział, że pytany nie zna odpowiedzi. A w każdym razie nie całą.

– Jestem Match. – Słowa były zrozumiałe, choć drętwe wargi i język utrudniały mówienie. Ale, co istotne, odpowiedź padła natychmiast, bez pauzy, bez mozolnego zbierania myśli, przytłumionych ziołami.

Dobrze. Już nie jest zagubiony, ma świadomość, kim jest. Teraz pora, by zrozumiał, kim był. A na koniec, kim będzie. Stary wiedział, że to ostatnie sprawi największe trudności.

Najważniejsza była pamięć. Nie ta osobnicza, suma doświadczeń nagromadzonych przez lata żywota, zbiór przeżyć, radości i smutków, zwycięstw i porażek, miłości i nienawiści. Ona była czymś do wymazania, stanowiła tylko balast dla...

Druid skrzywił się bezwiednie. Wiedział, że to będzie najtrudniejsze.

Wstał, pomyślawszy z niechęcią, że gra na zwłokę. Szurając nogami, podążył w stronę paleniska, coraz bardziej zły. Znakomicie rozpoznawał powód swej irytacji – właśnie to człapanie, szurający chód starca, widok własnej dłoni, poznaczonej wątrobianymi plamami, przypominającej bardziej wyschnięte, krogulcze szpony niż ludzką rękę. Starość przyszła nie w porę, jak zwykle. Nieproszona, niewzywana, ale nieuchronna.

Jeszcze niedawno był z nią pogodzony, akceptował warunki umowy, jaką, niepytany o zdanie, zawiera każdy człowiek. Nawet druid, choć dla niego owe warunki są wielekroć gorsze. Musi dłużej czekać na nieuniknione.

Jeszcze niedawno w niczym mu to nie przeszkadzało, kiedy nocami leżał, wpatrzony w ciemność, słuchając bicia własnego serca, jego nierównego, potykającego się rytmu. Czuł przepływające przez ciało fale gorąca i zastanawiał się, która będzie ostatnia. Wyczekiwał jej jak wybawienia, zbyt długo już tkwił na zagubionej wśród bagien wysepce, wystającej z morza trzciny i oczeretów niczym dziwny kurhan. Zbyt długo, zapomniany przez ludzi i bogów, pielęgnował zioła, którymi już nie leczył nikogo, a nawet nikogo ostatnio nie otruł. Zbyt długo jedynym stworzeniem, do którego mógł otworzyć usta, była czarna kotka z białymi łapkami, wąsami i podgardlem.

Zaklął pod nosem. Teraz, kiedy okazało się, że jeszcze nie wszystko stracone, słabość stawała się przekleństwem.

Wywar dochodził już, klarował się powoli, nawet mniej śmierdział. Może sam powinienem się czegoś napić, pomyślał ze złością, choć wiedział, że to na nic. Wywary i eliksiry nie działały już na niego tak, jak powinny. Zbyt wiele lat nadużywania, spostrzegł z wisielczym humorem, a jednak mnie nie zabiły. Uczyni to starość, kto by pomyślał.

Rzut oka w źrenice Matcha przywrócił gospodarza do rzeczywistości. Czas zaczynać, zganił się, wkrótce działanie będzie najsilniejsze.

– Kim... – Głos go zawiódł, musiał odchrząknąć. – Kim byłeś?

Twarz Matcha nie zmieniła się, wciąż była jak maska. Źrenice nie mogły się zwęzić ani bardziej rozszerzyć. Jednak druid przysięgłby, że dostrzegł na pozornie martwym obliczu wyraz drwiny.

– Zanim mnie zabili? – spytał Match.

W snach, pomiędzy widokiem nieruchomych kocich oczu, pomiędzy dotykiem włosów, ciepłem przytulonego ciała, przewija się jeden obraz. Krótki bełt. Wydaje się tym krótszy, że prawie po lotki, w dwóch trzecich

długości pogrążony jest w ciele.

Zabawny widok, który można ujrzyć raz w życiu, nie więcej. Wystarczy opuścić głowę, popatrzeć na własną pierś.

Najpierw czuje się uderzenie, tępe, jak pięścią w pancernej rękawicy. Żadnego bólu. Tylko świadomość, że już jesteś martwy.

Jeszcze nic się nie dzieje. Bełt drga ledwie dostrzegalnie, porusza się w takt ostatniego spazmu serca, które nie może sobie poradzić z tkwiącym w nim solidnym kawałkiem drewna i metalu. Czas staje w miejscu.

Nie wiedzieć czemu, zamiast obrazu całego życia przed oczyma staje jedna scena. Może jednak...

Ciało spręża się do skoku. Nie ma szans, tamten jest za daleko, ale trzeba spróbować, dopaść, zacisnąć choćby gołe ręce. Poczuć, jak z własnym życiem wycieka między palcami cudze.

Pierwszy krok, jeszcze pewny, drugi. Aż śmieszne, jak na twarzach pojawia się zaskoczenie, zaraz przejdzie w grymas strachu.

Trzeci krok. Jak daleko. Świat ciemnieje, z jego obrzeży wypęła czerń, pochłania wszystko, tylko centrum pola widzenia jest jeszcze ostre i jasne. Ograniczone do jednej twarzy. Na niej nie ma lęku, jest tylko zdziwienie.

Za daleko. Trzeba by się jeszcze wspiąć, sięgnąć w górę, chwycić za gardło. Nie da rady. Następny krok, już nic nie słychać, tylko szum. Coraz mniejsza plama światła, zmieniająca się powoli w iskierkę.

Za daleko.

Stary drgnął. Spodziewał się problemów, ale nie aż takich. Stało się coś, co nie powinno się stać. Największym wysiłkiem woli powstrzymał się, by nie wstać i nie zajrzeć prosto w rozszerzone źrenice. Reakcje przebiegały prawidłowo. Poza jedną. Match nie powinien pytać. Powinien odpowiadać na wszystkie zadane pytania. Mówić tylko prawdę. Albo to, co wydaje mu się prawdą.

Za stary jestem, pomyślał druid. Już nie potrafię. Może zresztą nigdy nie potrafiłem. Z wysiłkiem odpędził posępne myśli. Teraz mógł albo pieprznąć wszystko, albo brnąć dalej. Innego wyjścia nie było.

Silny jest, pomyślał, może to chwilowe.

– Kim byłeś? – powtórzył pytanie. Teraz zabrzmiało pewnie, tak jak powinno.

– Byłem głupi. – Match mówił beznamiętnie, jakby o kimś innym. – Byłem... głupkiem. Jestem...

Druid pozwolił sobie na głębszy oddech, pełen ulgi. Wreszcie.

Te wspomnienia mogą zostać. Muszą zniknąć tylko najgłębsze i najświeższe. Znow będziesz wiejskim głupkiem, biednym pomiotłem. Dlatego, byś mógł zacząć od nowa. Zacisnął bezwiednie pięść. Nie można robić ludziom takich rzeczy, nie można im zabierać wszystkiego. Ale czasami nie ma innego sposobu.

Zebrał się w sobie, by zadać następne pytanie. Coraz bardziej bał się, że nie dane mu będzie skończyć, że śmierć, nie tak dawno jeszcze przywoływana i wyczekiwana, przyjdzie za wcześnie, że, jak dla większości ludzi, nadejdzie nie w porę. Dla niego nawet bardzo nie w porę, bo nie może przecież zostawić biednego, wiejskiego głupka samego, tylko pod opieką kotki, choćby najsprytniejszej. Oby przeszedł najgorszą fazę. Potem, jak przestanie być bezwolną kukłą, da sobie radę, nawet jeśli coś pójdzie nie tak.

Ból go zdekoncentrował, stary nie dostrzegł, że źrenice Matcha, choć rozszerzone, reagują na światło; na płomyczki, które pełgały nad przygasającymi węglami, rozświetlając co jakiś czas izbę migotliwym blaskiem. Nie zauważył lekkiego drgania powieki. Zdążył tylko nabrać oddechu. Otworzył usta, by zadać pytanie, i tak już zastygł, z półotwartymi ustami.

– Jestem Match – usłyszał. – Wieprz z Nottingham. Banita i sługa szeryfa Nottingham. Teraz nie żyję, zginąłem na placu targowym. Nie zdążyłem.

Match urwał. Oddychał spokojnie, tylko jedna powieka drgała coraz wyraźniej.

Ból odezwał się silniejszym ukłuciem. Powiniennem się położyć,

pomyślał druid, napić wywaru z naparstnicy. Ostatnio zawsze miał zaparzony, ot tak, na wszelki wypadek, który to wypadek zdarzał się coraz częściej. Stary człowiek ze ściągniętą twarzą, poszarzałą z bólu, uciskający ręką mostek, jakby w nadziei, że w ten sposób pozbędzie się bólu – ten widok musiał dotrzeć do przyćmionego ziołami umysłu Matcha. Maska, w którą zmieniała się jego twarz, drgnęła wyraźnie.

– Wiem, kim jestem – powiedział powoli. – Wiem, kim byłem. Wiem, kim byli oni wszyscy.

Pochylił się w stronę starca. Ścisnął go za rękę.

– Dlaczego mi to zrobiłeś? Dlaczego żyję? Powiedz! – Bezwiednie zaciskał dłoń coraz mocniej. – Do kogo należą te głosy, które słyszę? Czyje wspomnienia przywołuję? Te obrazy, które się pojawiają, a których nigdy nie widziałem, doznania, których nie przeżyłem? – Rozluźnił nagle uchwyt, w samą porę, by kruche kości starca nie popękały. – Dlaczego mi to robisz? – spytał bezradnie.

Druid nie odpowiedział. Oddychał tylko ciężko. Kłucie w piersiach ustało.

– Wiem, kim jestem i kim byłem. Wiem wszystko o tobie. Wiem, co robisz, domyślasz się chyba? Wiem, czym mnie poisz, znam skład tego paskudztwa, każde ziele i każde inne świństwo, którego tam dosypujesz. Jestem przecież i tobą. – Zdrętwiałe wargi ściągnęły się, odsłaniając zęby w uśmiechu. – Jestem tobą, częstkami ciebie, jeszcze nieuporządkowanymi, chaotycznymi. No proszę, skąd ja znam takie słowo? "Cha-o-tycz-ny". Ciekawe. Poisz mnie tym obrzydlistwem, żebym mówił prawdę. Całą prawdę, albo to, co za nią uważam. Pytaj więc – wydyszał. Na twarzy można już było dostrzec uczucia. – Dlaczego nic nie mówisz?

Starzec nie usłyszał w jego głosie gniewu. Tylko prośbę, wręcz błaganie. Długo milczał, patrząc prosto w rozszerzone źrenice.

– A ty czego chcesz? – rzekł w końcu, sam zdziwiony, skąd wzięło się to pytanie. Ale odpowiedź była ważna.

– Chcę wiedzieć. Chcę zrozumieć. Chcę poskładać z powrotem swoje życie, skoro już mi je oddałeś. Dostyc mam twoich ziółek i przymuszania. Bo ja się muszę dowiedzieć.

Pozostało jeszcze jedno pytanie.

– Co zrobisz później?

Match odchylił się na zydlu i zaniósł śmiechem, brzmiącym dość makabrycznie z powodu zdrętwiałych warg i języka.

– Zabiję cię.

Lekki powiew znad moczarów otrzeźwił starca. Minął uporczywy ból za mostkiem. Na pewno wróci, ale na razie stary wdzięczny był za tę chwilę wytchnienia, kiedy mógł spokojnie pomyśleć, poukładać sobie w głowie to, co usłyszał.

Był przede wszystkim zaskoczony. Źle się stało. Nie miał już do czynienia z czystą tablicą, na której można nanieść dowolną treść. Będzie trudniej i może się nie udać. Ale poczuł ulgę, czego sam się wstydził, bo jeśli coś pójdzie nie tak, jeśli śmierć przyjdzie po niego za wcześnie – Match sam sobie poradzi. Nieważne, że wszystko diabli wezmą. Już i tak prawie wzięli, pozostała tylko niewielka szansa.

Zamrugął, czując pieczenie pod powiekami. To nic, powiedział sobie. Stare oczy często łzawią.

Usiadł wprost na trawie, pod dębem, rosnącym nieopodal chaty. Czuł chłód, ciągnący od ziemi, i chropowatość kory drzewa, o które opierał się plecami. Słyszał szelest liści, poruszanych przez lekki wiatr.

Pamiętał ten dąb sprzed lat. Stał prawie na samym szczycie wysepki. Ktoś musiał go zasadzić, bo mało prawdopodobne, by dąb wyrósł w takim miejscu. Kiedyś stał samotny, teraz otaczały go inne drzewa, młode brzoźki, zwykle podążające w forpoczcie lasu.

Zobaczywszy go przed laty, od razu wiedział, że właśnie tu osiadzie, równie samotny i nikomu niepotrzebny, jak ten dąb, przeflancony na obce miejsce.

Bo jakże to tak, druid bez dębu?

Coś ciepłego, mrużącemu otarło się o jego bok. Sięgnął, nie patrząc, pogładził łepkę, przeciągnął dłonią wzdłuż prężącego się grzbietu. Kotka zamruczała głośniej.

– I co, mała, powiesz na to wszystko? – spytał poważnym tonem, jakby rzeczywiście oczekiwał odpowiedzi.

I doczekał się. Kotka wskoczyła mu na kolana, popatrzyła prosto w oczy. Ogon drgał ledwie dostrzegalnie.

– Masz rację – mruknął cicho. – Sny...

Tylko to pozostało, pomyślał. Sny i wspomnienia. Może się uda.

– Twoja kolej, mała – powiedział, głaszcząc zwierzę. – Spraw się dobrze. Mam nadzieję, że dasz sobie radę.

Kotka prychnęła. Aż roześmiał się głośno, tak wiele wyczuł lekceważenia w tym dźwięku i w kpiącym przymrużeniu zielonożółtych ślepiów.

– Nie bądź taka pewna siebie – ostrzegł. – Ja też byłem, i co? Wszystko na odwrót. Wszystko o kant potłuc.

Rozgadał się. Zdawał sobie sprawę, że lata samotności zrobiły swoje. By nie zapomnieć ludzkiego głosu, mówił sam do siebie. Gadał do kota, rozmawiał z dębem i swoimi ziólkami. Potrafił zrugać siekierę, że tępa, pochwalić osmolony kociołek, kiedy dobrze perkotał. Czasem tylko śmiał się z tego donośnie, nazywając starczym dziecięciem.

– Wszystko potłuc... Jest inny, niż się spodziewałem. Cóż, gdybym był mądrzejszy, mógłbym zgadnąć, że tak będzie.

Kotka zastrzygła uszami, jak zwykle. Potrafiła słuchać, spoglądać na usta, wodzić oczyma za spojrzeniem. Nie tak, jak kociołek czy siekiera, albo nawet dąb, który czasem tylko odpowiadał szumem liści. Nie mówiąc już o paskudztwach z bagna. Te nie były dobrymi słuchaczami. Łypały ślepiami, szczyrzyły zębiska, w istotnym momencie przemowy potrafiły zachować się jak ostatnie chamy, po prostu dać nura pod wodę. Może dlatego, że druid rzadko miał dla nich dobre słowo.

– Gdybym trochę pomyślał – westchnął stary.

Kotka zamruczała niecierpliwie, zgadując, że zanosí się na narzekanie. Długie i nie na temat.

– Gdybym pomyślał... Wszystko przez te lata samotności. Zdziczałem, psiakrew, na takim zadupiu. Nie ma do kogo gęby otworzyć.

Kotka zakręciła się w miejscu, potarła policzkiem o grzbiet dłoni.

- Wiem, mała, nudzę i narzekam, jak zwykle, powinnaś się przyzwyczać. - W szorstkim tonie drżały cieplejsze nutki. - No nic, pewnie coś poradzimy, a raczej spróbujemy poradzić.

W przesłoniętych błonami oknach chaty zamigotało światełko. Match nie był już bezradny i bezwolny, nie leżał całymi dniami na pryczy. Niedługo zacznie wychodzić, pomyślał starzec. Nic, może powrót energii, chęci do życia pomoże. Niech to wszyscy diabli, żebym ja sam wiedział, czego chcę. Bo na razie wiem tylko, co powinienem. Co jest przeznaczone.

Jednak w istocie wiedział, czego pragnie. I wiedział też, że nie może tego zrobić. Nie można wyprzeć się całego życia. Trzeba...

Oburzona kotka wrzasnęła, gdy dłoń, zamiast pogładzić, zacisnęła się na jej grzbiecie. Zasyczała, wysuwając odruchowo pazury.

- Przepraszam, mała. - Głos starca zadrżał lekko. - Przepraszam...

Nie fukała długo, nie potrafiła się na niego złościć, nawet jeśli nieświadomie sprawiał ból. Zwinęła się w kłębek, zamruczała głośniej, wiedziała, że to lubi.

- Sny - mruknął cicho. - Masz rację, jak zwykle, właśnie ja, stary głupiec nie wpadłem na to. Próbowiałem jak z dzieciakiem. Ale on nie jest smarkaczem, to mężczyzna...

Kotka zamrugła.

- Wiesz coś o tym? - Uśmiechnął się na chwilę, zaraz jednak spoważniał. - Tak, jest już mężczyzną, mała. Osobowość twarda, paskudna, jak możemy się domyślić. On ma poczucie rozczarowania, zawiedzionych nadziei i niespełnienia. Dużo w nim żalu i okrucieństwa. Nie zdołamy tego wymazać, ale możemy użyć wspomnień do własnych celów. Choćby bardzo się nam nie podobały podobne metody. - Twarz druida ściągnęła się, uwydatniły się wyryte przez wiek bruzdy. W ostatniej chwili powstrzymał się przed zaciśnięciem dłoni. Kot nie byłby zadowolony.

- Sny... Posłuchaj jego snów.

Kotka zeskoczyła z kolan. Blask w oknach chatki przygasł, rozświetlał je jedynie słaby żar paleniska. Match zdmuchnął kaganek.

- Twoja kolej, mała.

Match przewracał się na skrzypiącej pryczy, ale sen wciąż nie przychodził. Obawiał się go i jednocześnie pragnął. Zapamiętywał skrzętnie obrazy ze snu i obracał je w umyśle po obudzeniu, starając się nie zapomnieć, nie uronić nic istotnego. Próbował to, co wyśnił, wpasować do własnego życia, mozolnie odtwarzanego i składanego z kawałków, jak rozbity dzbanek.

Bał się obrazów. Zwłaszcza tej ostatniej sceny, kiedy już wiedział, że przegrał, a wraz z nim przegrali wszyscy. Co noc widział ów obraz na nowo – bełt, sterczący z piersi. A potem kamień, nisko, tuż przy twarzy kamień. Polny otoczek, wyslizgany niezliczonymi stąpanieniami, zbryzgany czerwienią. Miejski bruk i krew.

Nie myślał jeszcze o konsekwencjach, ani co się naprawdę stało. Kim była krzycząca kobieta o szalonych oczach, i nieznajomi, których nigdy nie widział, a którzy gotowi byli za niego umierać. I umarli, w każdym razie wielu z nich, był o tym dziwnie przekonany. Umarli, bo dopadła ich przeklęta legenda.

Chciał zasnąć. Śnić, dowiedzieć się. Poskładać ułamki w całość. Ale gdzieś w głębi umysłu czaił się lęk. Co jeszcze zobaczę? Czego dowiem się o sobie?

Poczuł, jak coś wskakuje na posłanie, wyczuł raczej, niż usłyszał, głębokie mruczenie. Uśmiechnął się. Przyzwyczał się do tego kota, polubił delikatną pieśczętę szorstkiego języczka, liżącego policzek, puchate ciepło na piersi. Nawet wbijanie pazurków w skórę przy kocim udeptywaniu.

Usłyszał gardłowe miauknięcie, jedno, drugie. Kotka wskoczyła na swoje zwykłe miejsce, na pierś. Przygarnął ją do siebie, lekko gładząc po grzbiecie. Spojrzał prosto w żółtozielone ślepia.

Świadomość znikła jak zdmuchnięta, bez zawieszenia w tej niepochwytnej przestrzeni pomiędzy jawą a snem. Ciemność, zrazu pusta i bezdena, potem wypełniająca się obrazami.

Krąg megalitów ocieka deszczem, nad wielkim wrzosowiskiem

wicher przegania niskie chmury. Wilgoć osiada na twarzy, mimo kaptura nasuniętego prawie na oczy. Jest zimno. Milczący ludzie czekają, nie wie, na co, ale ma świadomość, że to nadejdzie już wkrótce. Ktoś podnosi głowę, pod kapturem jaśnieją oczy, bladoniebieskie, koloru spłowiałego nieba.

Jason unosi rękę, lśni lecące do celu ostrze. Pocisk w kształcie żelaznego liścia robi jeden obrót, drugi... Nie można patrzeć bez końca, trzeba się odwrócić, odbić cięcie, którego błysk dostrzegł z lewej. Ręka wyrzuca brzeszczot za plecy, metal zderza się z głuchym stukotem, gdy ostrze Jasona dosięga celu.

Świadomość wraca na chwilę. Powieki są ciężkie, nie chcą się unieść. Ale i tak wiadomo, że czegoś brak. Ucichło mruczenie, nie ma już ciepła miękkiego, futrzanego kłęбка, zwiniętego na piersi. Jest zapach włosów, pachnących lasem i przestrzenią. Znajomy zapach.

Cętki światła, przefiltrowanego przez liście szałasu, tańczą na nagiej skórze. Kobieta wypręża się, podrzuca głowę, jej zęby przygryzają dolną wargę. Pewnie krzyczy, ale nie słychać nic, prócz cichego szeptu, który wypełnia cały jego umysł. Nie chce patrzeć, ale nie może przestać, nie może zamknąć oczu, odwrócić głowy. Jej palce zaciskają się na ramionach mężczyzny, paznokcie wpijają w skórę. Kasztanowate włosy pachną lasem i przestrzenią.

Chciałby się odwrócić. Marion podrzuca głowę, wygina się w tył, czyjeś dłonie zaciskają się na jej piersiach. Chciałby się odwrócić, nie widzieć twarzy mężczyzny, ale nie potrafi. Nie ma powiek, które zakryłyby oczy, nie może odwrócić głowy, która nie istnieje. Musi patrzeć prosto w twarz Roberta de Reno, szeryfa Nottingham.

Przecież zawsze wiedziałeś, Match, szept wypełnia umysł i obraz niknie. Wiedziałeś, odkąd...

No właśnie, odkąd? Od zawsze.

Jednak wciąż czuje gładkość skóry, ciepły dotyk na wargach. Zapach włosów, które łaskoczą w twarz, spływają na szyję. Gorący oddech tchnie mu prosto w usta, stwardniałe sutki muskają pierś. Uda oplatają biodra. Chce otworzyć oczy, unieść choć na chwilę powieki. Nie wie, czy to dalszy ciąg wizji, czy to dzieje się naprawdę. Ostre paznokcie wpijają się w ramiona. Nieważne. Ważna jest gładkość skóry pod palcami, zgodny rytm

bioder, kropelki potu na skórze. Coraz głośniejsze oddechy, coraz silniejszy łomot w skroniach. Gorąca wilgoć.

W ustach ma słony smak krwi, przygryziona warga wcale nie boli, nie ma miejsca na ból. Paznokcie wbijają się coraz mocniej.

Marion.

Świat tonie w jednym błysku i przez chwilę nie ma nic poza nim. A potem ból, kiedy ostre paznokcie przesuwają się po piersi, palce z całej siły zaciskają się na skórze.

Marion.

Match uchyla powieki, z nadzieją, że zajrzy w zielone oczy. Że za chwilę głowa kobiety spocznie w zagłębieniu jego ramienia, będzie mógł gładzić spocone plecy, bawić się kosmykami włosów, słuchać oddechu, tak zgodnego w cichnym rytmie z jego własnym.

Ale nie ma zielonych oczu ani rudych włosów, tylko wielkie, nieruchome źrenice, otoczone zielonożółtą tęczówką. Nieruchome i obce. Ciepło futerka na piersi, cichy pomruk.

Znów nadchodzi ciemność. Tym razem bez wizji, bez snów.

– Dlaczego żyję?

Siedzieli jak zwykle przy stole, przy małym okienku. Drzwi otwarte były na oścież, Match czuł ciepły powiew, pachnący latem. Zapach trawy, tataraku, coś, co nieodparcie przywodziło na myśl słońce, wczesne wschody, brzęczenie owadów. Leżenie na łące i wpatrywanie się w przepływające chmury. Odegnął te skojarzenia, nawet nie był pewien, czy są jego własne. Złościło go to, miał uczucie, że nie jest sobą, że gdzieś w nim samym tkwią inne osoby, bliskie, a jednocześnie dalekie, nieznane.

Kiedy ja leżałem na łące? – napłynęło natrętne pytanie. Chyba nigdy. Eh, pomyślał, zacznasz głupiec, Match.

Na błękitnym niebie leniwie przepływają obłoki, a na ich tle – sylwetka ptaka. Jastrzęb, albo myszołów, zatacza powolne koła, nie poruszając skrzydłami. Kwilenie ptaka miesza się z szumem drzew.

Sosny chwieją się lekko, ich korony są prawie czarne na tle błękitu.

Były jego wspomnienia: polana w puszczy, Jason, opowieści o smokach. Kolejny kamyczek mozaiki wpada na swoje miejsce. Ale pozostaje jeszcze tak wiele, niepasujących do niczego, całe stosy kolorowych kamieni, które dopiero we właściwym miejscu uzyskują znaczenie. Przedtem są nieistotne, ot, kolorowy żwir, zwalony na stertę, ułamki ceramiki przemieszane z otoczakami z dna strumienia.

Łąka, trawa po kolana, zapach ziół. Niech to diabli, pomyślał, nigdy nie byłem na tej łące.

– Dlaczego żyję? – Ton pytania był napastliwy, ale w końcu od czegoś trzeba zacząć, jeśli przeżyło się własną śmierć. Potem przyjdzie czas na pytanie, po co.

– Bo nie jesteś człowiekiem, Match. – Stary druid skrzywił się złośliwie.

Jasne, pomyślał Match. Na głupie pytanie głupia odpowiedź.

– Wydaje ci się, że to głupia odpowiedź. – W głosie starca wyraźnie zabrzmiało szyderstwo. – Nie masz racji. To najważniejsze. Od dawna wiesz, kim jesteś. Zrozumiałeś, ale nie potrafisz zaakceptować. Wciąż się buntujesz, wciąż myślisz, że możesz sam wybierać swoją drogę, kochać, nienawidzić i robić wszelakie inne głupstwa. Otóż nie możesz.

Match słuchał jak zwykle z twarzą niewyrażającą żadnych uczuć.

– Dobrze więc, zanim rozumiesz, jaki jesteś, najpierw usłyszysz, czym jesteś. Jesteś narzędziem, Match. – Głos druida stwardniał. – Narzędziem, które było kiedyś niewłaściwie użyte. Ale to nie powód, by z narzędzia zrezygnować. Siekierę, użytą do rąbania kamieni, można naostrzyć. A potem ściąć nią drzewo.

Twarz Matcha drgnęła.

– Dlaczego mi to robisz? – spytał, wciąż panując nad głosem.

Druid milczał chwilę. Sam się czasem nad tym zastanawiał. Opuścił wzrok, wpatrując się w deski stołu, poznaczone niezliczonymi śladami noża, poplamione wywarami i całkiem prozaicznymi resztkami polewki czy tłustą słoniną.

– Bo tak trzeba – odparł wreszcie cicho. – Też jestem narzędziem, jak ty. – Podniósł wzrok, spojrzał Matchowi prosto w oczy. – Kończę to, co... –

o mało nie powiedział za dużo. – Co zaczęto przed laty. Bo tak trzeba, nie możesz pozostać w zawieszeniu. Nie jesteś człowiekiem, przynajmniej nie zwykłym człowiekiem, i nigdy nie będziesz. Możesz stać się tym, kim miałeś zostać. Jednym z nas. Lepszym od nas, bo nikt przedtem nie robił takich prób.

Zamyślił się. Rzeczywiście, nic podobnego wcześniej nie robiono. Poprzestawano na tym, co było znane od wieków, na selekcji w młodości, na odsiewaniu plew. Ale nikt nie próbował tego, co właśnie się stało, nie pozostawił takiego dziecka, by przeszło najtrudniejszą z prób, samotnie i bez pomocy. Próbę życia.

– Nadal nie mówisz, dlaczego – wtrącił Match, pozornie beznamytnie.
– I nie zwracasz uwagi na jeden drobiazg.

– Na ciebie. – Druid pokiwał głową.. – Ależ zwracam uwagę przez cały czas. Tylko co z tego?

– Choćby to, że mam chyba prawo... – Match urwał pod kpiącym spojrzeniem. Zaczynał się złościć. Zdawał sobie sprawę, że rozmówcy dokładnie o to chodzi, co go jeszcze bardziej rozeźliło. – Posłuchaj, starcze. – Spostrzegł, że trafił, druid skulił się bezwiednie. – Co mnie to wszystko obchodzi? To moje życie. Mogę nim rozporządzać. – Uniósł rękę, widząc, że druid chce coś powiedzieć. – Wiem, będziesz mówił, że mnie uratowałeś, wskrzesiłeś bez mała. Że jestem zobowiązany. Bo pojąłeś już, że o przeznaczeniu nie będziemy gadać. Nie wierzę w te bajki. Nie ma przeznaczenia.

Druid nie uśmiechnął się nawet. Bawił się kubkiem, na którego dnie pozostał jeszcze osad, resztki naparu.

– Był kiedyś człowiek, który bardzo chciał zostać rozbójnikiem. Dzielnym rabusiem, co to i kupców ograbi, i w karczmie popije, i dziewczkę na sianie przeleci. – Dostrzegł gniewny grymas na twarzy Matcha, pokręcił głową. – Nie obawiaj się, bajeczka nie będzie długa. Za to pouczająca. Powiem krótko – nie został. Został błaznem, zabawiającym gawiedź na jarmarkach, bo tak było mu przeznaczone. Bez niczyjej winy, przecież mógł być rozbójnikiem. Ale urodził się karłem, w dodatku garbatym. I tak określiło się jego przeznaczenie. A potem dokonało.

– Nie jestem...

– Wiem – uśmiechnął się druid. – Nie jesteś upośledzony. Wręcz

przeciwnie. Ale nie zrozumiałeś sensu bajeczki. Musisz wiedzieć, że przeznaczenie to nie prosta droga, wiodąca na ogół ku rzeczom strasznym, mrocznym i przeraźliwym, jak się maluczkiem wydaje. To nie ułożone z góry, przewidziane czyny. To ograniczenia, jakie są udziałem wszystkich nas. I możliwości. Zwłaszcza możliwości. Możesz je odrzucić, zmarnować. Ale jeśli tak postąpisz, kiedyś będziesz żałował. To też część twojego przeznaczenia.

Match uśmiechnął się zimno.

– Zaryzykuję – powiedział wolno.

Druid odpowiedział bardzo podobnym uśmiechem. Przez chwilę spoglądali sobie prosto w oczy.

– Zdajesz sobie sprawę, że właśnie w ten sposób poruszasz się w kręgu przeznaczenia? Że cokolwiek zrobisz, odrzucisz czy przyjmiesz, nadal w nim pozostaniesz? Nie przekroczysz granic, które zostały zakreślone już dawno temu właśnie dla ciebie?

Match wstał gwałtownie, przewracając zydel. Zachwiał się, musiał przytrzymać krawędzi stołu.

– Gównu mnie to obchodzi, że tak ci uprzejmie odpowiem, starcze. Mam w dupie rojenia twoje i tobie podobnych. Wiem, winienem ci życie. Dlatego nie zabiję cię, lecz po prostu stąd wyjdę. Odwrócę się plecami i będę szedł, aż znikniesz mi z oczu. A wy bawcie się dalej. Ale nie mną. Ja mam zamiar... – Machnął gniewnie ręką. – Zresztą, nie twój zasrany interes, jaki mam zamiar. Po prostu odchodzę. I co ty na to?

Stary druid pokiwał głową.

– Nic. Nie radzę, po prostu. Nie teraz. Jesteś słaby, po ziołach masz rozszerzone źrenice, światło będzie cię razić. Jeszcze nie skończyliśmy leczenia, a co ważniejsze...

– Poradzę sobie – burknął Match, już nieco mniej pewnym tonem. Istotnie, w głowie mu się kręciło.

– Pewnie, że poradzisz, twardy jesteś. Wiesz co, tylko buty włoż, stoją tam, w kącie.

Match wzuwał buty, zadowolony, że choć przez chwilę świat nie wiruje wokół niego. Ale był zbyt zły, by myśleć racjonalnie.

Postępując z wysiłku, druid szukał czegoś za swoim posłaniem,

głęboko tuż przy ścianie. Gdy Match wciągnął odporne cholewy i wstał, druid dogrzebał się wreszcie. Wyciągnął w stronę Matcha miecz w pochwie okręconej pasem.

– Masz, przyda ci się.

Match wziął broń bez słowa. Ze zdziwieniem spostrzegł, że trzyma w ręce znakomity oręż, wykładana jaszczurem rękojeść lgnie do dłoni. Zamachnął się, markując krótkie cięcie.

Miecz był lekki, doskonale wyważony. Nie żadna tandetna broń, masowo wykuwana w zamkowych kuźniach. Nawet nie rycerskie, ciężkie ostrze, dobre do szlachtowania przeciwników na odlew – a nuż zbroja pęknie. To miecz dla zabójcy, prosty, pozbawiony ozdób. Match nie potrafił go rozpoznać. Nie dostrzegał w owej broni wschodniej elegancji ani normańskiej prostoty, miała w sobie coś obcego.

Ciął jeszcze raz, krzywiąc się od nagłego bólu ręki, który promieniował aż do barku.

– Dziękuję... – mruknął tylko, ostrożnie chowając klingę do pochwy.

Widział oddzieloną jaśniejszą, falistą linią powierzchnię ostrza i wolał uważać. Nasłuchiwał się wystarczająco od Jasona o hartowaniu i mieczach w ogóle, by nie rozpoznać klingi zdolnej pewnie przeciąć swobodnie opadającą, rzuconą w powietrze jedwabną chustę. A nawet, jeśli była to tylko przesada, wolał nie ryzykować własnych palców.

– Dziękuję – powtórzył. – Piękna broń.

– Miejscowy wyrób. – Druid kiwnął głową, jakby to wszystko wyjaśniało.

Match zwlekał jeszcze z odejściem. Nic nie wydawało się tak proste, jak jeszcze przed chwilą. Nieledwie pożałował swych słów.

– Jeszcze jedno – mruknął, przerzucając pas przez bark, odruchowo sprawdzając, czy wygodnie sięgnąć do rękojeści. – Dziękuję i za co innego, sam wiesz.

– Idź już – odparł stary spokojnie. – Miejmy to za sobą.

– W porządku.

Match odwrócił się, pchnął drzwi, schylając pod niskim nadprożem. Chwilę stał, jakby niezdecydowany. Wreszcie zniknął.

Skrzypnęły drzwi, w izbie pociemniało. Druid opadł ciężko na zydel, podparł głowę rękami.

Nie miał klepsydry, godziny odmierzało tylko bicie serca, głuche, chwilami niemiare. Zostało trochę czasu, by znów wszystko przemyśleć, po raz tysięczny chyba w ostatnich dniach. By kolejny raz zwątpić w słuszność tego, co robi, zastanawiać się, czy wybrał właściwie.

Czy można zabić wspomnienia? Czy można odbierać komuś prawo do uczuć? Komuś, komu już raz się to wszystko odebrało?

Miał trochę czasu. Ostatecznie nie tak długo trwa obejście wysepki dokoła, nie jest duża.

Match wrócił szybko, szybciej, niż stary się spodziewał. Cisnął miecz na swoje posłanie, klnąc głośno i przecierając łzawiące oczy. Nie protestował, gdy druid podał mu gałganek umoczony w zimnym, ostro pachnącym płynie. Tarł zaczerwienione powieki, łzy spływały mu po policzkach, mieszając się z zielonkawym wywarem, którym nasączony był gałganek.

– Nie trzyj tak mocno – ostrzegł druid.

Match zaklął tylko pod nosem. Mięśnie policzków drgały mu mimowolnie.

Stary przysunął zydel i usiadł przed Matchem. Bez specjalnego wysiłku odciągnął mu dłonie od twarzy, ostrożnie podwinął powiekę. Mach drgnął, przyćmione światło w izdebce wystarczyło, by poczuł się tak, jakby w oko wwierciło się rozżarzone ostrze. Rozsądek jednak nie pozwolił chwycić druida za rękę.

– Będzie cię to kosztowało ze trzy dni ślepoty – powiedział druid sucho. – I sporo bólu. Mimo wszystko miałeś szczęście. Zaraz coś przygotuję, złagodzi to kłucie.

Match istotnie odczuwał ból, głęboko, aż pod czaszką. Przy każdym mrugnięciu miał wrażenie, jakby ktoś wcierał mu pod powieki piach.

– Nie mogłeś mi, kurwa, powiedzieć? – wymamrotał.

– Mogłem – odparł stary. – I nawet powiedziałem, nieprawdaż?

Match skrzywił się i aż jęknął z bólu.

– Trzeba było wyraźniej...

– Po co? I tak byś nie uwierzył.

Rzeczywiście, przyznał w duchu Match.

Druid wstał. Match słyszał burczenie starego, szelest kruszonych łądyg czy liści, bulgotanie nalewanej do kociołka wody. Potem postukiwania i chrzęst, druid ucierał chyba coś w moździerz, wielkim, mosiężnym, jak przypominał sobie, stojącym zwykle na belce nad paleniskiem. Match nasłuchiwał, ale wciąż nie mógł pozbyć się lęku, który zagnieździł się w umyśle. Strachu przed ślepotą. Zdawał sobie sprawę z irracjonalności tego odczucia, bo druid nie wypuściłby go, ot tak, gdyby niebezpieczeństwo było realne. Ale nie potrafił odegnąć natrętnych myśli.

– Połóż się – dobiegł go szorstki głos starego.

Posłusznie wyciągnął się na wznak. Tak było trochę lepiej, sam nie wiedział dlaczego, może działał łagodzący napar. Zaryzykował uniesienie gałganka, otwarcie oczu. Nie zakłuło, miał tylko drażniące uczucie piasku pod powiekami. Ale widział jedynie szarą mgłę.

Zydel zaskrzypiał, gdy druid siadał obok pośłania.

– No, mamy czas. Zanim ziółka naciągną, posiedzimy, pogadamy. – Głos starego stwardniał. – Teraz już wiesz, że nie możesz po prostu odejść. Masz bardzo ładny przykład przeznaczenia, ograniczeń, które skurczyły się dla ciebie nagle do rozmiarów tej marnej kępy wśród bagien. Nie uciekniesz stąd, przynajmniej nie dzisiaj.

Przysunął zydel bliżej.

– Poleżysz trochę. I posłuchasz. Nie masz wyjścia, dosłownie i w przenośni. Nie masz dokąd wracać, ani do kogo. To wszystko było nieważne, choćby wydawało ci się inaczej. Miotaleś się w zakreślonych granicach, nigdy na tyle wolny, by o sobie decydować. Nazwij to jak chcesz, przeznaczeniem chociażby. Miotaleś się, boś nic nie rozumiał. Teraz zrozumiesz.

A jeśli nie chcę zrozumieć? – pomyślał Match. Jeśli chcę... wrócić?

– Skończymy to, co zaczęliśmy dawno temu. Staniesz się tym, czym

powinieneś się stać, a nawet czymś lepszym, silniejszym. To nie musiały być stracone lata. Zapomnisz, o czym powinieneś zapomnieć, czego nie warto pamiętać. I w końcu dowiesz się wszystkiego, co powinieneś wiedzieć. Zrobisz to, co musisz zrobić.

Odkasznął, czując, że głos za chwilę go zawiedzie. To nie było łatwe. Ale konieczne.

Sny i rozmowy. Tylko tyle trzeba, by z rozsypanych kamyczków ułożyć mozaikę. Tylko tyle.

Albo aż tyle.

– Nie mogę, rozumiesz! – Pięść walnęła w stół. Kubek podskoczył i bryznął zielonkawym naparem. Ale się nie przewrócił.

Match zmitygował się. Przecież to tylko stary człowiek, pomyślał, chory i zmęczony. W dodatku przekonany o słuszności tego, co robi.

– Nie mogę... – powtórzył ciszej. Na widok skulonego na zydlu starca coś w nim pękło. Nie umiał wykrzyczeć wprost tego, co szarpało nim przez wiele dni i nocy, wypełnionych snami i rozmowami. Nie mógł powiedzieć, że to wszystko na nic, że nie stanie się kimś innym, choćby chciał. Uznał już, zrozumiał i zaakceptował racje starego druida, to, co wsączało się do uszu podczas nocnych majaczeń. Ale głosy były tylko głosami, natrętnymi i natarczywymi, obrazy nie pasowały do niczego. Gdyby był sam, uznałby, że po prostu popada w szaleństwo.

Może istotnie popadał. Nie stał się przecież kimś innym, mądrzejszym, bogatszym o wiedzę i doświadczenia pokoleń. Nie sprawiły tego sny ani eliksiry, płaczące myśli i osłabiające wolę. Nie pokonały balastu normalnego życia, nie przebiły się przez przeżycia i wspomnienia, przez lęki i nienawiść.

Stary człowiek w lnianej szacie był uosobieniem tego, czego on kiedyś bał się i nienawidził. Ale nie potrafił go już nienawidzić, obwiniać za zmarnowane życie.

Może gdyby starania druida zakończyły się powodzeniem... Gdyby rzeczywiście stał się jednym z nich, gdyby udało się dokończyć coś, co

zaczęto przed laty. Ale nie udało się, przyznał po raz któryś. Tak, Match, pomyślał, druid z ciebie jak z koziej dupy róg myśliwski. Do tego też się nie nadajesz. Coś ci się tylko pieprzy w tym głupim łbie. Eh, niech diabli wezmą to wszystko.

Położył dłoń na ramieniu starca. Już tylko było mu go żal.

– Posłuchaj, Carmanthean...

Dłoń druida schwyciła jego nadgarstek, ścisnęła, aż chrupnęły kostki.

– Coś ty powiedział?!

– Car... – Match się zająknął. Nawet nie próbował uwolnić nadgarstka.

– Zjeżdżajcie stąd, pókiście cali!

Młodzieniec w szykownym kubraku nie zareagował, tylko na wygoloną twarz wypełził mu szyderczy uśmiezek. Jego trzech kamraci nie byli równie powściągliwi. Zarechotali głośno, zwłaszcza ten z lewej, nalany grubas o czerwonej gębie, świecącej, jakby wysmarowanej tłuszczem. Może istotnie tak było, bo dogryzał właśnie barani gnat, którym sam poczęstował się z wiszącego nad ogniem kociołka. Dwaj pozostali wymownie pokazywali obnażone kordy, chamskie i proste jak oni sami.

Młodzieniec wyglądał na szlachcica. Nie dobył jeszcze swego oręża, choć dłoń trzymał na bogato zdobionej rękojeści.

– Mamy zjeżdżać, powiadasz, leśny dziadu? – syknął. – Bo co zrobisz?

Carmanthean milczał. Nie uważał za stosowne informować, że z taką hałastrą poradzi sobie po ciemku, po pijaku i lewą ręką, bez uciekania się do magicznych, w ich mniemaniu, sztuczek. Wystarczy kij, na którym się opierał, solidny, wyslizgany od użytku dębczak, wzmacniany na końcach żelaznymi obręczami.

– Co zrobisz, pytam, poganinie Bogu wstrętny? Czar na nas rzucisz? Szatana wezwiesz?

Szlachcic skrzywił się szyderczo. Sięgnął wolną ręką do szyi, wydobył zawiniątko na rzemyku.

– Oto coś, przed czym moc twa bezsilna! Relikwie przenajświętsze, którymi dobrodziej opat opatrzył nas raczył, abyśmy mogli plugastwo wyrznać! Palec świętego biskupa męczennika!

Teraz Carmanthean się skrzywił. Coś mu ta nowa wiara zawsze zalatywała nekromancją.

Reszta hałasty też grzebała za pazuchami. Widać palców świętego męczennika starczyło dla wszystkich.

Druid westchnął. To zdarzało się często. Najpierw były nawoływania do pokuty, potem do pogromu, a na końcu tłuszcza wycinała święte gaje, obalała menhiry, równała z ziemią kurhany. Coś się kończyło, normalna kolej rzeczy. Trzeba się z tym pogodzić, przygotować do odejścia, by zrobić miejsce innym. Tak już jest, gdy w imieniu zazdrosnego boga występują mali ludzie.

Ale też nie jest to powód, by pozwalać na wszystko. Zwłaszcza teraz. I zwłaszcza tutaj, w miejscu najważniejszym w całej puszczy.

Carmanthean cofnął się nieznacznie. Wiedział, że powrzeszczą sobie jeszcze chwilę, dla dodania odwagi, po czym rzucają się ze wszystkich stron, dufni w swą wiarę i biskupie święte palce.

Spoważniał. Swoją drogą to niepokojące, jak tutaj trafili. Niemożliwe, żeby wystarczyło poduszczenie opata, owszem, ponurego fanatyka. Ale nawet ponury fanatyk, opętany wizją niszczenia pogan nie mógł im pokazać drogi przez las do miejsca najbardziej chyba skrytego i niedostępnego.

Z tyłu, zza chaty dobiegł trzask i niewyraźne, zduszone przekleństwa. Carmanthean dostrzegł, jak na twarzy młodzieńca rozlewa się uśmiech, a jego kamraci podnoszą miecze. Tłuszcioch z czerwoną gębą odrzucił ogryzioną kość i wymachiwał kawałkiem zardzewiałego łańcuch.

Ktoś ich musiał przyprowadzić, błysnęła w umyśle druida myśl, gdy unosił swój kij i ruszał do przodu. Ktoś musiał pokazać drogę przez moczary. Niewątpliwie nie był to opat.

Gdy uchylał się, by przemknąć pod szerokim, rozpaczliwie sygnalizowanym cięciem, dobiegł do niego głośniejszy trzask, zza chaty. I jeszcze głośniejszy, dziecięcy krzyk.

Starał się na razie nie zwracać na to uwagi. Wyminął draba, któremu

rozpędzony kord omal nie wyrwał ręki ze stawu, trzasnął go krótkim ciosem przez kark. Drab zatoczył się, ale ustał.

Coś świsnęło mu nad głową. Łańcuch. Uniknął ciosu, manewrując tak, by kij nie spotkał się z rozpędzonym żelastwem, by ogniwa nie owinęły się wokół niego. Rozpęd wyniósł go przed trzeciego ze zbójów, który rozpaczliwie starał się zasłonić mieczem.

Carmanthean bez trudu wyminął ostrze, samym czubkiem kija trafił pod brodę. Żuchwa zbira pękła, odłamki wbiły się w podniebienie. Człowiek charknął fontanną krwi i zębów. Stał jeszcze, wypuścił tylko broń, która wbiła się ostrzem w ziemię.

Czarniawy młodzieniec zdążył dobyć broni. Druid chciał odskoczyć. Nie zdążył. Kolejny cios łańcucha dosięgnął prawie celu. Carmanthean ledwie zdążył osłonić się drągiem. Zardzewiałe ogniwa nie roztrzaskały mu skroni, ale wyrwały kij z rąk.

Napastnicy wrzasnęli triumfalnie, widząc, że jest bezbronny. Ten wyglądający na szlachcica miał lepszy refleks. W porę powstrzymał szarżę, widząc, jak w dłoni druida nagle zmaterializował się kord. Nawet nie zauważył momentu, kiedy Carmanthean zdążył chwycić oręż jego pechowego kamrata.

Młodzieniec zdołał się cofnąć, jego tłusty kompan nie. Zakręcił łańcuchem nad głową i rzucił się do przodu, ściskając w drugiej ręce woreczek ze świętą relikwią, ufny w zapewnienia opata o jej cudownej mocy, a może po prostu głupi.

Druid bez trudu uchylił się przed świszczącym żelastwem, ciął w drugą dłoń, tę zaciśniętą na relikwii. Palec świętego biskupa już nie był samotny, wyleciał w powietrze z rozciętego woreczka w towarzystwie innych, krótkich, serdelkowatych i zakrwawionych.

Tłuścioch wrzasnął, krótko, bo kolejne cięcie samym końcem ostrza trafiło w nabrzmiałą szyję, dusząc krzyk i zamieniając go w krótki charkot.

Czarniawy młodzian zatrzymał się. Jego malinowy, szykowny kubrak plamiła ciemniejsza czerwień, padając, grubas ochlapał wszystkich dokoła. W ciemnych oczach młodego czaił się strach.

Carmanthean obnażył zęby w uśmiechu. Nie tak miało być? – pomyślał, prawda? Sądziłeś, że jesteśmy tacy sami jak wasi kapłani,

tłusci i nieruchawi, mocni jeno w gębie. Zdolni tylko do podjudzania takich, jak wy.

Młody szlachcic szybkim spojrzeniem ocenił sytuację. Nie spodobało mu się to, co zobaczył: dwa leżące bezwładnie ciała, jedno na wznak, z wybałuszonymi oczami, twarzą kończącą się w okolicy nosa, bo dalej była krwawa jama, która wciąż pulsowała bulgocącymi pęcherzykami. Zbir miał pecha, umierał długo i wciąż nie mógł skończyć. Najbardziej poszczyściło się temu, który oberwał po karku z samego początku. Siedział i kiwał się, obejmując głowę łapskami jak osieroczone dziecko.

Carmanthean niedbałym ruchem zrzucił gęstą juchę ze zbrocza. Opuścił ostrze.

– No co, uznamy, że nie było sprawy? – spytał cicho. – Wyniesiecie się stąd z własnej woli, bez ponagłania. Ścierwo sam zakopię.

Wiedział, że jeszcze nie wygrał, że zachodzą też od tyłu, od chaty. Miał nadzieję, że chłopak zdążył umknąć.

Jak się okazało, płoną.

Znów dobiegł go krzyk, tym razem nie tylko strachu, ale i bólu. Przez wściekłość zalewającą czerwienią wzrok druid dojrzał na twarzy szlachcica ulgę i triumf zarazem.

– Rzuć miecz! – krzyknął szlachcic chrypliwie. – Bo zaraz zrobimy gnojowi szerszy uśmiech.

Carmanthean przez chwilę stał jak skamieniały. Rozumiał, że jeśli usłucha, zginą obaj. Pokpił sprawę, wiedział aż nadto dobrze. Należało nie wdawać się w pogawędki, uderzyć od razu, zanim schwytali chłopca. Mógł mu dać czas na ucieczkę, na ukrycie się. Nie myśląc już więcej, ruszył na przeciwnika.

Szlachcic nie miałby żadnych szans. Zbyt późno zaczął unosić rękę, jego bogato zdobiony miecz był za ciężki. Trudno byłoby się zasłonić przed cięciem.

Pewne stąpanie, przeniesienie ciężaru ciała. Drugie. Sztych miecza nabierał prędkości, takie cięcie, niskie, w brzuch powinno podrzucić przeciwnika w powietrze. Carmanthean zrobił trzeci krok, ten ostatni, po którym wystarczy tylko uderzyć i pociągnąć, by ostrze mogło przeciąć nawet kolczugę.

I wtedy dopadł go krzyk. Kamraci czarniawego młodzieńca spełnili niewypowiedzianą groźbę.

Carmanthean spojrział, na mgnienie oka oderwał wzrok od przeciwnika. Dojrzał wykrzywioną strachem chłopięcą buzię, błysk ostrza przy szyi. To wystarczyło. Rozpędzona klinga minęła o ułamek cala malinowy, poplamiony kubrak. Miecz szlachcica, wyrzucony w górę za późno, by dać osłonę, nie trafił w nią. Napastnik dostał tę jedną, jedyną szansę.

Cios był nieporadny, ale rozpęd wyniósł Carmantheana zbyt daleko, by zdołał się osłonić wyrzutem klingi za plecy. Nie próbował nawet. Uderzenie samym sztychem miecza zgrzytnęło po czaszce. Zanim nastąpiła ciemność, świat rozpadł się na migoczące fragmenty.

Chłopiec jakimś cudem wyrwał się z uchwytu napastnika.

– Tato! – krzyczał. – Taaaato!

Szlachcic dygotał. Nie był głupi, jak kamraci, szumowiny pozbierane w karczmie i zwabione wizją złota, jakie druidzi niechybnie ukrywają w swych komyszach. Zdawał sobie sprawę, że został paskudnie wykorzystany, tylko cudem uniknął śmierci. Zorientował się, że wciąż ściska w spotniałej dłoni woreczek ze świętą relikwią. Z odrazą cisnął go w trawę.

Jego kamrat pozbierał się już. Wstał chwiejnie, ruszył w stronę chaty. Dwaj inni, ci, którzy zaszli od tyłu zbliżali się niespiesznie, rzucając wokół niespokojne spojrzenia. Też rozumieli, że coś poszło nie tak. Krótka potyczka, która przerodziła się w masakrę, podkopała znacznie ich pewność siebie.

– A ty dokąd? – rzucił szlachcic. Trząsał się tak, że musiał wbić w ziemię swój miecz, bał się, że wypuści go z rąk. Patrzył na rozciągnięte, nieruchome ciało przeciwnika, na chłopca, który zanosząc się od płaczu, unosił zakrwawioną głowę.

– Jezu, niech ktoś uciszy tego gówniarza. Dokąd, kurwa, pytałem?

Zapytany potrząsnął głową, skrzywił się. Wciąż odczuwał skutki ciosu, jaki zainkasował na początku potyczki. Mruczał pod nosem przekleństwa, niesłusznie całkiem, bo gdyby nie padł od razu, mógłby skończyć gorzej.

– No, do chaty – warknął. – Tego, no, po złoto. – W przekrwionych oczach nie było już widać strachu, tylko chciwość. – Sami wiecie, panie Gilbertcie, my chudopachołki...

Pan Gilbert przestał się trząść. Strach zastąpiła złość.

– Jakie złoto?! – wrzasnął. – Złoto to u opata w sakiewce, ale żeby je dostać, trzeba stąd wrócić. Zbieraj się, szybko, zanim konie się rozbiegną. Będziesz się tu kręcić, jak gówno w przerębli, to zobaczysz! Miał być jemiolarz, poganin pierdolony, co to wyje do księżycy i dekokty warzy. A był jakiś cholerny zbój, mało nas wszystkich nie wytlukł.

Zbir zatrzymał się wprawdzie na chwilę, coś docierało do ograniczonego umysłu, w dodatku nieco zamroczonego. Ale chciwość przeważała.

– Eh, panie, relikwije mam przecie, palec samego świętego biskupa męczennika, jak dobrodziej opat prawili, przeciwko złu wszelkiemu niezawodne rem.. re... – Machnął ręką i splunął krwawą śliną. Widocznie przygryzł sobie język. – A, pies to jebał, jak się nazywa, ale niezawodne...

Dwaj pozostali kamraci podeszli, stanęli obok, z niedowierzaniem patrząc na rozciągnięte ciała.

– To popatrz! – Pan Gilbert wąpił wprawdzie w celowość swych przekonywań, ale spróbował. – Popatrz, co im to remedium pomogło. Niech sobie dobrodziej opat na drugi raz święty palec w dupę wsadzi! Pomyśl, durniu, co tu się jeszcze może znaleźć.

Ale ufny w moc relikwii zbir ruszył już chwiejnym krokiem do chaty, pocierając obolały kark.

Patrzyli za nim wszyscy trzej, aż zniknął w ciemnym otworze drzwi.

– Co teraz, panie? – spytał jeden. Był chyba bystrzejszy, bo rozglądał się nieufnie.

– Jak to co? Spierdalamy stąd jak najprędzej – odparł Gilbert. – Zrobiliśmy swoje i wystarczy. Jezu, uciszcie tego gnojka.

Drugi z grymasem okrucieństwa na zarośniętej gębie schylił się i szarpnął chłopca za włosy, oderwał go przemocą od ciała. Mały nie wrywał się nawet, wyciągał tylko zakrwawione ręce, wciąż zanosząc się płaczem. Kiedy jednak zbir cisnął go na ziemię, jak szczeniak znów popełznął z powrotem.

– To na nic, panie – splunął ten pierwszy, bystrzejszy. – Ubić trza, bo nie przestanie.

Gilbert okręcił się na pięcie.

– Ty, Wiewiór, nie bądź taki mądry. Idź lepiej konie łapać, bo jak się rozbiegły, to wszystkich nas tu diabli wezmą. Eh, zachciało się na chwałę Bożą z poganami walczyć! Tfu!

Wiewiór zniknął jak zdmuchnięty. Był wystarczająco bystry, by wiedzieć, co może się stać, jeśli noc zastanie ich wśród bagien.

Pan Gilbert stał przez chwilę, ważąc coś w myśli. Drgnął, gdy z chaty doszedł głuchy rumor, przetykany plugawymi klątwami. Widać chciwy kamrat nie natrafił dotąd na złoto.

– Słusznie prawi, panie – odezwał się zarośnięty drugi. Kopnął małego w bok, aż ten zwinął się z jękiem i przestał na chwilę rozpaczać, zanosząc się kaszlem.

– Ubić trza, bo nie przestanie.

Szlachcic pokręcił głową.

– Za niego nikt nie płacił. I tak szczeźnie tutaj, ale to nie będzie nasz grzech. Co innego jemiolarza, poganina plugawego, przeciwnego Bogu, co innego takiego gnoja...

– Przecie to taki sam jemiolarz, jeno niewyrośnięty. Takie samo plugastwo. Zobaczycie, panie, nijakiego grzechu nie będzie, ino zasługa.

– Nie – uciął Gilbert. – Wynosimy się stąd, im szybciej, tym lepiej. O tym gówniarzu nic nam nie mówili, mielim jeno druida ubić. Pono to ostatni w okolicy.

Konie zachrapały, czując krew. Szlachcic spojrział i odetchnął z ulgą, Wiewiórowi udało się złapać cztery. Wystarczy.

– Panie – zarośnięty nie rezygnował – a jak co złego nam na karki sprowadzi? Wasza wina będzie, panie, boście miętcy jako ten...

Gilbert szarpnął się.

– Uważaj, do kogo mówisz, wyciruchu karczemny!

W oczach zarośniętego pojawiły się złe błyski. Złe i kpiące.

– Ejże, panie Gilbercie – powiedział wolno, oczy zwięziły mu się złośliwie. – Miarkujcie się i wy. Możecie na swoim kasztelu być nawet i

zasranym baronetem. A tuśmy sobie równi, tu puszcza, nie komnaty. Nie próbujcie nawet. – W dłoni zarośniętego pojawił się nagle nóż, zwykły, oprawny w drewno, z pociemniałym od wieloletniego wecowania ostrzem.

Pewnie trzyma go za cholewą, przemknęła przez głowę Gilberta bezsensowna myśl. Cofnął dłoń, wyciągając się już do rękojeści wbitego w ziemię miecza.

– Tak lepiej. – Zarośnięty z aprobatą pokiwał głową. – Równi, albo i nierówni, bo jako rzekłem, miętcy jesteście. No to zaraz wam pokażę, może się czegoś nauczycie.

Schylił się, szarpnął chłopca za włosy, zadarł jego głowę do góry. Mały przestał krzyczeć, zamknął tylko oczy, usta drgały mu spazmatycznie. Nie bronił się nawet, nie szarpał. Zarośnięty przyłożył ostrze tuż poniżej świeżego płytkiego cięcia.

– No, skończymy, cośmy zaczęli – sapnął.

Gilbert przymknął oczy, mając wciąż pod powiekami obraz umorusanej dziecięcej buzi, łez, które złościły bruzdy w zasychającej krwi. Nie chciał patrzeć.

Z chaty dobiegł lepki trzask, jakby rozbijającego się, pełnego słoja, później zaś głośne przekleństwo, które przeszło w zwierzęcy skowyt.

Zarośnięty wypuścił nóż z ręki. Patrzył tylko, jak z chaty wytacza się jego łasy na złoto kompan, jak uderza o futrynę, pada na kolana. Jak, skowycząc, usiłuje się podnieść, nieporadnie pomaga sobie rękami... Rękami, które kończą się w nadgarstkach, dalej są tylko kikuty kości, pokryte jeszcze gdzieś strzępami mięsa i ścięgien, dymiące i skwierczące.

Gilbert oprzytomniał pierwszy. Chwycił rękojeść miecza, wyrwał go z ziemi.

– W konie! – wrzasnął, widząc, jak wyjąca postać podnosi się, zmierza ku nim w kłębach ni to dymu, ni pary, bijących z drzwi chaty.

Zarośnięty odepchnął chłopca, chwilę macał na oślep, szukając noża. Zrezygnował, widząc nieszczęsnego kompana coraz bliżej.

Wiewiór próbował opanować wierzgającego, chrapiącego wierzchowca, który toczył wokół przekrwionym, oszalałym wzrokiem.

Sam zaczął już kaszleć.

Upiorna postać przybliżyła się. W skowycie rozpoznawał poszczególne słowa.

Jasne, teraz to ratujcie, pomyślał Gilbert, gdy chwycił łąk siodła. Trzeba było przedtem słuchać.

Zarośnięty jakimś cudem trafił na rękojeść swego ukochanego noża. Poderwał się, chciał chwycić wodze pierwszego z brzegu konia. Chybił, gdy wierzchowiec stanął dęba. Podkowa trafiła go w sam czubek czaszki, trzask kości przebił się nawet przez potępieńcze wycie. Zarośnięty był już martwy, gdy padał, nie poczuł ostrza własnego noża przebijającego pierś.

Gilbert siedział w siodle, kiedy wrzeszcząca wciąż postać stanęła tuż przy nim. Przez jedną koszmarną chwilę widział, jak dymiące kikuty rąk usiłują chwycić wodze. Na zgoła już nie ludzkiej twarzy nieszczęśnika skóra zastygała w bąble i poczynąła odpadać, za pozbawionymi już osłony warg zębami szamotał się język. Gilbert wyrwał nogę ze strzemienia, z całą siłą rozpaczy kopnął zbira w pierś. Miał nadzieję, że to wystarczy.

Mocno wbił pięty w końskie boki, pognał za Wiewiorem. Za nimi cichł skowyt.

Gdy już ustał na dobre, gdy tętent kopyt również przycichł w oddali, na polanie przed chatką znów można było usłyszeć płacz. Cichy, pełen rozpaczy płacz skrzywdzonego dziecka.

A potem nadeszła noc.

– Carmanthean – wymówił Match powoli.

To drugie słowo nie chciało mu na razie przejść przez gardło.

– Pamiętasz – szepnął druid.

– Wszystko pamiętam – powiedział cicho Match.

Ujął dłoń starca, wciąż obejmującą jego nadgarstek, i na chwilę zacisnął na niej palce. Na tak długo, by stary druid... nie, Carmanthean,

Match nie potrafił już inaczej o nim myśleć, zadrżał.

– Teraz już wszystko – dodał Match po chwili.

Wstał, przetarł dłonią twarz. Poszczególne elementy, obrazy trafiły na swoje miejsce. Potarł bliznę na szyi – czasami zastanawiał się, skąd się wzięła, ale była tam zawsze. Odkąd pamiętał w poprzednim życiu. Tyle że teraz mógł sięgnąć głębiej, do czasów, kiedy jej jeszcze nie było. A nawet i dużo wcześniejszych. Nie miał jednak pewności, czy chce.

– Wyjdę na chwilę – mruknął. – Zaraz wracam.

Wracaj, synku, pomyślał druid. Czuł pieczenie pod powiekami.

Match wyszedł w ciemność. Drzwi za nim kołysały się przez chwilę, skrzypiąc zardzewiałymi zawiasami. Gdy znieruchomiały, czarna kotka z białymi wąsami wysunęła się dyskretnie przez szparę. Nie mogła zostać w izbie. Płaczący druid to strasznie żałosny widok.

- III -

- To obcy świat, Match. - Carmanthean mówił cicho, wsparty łokciami na stole. - Nie mamy do niego prawa, choć jest pewnie szczęśliwszy od tego, który został po tamtej stronie.

Match słuchał, tocząc bezwiednie po stole kulkę, ugniecioną z resztki podpłomyka. Domyślał się tego, co teraz stary druid mówił wprost. Wracała pamięć, nawet te wspomnienia, które miały zniknąć - obraz szkockich gór, spływających mgłą, mokrych kamieni, zapach ognia w jaskini i niewyprawionych skór, dotyk włosów na policzku.

- Kiedyś myślałem, że to nieważne, bo liczą się tylko nasze interesy, nasza chęć przetrwania. W naszym świecie, tracącym moc, tracącym jedność z naturą nie było dla nas miejsca. Stawaliśmy się niczym, mogliśmy tylko wyczekiwać końca, bliższego z każdą wiosną i jesienią. I nie potrafiliśmy się z tym pogodzić. Ja też nie potrafiłem.

Stary druid zacisnął pokryte plamami, chude dłonie.

- Nie mieliśmy prawa - podjął po chwili. - Nie potrafiliśmy współżyć tam, nie potrafimy i tutaj. Tam wygraliśmy, po prostu wytrzebiliśmy ich wszystkich, starsze ludy, naszych braci. Zostały resztki, niedobitki, skarłałe i zdziczałe. Ukryte w zapadłych zakątkach, bez przyszłości, skazane na zagładę. A jednocześnie pełne nienawiści.

Match pstryknął palcem w kulkę, potoczyła się po podłodze. Kotka pognęła za nią, sięgnęła łapką i zatrzymała się zawstydzona, przyłapaną na czymś, co nie przystoi poważnemu kotu. Schylił się i pogładził jej grzbiet, po to tylko, by zapanować nad dreszczem, nad zimnymi mrówkami, które przemaszerowały mu po plecach. Pamiętał tę nienawiść, odczuwał ją tak samo, jak wtedy.

Nienawiść, pomyślał. To prawda, najgorsza rzecz, którą można zrobić wrogowi, to prawie go zabić. Nie do końca.

- Poznałeś ich. - Carmanthean przyglądał mu się spod oka. - Musiałeś

poznać, wiem, choć nigdy mi o tym nie mówiłeś. Wiesz zatem, że oni nie odeszli, dobrowolnie, jak gadają moi koledzy po fachu. – Splunął. – Byli koledzy, co i tak nic nie zmienia.

Wstał z trudem. Począł przechadzać się po izbie, starczym, szurającym krokiem.

– Zrozumiałem to późno, za późno. – Carmanthean przymknął powieki. – Dopiero wtedy, kiedy ocknąłem się tutaj, pod dwoma księżycami, wśród obcych. Kiedy straciłem wszystko, nawet cel istnienia. A przede wszystkim ciebie.

Match nie zareagował. Nie patrzył na starca, nie widział bolesnego drgnięcia policzków. Jeszcze nie był do końca gotów, by przyjąć i zrozumieć wszystko. By wybaczyć.

– Nie mieliśmy prawa, Match. Wiem, powtarzam się, pieprzę bez sensu. Ale to ważne, żebyś zrozumiał. Żebyś uwierzył.

Podniósł wzrok. W jego oczach była już tylko prośba. I lęk, że nie zostanie wysłuchana.

– Nie wiem, jak znalazłem się tutaj. Po drugiej stronie. Nigdy się nie dowiedziałem. Może dopiero gdy dostałem po łbie, odkryłem to, czego szukałem całe życie, za czym goniliśmy od pokoleń? Nie wiem, nie pamiętam.

Potań bezradnie czoło. Wiele lat zastanawiał się nad tym, ale nigdy nie doszedł prawdy – czy jakimś cudem doczołgał się do kotliny, czy może go znaleźli posłańcy tego świata, wysyłani w straceńczych misjach, w próbach ocalenia tego, co jeszcze można.

Przeżył tu z nimi wiele lat. Poznał na tyle, na ile mógł zrozumieć obce umysły, tak różne od ludzkich. Ale nigdy się nie dowiedział, komu zawdzięcza ocalenie. I wiele lat minęło, zanim poznał jego cel.

– Nieważne, Match. Dlaczego nie słuchasz? – Głos starego zadrgał nieznacznie.

Match przestał gładzić kotkę, podniósł głowę.

– Ależ słucham – mruknął.

Jednak stary miał rację, nie słuchał.

– Nie jesteś jeszcze gotów. – W stwierdzeniu Carmantheana zabrzmiała gorycz. – Niedobrze. – Druid pokręcił głową. – Mamy coraz

mniej czasu. A ty wciąż gdzieś w głębi się buntujesz, chcesz zrobić wszystko po swojemu.

Match nie zdążył zaprzeczyć. Carmanthean ze złością huknął pięścią w stół, aż podskoczyły gliniane kubki.

– Nie kręć głową – syknął. – Przecież widzę. Nawet o nic nie spytasz, udajesz, że cię nic nie obchodzi.

Bo nie obchodzi, pomyślał Match. Wciąż jestem sobą, choćbyś nie wiem jak się starał. I wciąż chcę wrócić, chociaż nie wiem do czego. I po co. Dałeś mi wiedzę, której nie chciałem. Dałeś mi sny, których nie chciałem śnić. Kazałeś zobaczyć rzeczy, których nie chciałem oglądać. Nie, nie bój się, nie powiem ci tego...

– Nie powiesz mi nic. – Starzec smutno pokiwał głową. – Wciąż myślisz o swoim życiu, swojej krzywdzie. Masz rację. Ale nie masz prawa.

Match poderwał głowę.

– Do czego? – spytał zimno, choć w głosie można było wyczuć wściekłość. – Do własnego życia? Nie ty pierwszy mi to mówisz, byli już tacy przed tobą. Dlaczego wydaje ci się, że masz do tego większe prawo?

Starzec nie odpowiedział.

– Powiem ci coś, Match, coś, co powinno cię przekonać. Może wciąż uważasz, że to nie twoja kruczata. – Carmanthean urwał, uśmiechnął się przeproszająco. – Powinienem pamiętać, że takie słowo może ci się źle kojarzyć.

Match milczał. Istotnie, nie miał najlepszych wspomnień. Zastanawiał się tylko, skąd druid wie takie rzeczy. Nieważne, skrzywił się, pewnie znowu gadałem przez sen.

– Możliwe, że nie twoja. – Starzec spoważniał. – Tylko nie masz wyjścia, nikt nie ma. Jesteś jedynym człowiekiem, władnym całą sprawę zakończyć. Pokazać przegranym, że przegrali, nie ma dla nich ratunku, bo ich czas się skończył i pora się z tym pogodzić. Nie walczyć do końca kosztem innych.

Urwał, widząc przeczący ruch głowy.

– Nie, Carmanthean – powiedział Match wolno. – Daruj sobie, nie przekonasz mnie w ten sposób. Powtórzę ci jeszcze raz. Nie chciałem tego wszystkiego. Nie obchodzą mnie inni, bo ja ich też nie obchodzę. Jeśli już, to jako osobnik, który może sprowadzić na nich śmierć. Ale poza tym jestem im obojętny. Obce mi są odwieczne powinności, nie jestem jednym z was.

Starzec skulił się na swoim zydlu. Mógł jeszcze tylko prosić. Ale nie potrafił, wiedząc, co przeszedł ten człowiek.

– Nie, Carmanthean – powtórzył Match chłodno, choć widok bezradnie skulonego starca spowodował dziwne ukłucie, coś w rodzaju bólu. – Bądź wreszcie ze mną szczery. I powiedz po prostu prawdę.

Druid popatrzył na niego.

– Jaką prawdę, Match? – spytał. – Cały czas mówię prawdę.

Wciąż nie potrafi, nadal usiłuje grać. Jest taki sam, jak ja. Match o mało się nie roześmiał. Nie było w tym nic nadzwyczajnie dziwnego.

– Oczekuję innej prawdy, ta mnie nic nie obchodzi. – Match wciąż starał się mówić spokojnie, choć czuł dławienie w gardle. – Powiedz wreszcie, że jestem ci to winien!

– Bo uratowałem ci życie? Teraz, niedawno?

– Nie – powiedział Match ze znużeniem. – Nie dlatego. Dobrze wiesz, dlaczego, ja też wiem. Tylko ja tego nie powiem.

Bo jesteś moim ojcem, stary durniu! Chciał to wykrzyknąć, wreszcie mieć za sobą. Możesz mnie prosić, o co chcesz, możesz rozkazać. Bo jesteś tym, kim jesteś, zawsze byłeś. Dotąd słuchałem tych, których chciałem słuchać, których sobie wybrałem, albo wybrał ich los.

– Jesteśmy tacy sami – rzekł z goryczą. – Stary dureń, i dureń nieco młodszy.

Wstał, podszedł do okna. Wpatrywał się w nie, jakby rzeczywiście udało mu się coś dostrzec przez matowe, naciągnięte na ramki rybie pęcherze.

– Nieważne – rzucił przez ramię. – Ty wiesz, i ja wiem. Przeżyjemy bez deklaracji. Tylko, na litość bogów wszelakich, przestań już truć o przeznaczeniu, rzygać mi się od tego chce.

Carmanthean pochylił głowę. Wyglądał tak bezbrinnie i bezradnie, że zdawało się, iż za chwilę zapłacze. Ale on chciał tylko ukryć kpiący uśmiezek.

– Dobrze – powiedział po chwili. – Nie będę więcej truł, jak byłeś się łaskaw wyrazić. Ten świat trzeba obronić, obojętnie z jakich powodów. Wiesz, że możesz tego dokonać.

Wiem, pomyślał Match, nie odwracając się. Postawiłeś na swoim, prawda? W końcu doprowadziłeś do tego, że ja muszę zdecydować, nie ty. Eh, jesteśmy tacy sami.

Wciąż się nie odwracał. Bał się, że starzec wyczyta kpinę w jego wzroku.

– Ten, kto może coś unicestwić, ma nad tym władzę – usłyszał. – Ty masz podwójną. Możesz zniszczyć ten świat, sprzymierzając się ze swoimi wrogami. Ale możesz też ich powstrzymać. Sam postanowisz, co zrobić, bo ja ci nic nie nakazę. Może będzie ci trudniej, lecz nie nadajesz się na bezwolne narzędzie, buntujesz się wtedy. I obracasz przeciwko wszystkim. Także przeciwko sobie.

Głos Carmantheana stwardniał.

– Siadaj tu – rozkazał. – Chcę widzieć twoją twarz.

Match posłuchał.

– Powstrzymasz ich, bo nie mają racji bytu, a co ważniejsze, powstrzymasz ich z zemsty. Nie jesteś im już potrzebny, sam się przekonałeś, chcieli cię tylko zniszczyć. Dlaczego tak jest, nie wiem. – Starzec zmarszczył brwi. – Czuję niepokój – przyznał szczerze. – Nie zrezygnowali, nie oni. Raczej znaleźli inne wyjście, albo liczą, że znajdą, i są już blisko. Będziesz miał trudności. – Uśmiechnął się. – Ale to, co powiem, spodoba ci się. Jak masz ich powstrzymać... – urwał i czekał na pytanie.

– Jak? – spytał wreszcie Match.

I tak wiedział, chciał tylko zrobić staremu przyjemność.

– Zabijesz ich wszystkich.

- IV -

Carmanthean siedział skulony, bezwiednie masując pierś, uciskając mostek. Naparstnica, pomyślał Match, widząc zapadnięte oczy i pobladłą twarz, na której pogłębiły się bruzdy. Wywar z naparstnicy pomaga, ale raczej już nie w tym stadium. Słowa wypłynęły z pamięci, suma wiedzy pokoleń, chłodne i beznamętne. Na cholerę mi to wszystko, pomyślał, i tak się nie przyda. Nie chcę uzdrawiać, wręcz przeciwnie, chcę zabijać – skutecznie, choć niekoniecznie szybko. A w tym jedynym przypadku, kiedy pragnąłbym uzdrowić, nie mogę zrobić nic. Przekłęta wiedza. Gdyby nie ona, mógłbym wmawiać sobie, że to chwilowe, że nastąpi jeszcze poprawa. Ale nie mógł, pamięć pokoleń odbierała złudzenia.

Teraz rozumiał słowa Carmantheana o brzemieniu, które przyjdzie mu dźwigać. Już nigdy nie będzie tak samo. Ale wydawało mu się wciąż, że on pozostał niezmienny. Wciąż targają nim te same uczucia, a raczej jedno: nienawiść. Wciąż jest tym samym człowiekiem, wiejskim głupkiem, banitą, zdrajcą. Wciąż pamięta... Miłość?

I nagle zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy pomyślał o tym jako o wspomnieniu, nie obsesji, która kierowała całym dotychczasowym życiem. Może jednak się zmieniłem, pojawiła się ponura refleksja. Nawet to straciłem.

Otworzył kolejny flakon. Denerwowało go, że druid nieustannie podpytuje i sprawdza, czy Match istotnie umie przywołać całą wiedzę. Jednak na polecenie starego posłusznie wyciągał wspomnienia, zagrzebane głęboko, lecz gotowe wyskoczyć z niebytu. Odgrzebywał zasady i formuły, które – obce z początku i niezrozumiałe – wymówione na głos stawały się bliskie, jakby Match znał je zawsze.

Krzywiąc się, zajrzał do flakonu. Niech to diabli, pomyślał, suszone ropusze skórki. Straszne świństwo, zażyte w rozsądnych dawkach powoduje halucynacje, w większych zaś szybką śmierć. Znów kawałek wiedzy, wywołany od niechcienia, prostymi skojarzeniami, samym

widokiem i zapachem.

Druid sapnął niecierpliwie. Match wrócił do rzeczywistości.

– Tojad – wskazywał po kolei woreczki – kora kasztanowca, dobra na zakrzepy. Kocimiętka, coś dla niej. – Uśmiechnął się, spojrzawszy na kotkę.

Nic go nie obchodziło, jakie świństwa były w woreczkach i flakonach. Ale chciał zrobić starcowi przyjemność.

Carmanthean gniewnie stuknął kosturem o polepę. Nie ruszał się już nigdzie bez niego, mocno przygarbiony ciężarem lat i choroby.

– Nudzi cię to? – spytał sucho. – Nie zaprzeczaj, nie kręć głową, i tak wiem. Zastanawiasz się, po co ci to wszystko. Bo już wiesz, co masz zrobić w ramach swojego przeznaczenia, jakkolwiek głupio to brzmi. Ale zamierzasz działać po swojemu. Wyróżnić wszystkich i po sprawie. W miarę możliwości powoli, by czuli, że umierają. Mam rację, prawda?

Match nie odpowiedział.

– Zatem mam rację. Widać to po tobie dokładnie. – Westchnął ciężko, z wysiłkiem podźwignął się z zydlą. – W porządku, nie będę cię zanudzał. Chodź, wyjdziemy na powietrze, zajmiesz się tym, co lubisz najlepiej. – Poczłapał do wyjścia, pociągając nogami i postukując kosturem. – Nie stój tak – rzucił gderliwie przez ramię.

– Poczekaj... – powiedział Match niezdecydowanie.

– Na co? – odpalił Carmanthean gniewnie. – Przecież i tak wiem, że jesteś mądrzejszy. Zachowujesz się, jakbyś miał wciąż cztery lata. Chodź, zmęczysz się, to ci przejdzie.

Match bezradnie opuścił ręce. Nie chciał się kłócić ze starcem, nie teraz. Tak mało czasu im zostało, zdawał sobie z tego sprawę. Zbyt mało.

Nisko stojące słońce uderzyło boleśnie w jego nawykłe do półmroku oczy. Światło było dziwne, uświadomił sobie Match, bardziej pomarańczowe, choć świetlisty dysk nie skłaniał się jeszcze całkiem ku zachodowi. Stąd brało się poczucie obcości, zrozumiał, osobliwe, jakby nieprawdziwe kolory. Carmanthean usiadł na swoim ulubionym miejscu pod dębem. Match dostrzegł drżenie rąk, które starzec starał się ukryć, zaciskając dłonie na kosturze. Poczłął ściskanie w gardle, odwrócił się, by nie pokazać ściągniętej nagle twarzy.

Przewiesił przez plecy pas z mieczem. Dociągnął sprzączkę, by rękojeść wysunęła się znad ramienia. Sięgnął na próbę. W sam raz.

Nagle napłynęły wspomnienia. Te własne, nie obce, nieznane. Polana w puszczy, wysoka, jeszcze nieudeptana trawa. Smągała twarz Maura, błysk skrzyżowanych kling. Wspomnienie było wyraziste, niemal czuł zapach turzyc, zbutwiałych liści pod konarami dębów, grzybów i igliwia.

"Kim ty jesteś?" Wtedy po raz pierwszy usłyszał to pytanie. Nazir dostrzegł jego odmienność, obcość. Tajemnicę skrytą pod maską banity, rozbójnika z lasu.

Teraz miał już skompletowane informacje, kawałki do poskładania w jedną całość. Wiedział wszystko, poza jednym. Kim naprawdę jest.

Sięgnął ponad bark, zgrzytnęła wyciągana klinga. Słońce zabłysło na gładkiej powierzchni, gdy zamarkował pierwsze, powolne jeszcze cięcie.

Zaczynał przyzwyczajać się do tego miecza. Półtoraręczna rękojeść znakomicie leżała w dłoni, broń była doskonale wyważona. Czuł w niej coś obcego, ale wydawało mu się, że używa jej od lat.

Wypad, cięcie. Skrzywił się. Nie wyszło dobrze, nagły ból nadgarstka sprawił, że było sztywne, jak machnięcie kijem. Ślepy by odbił.

Opuścił klingę, machinalnie roztarł nadgarstek. Trzeba ćwiczyć, pomyślał z irytacją, więcej ćwiczyć, a nie wachać ziółka. Uparł się stary.

Jeszcze raz. Jakże brakuje Nazira, pomyślał, składając się do odbicia wyimaginowanego ciosu. Szybki krok, wzniesienie klingi. Na nic.

Ogarnęła go złość. W prawdziwej walce byłoby już po wszystkim, cięcie dotarłoby do celu, rozcięło kubrak, potem mięśnie. Nie zabiłoby go od razu, ale niewątpliwie zakończyłoby walkę, mógłby jedynie czekać na ostateczny cios.

Zdawał sobie sprawę, że jest wciąż za wolny, ale nie dziwił się. Trudno oczekiwać, by czuł się dobrze po... – skrzywił się ironicznie. Po śmierci, tak wciąż o tym jeszcze myślał.

Wydawało mu się, że druid uśmiecha się złośliwie, nieznacznym wygięciem posiniałych warg.

Wściekłość przeważała. Już otwierał usta, by znów wylać na Carmantheana wszystkie swoje frustracje, gdy spostrzegł, że głowa starca chwieje się i opada na piersi, a dłonie zaciskają się na

spoczywającym w poprzek kolan kosturze.

Match skoczył ku niemu, czując niespodziany ucisk w piersi. To koniec, kołatało mu się w głowie, to już...

Nie zdążył opaść na kolana, podtrzymać kłoniącej się na piersi głowy.

Uderzenie przyszło nagle, jakby ktoś zdzielił go przez plecy grubym drągiem, nisko, na wysokości nerek. Cios wyparł całe powietrze z płuc, Match z sapnięciem wygiął się w tył, potoczył po ziemi w kurzawie, która nagle pojawiła się nie wiadomo skąd.

Przez chwilę wił się tylko. W oczach mu pociemniało, nie wiedział, czy od kurzu, czy z braku powietrza. Walczył o zaczerpnięcie oddechu, drapiąc ziemię palcami, usiłując się podnieść. Wreszcie udało mu się złapać oddech. Wciągnął powietrze z odgłosem przypominającym skowyt. Wciąż niewiele widział, wirujący kurz, żdźbła traw i piasek zmuszały do zaciskania powiek. Popęłznął w stronę, gdzie, jak miał nadzieję, rzucił broń.

Następne uderzenie przyszło z góry, na odlew, jak cepem prosto w kark. Miał wrażenie, że pękają kręgi. Usłyszał głucho chrupnięcie, wyprężył się, na chwilę przestał widzieć i czuć cokolwiek. To koniec, zdążył pomyśleć.

Ocknął się, gdy dotarło do niego, że zaciska na czymś dłoń. Czymś szorstkim, znakomicie w tej dłoni leżącym, znajomym. Nie otworzył nawet zaciśniętych powiek. Przetoczył się w bok, straszliwym wysiłkiem dźwignął na kolana, na oślepe wodząc klingą przed sobą. Wstał chwiejnie, zdając sobie mętnie sprawę, że wszystko dokoła ucichło. Potrzęsnał głową, długie siwe włosy rozsypały się po twarzy. Zaczynał już coś widzieć, znikwały wirujące czarne i czerwone plamy. Dostrzegł niedaleki zarys sylwetki, tak znajomej...

To była ona. Coś w głębi umysłu powtarzało mu, że chyba zwariował. Ale poprawiła się już ostrość wzroku i rozpoznawał szczegóły.

Skórzany, łuczniczy ochraniacz na przedramieniu, wyslizgany od używania. Długi płaszcz z kapturem, teraz odrzuconym na plecy, tak, że nie zasłaniał przetykanych srebrzystymi nitkami kasztanowatych włosów. Zmarszczki w kącikach ust, skrzywionych złym uśmiechem, wydawały się głębsze, niż kiedy widział ją po raz ostatni. Poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

Marion stała niedaleko, zaledwie parę kroków przed nim. Mógł spojrzeć prosto w zielone oczy. I wyczytać w nich nienawiść.

Pochyliła się, ujęła lotki strzały, wbitej przed nią w trawę.

To niemożliwe, coś krzyczało w umyśle Matcha. To nie może być przecież ona, została tam. Nawet nie wiadomo, jak daleko. Ale jakaś część świadomości zareagowała na zagrożenie, emanujące od milczącej postaci, tak kiedyś bliskiej.

Kiedyś? Widział, jak wyrывa strzałę wbitą w darń, unosi łuk i zakłada ją na cięciwę. Kiedyś, kołatało się w głowie, dawno. Potem to tylko namiętność. W końcu nienawiść.

Pobierały kostki palców dłoni, dociągającej cięciwę do twarzy, białe lotki musnęły wargi, skrzywione w złym uśmiechu. Wiedział, że jeszcze jest czas, cień szansy. To tylko parę kroków, jedno cięcie. Jeszcze można zdążyć, zanim strzała poszybkuje do celu, tak bliskiego, że nie chybi.

Spojrzenie zielonych oczu odbierało mu całą wolę. Grot nie drżał, mierzył prosto w pierś. Z tej odległości zdruzgocze mostek, pocisk wychynie z pleców w fontannie krwi i odłamków kości. Marion zawsze starannie ostrzyła groty i używała silnego łuku. Bardzo silnego, jak na kobietę. Widział krągły wzgórek mięśnia na ramieniu naciągającym cięciwę, pewny chwyt wyprostowanej ręki.

Zawsze była silna, przemknęło mu przez głowę. Jednocześnie sprężył się do skoku i wiedział, że nie uskooczy przed strzałą, nie przy tej odległości. Mógł tylko ciąć między szyję a ramię.

Ugiął nogi, wciąż patrząc w zielone, pełne nienawiści oczy. Poczuł, jak palce zaciśnięte na rękojeści rozwierają się, jakby należały do kogoś innego, broń wypadła z dłoni. Odetchnął głęboko, nie myśląc już o niczym. We wpatrzonych w siebie oczach dojrzał decyzję.

Nie poczuł uderzenia, nie rzuciło nim o ziemię. Mógł tylko pochylić głowę i zobaczyć brzechwy strzały. Wpatrywał się we własną pierś, poruszaną szybkim, płytkim oddechem, w puste ręce. Siedział na trawie z błędnym wyrazem twarzy. Wszystko było normalnie. Miecz nadal spoczywał w pochwie. Nie było kurzawy, tylko pognieciona, skotłowana trawa świadczyła, że coś jednak się wydarzyło.

Podniósł się z jękiem, czuł ponaciągane ścięgna, nadwreżone mięśnie. Zakłuło w kolanie, zatoczył się, o mało nie upadł. W skroniach

pulsowała krew, gdy poruszał głową, zaczynało go mroczyć.

Co to było, pomyślał tępo.

– Co to, kurwa, było? – powtórzył na głos. I nagle zrozumiał.

Carmanthean siedział jak przedtem, zaciskając poznaczone plamami, szponiaste dłonie na swej lasce. Włosy zakrywały mu oczy, ale Match dostrzegł krew spływającą po brodzie. Rzucił się ku starcowi, nie bacząc na czarne plamy latające przed oczyma, uniósł mu głowę. Opadała bezwładnie na ramię. Zza półprzymkniętych powiek druida błyskały białka, z nosa ciekła wąska strużka krwi.

– Carmanthean... – jęknął Match, usiłując podtrzymać osuwające się ciało druida. – Car...

Zaciśnięte na kosturze dłonie rozluźniły się. Match próbował wyczuć puls na odsłoniętej, chudej szyi. Nie mógł. Z całej siły powstrzymał się od potrząśnięcia jego ciałem, rozpacz zamieniała się we wściekłość.

– Teraz, kurwa, umierasz? – krzyczał już. – Właśnie teraz? Musisz mi to robić, mało ci jeszcze?

Niezdarnie objął starca ramionami, przycisnął jego głowę do swojej piersi. Po raz pierwszy. Głaskał srebrzyste włosy, obejmował ramiona, czując, jak są kruche i delikatne pod szorstką, grubo tkaną szatą. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł, ściśnięte gardło nie pozwalało. Nie wiedział zresztą, jak ubrać to w słowa. Nie było właściwych słów.

Nie dostrzegł drgnięcia powiek. Poczuł dopiero pierwszy głębszy oddech Carmantheana, chrapliwe zaczerpnięcie powietrza.

– Puść... – usłyszał przez zalewającą go falę ulgi. Zacisnął palce na ramionach druida. – No puszczaj, bo mnie udusisz. – Carmanthean mówił już głośniej. – Jeszcze nie teraz.

Match odsunął się powoli. Stary zaniósł się suchym kaszlem. Twarz mu posiniała.

– Zanieś mnie do chaty – powiedział niewyraźnie. – Szybko, będziesz wiedział, co robić. – Zgiął się wpool, wstrząsany gwałtownymi skurczami. – Pospiesz się... – wymamrotał.

Na swym posłaniu Carmanthean wydawał się żałośnie kruchy i delikatny.

– Podnieś mnie, synu – szepnął. Oczy miał zamknięte.

Match zawahał się.

– No podnieś! – W głosie starca zabrzmiała niecierpliwość. – Podłóż mi coś pod plecy.

– Nie powinienes – zaprotestował Match niepewnie.

Carmanthean otworzył oczy.

– Nie pouczaj mnie – odparł zimno. Już nie wyglądał jak umierający starzec, którym w istocie był. W jego oczach lśniła dawna siła.

Druid próbował unieść się na łokciach. Nie dał rady, choć twarz pociemniała mu z wysiłku, niebieskawe żyły wystąpiły na bladych skroniach. Szybko przymknął powieki, jakby chciał ukryć bezradność.

Match odwrócił głowę. Też chciał coś ukryć.

Wsunął zwinięte skóry pod plecy starca.

– Nie roztkliwiajmy się za bardzo, Match. – Szorstki, cichy głos przywołał go do rzeczywistości. Przyniósł kubek, przytknął naczynie do warg Carmantheana, przechylił. Po brodzie starca spłynęła strużka naparu.

Druid pótleżał przez chwilę z przymkniętymi oczyma, wreszcie otarł usta. Ręka nie drżała mu już tak, jak jeszcze przed chwilą. Match zdawał sobie sprawę, że działanie ziół będzie bardzo silne i długotrwałe. Znał każdy ze składników, próbował protestować, gdy stary wydawał mu polecenia. Mieszanka była silna, na dłuższą metę wręcz zabójcza. Jednak w końcu uległ, rozumiejąc, że to nie zioła i grzyby, karmiące się zgnilizną w ciemnych zakątkach lasów, zabiją Carmantheana. Po prostu nie zdążą.

– Mamy już mało czasu, Match – szepnął druid, jakby zgadując jego myśli. – Coraz mniej. Czegoś się dziś nauczyłeś. Coś powinienes zrozumieć. Ja też chyba zrozumiałem.

– Ale... – zaczął Match i umilkł, widząc niecierpliwy gest ręki.

– Nie przerywaj, bo nie skończymy do usranej śmierci. A, jakkolwiek by patrzeć, wolałbym, żeby jednak nie była usrana... – Skrzywił poblądłe

wargi w uśmiechu i znów rozkaszał się gwałtownie.

– Nie – wykrztusił, widząc, że Match podrywa się z zydła. – To przejdzie, już przechodzi...

Nie protestował jednak, gdy ten delikatnie otarł bąbelek śliny z kącika jego ust.

– Najpierw chyba poproszę cię o wybaczenie. Nie, nie za wszystko, nie za to, czego pewnie nigdy mi nie wybaczysz. I ja sobie też nie wybaczę. Jeśli nie wiesz, o co chodzi, to posłuchaj.

– Nie chcę słuchać – mruknął Match ze wzrokiem wbitym w polepę, jakby prócz zeschniętych łodyg naciętego tataraku i zwykłych śmieci było tam coś niezwykle ciekawego. Sprzątanie nie jest najsilniejszą stroną starego, pomyślał bez sensu.

– Nie masz wyboru, umierającemu się nie odmawia. Przepraszam... Te pieprzone grzybki mają działanie uboczne. Czasem będę gadał głupstwa, musisz je odcedzić od prawd głębokich i wzniosłych.

Match spostrzegł na twarzy Carmantheana cień dawnego, złośliwego uśmiechu.

– To chyba ja zapłaciłem więcej. – Głos był cichy, niewyraźny wręcz, ale Match czuł, jak każde słowo zapada gdzieś głęboko. – Płaciłem przez całe lata. Czas nie jest najprostszą rzeczą, w każdym rozumieniu tego pojęcia. Straciliśmy go obaj. Wiesz, Match, spisałem cię na straty. Tak po prostu, nie udało się, i już. Jakbyś był tylko... Właśnie, tylko narzędziem.

Westchnął.

– Straciłem cię dużo wcześniej, na długo przed tamtym dniem, kiedy dostałem po łbie. Wtedy, gdy zacząłem uważać cię za narzędzie potrzebne do spełnienia misji. Do uzyskania wpływów i władzy. Co z tego, że nawet nie chciałem jej dla siebie? Co z tego, skoro dla innych miałeś być tylko narzędziem, do użycia lub zniszczenia, by nikt inny nie mógł go wykorzystać?

Match rad był z mroku panującego w izdebce. Ciemność, rozświetlana słabym płomieniem kaganka na stole, litościwie skrywała rysy twarzy. Łagodziła słowa, wystarczająco gorzkie i okrutne.

Przeczuwał, że słyszy to po raz pierwszy i ostatni. Wszystkiego trzeba wysłuchać, wszystko powiedzieć, choć czuł się jeszcze niegotowy. Nie

wiedział, czy będzie umiał ubrać w słowa to, co sam chciałby wyrazić.

A powiedzieć musiał dziś, zaraz albo wcale. Czas się kończył.

Oczy Carmantheana błyszczały w mroku.

– Nawet cię nie szukałem. Po co? Niewielkie miałeś szanse, by przeżyć. Jeśli zaś przeżyłeś, to mogłeś być tylko tym, kim w istocie się stałeś. Zapóźnionym półgłówkiem. Wiesz, został mi jedynie wstyd. Nie, nawet nie wstyd. – Druid urwał. Znów dało się słyszeć głośniejszy, rzeźący oddech. Starzec poruszył się, skrzypnęły deski pryczy. – Nie wstyd. – Głos był cichszy. – Urażona duma, tak to trzeba nazwać, chcąc być uczciwym. Przegrałem i tylko to było ważne. Nie ty.

Dłonie Carmantheana zacisnęły się na okrywających go skórkach, wpiły w futro, jakby chciał dawno zabitemu zwierzakowi wyszarpać garściami sierść. Przez dłuższą chwilę nic nie mówił.

Coś chrobotąło cicho w ścianie, w dymnikach zahuczał pierwszy podmuch nachodzącej nawałnicy, trzasnął niedomkniętymi drzwiami o futrynę. Wiatr zaszumił w gałęziach dębu.

W izbie znienacka pojawiła się kotka. Stanęła nagle na stole, zamiauczała cicho.

Carmanthean uświadomił sobie, że przed oczami znów przepływają mu obrazy, które na zawsze chciał wyrzucić z pamięci. Krótkie chwile szczęścia, dawno zapomniane momenty, kiedy, niepomny wielkich celów, spoglądał na małego chłopca, tak podobnego do niego samego. Kiedy chłopiec był tylko chłopcem, nie ostatnim etapem wielkiego planu.

Nie mogę tego powiedzieć, pomyślał, czując żal ściskający gardło. Już nie mogę.

– Nie proszę cię o wybaczenie – podjął ochryple. – Chcę tylko, żebyś zrozumiał.

Zamiast odpowiedzieć, Match pochylił się nad starcem, dotknął czoła, niby sprawdzając, czy wciąż jest zimne i mokre od potu. To wystarczyło. Ręka starca objęła jego nadgarstek.

Trwali tak w bezruchu.

Po nieskończeniu długiej chwili uścisk Carmantheana zelżał. Palce rozwarły się, powoli i niechętnie. To musiało wystarczyć za wszystko.

Za wszystko, pomyślał starzec, za wszystkie stracone lata. Za

podrzucanie na kolanach i mierzwienie chłopięcej czupryny. Za dorastanie, oglądanie świata na nowo, odkrywanie go po raz drugi oczyma własnego dziecka. Za... niech to diabli!

– Dość tego roztkliwiania – burknął szorstko. – Jeszcze nie umieram, synu, trochę na to poczekasz. Jestem twardym skurwysynem, nic nie ujmując twojej babce. Pomóż mi. – Match pomógł druidowi obrócić się na wznak. – I dorzuć do ognia, zimno tu.

Nie było zimno, wręcz przeciwnie. Przedburzowa duchota zalegała ciężko, pierwsze podmuchy wiatru nie zdołały jej jeszcze rozegnać. Niedobrze, pomyślał Match.

Wstał jednak posłusznie, rozgrzebał niedogaste węgle na palenisku. Izdebka rozświetliła się migotliwym blaskiem. Siedząca na stole kotka zmrużyła oczy, zwięzła powieki w wąskie szparki. Spoglądała wprost w ogień, śledziła tańczące płomyki, iskry, strzelające z płonącej kory.

– Dość tego... – powtórzył Carmanthean. – Może się myliłem – podjął po chwili. – Może masz rację, że chcesz robić wszystko po swojemu. Dopiero teraz zrozumiałem, że nie wiem tak naprawdę, kim jesteś, kim się stałeś przez te wszystkie lata. Jesteś inny. Nie gorszy, może lepszy. – Uśmiechnął się złośliwie. – Może lepszy, ale wciąż głupi i naiwny. Kierujesz się emocjami, instynktami. Chcesz zabić ich wszystkich i już. Jakże to proste. Przecież jesteś silny, masz miecz, umiesz zabijać. I jesteś druidem.

Match nie odzywał się. Po raz pierwszy od początku tej rozmowy na jego ustach zagościł niewyraźny uśmiezek.

– Z czego się śmiesz? – parsknął Carmanthean. – Owszem, jesteś druidem, potencjalnie. Nie różnisz się niczym od tych wszystkich smarkaczy, których wybierano z tysięcy, którzy przechodzili próby albo umierali. Ale jesteś głupi...

Chciał splunąć, powstrzymał się w ostatniej chwili. I tak zaschło mu w ustach.

– ...głupi, jak oni. Jak ci smarkacze w białych szatach, podczas obrzędu inicjacji. Taki sam, mimo żeś stary i siwy. Gównu wiesz, chłopcze. I zgadnij, co ci jeszcze powiem? Z tobą jest gorzej i trudniej. Bo masz nawyki, utrwalone i niekoniecznie dobre. Masz wszystkie obciążenia, których nazbierało się przez lata. Kochasz i nienawidzisz, czasem nie

wiesz, czy nie obdarzasz tymi uczuciami tych samych osób. Nie zaprzeczaj, nasłuchaliśmy się twoich snów. – Popatrzył na kotkę, która zachowywała się jakby nigdy nic, śledząc wciąż wzrokiem tańczące nad brzoźowym polanem płomyki. Match słuchał. I nie zaprzeczał.

– Z początku chciałem ci to wszystko odebrać. Wyczyścić cię, dosłownie. Bo po cóż narzędzie z pamięcią? Jest tylko obciążeniem. Nie myśl sobie, zrobiłbym to. Dość ci już w życiu uczyniłem złego, kolejna krzywda nic by nie zmieniła. Zwłaszcza że nie miałbyś świadomości krzywdy. Tylko ja musiałbym sobie z tym poradzić. I poradziłbym sobie, bez obaw.

Wątpię, przemknęło Matchowi przez głowę. Nie oszukasz mnie już... już nigdy.

– Poradziłbym sobie – mruknął stary, jakby sam siebie chciał przekonać. – Nieważne. Okazało się, że nie można. Cóż, też byłem głupi, starość niekoniecznie oznacza nieomyślność. Ale i tak zmieniłeś się, Match, nie miej złudzeń. Nie jesteś już tym, kim byłeś, i nigdy nie będziesz. Zostały ci wspomnienia i uczucia, których się nie pozbędziesz. Pewnie to i lepiej. To był chyba nasz największy błąd, nieuwzględnienie w rachubach motywacji.

Zamyślił się na chwilę. Tak, motywacje są kluczem. Gdybym to wiedział przed laty, wszystko mogłoby się potoczyć inaczej. Ale tak się nie stło, odpowiedział sobie zaraz. I już nie będzie. Czas się kurczy.

– Rozumiem – zaczął Match z trudnością. – Wszystko rozumiem.

Carmanthean uniósł się z wysiłkiem.

– Gównu tam rozumiesz! – parsknął. – Tylko wiesz, a to nie oznacza zrozumienia. Taki z ciebie druid jak z bawolej dupy róg myśliwski. Wciąż wyłazi z ciebie dumny rębajło, dziki zbój z lasu. Najprostsze rozwiązanie, zabić wszystkich.

Opadł z powrotem na posłanie. Na czole wystąpiły mu kropelki potu.

– Posłuchaj teraz, bo nie będę powtarzał. Uważnie, w miarę możliwości. Nie mogę ci przekazać nic więcej. Zabrzmi to jak wyświechtana prawda, ale jest nią w istocie. Sam musisz się odnaleźć. Odnaleźć w sobie wszystko, co już w tobie tkwi, odnaleźć możliwości i ograniczenia. Siłę i słabość. Martwi mnie to. – Carmanthean westchnął. – Inaczej cała wiedza będzie obciążeniem, nie pomocą. Gubisz się, Match,

gubisz się beznadziejnie. Dziś przegrałeś, wiesz o tym dobrze. I przegrasz za każdym razem, bo nie wszystkich można pokonać tylko mieczem. A takich właśnie spotkasz.

– Jak to zrobiłeś? – spytał Match.

– Jak, jak... – zirytował się Carmanthean. – Tylko o to pytasz? Też byś tak chciał? Spróbuj po prostu, ja cię nie nauczę. Tego się nie da przekazać, musisz to znaleźć sam, w sobie. Jak dziecko uczące się chodzić. – Uśmiechnął się blado. – Dobre porównanie, Match. Jesteś dzieckiem. Niestety dużym, silnym i upartym.

Match pokręcił głową.

– Nie o to mi chodziło. Wiem, że można stwarzać iluzje, pokazywać wizje, obrazy. Ale dlaczego takie? – Zaciśnął pięści. – Dlaczego, kiedy chciałeś pokazać mi własną śmierć, to była właśnie ona? Chciałeś próby?

Carmanthean przymknął powieki. Nic już nie bolało, czuł tylko, że powoli gaśnie.

– Nie bądź naiwny – wyszeptał ze znużeniem. – Skąd niby mam wiedzieć, co ci się pieprzy we łbie? To twój lęk, twoje zmary, Match. Ciesz się, że nie zobaczyłeś własnych pragnień.

Może właśnie zobaczyłem, pojawiła się myśl. Odegnął ją z wysiłkiem. Jeszcze będzie czas.

– Nie ufaj instyktom, Match. – Głos starca stawał się coraz cichszy, coraz dłuższe były przerwy między wypowiedzianymi zdaniami, potem słowami. – Już nie możesz im ufać, przynajmniej nie teraz. Jesteś kimś innym. Skończyliśmy to, co zaczęło się przed laty, w innym świecie. Teraz wszystko zależy od ciebie. To przeznaczenie. Czasem jest ono po prostu odpowiedzialnością.

Match pochylił się nad starcem, trudno mu było zrozumieć poszczególne słowa. Wiatr się wzmaczał. Dąb szumiał, podmuchy jęczały w dymnikach. Szeleściła trzciniowa strzecha.

– Wiesz wszystko, Match. – Szept był ledwie słyszalny, zlewał się prawie z narastającym poszumem. – Dałem ci wszystko, co mogłem. Szkoda...

Nagle lunęła ulewa. Ciężkie krople zabębniły w okienne błony, za którymi wicher szarpał gałęziami, odzierał je z liści, kołysał morzem

trzcina na mokradłach. Huknął grom, gdzieś blisko, bo dźwięk dobiegł prawie jednocześnie z sinym błyskiem, rozświetlającym izdebkę. W jego upiornym blasku Match dostrzegł, jak wargi starca poruszają się lekko.

Pochylił się bardziej, oddech go załaskotał w policzek.

– ...szkoda, że tak późno... – dosłyszał jeszcze.

Grad walił w okno, tłukł w dach. Coraz częściej trzaskały pioruny, gromy zlewały się czasem w jeden przeciągły odgłos. Szumiały trzciny i oczerety. Wreszcie burza przetoczyła się, można było odróżnić dźwięk pojedynczych kropli, uderzających w okno, ciszej chlupotała woda, wlewająca się do przepełnionej beczki z deszczówką pod okapem. Wiatr uspokajał się, przygasły rozdmuchane węgle na palenisku, pełgały nad nimi tylko małe, niebieskawe płomyczki. Odległe błyskawice były tylko łagodną poświatą, rozświetlającą chmury.

Z ostatnim, dalekim odgłosem gromu ucichł nierówny oddech. I tylko w ścianie coś zaczęło znów chrobotać, ośmielone ciszą.

Match siedział przy stole. Przed nim czarna kotka z białymi łapkami. Trwali tak długo, bez ruchu i bez słów.

W wielkich źrenicach, okolonych żółtozieloną tęczówką, dostrzegł odbicie swojej rozpacz.

Niewiele pozostało do zrobienia. Solidne skórzane sakwy były spakowane.

Zebrał trochę drobiazgów przydatnych w podróży, zioła w malutkich woreczkach, szklane i gliniane flakoniki, zakorkowane rdzeniem z czarnego bzu, zapieczętowane lakiem. Suszonego, pociętego na paski mięsa nie wziął dużo, chciał zostawić coś kotu. Nie znalazł łuku, choć przeszukał całą chatę, nawet mroczny stryżek, pełen dziwnych i niepasujących do tego miejsca przedmiotów, jak na przykład lutnia bez strun czy wielka malowana skrzynia, jakby z wyprawy ślubnej jakiejś chłopskiej piękności.

Popatrzył na mokradła, ciągnące się po horyzont. Morze trzcina falowało na wietrze, teraz, w środku lata wyglądało jak pole żyta, prawie

nie widział tafelek ciemnej wody. Bagna podsychały, dopiero jesienne deszcze sprawiały, że poziom wód się podnosił. Jedno było dobre – stworzenia zamieszkujące moczary przeczekiwały niepomyślny czas pogrążone w letargu, zagrzebane w mule, gdzie pozostawało więcej wilgoci. Ale wciąż musiał uważać na wiele rzeczy. Głębia czy muł, wszystko jedno, i tak bezdenne. Bagno było zdradliwe, dywan roślin wyglądających jak łąka mógł okazać się zaledwie cienkim kożuchem na trzęsawisku, gotowym przerwać się przy nieostrożnym kroku. Trzeba skakać z kępy na kępę, wypatrywać żerdzi, znaczących bezpieczne miejsca, a trudnych do zauważenia w gęstwinie trzcin.

Carmanthean przestrzegał go przed oczkami spokojnej wody, nęcącymi widocznym wyraźnie dnem, uformowanym jakby z solidnego piasku, które zachęcało, by brodzić przez sam środek. Dno wcale nie było tak blisko, a i dnem nie było, tylko grząską, przepastną otchłanią. W dodatku zwykły tam czaić się poczwary, te cierpiące na letnią bezsenność, gotowe oplątać mackami każdego, kto odważy się zbliżyć.

Match bez oporów wierzył w te opowieści od czasu, gdy znęcony chłodem po porannych ćwiczeniach wszedł kiedyś do wody po kolana, tuż przy brzegu wysepki. Miał szczęście, że zdjął tylko buty i podwinął spodnie, lecz nie zostawił na brzegu miecza. Kiedy coś chwyciło go za łydkę, sądził zrazu, że to tylko pijawka, niezwykle dorodna. Dopiero gdy z mułu wystrzeliły kolejne macki, oplatając mu szyję, zrozumiał, że sprawa jest poważna i stary nie żartował, przestrzegając przed zbliżaniem się do wody.

Wyszedłszy na brzeg, ciężko oddychał i krwawił z licznych, choć płytkich ranek po przylgach, a Carmanthean wprowadził go we wściekłość, bo za nic nie mógł powstrzymać śmiechu. Ponoć z brzegu wyglądało to na śmiertelne zapasy z mokrym sznurem. Matchowi nie groziło zresztą prawdziwe niebezpieczeństwo, bagienny pomiot był młody i niewyrośnięty, tylko takie osobniki zapuszczały się na płycizny. Gorsze były te czyhające w głębi bagien, o mackach grubości uda dorosłego mężczyzny. Ich właśnie musiał się teraz obawiać.

Tyczki znaczące drogę pogniły i spróchniały, druid dawno nie korzystał z niebezpiecznej przeprawy przez mokradła. Wystarczały mu zapasy z wioski, przywożone przez małomównych miejscowych myśliwych. Ci podpływali płaskodenną łódką, kiedy wiosenne i jesienne

przybory wód na to pozwalały. Przez całe lato ostrów pozostawał odcięty od świata, a i zimą nie było specjalnie sensu zapuszczać się dalej, wystarczało zastawiać sidła na drobną zwierzynę, która podchodziła po lodzie aż tutaj.

Ale nie było wyjścia, Match musiał ruszać jak najszybciej.

Pogłaskał kotkę po głowie. Otarła się o jego łydkę, zadarła ogon. Zamruczała, jak zwykle. Schylił się, wziął ją na ręce.

– Na pewno chcesz zostać? – spytał, jakby licząc, że odpowie. – Nie radzę, mała.

Właśnie, jak masz na imię? – pomyślał. Nigdy nie słyszał, by Carmanthean zwracał się do niej inaczej niż "mała", albo "ty diabelski pomioście", gdy kotu udało się coś zbroić. Pogłodził czarny grzbiet.

Rozejrzył się po wysepce. Rzędy pielęgnowanych niegdyś starannie ziół przyżółkły nieco, nikt już ich nie podlewał, nie nosił wody w cebrzyku. Nasiona chwastów, niesione wiatrem, padły w glebę, wypuściły kiełki i rozrosły się, niepielone. Niedługo zagłuszą wszystko, zatrą wszelki ślad po grządkach i rabatach. Zostaną zardzewiałe narzędzia, rozrzucone klepki cebrzyka, gdy już rozeschnie się na tyle, że spadną obręcze. Ostrów stanie się zwykłym wzgórzkiem wśród mokradeł.

Kotka wierciła się na ramieniu, wbijała pazurki nawet przez grubo dzianą tkaninę.

To nie w porządku, myślał Match mętnie. Tego się nie robi kotu. Nie umiera się, nie zostawia go, by błąkał się samotny, szukał i tęsknił.

To, kurwa, nie w porządku.

Obraz zaniedbanych grządek, chaty i rozłożystego dębu zaczął się rozmazywać, drgać. Upłynęła dłuższa chwila, zanim Match pojął, że płacze.

Nie było stosu, ostatniego ognistego rydwanu w drodze do niebios. Match przytknął pochodnię do trzciniowej strzechy. Wysuszona letnim słońcem zajęła się szybko, prawie bezdymnym płomieniem. Stał obok, dopóki gorąco nie zrobiło się nieznośne, a przez wiązki płonącej trzciny

nie zaczęła prześwitywać więźba dachu. Jęzory płomieni wystrzeliły przez dymniki, ogień wgryzał się w belki ścian, huczał we wnętrzu. Odbijał się czerwienią w nieruchomych oczach kotki, pobłyskiwał we łzach, spływających po policzkach Matcha.

Gdy zawalił się dach i dym stał się czarny i ciężki, Match odrzucił pochodnię. Zatoczyła łuk w powietrzu i zasyczała, gasnąc w bagnie.

– Żegnaj, tato – powiedział Match. Zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od bardzo, bardzo długiego czasu wymówił to słowo.

Niebo wciąż było pochmurne, jak zawsze. Jason tęsknił do słońca, czy choćby rozgwieżdżonego nieboskłonu. Czuł, że otaczająca ich zewsząd mgła zaczyna go dusić. Może tu jest tak zawsze, pomyślał melancholijnie. Dlatego ten świat gnije, wydzielając zapachy rozkładu, dopóki całkiem się nie rozpadnie, jak stoczone próchnem drzewo. Jak bezlistny las dokoła.

Siedział na ławeczce przed chatą, mimo że wieczór był chłodny i ciągnęło wilgocią. Zazdrościł Matchowi, obojętne, co napotkał po drugiej stronie bramy. Bo nie wątpił, że ją odnalazł.

Basile krzątał się wewnątrz chaty, Jason słyszał, jak bulgocze woda nalewana do saganka. Żołądek podszedł mu pod gardło na myśl o tłustym rosole bez przypraw, codziennej strawie, serwowanej na przemian z pieczenią, wędzonką, mięsem przypiekanym na węglach i znów pieczenią.

Tylko ten cholerny zwierzak jest zadowolony, przemknęło mu przez myśl.

Cholerny zwierzak, zwinięty obok niego na ławce, nastawił uszy. Jason pogłaskał miękkie futro. Zupełnie jak kocie.

Odkąd odszedł Match, Jasonowi nic się nie chciało. Po prostu czekał. Przestał się interesować swoimi wyostrzonymi zdolnościami. Nie badał ich, nie wsłuchiwał się w siebie, jak wcześniej, jakby pogodził się z tym, że teraz wszystko zależy od Matcha, a sam nie ma na nic wpływu, zamknięty w obcym świecie bez możliwości powrotu. Nawet to, że żył,

wydawało się nieistotne i odległe.

To Basile snuł przypuszczenia, niekończące się monologi, gdy leżeli w ciemności, usiłując zasnąć. Tylko on jeszcze wypuszczał się na wędrówki, niby na polowanie, ale przecież Jason zdawał sobie sprawę, że niezdarny olbrzym też szuka wyjścia.

Jason uśmiechnął się krzywo. Basile był ostatnią osobą, która mogła liczyć, że je odnajdzie. Tego problemu nie rozwiąże, waląc pięścią.

Co gorsza, razem z Matchem odeszli oni. Jason nie wyczuwał już żadnej obecności, nie zdawało mu się, że z głębi lasu śledzą ich czujne oczy. Miał nieprzyjemne wrażenie, że zostali sami, aby tu szczeznąć. Ktoś ocenił, że wystarczy poczekać.

Wstał z ławeczki, postąpił parę kroków przed siebie, brodząc w wysokiej, suchej trawie. Popatrzył w las, jakby chciał przebić gęstniejący między pniami mrok. To bez sensu, pomyślał. Trzeba czekać, czekać pewnie długo. Match nas nie zostawi, chyba...

No właśnie. Chyba że już nie żyje, co było wielce prawdopodobne. Może nawet zginął gdzieś tutaj, wcale nie znalazł przejścia, tylko zeżarło go coś, co mieszkało w lesie i było większe od królików.

Zdawał sobie sprawę, że rozpamiętując wszystko w kółko, nie dojdzie do niczego. Wprawdzie minęło tylko kilkanaście dni, odkąd Match nie wrócił, i kilka zaledwie, odkąd znaleźli jego odzienie, całe, porządnie złożone, leżące na środku okrągłej polany. Ale wysnuli już wiele przypuszczeń, a wszystkie były warte dokładnie tyle samo.

Jason wiedział, sam nie uświadamiając sobie, skąd, że Matchowi się powiodło, odnalazł wreszcie przejście pomiędzy światami. Przypuszczał, że było to bardzo proste, ostatecznie dlaczego miałyby być oznaczone kamiennym kręgiem? Kamienie same w sobie nic nie znaczyły, stanowiły tylko znak. Jason nie potrafił odbierać nieuchwytnych wibracji, nawet tu, w tym świecie. Ale był pewien, że Match przeszedł przez bramę.

– Tylko na cholere przedtem się rozbierał? – mruknął pod nosem. Tego nie potrafił zrozumieć.

Poczuł złość, że pojmuje tak niewiele. I może tylko czekać.

Dosłyszał za sobą szelest traw, lekkie stapania. Nie odwrócił się, Basile, mimo swego wzrostu i pozornej ociężałości, potrafił poruszać się

lekko niczym tłusty kocur. Czego ten znowu chce, pomyślał tylko niechętnie. Nie lubił, gdy ktoś zakłóca mu tok myśli, nawet zupełnie nieproduktywnych.

Lekkie kroki zbliżały się. Jason już miał się odwrócić, zrugać Basile'a za to, że tak się skrada. Nie zdążył.

Pociemniało mu w oczach i znów miał znajome, obrzydliwe wrażenie, że jakieś zimne palce grzebią mu pod czaszką. Wzrok wrócił po chwili, z ciemności wyklarował się obraz.

Ale nie taki, jak się spodziewał. Jasonowi wydawało się, że spogląda na tył własnej głowy. Po chwili wszystko zniknęło.

Odwrócił się powoli. I wtedy ją zobaczył.

Stała kilka kroków od niego, z tajemniczym uśmiechem na twarzy. Przypominała kogoś, ale Jason nie wiedział, kogo. Dawno zapomniana twarz, a może raczej twarze. Zrozumiał nagle. Przypominała wszystkie kobiety, które kiedyś znał, nie, nie tylko znał. Które kiedyś darzył uczuciem.

Nie powiedziała nic, skinęła tylko ręką i odwróciła się. Poszedł za nią, nie rozumiejąc, nawet nie usiłował zrozumieć. Przy ławeczce również gestem wskazała, żeby usiadł. Posłuchał bez słowa. Ona usiadła przed nim, wprost na trawie.

W drzwiach chaty stanął Basile. Z wrażenia wypuścił trzymany nóż, który wbił się w próg, zakołysał.

Uśmiechała się tylko, dyskretnym, nieznacznym uśmiechem. Ale Jason miał wrażenie, że słyszy słowa i zaczyna je rozumieć, może nie poszczególne wyrazy, ale ich sens.

Możesz nas zrozumieć. Możesz być jednym z nas. Możesz nam pomóc.

Mogę pomóc, zrozumiał Jason. Nie tylko wam, sobie również. I pomogę, jak wy pomogliście mojemu przyjacielowi.

– Jacy wy? – zapytał na głos, choć wiedział, że nie musi.

My. Mieszkańcy tego świata. W tym świecie to wy nie mieliście szczęścia. To was tu nie ma, i nie powinno być.

– Starsze ludy... – usłyszał Jason głos Basile'a.

Niezdarny olbrzym podszedł bliżej. Pochylił się, przykucnął na

trawie. Jason spostrzegł, że z jego twarzy zniknęła tępota, że oczy lśnią nieznanym blaskiem.

– Zdejmij maskę, pani – powiedział chłopak powoli.

Jason nie pojął w pierwszej chwili, dopiero gdy twarz nieznajomej zaczęła się rozmywać zrozumiał, o co chodzi. Ciekawe, pomyślał przelotnie, jaką ty ją widzisz, Basile?

Iluzja rozviała się. Patrzyły na nich głęboko osadzone, brązowe oczy.

Jason westchnął, widząc obcą, nieludzką twarz. Nieludzką i piękną.

- V -

Było to znalezisko wzruszające. Świadczyło, można by rzec, o wiecznym dążeniu ludzi do okazywania szacunku zmarłym i pielęgnowania pamięci o nich. Interpretacja tego znaleziska jako pradawnego pochówku miała wszakże jedną skazę. Kości w grobie nie należały do dziecka ludzkiego.

Chris Stringer, *Afrykański Exodus*

Paski suszonego mięsa były twarde niczym rzemienie. Nieco je nawet przypominały, kształtem i kolorem podobne do dobrze wyprawionej skóry. Match zastanawiał się, czy będą podobnie smakować. Pewnie tak.

Ale nie było nic innego, a kotka kręciła się niecierpliwie, zataczała kółka i ósemki, prężąc się i ocierając o cholewy, pomiaukując niecierpliwie.

– Trzeba było zostać – mruknął niezyczliwie i zaklął, kiedy nóż ześlizgnął się z twardego kawałka. Omal nie zaciął się w palec. – Zdecydowałeś się w ostatniej chwili – kontynuował. – Trzeba było zostać, jak chciałeś z początku. Myszy byś sobie łapała, albo co innego.

Kotka zamiauczała głośniej. Match spoważniał.

– Wiem, marudzę tylko. Zginęłabyś tam pewnie z głodu albo zeżarłoby cię coś, co jest większe od ciebie i bardziej wredne. A jak widzę, wszystko tu jest wystarczająco wredne.

Istotnie, przeprawa przez mokradła rozwiała ostatnie wątpliwości co do mieszkańców tego świata. Musiał przyznać, że tanio się wykupił, jedynie rozerwanymi spodniami, gdy coś chwyciło od tyłu, tuż pod kolanem. I bólem nadgarstka, którego nabawił się, jak siekł to coś, skryte w turzycach, a ono, nawet cięte na odlew, za nic nie chciało puścić. Nie

miał pojęcia, co to było. Match zapamiętał tylko małe, złośliwe oczka i pysk pełen drobnych, lecz ostrych zębów.

Wzdrygnął się. Za nic nie chciałby powtórzyć wędrówki przez mokradła. Na początku szedł ogłuszony żalem, podświadomie tylko wyszukując ledwie widoczne znaki. Jedynie syk siedzącej na ramieniu kotki, wczepionej pazurami w odzienie, a potem i w jego własną skórę, ostrzegł go przed wejściem na pozornie równą płaszczyznę traw, która wprost zapraszała, by skrócić sobie drogę właśnie tędy.

Kot zasyczał, a Match stanął jak wryty, przez chwilę nie bardzo wiedząc, gdzie jest i po co idzie. I wtedy dywan traw wybrzuszył się, jakby wypchnięty od dołu, potem pękł i spod niego chlusnęła fontanna czarnego błocka. Cofnął się ostrożnie, czując wpijające się w ramię pazury nastroszonego, syczącego kota, potem już bardzo uważnie wypatrywał zmurszałych tyczek, skakał z kępy na kępę, uprzednio macając każdą druidzką laską.

Gdy wyszli w końcu na brzeg, wysoką skarpe porośniętą całkiem zwyczajnymi olszynami, był potwornie zmęczony. Padł na piasek, nie zadając sobie nawet trudu, aby zdjąć z ramienia kota, który zeskokczył równie wyczerpany. Leżeli obok siebie, ciężko oddychając. Żadne z nich nie odwróciło się, by spojrzeć na horyzont, gdzie za morzem trzciny, za połyskującymi tafelkami wody wznosił się ostrów w kształcie kurhanu, ledwie teraz widoczny. Trudno byłoby go zauważyć, gdyby nie unosząca się wciąż w bezchmurne niebo smuga dymu.

Natarczywe miauknięcie kotki wyrwało Matcha z zamyślenia. Zebrał kawałki mięsa, podsunął kotce pod pyszczek. Prychnęła pogardliwie.

– Pewnie, może polędwiczki dla jaśnie pani? – mruknął z przekąsem.

Krzywiąc się, wsunął do ust twardy kawałek. Smakowało jak kawałek upręży, w dodatku długo używanej. Jednak żuł z całej siły, zdając sobie sprawę, że to pewnie jedyny posiłek dzisiaj. Nie mógł polować, nie miał czasu, by sporządzić sobie jakiś prymitywny łuk czy sidła. Zamierzał dotrzeć do wioski, która według słów Carmantheana znajdować się miała nieopodal.

Przyjaznej wioski, przypomniał sobie. Ale nie ludzkiej.

Po dłuższym żuciu mięso dawało się nawet przełknąć. Kotka, zachęcona przykładem, również zaczęła jeść, śmiesznie przekrzywiła

głowę, odcinając kawałki trzonowymi zębami.

Poranek wstał pochmurny, śladu nie zostało po wczorajszej pięknej pogodzie. Od ziemi ciągnęło chłodem, powietrze przesyciła wilgoć. Wciąż czuł w kościach nocleg. Trudno to było zresztą nazwać noclegiem, długie godziny ciemności spędził skulony pod drzewem, którego pień dawał przynajmniej poczucie jakiejś osłony z tyłu. Nie rozpałał ognia, podrzemywał tylko, trzymając cały czas dłoń na rękojeści leżącego w poprzek kolan miecza. Zaufał czujności kotki, zwiniętej w kłębek, jednak łowiącej wszystkie odgłosy drgającymi nerwowo uszami.

Odgłosy były w większości zwykłe. Pohukiwanie sowy, szelesty w poszyciu, kiedy małe nocne drapieżniki wychodziły na żer. Wrzask lelka i beczenie kozła. Właściwie nic nowego.

Ale dobiegł go też wrzask, daleki, stłumiony odległością, lecz tak przejmujący, że aż mu się od niego zjeżyły włoski na przedramionach. Zacisnął palce na szorstkiej rękojeści, nasłuchiwał, nie wiedząc, czy wydało go gardło zwierzęce, czy ludzkie. Wrzaski wreszcie ucichły lub oddaliły się, ale jeszcze długo siedział, wpatrując się w ciemność i ściskając broń.

Na domiar złego już nad ranem, gdy czerń bezksiężycowej nocy zmieniała się powoli w szarość przedświt, w koronie drzewa, pod którym przesiedział całą noc, coś zaczęło się kokosić, parskać i syczeć. Na głowę posypały mu się kawałki kory i liście. Ponieważ kotka nie reagowała, nie ruszył się z miejsca, popatrywał tylko nieufnie w górę, chcąc coś dostrzec w gęstwie liści, czarnych w mętym przedświcie. Nic nie wypatrzył, a cokolwiek syczało, znudziło się wkrótce lub poszło sobie.

Był zmęczony i przemarznięty. Zdawał sobie sprawę, że dłużej tak się nie da. Odzywały się niezaleczone do końca urazy, w piersi zagościł tępy ból, rwały nadgarstki.

Przełknął ostatni kawałek mięsa, popatrzył na kotkę wylizującą łapki.

– Na drugi raz łap myszy. No, zbieraj się, idziemy.

Dociągnął klamrę pasa na piersi, ze stęknieniem zarzucił na ramię sakwy. Przykucnął przy kotce.

– Wskakuj – powiedział. – Tylko nie na to ramię.

Ścieżka była coraz szersza, jak zwykle w pobliżu wiosek, gdzie poszycie wydeptywały stopy ludzi idących w las na polowanie, na grzyby, czy choćby wysikać się w odosobnieniu. Match zwolnił i rozglądał się uważnie, rad, że może czymś zająć umysł, odegnać natarczywe myśli. Dostrzegał coraz liczniejsze ślady ludzkiej obecności. Niekoniecznie ludzkiej, poprawił się w myśli. Ale coś go niepokoiło. Ślady były stare, pieńki po ściętych drzewach pociemniały, nie biły w oczy bielą świeżo ściętej sosny czy czerwienią olszyny. Nie było śladów stóp, połamanych gałązek.

Kotka też zwolniła, przystawała co chwila, strzygła uszami. Węszyła ze śmiesznie półotwartym pyszczkiem. Koniec długiego ogona podrygiwał nerwowo.

Las się przerzedzał, pomiędzy pniami prześwitywała wolna przestrzeń.

Zatrzymali się nagle. Kotka przypadła do ziemi, bijąc się po bokach ogonem, Match zastygł w pół kroku, jego ręka odruchowo powędrowała w górę, ku sterczącej znad barku rękoności. Przez moment tak stał, śledząc każdy ruch, zanim zdał sobie sprawę, że to wiatr porusza wiszącą na krzaku szmatę, która kiedyś była zapewne grubo tkaną koszulą.

- Histeryczka - mruknął tylko, spojrzawszy na kotkę, i podszedł bliżej, szturchnął szmatę końcem laski.

Istotnie, była to koszula. Zetlała na słońcu i deszczach, bura i porwana. Ale wciąż odznaczały się na niej ciemniejsze plamy.

Match wiedział już, że nie ma się co spieszyć. Popatrzył na zawstydzoną kotkę.

- Idziemy - powiedział. - Jak chcesz, możesz z tyłu.

Ruszył szybciej, nie oglądając się na kota, który wciąż nieufnie obwąchiwał zwisającą z krzaka szmatę. Już wiedział, co zastanie, gdy znajdzie się na skraju lasu.

Chaty podchodziły niegdyś pod same zarośla, nie otaczały ich pola ani opłotki. Teraz zostały tylko zgliszcza, wypalone plamy, z okopconymi,

rozsypanych paleniskami w środku. Nie były świeże, ciężki zapach spalenizny zdążył się ulotnić, wiatr porozwiewał popioły, spłukały je deszcze i burze. Najmniej pół roku, ocenił Match machinalnie.

W układzie zgliszczy, w ich kształcie dostrzegał coś niepokojącego, obcego. To rzeczywiście nie była ludzka wioska, w każdym razie nigdy dotąd podobnej nie widział. Chaty musiały stać ściśnione na jednym brzegu polany, przytulone do samej ściany lasu. Nie widział kamieni, podtrzymujących zręby stawiane na zacios, bo i zrębów zapewne nie było, czarne plamy, powoli zarastające trawą, były okrągłe.

Szedł powoli w dół wielkiej polany, parę razy rozgrzebał popiół kosturem, jakby spodziewał się znaleźć coś interesującego. Nie znalazł. Kotka sztywno stawiała łapki, rozglądając się nieufnie i węsząc, co rusz przypadała do ziemi. Zbliżyli się do czegoś, co wyglądało jak cembrowina studni, pozbawionej pokrywy czy chociażby żurawia – obłożona kamieniami dziura w ziemi, z lśniącym głęboko lusterkiem wody.

Obok, w wysokiej trawie coś połyskiwało. Match podszedł bliżej.

Ostrza miecza nie tknęła rdza, choć musiał tu leżeć od dawna. Ułamana klinga lśniła matowym połyskiem, tylko złoty metal głowicy zazielenił się od śniedzi. Match podniósł broń o rękojeści bliźniaczo podobnej do tej, którą nosił na plecach. Przyjrzał się znakom trawionym na klindze. Nic mu nie mówiły, mogły być tylko ornamentem.

Z zamyślenia wyrwało go syczenie kotki. Zjeżona, przypadła do ziemi, wściekle tłukąc się ogonem po bokach. Match poczuł zimny dreszcz przebiegający wzdłuż kręgosłupa.

Odrzucił złamany miecz, sięgnął do rękojeści własnego, lecz jego dłoń zatrzymała się jednak w pół drogi. Cokolwiek widział kot, umarło już dawno.

Umarło dawno, ale wciąż przemawiało. Pod czaszką, gdzieś głęboko, słyszał głosy. Bez słów. Jak ostrzeżenie.

Potrząsnął głową. Głosy umilkły na chwilę, by znów powrócić, stłumione i obce.

Postawił pierwszy, sztywny krok, potem drugi. Minął kotkę, wciąż syczącą i parskającą, ruszył w stronę wielkiej, czarnej plamy, wzgórzka popiołów, przetykanego opalonymi, strawionymi prawie przez ogień belkami.

Szedł coraz szybciej. Spalona od żaru trawa jeszcze nie odrosła, kroki wzbijały obłoczki kurzu. Suche źdźbła trzaskały pod butami. Nie musiał używać kostura, rozgrzebywać popiołów. Deszcze uczyniły to za niego, splukały wierzchnią warstwę, wiatry dokończyły dzieła, odsłaniając porozbijane czerepy i błyszczące szkliwo zębów, które najdłużej opierały się działaniu płomieni. Przeżarte ogniem, zwęglone piszczele, łopatki i miednice. Rozrzucone paciorki nadpalonych kręgów. Kości małe, średnie i duże, całe albo potrzaskane, prawie zwęglone lub prawie nietknięte przez pożar. Splątane, zwalone na kupę, przemieszane.

Głosy umilkły, już nie musiały ostrzegać.

Rozgarnął popioły, końcem kostura trącił najbliższy czerep. Doskonale wiedział, co tu się stało.

Oni nie zostali zabici szybko i w miarę bezboleśnie. Spędzono ich tutaj, do tej stodoły? Spichlerza? Nieistotne, to był niewątpliwie największy budynek w wiosce, zdolny pomieścić wszystkich mieszkańców. Potem podpalono.

Spoczywali tam, gdzie umarli, w daremnej walce stłoczeni przy wyjściu. Tych, którzy mieli szczęście, zaduszono w ścisku. Większość pewnie nie miała szczęścia.

Pod Matchem ugięły się nogi. Opadł na kolana, wzbijając obłoki popiołu. Kotka przylgnęła do jego boku.

Jedynie niespalone ciało znaleźli dużo dalej. Właściwie szkielet, rozwłóczony przez drapieżniki, niekompletny, ze śladami lisich lub wilczych zębów na piszczelach.

Czaszka była prawie nietknięta, przynajmniej po śmierci, bo w ciemieniu znalazł pokaźną szczerbę, zadaną widać samym końcem ostrza. Małe, czerwone mrówki wciąż pomykały po powierzchni czaszki, jakby zirytowane, że nie znajdują już nic jadalnego.

Uderzyli go z tyłu, niewątpliwie uciekał, zrozumiał Match, przyglądając się śladom cięcia na kości. Zapewne z konia, z dużej wysokości.

Podniósł czaszkę o obcych kształtach. Przesunął palcem po wydatnych oczodołach. Starsze ludy, pomyślał. Ci, którzy z naszego świata już dawno odeszli. Stali się tylko legendą, odległą, majaczącą w mrokach niepamięci.

Odeszli albo zginęli. Zabiliśmy ich wszystkich. A teraz zabijamy ich tutaj.

Po raz setny pożałował, że stary druid nie zdążył powiedzieć więcej.

Od wioski prowadził całkiem przyzwoity gościniec, jak w starym świecie, niegdyś niewątpliwie rozjeżdżony kołami wozów. Match nie zastanawiał się, dokąd idzie, i co zastanie za najbliższym zakrętem.

Carmanthean liczył na to, że zatrzyma się w wiosce, dowie się, dokąd pójść dalej, gdzie szukać drogi powrotu. Bo tego świata można było bronić tylko stamtąd. To stamtąd nadchodziło niebezpieczeństwo.

Match wiedział, że nie jest jedynym, który potrafił przenikać światy. Do bramy w diabelskiej kotlinie, w sercu puszczy Sherwood można było wejść. A ci, którzy chcieli nim zawładnąć, uczynić z niego narzędzie własnych ambicji i pragnień, nie pojowali jednego. Że do bramy światów można nie tylko wejść. Zawsze przecież może z niej coś wyjść.

Nie byli pierwszymi, choć zapewne będą ostatnimi. Moc tamtego świata słabła. Ale zanim osłabnie do cna, wciąż może im się udać.

Nie był wystarczająco ostrożny. Nie wsłuchiwał się w las, puścił mimo uszu ostrzegawczy wrzask sójki, a miękka ziemia stłumiła odgłos kopyt.

Gdy zza bliskiego zakrętu wyłonili się jeźdźcy, było za późno, żeby uskoczyć w las. Zresztą wcale nie zamierzał. Kotka okazała się szybsza. Zeskoczyła z ramienia, przypadła do ziemi na skraju drogi. On został na środku gościńca, wsparty na kosturze.

Okrzykli go od razu. Zataczali ciasne kręgi, tak że przez cały czas przynajmniej jednego miał za plecami.

Niewątpliwie byli ludźmi, choć ich oblicza przypominały bardziej bydlęce, zarośnięte, emanujące tępotą i nienawiścią. Zatrzymali się na chwilę, dwóch z przodu, jeden z tyłu.

Ten za plecami nie mógł poskromić konia. Match słyszał, jak wierzchowiec tańczy w miejscu i pochrapuje, powstrzymywany ściągany brutalnie wodzami. Słyszał przekleństwa jeźdźcy,

niewyraźne, lecz plugawe.

Człek z przodu niewątpliwie był przywódcą. Wyglądał na nieco bystrzejszego od pozostałych, zimne oczy mierzyły Matcha od stóp do głów. Wyciągnął zza pasa ciężki nadziak i wymachiwał nim luźno. Na szyi miał zawieszony jakby naszyjnik z czegoś brązowego, pomarszczonego, nanizanego na rzemień.

Jego kamrat już zdążył obnażyć miecz, jak spostrzegł Match, dosyć podobny do jego własnego, może jedynie toporniej wykonany. Jednak kształt klingi i sposób oprawy wydawały się bardzo podobne.

Match odrzucił kostur. Ujął lewą dłonią pas na piersi, tuż pod kłamrą. I tak wszystko było jasne, zastanawiał się tylko, jakie ma szanse. Co i tak uznał za nieistotne, bo nie miał wyjścia.

Niepokoił go ten z tyłu. Zdążył uspokoić konia, i nie wątpił, że dobył już broni. Match ze złością uświadomił sobie, że nie spostrzegł jej rodzaju.

Drab z naszyjnikiem na piersi splunął prawie celnie, gęsta ślina upadła tuż obok butów Matcha.

– Myślałem, że was wszystkich już wytłukliśmy – warknął. Miał dziwny akcent. Budziło to jakieś skojarzenia, Match chyba już słyszał taką wymowę. Nie potrafił jednak rozróżnić, czy to jego własne wspomnienia, nie potrafił ich umiejscowić. Ogarniała go coraz większa złość.

– Druid – dodał zbir i zabrzmiało to jak splunięcie.

Zaatakował od razu, bez dalszych wstępnych wyzwisk. Zamachnął się szeroko, głowica nadziaka świsnęła w powietrzu. Match uchylił się, szarpiąc jednocześnie pas na piersi, a jego druga ręka wystrzeliła nad bark. Rękojeść miecza sama wskoczyła mu w dłoń, poczuł znajomą szorstkość jaszczura. Wyszarpnął klingę z pochwy, słysząc, jak zaszumiało nad głową rozdzierane powietrze. Napastnik z tyłu miał niewątpliwie morgensterna.

Na szczęście byli konno, w tłoku przeszkadzali sobie nawzajem. Match zanurkował pod koniem przywódcy. Nie miał wyjścia, wbił z rozmachem ostrze w brzuch wierzchowca, prawie po rękojeść. Nieszczęsne zwierzę zakwiczało przeraźliwie, wspięło się na tylne nogi. Match wyrwał miecz, rozplątując koński brzuch, przetoczył się pod

kopytami. Gdy podrywał się po przewrocie poprzez łomot padającego cielska i dziki, pełen bólu kwik, usłyszał głucho chrupnięcie. Zbir nie zdołał wyciągnąć stóp ze strzemion, padający wierzchowiec przygniótł go, druzgocąc swym ciężarem udo. Napastnik zawrzasnął krótko, zagłuszając kwiczenie konia, po czym umilkł.

Match instynktownie, prawie na oślep odbił cięcie, odwrócił się w uniku, kiedy kolejnego napastnika koń przeniósł dalej. Widząc oddalające się plecy zbira, już poza zasięgiem ciosu, powodowany instynktem zrobił coś niezmiernie głupiego. Miał na dłoniach rękawice, więc chwycił miecz wpół klingi i cisnął nim jak włócznią. Trafił tuż nad miednicą, klinga przecięła rdzeń kręgowy. Napastnik zwałił się ciężko jak wór mąki, osunął po końskiej szyi na gościńiec. Uwolniony od ciężaru wierzchowiec z zadartym ogonem pogalopował przed siebie.

Ostatni napastnik był sprytny. Zeskoczył z konia i ani myślał uciekać, widział zresztą, że przeciwnik sam się rozbroił. Ciężka, kolczasta kula na końcu zardzewiałego łańcucha zataczała błyskawiczne kręgi.

Stał na tyle blisko, że w każdej chwili mógł wyrzutem ręki dosięgnąć Matcha. Był nie lada mistrzem, jego morgenstern miał bardzo długi łańcuch, o wielkim zasięgu, dwukrotnie co najmniej dłuższy niż w normalnie spotykanej broni. I smakował tę chwilę, wiedząc, że kiedy zechce, czaszka przeciwnika rozprysnie się jak skorupka jajka.

Match wiedział, że nie zdąży się schylić, by wyciągnąć nóż, tkwiący za cholewą. Tak głupio, kołatała się jedna, jedyna myśl.

Zbój uśmiechał się coraz szerzej. Zaraz uderzy, zrozumiał Match. Sprężył się, by odskoczyć ostatnim wysiłkiem w beznadziejnym uniku.

Coś czarnego wyprysnęło z boku, przypadło do zrytej ziemi gościńca. Zbój zawahał się. W jego oczach odbiło się zdumienie, gdy ujrzał małe, kruche stworzenie, bijące się ogonem po bokach, z położonymi płasko na czaszce uszami i wyszczerzonymi ostrymi kiełkami.

Zawahał się tylko na chwilę, wiedząc, że gdy tylko załatwi Matcha, będzie mógł zmieść kota z gościńca jednym celnym kopniakiem.

Kotka wrzasnęła.

Przeciągły krzyk zawibrował w uszach. Match miał wrażenie, że wszystko rozmazuje się, drga. Zobaczył jeszcze, jak oczy przeciwnika rozszerzają się w przerażeniu.

Zbój wolną dłonią chwycił własną twarz. Paznokcie rozorały zarośnięte policzki, wyłupiły jedno oko. Chciał sięgnąć twarzy drugą ręką, ale trzymał w niej drewniany trzonek morgensterna, do którego przymocowany był łańcuch, zataczający huczące kręgi nad głową.

Zardzewiałe ogniwa owinęły się z rozmachem wokół szyi i rąk, Match zdążył jeszcze zobaczyć, jak jedyne oko zbira prawie wychodzi z orbity, zanim pędząca kolczasta kula uderzyła go w skroń. Napastnik stał jeszcze chwilę, choć iskra życia zgasła w wybałuszonym oku, w momencie gdy kolce przebiły czaszkę. Potem runął na wznak, z rękoma ciasno przykrępowanymi do szyi łańcuchem własnego morgensterna.

Ciszę po chwili wypełniły głośne jęki. Przywódca napastników szamotał się, usiłując wydobyć spod przygniatającego go konia. Obłądny strach dodał mu sił, bo widać było prawie całą nogę, rozdarte skórzane spodnie, z których obscenicznie sterczała ułamana kość udowa.

Wierzchowiec nie kwiczał już, leżał na boku, unosząc z wysiłkiem głowę. Wodził przekrwionym wzrokiem, jakby wołając o pomoc. Wierzgające w powietrzu tylne nogi miał oplątane własnymi jelitami.

– Pomóżcie, panie. – W skowycie zbira czał się obłądny strach.

Match poczuł, jak ściąga mu się twarz.

– Po kolei – mruknął. Podszedł do rozciągniętego ciała, z którego pleców, nisko, sterczał jego miecz. Przydepnął krzyż zabitego, pociągnął mocno, z chrupnięciem uwalniając zaklinowaną między kręgami klingę.

Podszedł do konia. Przez chwilę spoglądał w wypełnione bólem, przekrwione oko. Potem ciął.

Przywódca jakimś cudem zdołał uwolnić stopę, odpełznąć kawałek. Skomlił już tylko, widząc opuszczoną klingę, z której skapywała gęsta krew. Match pochylił się nad nim. Przyjrzał uważnie.

Zbój zamknął oczy. Na pochylonej nad sobą twarzy odczytał wyrok.

Match oparł sztych na jego piersi, w zagłębieniu tuż nad mostkiem. Podniósł wzrok, patrząc na odległe drzewa pod ciemniejszym już niebem. Potem, wciąż nie spoglądając w dół, nacisnął oburącz rękojeść. Jego rysy drgnęły lekko, gdy poczuł, jak coś zaszamotało się krótko pod ostrzem.

Odszedł na bok chwiejnym krokiem, opadł na kolana, tam, gdzie na

piasek gościńca wpełzał mech. Pochylił się wstrząsany torsjami, mając wciąż przed oczyma naszyjnik z nanizanych na rzemyk, wysuszonych małżowin usznych.

Leżał zakutany w derki, przy tłym się ogniu. Obok siebie czuł miłe ciepło, sływał, a raczej czuł ciche mruzenie. Miał zamiar przespać całą noc, wiedział, że jeśli będzie zbliżać się jakieś niebezpieczeństwo, ostrzegą go konie. Zresztą każdy zwierz boi się ognia. Lecz sen wciąż nie nadchodził. Zbyt wiele dziś zobaczył. Zbyt wiele zrozumiał.

Pogładził mały, puszysty kłębek.

– Kim ty jesteś, mała? – mruknął. – A tak w ogóle, to dziękuję.

Kotka zamruczała głośniej.

– Nie powiesz? – szepnął cicho. – Carmanthean też nigdy nie wymówił twojego imienia. Może i lepiej, po cóż kotu ludzkie przezwisko? Masz pewnie swoje imię, swoje własne, którego nikomu nie powiesz.

Tak jak ja, przemknęła myśl. Też mam tylko takie imię, które sam sobie nadałem, sam wymyśliłem, żeby nie być bezimiennym znajdują.

Uświadomił sobie, że nawet stary druid nie nazwał go nigdy inaczej, choć musiał znać to prawdziwe imię, które kiedyś nadał małemu chłopcu. Nigdy jednak go nie wypowiedział. Match zrozumiał, że starzec robił to celowo, to była wskazówka, jasna i zrozumiała.

– Nie chciał, żebym zapomniał, kim jestem – powiedział na głos. – Nie chciał, żebym zapomniał o wszystkim. Choć wciąż powtarzał, że tak będzie najlepiej.

Mokre brzozowe polano zasyczało, strzeliły iskry. Ciemne niebo powlokło się widmową poświatą, wschodził księżyc. Match nie wiedział jeszcze, duży czy mały, a może oba naraz. Wciąż nie mógł się przyzwyczaić, to był obcy świat. I miał nadzieję, że nie będzie musiał przywyknąć.

– Nieła jesteś – podjął po chwili cicho, gładząc kocie futerko. – To ty byłaś wtedy, nie Carmanthean, prawda? To ty stwarzasz iluzje, potrafisz to robić. Nie on, ani nie ja. I wiesz o mnie wszystko, skoro potrafisz

stworzyć właśnie takie. Nasłuchiwałaś się, prawda? Wiesz pewnie, co myślę, o czym śnię. I sama stworzysz te sny. Lubisz mnie, co? Ja ciebie też. Ale tylko lubię. – Zacisnął dłoń.

Kotka poruszyła się, zaprotestowała gardłowym miauknięciem.

– Przepraszam. Nie powiesz, kim jesteś? Wiem, to idiotyczne, zadawać pytania kotu.

Kolejne ciche miauknięcie zabrzmiało jak potwierdzenie. Roześmiał się cicho.

– Więc jednak można się z tobą dogadać.

Kłębek rozwinął się, rozciągnął. Match poczuł, jak pazury przednich łapek zaczynają naprzemiennie, delikatnie wbijać się w jego ciało. Mruczenie stało się o ton głośniejsze.

– Ty rozumiesz, prawda? – spytał, a raczej oznajmił. – Lepiej niż on. Wiesz więcej od niego, wiesz chyba nawet więcej ode mnie. To powiedz mi w takim razie, co powinienem zrobić? Kogo posłuchać, jego, czy raczej siebie? Tego, co tkwi we mnie głęboko, czego nie potrafię odrzucić, nie potrafię się wciąż pozbyć?

Zamilkł. Wszystko było ułudą. Nawet kiedy zaczął składać swe życie z ułamków i wydawało mu się, że odkrył tajemnicę, która tak zaważyła na całym życiu, okazało się, że zamiast prawdy oglądał tylko maskę, po której zdjęciu ukazała się... No właśnie. Kolejna maska?

Wszystko jedno.

Zasypiał, wsłuchując się w ciche mruczenie, myśląc o dotyku długich, czarnych włosów, ciepłej gładkości skóry. Nie zawiódł się.

- VI -

Jeśli się znajdzie u ciebie w jednym z miast twoich, danych ci przez Pana, Boga twego, mężczyzna lub kobieta, ktoś, kto czynić będzie to, co jest złe w oczach Pana, Boga twego, przestępując Jego przymierze, przechodząc do bogów obcych, by służyć im i oddawać pokłon, jak słońcu, księżycowi lub całemu wojsku niebieskiemu, czego nie nakazałem – skoro ci to zostanie doniesione, wysłuchasz i zbadasz dokładnie sprawę. Jeśli okaże się prawdą, że taką ohydę popełniono w Izraelu, zaprowadzisz tego mężczyznę lub kobietę – którzy tej złej rzeczy się dopuścili – do bramy miasta i będziesz tego mężczyznę lub tę kobietę kamienował, aż śmierć nastąpi. Na słowo dwu lub trzech świadków skaze się na śmierć; nie wyda się wyroku na słowo jednego świadka. Ręka świadków pierwsza się wzniesie przeciw niemu, aby go zgładzić, a potem ręka całego ludu. Usuniesz zło spośród siebie.

Księga Powtórnego Prawa 17, 2-7

Pierwsze ślady ludzi znaleźli znacznie dalej, niż się spodziewali. Las wydawał się ciągnąć bez końca, chociaż wyruszyli wczesnym świtem, kiedy tylko skryte w mgłach słońce poczęło wysuszać poranną rosę. Skłaniało się już ku zachodowi, gdy podkowy wreszcie zadudniły na balach mostku. Rzeczka, leniwie omijająca wbite w dno pale, zdawała się głęboka, nie widział dna, jedynie mętnawą wodę, niosącą muł po niedawnym przyborze, może gwałtownej burzy.

Brzegi wyglądały na grząskie i niedostępne, Match jednak postanowił skorzystać z okazji, napić konie, a i samemu zaryzykować łyk niezbyt zachęcającej wody. Od wczoraj nie pił nic prócz wina, zdobytego na rabusiach na trakcie, usta zaschły mu na wiór, a w gardle osiadł pył gościńca.

Pierwszym widocznym śladem ludzi okazała się zrujnowana budowla po drugiej stronie rzeki. Zapewne kiedyś pobierano myto za przejazd przez most, zachowały się jeszcze ściany z grubych belek, żerdzie konstrukcji dachu. Jednak chatka wyglądała na opuszczoną od lat, nad wieżbę dachową wystrzeliły dwie całkiem już spore brzoźki, wyrastające ze środka izby.

Match przez chwilę miał wrażenie, że coś mu to przypomina. Wyteżył pamięć, ale ulotne uczucie zniknęło. Zaklął z niechęcią pod nosem. To był właśnie cały kłopot z pamięcią pokoleń, co rusz doznawał uczucia, że patrzy na coś znajomego, wciąż napływały dziwaczne skojarzenia. Nie miał powodów, by nie wierzyć druidowi, że w końcu sobie z tym poradzi, nauczy się to wykorzystywać. Ale na razie mocno go irytowało.

Gościwiec zakręcał nieco, biegł szerokim łukiem, zapewne by ominąć mokradła po prawej. Match ściągnął wodze, powstrzymał nieco konie. Wjeżdżali na pola, a raczej na to, co było kiedyś polami. Puszcza odzyskiwała utracone tereny, ciągnące się aż po horyzont ugory bliżej lasu porastały już całkiem spore drzewka, samosiejki zaniezione wiatrem. Wśród suchych, zeszłorocznych chwastów gdzieś można było dostrzec kłosa żyta czy jęczmienia, zagłuszone już prawie i nieliczne. Miedze odznaczały się jeszcze, ale tylko dzięki porastającej je tarninie i z rzadka stojącym gruszom.

To musiała być ludna okolica, pomyślał Match, zasobna i ludna, bo trzeba ludzi, żeby tyle pola obrobić. Ruszył powoli dalej. Gościwiec, przedtem biegnący prosto jak strzeł, teraz zaczął kluczyć, omijać spłachetki ziemi, niewątpliwie będące kiedyś kmiecymi lub pańskimi dziedzinami. Schodził w dolinkę, którą z daleka oznajmiał szpaler czarnych olch, rosnących wzdłuż niewidocznego stąd jeszcze strumienia. Dawne pola z rzadkimi samosiejkami zbóż ustąpiły łąkom, podzielonym niskimi murkami z polnego kamienia. Kolejny mostek, na strumieniu, był w daleko gorszym stanie. Przypominał uśmiech starego wieśniaka, tak wielu bali w nim brakowało. A i pozostałe nie wyglądały na najmocniejsze, więcej w nich zostało próchna niż zdrowego drewna. Match ściągnął wodze, nie chciał, by któryś z koni złamał nogę.

Wzdłuż strumienia wiodła grobla, za nią rozpościerały się stawy, suche, porośnięte wysoką trzciną. Stawidła i mnichy też daw no spróchniały. Tylko wąska strużka wody sączyła się środkiem

najbliższego stawu.

To wojna, uświadomił sobie Match. Dokładnie tak przed laty wyglądały puszczańskie wioski, puste pastwiska na obrzeżu Sherwood. Tylko wojna mogła dokonać takich spustoszeń. No, może jeszcze zaraza, czarna śmierć, wyludniająca wioski i miasta, aż nieuprawiane pola wracały pod władanie lasów. Długo jeszcze jechał przez opuszczone pola. Dopiero na rozstajach zobaczył, że to jednak nie zaraza.

Pierwsza zorientowała się kotka. Stuliła uszy i zasyczała, aż spłoszony wierzchowiec podrzucił łbem i chrapnął krótko. Match musiał uspokoić go poklepywaniem po szyi, dopiero wtedy przestał tańczyć w miejscu i ruszył dalej.

Przez chwilę Match nie zorientował się, że oprócz przysadzistej, niskiej budowli z poczerniałych belek jest tam coś jeszcze. Musiał długo się wpatrywać, żeby dotarło do niego, co widzi.

Klatkę umieszczono na wysokim palu, wbitym na rozdrożach, nieopodal budowli, zachowanej w całkiem niezłym stanie, choć niewątpliwie opuszczonej. Pewnie karczma, pomyślał Match.

Grube, kute pręty klatki mocno już zardzewiały, plamiła je biel ptasich odchodów. Z prętami kontrastował szkielet, spoczywający w środku, nagie kości wydawały się drobne w porównaniu z masywnym żelazem.

Ptaki wciąż były w pobliżu, choć prócz ścięgien, utrzymujących jeszcze szkielet w całości, niewiele pozostało do zjedzenia. Gdy podjeżdżał, zerwały się wrzaskliwą gromadą, zataczały kręgi, czekając, kiedy znów będą mogły obsiąść klatkę.

Szkielet był stosunkowo świeży. Klatkę podciągnięto wysoko, Match nie widział z dołu czaszki. Męki głodowej śmierci spowodowały, że skazaniec był skulony. Może także bronił się w ten sposób przed co bardziej niecierpliwymi ptakami, które nie chciały czekać, aż sczeźnie do końca. Ale wydawało się, że kości są zaskakująco grube, ciężkie. Jak te w popiołach wioski.

Za to drugie ciało, przybite do ściany, w urągliwej parodii Ukrzyżowania, niewątpliwie było ludzkie. Zachowało jeszcze dość skóry i mięśni i można było rozpoznać rysy, ptaki zdążyły tylko wydziobać oczy i porwać gdzieś gdzieś cienką lnianą koszulę.

To była kobieta. Miedziane włosy, mokre i skołtunione, oblepiały twarz.

Match poczuł, jak zalewa go przemożna wściekłość. Nieważne, że ci, którzy zapewne to zrobili, sami leżeli teraz na gościńcu kilkanaście mil dalej i ich także ogryzały drapieżniki, rozdziobywały leśne ptaki.

Nie jesteś tu, by stawać po jakiegokolwiek stronie, powiedział ktoś w jego umyśle. Pamiętaj o tym, inaczej nic nie osiągniesz, nikomu nie pomożesz.

- Co z tego? - powiedział na głos.

Kotka popatrzyła na niego uważnie.

- Nie patrz tak - mruknął niechętnie. - Doskonale pamiętam.

Wciąż nie mógł oderwać wzroku od dziewczyny - bo była to młoda dziewczyna - przybitej za nadgarstki do ściany z poczerniałych belek. Nisko, mogła palcami bosych stóp dosięgnąć ziemi, zrytej i skotłowanej. Rany od wielkich hufnali były porozszarpywane, oprawcy znali się na rzeczy, nie przybijali dłoni, tylko właśnie nadgarstki.

Zapewne nie żyła już, kiedy dobrały się do niej ptaki, nazbyt ostrożne i tchórzliwe, żeby nie czekać, aż zwiśnie wreszcie spokojnie, pochylona w przód, z odrzuconą na plecy głową. Musiała się z desperacją szarpać, szybko straciła siły i udusiła się, nie mogąc zaczerpnąć powietrza przy rozciągniętych ramionach.

Ciekawe, czy czekali, aż wszystko się skończy, przemknęło mu przez głowę. Czy tylko przybili i odjechali. Raczej nie, nie wyglądali na takich. Przelotnie pożałował, że tak szybko dobił rannego zbira. Powinien po prostu go tam zostawić.

Pozostało jedno do zrobienia. Podeszedł bliżej, odgarnął mokre, pozlepiane włosy. Chwilę spoglądał ze ściągniętą twarzą.

Nie jesteś po to, by stawać po jakiegokolwiek stronie.

Odwrócił się, spojrzął w zielone oczy przekreślone pionowymi kreskami źrenic.

– Zamknij się – uciął krótko.

Zanim ruszył, skorzystał jeszcze z jednej rzeczy, zdobytej w walce na gościńcu. Odpiął kulowy arbalet, przytroczony do siodła luzaka, załadował starannie ołowianą kulą, których sporą przygarść znalazł na dnie sakwy. Kulka spoczęła bezpiecznie przed napiętą cięciwą, przytrzymywana sprężynującą blaszką. Broń, mimo małych wymiarów, była potężna, naciągana korbą, jak pełnowymiarowa kusza. Miał nadzieję, że równie silna i zabójcza.

Wkrótce wjechał pomiędzy pola, które ktoś uprawiał, pomiędzy falujące łąny owsa i jęczmienia. Rozróżnił zabudowania, kanciaste chałupy, otoczone częstokołem. Zarys wieży strażniczej.

Warowna wieś, pomyślał. Wojna musi być długa i przewlekła.

Wiedział z opowieści druida, że znalazł się na pograniczu. Dalej rozciągał się kraj pozornie spokojny i dostatni, pobudowano osady, nawet miasta, może nie takie, jak po tamtej stronie, ale całkiem porządne warowne grody.

Jednak ludzie nadal byli tu obcy. Dawno zapomnieli o wszechobecnej mocy, nie potrafili jej obrócić ku własnemu pożytkowi. Wciąż byli przybyszami i zapewne nimi pozostaną, chyba że posiadą tę ziemię przemocą. Ale na to nadal brakowało im sił.

Bo w tym świecie, pod dwoma księżycami, ludzie przegrali, dawno temu, u zarania dziejów. Nie pozostały po nich nawet niedobitki. Nie oni zasiedlili łądy, zbudowali osady, stworzyli kulturę. Napłynęli dopiero potem, gdy bramy światów były jeszcze silne, kiedy mógł otworzyć je każdy, kto miał choć szczątkowe, mizerne zdolności.

Nie krył się, nawet gdy zbliżył się na strzał z łuku do bramy. Na wieży nie ujrzał nikogo, kto dźwiękiem rogu ostrzegłby mieszkańców przed przybyszem.

Match jechał teraz wolniej, rozglądał się uważnie. Ale nie spostrzegł nic niepokojącego, poza dziwną martwością. Mimo to ujął wodze jedną ręką, drugą trzymał na spuście arbaletu. Broń była zadziwiająco lekka,

mógł ją bez wysiłku unieść.

Czas jakby zwolnił swój bieg. Widział wszystko wyraźnie, jak nigdy dotąd, każde drgnienie liści w przydrożnych krzakach, każde poruszenie.

Minął bramę z solidnych bali, okutą żelaznymi sztabami, ale przecież otwartą na oścież. Przed sobą miał piaszczysty, zaśmiecony plac z cembrowiną studni pośrodku. Otaczały go chałupy, ścieśnione w rzędach. Większość chat straszyla ciemnymi oczodołami pustych, małych okienek. Tylko spod paru krytych gontem dachów unosiły się smugi dymu.

Koń powoli postępował naprzód. Match rejestrował kolejne szczegóły: wywrócone, rozeschnięte koryto, drugie podobne, lecz pełne, obok koniowiązu, zeschnięte zielsko przy niektórych chałupach, rozciągnięta skóra na drewnianej ramie.

Jakiś ruch przyciągnął jego uwagę. Podrzucił błyskawicznie arbalet, ale zaraz o mało się nie roześmiał. To tylko świnia przebiegła między chałupami, chuda, czarniawa, zjeżona, przypominająca dzika.

Dojechał prawie do studni na środku piaszczystego placu. Zastanawiał się, jak długo będzie musiał czekać. Okazało się, że niezbyt długo.

Wychodzili zewsząd, rojąc się jak mrówki wczesnym latem. Koń zatańczył niespokojnie, dopiero łagodny ucisk kolan uspokoił go. Co jak co, ale ujeżdżać to tu potrafią, przemknęło Matchowi przez głowę.

Otaczali, w większości uzbrojeni w paskudną chłopską broń, dwuzębne widły, cepy, okute drażgi. Kilku miało kordy, dość zardzewiałe, ale niewątpliwie zdatne do użytku. Nie sądził, żeby potrafili się nimi zbyt sprawnie posługiwać, co nie zmieniało faktu, że atakując kmiącą modą, w kupie, mogli być groźni.

Match rozejrzał się, okręcił wraz z koniem. Było ich sporo, mimo że wieś wyglądała na wpół wymarłą. Podsuwali się coraz bliżej, w milczeniu śledząc każdy jego ruch. Podeszli tak blisko, jak tylko pozwalał im lęk, wypisany na twarzach obok nietajonej nienawiści. Luzak zaczął się niepokoić, rżał, wspinając się na tylne nogi. Match próbował go uspokoić szarpnięciem trzymanej wciąż razem z wodzami linki. Nic to nie dało, zrezygnował więc szybko i puścił linkę. Koń napał na tłum, który rozstąpił się szybko, przepuszczając spłoszone zwierzę, potem zaś

równie szybko zwarł z powrotem. Nic to, pomyślał Match, później go złapię.

Zaczynał się niecierpliwić. Długo jeszcze?

Ktoś brutalnie przepchnął się przez krąg, stanął przed Matchem. Nagi miecz na razie trzymał opuszczony.

Match nie zauważył, skąd pojawił się ten człowiek. Czy wyszedł z którejś z chat, czy może krył się dotąd za węglem...

Był niewątpliwie kimś znaczniejszym, nie nosił zgrzebnej, grubo tkanej odzieży. Na pewno nie był chłopem. W skórzanym kubraku i wysokich butach przypominał niepokojąco zbirów z gościńca. Wrażenie potęgowała gęba, przecięta blizną, ciągnącą się prawie od oka aż po gęsty zarost.

Za nim przepchnęło się przez wieśniaków jeszcze czterech czy pięciu. Rozsypali się dokoła, przed najeżonym widłami i cepami kręgiem. Wszyscy mieli miecze.

Match skrzyżował spojrzenie z człowiekiem z blizną. Chwilę mierzyli się wzrokiem. W oczach wioskowego przywódcy dostrzegł nienawiść. I zdziwienie.

– Czego tu chcesz, druidzie? – usłyszał zdławiony złością głos. Kmiecy tłumek zaszemrał złowrogo, chłopcy wyraźnie nabierali odwagi. – Po coś tu przyjechał?

– Może ty mi powiesz – zakpił Match. – Pomyśl trochę.

Człowiek z blizną splunął tylko. Pokręcił głową jakby w zdumieniu.

– Tobie? – charknął pogardliwie. Zmełł pod nosem jakieś przekleństwo.

Match poczuł zalewającą go wściekłość. Odetchnął głęboko.

– A dlaczego nie? – spytał zimno. Nie czekał długo na odpowiedź.

– Boś druid. – Znów splunięcie, jakby to słowo było przekleństwem. – Przyjaciół nieludzi, Bogu przeciwnych i plugawych. Nieprzyjaciół rodzaju ludzkiego.

Match uśmiechnął się złym uśmiechem.

– To ciekawe – odparł spokojnie. – A wolno wiedzieć, po czym poznałeś?

– Wolno – odpalił przywódca. Miał nieoczekiwanie silne nerwy, nie dawał się zbyt łatwo sprowokować. – Bo masz przeklęty pomiot, szatanowi służący.

Wolną ręką wykonał skomplikowany gest, mający chronić od uroku.

Uśmiech na twarzy Matcha stał się jeszcze szerszy.

– W porządku zatem – wycedził. – Nic mi w końcu do tego, chociaż powinno się miłować nieprzyjacioły swoje, tak to chyba idzie. Powiedz, jeśli sobie po prostu przejadę przez to wasze zadupie, i odjadę w siną dal, poniechacie mnie, dobrzy ludzie?

Człowiek z blizną pokręcił wolno głową. Był twardy, ocenił Match, doświadczony zabijaka z pogranicza, dotkniętego od lat wojną.

– Nic z tego, druidzie – powiedział. – Może i odejdiesz, ale pieszo i bez broni. Przyznasz sam, to nie są twoje konie.

– Nie zaprzeczam. – Match spowaźniał. – Ale nie sądzisz chyba, że dostałem je, bo ładnie poprosiłem?

Wioskowy przywódca splunął.

– Masz mnie za idiotę? – spytał tylko. – Policz nas, jeśli umiesz liczyć.

Nie jest głupi, pomyślał Match. Ale stanowczo zbyt gadatliwy.

– I zostawisz przeklęte zwierzę – usłyszał jeszcze.

Stojący z boku zbrojny, krępy i tłustawy, zarechotał nerwowo. Na twarzy perliły mu się krople potu.

– A my je, kurwa, utopim! – krzyknął piskliwie. – Jako w piśmie powiedziane jest, nie może dziedziny ludzkiej plugawić!

Tłum zaszemrał, coraz głośniejsze i groźniejsze. Match rzucił szybkie spojrzenie na boki. Podchodzili coraz bliżej. Przez chwilę spoglądał prosto w twarz chłopaka ściskającego widły, w rozszerzone strachem i nienawiścią oczy.

Dość tego, zdecydował Match.

– A jeśli nie? – spytał cicho.

Oczy człowieka z blizną zwężyły się. Uniósł klingę.

– To zaraz gardło tu dasz – wysyczał. – Razem z tym szatańskim pomiotem.

Był zbyt gadatliwy. Gdy jeszcze nabierał powietrza w płuca, Match już podrzucał arbalet. Przez chwilę widział brodatą twarz przeciętą blizną, nabrzmiałe żyły na skroniach.

– Brać go! – W głośnym wrzasku i wyciu kręgu wieśniaków zginął szczęk cięciwy. Również świst ołowianej kuli nie był słyszalny we wrzawie. Za to doskonale dał się słyszeć głośny trzask, gdy pocisk trafił w sam środek czoła człowieka z blizną. Zostawił małą, czarną dziurkę, która jeszcze nie zdążyła wypełnić się krwią, gdy oczy nieszczęśnika zatańczyły dziko, ale z tyłu wyrwał spory kawał czaszki, ochlapując tłoczących się fontanną krwi, mózgu i odłamków kości.

O, kurwa, przemknęło Matchowi przez głowę, gdy cisnął nieprzydatną już broń, przerzucając jednocześnie nogę nad łękiem siodła i przycupniętą wciąż, wczepioną pazurami kotką. Nie spodziewał się aż takiego efektu.

Wylądował pewnie, na przygiętych nogach. Przed sobą miał chłopaka w postrzępionej siermiedze, który z obłądnym strachem na twarzy usiłował wykonać niezdarne pchnięcie dwuzębnymi, wciąż umazanymi gnojem widłami. Uniknął go bez trudu, wyszarpując jednocześnie miecz z pochwy na plecach. Klinga zasyczała, Match ciął wzdłuż drzewca wideł prosto po zaciśniętych dłoniach. Widły, koziołkując, wyleciały w powietrze. Chłopak padł na kolana, wrzeszcząc, uniósł do twarzy zakrwawione dłonie, jakby chciał policzyć pozostałe jeszcze palce. Nie zdążył, choć niewiele pozostało do liczenia, stęknął tylko, gdy z piersi wyszedł mu na dobre dwa cale grot rohatyny. Któryś z kamratów nie miał wielkiego doświadczenia we władaniu bronią w tłumie.

Match schylił się w półobrocie, by uniknąć świszczącego nad głową ciosu cepa, pchnął z wypadu, aż sztych zgrzytnął o kręgi. Wieśniak zatoczył się, usiłując łapać wypływające między palcami kiszki.

Kątem oka Match dostrzegł czarną, rozmazaną smugę. Kotka zdecydowała się wreszcie opuścić koński grzbiet.

Kolejne pojedynki były tylko męcząca rąbanina. Wieśniaków było zbyt wielu, zanadto sobie przeszkadzali. Ich broń nadawała się bardziej do atakowania konnych, opadnięcia ich dziką zgrają i grzmocenia gdzie popadnie, potem dobicia, gdy już spadną na ziemię. Ale w ścisłości, w walce pieszej kosy, cepy i kłonicie niezbyt się sprawdzały, ciosy częściej trafiały pobratymców, którzy wyraźnie tracili zapał. Dwóch czy trzech zaplątało

się pod podkowy wierzgających dziko, spłoszonych koni i padli z roztrzaskanymi czaszkami, zanim zdążyli zrobić komukolwiek krzywdę.

Później Match niewiele pamiętał z tej fazy walki. Zaledwie pojedyncze obrazy. Cięcie w bok szyi, w nabrzmiąte żyły, krew obryzguje twarze i siermięgi najbliższej stojących. Półotwarta dłoń, która szybuje w powietrzu, ciągnąc za sobą warkoczyk karminowych kropli, ucięta w nadgarstku. Zgrzyt ostrza na obojczyku.

Zapamiętał, że raz czy dwa razy klinga zadzwoniła w zwarcu, musiał odbijać ciosy. Bez różnicy. Miecz ciął znakomicie zarówno chłopskie siermięgi, jak i skórzane kubraki.

Robiło się luźniej. Coraz więcej wideł i cepów walało się na zrytym, poplamionym czerwienią piasku. Coraz bardziej trzeba było uważać, by nie potknąć się o ciało, martwe lub jeszcze drgające i charczące.

Wreszcie wszyscy, którzy zdecydowali się uciec, uciekli. Pozostali tylko ci, którzy spóźnili się z pójściem po rozum do głowy, ewentualnie strach sparaliżował ich na tyle, że nie byli w stanie się poruszyć.

Match oddychał ciężko, rozcierając nadgarstek. Miał już dość. Rozejrzał się.

Dwaj zbrojni jeszcze stali, ściskając swoje miecze. Match obejrzał się. Trzej, bo był jeszcze jeden, tuż obok studni. Mały, krępy wróg kotów cofał się z twarzą wykrzywioną przerażeniem, wyciągał ręce, jakby coś odpychał. Przed sobą miał zjeżoną kotkę, jej zadarty ogon napuszony był prawie do grubości lisiej kity, uszy płasko przylegały do czaszki. Zbliżała się wolno, sztywno stawiając wyprostowane łapy, z jej półotwartego pyszczka wydobywał się gardłowy zaśpiew.

Match roześmiał się zgrzytliwie.

– Jest twój – rzucił.

Odwrócił się do pozostałych, postąpił krok.

– Mamo, mamusiu... – skowyczał zbrojny pozbawiony ręki. Match uciszył go krótkim ciosem w kark, samym końcem klingi. Przeszkadzał mu ten skowyt.

Ostrza mieczy dwóch pozostałych trzęsły się wyraźnie. Na spodniach jednego Match dostrzegł ciemną, rozlewającą się plamę.

– Spierdalajcie może? – zaproponował. Nadgarstek bolał go coraz

bardziej.

Posłuchali.

Ostatni, mały i krępy, toczył błędnym wzrokiem. Ciało, wiele ciał. Zryty piasek, dymiące w chłodnym powietrzu czerwone kałuże. Plugawy potwór odwrócony plecami ocierał czoło jak drwal po ciężkiej robocie.

To wszystko jego umysł był w stanie znieść i zaakceptować. Ale to, co ujrzał tuż przed sobą spowodowało, że już przekroczył cienką linię dzielącą od szaleństwa.

Zbliżała się do niego dziewczyna, olśniewająco piękna, okryta płaszczem długich czarnych włosów, niczym więcej. Zobaczył piersi, kołyszące się w takt kroków, biel gładkiej skóry, wysoką talię, jakiej nie widział nigdy w życiu ani nawet w najbardziej skrytych fantazjach. I widział też wargi, ściągnięte, odsłaniające w uśmiechu małe, ostre kielki. Żółtozielone oczy z kreskami źrenic.

– Mnie chciałeś, kurwa, utopić? – spytała, uśmiechając się szerzej. I z sykiem rzuciła się na niego. Długie pazury prawie dosięgły twarzy. Rzucił się rozpaczliwie do tyłu, już nic nie pojmując. Niska cembrowina studni podcięła mu nogi.

Krzyk trwał długo, zanim nastąpił ostatni plusk. Studnia była głęboka.

Woda opadła z powrotem. Wraz z ostatnim niegłośnym "plum" zapadła cisza.

Masz się nie mieszać. Nie stawać po żadnej ze stron.

– A kto się miesza? – mruknął Match, dociągając popręg.

Kotka obojętnie wylizywała łapkę, zaplamioną krwią.

Jeszcze mu nie przeszło. Wciąż dygotał wewnątrz, miał przed oczyma obraz spalonych w stodole czy spichrzu kości. To oni to zrobili, nie miał wątpliwości.

Wciąż pamiętał ukrzyżowaną dziewczynę. Tak podobną do...

Zacisnął zęby.

Wieś była jak wymarła. Zabarykadowali się w chatach, niektórzy rozbiegli. Pewnie przez szpary okiennic śledziły go przerażone oczy. Ale wiedział, że na nic więcej się nie ośmiela, że nikt nie strzeli zza węgła, nikt nie ciśnie nawet kamieniem. Był pewien. Ale wolał to przypomnieć.

Wskoczył na siodło. Kotka też wdrapała się szybko, wbijając przy okazji ostre pazurki w udo. Szarpnął brutalnie wodze, aż koń wspiął się na tylne nogi, przednimi zamachał w powietrzu. Match chwilę rozglądał się.

– Hej, słuchajcie, skurwysyny! – wrzasnął wreszcie z całej siły. – Słuchajcie i powtórzcie swoim żonom, kurwom niewątpliwie! Mam w dupie, co tu się dzieje! Ale pamiętajcie, jeśli któryś z was podniesie rękę na druida, rzuci kamień, czy choćby splunie... – Smagnął konia końcem wodzy między uszy. Zwierzę ruszyło. – To wróć tu i wyrznę was wszystkich, po kolei. – Ochrypiły krzyk odbijał się od ścian. – Spalę do fundamentów, wybiję psy i świnie. Poukręcę łby kurom, zerznąwszy wprzód wasze córki. Na koniec nasram do studni.

Popędził konia do bramy na drugim końcu wsi, również otwartej na oścież i niestrzeżonej.

– Pamiętajcie, skurwysyny, zawsze mogę tu wrócić!

Wypadł w galopie na gościniec, pęd rozwiewał mu włosy.

– Jestem druidem! Ale takiego toście jeszcze nie widzieli!

Miałem nie stawać po niczyjej stronie, pomyślał po raz kolejny. Nie staję.

- VII -

Siedzieli na piaszczystej wydmie, na zeschniętym igliwiu i mchu – człowiek z mieczem przerzuconym przez plecy i przytulona do jego boku czarna kotka. Przed nimi, u stóp wydmy, rozciągała się kotlina tak obszerna, że Match ledwie widział przeciwległe zbocza. Była regularnego kształtu, prawie idealnie okrągła. Mimo ciepłego dnia i wczesnej jeszcze pory zalegała ją gęsta mgła, z której wystawały jedynie czubki drzew. Ostre sylwetki świerków wydawały się niezwykle ciemne na tle szarej mgły. Z kotliny wiało znajomym chłodem, a kłębiąca się mgła wirowała wolno. I jak zwykle przyzywała. Jednak jeszcze zostało trochę czasu.

Tym razem nie było żadnych problemów ze znalezieniem kotliny. Przez ostatnie trzy dni Matchowi towarzyszyło osobliwe przekonanie, że doskonale wie, dokąd jechać, które drogi wybierać na rozstajach. Wydawały mu się jakby znajome. Nawet kiedy trzeba było skrócić z traktu i przedzierać się przez bezdroża, nie miał żadnych wątpliwości.

Cudza pamięć po raz pierwszy nie zawiodła, nie spowodowała dokuczliwego mętliku w głowie, natłoku myśli i obrazów. Teraz prowadziła nieomylnie, prosto do celu. To łatwiej, dotarło do niego i aż się zdziwił. Rzeczywiście, nieskomplikowane.

Czas wracać, pomyślał. Poczul ściskanie w dołku. Nie bardzo było do czego wracać.

Spoglądał w kotlinę, rozpoznając znajomy kształt wielkiej niecki, którą porastał dziwny, skarłaty las. Jeszcze niedawno to miejsce było dla niego tajemnicą, niepojętą i groźną. Teraz jednak wiedział już o wiele więcej. Brama do innych światów pozostała niebezpieczna, ale tylko dlatego, że właśnie ona mogła pozwolić mu zapanować nad wszystkim, co znajdzie po drugiej stronie.

– To nie w porządku, mała – powiedział na głos, gładząc grzbiet kotki.
– Dlaczego, kurwa, zawsze ja?

Kotka popatrzyła tylko, nie miała zwyczaju odpowiadać. A przynajmniej nie wprost. Chociaż znała odpowiedź równie dobrze jak on sam.

Słyszała wszystko, była przy jego rozmowach z Carmatheanem. Zresztą zapewne wiedziała już wcześniej, przecież coś stary musiał mówić, kiedy była z nim jeszcze sama. A poza tym, pomyślał Match, znasz moje sny. Wiesz, co we mnie siedzi, co siedzi w każdym z nas.

Słońce było jeszcze dość nisko, zapowiadał się ciepły dzień. Nad kotliną wiało rześkim, wilgotnym chłodem.

Ciekawe, jak tam teraz jest, pomyślał Match, po tamtej stronie. Tu jest już lato, pełnia lata. A tam? Jak mawiał stary, czas nie jest najprostszą rzeczą. Ale dziś miał go jeszcze trochę. U kresu wędrówki po tym świecie chciał jeszcze posiedzieć trochę, pomyśleć i spróbować zrozumieć nieco więcej, zanim wejdzie do kotliny. Bo wtedy zacznie się czas zabijania, który zresztą też się kiedyś skończy, tak albo inaczej. Jak to kiedyś powiedział stary? Druid też żyje tylko raz, a zdarza się, że i niecały.

Roześmiał się, aż kotka popatrzyła zdziwiona. Pogłaskał ją.

– Dziwisz się, co mi tak wesoło? – spytał na głos. Przyzwyczał się już do rozmów z nią, które nie były zresztą tylko monologiem. – Nie, nie jest mi wcale wesoło. Ale dotarliśmy na miejsce, jest piękny dzień. Nikogo dziś nie zabiłem, co rzadkie, sama przyznasz, przynajmniej ostatnio. Nikt, ani też nic, nie próbował zabić mnie. I wiesz, to może ostatni taki dzień, na bardzo, bardzo długo. Albo na krótko, kto wie...

Przypomniał sobie powiedzonko o życiu druida. Spoważniał. Pomyślał też o czymś innym.

– Bo przecież wiesz, że nie mam do czego wracać. Sama wyciągnęłaś te moje wspomnienia, ubrałaś w obrazy, pokazałaś. Nie mam do czego, i nie mam do kogo, dobrze wiesz.

Otarła się o jego rękę, jakby przepraszająco.

– Rozumiem, że nie twoja wina przecież. To prawda, sam wiedziałem, tylko nie potrafiłem się sobie przyznać.

Wyciągnął się na plecach, na miękkim igliwiu. Posadził kotkę na piersi.

– Chcesz posłuchać? – spytał. – I tak przecież wszystko o mnie wiesz,

jesteś jak stary przyjaciel albo kochanka. Bywa, że oni wiedzą o kimś więcej niż on sam o sobie.

I nie tylko przyjaciele, pomyślał. Niekiedy zupełnie obcy ludzie potrafią powiedzieć, co w kimś siedzi, głęboko ukryte.

Czasu zostało niewiele. Słońce przebyło już większą część nieboskłonu, dziwne, obce słońce. Cienie drzew zaczynały się wydłużać, jak ciemne palce wskazywały kotlinę wypełnioną wirującą mgłą.

Staął na piaszczystej krawędzi kotliny, okolonej porośniętymi lasem wzgórzami, tworzącymi pierścien. Wyglądała, jakby kiedyś olbrzymia pięść uderzyła w samo serce lasów, bryzgając na wszystkie strony ziemią.

Spoglądał na obcy świat, na bezkresne lasy, rozciągające się wiele mil wkoło. Wyglądały tak znajomo jak puszcza, którą zostawił po tamtej stronie. I do której niebawem wróci.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze stanie pod tym pomarańczowym słońcem, spojrzy w nocne niebo z obcymi gwiazdozbiorami, przemierzane przez dwa księżyce. Powinien wrócić, przecież tu został Jason i Basile. Może są całkiem niedaleko.

To już kiedyś było. Match stał na piaszczystej krawędzi, patrząc na wirującą mgłę. Jak wtedy, kiedy szedł, przyzywany dziwną, niepojętą mocą, nie wiedząc, co czeka go w głębi. Jak później, kiedy ratował przyjaciela.

Tym razem wiedział, że nie znajdzie żadnej tajemnicy. Nie dowie się o sobie niczego więcej, niż wiedział w tej chwili. Może i lepiej, pomyślał, to już wystarczy aż nadto.

Tym razem nie podążał za nim Basile, z trudem kryjący przerażenie, z bezwładnym Jasonem w ramionach. Teraz szedł z wyboru, ale już tylko własnego. Był już pewien.

Właśnie, wybór. Pogładził uczepioną kubraka kotkę, zdjął ją z ramienia. Trzymając przed sobą, popatrzył w żółte, przekreślone kreskami źrenic oczy.

– Jesteś pewna? – spytał. – Tam będziesz tylko zwykłym kotem.

Wydawało mu się, że w oczach wyczytał żal. Ale i decyzję.

Szkoda, pomyślał. Naprawdę szkoda. Ale nie ma na co czekać.

Zrobił zdecydowany krok, czując, jak szybko bije małe, kocie serduszko.

Koniec tomu drugiego

Fragment powieści, która w 2003 roku ukaże się nakładem
Agencji Wydawniczej RUNA

Marcin Mortka

OSTATNIA SAGA

Psie Ucho naciągnął mocniej futrzaną czapę i rozejrzał się uważnie przed przestąpieniem progu. Nie miał ochoty na pogardliwego, przypadkowego kopniaka, o co ostatnio było zbyt łatwo na podwórku zamkowym. Chuda pierś wezbrała cichą ulgą – poza grupką niewolnych, zajadających chleb na stercie bali do wywózki, na dziedzińcu nie dostrzegł nikogo. Stary sługa domknął drzwi i z głową wciśniętą w ramiona ruszył w stronę bramy, szczelnie okryty starym, wyliniałym kożuchem.

Jesienna słota rozmiękczyła udeptaną ziemię podwórca, a koła wyładowanych wozów wryły głębokie, wypełnione teraz deszczówką, bruzdy. Cuchnące błoto rozłaziło się pod jego chodakami, kiedy ostrożnie przestępował nad kamieniami, belkami i zapomnianymi narzędziami.

Na starej, pomarszczonej twarzy Psiego Ucha malowało się zniechęcenie.

Nie podnosił głowy – nie chciał patrzeć na ostatnie chwile starego dworu królewskiego w Nidaros, wśród którego ścian upłynęło całe jego życie. Sędziwe halle, do tej pory rozbrzmiewające zuchwałym śmiechem, powoli umierały. Nieznajome dłonie darły stare ściany i na kupę zrzucały wiszące na nich zdobyczne miecze i topory. Dumne ostrza nieruchomiały niczym ryby wyrzucone na brzeg.

Jeszcze nie tak dawno, gdy nad morzem szalał sztorm, a wichura uderzała o ściany dworzyszczca, każdy miecz cichutko nucił pieśń o

wojowniku, który niegdyś go trzymał. Skrzaty z cichym postukiwaniem budowały mroczne tunele pod polepą, a w trzasku płomieni paleniska w księżycowe noce można było usłyszeć wycie wilka. Ciepłe drewno oparć wielkich krzesel, rzeźbionych w smoki i węże morskie, już obumarło. Wspomnieniem była smakowita cisza spiżarni, gdzie toczył niekończące się wojny ze szczurami.

Wyrok śmierci na stary dwór podpisał jeden gniewny grymas na młodej, bladej twarzy nowego władcy. Schorowane oczy Psiego Ucha widziały już wielu konungów na stolcu w Nidaros, ojców i synów, wojowników i rozbójników, dumnych jarłów i drwiących renegatów, okrutników, hulaków, durniów, toczących pianę z ust berserków, szaleńców porwanych w dzieciństwie przez elfy, i przybłądów z przyszywanym rodowodem. Przyzwyczał się do wrzasków, burd i zemst, lecz nie bał się ich. Nigdy nie przerażała go zmiana na królewskim stolcu, choćby i najgorsza sława szła za nowym konungiem.

Nie, Psie Ucho nie był dzielnym mężem o nieulekłym sercu. Długie, wypełnione wyteżoną pracą życie nauczyło go, że nie ma różnicy między panowaniem złego władcy a okresem złej pogody. I jedno, i drugie mijało, zwłaszcza tu, na Północy, gdzie krew w żyłach jest równie niespokojna jak niebo. Nauczył się też, iż sam stanowi nieodłączny element dworzyszczka – Nidaros mogłoby się obejść bez Psiego Ucha tak samo jak bez ław pod ścianami. Stary sługa znał też pismo i języki, którymi mówiono w innych krajach, dlatego każdy z kolejnych konungów umiał go docenić.

Każdy do tej pory...

Rządy Hralfa Ognistego Języka zakończyła pewna bezksiężycowa noc, kiedy mgłę wokół miasta roztrąciły postacie wrzeszczących wojów z pochodniami, a na wały Nidaros spadł deszcz ognistych strzał. Psie Ucho nie dzielił przerażenia z resztą niewolnych, kiedy zaskoczona, rozbudzona strachem drużyna konunga ścięła się z napastnikami. On poczuł grozę dopiero, gdy inni odetchnęli z ulgą – gdy zagasły ostatnie pożary i dojrzał twarz zwycięskiego hovdinga napastników.

Zwali go Erykiem synem Halvdana, a pochlebcy *Hvíti fálkinn*, Białym Jastrzębiem. W kilka dni po przejęciu rządów pojawiła się opowieść, iż Halvdan, ojciec Eryka, zasiadał niegdyś na stolcu Nidaros, lecz jego rządy zakończył najazd zawistnych krewnych. Halvdan uszedł dzięki swym

wiernym wojom, zabierając ze sobą syna, po czym stracił życie w dalekim świecie, próbując odnaleźć sojuszników do wyprawy odwetowej. Młody Eryk ponoć pozostał w Albionie i po śmierci ojca podjął walkę o odzyskanie ojcowizny.

Psie Ucho na ową opowieść spluwał i dygotał. Pamiętał konunga Halvdana dobrze, pamiętał też noc, kiedy to musiał uchodzić z Nidaros. Mógł zatem poprzysiąc na wszystko co święte, że w postaci młodego króla kryło się coś, czego na pewno nie widział u ojca.

Wiecznie zmrużone oczy młodego Eryka błyszczały bezwzględnością, a zaciśnięte mocno usta znamionowały upór na pograniczu szaleństwa. W szczupłej, cichej sylwetce, dziwnie małej na wielkim stolcu królewskim, kryło się więcej grozy aniżeli w każdym z barczystych, rozwrzeszczanych konungów, którym wcześniej służył Psie Ucho. Na dworzyszczu Nidaros zapadła cisza i brak było zuchwałych, którzy ośmielali się ją łamać.

Szeptano z lękiem o niecierpliwości nowego władcy. Często pozorny spokój Eryka pękał z trzaskiem niczym suchy patyk, a jego gniew wyzwał się z mocą ognia, zaprószonego na stogu siana. Niepokojny konung miotał się z orszakiem rozhukanych koni po Nidaros i okolicznych okręgach lub pływał na swym drakkarze wzdłuż wybrzeży, nocami zaś siadał przy świecy i czuwał samotnie.

Psie Ucho śledził okno jego komnaty z coraz większym niepokojem, ale władca nie zauważył go zupełnie, a nowy zarządca jednym machnięciem dłoni przeznaczył go do pomocy kuchennej. Nikt już nie słuchał Psiego Ucha. Kopano go i lżono, a jego słabe ramiona z coraz większym trudem dawały radę nowym obowiązkom. Krótkie chwile przed czarnym, zmęczonym snem spędzał na marzeniach o powrocie dawnych jarłów, o ścianach halli, rozbrzmiewających hukiem pijatyk, o brzęku mieczy i o ucztach ku czci bogów.

Świt nie przynosił nic oprócz znużenia. Kości dawnych jarłów leżały już w kurhanach, a bogowie byli daleko – nikt nie słuchał starego sługi. Nikt. Aż pewnego wieczoru Psie Ucho zrozumiał, co przynoszą długie noce króla przy samotnej świeczce.

Eryk zaatakował Nidaros po raz drugi.

Najpierw pojawiło się kilku ludzi zza morza, których Eryk, wbrew

swym zwyczajom, podjął wystawną ucztą. Przybysze chodzili po dworze z dumnymi minami, rozprawiali z królem w obcej, choć bliskiej nordweskiej mowie, rozkładali przed nim jakieś pergaminy. Następnego dnia kopniakami i wrzaskami zapędzono dziesiątki jeńców z bitwy pod Cichymi Wzgórzami do pracy. Padła w pył drewniana palisada, wieżyce, brama, a w końcu i dworzyszczce. Potem pojawiły się wyładowane kamieniami wozy, a obcy poczęli rozdrabniać jakąś breję.

Psie Ucho chciał krzyknąć, ale szloch zdławił słowa. Czuł, że wie, co będzie dalej, i coś w nim umarło. Garbił się coraz bardziej, starając się nie słyszeć odgłosów budowy ani nie widzieć rosnących kamiennych baszt i murów. Gładził przelotnie stare ławy, przyklękał przy wygasłym palenisku, z mgłą w oczach patrzył na wiszącą na ścianach broń. Nie słyszał już wycia wilków, ani brzęczącej pieśni o poległych wojownikach. Dworzyszczce milczało, żegnając się ze starym sługą.

On też milczał. Bo i tak nikt go nie słuchał.

*Powieść Marcina Mortki "Ostatnia saga"
ukaze się nakładem Agencji Wydawniczej RUNA
w III kwartale 2003 roku.*

